

THE BEST OF  
MIKE

RESNICK

SŁONIE  
NA NEPTUNIE



SOLARIS

**THE BEST OF**

**Resnick Mike**

**SŁONIE NA NEPTUNIE**

Czterdzieści trzy dynastie antaryjskie

Podróże z moimi kotami

Siedem spojrzeń na wąwóz Olduwai

Łowy na Snarka

Słonie na Neptunie

Barnaba na wybiegu

Zimowe przesilenie

Czerwona kaplica

Kapitałna zabawa

I.

II.

III.

IV.

V.

VI.

VII.

VIII.

IX.

X.

XI.

XII.

XIII.

XIV.

KIRINYAGA

Doskonale piękny poranek, z szakalami

Kirinyaga

Bowiem dotknęłam nieba

Manamouki

Kiedy starzy bogowie umierają

# Czterdzieści trzy dynastie antaryjskie

*The 43 Antarean Dynasties*, przeł. Anna Klimasara  
Nagroda Hugo 1997

*Aby podziękować Stwórcy Wszystkich Rzeczy za narodziny pierwszego męskiego potomka, cesarz Maloth IV nakazał architektom wznieść świątynię, która po wsze czasy przyćmiewałaby swą wielkością pozostałe budynki na planecie. W całości miała być zbudowana z kryształu, a jej dach, pokryty iglicami wyglądającymi niczym milion lśniących grotów włócznie wymierzonych w słońce, miał spocząć na dwustu siedemnastu kolumnach, upamiętniających dwustu siedemnastu przodków władcy. Każda z kolumn, uderzona, miała rozbrzmiewać dźwiękiem niosącym się na kilometry i wzywającym wiernych do modlitwy.*

*Budowla miała być znana jako Świątynia Uświęconego Słońca, gdyż dziedzic przyszedł na świat w samo południe, pod słońcem stojącym w najwyższym punkcie nieba. Budowa świątyni trwała dwadzieścia siedem standardowych lat i choć rasy z całej galaktyki przybywały na Antares III, by ją podziwiać, Maloth wydał dekret, na mocy którego ani obcy, ani niewierni nie mieli do niej wstępu, by nie bezczęścili świętych korytarzy swoją obecnością...*

Mężczyzna, kobieta i dziecko wychodzą ze Świątyni Uświęconego Słońca. Kobieta trzyma przy oku aparat, robiąc kilkanaście mało oryginalnych ujęć tego samego widoku. Dziecko, nad którego górną wargą widnieje kilka włosków rzekomo świadczących o dojrzałości, nawet na chwilę nie podnosi wzroku znad gry na kieszonkowym komputerze. Mężczyzna rozgląda się sprawdzając, czy nikt go nie widzi, po czym przydeptuje bezdymne cygare i przyspiesza kroku, dołączając do pozostałej dwójki.

Zbliżają się do mnie, a ja robię co w mojej mocy, by wtopić się w otoczenie i wcisnąć w marmurowe ściany i kamienne chodniki, nim się odezwą.

*Jestem niewidzialny. Nie widzicie mnie. Po prostu przejdziecie obok.*

– Ty, koleś... szukamy przewodnika – rzuca mężczyzna. – Zainteresowany?

Powstrzymuję westchnienie i kłaniam się nisko.

– Jestem zaszczycony – mówię, ciesząc się, że nie pojmują niuansów

antaryjskiej odmiany.

– O rety! – wykrzykuje kobieta, kierując aparat w moją stronę. – Nigdy nie widziałam czegoś takiego! Prawie złożyłeś się na pół! Możesz to powtórzyć?

Przypomina mi się pradawna legenda, zapewne nieprawdziwa, ale ja w nią wierzę. Pewien ambasador, równie zafascynowany ruchomością antaryjskich stawów, poprosił Komaritha I, założyciela Trzydziestej Ósmej Dynastii, o powtórny ukłon. Komarith odpowiedział jedynie spojrzeniem i trwał tak w bezruchu, aż zawstydzony ambasador oddalił się chyłkiem. Władca rządził jeszcze przez dwadzieścia dziewięć lat, ale już nigdy się nie uklonił.

Wiele czasu minęło od rządów Komaritha, niemal siedem mileniów, w trakcie których Antares i wszechświat ulegli zmianom. Kłaniam się kobiecie, a ona cyka te swoje holografie.

– Jak się nazywasz? – pyta mężczyzna.

– Nie bylibyście w stanie wymówić mojego imienia – odpowiadam. – Gdy oprowadzam przedstawicieli waszej rasy, zwę się Hermesem.

– Herman, tak?

– Hermes – poprawiam.

– Jasne. Herman.

Chłopak odrywa wreszcie wzrok od ekranu.

– Tato, powiedział Hermes.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Wszystko jedno. – Zerka na czasomierz. – No, pora zaczynać.

– Właśnie – wtrąca dziecko. – Po południu nadają mecz z Roosevelta III. Muszę na niego zdążyć.

– Sport możesz sobie zawsze obejrzeć – mówi kobieta. – A to może być jedyna okazja, byś zwiedził Antares.

– Normalnie umieram ze szczęścia – mamrocze chłopak, ponownie skupiając się na komputerze.

Niemal z pamięci recytuję mowę powitalną.

– Pozwólcie, że powitam was na Antaresie III oraz w jego stolicy, Kalimetrii, znanej w całej galaktyce jako Miasto Miliona Iglic.

– Nie widziałem miliona iglic, kiedy tu lecieliśmy z kosmodromu – stwierdza dziecko, choć przysięgłbym, że wcale mnie nie słuchało. – Co

najwyżej tysiąc, czy dwa.

– Ale niegdyś był ich milion – wyjaśniam. – Obecnie zostało zaledwie szesnaście tysięcy trzysta cztery. Wszystkie z kwarcu lub kryształu. Późnym popołudniem, gdy słońce jest już nisko, działają jak pryzmaty i zalewają ulice miasta powodzią egzotycznych kolorów. Rasy zamieszkujące pół galaktyki przybywają tu, by tego doświadczyć.

– Szesnaście tysięcy – mruczy kobieta. – Ciekawe, co się stało z resztą.

*Nikt nie wiedział, czemu akurat iglice były dla Antaryjczyków tak atrakcyjne wizualnie. Górowały nad miastem, rzucając cienie i malując krajobraz mieniącymi się kolorami. Wysmukłe, delikatne, cudowne, odzwierciedlały wyjątkową doniosłość wizji oraz wrażliwość ducha. Zbudowanie miliona iglic zajęło władcóm Antaresu III niemal trzydzieści osiem tysięcy lat.*

*Podczas Drugiej Inwazji, kanforytańskiej armadzie wystarczyły niecałe dwa tygodnie, by zniszczyć wszystkie za wyjątkiem szesnastu tysięcy trzystu czterech...*

Kobieta nadal podziwiała iglice widoczne w oddali. W końcu pyta, kto je zbudował, jak gdyby były zbyt piękne, by mogli je stworzyć Antaryjczycy.

– Wszystko, co dziś zobaczycie stworzyli rzemieślnicy mojej rasy – odpowiadam.

– Sami?

– Czy tak trudno w to uwierzyć? – pytam łagodnie.

– Nie – stwierdza obronnym tonem. – Naturalnie, że nie. Tylko że jest tego tak dużo...

– Kalimetrii nie zbudowano w dzień, rok, czy nawet w milenium – zauważam. – To wspólne osiągnięcie czterdziestu trzech antaryjskich dynastii.

– Więc teraz mamy Czterdziestą Trzecią Dynastię? – pyta.

*To Zelorean IX oficjalnie ogłosił Kalimetrię Wiecznym Miastem. Ani wojny, ani powstania nigdy nie zagrażały jej bezpieczeństwu i nawet strzeliste świątynie jego przodków dawały wszelkie podstawy do tego, by wierzyć, iż miasto przetrwa wieczność. Był to Złoty Wiek i władca nie widział powodu, by sądzić, że mógłby nie trwać wiecznie...*

– Ostatni władca absolutny Czterdziestej Trzeciej Dynastii obrócił się w proch już niemal trzy tysiące lat temu – wyjaśniam. – Od tamtego

czasu rządził nami szereg najeźdźców, przy czym każda nowa rasa zastępowała poprzednią.

– Jakie szczęście, że nie zburzyli budynków – stwierdza kobieta i odwraca się, by podziwiać fontannę z wodą do picia, która z niezrozumiałych przyczyn jawi jej się jako mistyczny, obcy artefakt. Już ma pstryknąć holo, gdy powstrzymuje ją syn.

– Mamo, to tylko głupie poidło – mówi.

– Ale jakie fascynujące – odpiera kobieta. – Tylko pomyśl, jakie istoty korzystały z niego w minionych wiekach.

– Spragnione – rzuca znudzone dziecko.

Kobieta je ignoruje i zwraca się w moją stronę.

– Jak mówiłam, to zbrodnia odzierać galaktykę z takich skarbów.

– Właśnie, ale *ktos* zniszczył niektóre budynki – wtrąca się dzieciak, który najwyraźniej uwielbia wszystkim udowodniać, że się mylą. – Pamiętacie tę dziurę w ziemi, którą tam widzieliśmy? – Wskazuje w kierunku Śladu Stopy. – Mnie to wygląda na lej po bombie.

– Mylisz się – wyjaśniam, prowadząc ich we wskazane miejsce. – Zawsze tu był.

– To tylko duży lej krasowy – stwierdza mężczyzna, na którym nie wywiera to żadnego wrażenia.

– Mój lud czci go jako Ślad Boskiej Stopy – wyjaśniam. – Pewnego razu, wiele eonów temu, Kalimetria zmagala się z kilkuletnią suszą. W końcu Jorvash, nasz najwyższy kapłan, zaoferował Bogu własne życie w zamian za deszcz. Bóg odparł, że deszcz nie spadnie, póki sam nie zaszlocha, a nie wycierpieliśmy jeszcze wystarczająco wiele, by doprowadzić Go do łez współczucia. Obiecał jednak, że zawrze z Jorvashem umowę. – Przerywam dla większego efektu, ale mężczyzna tylko zapala kolejne cygaro, a dziecko skupia się na komputerze. – Następnego ranka Jorvasha znaleziono martwego w świątyni, a Bóg zostawił tu odcisk stopy i napełnił go wodą. Wystarczyło jej do czasu, gdy znów zapłakał.

Kobieta wygląda na podenerwowaną.

– Hmm... bardzo przepraszam – mówi w końcu – ale czy mógłbyś powtórzyć tę historię? Nie włączyłam nagrywania.

Mężczyzna wygląda na zażenowanego.

– Zawsze zapomina włączyć to cholerstwo – wyjaśnia i rzuca mi



monetę. – To za fatygę.

*Lobilia był największym poetą w historii Antaresu III. Choć zmarł za panowania Dwudziestej Trzeciej Dynastii, większość jego utworów przetrwała. Ale jego największe dzieło, „Długa noc wygnania” – epopeja opowiadająca o wygnaniu Bogaty i jego triumfalnym powrocie – przepadła na zawsze.*

*Choć był najślynniejszym bardem swej rasy, Lobilia był analfabeta, niezdolnym nawet się podpisać. Jego poezja była improwizacją, którą doskonalił podczas każdej kolejnej recytacji. Swoją epopeję wyrecytował tylko raz i był z niej tak zadowolony, że odmówił powtórzenia jej skrybom czekającym na wersję ostateczną, przez co nigdy nie została zapisana.*

– Dziękuję – mówi kobieta, wyłączając nagrywanie, gdy kończę. Chwilę milczy. – Można kupić jakąś książkę z waszymi niezwykleymi legendami ludowymi?

Postanawiam nie wyjaśniać różnicy między legendą ludową, a artykułem wiary.

– Można je nabyć w sklepie z upominkami w hotelu – odpowiadam.

– Mało masz jeszcze książek? – mamrocze mężczyzna.

Kobieta piorunuje go wzrokiem, ale nic nie mówi, a ja prowadzę ich do Grobowca, który zawsze robi wrażenie na zwiedzających.

– Oto Grobowiec Bedoriana V, największego władcy Trzydziestej Siódmej Dynastii – mówię. – Bedorian był plebejuszem, zwykłym rolnikiem, który obalił cieszącego się złą sławą Maelastriego XII, potężnego wojownika, ostatniego władcę Trzydziestej Szóstej Dynastii. To właśnie Bedorian wprowadził edukację powszechną dla wszystkich Antaryjczyków.

– A co było wcześniej?

– Aż do panowania Bedoriana nasze kobiety nie dostępowały zaszczytu poznania sztuki czytania i pisania.

– A jak facet zginął? – pyta mężczyzna, którego tak naprawdę to nie obchodzi, ale nie chce, żeby kobieta się odzywała.

– Bedoriana zamordował jeden z jego zwolenników – odpowiadam.

– Na pewno mężczyzna – stwierdza kobieta cierpko.

– Przed śmiercią – mówię dalej – bez jednej bitwy zjednoczył trzy walczące ze sobą kraje, wydał zarządzenie mówiące, iż wszyscy Antaryjczycy powinni używać wspólnego języka i zakazał kultu *kreneksów*.

- Co to są *kreneksy*?

- To jadowite gady. Nim Bedorian V doszedł do władzy, zabiły wielu wiernych w trakcie nienazwanych, obscenicznych ceremonii.

- Serio? - pyta chłopak, żywo zainteresowany. - Jak to wyglądało?

- Co obsceniczne dla jednych, innym wydaje się po prostu nudne - oznajmiam. - Dla Ziemian to nuda. - Co akurat nie jest prawdą, ale nie mam najmniejszej ochoty patrzeć, jak dzieciak rzy ze śmiechu, gdy opisują te rytuały.

- Szkoda - mówi kobieta, choć w jej głosie słyhać ulgę. - Swoją drogą, świetnie znasz tutejszą historię.

Chcę jej powiedzieć, że wszystko zmyślam, ale boję się, że mi uwierzy.

- Gdzie się tego wszystkiego nauczyłeś? - pyta.

- Aby zostać licencjonowanym przewodnikiem - odpowiadam - Antaryjczyk musi uczyć się przez czternaście lat i płynnie mówić co najmniej czterema obcymi językami, w tym obowiązkowo ziemskim.

- No, to są referencje - stwierdza mężczyzna. - Ja przebrnąłem tylko przez rok szkoły dentystycznej i zrezygnowałem.

*A jednak to ty mi płacisz.*

- Dziwię się, że nie pracujesz na którymś z miejscowych uniwersytetów - mówi dalej.

- Kiedyś pracowałem.

To prawda. Ale mam rodzinę na utrzymaniu, a napiwki od turystów, choć niewielkie i niechętnie wręczone, i tak przewyższają pensję wykładowcy.

*Rapu* - antaryjskie dziecko - wciska się pomiędzy mnie, a moich klientów. Na pewno ledwo co zaczęło chodzić. Ubrane jest w łachmany, a twarz usmarowaną ma brudem. Na pokrytych siateczką płatach skóry jętrzą się otwarte rany, a jego złote oczy nieustannie wypełniają się łzami. Płaczliwie błaga w języku ojczystym o kredyty. Gdy turyści nie reagują, wyciąga dłoń w uniwersalnym geście mówiącym: *Jesteście bogaci. Ja jestem biedny i głodny. Dajcie mi pieniądze.*

- To twoje? - pyta mężczyzna, marszcząc brwi, a kobieta natychmiast pstryka pół tuzina holosów, jeden po drugim.

- Nie, nie moje.

- Co tu robi?

– Mieszka na ulicy – odpowiadam, a moje współczucie dla *rapu* zastępuje wstyd, że muszę wyjaśniać jego obecność i sytuację. – Prosi o monety, żeby z matką nie szli dziś spać głodni.

Patrzę na *rapu* i myślę ze smutkiem: *Najważniejsze, by trafić na właściwy moment. Niegdyś, bardzo dawno temu, przemierzaliśmy swój świat niczym bogowie. Za panowania żadnej z czterdziestu trzech dynastii byś nie głodował.*

Ludzkie dziecko spogląda w twarz swojego antaryjskiego odpowiednika. Zastanawiam się, czy wie, jakie ma szczęście. Twarz chłopaka nie zdradza żadnej z jego myśli; może w ogóle ich nie ma. W końcu zaczyna dłubać w nosie i wraca do komputera.

Mężczyzna gapi się na *rapu* przez chwilę, po czym rzuca mu dwukredytową monetę. *Rapu* chwytają, kłania się, błogosławi mężczyznę i ucieka. Patrzymy, jak się oddala. Unosi monetę nad głowę, krzycząc coś radośnie i chwilę później otacza nas kolejnych dwudziestu uliczników, brudnych, głodnych i błagających o monety.

– Co za dużo, to niezdrowo! – stwierdza poirytowany mężczyzna. – Herman, powiedz im, żeby się stąd wyniosły i poszły do domu.

– Mieszkają tutaj – wyjaśniam łagodnie.

– Tutaj? – pyta mężczyzna i tupie głośno, na co najbliższe *rapu* odskakują z przerażeniem. – Dokładnie w tym miejscu? Dobra, to powiedz im, żeby zostały tu, gdzie mieszkają i niech za nami nie leżą.

W swoim języku wyjaśniam *rapu*, że ci turyści nie dadzą im monet.

– Więc pójdziemy do brzydkiego, różowego hotelu, w którym mieszkają wszyscy ludzie i okradniemy ich pokoje.

– To już mnie nie obchodzi – stwierdzam. – Ale jeśli ktoś was złapie, poniesiecie surową karę.

Najstarszy z łobuzów kwituje moje ostrzeżenie uśmiechem.

– Jeśli ktoś nas złapie, zamkną nas za kratkami i jak to w więzieniu, będą musieli nas karmić i będziemy chronieni przed deszczem i zimnem, a to znacznie lepsze od życia tutaj.

Nie mam odpowiedzi dla *rapu*, których jedynym pragnieniem jest, by było im ciepło i sucho i żeby nie czuły głodu, więc tylko wzruszam ramionami. Odbiegają, śmiejąc się i śpiewając, jak ludzkie dzieci idące się pobawić.

– Cholerni obcy! – mruczy mężczyzna.

– To niewłaściwe określenie – mówię.  
– Tak?  
– Kwestia semantyki – wytykam delikatnie. – Oni są miejscowi. Wy jesteście obcy.

– W takim razie mogliby się nauczyć nieco manier od nas, obcych – rzuca ze złością.

Wchodzimy długimi schodami do Grobowca i już mamy wejść do środka, gdy kobieta się zatrzymuje.

– Chciałabym zrobić holo waszej trójki przed wejściem – oznajmia i uśmiecha się do mnie. – Taki dowód dla znajomych, że tu byliśmy i spotkaliśmy prawdziwego Antaryjczyka.

Mężczyzna podchodzi do mnie i staje obok. Dziecko niechętnie przechodzi na drugą stronę.

– A teraz obejmij Hermana – nakazuje kobieta. Dziecko cofa się, a jego twarz zdradza pogardę i odrazę.

– Mogę z tym czymś pozować, ale na pewno tego nie dotknę!

– Rób, co mówi matka! – warczy mężczyzna.

– Nie ma mowy! – rzuca chłopak i naburmuszony schodzi na dół. – Chcesz się do niego przytulać, droga wolna!

– Posłuchaj mnie, młodzieńcze! – krzyczy mężczyzna, ale chłopak się nie zatrzymuje, ani w żaden inny sposób nie okazuje, że słyszał jego słowa. W końcu znika za świątynią.

*To Tcharock, założyciel Trzydziestej Dynastii, wydał dekret, na mocy którego osoba cesarza była święta i nie mógł jej dotknąć nikt poza medykami i nalożnicami, a i to wyłącznie za jego zgodą.*

*Jego wielkim doradcę był Chaluba, który rozszerzył panowanie Tcharocka na ponad osiemdziesiąt procent planety i zatrzymał hiperinflację, pozostawioną w spadku przez Dwudziestą Dziewiątą Dynastię.*

*Pewnego wieczoru, w trakcie pełnienia swych obowiązków, Chaluba przez nieuwagę musnął Tcharocka, przedstawiając ambasadora z odległego Domaru.*

*Następnego ranka, Tcharock z żalem dał sygnał katowi i Chaluba został ścięty. Pomimo swych niefortunnych początków, Trzydziesta Dynastia przetrwała tysiąc sześćdziesiąt dwa standardowe lata.*

Zawstydzona kobieta zaczyna mnie przepraszać. Ale widzę, że i ona

uniką kontaktu fizycznego. Mężczyzna idzie za synem, po kilku chwilach obaj wracają. I bardzo dobrze, bo kobieta zaczęła się powtarzać.

Mężczyzna popycha chłopaka w moją stronę, a ten, obrażony, przeprosza. Mężczyzna groźnie rusza w jego stronę i dzieciak niechętnie wyciąga dłoń. Chwytam ją na chwilę – dla mnie ten kontakt nie jest wcale przyjemniejszy niż dla niego – i wchodzimy do Grobowca. Są tam już dwie inne grupy, ale dzielą je od nas setki metrów, więc nawet nie słyszymy ich przewodników.

– Na jakiej wysokości jest sufit? – pyta kobieta, kierując aparat w stronę wyjątkowych rzeźb nad naszymi głowami.

– Trzydziestu ośmiu metrów – mówię. – Sam Grobowiec ma dwieście trzy metry długości i sześćdziesiąt siedem metrów szerokości. Ciało Beldoriana V spoczywa w rozległej krypcie pod podłogą. – Przerывam, jak zawsze zamyślając się nad minioną chwałą. – W Dniu Żałoby, gdy Grobowiec został ukończony, milion Antaryjczyków stał cierpliwie w kolejce na zewnątrz, by pożegnać zmarłego.

– Nie chcę, żeby moje pytanie zabrzmiało głupio – mówi kobieta – ale dlaczego wszystkie budynki są tu takie ogromne?

– Ego – podsuwa mężczyzna z przekonaniem.

– Stwórca Wszystkich Rzeczy jest olbrzymi – wyjaśniam. – Więc mój lud uznał, że pomniki wznoszone na Jego cześć powinny być jak największe, by było Mu w nich wygodnie.

– Sądzicie, że wasz Bóg nie znalazłby małego budynku albo się w nim nie zmieścił? – pyta mężczyzna z protekcyjnym uśmiechem.

– Jest Bogiem wszystkich – odpowiadam. – I choć oczywiście bez problemu znalazłby mniejszą świątynię, czemu mielibyśmy Go zmuszać, by w takiej zamieszkał?

– A Beldorian miał żonę? – pyta kobieta, której umysł powrócił już do prostszych rozważań.

– Pięć – odpowiadam. – Sąsiedni grobowiec znany jest jako Miejsce Spoczynku Żon Beldoriana.

– Był poligamistą?

Kręcę głową.

– Nie. Po prostu przeżył pierwsze cztery królowe.

– Musiał umrzeć w bardzo sędziwym wieku – stwierdza kobieta.

– Nie – odpieram. – Mój lud wierzy, że ci, którzy osiągnęli wielkość w sferze publicznej, skazani są na niepowodzenia w życiu prywatnym. Taki był właśnie los Beldoriana. – Odwracam się w stronę dziecka, które milczy od powrotu i mówię, że chętnie odpowiem na jego pytania, ale chłopak tylko posyła mi gniewne spojrzenie.

– Kiedy to zbudowano? – pyta mężczyzna.

– Beldorian V zmarł sześć tysięcy trzysta dwa standardowe lata temu. Przez kolejnych siedemnaście budowano i przygotowywano Grobowiec.

– Sześć tysięcy trzysta dwa lata – zamyśla się mężczyzna. – To długo.

– Jesteśmy starą rasą – odpowiadam z dumą. – Pewien ludzki antropolog szacuje, że nasza Trzecia Dynastia została założona, nim wasi przodkowie przekroczyli ewolucyjną barierę, po której zyskali wrażliwość.

– Może i spędziliśmy dużo czasu na drzewach – stwierdza niewzruszony mężczyzna nieco obronnym tonem. – Ale patrz, jak szybko was przegonił, gdy już z nich zeszedł.

– Jeśli tak twierdzicie – rzucam wymijająco.

– W zasadzie to wszyscy was przegonili – upiera się. – Wystarczy przyjrzeć się faktom: ile razy podbito Antares?

– Nie jestem pewien – kłamię, gdyż to dla mnie upokarzający temat.

*Gdy Antaryjczycy dowiedzieli się, że Republika Ludzka chce zaanektować ich świat, zebrali wojska w Zanthu, a następnie w sile trzystu tysięcy pomaszzerowali na pole bitwy. Była to śmietanka młodych wojowników planety, złotookich, z pokrytymi siateczką płatami skóry połyskującymi w porannym słońcu, gotowych bronić ojczyzny.*

*Republika wysłała jeden statek, który przeleciał na dużej wysokości, zrzucił jedną jedyną bombę i w ułamku sekundy antaryjska armia przestała istnieć, tak samo jako Zanthu i Wielka Biblioteka w Cħstocę.*

*Na przestrzeni mileniów Antares czterokrotnie podbijali ludzie, dwukrotnie przybysze z Canphor Twins, a raz Lodin XI, Emra, Ramor oraz Imperium Settyjskie. Mówiono, że spalona ziemia ugasiła wreszcie pragnienie, wypijając morze antaryjskiej krwi.*

Wychodząc z Grobowca, trafiamy na drobne, chude rapu. Siedzi na kamieniu i wpatruje się w nas ogromnymi, złotymi oczami, zatopione w myślach.

Ludzkie dziecko ostentacyjnie je ignoruje i idzie w stronę kolejnej

świętyni, ale dorośli przystają.

– Jakie urocze maleństwo! – zachwyca się kobieta. – Wygląda na bardzo głodne. – Sięga do torebki i wyjmuje batonik, który został jej ze śniadania. – Masz – mówi, wyciągając go przed siebie. – Chcesz?

*Rapu* nawet nie drgnie. To zachowanie wydaje się niezwykle nie tylko kobiecie, ale i mnie, gdyż dziecko jest wyraźnie niedożywione.

– Może tego nie trawi? – sugeruje mężczyzna. Wyjmuje monetę, podchodzi do *rapu* i wyciąga dłoń. – Masz, mały.

*Rapu* o twarzy zastygłej w zadumie nawet nie próbuje wziąć jałmużny.

I nagle myślę podekscytowany: *Gardzisz ich jedzeniem, choć jesteś głodny i pieniędzmi, choć jesteś biedny. Czy to możliwe, byś był Tym, którego oczekiwaliśmy przez tyle mileniumów? Tym, który przywróci nam dawną chwałę i da początek Czterdziestej Czwartej Dynastii?*

Baczenie mu się przyglądam i moje podekscytowanie gaśnie równie szybko, jak się pojawiło. *Rapu* wcale nie gardzi ich jedzeniem i pieniędzmi. Jego złote oczy przesłania mgła. Życie na ulicy tak je osłabiło, że osłepło, a naturalnie nie rozumie, co mówią do niego ludzie. Źródłem jego pozornej arogancji nie jest duma, ani wewnętrzne światło, ale fakt, iż nie jest świadomy ich darów.

– Proszę – mówię i delikatnie odbieram kobiecie batonik, starannie unikając kontaktu z jej palcami. Podchodzę do *rapu* i wkładam mu jedzenie w dłoń. Wącha je, a następnie polyka zachłannie i wyciąga rękę, po omacku błagając o więcej.

– Serce się kraje – stwierdza kobieta.

– E tam, na Bareimucie V widzieliśmy gorsze rzeczy – odpiesza mężczyzna. – Tamci byli tak samo biedni... a pamiętasz tę straszną chorobę skóry, na którą cierpieli?

Kobieta zastanawia się, a wyraz jej twarzy zdradza, że to bardzo nieprzyjemne wspomnienie.

– W sumie masz rację. – Wzrusza ramionami i widać, że choć dziecko z wyciągniętą dłonią wciąż jest przed nami, już wyrzuciła je z myśli.

Prowadzę ich przez Ogród Zaginionych Książąt, spowity pełną cierpienia historią o poświęceniu i intrydze, gdy nagle mężczyzna się zatrzymuje.

– Co tam się stało? – pyta, wskazując szereg pustych cokołów.

- Historia – wyjaśniam. – Lub chciwość, czasem na jedno wychodzi. – Wygląda na zdezorientowanego, więc mówię dalej: – Gdy tylko najeżdźcy byli w stanie wywieźć skarby na swoją planetę, tak właśnie robili. Wszystko na tyle małe, by dało się zrabować, zostało zrabowane.

- A te poniszczone rzeźby? – mówi, wskazując je palcem. – Zniszczyliście je sami, żeby wrogie armie uznały je za bezwartościowe?

- Nie – odpowiadam. – W każdym bądź razie ten, kto zrobił *coś takiego* – wskazuje rzeźbę bez głowy – zasłużył na baty.

- O co tyle hałasu? – pyta dziecko znudzonym głosem. – To tylko rzeźby obcych.

- Człowiek, który to zrobił, otrzymał w nagrodę urząd gubernatora Antaresu III – informuję.

- Jak to? – pyta mężczyzna.

- Drugim ludzkim podbojem Antaresu dowodziła komandor Lois Kiboko – zaczynam mówić. – Oszpeciła i zniszczyła ponad trzy tysiące posągów. Wiele z nich przedstawiało naszego boga, a jako że pani komandor i jej załoga byli żarliwymi wyznawcami jednej z waszych religii, uznała, że należy zniszczyć fałszywych bożków.

- Cóż – mężczyzna w odpowiedzi wzrusza ramionami – to niewielka cena za to, że ocaliła was przed Lodinitami.

- Możliwe – rzucam. – Problem w tym, że wraz z każdym kolejnym wybawcą płaciliśmy wyższą cenę.

Mężczyzna wpatruje się we mnie i zapada niezręczna cisza. W końcu proponuję zwiedzanie Pałacu Najwyższego Tyrana.

- Sprawiacie wrażenie takiej potulnej rasy – stwierdza kobieta z zakłopotaniem. – Znaczy się, jesteście tacy cywilizowani i pozbawieni agresji. Jak z waszej puli genów mógł powstać zwyczajny, prawdziwy tyran?

Prawda jest taka, że nasza pula genów była znacznie agresywniejsza, nim na pozór nieskończona seria obcych podbojów jej nie zdziesiątkowała. Ale wiem, że ta odpowiedź byłaby dla nich krępująca i mogłaby wpłynąć na wysokość mojego napiwku, więc postanawiam skłamać. (I ze wstydem muszę przyznać, iż okłamywanie obcych z każdym dniem przychodzi mi coraz łatwiej. W zasadzie zadziwia mnie łatwość, z jaką wymyślam te kłamstwa).



– Od czasu do czasu w każdej rasie trafia się jakaś mutacja genetyczna – wyjaśniam i wiem, że ona w to wierzy – a my, Antaryjczycy, jesteśmy, jak to ujęłaś, na tyle potulni, że taka zmutowana jednostka nie miała najmniejszego problemu z przejściem władzy.

– Jak miał na imię?

– Nie wiem.

– Myślałam, że całe czternaście lat studiowałeś historię – zauważyła kobieta oskarżycielsko i widzę, że według niej kłamie, choć za każdym razem, gdy kłamałem, wierzyła mi.

– Nasz język ma wiele dialektów, które rozwijały się i zmieniały na przestrzeni trzydziestu sześciu tysięcy lat – stwierdzani. – Niektóre udało nam się odszyfrować, ale wiele nadal stanowi zagadkę. Mogę powiedzieć, że w tej chwili zespół ludzkich archeologów prowadzi intensywne prace nad ustaleniem imienia Tyrana.

– Jeśli to martwy język, jak niby mają zamiar to zrobić?

– W czasach, gdy wasza rasa zamieszkiwała tylko jedną planetę, istniał artefakt zwany Kamieniem z Rosetty, który pomógł wam przetłumaczyć starożytne języki. Mamy coś podobnego, to Zwój Bosperyjski pochodzący z ery Wielkiego Tyrana.

– Gdzie ten Zwój? – pyta kobieta, rozglądając się dookoła.

– Z przykrością muszę stwierdzić, że zarówno archeologowie, jak i Zwój Bosperyjski znajdują się obecnie w muzeum na Delurosie VIII.

– Bardzo rozsądnie – stwierdza mężczyzna. – Na Delurosie można zapewnić lepszą ochronę.

– Przed kim? – pyta kobieta.

– Naturalnie przed tym, kto chce go ukraść – odpowiada mężczyzna, jak gdyby wyjaśniał to dziecku.

– Chodzi mi o to, kto chciałby ukraść klucz do martwego języka?

– A wiesz, jaką miałyby wartość dla kolekcjonera? – odpiera mężczyzna.

– Albo dla złodzieja, który żądałby za niego okupu?

Dalej omawiają ten problem, a prawda jest taka, że Zwój znalazł się na Delurosie tylko i wyłącznie dlatego, iż był na tyle mały, by dało się go wywieźć. Gdy kończą kłótnię, tłumaczę kobiecie, że na Delurosie mają urządzenia, które pozwolą odczytać wyblakłe pismo, a ona kiwa głową ze zrozumieniem.

Przechodzimy kolejnych czterysta metrów i docieramy do olbrzymiego Pałacu Królów. Jest w całości zbudowany ze złota, które słońce nagrzewa tak bardzo, że zewnętrznej ściany można dotknąć wyłącznie nocą. To budynek, w którym zasiadali wszyscy władcy od Siódmej do Dwunastej Dynastii. To stąd moja rasa otrzymała Dziewięć Proklamacji Władzy, Kartę Praw Powszechnych i nasz najbardziej szanowany dokument, Deklarację Mabeliańską.

Cudowne to były czasy, w których nie zaznaliśmy smaku porażki, a wszystkie problemy znajdowały rozwiązanie; kiedy to okazałe karawany przemierzały ziemie w obrębie bezpiecznych granic, a monarchowie byli prawi i mądrzy; kiedy to każdy dzień przynosił nowe zwycięstwa, a przyszłość stanowiła nieskończoną obietnicę.

Wskazuję połamane i zniszczone kamienne krzesło.

– Niegdyś w tron wprawionych było dwieście czterdzieści sześć klejnotów i kamieni szlachetnych.

Dziecko podchodzi do tronu, po czym posyła mi oskarżycielskie spojrzenie.

– Gdzie one są? – pyta.

– Zostały rozkradzione na przestrzeni mileniów – odpowiadam.

– Naturalnie przez najeźdźców – stwierdza kobieta z całkowitą pewnością.

– Zgadza się – mówię, ale to kolejne kłamstwo. Rozkradł je mój lud, by wymienić je u okupantów na jedzenie lub by opłacić uwolnienie swych ukochanych.

Jeszcze przez kilka minut podziwiamy minioną chwałę Pałacu Królów, a następnie udajemy się w stronę kolejnej popadającej w ruinę budowli. To Sala Myślicieli, do dziś czczona przez wszystkich Antaryjczyków, jednak wiem, że ludzie nie rozumieją, dlaczego jakaś rasa miałaby wznosić taki gmach na cześć nauki, a nie mam siły im tego wyjaśniać, więc mówię, że to Pałac Nałożnic, w co naturalnie wierzą. W pewnej chwili dziecko, nawet nie próbując ukryć rozczarowania, pyta, czemu nie ma żadnych posągów ani rzeźb ukazujących nałożnice, więc zmyślam na poczekaniu, że otwartość seksualna tych artefaktów obrażała uczucia religijne Lois Kiboko i komandor kazała je zniszczyć.

Czuję się winny z powodu tego kłamstwa, gdyż sugerowanie

jakiegokolwiek uchybienia ze strony rasy przybyszów narusza Kodeks Należytego Zachowania. Jak na ironię, gdy dziecko daje upust swojemu rozczarowaniu zauważam, że cała trójka ze spokojem przyjęła do wiadomości fakt, iż jakiś człowiek zniszczył liczące tysiące lat dzieła sztuki tylko dlatego, że uraziły jego uczucia. Dochodzę do wniosku, że skoro oni nie mają wyrzutów sumienia, ten jeden raz też mogą ich nie mieć. (Choć sumienie nadal mnie dręczy. Jednak bardzo trudno uwolnić się od tradycji).

Widzę, że mężczyzna zaczyna przechadzać się nerwowo, zaglądając we wszystkie kąty i za postumenty, więc pytam, czy coś się stało.

– Gdzie kibel? – pyta.

– Słucham?

– Kibel. Łazienka. Toaleta. – Marszczy brwi. – Żadna z tych cholernych nałożnic nigdy nie chodziła się wysrać?

W końcu pojmuję, czego szuka i kieruję go do przybytku przygotowanego dla ludzi tuż za Zachodnimi Drzwiami.

Wraca po kilku minutach. Wyprowadzam ich na zewnątrz, gdzie mijamy Onyksowy Obelisk, symbolizujący początek niemal już zapomnianej Czwartej Dynastii. Przystajemy na chwilę w Świątyni Rzeki Światła, zbudowanej na rzece tak, by święte wody przepływały przez budynek.

Opuszczając Świątynię skręcamy i nagle cały krajobraz przesłania jedna struktura.

– Co to? – pyta kobieta.

– To Spiralna Rampa do Nieba – odpowiadam.

– Cudowna nazwa! – zachwyca się. – Na pewno łączy się z nią jakaś fantastyczna opowieść! – Odwraca się w moją stronę wyczekująco.

– W czasach, gdy nasi naukowcy nie mieli tak rozległej wiedzy, sądziliśmy, że można dotrzeć do nieba, budując wystarczająco wysoką rampę.

Chłopak rechocze.

– To prawda – mówię dalej. – Budowa rozpoczęła się za panowania Drugiej Dynastii i trwała ponad siedemset lat, aż do połowy panowania Trzeciej Dynastii. Może się wydawać, że widać stąd szczyt, ale tak naprawdę patrzymy jedynie na dolną połowę. Resztę przesłaniają

chmury.

– Ile ma wysokości? – pyta kobieta.

– Ponad dziewięć kilometrów – odpowiadam. – O trzy kilometry więcej niż nasza najwyższa góra.

– Niesamowite! – wykrzykuje kobieta.

– Chcecie obejrzeć ją z bliska? – proponuję. – Możecie nawet wejść na górę jakiś kilometr. Do piątego kilometra podejście jest bardzo łagodne.

– Tak – odpowiada kobieta radośnie. – Z przyjemnością.

– Nigdzie nie będę włączyć – oponuje mężczyzna.

– Daj spokój – zachęca go kobieta. – Będzie fajnie!

– Powietrze jest za rzadkie, przyciąganie za duże i cholernie przypomina to pracę. Któregoś pięknego dnia to ja ustalę plan podróży i wierz mi, nie będzie w nim żadnego łażenia.

– Możemy wrócić na mecz? – pyta dziecko niecierpliwie.

Mężczyzna obrzuca Spiralną Rampę do Nieba ostatnim spojrzeniem.

– Tak – stwierdza. – Już się napatrzyłem. Wracajmy.

– Naprawdę powinniśmy dokończyć wycieczkę – mówi kobieta. – Pewnie już nigdy nie zawitamy w te rejony galaktyki.

– I co z tego? To tylko jeden z wielu zadupiających światów – odpiera mężczyzna. – Nie mów znajomym o tych Schodach do Gwiazd, czy jak im tam, to nigdy się nie dowiedzą, że tam nie weszłaś.

Wtedy kobieta wysuwa w jej mniemaniu ostateczny argument.

– Ale już się zgodziłeś zapłacić za wycieczkę.

– To ją skrócimy i zapłacimy tylko połowę – stwierdza mężczyzna. – Wielkie mi co.

Wyciąga z kieszeni zwitek kredytów i wyjmuję z niego trzy banknoty dziesięciokredytowe. Chwilę się zastanawia, chowa je do kieszeni i wciska mi w dłoń banknot pięćdziesięciokredytowy.

– A, pal licha, wywiązałeś się z umowy, Herman – mówi. Następnie wraz z kobietą i dzieckiem kierują się w stronę hotelu.

*Pierwszymi obcymi, którzy dotarli na Antares, byli nieokrzesani i prymitywni barbarzyńcy, ale Perganian II, największy władca Trzydziestej Pierwszej Dynastii, rozkazał traktować ich z najwyższą uprzejmością. Gdy w końcu nadszedł dzień ich odlotu, obcy pożegnali się z Perganianem, a jeden z nich wcisnął w dłoń władcy wielki, nieskazitelny, błękitny diament jako*

*zapłatę za jego gościnność.*

*Gdy obcy opuścili dziedziniec, Perganian upuścił diament na ziemię i oznajmił, że żadnego Antaryjczyka nie można kupić, bez względu na cenę.*

*Przez trzy pokolenia diament leżał tam, gdzie upadł, stając się świętym symbolem antaryjskiej godności i niepodległości. W końcu porwała go burza piaskowa i ślad po nim zaginął.*

# Podróże z moimi kotami

*Travels with My Cats*, przeł. Anna Klimasara  
Nagroda Hugo, nominacja Nebula

Znalazłem ją w garażu sąsiadów. Właśnie przeszli na emeryturę i przeprowadzali się na Florydę, więc wystawili większość rzeczy na sprzedaż, żeby zaoszczędzić na kosztach transportu na południe.

Miałem jedenaście lat i szukałem książki o Tarzanie, jednej z opowieści Clarencea Mulforda o Hopalongu Cassidym lub (gdy mama akurat nie patrzyła) zakazanej powieści Mickeya Spillane'a. Znalazłem je wszystkie, ale wówczas nastąpiło zderzenie z rzeczywistością. Jedna kosztowała pięćdziesiąt centów (a „Śmiertelny pocałunek” całego dolara), tymczasem ja miałem do dyspozycji tylko pięć centów.

Wróciłem zatem do poszukiwań i w końcu znalazłem książkę na moją kieszeń. Nosiła tytuł „Podróże z moimi kotami”, a jej autorką była Panna Priscilla Wallace. Nie Priscilla, ale Panna Priscilla. Przez całe lata sądziłem, że Panna to jej imię.

Przekartkowałem książkę w nadziei, że jej strony kryją choć zdjęcia półnagich egzotycznych dziewcząt, ale w środku nie było żadnych ilustracji, same słowa. Nie byłem szczególnie zaskoczony; coś mi mówiło, że osoba o imieniu Panna nie zamieszcza w swojej powieści wizerunków półnagich kobiet.

Sama książka wydała mi się zbyt wyszukana i kobieca, jak dla chłopca, który jeszcze tego samego dnia miał się ubiegać o przyjęcie do Małej Ligi Baseballowej – litery na okładce były lekko wypukłe, wyklejkę wykonano z eleganckiego atlasu, a okładki pokrywała rdzawa, przypominająca aksamit tkanina. Miała nawet zakładkę – atlasową wstążkę przymocowaną do oprawy. Już miałem ją odłożyć, gdy przypadkiem otworzyła się na stronie z informacją, że jest to numer sto dwudziesty pierwszy z limitowanej edycji dwustu egzemplarzy.

To rzuciło na wszystko całkiem nowe światło. Moja osobista edycja limitowana za pięć centów – jak mógłbym odmówić? Wyniosłem ją przed garaż, sumiennie zapłaciłem cenę i zacząłem, aż mama skończy

ogłądać wystawione na sprzedaż rzeczy (zawsze tylko patrzyła, nigdy nic nie kupowała – zakupy wiążą się z wydawaniem pieniędzy, a zarówno ona, jak i mój ojciec byli dziećmi Wielkiego Kryzysu, które nigdy nie kupowały tego, co można było taniej wynająć albo – jeszcze lepiej – pożyczyć za darmo).

Tego wieczoru stanąłem przed poważnym dylematem. Wcale nie chciałem czytać książki pod tytułem „Podróże z moimi kotami” autorstwa kobiety o imieniu Panna, ale wydałem na nią ostatnie – przynajmniej do najbliższego kieszonkowego – pięć centów, a wszystkie swoje pozostałe książki przeczytałem już tyle razy, że niemal wyłobiliśmy w nich ślady wzrokiem.

Wziąłem więc nowy nabytek bez większego entuzjazmu i przeczytałem pierwszą stronę, a potem następną... i nagle zostałem przeniesiony do kenijskiej kolonii, Syjamu i nad Amazonkę. Panna Priscilla Wallace opisywała wszystkie miejsca w taki sposób, że pragnąłem się tam znaleźć, a kiedy kończyłem jakiś fragment, miałem wrażenie, jakbym faktycznie tam był.

Opisywała miasta, o których nigdy nie słyszałem, miasta o tak egzotycznych nazwach jak Maracaibo, Samarkanda i Addis Abeba, albo Konstantynopol, którego nawet nie było na mapie.

Jej ojciec był odkrywcą w czasach, gdy jeszcze tacy istnieli. Pierwszych kilka podróży zagranicznych odbyła w jego towarzystwie, co niewątpliwie rozbudziło w niej miłość do odległych krain. (Mój ojciec był zecerem. Jak ja jej zazdrościłem!).

Miałem cichą nadzieję, że część poświęcona Afryce pełna będzie rozszalałych słoni, lwów ludożerców i może faktycznie tak było... ale ona wszystko widziała inaczej. Afryka może i była krwistoczerwona za sprawą kłów i pazurów, ale jej przywodziła na myśl złoto porannego słońca oraz ciemne, ocienione miejsca pełne cudów, a nie okropności.

Potrafiła odnaleźć piękno dosłownie wszędzie. Czy opisywała dwustu kwiciarzy ustawionych nad brzegiem Sekwany w niedzielny poranek w Paryżu, czy też jeden, delikatny kwiat na środku pustyni Gobi, miało się pewność, że wszystko to było tak cudowne, jak twierdziła.

I nagle podskoczyłem przestraszony dźwiękiem budzika. Po raz pierwszy nie przespałem całej nocy. Odłożyłem książkę, ubrałem się do

szkoły, a po lekcjach szybko wróciłem do domu, by dokończyć lekturę.

Tego roku przeczytałem ją jeszcze jakieś sześć lub siedem razy. W pewnym momencie byłem w stanie niemal recytować całe fragmenty z pamięci. Zakochałem się w tych egzotycznych, odległych miejscach i może do pewnego stopnia również w autorce. Napisałem nawet do niej list od wielbiciela, zaadresowany „Panna Priscilla Wallace, Jakies Miejsce”, ale naturalnie do mnie wrócił.

Jesienią odkryłem Roberta A. Heinleina i Louisa IJAmoura, a jeden z kolegów zobaczył u mnie „Podróże z moimi kotami” i zaczął się nabijać z wytwornej okładki i faktu, że książkę napisała kobieta, więc odłożyłem ją na półkę i na wiele lat zupełnie o niej zapomniałem.

Nigdy nie zobaczyłem tych wszystkich cudownych, tajemniczych miejsc, o których pisała. Wielu rzeczy nigdy nie zrobiłem. Nigdy nie wyrobiłem sobie nazwiska. Nigdy nie stałem się sławny i bogaty. Nigdy się nie ożeniłem.

Nim skończyłem czterdzieści lat, byłem gotów uznać, że raczej nie przydarzy mi się już nic niezwykłego, ani ekscytującego. Zdążyłem napisać pół książki, której miałem nigdy nie dokończyć, ani tym bardziej sprzedać i spędziłem dwadzieścia lat na bezskutecznych poszukiwaniach kogoś, kogo mógłbym pokochać. (To był Krok Pierwszy. Krokiem Drugim było znalezienie kogoś, kto mógłby pokochać mnie, co prawdopodobnie byłoby jeszcze trudniejsze, ale nigdy nie dotarłem do tego etapu).

Byłem zmęczony życiem w mieście pośród ludzi uczepionych kurczowo szczęścia i sukcesu, które mnie się jakoś wymykały. Urodziłem się i wychowałem na Środkowym Zachodzie i w końcu przenieśliem się do Lasów Północnych Wisconsin, gdzie najbardziej egzotycznymi miejscami były małe miasteczka, jak Manitowoc, Minnaqua i Wausau, którym daleko było do Makau, Marrakeszu i innych rozświetlonych stolic z książki Priscilli Wallace.

Pracowałem jako adiustator w jednym z miejscowych tygodników – jednym z tych, w których reklamy restauracji i oferty sprzedaży nieruchomości są o wiele ważniejsze niż prawidłowa pisownia nazwisk w artykułach. Nie było to może najambitniejsze zajęcie świata, ale dość przyjemne, a ja nie szukałem wcale wyzwania. Młodzieńcze marzenia o



triumfie przeminęły wraz z młodzieńczymi marzeniami o miłości i namiętności; w tym wieku wystarczał mi spokój.

Wynajmowałem niewielki dom nad jeziorem bez nazwy, jakieś piętnaście mil od miasta. Trudno mu było odmówić pewnego uroku: miał staromodną werandę z huśtawką niemal równie starą, jak dom. Na jeziorze była przystań dla łodzi, której nie miałem, a na podwórku stało nawet koryto dla koni pierwszego właściciela. Dom nie miał klimatyzacji, ale tak naprawdę nie była mi potrzebna, a zimą siadywałem przy kominku, czytając najnowsze tanie thrillery.

Był wieczór pod koniec lata, gdy w powietrzu nie czuło się jeszcze za bardzo chłodu Wisconsin. Siedziałem przy pustym kominku, czytając o szaleńczym pościgu samochodowym i strzelaninie na ulicach Berlina, Pragi, czy innego miasta, którego miałem nigdy nie zobaczyć i nagle zacząłem się zastanawiać, czy tak właśnie ma wyglądać moja przyszłość – czy będę staruszką, który z ciepłym pledem na kolanach czyta wieczorami przy kominku poślednią literaturę, a jego jedynym towarzyszem jest pręgowany kocur...

I z jakiejś przyczyny – zapewne na myśl o kocurze – przypomniałem sobie o „Podróżach z moimi kotami”. Nigdy wcześniej nie miałem kota, ale *ona* miała dwa, które wszędzie z nią jeździły.

Od lat nie myślałem o tej książce. Nie wiedziałem nawet, czy jeszcze ją mam. Jednakże z jakiegoś powodu poczułem nagłą potrzebę odnalezienia jej i przeczytania.

Poszedłem do pokoju gościnnego, gdzie trzymałem wszystkie rzeczy, których jeszcze nie rozpakowałem. Stały tam może dwa tuziny pudeł z książkami. Otworzyłem pierwsze, potem kolejne. Przekopałem się przez książki Bradburyego, Asimova, Chandlera i Hammetta, sprawdziłem pod powieściami Ludluma i Amblera, a także kilkanaście bardzo starymi utworami Zanea Greya... i oto była, elegancka jak zawsze. Moja pierwsza i jedyna książka z limitowanego, numerowanego wydania.

I tak po raz pierwszy od jakichś trzydziestu lat otworzyłem ją i zacząłem czytać. Okazało się, że jest równie porywająca, jak za pierwszym razem. Była dokładnie tak cudowna, jak ją pamiętałem. I dokładnie tak, jak trzy dekady wcześniej, straciłem poczucie czasu i skończyłem lekturę wraz ze wschodem słońca.

Rano niewiele udało mi się zrobić. Myślałem tylko o tych kunsztownych opisach i obrazach światów, które już nie istniały... aż w końcu zacząłem się zastanawiać, czy Priscilla Wallace jeszcze żyje. Zapewne byłaby bardzo wiekową damą, ale może mógłbym przygotować nową wersję listu od wielbiciela i w końcu go jej wysłać.

W przerwie na lunch poszedłem do miejscowej biblioteki z zamiarem wypożyczenia wszystkich innych książek jej autorstwa. Niestety ani na półkach, ani w katalogu kartkowym niczego nie znalazłem. (Była to przyjemna, staromodna, prowincjonalna biblioteka, która na skomputeryzowanie zbiorów miała poczekać jeszcze kilka dekad).

Wróciłem do pracy i zacząłem jej szukać w Internecie. Znalazłem trzydzieści siedem odrębnych i różnych Priscilli Wallace. Jedna była aktorką niskobudżetowych filmów. Jedna wykładała na Uniwersytecie Georgetown. Jedna była dyplomatką w Bratysławie. Jedna była niezwykle utytułowaną hodowczynią pudli. Jedna była młodą matką sześcioraczków z Południowej Karoliny. Jedna była autorką komiksów do niedzielnego wydania gazety.

I gdy już byłem pewien, że nie uda mi się jej odnaleźć, na ekranie pojawiła się następująca informacja:

„Wallace, Priscilla, ur. 1892, zm. 1926. Autorka książki *Podróże z moimi kotami*”.

1926. To tyle jeśli chodzi o listy od wielbiciela, zarówno kiedy byłem mały, jak i obecnie. Zmarła całe dekady przed tym, jak przyszedłem na świat. Mimo to przepełniło mnie ogromne poczucie straty i byłem pełen urazy ze względu na fakt, że ktoś taki zmarł w tak młodym wieku, a wszystkie lata, których nie przeżyła, zabrali ludzie niedostrzegający piękna, które ona znajdowała wszędzie tam, gdzie się znalazła.

Ludzie tacy, jak ja.

Znalazłem nawet zdjęcie. Wyglądało na reprodukcję starej fotografii w sepii, na której widniała szczupła, młoda kobieta z kasztanowymi włosami i dużymi, ciemnymi oczami, które wydały mi się smutne. Choć możliwe, że był to mój własny smutek na myśl o tym, że zmarła w wieku trzydziestu czterech lat, a cała jej miłość do życia wraz z nią. Wydrukowałem znalezione informacje, schowałem je w szufladzie biurka, a po pracy zabrałem do domu. Nie potrafię powiedzieć dlaczego.

To były tylko dwa zdania. Przyszło mi do głowy, że każde życie zasługuje na więcej. Szczególnie takie, które potrafiło osiągnąć mnie z za grobu, dotknąć i sprawić, bym poczuł – przynajmniej podczas lektury książki – że być może świat nie jest aż tak nudny i zwyczajny, jak mi się wydaje.

Tego wieczoru podgrzałem mrożony posiłek, po czym usiadłem przy kominku z „Podróżami z moimi kotami” tylko je przeglądając i czytając od czasu do czasu ulubione fragmenty. Jeden opowiadał o dostojnym pochodzie słoń w cieniu pokrytej śniegiem Kilimandżaro, inny o zniewalającym zapachu kwiatów, jaki czuła autorka przechadzając się w majowy poranek po wersalskich ogrodach. A pod koniec doszedłem do ulubionego akapitu:

„Tyle jest jeszcze do zobaczenia, tyle do zrobienia, że w takie dni, jak ten, żałuję, że nie mogę żyć wiecznie. Szczerze pociesza mnie wiara w to, że jeszcze długo po tym, jak odejdę, będę ożywać za każdym razem, gdy ktoś weźmie egzemplarz mojej książki i ją przeczyta”.

To faktycznie była pocieszająca myśl, zapewniająca większą nieśmiertelność niż ta, o jakiej sam kiedykolwiek mógłbym marzyć. Nie dokonałem niczego ważnego, nie zostawiłem żadnego śladu, dzięki któremu ktoś mógłby odkryć, że kiedykolwiek żyłem. Dwadzieścia, góra trzydzieści lat po mojej śmierci nikt nie będzie już świadom faktu, że kiedyś istniał mężczyzna o nazwisku Ethan Owens – moim nazwisku; nigdy wcześniej go nie widzieliście i zapewne nigdy już nie zobaczycie – który żył, pracował i zmarł tutaj oraz próbował przeżyć każdy swój dzień, nie czyniąc nikomu krzywdy i na tym zamyka się lista jego osiągnięć.

Zupełnie inaczej niż w jej przypadku. Lub może dokładnie tak, jak w jej przypadku. Nie była politykiem ani wojowniczą królową. Nikt nie postawił jej pomnika. Napisała zapomnianą książkę podróżniczą i zmarła, nim zdążyła napisać kolejną. Odeszła już ponad trzy czwarte wieku temu. Kto pamiętał Priscillę Wallace?

Nalałem sobie piwa i wróciłem do lektury. Niesamowite, ale im więcej pisała o egzotycznych miastach i pierwotnych dżunglach, tym mniej egzotyczne i pierwotne się stawały i tym bardziej przypominały dom. Nieważne ile razy to czytałem, nie potrafiłem pojąć, jak jej się to udało.

Nagle usłyszałem jakiś stukot na werandzie. *Cholerne szopy z każdym dniem pozwalają sobie na więcej*, pomyślałem, ale wtedy mych uszu dobiegło bardzo

wyraźne miauknięcie. Od najbliższego sąsiada dzieliła mnie mila, a to chyba za daleko dla kota, ale stwierdziłem, że nie zaszkodzi wyjść i sprawdzić, czy kot nie ma tabliczki przy obroży, dzięki której mógłbym się skontaktować z właścicielem. A jeśli nie, to przynajmniej go przegonię, nim zadrze z miejscowymi szopami.

Otworzyłem drzwi i wyszedłem na werandę. Faktycznie znalazłem tam niewielkiego, białego kota z kilkoma brązowymi łatami na głowie i tułowiu. Chciałem go wziąć na ręce, ale cofnął się o kilka kroków.

– Nie zrobię ci krzywdy – powiedziałem łagodnie.

– On o tym wie – odezwał się kobiecy głos. – Po prostu jest nieśmiały.

Odwróciłem się i zobaczyłem ją, siedzącą na mojej huśtawce. Wykonała jeden gest, po którym kot przeszedł całą werandę i wskoczył jej na kolana.

Widziałem już tego dnia tę twarz, patrzącą na mnie z sepii. Przyglądałem się jej godzinami, aż nauczyłem się na pamięć każdego szczegółu.

To była *ona*.

– Piękna noc, nieprawdaż? – spytała, a ja nie przestawałem się w nią wpatrywać. – I cicha. Nawet ptaki śpią – zawiesiła głos. – Tylko cykady nie śpią, wygrywając swoje symfonie.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc nadal tylko patrzyłem i czekałem, aż zniknie.

– Wygląda pan blado – zauważyła po chwili.

– Pani wygląda na prawdziwą – zdołałem wreszcie wychrypieć.

– Naturalnie, że tak wyglądam – odparła z uśmiechem. – Jestem prawdziwa.

– Jest pani Panną Priscillą Wallace, a ja za długo o pani myślałem i zacząłem mieć halucynacje.

– Czy ja wyglądam jak halucynacja?

– Nie wiem – przyznałem. – Nigdy wcześniej chyba nie miałem halucynacji, więc nie wiem, jak wyglądają... poza tym, że najwidoczniej wyglądają, jak pani – stwierdziłem i zamilkłem na chwilę. – Mogłyby wyglądać znacznie gorzej. Pani ma piękną twarz.

Roześmiała się, słysząc te słowa. Przestraszony kot podskoczył, więc zaczęła go delikatnie głaskać.

– Jak mniemam, chce pan, bym się zarumieniła – powiedziała.

– A może się pani zarumienić? – spytałem i oczywiście zaraz tego pożałowałem.

– Naturalnie – odpowiedziała – choć po powrocie z Tahiti miałam co do tego pewne wątpliwości. To, co oni tam wyprawiają! – powiedziała i zmieniła temat. – Czytał pan „Podróże z moimi kotami”, prawda?

– Zgadza się. To jedna z najcenniejszych rzeczy, jakie posiadam od czasu, gdy byłem dzieckiem.

– Otrzymał ją pan w prezencie? – spytała.

– Nie, sam kupiłem.

– To bardzo miłe.

– Bardzo miłe jest to, że w końcu poznałem autorkę, która dostarczyła mi tyle radości – powiedziałem, znów czując się jak skrępowany dzieciak.

Wyglądała na zakłopotaną, jak gdyby zaraz miała zadać jakieś pytanie, ale ostatecznie zmieniła zdanie i tylko się uśmiechnęła. Miała piękny uśmiech, czego się zresztą spodziewałem.

– To bardzo ładna posiadłość – powiedziała. – Cały teren aż do jeziora należy do pana?

– Tak.

– A czy ktoś jeszcze tu mieszka?

– Nie, mieszkam sam.

– Ceni pan swoją prywatność – powiedziała. I było to stwierdzenie, nie pytanie.

– Oczywiście – odparłem. – Tak po prostu wyszło. Ludzie raczej za mną nie przepadają.

*Czemu do cholery ci to mówię?* pomyślałem. *Wcześniej nawet przed sobą się do tego nie przyznawałem.*

– Sprawia pan wrażenie bardzo miłej osoby – powiedziała. – Doprawdy trudno mi uwierzyć, że inni pana nie lubią.

– Może faktycznie trochę przesadziłem – przyznałem. – Większość ludzi po prostu mnie nie zauważa. – Z zażenowaniem przestąpiłem z nogi na nogę. – Nie chciałem się pani żalić.

– Jest pan całkiem sam. Komuś musi się pan wyżalić – odparła. – Sądzę, że potrzeba panu jedynie nieco więcej wiary w siebie.

– Być może.

Przeglądała mi się dłuższą chwilę.

– Wygląda pan, jakby się spodziewał, że wydarzy się coś strasznego.

– Spodziewam się, że pani zniknie.

– Czy to byłoby aż tak straszne?

– Tak – odpowiedziałem bez namysłu. – Byłoby.

– Czemu więc nie przyjmie pan po prostu do wiadomości, że tu jestem? Jeśli się pan myli, wkrótce i tak się pan o tym przekona.

Skinąłem.

– Tak, bez dwóch zdań jest pani Priscillą Wallace. Takiej właśnie spodziewałbym się po niej odpowiedzi.

– Więc wie pan, kim jestem. Może teraz powie mi pan, kim pan jest?

– Nazywam się Ethan Owens.

– Ethan – powtórzyła. – Ładne imię.

– Tak pani sądzi?

– Nie mówiłabym tak, gdybym uważała inaczej – stwierdziła i zamilkła na chwilę. – Czy mam się do pana zwracać po imieniu, czy panie Owens?

– Zdecydowanie po imieniu. Mam wrażenie, jakbym cię znał całe życie. – Poczułem, że zbliża się kolejne krępujące wyznanie. – Nawet napisałem do ciebie list, kiedy byłem mały, ale wrócił.

– Spodobałoby mi się to – powiedziała. – Nigdy nie dostałam listu od wielbiciela. Ani nikogo innego.

– Na pewno setki osób chciały do ciebie napisać. Może tak jak ja nie mogły znaleźć adresu.

– Może – powiedziała bez przekonania.

– W zasadzie dziś przyszło mi do głowy, by wysłać go ponownie.

– Masz okazję osobiście przekazać mi wszystko, co chciałeś napisać. – Kot zeskoczył na werandę. – Chyba ci niewygodnie, gdy tak siedzisz na tej barierce, Ethan. Może usiądziesz koło mnie?

– Bardzo chętnie – powiedziałem, wstając, ale w tej samej chwili zmieniłem zdanie. – Nie, lepiej nie.

– Mam trzydzieści dwa lata – stwierdziła z rozbawieniem. – Niepotrzebna mi przyzwoitka.

– Przy mnie na pewno nie – zapewniłem. – Poza tym chyba już nie mamy przyzwoitek.

– Więc w czym problem?

– Mam być szczerzy? – rzuciłem. – Jeśli obok ciebie usiądę, w którejś chwili moje biodro dotknie twojego lub niechcący dotknę twojej dłoni. I...

– I co?

– Nie chcę się dowiedzieć, że ciebie tu tak naprawdę nie ma.

– Ależ jestem.

– Mam nadzieję – stwierdziłem. – Ale znacznie łatwiej mi w to uwierzyć stąd.

Wzruszyła ramionami.

– Jak sobie życzysz.

– Jedno moje życzenie już się spełniło.

– Dlaczego więc tu nie usiądziesz, by cieszyć się wiatrem i zapachami nocy w Wisconsin?

– Jeśli tylko sprawi ci to przyjemność – powiedziałem.

– Bycie tutaj sprawia mi przyjemność. Świadomość, że moją książkę nadal ktoś czyta, również sprawia mi przyjemność. – Przez chwilę milczała, wpatrując się w mrok. – Jaką mamy dziś datę, Ethan?

– Siedemnasty sierpnia.

– Chodziło mi o rok.

– Dwa tysiące czwarty.

Wyglądała na zaskoczoną.

– Już tyle minęło?

– Od...? – spytałem niepewnie.

– Od mojej śmierci – odpowiedziała. – Cóż, wiedziałam, że minęło już sporo czasu. Nie mam żadnego jutra, a wszystkie dni wczorajsze są strasznie odległe. Ale nowe tysiąclecie? To... – przerwała, szukając właściwego określenia – aż za wiele.

– Urodziłaś się w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim roku, ponad wiek temu – powiedziałem.

– Skąd wiesz?

– Znalazłem informacje za pomocą komputera.

– Nie wiem, co to komputer – stwierdziła i nagle dodała: – Wiesz także, kiedy i jak umarłam?

– Wiem kiedy, ale nie wiem jak.

– Proszę, nie mów mi – powiedziała. – Mam trzydzieści dwa lata i

właśnie napisałam ostatnią stronę książki. Nie wiem, co się teraz wydarzy i lepiej będzie, jeśli mi tego nie zdradzisz.

– Dobrze – powiedziałem. A potem dodałem, pożyczając od niej wyrażenie: – Jak sobie życzysz.

– Obiecuj mi to.

– Obiecuję.

Nagle mały, biały kot spał się i spojrzał w stronę czegoś znajdującego się na podwórku.

– Widzi swojego brata – stwierdziła Priscilla.

– To pewnie tylko szopy – powiedziałem. – Potrafią uprzykrzyć życie.

– Nie – obstawała przy swoim. – Znam jego zachowania. Jest tam jego brat.

I faktycznie po chwili usłyszałem wyraźnie miauknięcie. Biały kot zeskoczył z werandy i ruszył w kierunku, z którego dobiegł dźwięk.

– Lepiej po nie pójde, nim całkiem się zgubią – powiedziała Priscilla, wstając. – Raz mi się to przytrafiło w Brazylii i przez dwa dni ich szukałam.

– Przyniosę latarkę i pójde z tobą – zaoferowałem.

– Nie, mógłbyś je wystraszyć, a wolałabym, żeby mi nie uciekły w obcym miejscu. – Wstała i utkwiała we mnie spojrzenie. – Sprawiasz wrażenie bardzo miłego mężczyzny, Ethanie Owensie. Cieszę się, że w końcu mogłam cię poznać. – Uśmiechnęła się smutno. – Szkoda tylko, że jesteś taki samotny.

Zeszła na podwórko i odeszła w ciemność, nim zdążyłem skłamać mówiąc, że prowadzę bardzo bogate życie i wcale nie jestem samotny. Przeczynałem, że już nie wróci.

– Spotkamy się jeszcze? – zawołałem za nią, gdy zniknęła mi z oczu.

– To zależy od ciebie, nieprawdaż? – nadeszła odpowiedź z ciemności.

Siedziałem na huśtawce, czekając, aż wróci z kotami. W końcu, pomimo nocnego chłodu, usnąłem. Obudziłem się rano, gdy promienie słońca dosięgły huśtawki.

Byłem sam.

Przekonywanie się, że to, co wydarzyło się wieczorem było tylko snem, zabrało mi niemal pół dnia. Nie przypominało to żadnego ze snów, jakie



kiedykolwiek miałem, gdyż pamiętałem wszystkie szczegóły spotkania, każde wypowiedziane przez nią słowo i każdy jej gest. Naturalnie tak naprawdę mnie nie odwiedziła, ale i tak nie mogłem przestać myśleć o Priscilli Wallace, więc w końcu przerwałem pracę, by za pomocą komputera dowiedzieć się czegoś więcej na jej temat.

Jej nazwisko doprowadziło mnie jedynie do znalezionej wcześniej krótkiej notatki. Wpisałem więc „Podróże z moimi kotami”, ale nic nie znalazłem. Sprawdziłem, czy jej ojciec kiedykolwiek napisał książkę o swoich podróżach. Nie napisał. Skontaktowałem się nawet z kilkoma hotelami, w których mieszkała sama lub z ojcem, ale żaden nie przechowywał archiwów aż tak długo.

Próbowałem szukać informacji na różne sposoby, jednak żaden nie przyniósł spodziewanych rezultatów. Historia pochłonęła ją niemal tak bardzo, jak pewnego dnia miała pochłonąć mnie. Poza książką, jedynym dowodem jej istnienia była krótka notatka znaleziona w komputerze, składająca się z dziesięciu słów i dwóch dat. Poszukiwani kryminaliści nie mogliby lepiej ukryć się przed wymiarem sprawiedliwości, niż ona ukryła się przed potomnymi.

W końcu wyrząłem przez okno i uświadomiłem sobie, że jest już wieczór i wszyscy inni poszli do domu. (W tygodnikach nie ma nocnej zmiany). Zatrzymałem się w pobliskim barze, kupiłem kanapkę z szynką i kawę, po czym wróciłem nad jezioro.

Po wiadomościach o dziesiątej usiadłem ponownie z jej książką, by udowodnić sobie, że naprawdę kiedyś żyła. Po kilku minutach zrobiłem się nieco niespokojny, odłożyłem więc książkę na stół i wyszedłem zaczerpnąć świeżego powietrza.

Siedziała na huśtawce, dokładnie tam, gdzie dzień wcześniej, ale był z nią inny kot – czarny z białymi łapkami i takimi samymi obwódkami wokół oczu.

Zauważyła mnie, spoglądając w stronę kota.

– Nazywa się Goggle – oznajmiła. – Sądzę, że to imię wyjątkowo do niego pasuje, nieprawdaż?

– Pewnie tak – powiedziałem, choć myślałem o czymś zupełnie innym.

– Biały nazywa się Giggie, bo uwielbia płatać figle. – Nie odpowiedziałem. W końcu się uśmiechnęła. – Zaniemówiłeś?

- Wróciłaś – stwierdziłem.
- Naturalnie.
- Znów czytałem twoją książkę – powiedziałem. – Chyba nigdy nie spotkałem nikogo, kto tak kochałby życie.
- Jest w nim tyle do kochania!
- Przynajmniej dla niektórych.
- Wystarczy się rozejrzeć, Ethan – powiedziała.
- Wolę oglądać to wszystko twoimi oczami. To tak, jakby się rodzić co dzień w nowym świecie – stwierdziłem. – Pewnie właśnie dlatego zachowałem tę książkę i ciągle czytam ją od nowa... żeby dzielić to, co widzisz i czujesz.
- Sam możesz wszystko poczuć. Pokręciłem głową.
- Wolę twoje odczucia.
- Biedny Ethan – powiedziała całkiem szczerze. – Nigdy niczego nie kochałeś, prawda?
- Próbowałem.
- Nie o tym mówię. – Przyglądała mi się z zaciekawieniem. – Czy byłeś kiedyś żonaty?
- Nie.
- Dlaczego?
- Nie wiem. – Stwierdziłem, że mogę sobie pozwolić na szczerą. – Pewnie dlatego, że żadna z kobiet nie dorównała nigdy tobie.
- Nie jestem wcale wyjątkowa – powiedziała.
- Dla mnie jesteś. I zawsze byłaś.
- Zmarszczyła brwi.
- Chciałam, by moja książka ubarwiła ci życie, Ethan, a nie je zrujnowała.
- Ależ nie zrujnowała – odparłem. – Dzięki tobie moje życie stało się nieco bardziej znośne.
- Tak się zastanawiam... – rzuciła.
- Nad czym?
- Nad moją obecnością tutaj. To nieco zagadkowe.
- Zagadkowe to mało powiedziane – stwierdziłem. – Niewiarygodne jest lepszym określeniem.
- Pokręciła głowę.

- Nie rozumiesz. Pamiętam wczorajszy wieczór.
- Ja też... co do sekundy.
- O to mi właśnie chodzi. - W zamyśleniu pogłaskała kota. - Wcześniej nigdy nie wracałam. Wczoraj nie byłam tego pewna. Sądziłam, że może po każdym takim zdarzeniu o wszystkim zapomniałam. Ale dziś pamiętam wczorajszy wieczór.
- Chyba nie do końca rozumiem.
- Nie możesz być jedyną osobą, która czytała moją książkę po mojej śmierci. A nawet jeśli, to nigdy wcześniej nie zostałam wezwana, nawet przez ciebie. - Wpatrywała się we mnie dłuższą chwilę. - Może się myliłam.
- W kwestii czego?
- Może wcale nie wróciłam dlatego, że ktoś przeczytał moją książkę. Może wróciłam dlatego, że tak rozpaczliwie kogoś potrzebujesz.
- Ja... - zacząłem z ożywieniem, ale przerwałem. Przez chwilę miałem wrażenie, jakby cały czas zatrzymał się wraz ze mną, ale potem księżyc wyjrzał zza chmury, a z lewej strony dobiegło pohukiwanie sowy.
- O co chodzi?
- Chciałem powiedzieć, że nie jestem aż tak samotny - stwierdziłem. - Ale skłamałbym.
- Nie ma się czego wstydzić, Ethan.
- Nie ma się też czym chwalić. - Było w niej coś, co sprawiało, że mówiłem jej rzeczy, których nie powiedziałbym nikomu innemu, nawet sobie. - Jako chłopiec miałem wielkie nadzieje. Chciałem robić to, co kocham i robić to dobrze. Chciałem znaleźć kobietę, którą pokocham i z którą spędzę resztę życia. Chciałem zobaczyć wszystkie miejsca, o których pisałaś. Na przestrzeni lat patrzyłem, jak każdy z moich planów upada. Teraz wystarczy mi opłacenie rachunków i regularne wizyty kontrolne u lekarza. - Westchnąłem głęboko. - Myślę, że moje życie można by opisać jako pełną realizację zredukowanych do minimum oczekiwań.
- Musisz zaryzykować, Ethan - powiedziała łagodnie.
- Nie jestem taki, jak ty - stwierdziłem. - Chciałbym, ale nie jestem. Poza tym, nie ma już dzikich miejsc.
- Pokręciła głową.

- Nie to miałam na myśli. Miłość również pociąga za sobą ryzyko.  
Musisz zaryzykować, że zostaniesz zraniony.

- Już byłem raniony – powiedziałem. – Nic przyjemnego.

- Może właśnie dlatego tu jestem. Duch nie może nikogo zranić.

*Cholera, faktycznie nie może*, pomyślałem. Ale na głos powiedziałem:

- A jesteś duchem?

- Wcale się tak nie czuję.

- Nie wyglądasz na ducha.

- A jak wyglądam? – spytała.

- Uroczo, tak jak zawsze się tego spodziewałem.

- Moda się zmienia.

- Piękno jest niezmiennie – odparłem.

- Bardzo mi miło, że tak mówisz, ale muszę wyglądać strasznie staromodnie. W zasadzie świat, który znałam, musi ci się wydawać bardzo prymitywny. – Nagle twarz jej się rozpromieniła. – Jest nowe tysiąclecie. Opowiedz mi, co się wydarzyło.

- Ludzie spacerowali po Księżycu... nasze statki wylądowały też na Marsie i Wenus.

Spojrzała w nocne niebo.

- Księżyc! – wykrzyknęła, po czym dodała: – Czemu jesteś tu, skoro mógłbyś być tam?

- Nie jestem ryzykantem, zapomniałaś?

- Jakże wspaniale jest żyć w takich czasach! – stwierdziła z entuzjazmem. – Zawsze byłam ciekawa, co znajdę za kolejnym wzniesieniem. Ale ty mógłbyś zobaczyć, co znajduje się za kolejną gwiazdą!

- To nie takie proste – odparłem.

- Ale z czasem takie będzie – upierała się.

- Może kiedyś – przyznałem. – Nie za mojego życia, ale kiedyś pewnie tak.

- Z tym większą niechęcią powinienes umierać – oznajmiła. – Jestem pewna, że ja umarłam bardzo niechętnie. – Spojrzała na gwiazdy, jak gdyby wyobrażała sobie, że leci na każdą z nich. – Opowiedz mi więcej o przeszłości.

- Nic o niej nie wiem – stwierdziłem.

– O mojej przeszłości. Twojej teraźniejszości.

Powiedziałem jej, co mogłem. Zdumiał ją fakt, że setki milionów ludzi podróżują teraz w powietrzu, że nie znam nikogo, kto nie miałby samochodu i że w Ameryce niemal zupełnie przestano podróżować koleją. Zafascynowała ją telewizja; doszedłem do wniosku, że lepiej nie mówić jej, jak jałowe stało się to medium od czasu swego powstania. Filmy kolorowe, filmy dźwiękowe, komputery – o tym wszystkim chciała usłyszeć. Bardzo ciekawiło ją, czy w zoo traktuje się zwierzęta w bardziej ludzki sposób i czy sami ludzie stali się bardziej ludzcy. Nie mogła uwierzyć, że transplantacje serca to praktycznie codzienność.

Mówiłem przez kilka godzin. W końcu tak bardzo zaschło mi w ustach, że stwierdziłem, iż potrzebuję kilku minut przerwy i poszedłem do kuchni po coś do picia. Nigdy nie słyszała o napojach takich jak Fanta, czy Dr Pepper, które akurat miałem, a że nie lubiła piwa, nałalem jej mrożonej herbaty. Sobie otworzyłem Budweisera. Kiedy wróciłem na werandę, nie było już ani jej, ani Goglea.

Nawet nie próbowałem jej szukać. Wiedziałem, że wróciła w miejsce, z którego przyszła.

Wracała przez kolejne trzy wieczory, czasem z jednym kotem, czasem z oboma. Opowiadała mi o swoich podróżach, o przytłaczającej potrzebie zobaczenia tego, co możliwe podczas tej króciutkiej chwili, jaką otrzymujemy my, ludzie, a ja opowiadałem jej o przeróżnych cudach, których miała nigdy nie zobaczyć. Dziwnie czułem się, rozmawiając co wieczór ze zjawą. Nieustannie zapewniała mnie, że jest prawdziwa, a ja wierzyłem w jej słowa, choć nadal bałem się jej dotknąć, by nie odkryć, że jednak jest tylko snem. Jakby wyczuwając moje obawy, koty również zachowywały dystans; przez wszystkie te wieczory żaden nawet raz mnie nie musnął.

– Chciałbym zobaczyć wszystko, co one widziały – powiedziałem trzeciego wieczoru, wskazując koty.

– Niektórzy twierdzili, że jestem okrutna, zabierając je ze sobą w podróże po całym świecie – odpowiedziała Priscilla, odruchowo gładząc Goglea po grzbiecie, na co zareagował głośnym mručeniem. – Sądzę, że okrutniej byłoby je zostawić.

– I żaden z kotów, ani z tych, ani wcześniejszych, nie sprawiał nigdy kłopotów?

– Ależ oczywiście, że sprawiały kłopoty – stwierdziła. – Ale kiedy człowiek coś kocha, przewycięża wszystkie problemy.

– Pewnie tak.

– Skąd wiesz? – spytała. – Przecież mówiłeś, że nigdy niczego nie kochałeś.

– Może się myliłem.

– Tak?

– Nie wiem – odparłem. – Może kocham kogoś, kto znika co wieczór, gdy tylko się odwrócę. – Utkwiła we mnie spojrzenie, przez co nagle poczułem się nieswojo. Wzruszyłem ramionami. – Może.

– Jestem wzruszona, Ethan – stwierdziła. – Ale nie należę do tego świata. Nie tak jak ty.

– Nie narzekam – powiedziałem. – Wystarczą mi chwile, które dostanę. – Spróbowałem się uśmiechnąć, ale rezultat był katastrofalny. – Poza tym, nawet nie wiem, czy istniejesz naprawdę.

– Przecież ciągle ci powtarzam, że tak.

– Wiem.

– A co byś zrobił, gdybyś miał pewność, że tak jest? – spytała.

– Szczerze?

– Szczerze.

Przyjrzałem jej się uważnie.

– Tylko się na mnie nie wściekaj, proszę – zacząłem.

– Nie wścieknę się.

– Marzę o tym, by cię przytulić i pocałować od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłem cię na swojej werandzie – powiedziałem.

– Więc czemu tego nie zrobiłeś?

– Po prostu... boję się, że jeśli spróbuję cię dotknąć i ostatecznie okaże się, że cię tu nie ma, już nigdy cię nie zobaczę.

– A pamiętasz, co ci mówiłam o miłości i ryzyku?

– Pamiętam.

– No i?

– Może jutro spróbuję – stwierdziłem. – Po prostu nie chcę cię jeszcze stracić. Dziś nie mam w sobie wystarczająco dużo odwagi.

Uśmiechnęła się raczej smutno.

– Może znudzi ci się czytanie mojej książki.

– Nigdy!

– Ale to cały czas ta sama książka. Jak długo można ją czytać?

Spojrzałem na nią. Była młoda, pełna energii, od śmierci dzieliły ją może dwa lata, na pewno mniej niż trzy. Wiedziałem, co ją czeka, tymczasem ona widziała przed sobą jedynie życie pełne cudownych doświadczeń.

– Zawsze mogę przeczytać jedną z pozostałych książek.

– To napisałam coś jeszcze? – spytała.

– Całe mnóstwo powieści – skłamałem.

Nie potrafiła przestać się uśmiechać.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Dziękuję ci, Ethan – powiedziała. – Sprawileś mi ogromną przyjemność.

– No to jesteście kwita.

Znad jeziora dobiegły odgłosy walki. Rozejrzała się, szukając kotów, ale oba siedziały na werandzie, również zaciekawione hałasem.

– Szopy – stwierdziłem.

– Czemu się biją?

– Pewnie o martwą rybę wyrzuconą na brzeg – odparłem. – Nie lubią się dzielić.

Roześmiała się.

– Zupełnie jak niektórzy ludzie, których znam – powiedziała i zamilkła na chwilę. – Ludzie, których znałam – poprawiła się.

– Tęsknisz za nimi... za przyjaciółmi?

– Nie. Miałam setki znajomych, ale bardzo niewielu bliskich przyjaciół. Nigdy nie zostawałam w jednym miejscu wystarczająco długo, by się z kimś zaprzyjaźnić. I tylko przy tobie uświadamiam sobie, że już ich nie ma. – Zawiesiła głos – Nie do końca to pojmuję. Wiem, że jestem tu z tobą w nowym tysiącleciu, ale czuję się, jakbym właśnie skończyła trzydzieści dwa lata. Jutro zaniosę kwiaty na grób ojca, a w przyszłym tygodniu wyruszę w podróż do Madrytu.

– Madrytu? – powtórzyłem. – Będziesz oglądać walki z dzielnymi

bykami na arenie?

Przez chwilę miała dziwny wyraz twarzy.

– Czyż to nie osobliwe? – spytała.

– Co?

– Nie mam pojęcia, co będę robić w Hiszpanii... ale ty przeczytałeś wszystkie moje książki, więc ty już to wiesz.

– Nie chcesz, bym ci o tym powiedział – stwierdziłem.

– Nie, to by wszystko zepsuło.

– Będzie mi ciebie brakowało, kiedy wyjedziesz.

– Weźmiesz jedną z moich książek i zaraz tu wrócę – stwierdziła. –

Poza tym, wyjechałam ponad siedemdziesiąt pięć lat temu.

– Trochę to wszystko skomplikowane – powiedziałem.

– Nie smuć się tak. Spotkamy się jeszcze.

– Minął zaledwie tydzień, a ja już nie pamiętam, co robiłem wieczorami, nim zacząłem z tobą rozmawiać.

Hałas nad jeziorem narastał, a Giggie i Goggle przytulili się do siebie.

– Straszą mi koty – stwierdziła Priscilla.

– Pójdę je przepędzić – powiedziałem, schodząc z werandy i kierując się w stronę walczących szopów. – A kiedy wrócę – dodałem, z każdym krokiem nabierając odwagi – może w końcu sprawdzę, jak prawdziwa jesteś.

Nim dotarłem nad jezioro, było po bójce. Duży szop z połową ryby w zębach posłał mi gniewne spojrzenie, nie zdradzając żadnych oznak strachu. Dwa pozostałe, już nie tak duże, stały mniej więcej dziesięć stóp dalej. Wszystkie trzy miały wiele krwawiących ran, ale najwyraźniej żaden nie odniósł poważniejszych obrażeń.

– Dobrze wam tak – mruknąłem.

Odwrociłem się i ruszyłem pod górę do domu. Koty nadal siedziały na werandzie, ale Priscilli tam nie było. Pomyślałem, że weszła do środka po mrożoną herbatę albo żeby skorzystać z toalety – co byłoby kolejnym dowodem na to, że nie jest duchem – ale kiedy nie pojawiała się przez kilka kolejnych minut, poszedłem jej poszukać.

Nie było jej w domu. Nie było jej też w ogrodzie, ani w starej, pustej stodole. W końcu wróciłem na werandę i usiadłem na huśtawce, postanawiając na nią zaczekać.



Po kilku minutach Goggle wskoczył mi na kolana. Dość długo głąskałem go bezmyślnie, nim uświadomiłem sobie, że jest prawdziwy.

Rano kupiłem pokarm dla kotów. Nie chciałem go zostawiać na werandzie, gdyż szopy z pewnością by go zwęszyły i przepędziły Giggie'a i Goggle'a, więc wyspałem jedzenie do głębokiego talerza, który postawiłem na blacie przy zlewie. Nie miałem w domu kuwety, więc otworzyłem kuchenne okno, by koty mogły wychodzić i wchodzić wedle uznania.

Z trudem powstrzymałem się przed szukaniem dalszych informacji o Priscilli. Tak naprawdę pozostawało mi dowiedzieć się, jak umarła, a tego nie chciałem wiedzieć. Jak piękna, zdrowa, podróżująca po świecie kobieta może umrzeć w wieku trzydziestu czterech lat? Rozerwana na strzępy przez lwy? Złożona w ofierze przez dzikusów? Na skutek strasznej, egzotycznej choroby? Napadnięta, zgwałcona i zamordowana w Nowym Jorku? W każdym bądź razie pozbawiło ją to pięćdziesięciu lat życia. Nie chciałem myśleć o wszystkich książkach, które mogłaby napisać przez ten czas. Wolałem się skupić na radości, jaką odczuwałaby podróżując z miejsca na miejsce. Nie, zdecydowanie nie chciałem wiedzieć, jak umarła.

Przez kilka godzin pracowałem, ale ciężko było mi się skupić. Skończyłem pracę po południu i natychmiast wróciłem do domu. Do niej.

Już kiedy wysiadłem z samochodu wyczułem, że coś jest nie tak. Na huśtawce nikogo nie było. Giggie i Goggle zeskoczyli z werandy, podbiegli i zaczęli ocierać mi się o nogi, jakby w poszukiwaniu pocieszenia.

Zawołałem ją po imieniu, ale nie nadeszła żadna odpowiedź. Wtedy usłyszałem szelest dobiegający z domu. Błyskawicznie dopadłem do drzwi, a gdy wszedłem do środka, zobaczyłem szopa uciekającego kuchennym oknem.

Wszystko było porozwalane. Najwyraźniej szukał jedzenia, a że miałem tylko puszki i mrożoną żywność, zaczął przewracać dom do góry nogami, by znaleźć coś innego nadającego się do zjedzenia.

I wtedy to zobaczyłem: „Podróże z moimi kotami” były całe w

strzępach, jak gdyby szop w ataku wściekłości wyładował się na książce, którą zostawiłem na kuchennym stole. Strony były porozdzierane, okładka się rozleciała, a jakby tego było mało, szop obsikał szczątki.

Rozplakałem się po raz pierwszy od czasu, gdy byłem dzieckiem i przez kilka godzin pracowałem nad książką, ale nie było już dla niej ratunku, co oznaczało, że Priscilla nie przyjdzie wieczorem ani tego dnia, ani żadnego z następnych, póki nie zdobędę nowego egzemplarza.

Zaślepiiony furią wzięłem strzelbę, potężną latarkę i zabiłem sześć pierwszych szopów, na jakie się natknąłem. Nie poczułem się przez to lepiej, szczególnie gdy się uspokoilem i pomyślałem, co by powiedziała o mojej żądzy krwi.

Miałem wrażenie, że ranek nigdy nie nadejdzie. Ale kiedy wreszcie nadszedł, popędziłem do biura, włączyłem komputer i zacząłem szukać książki Priscilli na [abebooks.com](http://abebooks.com) i [bookfinder.com](http://bookfinder.com), dwóch największych stronach internetowych dla antykwariuszy. W ofercie nie było nawet jednego egzemplarza.

Skontaktowałem się z księgarzami, z których usług korzystałem w przeszłości. Żaden z nich nawet nie słyszał o tej książce.

Zadzwoiłem do działu prawa autorskiego Biblioteki Kongresu w nadziei, że tam będą w stanie mi pomóc. Ale nie miałem szczęścia – „Podróże z moimi kotami” nigdy nie zostały oficjalnie objęte prawem autorskim i Biblioteka nie dysponowała ani jednym egzemplarzem. Zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem wszystko mi się nie przyśniło, zarówno książka, jak i kobieta.

W końcu zadzwoniłem do Charlieego Grimmisa, który ogłaszał się jako detektyw książkowy. W większości przypadków pracował dla autorów antologii, odnajdując dla nich właścicieli praw i pozwoleń na publikację mało znanych, dawno nie wznawianych książek i opowiadań, ale było mu wszystko jedno, od kogo przyjmuje zlecenie, byle dostał swoje pieniądze. Zajęło mu to dziewięć dni i kosztowało mnie sześćset dolarów, ale w końcu dostałem ostateczną odpowiedź:

*Drogi Ethanie!*

*Twoje zlecenie naprawdę dało mi się we znaki. Gdzieś w połowie gotów byłem iść o zakład, że ta książka nigdy nie istniała, ale miałeś rację – najwyraźniej byłeś*

w posiadaniu egzemplarza z limitowanego, numerowanego wydania.

„Podróże z moimi kotami” zostały wydane przez Priscillę Wallace (zm. 1926) w limitowanym, numerowanym nakładzie dwustu egzemplarzy. Książkę wydrukowało dawno już nieistniejące wydawnictwo Adelman Press z Bridgeport w Connecticut. Książka nigdy nie była chroniona prawem autorskim, ani zgłoszona w Bibliotece Kongresu.

A teraz przechodzimy do domysłów. Z tego, co udało mi się ustalić, ta cała Wallace rozdała jakieś sto pięćdziesiąt egzemplarzy znajomym i krewnym, a pozostałe pięćdziesiąt po jej śmierci prawdopodobnie trafiło na śmietnik. Poszperałem w archiwach, ale w przeciągu ostatnich dwunastu lat nigdzie nie pojawił się w sprzedaży ani jeden egzemplarz. Ciężko dotrzeć do wiarygodnych danych sprzed tego okresu. Biorąc pod uwagę fakt, że Wallace była zupełnie nieznaną, książka została wydana na koszt autora i trafiła jedynie do znajomych autorki, prawdopodobnie przetrwało nie więcej niż piętnaście, dwadzieścia egzemplarzy, jeśli w ogóle jakieś ocalały.

Pozdrawiam,  
Charlie

Kiedy wreszcie nadchodzi chwila, gdy trzeba podjąć ryzyko, nie myśli się o tym, tylko działa. Tamtego popołudnia rzuciłem pracę i od roku przemierzam kraj, polując na egzemplarz „Podróży z moimi kotami”. Jeszcze żadnego nie znalazłem, ale nie przestanę szukać, bez względu na to, ile to potrwa. Doskwiera mi samotność, ale się nie zniechęcam.

Czy to był sen? Czy była halucynacją? Znajomi, którym o tym opowiedziałem, tak właśnie sądzą. Do diabła, sam bym tak myślał, gdyby nie fakt, że nie podróżuję sam. Mam dwóch kocich towarzyszy, którzy są tak prawdziwi i namacalni, jak to tylko możliwe.

I tak facet, którego jedynym celem w życiu było przetrwać kolejny dzień, ma w końcu ważną misję do wykonania. Kobieta, którą kocham, zmarła o pół wieku za wcześnie. Jestem jedynym, który może przywrócić jej te lata, jeśli nie wszystkie naraz, to choć po jednym wieczorze i weekendzie... jednak w ten, czy inny sposób je odzyska. Przeżyłem tyle dni wczorajszych i nie zostało mi po nich absolutnie nic. Teraz zamierzam zacząć gromadzić jej jutra.

Oto moja historia. Straciłem pracę i większość pieniędzy. Od niemal

czterystu dni nie przespałem dwóch nocy w tym samym łóżku. Sporo schudłem i nie zmieniałem ubrań tak długo, że nie ma sensu tego liczyć. To bez znaczenia. Ważne, bym znalazł egzemplarz tej książki i wiem, że pewnego dnia mi się uda.

Czy czegoś żałuję?

Tylko jednego.

Nigdy jej nie dotknąłem. Ani razu.

# Siedem spojrzeń na wąwóz Olduvai

*Seven Views of Olduvai Gorge*, przeł. Anna Klimasara  
Nagroda Hugo, Nebula 1994, nominacja Locus

Wczorajszej nocy stworzenia znów się pojawiły.

Księżyc skrył się właśnie za chmurami, kiedy usłyszeliśmy pierwszy szelest w trawie. Potem zapadła absolutna cisza, jakby wiedziały, że słuchamy, i nagle rozległy się znajome wrzaski i pohukiwania, gdy stworzenia podbiegły bliżej i stojąc zaledwie pięćdziesiąt metrów od nas, nadal krzycząc, zaczęły prężyć się agresywnie.

Fascynują mnie, gdyż nigdy nie pokazują się za dnia, a jednak brak im jakichkolwiek cech charakterystycznych dla zwierząt, prowadzących nocny tryb życia. Nie mają przesadnie wielkich oczu, ich uszy nie poruszają się niezależnie od siebie, a nogi ciężko stąpają po ziemi. Stwory te budzą lęk u większości członków naszego zespołu, a choć ciekawią mnie niepomieranie, nie miałem dotąd okazji, by wchłonąć i zbadać jednego z nich.

Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że moja zdolność wchłaniania przeraża mych towarzyszy bardziej niż obecność stworzeń, choć nie ma po temu najmniejszych powodów. Mimo iż według standardów mojej rasy jestem jeszcze dość młody, przyszedłem na świat wiele tysięcy lat wcześniej niż ktokolwiek z naszej grupy. Można by sądzić, iż – zważywszy ich wykształcenie – rozumieją, że każda cecha, występująca u kogoś w moim wieku, musi z definicji mieć kluczowe znaczenie dla jego przetrwania.

Niemniej jednak ta moja zdolność niepokoi ich. Więcej – stanowi dla nich zagadkę, podobnie jak moja pamięć. Oczywiście ja sam uważam ich pamięć za wyjątkowo mało sprawną. Wyobraźcie sobie tylko – musicie uczyć się wszystkiego podczas jednego życia, rodzić się w stanie całkowitej ignorancji! Znacznie lepiej jest odłączyć się od rodzica z całą jego wiedzą, zmagazynowaną w naszym umyśle, tak jak wiedza mego rodzica trafiła do niego, a po nim – do mnie.

Ale też po to właśnie znaleźliśmy się tutaj: nie aby porównywać nasze

podobieństwa, lecz badać różnice. A nigdy nie istniała rasa bardziej różniąca się od innych niż Człowiek.

Od chwili gdy wkroczył śmiało między gwiazdy z tej właśnie planety, miejsca jego narodzin, do momentu jego śmierci minęło zaledwie siedemnaście tysięcy lat, lecz podczas tego krótkiego okresu zapisał w historii Galaktyki rozdział, którego nikt nie zapomni. Zagarnął na własność gwiazdy, skolonizował milion światów, żelazną ręką władał olbrzymim imperium. W szczycie swej potęgi nikomu nie okazywał litości i nie prosił o nią, kiedy rozpoczął się jego upadek. Nawet teraz, czterdzieści osiem stuleci po wymarciu tej rasy, jej osiągnięcia i klęski nadal podniecały naszą wyobraźnię.

I właśnie dlatego znaleźliśmy się na Ziemi, dokładnie w miejscu, w którym ponoć narodził się Człowiek – w skalistym wąwozie, gdzie po raz pierwszy przekroczył ewolucyjną barierę, spojrzawszy ku gwiazdom i poprzysięgł sobie, że pewnego dnia będą należały do niego.

Naszym przywódcą jest Bellidore, Starszy ludu Kragenów, o pomarańczowej skórze i złocistej sierści, mądry i cierpliwy. Bellidore doskonale zna się na zachowaniu istot rozumnych i rozstrzyga nasze spory, zanim jeszcze zorientujemy się, że się spieramy.

Oprócz niego do zespołu należą Bliźnięta Gwiezdny Pył, migoczące srebrne istoty, które reagują na oba swe imiona i dokańczają nawzajem swoje myśli. Uczestniczyły już w siedemnastu wyprawach archeologicznych, ale nawet one były zdumione, gdy Bellidore wybrał je do tej najbardziej prestiżowej misji. Zachowują się jak monogamiczna para, choć nie widać u nich żadnych cech płciowych, a że, podobnie jak wszyscy pozostali, unikają fizycznego kontaktu ze mną, nie mogą zaspokoić ciekawości w tej kwestii.

W skład naszej grupy wchodzi też Moriteu, które jada ziemię, jakby to był przysmak, nie odzywa się do nikogo i śpi, wisząc na gałęzi pobliskiego drzewa. Z jakichś przyczyn stworzenia nie niepokoją go. Może uważają je za martwe albo też wiedzą, że śpi i że obudzić

je mogą tylko promienie słońca. W każdym razie bez niego nie dalibyśmy sobie rady, tylko bowiem delikatne macki jego otworu gębowego zdolne są wydobyć odkryte przez nas pradawne obiekty z

należyłą ostrożnością.

Towarzyszą nam także przedstawiciele czterech innych gatunków: Historyk, Egzobiolog, Znacznik Ludzkich Wykopalisk i Mistycznica (przynajmniej zakładam, że to Mistycznica, gdyż nie potrafię znaleźć żadnej prawidłowości w jej zachowaniu, choć oczywiście może to być skutkiem mojej własnej krótkowzroczności; ostatecznie to, co robię, w oczach moich towarzyszy przypomina magię, mimo iż w rzeczywistości jest nauką, i to bardzo ścisłą.)

I wreszcie jestem też ja. Nie mam imienia, mój lud bowiem nie używa imion, lecz dla wygody towarzyszy przyjąłem na czas trwania ekspedycji przydomek Ten, Który Widzi. Jest on mylący, i to podwójnie: nie jestem nim, jako że moja rasa nie dzieli się na odmienne płcie, i nie zajmuję się widzeniem, lecz Czuciem Czwartej Klasy. Ponieważ jednak na samym początku wyprawy intuicyjnie pojąłem, że „czucie” znaczy dla mnie coś zupełnie innego niż dla reszty zespołu, przez wzgląd za ich uczucia wybrałem mniej ścisłe miano.

Każdego dnia z zapalem wracamy do pracy, badając kolejne warstwy. Istnieje wiele oznak wskazujących, że kiedyś okolica ta tętniła życiem, że dosłownie roilo się tu od różnych istot, nie pozostało ich jednak zbyt wiele – jedynie kilka gatunków owadów i ptaków, nieco drobnych gryzoni i oczywiście stworzenia, które co noc nawiedzają nasz obóz.

Nasza kolekcja powoli rośnie. Fascynuje mnie obserwowanie towarzyszy przy pracy, gdyż pod wieloma względami stanowią oni dla mnie równie wielką zagadkę, jak moje metody – dla nich. Na przykład Egzobiolog musi jedynie przesunąć macką po powierzchni przedmiotu, by stwierdzić, czy był on kiedyś materią ożywioną; Historyk, otoczony złożonym sprzętem, potrafi określić datę powstania każdego przedmiotu – opartego na węglu albo nie – z dokładnością do dziesięciu lat, niezależnie od stopnia jego zniszczenia; i nawet Moriteu jest istotą piękną i zajmującą, gdy delikatnie oddziela znaleziska, wydobywając je z warstw, gdzie spoczywały tak długo.

Bardzo się cieszę, że wybrano mnie na członka tej ekspedycji.

Jesteśmy tu już od dwóch cykli księżycowych i nasze prace posuwają się powoli.

Niższe warstwy zostały dokładnie wyeksploatowane tysiące lat temu

(badania przeszłości Człowieka interesują mnie tak bardzo, że o mało nie użyłem słowa „ograbione” zamiast „wyeksploatowane”, tak wielki gniew budzi we mnie brak znalezisk), a z przyczyn jak dotąd nieznanych w nowszych warstwach nie ma prawie nic.

Większość z nas jest zadowolona z dotychczasowych wyników poszukiwań, zwłaszcza Bellidore, który twierdzi, że odkrycie pięciu niemal nietkniętych obiektów to niewątpliwy sukces.

Od czasu naszego przybycia moi towarzysze pracowali niestrudzenie. Teraz nadchodzi moment, bym ja także wypełnił swoje zadanie, i niecierpliwie wyglądam tej chwili. Wiem, że mój wkład nie jest ważniejszy niż praca innych, może jednak, kiedy porównamy i zestawimy nasze odkrycia, zdołamy wreszcie zrozumieć, co uczyniło Człowieka takim, jakim był.

– Czy jesteś... – zapytało pierwsze z Bliźniąt Gwiazdny Pył. – ...gotów?  
– dokończyło drugie. Odparłem, że jestem gotów, więcej – nie mogę się już doczekać.

– Możemy cię... – ...obserwować?  
– Jeśli nie budzi to w was niesmaku.  
– Jesteśmy... – ...naukowcami – powiedziały. – Niewielu... – ...rzeczy...  
– ...nie potrafimy oglądać... – ...obiektywnie.

Powędrowałem na stół, na którym spoczywał obiekt.

Wyglądał jak kamień albo przynajmniej tak właśnie odbierały go moje zewnętrzne narządy zmysłowe. Był trójkątny, a krawędzie wykazywały ślady obróbki.

– Ile ma lat? – spytałem.  
– Trzy miliony... – ...pięćset sześćdziesiąt jeden tysięcy... – ...osiemset dwanaście – odparły Bliźnięta Gwiazdny Pył.

– Rozumiem.

– To zdecydowanie... – ...najstarsze... – ...z naszych znalezisk.

Przez długi czas patrzyłem na niego, przygotowując się. Wreszcie powoli, ostrożnie, zacząłem odmieniać moją strukturę pozwalając, by moje ciało opłynęło kamień, załało go, okryło, wchłonęło jego historię.

Kiedy staliśmy się jednością, poczułem cudowne ciepło i choć wyłączyłem zewnętrzne narządy zmysłowe, wiedziałem, że cały pulsuję



i błyszczą z radości towarzyszącej odkryciu. Zjednoczyłem się z kamieniem i w zakamarku mojego umysłu, zajmującym się Czuciem, pojawił się ziemski księżyc, wiszący nisko, złowieszczo, tuż nad horyzontem...

\* \* \*

Enkatoi obudziła się nagle tuż o świcie i ujrzała księżyc, wciąż jeszcze świecący wysoko na niebie. Po wszystkich tych tygodniach nadal wydawał jej się zbyt wielki, by wisieć na nieboskłonie – z pewnością lada moment runie wprost na planetę. Jej umysł wciąż przeżywał niedawny koszmar, spróbowała więc wyobrazić sobie znajomy, przyjazny obraz pięciu małych, niegroźnych księżyców, ścigających się na srebrnym niebie jej ojczystego świata.

Jedynie przez moment udało jej się utrzymać w myślach wizję – potem zniknęła, zastąpiona rzeczywistym obrazem wielkiego satelity.

Jej towarzysz zbliżył się do niej.

– Kolejny sen? – spytał.

– Identyczny jak poprzedni – odparła niespokojnie. – Księżyc świeci, choć jest już dzień, a potem ruszamy w dół ścieżką...

Spojrzał na nią współczująco i podsunął pożywienie. Przyjęła je z wdzięcznością.

– Jeszcze tylko dwa dni – westchnęła, wodząc wzrokiem po sawannie – a potem odlecimy z tego okropnego miejsca.

– Ten świat nie jest wcale taki straszny – zaprotestował Bokatu. – Ma wiele zalet.

– Zmarnowaliśmy tu tylko czas – stwierdziła. – Planeta nie nadaje się do kolonizacji.

– To prawda – przytaknął. – Nasze plony nie wyrosną na tej glebie, mamy też problemy z wodą. Ale nauczyliśmy się wielu rzeczy, rzeczy, które pomogą nam w końcu wybrać właściwy świat.

– Większości z tego dowiedzieliśmy się w pierwszym tygodniu pobytu – zauważyła Enkatoi. – Reszta czasu była czasem straconym.

– Statek miał do zbadania inne planety. Nie mogli wiedzieć, że zdołamy tak szybko wyeliminować akurat tę.

Zadrżała w chłodnym porannym powietrzu.

– Nienawidzę tego miejsca.

– Kiedyś to będzie piękny świat – oświadczył Bokatu. – Czeka jedynie na ewolucję brązowych małp.

W tym momencie w dali pojawił się ogromny, ważący jakieś sto siedemdziesiąt kilo pawian o potężnych mięśniach, klatce piersiowej porośniętej gęstym futrem i śmiałych, mądrych oczach. Nawet stojąc na czterech kończynach imponował swym rozmiarem, dwukrotnie przerastającym wielkie cętkowane koty.

– My nie możemy tu osiąść – ciągnął dalej Bokatu – ale jego potomkowie zapełnią kiedyś cały ten świat.

– Wydaje się taki potulny – mruknęła Enkatai.

– Bo one są potulne – zgodził się Bokatu, ciskając kęs jedzenia pawianowi, który podbiegł bliżej i podniósł go z ziemi. Powąchał swój łup, jakby rozważał, czy warto go skosztować i wreszcie, po chwili wahania, wsunął go do pyska. – Ale i tak opanują tę planetę. Trawożercy zbyt wiele czasu poświęcają na jedzenie, a drapieżniki wciąż śpią. Nie, osobiście głosuję na brązowe małpy. To piękne, silne, inteligentne zwierzęta. Wykształciły już kciuki, łączy je silne poczucie wspólnoty i nawet wielkie koty rzadko ważą się je zaatakować. Właściwie nie mają naturalnych wrogów. – Skinął głową, potakując własnym słowom. – Tak, to one w następnych stuleciach opanują ten świat.

– Nie mają wrogów? – powtórzyła Enkatai.

– Och, zapewne od czasu do czasu któryś z nich pada ofiarą kotów, ale nawet one nie atakują całego stada. – Spojrzał na pawiana. – Ten samiec byłby zdolny rozedrzeć na strzępy niemal każdego drapieżnika.

– Jak zatem wytłumaczysz to, co znaleźliśmy na dnie wąwozu? – naciskała.

– Swoją obecną wzniosłość osiągnęły kosztem zwinności. To naturalne, że niekiedy jeden z nich spada ze skał i zabija się.

– Niekiedy? Znalazłam siedem czaszek, strzaskanych jakby od potężnego ciosu.

– Siła upadku – Bokatu wzruszył ramionami. – Nie twierdzisz chyba, że wielkie koty najpierw rozwały im głowy, a dopiero potem pożarły?

– Nie myślałam o kotach – odparła.

– O czym zatem?

- O małych, bezogoniastych małpach, żyjących w wąwozie.  
Bokatu pozwolił sobie na pobłażliwy uśmiezek.
- Przyjrzałaś im się? Są cztery razy mniejsze od brązowych małp.
- Przyjrzałam się, i to uważnie – Enkatoi nie ustępowała. – One też mają kciuki.
- Same kciuki nie wystarczą.
- Żyją w cieniu brązowych małp i wciąż jeszcze nie wymarły – stwierdziła. – To mi wystarczy.
- Brązowe małpy żywią się liśćmi i owocami. Po co miałyby niepokoić bezogoniaste małpy?
- Nie tylko ich nie niepokoją – oznajmiła Enkatoi. – One ich unikają. To dość dziwne u gatunku, który miały kiedyś zawładnąć całą planetą, nie sądzisz?
- Bokatu potrząsnął głową.
- Bezogoniaste małpy zabrnęły w ewolucyjny ślepy zaułek. Są zbyt małe, by polować na grubszą zwierzynę, za duże, aby wyżywić się tym, co znajdują w wąwozie, za słabe, by konkurować z brązowymi w walce o lepsze terytorium. Według mnie to wcześniejszy, prymitywniejszy gatunek, skazany na zagładę.
- Może – powiedziała Enkatoi.
- Nie zgadzasz się?
- Jest w nich coś...
- Co?
- Enkatoi wzruszyła ramionami.
- Nie wiem. Budzą we mnie niepokój. Ich oczy – dostrzegam w nich ukrytą groźbę.
- Fantazujesz.
- Może – powtórzyła.
- Dziś muszę napisać raporty – oznajmił Bokatu. – Ale jutro udowodnię ci, że mam rację.

Następnego ranka Bokatu wstał razem ze słońcem. Sam przygotował pierwszy posiłek, podczas gdy Enkatoi odmawiała modły, a potem, kiedy jadła, także się pomodlił.

- Teraz – oświadczył – zejdziemy do wąwozu i schwytamy jedną

bezogoniastą małpę.

– Po co?

– Żeby ci pokazać, jakie to łatwe. Może zabierzemy ją ze sobą jako maskotkę. Albo złożymy w ofierze w laboratorium i dokładniej zbadamy jej procesy życiowe.

– Nie chcę żadnej maskotki, a prawo nie pozwala nam zabijać zwierząt.

– Jak sobie życzysz – powiedział Bokatu. – Wypuścimy ją.

– Po co więc w ogóle mamy ją łapać?

– Aby udowodnić ci, że nie są inteligentne, bo gdyby były tak mądre, jak uważasz, nie zdołałbym żadnej złapać. – Podniósł ją z ziemi. – Ruszajmy.

– To głupie – zaprotestowała. – Dziś po południu przylatuje statek. Czemu po prostu na niego nie zaczekamy?

– Zdążymy wrócić – odparł pewnym siebie tonem. – To nie potrwa długo.

Uniosła wzrok ku czystemu błękitnemu niebu, jakby myślą wzywała statek. Tuż nad horyzontem wisiał księżyc – wielka, biała tarcza. W końcu odwróciła się do Bokatu.

– Dobrze, pójdę z tobą, ale tylko jeśli obiecasz, że będziesz wyłącznie obserwować i nie spróbujesz złapać żadnej z nich.

– Przyznajesz mi zatem rację?

– To, czy się z tobą zgodzę, czy nie, nie ma nic wspólnego z obiektywną prawdą. Mam nadzieję, że się nie mylisz, gdyż bezogoniaste małpy przerażają mnie. Ale nie mogę wiedzieć, czy masz rację, i ty też nie możesz.

Bokatu przyglądał jej się długą chwilę.

– Zgadzam się – rzekł w końcu.

– Zgadzasz się, że nie możesz wiedzieć?

– Zgadzam się żadnej nie złapać – odparł. – Chodźmy.

Podeszli do krawędzi wąwozu i rozpoczęli żmudną wędrówkę w dół stromego zbocza, dla utrzymania równowagi owijając swe kończyny wokół drzew i innych roślin. Nagle usłyszeli donośny wrzask.

– Co to było? – spytał Bokatu.

– Zobaczyły nas – odparła Enkatoi.

– Czemu tak sądzisz?

– Pamiętam ten odgłos z mojego snu – a księżyc wyglądał zawsze dokładnie tak, jak teraz.

– Dziwne – zastanawiał się głośno Bokatu. – Słyszałem je wiele razy, ale dziś ich krzyki wydają się głośniejsze.

– Może jest ich więcej.

– Albo bardziej się wystraszyły. – Obejrzał się za siebie. – Oto i powód – rzekł. – Mamy towarzystwo.

Enkatoi uniosła wzrok i ujrzała największy okaz pawiana, jaki dotąd zdarzyło jej się oglądać. Zwierzę szło za nimi w odległości jakichś pięćdziesięciu stóp. Kiedy ich oczy się spotkały, mała warknęła i odwróciła wzrok, nie usiłowała jednak zbliżyć się ani uciec.

Podjęli przerwana wędrówkę i za każdym razem, gdy przystawali, aby odpocząć, widzieli pawiana, oddalonego od nich o te same pięćdziesiąt stóp.

– Czy według ciebie on wygląda na spłoszonego? – spytał Bokatu. – Gdyby te mizerne stworzenia mogły zrobić mu krzywdę, czy poszedłby za nami w głąb wąwozu?

– Niewiele dzieli odwagę od głupoty, a jeszcze mniej pewność siebie od zadufania – odparła Enkatoi.

– Jeśli miałby tu zginąć, to tak jak pozostałe – rzekł jej towarzysze. – Potknie się i spadnie.

– Nie zastanawia cię fakt, że wszystkie bez wyjątku spadły na głowę? – zapytała łagodnie.

– Połamały sobie wszystkie kości. Nie wiem, czemu fascynują cię jedynie czaszki.

– Ponieważ różne wypadki nie mogą powodować identycznych urazów.

– Masz wybujałą wyobraźnię. – Bokatu wskazał małą włochatą postać obserwującą ich z dołu.

– Czy to wygląda na istotę zdolną zabić naszego przyjaciela?

Pawian zmierzył przybysza wściekłym wzrokiem i warknął.

Bezogniasta mała patrzyła na niego, nie zdradzając żadnych oznak strachu ani nawet zainteresowania. Po chwili odwróciła się i zniknęła w gęstych krzakach.

– Widzisz? – powiedział z satysfakcją Bokatu. – Jedno spojrzenie na brązową małpę i znika nam z oczu.

– Moim zdaniem nie wyglądała na przestraszoną – zauważyła Enkatoi.

– Kolejny powód, by wątpić w jej inteligencję.

Po kilku minutach dotarli do miejsca, w którym stała bezogoniasta małpa. Tam przystanęli, zbierając siły, i ruszyli dalej, na dno wąwozu.

– Nic – oznajmił Bokatu, rozglądając się wokół. – Według mnie osobnik, którego widzieliśmy, był wartownikiem, i w tej chwili całe stado jest już o parę mil stąd.

– Zwróć uwagę na naszego towarzysza.

Pawian dotarł na dół i z napięciem węszył pod wiatr.

– Nie przekroczył jeszcze bariery ewolucyjnej – rzekł Bokatu z rozbawieniem. – Spodziewasz się, że zaczniesz szukać drapieżników czujnikiem?

– Bynajmniej – Enkatoi także obserwowała pawiana. – Ale jeśli nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, powinien się odprężyć – a jak dotąd tak się nie stało.

– Zapewne dzięki temu udało mu się pożyć dostatecznie długo, by osiągnąć takie rozmiary – mruknął lekceważąco Bokatu, wodząc dokoła wzrokiem. – Czym one się tu żywią?

– Nie wiem.

– Może powinniśmy złapać jedną i dokonać sekcji. Zawartość żołądka mogłaby wiele nam powiedzieć.

– Obiecałeś.

– To byłoby takie łatwe – nie ustępował. – Wystarczyłaby przynęta z owoców albo orzechów.

Nagle pawian warknął i Bokatu z Enkatoi odwrócili się, by poznać przyczynę jego złości. Nie dostrzegli niczego, lecz małpa niepokoiliła się coraz bardziej. W końcu pobiegła w górę zbocza.

– Ciekawe, o co w tym wszystkim chodziło? – zastanawiał się Bokatu.

– Uważam, że powinniśmy wracać.

– Mamy jeszcze pół dnia do przylotu statku.

– Nie czuję się tu dobrze. Identyczną ścieżką wędrowałam we śnie.

– Nie przywykłaś do słońca – rzekł. – Odpocznijmy w jaskini.

Niechętnie pozwoliła mu poprowadzić się do niewielkiej szczeliny w

ścianie wąwozu. Nagle przystanęła, odmawiając pójścia dalej.

– Co się stało?

– Widziałam tę jaskinię we śnie – powiedziała. – Nie wchodź tam.

– Musisz się nauczyć, że sny nie mogą rządzić twoim życiem – Bokatu powęszył chwilę. – Jakiś dziwny zapach.

– Wracajmy. Nie chcemy mieć nic wspólnego z tym miejscem.

Wsunął głowę do jaskini.

– Nowy świat, nowe wonie.

– Bokatu, proszę!

– Tylko sprawdzę, co tak śmierdzi – rzekł, świecąc w głąb grotu. Promień światła padł na wielki stos trupów, wielu częściowo pożartych, większość w różnych stadiach rozkładu.

– Co to? – spytał, podchodząc bliżej.

– Brązowe małpy – odparła nie patrząc. – Każda z rozwaloną kijem głową.

– To też było częścią twojego snu? – spytał, czując nagły lęk.

Skinęła głową.

– Musimy opuścić to miejsce – natychmiast!

Podszedł do wylotu jaskini.

– Wygląda bezpiecznie – stwierdził.

– W moim śnie nigdy nie jest bezpiecznie – w jej głosie dzwięczał niepokój. Wyszli z jaskini i po przejściu niecałych pięćdziesięciu metrów dotarli do miejsca, w którym wąwóz skręcał – i nagle ujrzeli przed sobą bezogoniastą małpę.

– Jedna z nich najwyraźniej została z tyłu – zauważył Bokatu. – Przegonię ją. – Podniósł kamień i cisnął nim w małpę, która uchyliła się, ale nie uciekła.

Enkatoi dotknęła go nagłym gestem.

– Więcej niż jedna – rzekła.

Uniósł wzrok. Dwie bezogoniaste małpy siedziały na drzewie, niemal dokładnie nad ich głowami. Kiedy się odsunął, zobaczył jeszcze cztery, zmierzające ku nim z krzaków. Kolejna wyłoniła się z jaskini, trzy następne zeskoczyły z pobliskich drzew.

– Co one trzymają w rękach? – spytał nerwowo.

– Ty nazwałbyś to kośćmi udowymi trawozerców – odparła Enkatoi,

czując bolesny ucisk w klatce piersiowej. – Dla nich to broń.

Bezogoniaste małpy ustawiły się w półokręgu i powoli ruszyły ku nim.

– Ale one są takie słabe! – Bokatu cofał się, póki nie dotarł do skalnej ściany. Dalej nie mógł już uciec.

– Jesteś głupcem – oznajmiła Enkatai, uwięziona w swym nagle urzeczywistnionym śnie. – To jest rasa, która zawładnie tą planetą. Spójrz im w oczy!

Bokatu posłuchał i ujrzał straszne rzeczy, rzeczy, których nigdy wcześniej nie oglądał u żadnej istoty ani zwierzęcia. Ledwie starczyło mu czasu, by odmówić krótką modlitwę i prosić, aby jakaś katastrofa dotknęła tę rasę, zanim zdoła sięgnąć ku gwiazdom. Potem bezogoniasta małpa cisnęła gładkim, trójkątnym wypolerowanym kamieniem wprost w jego głowę. Uderzenie oszołomiło go, a kiedy padł na ziemię, na niego i leżącą obok Enkatai posypały się ciosy maczug.

Siedzący na górze pawian oglądał rzeź, póki nie dobiegła końca, a potem odbiegł w głąb rozległej sawanny, gdzie – przynajmniej na razie – mógł się czuć bezpieczny przed bezogoniastymi małpami.

\* \* \*

– Broń – powiedziałem z zadumą. – To była broń!

Byłem sam. Podczas Czucia Bliźnięta Gwiazdny Pył uznały, że należą do tych nielicznych rzeczy, których nie potrafią oglądać obiektywnie, i wycofały się do swojej kwatery.

Odczekałem, aż towarzyszące odkryciu podniecenie osłabnie dostatecznie, bym mógł opanować moją strukturę cielesną. Wówczas przyjąłem postać, pod którą występowałem wśród moich towarzyszy, i doniosłem Bellidore'owi o tym, co odkryłem.

– A więc nawet wtedy byli już agresorami – rzekł. – Cóż, nic w tym dziwnego. Wola zdobycia gwiazd nie mogła wziąć się znikąd.

– Zdumiewające, że nie istnieje żaden zapis, świadczący o lądowaniu tu jakiejś rasy w prehistorycznych czasach tego świata – zauważył Historyk.

– To była ekipa badawcza, a Ziemia nie miała dla nich żadnej wartości – wyjaśniłem. – Bez wątpienia prowadzili rozpoznanie na licznych planetach. Jeśli gdziekolwiek istnieje jakiś zapis, to zapewne w ich



archiwach, głoszący, że Ziemia nie nadaje się do kolonizacji.

– Ale czy nie zastanawiali się, co się stało z ich zwiadowcami? – spytał Bellidore.

– W okolicy żyło wiele dużych drapieżników – powiedziałem. – Prawdopodobnie uznali, iż zespół padł ich ofiarą. Zwłaszcza jeśli przeszukali okolicę i niczego nie znaleźli.

– Ciekawe – rzekł Bellidore – że to słabszy gatunek zdobył dominację.

– Myślę, że da się to łatwo wyjaśnić – odparł Historyk. – Jako mniejsze stworzenia nie dorównywali szybkością potencjalnej zdobyczy ani siłą – drapieżnikom, więc wynalezienie broni stanowiło jedyny sposób uniknięcia zagłady... albo przynajmniej najlepszy sposób.

– Niewątpliwie podczas tysiącleci galaktycznej dominacji wykazali się przebiegłością właściwą drapieżnikom – przyznał Bellidore.

– Gatunek nie przestaje być agresywny tylko dlatego, że wynalazł broń – oświadczył Historyk.

– W istocie może to jeszcze zwiększyć jego agresję.

– Będę musiał to przemyśleć – Bellidore sprawiał wrażenie nieprzekonanego.

– Być może zanedo uprościłem mój tok rozumowania, aby ułatwić dyskusję – odparł Historyk. – Zapewniam cię, że kiedy przedstawię moje odkrycia Akademii, zbuduję niepodważalną, logiczną argumentację.

– A Ty, Który Widzisz? – spytał Bellidore. – Czy masz jakieś uwagi do twojej opowieści?

– Trudno jest dostrzec w kamieniu przodka karabinów dźwiękowych i imploderów cząsteczkowych – powiedziałem z namysłem – ale uważam, że tak właśnie było.

– Niezmiernie interesująca rasa – podsumował Bellidore.

Trzeba było prawie czterech godzin, aby wróciły mi siły, Czucie bowiem pochłania energię jak nic innego, czerpiąc zarówno z ciała, jak i z uczuć, umysłu i mocy empatycznych.

Moriteu, wykonawszy swoje zadanie, zwisało głową w dół z gałęzi drzewa, pogrążone w swym wieczornym transie, a Bliźnięta Gwiazdny Pył nie pokazały się od czasu, gdy Czuję kamień.

Pozostali członkowie zespołu zajmowali się własnymi sprawami, toteż

uznałem, iż nadeszła idealna pora, by poddać Czuciu następny przedmiot, którego wiek Historyk ocenił na mniej więcej dwadzieścia trzy tysiące trzysta lat. Był to metalowy grot włóczni, wyszczerbiony i zardzewiały, i zanim go wchłonałem, odniosłem wrażenie, że dostrzegam na nim słabe przebarwienie, jakby ślad krwi...

\* \* \*

Nazywał się Mtepwa i zdawało mu się, iż od dnia swych narodzin nosi na szyi metalową obręcz. Wiedział, że to nie może być prawdą, bo czasem nawiedzały go ulotne wspomnienia zabaw z braćmi i siostrami, a także polowań na kudu i bongo na zboczach porośniętej drzewami góry, gdzie się wychowywał. Lecz im mocniej skupiał się na tych obrazach, tym mniej wyraźne i bardziej mgliste się stawały, i wiedział, że muszą pochodzić sprzed wielu lat. Czasami usiłował przypomnieć sobie nazwę swego szczepu, ale zaginęła bezpowrotnie w otchłani czasu, podobnie jak imiona jego rodziców i rodzeństwa.

W takich chwilach Mtepwa zaczynał użalać się nad sobą, potem jednak wspominał los towarzyszy i od razu czuł się lepiej, bo podczas gdy oni mieli zostać zapędzeni na statki i popłynąć na koniec świata, by resztę swych dni spędzić w niewoli Arabów i Europejczyków, on był ulubionym sługą swego pana, Sharifa Abdullaha, dzięki czemu mógł się nie bać utraty swej pozycji.

To była jego ósma – a może dziewiąta? – karawana z Interioru. Dostarczali sól i naboje wodzom poszczególnych plemion, którzy w zamian sprzedawali im w niewolę najmniej produktywnych wojowników i kobiety. Potem wzbogacona karawana ruszała dalej, wokół wielkiego jeziora, i przecinała suchą, płaską sawannę. Następnie, okrążywszy górę tak starą, że jej szczyt zdążył już pobieleć, zupełnie jak włosy starca, docierali na wybrzeże do portu, pełnego arabskich żaglowców. Tam sprzedawali swój ludzki towar temu, kto zaoferował najwyższą cenę, Sharif Abdullah kupował kolejną żonę i oddawał połowę zarobku swemu staremu, słabemu ojcu, a potem znów wyruszali do Interioru w poszukiwaniu czarnego złota.

Abdullah był dobrym panem. Rzadko pił – a jeśli już, zawsze przy najbliższej okazji przepraszał Allaha – i niezbyt często bijał Mtepwę.

Nigdy też nie brakowało im jedzenia, choćby nawet łądunek pozostawał głodny. Posunął się jeszcze dalej w swej dobroci, ucząc Mtepwę czytać, choć jedyną lekturą, jaką nosił przy sobie, był Koran.

Mtepwa poświęcił mu wiele godzin, szlifując swą nowo nabytą umiejętność, i w trakcie studiów dokonał niezmiernie interesującego odkrycia: Koran zabraniał wyznawcom Prawdziwej Wiary trzymania w niewoli swych współwyznawców. Właśnie wtedy Mtepwa podjął decyzję, by nawrócić się na islam. Zaczął niestrudzenie wypytywać Sharifa Abdullaha o szczegóły jego religii i pilnował, by stary człowiek widział go siedzącego godzinami przy ogniu, zatopionego w lekturze.

Sharif Abdullah tak bardzo zachwycił się tym obrotem spraw, że często po kolacji zapraszał Mtepwę do swego namiotu, do późnej nocy wykładając mu zawilości Koranu. Mtepwa miał niewątpliwą motywację do nauki i Abdullaha zadziwiał jego entuzjazm.

Noc po nocy, podczas gdy wokół obozu w Serengeti krążyły lwy, mistrz i uczeń razem studiowali Koran. Aż wreszcie nadszedł dzień, kiedy Sharif Abdullah nie mógł dłużej wątpić, że Mtepwa jest prawdziwym wyznawcą islamu. Stało się to, gdy obozowali nad Wąwozem Olduwai, i właśnie tego dnia Sharif Abdullah kazał kowalowi usunąć obręcz z szyi sługi, a Mtepwa sam zniszczył swe łańcuchy do ostatniego ognia, ciskając je z całej siły w głąb wąwozu.

Mtepwa był teraz wolnym człowiekiem, jednakże znał się tylko na dwóch rzeczach: Koranie i handlu niewolnikami. Naturalnie zatem, kiedy nadszedł moment, by poszukać sobie źródła utrzymania, Mtepwa postanowił pójść w ślady Sharifa Abdullaha. Stał się jego młodszym współnikiem, a po dwóch wyprawach do Interioru uznał, że jest gotów samodzielnie poprowadzić interes.

W tym celu potrzebował wyszkolonych ludzi – wojowników, kowali, kucharzy, tropicieli. Perspektywa zgromadzenia całego oddziału od podstaw nie była zbyt zachęcająca, a że jego wiara nie dorównywała swą mocą wierze mentora, pewnej nocy na wybrzeżu Mtepwa zakradł się po prostu do namiotu Sharifa Abdullaha i poderżnął mu gardło. Następnego dnia pomaszerował w głąb łądu na czele własnej karawany.

Wiele się nauczył o handlu niewolnikami, zarówno w swej praktyce pana, jak i ofiary, teraz zaś w pełni wykorzystał tę wiedzę. Świadom, iż

zdrowi niewolnicy przynoszą większy zysk, karmił swych więźniów i traktował ich znacznie lepiej niż Sharif Abdullah i większość innych handlarzy. Z drugiej strony, wiedział doskonale, którzy ludzie oznaczają kłopoty i pojmował, że lepiej zabić ich od razu, jako przestrożę dla pozostałych, niż pozwolić, by wśród niewolników zapanowały buntownicze nastroje.

Ponieważ starał się jak mógł, odnosił sukcesy, i wkrótce zajęł się także dostarczaniem kości słoniowej. Po sześciu latach kierował już największym we Wschodniej Afryce przedsiębiorstwem niewolniczo-klusowniczym.

Od czasu do czasu natykał się na europejskich podróżników. Podobno spędził nawet tydzień w towarzystwie doktora Davida Livingstone'a, po czym odszedł, pozostawiając misjonarza nieświadomego, że gościł u siebie akurat tego handlarza niewolników, którego najbardziej pragnął schwycić.

Kiedy amerykańska Wojna Między Stanami zniszczyła podstawowy rynek zbytu, Mteywa porzucił na rok swe zajęcie, udając się do Azji i na Półwysep Arabski, aby zdobyć nowych klientów. Po powrocie odkrył, że syn Abdullaha, Sharif Ibn Jad Mahir, przejął wszystkich jego ludzi i wyruszył w głąb lądu, zamierzając kontynuować dzieło ojca. Mteywa, który tymczasem stał się bardzo bogaty, wynajął pięciuset askarich, na ich dowódcę wyznaczył otoczonego złą sławą kłusownika Alfreda Henry'ego Pyma i spokojnie czekał na wyniki.

Trzy miesiące później Pym przyprowadził na wybrzeże Tanganiki czterystu trzydziestu ośmiu ludzi. Dwustu siedemdziesięciu sześciu z nich było niewolnikami, schwytanymi przez Sharifa Ibn Jad Mahira; pozostali – członkami organizacji Mtewy, którzy przeszli na żołąd syna Abdullaha. Mteywa sprzedał wszystkich czterystu sześćdziesięciu ośmiu w niewolę i stworzył od podstaw nową organizację, złożoną z wojowników, którzy walczyli dla niego pod dowództwem Pyma.

Większość mocarstw kolonialnych skłonna była przymykać oko na jego praktyki, poza Brytyjczykami, którzy – zdecydowani doprowadzić do zniesienia niewolnictwa – wydali nakaz aresztowania Mtewy. Znudziwszy się w końcu ciągłym oglądaniem przez ramię, przeniósł swą kwaterę główną do Mozambiku, gdzie Portugalczycy powitali go z

otwartymi ramionami – oczywiście póki pamiętał o stałym smarowaniu dłoni lokalnych urzędników.

Nie był tam jednak szczęśliwy – nie znał portugalskiego ani żadnego z miejscowych języków – toteż po dziewięciu latach powrócił do Tanganiki. Był już wówczas najbogatszym czarnym na całym kontynencie.

Pewnego dnia pośród najnowszej partii więźniów dostrzegł młodego Acholi imieniem Haradi, liczącego sobie najwyżej dziesięć lat, i postanowił zatrzymać go jako osobistego sługę, zamiast wysłać statkiem przez ocean. Mtepwa nigdy się nie ożenił. Większość współników zakładała, że po prostu nie miał na to czasu, jednakże gdy niemal conocne wizyty Haradiego w jego namiocie stały się publiczną tajemnicą, wkrótce zmienili zdanie. Mtepwa wydawał się zadurzony po uszy w swym młodym słudze, choć – bez wątplenia pomny własnych doświadczeń – nie nauczył Haradiego czytać i przyrzekł powolną, bolesną śmierć każdemu, kto choćby słowem wspomniałby chłopcu o islamie.

Tak minęły trzy lata, aż wreszcie pewnej nocy Mtepwa posłał po Haradiego. Chłopak zniknął. Mtepwa postawił na nogi wszystkich swoich wojowników i zażądał, by go szukali, jako że w pobliżu obozu widziano lamparta i handlarz łękał się najgorszego.

Jego ludzie znaleźli Haradiego w godzinę później – nie w paszczy lamparta, lecz w ramionach młodej niewolnicy z plemienia Zaneke. Mtepwa nie posiadał się z wściekłości i polecił wyrwać nieszczęśnicy ręce i nogi.

Haradi nie protestował ani słowem i nie próbował nawet bronić dziewczyny – zresztą nie sprawiłoby to żadnej różnicy – jednakże następnego ranka zniknął i, choć Mtepwa i jego żołnierze szukali go prawie miesiąc, nie znaleźli najmniejszego śladu.

Pod koniec miesiąca Mtepwa zupełnie oszalał z gniewu i rozpaczy. Uznawszy, że nie ma już po co żyć, zbliżył się do stada lwów, uczującego na truchle topi, i wchodząc między zwierzęta, zaczął je przeklinać i uderzać gołymi rękami. Choć trudno w to uwierzyć, lwy cofnęły się przed nim, po czym warcząc i rycząc, zniknęły w gęstym buszu.

Następnego dnia Mteywa wziął w rękę wielki kij i zaczął nim okładać słońiatko. To powinno sprowokować brutalny atak matki, lecz słonica, stojąca zaledwie parę stóp dalej, zatrąbiła tylko, przerażona, i odbiegła, a małe podążyło jej śladem.

Wtedy Mteywa uznał, że nie może umrzeć, że akt rozdarcia na sztuki biednej dziewczyny w jakiś sposób uczynił go nieśmiertelnym. Ponieważ zaś oba zdarzenia działy się na oczach jego przesądnych podwładnych, ci uwierzyli mu bez zastrzeżeń.

Teraz, kiedy był już nieśmiertelny, postanowił, iż nie musi już dłużej próbować zjednać sobie Europejczyków, którzy najechali jego kraj i wciąż wystawiali nowe nakazy aresztowania. Wyprawił posłańca na granicę kenijską, wzywając Brytyjczyków, by stawili mu czoło w bitwie. Kiedy nastał wyznaczony dzień, a Brytyjczycy się nie zjawili, oznajmił z pychą swoim wojownikom, że wieść o jego nieśmiertelności dotarła już do Europejczyków i że odtąd żaden biały nie ośmieli się stanąć przeciw niemu. Fakt, iż nadal znajdowali się na terytorium niemieckim i Brytyjczycy nie mają prawa tam wkroczyć, jakoś umknął jego uwadze.

Mteywa wraz z orszakiem wojowników pomaszerował w głąb lądu, otwarcie szukając niewolników, i w Kongu znalazł ich całkiem sporo. Rabował wsie, porywając mężczyzn, kobiety i kość słoniową, aż wreszcie, zdobywszy sześciuset niewolników i dwakroć mniej kłów słoniowych, zawrócił na wschód i rozpoczął miesięczny marsz na wybrzeże.

Tym razem Brytyjczycy czekali na niego na granicy Ugandy. Mieli ze sobą tak wielu zbrojnych, że Mteywa skręcił na południe – nie z lęku o własne życie, lecz dlatego, iż nie mógł sobie pozwolić na utratę kości słoniowej i niewolników; poza tym wiedział, że jego żołnierzom brak nieśmiertelności pana.

Skierował swą armię nad jezioro Tanganika i dalej, na wschód. Dotarcie do zachodniego szlaku z Serengeti zabrało mu dwa tygodnie, przebycie równiny – kolejnych dziesięć dni. Pewnego wieczoru kazał rozbić obóz u wylotu Wąwozu Olduwai, dokładnie w miejscu, gdzie kiedyś odzyskał wolność.

Wkrótce zapłonęły ogniska, gnu zostały zarżnięte i upieczone, a kiedy Mteywa odprężył się po posiłku, usłyszał szepty swoich ludzi. I wówczas pomiędzy cieni wynurzyła się dziwnie znajoma postać. To był Haradi,

liczący sobie piętnaście lat i wzrostem dorównujący samemu Mtepwie. Mtepwa przyglądał mu się długą chwilę i, zdawało się, że z jego twarzy stopniowo znika cały gniew.

– Bardzo się cieszę, że znów cię widzę, Haradi – rzekł.

– Słyszałem, że nie można cię zabić – oznajmił chłopiec, potrząsając włócznią. – Przybyłem, aby przekonać się, czy to prawda.

– Nie musimy walczyć – odparł Mtepwa. – Wejdz do mojego namiotu i wszystko będzie takie, jak dawniej.

– Gdy wyrwę ci ręce i nogi, wtedy nie będziemy już musieli walczyć – powiedział Haradi. – A nawet wówczas nie będziesz wydawał mi się bardziej odrażający niż w tej chwili i przez tamte wszystkie lata.

Mtepwa zerwał się z ziemi z wykrzywioną wściekłością twarzą.

– Uderzaj zatem, byle mocno! – krzyknął. – A gdy zrozumiesz, że nie zdołasz zrobić mi krzywdy, potraktuję cię tak jak tamtą dziewczynę Zaneke!

Haradi nie odpowiedział. Zamiast tego cisnął włócznią w handlarza niewolników. Zrobił to z taką siłą, że grot zagłębił się w ciało i przeszył je na wylot; dobrych sześć cali włóczni sterczało z pleców Mtepwy. Ten przez moment z niedowierzaniem wpatrywał się w Haradięgo, raz jeden jęknął i runął w głąb skalistego wąwozu.

Haradi powiódł wzrokiem po twarzach zebranych wojowników.

– Czy jest wśród was ktoś, kto odmówi mi prawa do zajęcia miejsca Mtepwy? – spytał pewnym siebie tonem.

Potężny Makonde wystąpił, rzucając mu wyzwanie, i po trzydziestu sekundach Haradi także nie żył.

Kiedy dotarli do Zanzibaru, Brytyjczycy czekali już na nich. Niewolnicy zostali uwolnieni, kość słoniowa – skonfiskowana, wojownicy aresztowani i skazani na ciężkie roboty przy budowie kolei Mombasa-Uganda. Dwóch z nich zabiły później i pożarły lwy w okręgu Tsavo.

Do czasu, gdy podpułkownik J. H. Patterson zastrzelił otoczone złą sławą ludojady z Tsavo, kolej dotarła już niemal do miasta szafasów – Nairobi – a imię Mtepwy zostało tak dokładnie zapomniane, że w jedynej książce historycznej, w której się pojawia, zapisano je z błędem.

– Zdumiewające! – powiedział Znacwa. – Wiedziałem, że zniewolili wiele ras w całej galaktyce – ale żeby chwytać w niewolę siebie samych! To niemal nie do wiary!

Odпочząłem już po moim wysiłku i zrelacjonowałem im dzieje Mtepy.

– Żaden pomysł nie bierze się znikąd – oznajmił łagodnie Bellidore. – Ten akurat najwyraźniej zrodził się na Ziemi.

– Co za barbarzyństwo! – mruknął Znacwa.

Bellidore odwrócił się do mnie.

– Człowiek nigdy nie próbował podbić twojej rasy, Ty, Który Widzisz. Dlaczego?

– Nie mieliśmy nic, czego by pragnął.

– Czy pamiętasz galaktykę z czasów dominacji Człowieka? – spytał Znacwa.

– Pamiętam galaktykę z czasów, gdy jego przodkowie zabili Bokatu i Enkatoi – odparłem zgodnie z prawdą.

– Miałeś kiedykolwiek do czynienia z Człowiekiem?

– Nie. Na nie mogliśmy mu się przydać.

– Ale czy nie niszczył bezmyślnie wszystkiego, z czym się zetknął?

– Nie. Brał to, czego chciał, likwidował wszystko, co mogło mu zagrozić. Resztę ignorował.

– Jakież to aroganckie!

– Jakież to praktyczne – poprawił Bellidore.

– Masowe mordy na skalę galaktyczną nazywasz praktycznymi? – wybuchnął Znacwa.

– Z punktu widzenia Człowieka, owszem. Zdobywał to, czego pragnął, przy minimalnych nakładach sił i ryzyka. Pomysł tylko! Jedna jedyna rasa, zrodzona zaledwie pięćset metrów od nas, władała kiedyś imperium złożonym z ponad miliona światów. Prawie wszystkie cywilizowane rasy galaktyki mówiły po terrańsku.

– Pod groźbą śmierci.

– Istotnie – przytaknął Bellidore. – Nie twierdzą, że Człowiek był aniołem. Lecz jeśli nawet był diabłem, to bardzo skutecznym.

Nadszedł czas, abym wchłonął trzeci przedmiot – według zgodnej opinii Historyka i Znacwy rękojeść noża – ale jeszcze odchodząc



słyszałem rozważania moich towarzyszy.

– Zważywszy jego żądzę krwi i skuteczność postępowania – mówił Znacze – dziwię się, że pożył dość długo, by sięgnąć gwiazd.

– Rzeczywiście, to dość niezwykle – zgodził się Bellidore. – Historyk wspominał, że człowiek nie zawsze tworzył jedną wspólnotę, że u zarania jego historii istniało kilka grup wewnątrz jego gatunku. Różniły się kolorem, wierzeniami, zajmowanym terytorium. – Westchnął. – Musiał jednak nauczyć się żyć w pokoju ze swymi braćmi. To przynajmniej należy zapisać mu na plus.

Wciąż jeszcze słysząc w myślach słowa Bellidorego, dotarłem do przedmiotu zacząłem go pochłaniać...

\* \* \*

Mary Leakey nacisnęła klakson landrovera. Wewnątrz muzeum jej mąż odwrócił się do młodego oficera w mundurze.

– Nie mam dla pana żadnych instrukcji – rzekł. – Muzeum nie jest jeszcze otwarte dla zwiedzających, a od ziem Kikuju dzieli nas dobrych trzysta kilometrów.

– Postępuję jedynie zgodnie z rozkazami, doktorze Leakey – odparł oficer.

– No cóż, przypuszczam, że dodatkowa przezorność nie zaszkodzi – ustąpił Leakey. – Jest wielu Kikuju, którzy pragną mojej śmierci, choć podczas procesu wystąpiłem w obronie Kenyatty. – Podeszedł do drzwi. – Jeśli znaleziska nad jeziorem Turkana okażą się interesujące, nasza nieobecność może potrwać nawet miesiąc. W przeciwnym razie powinniśmy się zjawić za jakieś dziesięć-dwanaście dni.

– To żaden problem, panie doktorze. Muzeum nadal będzie tu stało, kiedy wrócicie.

– Ani przez moment w to nie wątpiłem – mruknął Leakey, po czym wyszedł i dołączył do czekającej w samochodzie żony.

Porucznik Ian Chelmswood stał w drzwiach, patrząc, jak Leakeyowie, eskortowani przez dwa pojazdy wojskowe, odjeżdżają czerwona drogą. Po sekundzie chmura pyłu przesłoniła samochód i Chelmswood cofnął się do budynku, zamykając za sobą drzwi dla ochrony przed kurzem. Panował nieznośny upał. Oficer zdjął kurtkę mundurową i pas z kaburą, i

ułożył je porządnie na jednej z mniejszych gablotek.

To dziwne. Wszystkie obrazy afrykańskiej głuszy, jakie zdarzyło mu się oglądać, od starych zdjęć Niemca Schillingsa po filmy Amerykanina Johnsona, wpoły mu przekonanie, iż wschodnia Afryka jest cudowną krainą zielonych traw i czystej wody. Nikt nie wspominał o kurzu, a jednak to właśnie jego wspomnienie miało na zawsze pozostać w umyśle Chelmswooda.

No, nie tylko to jedno. Nigdy nie zapomni porannego alarmu, który odezwał się, kiedy jego oddział stacjonował jeszcze w Nanjuki. Przybywszy na farmę osadników, znaleźli całą rodzinę zmasakrowaną, ciała pokrojone na kawałki. Napastnicy nie oszczędzili też bydła – większości zwierząt obcięto genitalia, innym wyłupiono oczy i oderwano uszy.

Lecz Chelmswood wiedział, że spośród tych wszystkich okropności jeden obraz zabierze ze sobą do grobu: nadzianego na nóż kociaka, przygwożdżonego do skrzynki na listy. Stanowił on znak rozpoznawczy Mau Mau, na wypadek, gdyby ktokolwiek pomyślał, że to jakiś szaleniec okaleczył w straszny sposób ludzi i zwierzęta.

Chelmswood nie rozumiał tego wszystkiego. Nie wiedział, kto zaczął ten obłąd, kto wywołał wojnę. Nie sprawiało mu to zresztą najmniejszej różnicy. Był tylko żołnierzem, słuchał rozkazów, a jeśli owe rozkazy zawiodą go z powrotem do Nanjuki, aby mógł zabić ludzi, którzy dopuścili się tych potwornych czynów, tym lepiej.

Tymczasem jednak przypadła mu w udziale służba, którą w duchu nazywał idiotyczną. W Arushy zanotowano niepokoje wśród ludności – nie Mau Mau, lecz raczej pokaz solidarności z kenijskimi Kikuju – i jego oddział został tam przeniesiony.

Następnie rząd dowiedział się, że profesorowi Leakeyowi, którego odkrycia naukowe sprawiły, iż cała wschodnia Afryka poznała nazwę Wąwozu Olduwai, grożono śmiercią. Mimo sprzeciwów naukowiec władze uparły się zapewnić mu ochronę. Większość ludzi z oddziału Chelmswooda udała się wraz z Leakeyem nad jezioro Turkana, ktoś jednak musiał zostać, aby pilnować gospodarstwa. Przypadek zrzucił, że jego nazwisko otwierało listę dyżurów. Ot, takie już jego szczęście.

Tak naprawdę nie było to nawet muzeum. Zupełnie nie przypominało

gmachów, do których zabierali go w Londynie rodzice. To były prawdziwe muzea; tutejsze mieściło się w małej, dwupokojowej glinianej chacie, w której zgromadzono około setki znalezisk Leakeya – starożytne groty strzał, kamienie dziwacznych kształtów, służące ludom pierwotnym za narzędzia. A także kości, wyraźnie nie należące do małpy, choć Chelmswood był pewien, że nie są one też szczątkami jakiegokolwiek istoty, z którą byłby spokrewniony.

Leakey zawiesił na ścianach własnoręcznie sporządzone wykresy, jasno ukazujące to, co sam uznał za ewolucję małych, groteskowych, przypominających małpy stworzeń, z których powstał gatunek Homo Sapiens. Mieli też zdjęcia, ukazujące część znalezisk odesłaną już do Nairobi. Wyglądało na to, że jeśli nawet ten wąwóz był w istocie miejscem narodzin ludzkiej rasy, to nikt nie chce go odwiedzać.

Wszystkie najlepsze okazy odsyłano najpierw do Nairobi, a potem do British Museum. Tak naprawdę, podsumował w myślach Chelmswood, chata nie była żadnym muzeum, a jedynie przechowalnią co lepszych znalezisk, póki nie zostaną wysłane gdzieś dalej.

Dziwnie jest myśleć, że tu, w wąwozie, rozpoczęło się ludzkie życie. Jeśli w Afryce istniało brzydsze miejsce, to on do niego nie trafił. A choć Chelmswood nie akceptował Księgi Rodzaju i tym podobnych religijnych bzdur, nie podobała mu się myśl, że pierwsi ludzie na Ziemi mogli być czarni. Dorastając na wzgórzach Cotswolds raczej nie miał styczności z czarnymi, ale od czasu przybycia na brytyjski Wschód naoglądał się ich dosyć, by ich dzikość i barbarzyńskie zwyczaje wzbudziły w nim odrazę.

I czemu ci zwariowani Amerykanie stale załamują ręce, powtarzając, że kolonializm musi się skończyć? Gdyby tylko widzieli to, co on na farmie w Nanjuki, pojęliby, iż jedyną rzeczą, nie pozwalającą, by wschodnią Afrykę ogarnęło szaleństwo krwawych rzezi, była obecność brytyjska.

Niewątpliwie istniały pewne cechy wspólne, łączące Mau Mau i amerykańską rewoltę: oba kraje zostały skolonizowane przez Brytyjczyków i oba pragnęły niepodległości... tu jednak kończyło się wszelkie podobieństwo. Amerykanie napisali Deklarację, przedstawiającą dręczące ich problemy, a kiedy wyruszyli w pole,

walczyli z brytyjskimi Żołnierzami. Co ma wspólnego z walką mordowanie niewinnych dzieci i przygważdżanie kociąt do skrzynek na listy? Gdyby to od niego zależało, na czele półmilionowej armii brytyjskich żołnierzy pomaszerowałyby w głąb kraju, wybijając wszystkich Kikuju – poza dobrymi, lojalnymi – i rozwiązałyby tę kwestię raz na zawsze.

Podszedł do szafki, w której przechowywał piwo, i wyjął ciepłą butelkę. Piwo Safari. Otworzył ją i pociągnął długi łyk, po czym skrzywił się z niesmakiem. Jeśli właśnie takie rzeczy pija się na safari, będzie musiał pamiętać, by nigdy na nie nie pojechać.

A jednak wiedział, że któregoś dnia wyruszy na safari – jeśli się uda, zanim zakończy służbę i zostanie odesłany do domu. Niektóre części tego kraju były tak diabło piękne – mimo kurzu – a zresztą Chelmswoodowi podobała się idea siedzenia w cieniu pod drzewem z zimną szklanką w dłoni, podczas gdy osobisty służący ochładzały go wachlarzem ze strusich piór, a on sam konferowałby ze swym białym łowcą na temat wyników polowania i tego, na co powinni zapolować nazajutrz. To nie strzelanie jest najważniejsze, zapewnialiby się nawzajem – ale podnieta łowów. Potem kazałyby paru czarnym chłopcom przygotować kąpiel, zażyłyby jej i przyszykował się do kolacji. Zabawne, ale ostatnio nabral zwyczaju nazywania ich chłopcami; większość z nich była znacznie starsza od niego.

Lecz choć nie byli chłopcami, wciąż pozostawali dziećmi, potrzebującymi nieustannych wskazówek i nauki. Weźmy na przykład Masajów: dumnych, aroganckich bydlaków. Na pocztówkach prezentują się może imponująco, ale spróbuj załatwić z nimi cokolwiek.

Zachowywali się, jakby pozostawali w bezpośrednim kontakcie z Bogiem, jakby On przekazał im, że są Jego narodem wybranym. Im bardziej Chelmswood się nad tym zastanawiał, tym bardziej dziwił go fakt, iż to Kikuju, a nie Masajowie, rozpoczęli Mau Mau.

Nagle uświadomił sobie, że widział czterech czy pięciu masajskich elmorani, wałęsających się wokół muzeum. Trzeba będzie mieć na nich oko.

– Przepraszam? – powiedział wysoki głos i Chelmswood odwróciwszy się ujrzał na progu drobnego, wychudzonego czarnego chłopca,

mającego najwyżej dziesięć lat.

– Czego chcesz? – spytał Chelmswood.

– Pan doktor Leakey, on obiecać cukierki – oznajmił chłopiec, wchodząc do budynku.

– Odejdź – rzucił niecierpliwie oficer. – Nie mamy żadnych cukierków.

– Tak, tak – mówił chłopiec, zbliżając się ku nim. – Codziennie.

– Co dzień daje ci cukierki?

Chłopak przytaknął i uśmiechnął się.

– Gdzie je trzyma?

Przybysz wzruszył ramionami.

– Może tam? – podsunął, wskazując szafkę.

Chelmswood podszedł do niej i otworzył. W środku nie było nic oprócz czterech słoików, zawierających stare zęby.

– Nic nie widzę – oznajmił oficer. – Będziesz musiał poczekać na powrót doktora Leakeya. Po policzku chłopca spłynęły dwie łzy.

– Ale pan doktor Leakey – on obiecać!

Chelmswood rozejrzał się wokół.

– Nie wiem, gdzie są.

Chłopak rozplakał się na dobre.

– Cicho bądź! – warknął Chelmswood. – Poszukam ich.

– Może w drugi pokój? – podsunął chłopak.

– Chodź ze mną – polecił Chelmswood, przechodząc przez drzwi sąsiedniego pomieszczenia. Wspierając dłonie na biodrach powiódł dokoła wzrokiem, próbując zgadnąć, gdzie Leakey ukrył cukierki.

– Może tu? – Chłopiec wskazał ręką szafę.

Chelmswood zajrzał do środka. Szafa kryła w sobie dwie łopaty, trzy kilofy i zestaw niewielkich pędzli, których, jak się domyślał, Leakeyowie używali do swych wykopalisk.

– Tu nic nie ma – oznajmił, zamykając drzwi. Odwrócił się do chłopca, ale ten zniknął.

– Smarkacz kłamał od początku – mruknął Chelmswood. – Pewnie uciekł, żeby uniknąć lania. Wrócił do głównego pomieszczenia i ujrzał potężnie zbudowanego czarnego mężczyznę, trzymającego w prawej dłoni podobną do maczety pangę.

– O co chodzi? – spytał ostro Chelmswood.

– O wolność, poruczniku – odparł nieznajomy niemal doskonałą angielszczyzną. – Przesłano mnie, abym zabił doktora Leakeya, ale pan będzie musiał wystarczyć.

– Czemu chcecie kogokolwiek zabijać? Cóż złego uczyniliśmy Masajom?

– Pozwolę, by Masajowie sami odpowiedzieli na to pytanie. Każdemu z nich wystarczyłby jeden rzut oka na mnie, by stwierdzić, że jestem Kikuju – ale dla was, Brytyjczyków, wszyscy wyglądamy tak samo, nieprawdaż?

Chelmswood sięgnął po pistolet i uświadomił sobie nagle, że zostawił go na gablotce.

– Dla mnie wszyscy wyglądacie jak stado tchórzliwych dzikusów!

– Czemu? Bo nie stajemy przeciw wam w bitwie? – Twarz czarnego mężczyzny wykrzywiła furia. – Odbieracie nam ziemie, zabraniaacie posiadać broń, ogłaszacie, że zbrodnią jest nawet noszenie włóczni – a potem nazywacie nas dzikusami dlatego, że nie maszerujemy w równej formacji naprzeciw waszym karabinom! – Splunął z pogardą na podłogę.

– Walczymy z wami jedyną metodą, jaka nam pozostała.

– To wielki kraj; starczy w nim miejsca dla was i dla nas – rzekł Chelmswood.

– Gdybyśmy to my przybyli do Anglii, odebrali wam najżyźniejsze ziemie i zmusili do pracy dla nas, czy uważałbyś, że Anglia pomieści oba nasze ludy?

– Nie jestem politykiem – oznajmił Chelmswood, przysuwając się o kolejny krok bliżej broni. – Po prostu wykonuję swoją pracę.

– A twoja praca polega na tym, by utrzymać dwustu białych na ziemiach, które mogły kiedyś wykarmić milion Kikuju. – W głosie czarnego mężczyzny dzwięczała nienawiść.

– Kiedy już z wami skończymy, będzie was znacznie mniej niż milion! – syknął Chelmswood i rzucił się w stronę pistoletu.

Choć był szybki, czarny mężczyzna okazał się szybszy i jednym ciosem pangi niemal odciął prawą dłoń Anglika. Chelmswood ryknął z bólu. Odwrócił się gwałtownie plecami do Kikuju, drugą ręką sięgając po broń.

Panga znów opadła, dosłownie rozpruwając jego ciało, lecz padając,

Chelmswood zdołał zacisnąć palce wokół kolby pistoletu i pociągnąć za spust. Kula trafiła czarnego mężczyznę prosto w pierś i on także osunął się na ziemię.

– Zabiłeś mnie! – jęknął Chelmswood. – Po co ktokolwiek miałby mnie zabijać?

– Wy macie tak wiele, a my – tak mało – wyszeptał czarny mężczyzna. – Czemu musicie odbierać nam także to, co do nas należy?

– Nigdy nic wam nie zrobiłem – westchnął Chelmswood.

– Przybyłeś tu. To wystarczy – odparł tamten. – Brytyjska świnia! – Zamknął oczy i znieruchomiał.

– Przeklęty czarnuch! – wykrztusił Chelmswood i umarł.

Stojący na zewnątrz czterej Masajowie nie zwracali najmniejszej uwagi na zamieszanie w środku. Pozwolili odejść kikujskiemu chłopcu, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem. Sprawy niższych ras zupełnie ich nie obchodziły.

\* \* \*

– Trudno doprawdy pojąć ich poczucie wyższości nad innymi członkami tej samej rasy – rzekł Bellidore. – Jesteś pewien, że właściwie odczytałeś ten przedmiot, Ty, Który Widzisz?

– Ja nie odczytuję przedmiotów, lecz je wchłaniam – odparłem. – Staję się z nimi jednością. Doświadczam wszystkiego, czego one doświadczyły – zawiesiłem głos. – Nie ma mowy o żadnej pomyłce.

– Cóż, niełatwo to pojąć, zwłaszcza u rasy, która miała w przyszłości zawładnąć niemal całą galaktyką. Czy uważali, że wszyscy napotkani obcy są od nich gorsi?

– Z pewnością tak się właśnie zachowywali – potwierdził Historyk. – Zdawali się szanować jedynie te rasy, które stawiały im opór – ale nawet wtedy uznawali, iż zwycięstwo militarne stanowi dowód ich własnej wyższości.

– A przecież wiemy z pradawnych zapisów, że prymitywny Człowiek otaczał czciami bezrozumne zwierzęta – wtrąciła Egzobiolog.

– Zapewne nie przetrwały one zbyt długo – zauważył Historyk. – Jeśli Człowiek żywił pogardę dla wszystkich ras galaktyki, o ileż gorzej musiał traktować te biedne stworzenia, z którymi przyszło mu dzielić planetę?

– Być może miał do nich taki sam stosunek, jak do mojej rasy – podsunąłem. – Jeśli nie posiadały nic, czego by pragnął, jeśli nie stanowiły zagrożenia...

– Ale one posiadały coś, czego pragnął – przerwała mi Egzobiolog. – Był drapieżcą. One miały mięso.

– I ziemię – dodał Historyk. – Skoro nawet galaktyka okazała się za mała, by zaspokoić głód ziemi Człowieka, pomyślcie, jak niechętnie musiał dzielić z kimś swój własny świat.

– Obawiam się, że nigdy nie poznamy odpowiedzi na to pytanie – podsumował Bellidore.

– Chyba, że kryje się ona w jednym z pozostałych przedmiotów – zgodziła się Egzobiolog.

Jestem pewien, że uwaga ta nie miała wyrwać mnie z letargu, ale przypomniałem sobie, że od chwili, gdy wchłonąłem rękojeść noża, minęło już pół dnia i odzyskałem dość sił, by zbadać kolejne znalezisko.

Było to metalowe pióro...

\* \* \*

15 lutego 2103

Nareszcie dotarliśmy na miejsce! Podróż Superkretem przez tunel z Nowego Jorku do Londynu zabrała nam zaledwie cztery godziny. Mimo to jednak spóźniliśmy się o dwadzieścia minut, straciliśmy połączenie i musieliśmy czekać kolejnych pięć godzin na następny lot do Chartumu. Kolejne środki transportu stawały się coraz bardziej prymitywne – samoloty odrzutowe do Nairobi i Arushy, a potem szybki przerzut wahadłowcem do naszego obozu – w końcu jednak pozostawiliśmy za sobą cywilizację. Nigdy jeszcze nie widziałem podobnych otwartych przestrzeni! Ledwie widać wieżowce Nyerere, najbliższego miasta.

Po prelekcji orientacyjnej, informującej nas, czego możemy się spodziewać i jak się zachowywać podczas safari, resztę popołudnia poświęciliśmy na poznanie innych uczestników wyprawy. Jestem najmłodszym członkiem grupy: podobna wycieczka kosztuje tak wiele, że większość ludzi w moim wieku nie może sobie na nią pozwolić. Oczywiście, większość ludzi w moim wieku nie ma wujka Reubena, który umierając zostawia im w spadku tonę kasy. (No, po opłaceniu safari



zostało z niej pewnie jakieś ćwierć kilo. Ha ha ha.)

Nasze kwatery są bardzo rustykalne. Wyposażono je nawet w staroświeckie mikrofalówki do podgrzewania jedzenia, choć większość z nas i tak woli żywić się w restauracjach.

Podobno najpopularniejsze są japońska i brazylijska; pierwsza dla samego jedzenia – prawdziwe ryby! – a druga ze względu na program rozrywkowy. Mam współlokatora, pana Shiboni, starszego japońskiego dżentelmena, który twierdzi, że przez piętnaście lat oszczędzał, aby udać się na safari. Wydaje się miły i dobroniosy; mam nadzieję, że zdoła znieść trudy wyprawy.

Miałem wielką ochotę wziąć prysznic, tylko po to, by wczuć się w nastrój przygody, ale woda jest tu bardzo cenna i wygląda na to, że będę się musiał zadowolić zwykłym chemicznym natryskiem. Dobrze wiem, że nie tylko czyści, ale i dezynfekuje – gdybym jednak pragnął wszystkich domowych wygod, po prostu zostałbym w domu i zaoszczędził sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

*16 lutego*

Dziś poznaliśmy naszego przewodnika. Nie wiem dlaczego, ale nie pasuje jakoś do moich wyobrażeń o afrykańskim safari. Spodziewałem się steranego Życiem weterana, który ma na porządkiem mnóstwo historyjek i może nawet widział na własne oczy cywetę albo duikera, zanim zupełnie wyginęły.

Ujraliśmy natomiast Kevina Ole Tambake, młodego Masaja, liczącego sobie najwyżej dwadzieścia pięć lat i ubranego w garnitur, podczas gdy my wszyscy mieliśmy na sobie dreluchy. Mimo wszystko jednak mieszka tu od urodzenia, więc myślę, że zna całą okolicę.

Muszę też przyznać, że potrafi wspaniale opowiadać. Przez pół godziny słuchaliśmy legend o tym, jak jego lud mieszkał w chatkach zwanych manyatta i jak ich rytuał wejścia w wiek męski wymagał zabicia lwa włócznią. Jak gdyby rząd pozwolił komukolwiek zabić zwierzę!

Cały ranek zjeżdżaliśmy w głąb krateru Ngorongoro. To zapadnięta w głąb ziemi caldera, czyli wulkan, który kiedyś przewyższał nawet Kilimandżaro. Kevin twierdzi, że niegdyś roilo się w nim od zwierzyny, choć nie bardzo to sobie wyobrażam, bo przecież każde zwierzę, które stałoby na nim w chwili, gdy się zapadł, zginęłoby natychmiast.

Podjeżdżam, że tak naprawdę pojechaliśmy tam głównie po to, by wypróbować nasze pojazdy i nauczyć się właściwego zachowania. I bardzo dobrze – w dwóch przedziałach szwankowała klimatyzacja, autokelner miał kłopoty z utrzymaniem właściwej temperatury mrożonych drinków, a raz, kiedy wydało nam się, że widzimy ptaka, troje z nas jednocześnie wywołało Kevina i zablokowało jego komunikator.

Po południu pojechaliśmy do Serengeti. Kevin mówi, że kiedyś rozciągało się ono aż do granicy Kenii, lecz teraz to jedynie przylegający do krateru park o powierzchni dwudziestu mil kwadratowych. Po jakiejś godzinie poszukiwań zobaczyliśmy wiewiórkę ziemną, ale zniknęła w norze, zanim zdążyłem ustawić holoaparatus. Mimo wszystko jednak była naprawdę imponująca: futerko w różnych odcieniach brązu, ciemne oczy, puchaty ogon. Kevin ocenił jej wagę na niemal trzy funty i powiedział, że nie widział tak wielkiego okazu od czasów, kiedy był chłopcem.

Tuż przed powrotem do obozu Kevin dostał od innego kierowcy wiadomość przez radio: na drzewie, rosnącym osiem mil na północny wschód od nas, dostrzeżono dwa gniazdujące szpaki. Komputer pojazdu poinformował nas, że nie zdołamy dotrzeć tam przed zmrokiem, więc Kevin kazał mu zapisać w pamięci położenie drzewa i obiecał, że udamy się tam zaraz rano.

Zdecydowałem się na restaurację brazylijską i spędziłem parę miłych godzin, słuchając występującego na żywo zespołu.

Miły koniec pierwszego pełnego dnia safari.

*17 lutego*

O świcie wyjechaliśmy na poszukiwanie szpaków, lecz choć znaleźliśmy drzewo, na którym je dostrzeżono, ich samych nie zobaczyliśmy. Jeden z pasażerów – myślę, że to ten niski Birmańczyk, choć nie mam pewności – musiał się poskarżyć, bo Kevin wkrótce oznajmił całej grupie, że jesteśmy na safari, nikt nie gwarantuje, iż zobaczymy jakiegóż szczególnego ptaka albo zwierzę, i że choć będzie się starał poprowadzić nas, jak najlepiej potrafi, nigdy nie ma pewności, gdzie kryje się zwierzyna.

I wtedy, dokładnie w chwili, gdy to mówił, znikąd pojawił się

szczurnik indyjski. Zdawało się, że nie zwraca na nas najmniejszej uwagi i Kevin oznajmił, że wyłączamy silnik i przechodzimy na napęd poduszkowy, aby go nie spłoszyć. Po paru minutach wszyscy po prawej stronie pojazdu zrobili już swoje holografie i powoli obróciliśmy się wokół osi, aby lewa strona także mogła się przyjrzeć – ale nasz ruch musiał przstraszyć szczurnika, bo choć manewr trwał niecałe trzydzieści sekund; kiedy znowu zawiśliśmy nieruchomo, już go nie było.

Kevin oświadczył, iż pojazd uchwycił szczurnika na swych automatycznych holoaparatach i każdy, kto nie zdążył sam zrobić holo, może dostać kopię zapisu.

Kiedy zatrzymaliśmy się na lunch, czuliśmy się wspaniale – a przynajmniej prawa strona pojazdu – a podczas popołudniowej wycieczki zobaczyliśmy trzy żółte tkacze, budujące na drzewie swe kuliste gniazda. Kevin wypuścił nas, ostrzegając, abyśmy nie podchodzili bliżej niż na trzydzieści jardów, i spędziliśmy przeszło godzinę obserwując je i holografując.

W sumie bardzo zadowolający dzień.

*18 lutego*

Dziś opuściliśmy obóz godzinę po wschodzie słońca i przenieśliśmy się w nowe miejsce: do Wąwozu Olduwai. Kevin oznajmił, że tam właśnie spędzimy ostatnie dwa dni safari, bo stały rozwój miast i farm na równinach sprawił, iż większe zwierzęta schroniły się w głębi wąwozu i na jego zboczach.

Żaden pojazd, nawet nasz, specjalnie wyposażony do takich wypraw, nie zdołałby poruszać się w wąwozie, toteż wszyscy wysiedliśmy i ruszyliśmy gęsiego za Kevinem. Większość z nas z trudem dotrzymywała mu kroku. Śmigał tam i z powrotem po kamieniach, jakby robił to całe życie, podczas gdy ja nie pamiętam nawet, kiedy po raz ostatni widziałem schody, które nie poruszyły się, kiedy na nich stanąłem. Po pół godzinie takiej wędrówki usłyszałem, jak jeden z mężczyzn na tyłach rozciągniętego szeregu krzyknął i wskazał ręką jakieś miejsce na dnie wąwozu. Spojrzeliśmy tam wszyscy i ujrzeliśmy coś uciekającego z niesamowitą prędkością.

– Kolejna wiewiórka? – spytałem.

Kevin tylko uśmiechnął się w odpowiedzi.

Mężczyzna za mną powiedział, że według niego był to szczurnik.

– To, co widzieliście – rzekł Kevin – to dik-dik, ostatnia żyjąca afrykańska antylopa.

– Jakiej była wielkości? – spytała jedna z kobiet.

– Przeciętnej. Około dwudziestu pięciu centymetrów w kłębie.

Trudno to sobie wyobrazić: dwadzieścia pięć centymetrów, a on mówi, że to przeciętna wielkość!

Kevin wyjaśnił, że dik-diki są bardzo przywiązane do swoich terytoriów i że nasz nie oddali się zbyt od domu. Co oznacza, że jeśli zaczekamy cierpliwie, nie czyniąc hałasu – i jeśli dopisze nam szczęście – znów go zobaczymy. Spytałem Kevina, ile antylop dik-dik mieszka w wąwozie, a on podrapał się po głowie, zastanowił przez moment i odparł, że najprawdopodobniej około dziesięciu sztuk. (A w Yellowstone zostało tylko dziewiętnaście królików! Nic dziwnego, że wszyscy poważni miłośnicy zwierząt przyjeżdżają do Afryki.)

Maszerowaliśmy kolejną godzinę, a potem zrobiliśmy przerwę na lunch, podczas którego Kevin opowiedział nam dzieje tego miejsca i historię odkryć doktora Leakeya. Mówił, że zapewne można tam jeszcze wykopać inne szkielety, ale rząd nie chce wypłoszyć zwierząt z ich ostatniego schronienia, toteż kości będą musiały poczekać na przyszłe pokolenia. W tłumaczeniu na zwykły język oznaczało to mniej więcej, że Tanzania nie zamierza rezygnować z opłat trzystu turystów tygodniowo i nie odda największego klejnotu w kolekcji swych parków bandzie antropologów. Nie mogę powiedzieć, że bym miał o to do nich pretensje.

Pozostałe grupy też zaczęły napływać do wąwozu i według moich obliczeń pod koniec lunchu kręciło się tam już z siedemdziesięciu uczestników safari. Przewodnicy jednak najwyraźniej mieli wyznaczone „swoje” terytoria i rzadko zbliżaliśmy się na mniej niż ćwierć mili do innej grupy.

Kevin spytał, czy chcemy posiedzieć w cieniu do czasu, aż minie najgorszy upał, ale ponieważ był to nasz przedostatni dzień safari, przeważającą większość głosów zdecydowaliśmy ruszać, gdy tylko skończymy posiłek.

Katastrofa wydarzyła się najwyżej dziesięć minut później. Pojedynczo

schodziliśmy stromym zboczem, Kevin jak zwykle na przedzie, a ja tuż za nim, kiedy usłyszałem stęknienie i krzyk zdumienia. Obejrawszy się zobaczyłem pana Shiboniego, turlającego się w dół.

Najwyraźniej stracił równowagę. Gdy tak leciał ku nam, usłyszeliśmy trzask pękającej kości jego nogi.

Kevin ustawił się tak, by go zatrzymać, i o mało sam nie runął do wąwozu, zanim zdołał złapać biednego pana Shiboniego. Potem ukląkł obok starszego pana, aby zająć się jego nogą – jednakże kiedy to robił, jego bystre oczy dostrzegły coś, co umknęło naszej uwadze, i nagle zręcznie niczym małpa popędził w górę zbocza. Przystanął w miejscu, w którym potknął się pan Shiboni, kucnął i przyjrzał się czemuś. Następnie, wyglądając jak sama Śmierć, podniósł swoje znalezisko i wrócił do nas.

To była martwa jaszczurka, w pełni dorosła, długa na niemal dwadzieścia centymetrów i zgnieciona przez pana Shiboniego. Nie dało się stwierdzić, czy upadł, nastąpiwszy na nią, czy też po prostu nie zdążyła uciec, kiedy runął w dół... ale nie czyniło to żadnej różnicy: był odpowiedzialny za śmierć zwierzęcia w Parku Narodowym.

Próbowałem sobie przypomnieć szczegóły podpisanego przez nas zobowiązania, udzielającego Zespołowi Parków zezwolenia na natychmiastowe pobranie z naszego konta pieniędzy w razie, gdybyśmy z jakichkolwiek powodów, nawet w samoobronie, zabili jakieś zwierzę. Wiedziałem, że minimalna grzywna wynosi pięćdziesiąt tysięcy dolarów, ale zdaje się, że dotyczyła tylko dwóch najpospolitszych gatunków ptaków, a ugaama i gekon kosztowały bliżej siedemdziesięciu tysięcy.

Kevin uniósł jaszczurkę tak, żebyśmy wszyscy dobrze ją widzieli, i oświadczył, iż gdyby doszło do procesu, wszyscy będziemy świadkami tego, co zaszło. Pan Shiboni jęknął z bólu. Kevin stwierdził, że nie ma sensu marnować jaszczurki, toteż oddał mi ją do potrzymania, a sam zajął się zakładaniem łubków na nogę pana Shiboniego i wzywaniem przez radio sanitariuszy.

Zacząłem oglądać małą jaszczurkę. Jej stopy były delikatne i wdzięcznie ukształtowane, ogon długi i elegancki, ale największe wrażenie wywarły na mnie kolory: czerwona głowa, niebieskie ciało i

szare nogi, coraz jaśniejsze, aż po pazurki. Piękna, przepiękna istota, nawet martwa.

Kiedy sanitariusze zabrali pana Shiboniego z powrotem do głównej siedziby, Kevin przez następną godzinę demonstrował nam, jak funkcjonowało ciało ugaamy: jak jej oczy spoglądały w dwóch kierunkach naraz, pazurki pozwalały zwisać do góry nogami z każdej nierównej powierzchni, a szczęki sprawnie kruszyły pancerzyki schwytanych owadów.

Wreszcie, w obliczu tragedii, a także dlatego, że pragnął dowiedzieć się o stan pana Shiboniego, zaproponował, abyśmy wracali do obozu.

Nikt z nas nie protestował – wiedzieliśmy, że Kevina czeka kilka godzin dodatkowej pracy: pisanie raportów o wypadku i przekonywania Zarządu Parków, że jego firma safari nie ponosi winy za to zdarzenie – mimo to jednak czuliśmy się oszukani, bo został nam tylko jeden dzień. Kevin chyba zorientował się w naszych nastrojach, gdyż tuż przed lądowaniem w obozie obiecał nam na jutro coś ekstra. Pół nocy nie mogłem spać, zastanawiając się, co to może być. Czyżby wiedział, gdzie ukrywają się inne dik-diki? A może legendy o ostatnim flamingu są jednak prawdziwe?

*19 lutego*

Tego ranka wsiadając do pojazdu byliśmy okropnie podekscytowani. Wszyscy pytaliśmy Kevina, jak wygląda jego niespodzianka, on jednak uśmiechał się tylko i wciąż zmieniał temat. W końcu dotarliśmy do Wąwozu Olduwai i znów ruszyliśmy na piechotę, tyle że tym razem zdążyliśmy wyraźnie do określonego celu, a Kevin prawie nie zatrzymywał się, żeby poszukać dik-dików.

Wędrowaliśmy stromymi, krętymi ścieżkami, potykając się o korzenie drzew, kalecząc ręce i nogi o cierniste krzaki, ale nikt nie protestował, bo Kevin sprawiał wrażenie tak bardzo pewnego swej niespodzianki, że natychmiast zapominaliśmy o wszelkich przeszkodach.

Wreszcie osiągnęliśmy dno wąwozu i pomaszerowaliśmy płaską, wijącą się ścieżką. Mimo to jednak, kiedy zatrzymaliśmy się na lunch, wciąż jeszcze nic nie widzieliśmy. Gdy usiedliśmy w cieniu akacji, Kevin wyjął radio i połączył się z pozostałymi przewodnikami.

Jedna grupa natknęła się na trzy dik-diki, inna znalazła gniazdo kraski różanopiórej z dwoma pisklakami. Kevin jest bardzo ambitny i zazwyczaj podobne wieści sprawiłyby, że zaczęłby nas popędzać, żebyśmy szybciej skończyli jeść i przed powrotem do obozu zdążyli obejrzeć co najmniej tyle samo, ale tym razem uśmiechnął się tylko i powiedział przewodnikom, że na dnie wąwozu nie dostrzeżliśmy niczego: najwyraźniej zwierzęta wywędrawały w górę, zapewne w poszukiwaniu wody.

Potem, kiedy skończyliśmy posiłek, Kevin odszedł o jakieś pięćdziesiąt jardów, zniknął w jaskini i wynurzył się z niej chwilę później, niosąc w dłoni małą drewnianą klatkę. W środku siedział brązowy ptaszek i choć zachwycała mnie perspektywa obejrzenia go z bliska, poczułem zawód na myśl, że tak ma wyglądać ta ekstra niespodzianka.

– Widzieliście kiedyś miodowoda? – spytał Kevin.

Przyznaliśmy, że nie, a on wyjaśnił, że tak właśnie brzmi nazwa małego brązowego ptaka. Spytałem, czemu go tak nazwano, skoro niewątpliwie nie produkuje miodu i nie wygląda na to, aby mógł zastąpić Kevina w roli naszego przewodnika. Kevin znów się uśmiechnął.

– Widzicie to drzewo? – to mówiąc wskazał drzewo, rosnące w odległości najwyżej siedemdziesięciu pięciu metrów. Z niskiej gałęzi zwisało wielkie pszczele gniazdo.

– Tak – odparłem.

– Zatem obserwujcie – polecił, otwierając klatkę i wypuszczając ptaka. Miodowód przez moment stał nieruchomo, po czym zatrzepotał skrzydłami i pofrunął w stronę drzewa.

– Upewnia się, że jest tam miód – wyjaśnił Kevin, wskazując okrążającego pszczele gniazdo ptaka.

– Dokąd leci teraz? – spytałem, ptak bowiem śmignął nagle wzdłuż koryta rzeki.

– Poszukać swojego współnika.

– Wspólnika? – powtórzyłem, nic nie pojmując.

– Czekać, a zobaczycie – rzekł Kevin, siadając na ziemi z plecami wspartymi o duży kamień.

Poszliśmy w jego ślady, kryjąc się w cieniu, z lornetkami i holoaparatażami wycelowanymi w drzewo. Po godzinie, kiedy wciąż nic się

nie działa, część grupy zaczęła się niepokoić, wówczas jednak Kevin z napięciem wskazał łożysko rzeki.

– Tam! – szepnęła. Spojrzałem w stronę, którą pokazywał – a tam, podążając za ptakiem, lecącym tuż nad ziemią i ćwierkającym gorączkowo, pojawiło się ogromne, czarno-białe zwierzę, największe, jakie kiedykolwiek widziałem.

– Co to jest? – wyszeptalem.

– Miodożer – odparł cicho Kevin. – Jeszcze dwadzieścia lat temu uważano je za wymarłe, ale jedna para schroniła się w Olduwai. To już czwarte urodzone tu pokolenie.

– Czy on zje ptaka? – spytał ktoś z grupy.

– Nie – szepnęła Kevin. – Ptak doprowadzi go do miodu, a kiedy miodożer ściągnie gniazdo i naje się do syta, zostawi trochę dla ptaka.

Stało się dokładnie tak, jak zapowiadał. Miodożer wspinał się po pniu drzewa, przednią łapą strącił gniazdo, następnie zszedł na ziemię i rozdarł je pazurami, nie zważając na żądła pszczoł. Całą tę fantastyczną scenę utrwaliliśmy na naszych holo – a gdy już skończył, rzeczywiście zostawił trochę miodu dla ptaka.

Później, kiedy Kevin chwycił miodowoda i na powrót zamykał go w klatce, reszta grupy omawiała to, czego świadkami się staliśmy. Na moje oko miodożer ważył około czterdziestu pięciu funtów, choć mniej skłonni do uniesień uczestnicy wyprawy szacowali jego wagę na jakieś trzydzieści sześć do trzydziestu siedmiu funtów. W każdym razie był naprawdę ogromny. Potem rozmowa skupiła się na wysokości napiwku, jaki zostawimy Kevinowi, bo z pewnością na niego zasłużył.

Kiedy opisuję ostatni dzień w moim dzienniku safari, wciąż jeszcze drzę z podniecenia, towarzyszącego jedynie spotkaniom z wielkimi zwierzętami w ich naturalnym środowisku. Jeszcze wczoraj miałem wątpliwości co do safari – wydawało mi się zbyt drogie albo może przybyłem na nie ze zbyt wygórowanymi oczekiwaniami – ale teraz wiem, że warto było każdego centa. Czuję się, jakbym pozostawiał tu część siebie i nigdy nie spocznę, póki nie powrócę do tej ostatniej twierdzy dzikiej przyrody.



W całym obozie wrzało. Byliśmy zupełnie pewni, że w okolicy nie pozostały już żadne skarby, czekające na odkrycie – i właśnie wtedy Bliźnięta Gwiazdny Pył znalazły trzy małe kawałki kości, związane drutem: przedmiot niewątpliwie ludzkiego pochodzenia.

– Ale datowanie się nie zgadza – zauważył Historyk po dokładnym zbadaniu kości swoim sprzętem. – To prymitywny naszyjnik – można go nazwać ozdobą dzikusów – a jednak kości i drut pochodzą z czasów, gdy człowiek wynalazł już podróże kosmiczne.

– Czy... – ...powątpiewasz, że... – ...znaleźliśmy to... – ...w wąwozie? – spytały ostro Bliźnięta.

– Wierzę wam – odparł Historyk. – Twierdzą tylko, że ta ozdoba wygląda na anachronizm.

– To nasze znalezisko i... – ...zostanie nazwane naszym imieniem.

– Nikt nie odmawia wam praw odkrywców – wtrącił uspokajającym tonem Bellidore. – Po prostu przedstawiliście nam kolejną tajemnicę.

– Dajcie go... – ...Temu, Który Widzi, a... – ...rozwiąże zagadkę.

– Uczynię, co w mojej mocy – rzekłem – ale dopiero niedawno wchłonąłem pióro. Muszę najpierw odpocząć i odzyskać siły.

– To... – ...do przyjęcia.

Pozwoliliśmy Moriteu dalej czyścić znalezisko, podczas gdy my zastanawialiśmy się, skąd w epoce lotów międzygwiazdnych wziął się tak prymitywny fetysz. Wreszcie Egzobiolog wstała z miejsca.

– Wracam do wąwozu – oznajmiła. – Skoro Bliźnięta Gwiazdny Pył znalazły ten naszyjnik, może są tam jeszcze inne rzeczy, które przeoczyliśmy. Ostatecznie to ogromny teren. – Zatrzymała się i spojrzała na nas. – Czy ktoś chciałby pójść ze mną?

Wszyscy milczeli, bo dzień chylił się już ku zachodowi.

Po chwili Egzobiolog odwróciła się i ruszyła ścieżką, prowadzącą w głąb Wąwozu Olduwai.

Było ciemno, gdy w końcu nabrałem dość sił, by móc wchłonąć naszyjnik. Rozlałem moje ja wokół kości i drutu i wkrótce stałem się z nimi jednością...

\* \* \*

Nazywał się Joseph Meromo i mógł żyć z pieniędzmi, ale nie z

poczuciem winy.

Wszystko zaczęło się od wiadomości z Brukseli i zawołowanej sugestii szefa mieszczącej się tam międzynarodowej korporacji. Mieli pewną rzecz, której pragnęli się pozbyć. Czy Tanzania nie mogłaby im w tym pomóc?

Meromo odparł, że popyta tu i ówdzie, wątpił jednak, by ich rząd do czegoś się przydał. Odpowiedź była krótka: proszę spróbować.

W istocie składało się na nią coś więcej niż tylko słowa.

Następnego dnia osobisty kurier dostarczył mu gruby plik banknotów o wysokich nominałach z uprzejmą notką, dziękującą Meromo za poczynione wysiłki. Meromo potrafił rozpoznać łapówkę – wziął ich dość w swej karierze – ale nigdy jeszcze nie widział tak wielkiej. A nie chodziło nawet o konkretną pomoc, ale o zgodę na zorientowanie się w sytuacji.

Cóż, pomyślał, czemu by nie? Co takiego mogą mieć? Parę pojemników odpadów toksycznych? Kilka prętów plutonowych? Wystarczy zakopać je głęboko w ziemi i nikt się nigdy nie dowie, nikogo to nie obejdzie. Czyż nie tak właśnie postępowały kraje Zachodu?

Oczywiście był jeszcze Kataklyzm z Denver i ten mały wypadek, po którym wody Tamizy na ponad wiek stały się niezdatne do picia, ale przychodziły one na myśl jedynie dlatego, że stanowiły wyjątki, nie zasadę. Na całym świecie istniały tysiące składowisk, a dziewięćdziesiąt dziewięć procent z nich nie przysparzało nikomu żadnych kłopotów.

Meromo polecił komputerowi wyświetlić nad biurkiem holograficzną mapę Tanzanii. Spojrzał na nią, zmarszczył brwi, dodał kilka cech topograficznych i zaczął uważnie studiować fragment po fragmencie.

Gdyby zdecydował się pomóc im ukryć gdzieś te rzeczy, czymkolwiek były – a, jak powtarzał sobie w duchu, nadal jeszcze mógł się wycofać – gdzie byłoby najlepsze miejsce na tego typu towar?

W morzu? Nie, rybacy wyciągnęliby ładunek w dwie minuty później, wezwali prasę i wywołali takie piekło, że straciłby posadę. Możliwe, że cały rząd musiałby podać się do dymisji. Partia naprawdę nie zniosłaby w tym roku jeszcze jednego skandalu.

Prowincja Selous? Pięć stuleci wcześniej, kiedy stanowiła ostatnią ostoję dzikiej przyrody na kontynencie, może, ale nie teraz. W miejscu, gdzie dawniej nie było niczego poza stadami słoni i niemal

nieprzebytym gąszczem ciernistych krzaków, wznosiło się kwitnące, na wpół autonomiczne miasto-państwo o pięćdziesięciu dwóch milionach mieszkańców.

Jeziro Wiktorii? Nie. Ten sam problem z rybakami. Dar es Salaam? Może. Dostatecznie blisko brzegu, by transport nie sprawiał kłopotu, i praktycznie opustoszałe, odkąd Dodoma stała się nową stolicą kraju. Ale dwadzieścia lat temu, kiedy Meromo był jeszcze małym chłopcem, Dar es Salaam nawiedziło trzęsienie ziemi. Nie mógł ryzykować, że kolejny wstrząs odłoni albo uszkodzi to, co zamierzał ukryć.

Nadal oglądał mapę: Gombe, Ruaha, Iringa, Mbeja, Mtawara, Tarengire, Olduwai... Zamarł, wpatrując się w Olduwai, i po chwili wywołał wszelkie dostępne dane. Głęboki prawie na milę. To spora zaleta. Żadnych zwierząt. Coraz lepiej. Żadnych osad na jego stromych zboczach. W okolicy mieszkała tylko garstka Masajów, nie więcej niż dwa tuziny rodzin, zbyt aroganckich, by zwracać uwagę na to, co robi rząd. Tego akurat Meromo był pewien: on także był Masajem.

Przeciągał zatem sprawę tak długo, jak się dało, przez niemal dwa lata odbierając prezenty w gotówce, aż wreszcie wyznaczył datę dostawy.

Meromo wyjrzał przez okno swego gabinetu na trzydziestym czwartym piętrze. Patrzył na wschód, ponad ruchliwym miastem Dodomą, tam, gdzie – jak sądził – leży Wąwóz Olduwai. Wszystko wydawało się takie proste. Owszem, zapłacili mu naprawdę mnóstwo, znacznie więcej niż zwykle, ale te międzynarodowe korporacje zawsze wyrzucały pieniądze w błoto. Chodziło tylko o kilkadziesiąt prętów plutonowych; tak przynajmniej myślał. Skąd miał wiedzieć, że mówili o czterdziestu dwóch tonach odpadów radioaktywnych?

Nie mógł zwrócić pieniędzy. Nawet gdyby chciał, trudno oczekiwać, by wrócili i wyciągnęli z ziemi swoje śmiercionośne materiały. Najpewniej były bezpieczne, nikt się nigdy nie dowie...

Ale poczucie winy zaczęło nękać go całymi dniami i, co gorsza, nocami, podsuwając mu we śnie najróżniejsze wizje. Czasami były to starannie zapieczętowane pojemniki, czasami tykające bomby, czasem katastrofa już się wydarzyła i widział jedynie zwęglone ciała masajskich dzieci, leżące u wylotu wąwozu.

Prawie osiem miesięcy sam zmagął się z diabłami, w końcu jednak

rozumiał, że musi poszukać pomocy. Sny nie tylko dręczyły go nocami, ale pojawiały się także na jawie.

Siedział na zebraniu personelu i nagle wyobrażał sobie, że otaczają go wychudzeni, pokryci ropiejącymi ranami Masajowie z Olduwai. Czytał książkę, gdy wtem słowa zmieniały się w tekst, głoszący, iż Joseph Meromo został skazany na śmierć za swą chciwość. Oglądał holo tragedii „Titanica” i nagle widział kolejny wariant Kataklizmu z Olduwai.

Wreszcie udał się do psychiatry, a ponieważ był Masajem, wybrał psychiatrę-Masaja. Obawiając się pogardy lekarza, Meromo nie wyjaśnił wprost, co powoduje koszmary i wizje, i po pół roku próżnych trudów i daremnych prób uleczenia choroby psychiatra oznajmił, że nic więcej nie może zrobić.

– Zatem już na zawsze jestem skazany na te sny? – spytał Meromo.

– Może nie – odparł psychiatrę. – Ja nie potrafię panu pomóc, ale możliwe, że istnieje ktoś, kto to umie. Pogrzebał w biurku i wyjął małą białą wizytówkę. Widniało na niej tylko jedno słowo: MULEWO.

– To jego karta wizytowa – oznajmił lekarz. – Proszę ją wziąć.

– Nie ma na niej adresu, nic – stwierdził Meromo. – Jak mam się z nim skontaktować?

– On się z panem skontaktuje.

– Poda mu pan moje nazwisko?

Psychiatrę potrzęsła głową.

– Nie muszę. Proszę po prostu trzymać tę kartę przy sobie. Będzie wiedział, że potrzebuje pan jego usług.

Meromo miał wrażenie, że stał się ofiarą żartu, którego sam nie rozumie. Posłusznie wsunął wizytówkę do kieszeni i szybko o niej zapomniał

Dwa tygodnie później, kiedy pił drinka w barze, jak najdłużej odwołując powrót do domu i snów, podeszła do niego drobna kobieta.

– Czy pan jest Josephem Meromo? – spytała.

– Tak.

– Proszę za mną.

– Po co? – zapytał podejrziwie.

– Ma pan sprawę do Mulewo, prawda?

Meromo ruszył za nią. Kierowała nim nie tylko nadzieja, że ów

tajemniczy człowiek bez imienia zdoła mu pomóc, ale też niechęć do powrotu do domu. Wyszli na ulicę, skręcili w lewo, w milczeniu pokonali trzy przecznice i znów skręcili, tym razem w prawo, zatrzymując się przed drzwiami wieżowca ze szkła i stali.

– Sześćdziesiąte trzecie piętro – powiedziała. – Oczekuje pana.

– Nie idzie pani ze mną?

Pokręciła przecząco głową.

– Zrobiłam już swoje. – Odwróciła się i odeszła w noc.

Meromo zadzierając głowę przyjrzał się budynkowi. Wyglądał na mieszkalny. Zastanowił się chwilę, wzruszył ramionami i wszedł do westybulu.

– Pan do Mulewo – powiedział portier. To nie było pytanie. – Winda po lewej.

Meromo posłuchał. W wyłożonej nawoskowanymi drewnianymi płytami windzie panował miły, świeży zapach. Wyposażono ją w czujnik komend głosowych i szybko zawiozła go na sześćdziesiąte trzecie piętro. Po wyjściu z windy znalazł się na elegancko urządzonej korytarzu. Nad hebanową boazerią dyskretnie rozmieszczono lustra. Minął trzy mieszkania bez wizytówek, zastanawiając się, jak ma poznać, które z nich należy do Mulewo, aż w końcu dostrzegł lekko uchylone drzwi.

– Wejść, Josephie Meromo – polecił dobiegający ze środka ochrypły głos. Meromo szerzej otworzył drzwi, wszedł do mieszkania i zamarł.

Na podartym dywaniku siedział stary mężczyzna, odziany jedynie w sztukę czerwonego materiału, zebraną na ramieniu. Ściany pokryto matami z trzciny, nad kominkiem bulgotał kociołek, z którego unosiła się ostra, nieprzyjemna woń. Jedyne oświetlenia dostarczało dymiące lucywo.

– Co to ma być? – spytał Meromo, gotów uciec na korytarz, gdyby starzec okazał się równie dziwny, jak jego otoczenie.

– Chodź, usiądź naprzeciw mnie, Josephie Meromo – powiedział starzec. – Z pewnością jest to mniej straszne niż twoje koszmary.

– Co wiesz o moich koszmarach? – zapytał ostro Meromo.

– Wiem, że je masz. Wiem też, co leży zagrzebane na dnie Wąwozu Olduwai.

Meromo szybko zamknął drzwi.

– Kto ci powiedział?

– Nikt. Zjrzałem w twoje sny i przesiałem je, póki nie odnalazłem prawdy. Chodź, siadaj.

Meromo podszedł do miejsca, które wskazał mu stary człowiek, i ostrożnie usiadł, starając się jak najmniej zabrudzić świeżo wyprasowane ubranie.

– Ty jesteś Mulewo? – spytał. Starzec przytaknął.

– Ja jestem Mulewo.

– Skąd tyle o mnie wiesz?

– Jestem laibonem – oznajmił Mulewo.

– Szamanem?

– To ginąca sztuka. Tylko ja jeszcze ją uprawiam.

– Sądziłem, że laibonowie rzucają zaklęcia i szykują uroki.

– Także zdejmują kłutwy – a twoje noce, i nawet dni, są przecież przeklęte, prawda?

– Zdaje się, że sam wszystko wiesz.

– Wiem, że zrobiłeś coś złego i że prześladowuje cię nie tylko zjawa własnego uczynku, ale też widma przyszłości.

– A ty potrafisz odegnać te sny?

– Dlatego właśnie wezwałem cię do siebie.

– Ale jeśli postąpiłem tak okropnie, czemu chcesz mi pomóc?

– Nie zajmuję się osądami moralnymi. Jestem tu tylko po to, by pomagać Masajom.

– A co z Masajami mieszkającym przy wąwozie? – spytał Meromo. – Tymi, którzy nawiedzają moje sny?

– Kiedy poproszą o pomoc, pomogę i im.

– Możesz sprawić, by zakopane tam materiały zniknęły?

Mulewo potrząsnął głową.

– Nie potrafię odmienić tego, co zostało uczynione. Nie umiem nawet złagodzić twojego poczucia winy. Mogę tylko przegnać je z twych snów.

– To mi wystarczy.

Zapadła krępująca cisza.

– Co teraz? – spytał w końcu Meromo.

– Przynies mi ofiarę, odpowiadającą rozmiarowi przysługi, jakiej oczekujesz.

– Mogę od razu wypisać czek albo przelać pieniądze bezpośrednio na twoje konto.

– Mam więcej pieniędzy, niż potrzebuję. Muszę dostać ofiarę.

– Ale...

– Przynieś ją. Jutro wieczorem – dodał Mulewo.

Meromo przez długą chwilę przyglądał się staremu laibonowi, po czym wstał i wyszedł bez słowa. Następnego ranka zadzwonił do pracy, informując, że jest chory, i odwiedził dwa najlepsze sklepy z antykami w Dodomie. Wreszcie znalazł to, czego szukał, potrącił należność z osobistego rachunku i zabrał przedmiot do domu. Bał się zdrzemnąć po obiedzie, toteż całe popołudnie czytał książkę i po zjedzeniu pospiesznego posiłku wrócił do mieszkania Mulewo.

– Co mi przyniosłeś? – spytał szaman. Meromo położył przed starcem paczkę.

– Nakrycie głowy ze skóry lwa – odparł. – Podobno kiedyś nosił je sam Sendayo, największy ze wszystkich laibonów.

– Nie nosił – przerwał mu Mulewo, nie rozwijając papieru. – Niemniej to stosowna ofiara. – Sięgnął pod czerwoną tkaninę i wyciągnąwszy mały naszyjnik podał go Meromo.

– Po co to? – spytał tamten, oglądając naszyjnik. Zrobiono go z małych kostek połączonych drutem.

– Musisz założyć go dziś przed snem – wyjaśnił starzec. – Wchłonie twoje wizje. Potem, jutro, pojedziesz nad Wąwóz Olduwai i ciśniesz go na dno, aby wizje spoczęły obok rzeczywistości.

– I to wszystko?

– To wszystko.

Meromo wrócił do swego mieszkania, założył naszyjnik i poszedł spać. Tej nocy jego sny były gorsze niż kiedykolwiek przedtem.

Rano wsunął naszyjnik do kieszeni i poleciał rządowym samolotem do Arushy. Tam wynajął pojazd naziemny i w dwie godziny później stał już na szczycie urwiska. Nie dostrzegł nawet śladu zagrzebanych pojemników.

Ścisnął w dłoni naszyjnik, po czym cisnął go daleko w głąb wąwozu. Tej nocy jego koszmary zniknęły.

Sto trzydzieści cztery lata później potężna Kilimandżaro zadrżała w

posadach, gdy od dawna uśpiony wulkan na krótko przebudził się do życia. Sto mil dalej ziemia na dnie Wąwozu Olduwai osunęła się i trzy wyłożone ołowiem pojemniki pękły.

Joseph Meromo od dawna już nie żył i, na nieszczęście, nie było też żadnych laibonów, którzy pomogliby ludziom, przeżywającym jego nagle urzeczywistnione koszmary.

\* \* \*

Badanie naszyjnika przeprowadziłem we własnej kwaterze, a kiedy ją opuściłem, by zameldować o moich odkryciach, stwierdziłem, że w całym obozie panuje gorączkowe podniecenie.

– Co się stało? – spytałem Bellidorego.

– Egzobiolog nie wróciła z wąwozu – odrzekł.

– Od jak dawna jej nie ma?

– Wyruszyła wczoraj o zachodzie słońca. Jest już ranek, a ona nie wróciła ani nie próbowała użyć komunikatora.

– Boimy się... – ... że mogła... – ...upaść i... – ...gdzieś utknąć. Albo nawet... – ...stracić przytomność – dodały Bliźnięta Gwiazdny Pył.

– Wysłałem Historyka i Znacwę na poszukiwania – oznajmił Bellidore.

– Ja też mógłbym pomóc – zaproponowałem.

– Nie, ty masz do zbadania ostatni przedmiot – odparł. – Kiedy Moriteu się obudzi, pošlę także je.

– A Mistyczka? – spytałem.

Bellidore spojrzał na nią i westchnął.

– Od chwili lądowania na tej planecie nie odezwała się nawet słowem. Prawdę mówiąc, nie rozumiem jej funkcji w zespole. A zresztą i tak nie wiem, jak się z nią porozumieć.

Bliźnięta Gwiazdny Pył razem kopnęły z irytacją ziemię, wzbijając parę obłoczków rdzawego kurzu.

– To śmieszne... – powiedział jeden. – ... że potrafimy znaleźć nawet najmniejszy przedmiot... – dodał drugi. – ...ale nie umiemy odszukać... – ...całej Egzobiolog.

– Czemu nie pomożecie w poszukiwaniach? – spytałem.

– Cierpią na lęk wysokości – wyjaśnił Bellidore.

– Przeszukaliśmy... – ...cały obóz – broniły się Bliźnięta.



– Mogę odłożyć wchłonięcie kolejnego znaleziska do jutra i pomóc – zaproponowałem.

– Nie – nie zgodził się Bellidore. – Wezwałem już statek. Jutro odlatujemy i chcę, abyśmy do tego czasu zakończyli badanie wszystkich obiektów. Odnalezienie Egzobiolog to moje zadanie; twoim jest odczytanie historii ostatniego znaleziska.

– Skoro tak sobie życzysz. Gdzie ono jest?

Poprowadził mnie do stołu, gdzie Historyk i Znamca oglądali wcześniej przedmiot.

– Nawet ja wiem, co to jest – oznajmił Bellidore. – Nie wystrzelony pocisk. – Urwał. – Zważywszy, że w wyższych warstwach nie znaleźliśmy żadnych innych ludzkich śladów, powiedziałbym, że to niepowtarzalne znalezisko: kula, której człowiek postanowił nie wystrzelić.

– Rzeczywiście, jeśli spojrzeć nań pod takim kątem, może budzić ciekawość – odrzekłem.

– Czy zamierzasz... – ...rozpocząć badania... – ...już w tej chwili? – spytały z lękiem Bliźnięta Gwiazdny Pył.

– Owszem.

– Zaczekaj! – krzyknęły unisono.

Zamarłem nad pociskiem, one zaś poczęły cofać się powoli.

– Nie chcemy... – ...cię urazić... – ...ale twoje badanie znalezisk... – ...jest zbyt niepokojące.

To rzekłszy odbiegły, kryjąc się za jednym z zabudowań obozu.

– A ty? – zapytałem Bellidorego. – Czy wolisz, abym wstrzymał się do twojego odejścia?

– Ależ nie. Odmienność gatunkowa fascynuje mnie. Za twoim pozwoleniem chciałbym zostać i obserwować cały proces.

– Jak sobie życzysz – powiedziałem. Moje ciało rozplynęło się wokół pocisku, póki nie stał się częścią mnie, a jego historia – moją własną historią, jasną i wyraźną, jakby wszystko zdarzyło się wczoraj...

\* \* \*

– Nadchodzą!

Thomas Naikosiai spojrział na siedzącą naprzeciwko żonę.

– Czy choć przez moment wątpiłaś, że przyjdą?

– To było głupie, Thomas! – warknęła. – Teraz zmuszą nas do odejścia, a ponieważ nie poczyniliśmy żadnych przygotowań, będziemy musieli zostawić cały nasz dobytek.

– Nikt nie odchodzi – oznajmił Naikosiai. Wstał i podszedł do szafy.

– Zostań tutaj – polecił, nakładając długi płaszcz i maskę. – Spotkam się z nimi na zewnątrz.

– To zarówno niegrzeczne, jak i okrutne, kazać, by stali na dworze, skoro przebyli tak długą drogę.

– Nie zapraszałem ich – oznajmił Naikosiai. Sięgnął głęboko do szafy i chwycił opartą o ścianę strzelbę. Następnie zamknął drzwi, skierował się do słuzy i wyszedł na werandę. Stało tam sześciu mężczyzn odzianych w stroje ochronne i filtrujące powietrze maski.

– Już czas, Thomasie – powiedział najwyższy z nich.

– Może na was – odparł Naikosiai, od niechcenia przyciskając strzelbę do piersi.

– Czas na nas wszystkich – rzekł wysoki mężczyzna.

– Nigdzie się nie wybieram. To mój dom. Nie porzucę go.

– Jest tylko wrzodem na gnijącym, skażonym ciele tego kraju – padła odpowiedź. – Wszyscy stąd odchodzimy.

Naikosiai potrząsnął głową.

– Mój ojciec urodził się na tej ziemi, podobnie jak jego ojciec i ojciec jego ojca. Wy możecie sobie uciekać przed niebezpieczeństwem, jeśli chcecie; ja zostanę i będę walczył.

– Jak chcesz pokonać promieniowanie? – spytał ostro wysoki mężczyzna. – Czy możesz je zastrzelić? Jak zamierzasz walczyć z powietrzem, którym nie da się już oddychać?

– Więc odejdźcie – rzekł Naikosiai. Nie potrafił odpowiedzieć na ich pytania, wiedział jednak, że nigdy nie porzuci domu. – Nie żądam, abyście zostali. Nie wymagajcie, abym poszedł z wami.

– To dla twojego dobra, Naikosiai – wtrącił inny mężczyzna. – Jeśli nie dbasz o własne życie, pomyśl o żonie. Jak długo jeszcze będzie mogła oddychać tym powietrzem?

– Dostatecznie długo.

– Może niech ona sama podejmie decyzję?

– Przemawiam w imieniu całej rodziny.

Z grupy wystąpił starszy mężczyzna.

– Ona jest moją córką, Thomasie – oznajmił surowo. – Nie pozwolę, żebyś skazał ją na życie, które sam sobie wybrałeś. Nie zgodzę się też, aby zostali tu moi wnukowie. Stary człowiek postąpił kolejny krok w stronę werandy i nagle ujrzał wycelowaną w siebie lufę strzelby.

– Nie zbliżaj się – uprzedził Naikosiai.

– Są Masajami – nie ustępował stary. – Muszą udać się wraz z innymi Masajami na nasz nowy świat.

– Wy nie jesteście Masajami – rzucił z pogardą Naikosiai. – Masajowie nie porzucili swej ojczyzny, kiedy zaraza bydłęca zniszczyła ich stada, ani kiedy przybyli biali ludzie, ani gdy rządy sprzedały ich ziemię. Masajowie nigdy się nie poddają. Ja jestem ostatnim Masajem.

– Bądź rozsądny, Thomasie. Jak możesz nie poddać się światu, na którym ludzie nie mogą dłużej bezpiecznie żyć? Leć z nami na Nową Kilimandżaro.

– Masajowie nie uciekają przed niebezpieczeństwem – odparł Naikosiai.

– Powtarzam, Thomasie Naikosiai, że nie pozwolę, abyś skazał moją córkę i wnuków na życie w tym piekle. Ostatni statek startuje jutro rano. Będą na jego pokładzie.

– Zostaną ze mną, żeby stworzyć nowy naród masajski.

Szóstka mężczyzn poszeptła między sobą i ich przywódca spojrział na Naikosiaiego.

– Popelniasz straszny błąd, Thomasie – rzekł. – Gdybyś zmienił zdanie, czeka na ciebie miejsce na statku.

Odwrócili się, by odejść, lecz stary człowiek przystanął i popatrzył na Naikosiaiego.

– Wróć po moją córkę – oświadczył. Naikosiai machnął strzelbą.

– Będę czekał.

Starzec odwrócił się i ruszył za pozostałymi, a Naikosiai przez służę wrócił do domu. Wykładana glazurą podłoga cuchnęła środkiem odkażającym, a widok telewizora jak zawsze obrażał jego oczy. Żona czekała na niego w kuchni wśród dziesiątków gadżetów, które kupiła przez te wszystkie lata.

– Jak możesz zwracać się do Starszych z takim brakiem szacunku? –

spytała gwałtownie. – Zhańbiłeś nas!

– Nie! – warknął. – To oni zhańbili nas swym odejściem!

– Thomasie, nasze pola stały się jałowe. Wszystkie zwierzęta wyginęły. Nie da się nawet oddychać powietrzem bez maski. Czemu upierasz się, by zostać?

– To ziemia naszych przodków. Nie porzucimy jej.

– Ale wszyscy pozostali...

– Mogą robić, co zechcą – przerwał jej. – En-kai ich osądzi, podobnie jak nas wszystkich. Nie boję się spotkania z moim stwórcą.

– Czemu jednak musisz spotkać go tak wcześnie? – nalegała. – Oglądałeś taśmy i dyski z Nowej Kilimandżaro. To piękny świat, złocisty i zielony, pełen rzek i jezior.

– Kiedyś Ziemia także była złocista i zielona, pełna rzek i jezior – odparł Naikosiai. – Zrujnowali ten świat. Zniszczą też następnym.

– Nawet jeśli to uczynią, my już dawno umrzemy. Chcę lecieć.

– Już o tym rozmawialiśmy.

– I nasze dyskusje zawsze kończyły się poleceniem, nie racjonalnym argumentem. – Jej twarz złagodniała. – Thomasie, przed śmiercią chciałabym choć raz ujrzeć wodę, którą można pić, nie dodając do niej chemikaliów. Chciałabym zobaczyć antylopy, pasące się na długiej, zielonej trawie. Chciałabym przespacerować się przed domem bez konieczności chronienia się przed zabójczym powietrzem.

– Decyzja już zapadła.

Kobieta potrząsnęła głową.

– Kocham cię, Thomasie, ale nie mogę tu zostać, i nie pozwolę, by zostały też moje dzieci.

– Nikt nie odbierze mi synów! – ryknął.

– Tylko dlatego, że nie dbasz o swoją przyszłość, nie możesz pozbawiać jej naszych dzieci.

– Ich przyszłość jest tu, gdzie zawsze żyli Masajowie.

– Proszę, tato, chodź z nami – powiedział cichy głosik, dobiegający zza jego pleców. Naikosiai obrócił się i ujrzał swych dwóch synów, ośmioletka i pięcioletka, stojących w drzwiach sypialni. Obaj przyglądali mu się.

– Co im opowiadałaś? – zapytał podejrzliwie.

– Prawdę – odparła jego żona.

Naikosiai ponownie odwrócił się do chłopców.

– Podejdźcie tu – polecił i podreptali ku niemu przez pokój.

– Kim jesteście? – spytał.

– Chłopcami – odpowiedział młodszy.

– Kim jeszcze?

– Masajami – odrzekł starszy.

– Zgadza się – oświadczył Naikosiai. – Wywodzicie się z rasy olbrzymów. Gdybyście wspięli się na szczyt Kilimandżaro, ujrzelibyście stamtąd ogromny szmat ziemi. Kiedyś jak okiem sięgnąć należała ona do nas.

– Ale to było bardzo dawno temu – zauważył starszy chłopiec.

– Któregoś dnia znów będzie nasza. Musisz pamiętać o swych korzeniach, synu. Jesteś potomkiem Leeyo, który zabił swą włócznie setkę lwów; Neliona, który wypowiedział wojnę białym i przegnał ich ze Szczeliny, Sendayo, największego ze wszystkich laibonów. Kiedyś Kikuju, Wakamba i Lumbwa drżeli ze strachu na samo wspomnienie słowa Masajowie. To twoje dziedzictwo; nie odrzucaj go.

– Ale Kikuju i pozostałe szczepy już odeszli.

– Co to za różnica dla Masajów? Nie stawaliśmy jedynie przeciw Kikuju i Wakambom, ale przeciw wszystkim, którzy pragnęli zmienić nasze zwyczaje. Nawet gdy Europejczycy podbili Kenię i Tanganikę, nigdy nie pokonali Masajów. Kiedy nadeszła Niepodległość, a pozostałe szczepy przeniosły się do miast, przywdziały garnitury i zaczęły małpować Europejczyków, my się nie zmieniliśmy. Nosiliśmy własne stroje i żyliśmy własnym życiem, bo byliśmy dumni z tego, że jesteśmy Masajami. Czy to nic dla was nie znaczy?

– Jeżeli jednak odlecimy na nowy świat, czyż nie pozostaniemy Masajami? – spytał starszy z chłopców.

– Nie – odrzekł stanowczo Naikosiai. – Między Masajami i ich ziemią istnieje nierozzerwalna więź. My określamy nasz kraj, a on określa nas. To o niego zawsze walczyliśmy, to jego broniliśmy przed obcymi.

– Ale teraz jest zupełnie zniszczony.

– Porzucilibyście mnie, gdybym zachorował?

– Nie, tato.

– I tak jak nie opuścilibyście w chorobie mnie, nie opuścimy naszej

chorej ziemi. Kiedy coś kochamy, gdy to coś staje się częścią nas samych, nie opuszczamy go tylko dlatego, że choruje. Zostajemy i walczymy, by znów to uzdrowić, tak jak kiedyś walczyliśmy, aby je zdobyć.

– Ale...

– Wierście mi – przerwał synowi Naikosiai. – Czy kiedykolwiek was okłamałem?

– Nie, tato.

– Nie kłamie też teraz. Jesteśmy ludem wybranym przez Enkai. Mieszkamy na ziemi, którą On nam podarował. Nie rozumiecie, że musimy tu zostać, musimy dotrzymać przymierza z En-kai?

– Ale to znaczy, że już nigdy nie zobaczę moich przyjaciół! – jęknął młodszy syn.

– Znajdziesz sobie nowych.

– Gdzie? – zapłakał chłopiec. – Wszyscy odeszli!

– Przestań natychmiast! – rozkazał ostro Naikosiai. – Masajowie nie płaczą. Chłopiec nadal szlochał i Naikosiai spojrział na swą żonę.

– To twoja sprawka – rzekł. – Zepsułaś go.

Patrzyła mu prosto w oczy, nie odwracając wzroku.

– Pięcioletnim dzieciom wolno płakać.

– Nie dzieciom Masajów.

– Zatem nie jest już Masajem i nie powinieneś się sprzeciwiać, kiedy odejdzie ze mną.

– Ja też chcę iść! – zawołał ośmiolatek i nagle po jego policzkach także popłynęły wymuszone łzy.

Thomas Naikosiai przyjrzał się swojej żonie i dzieciom – naprawdę im się przyjrzał – i pojął, że w istocie wcale ich nie zna. To już nie była łagodna dziewczyna, wychowana zgodnie z tradycją ich ludu, którą poślubił przed dziewięciu laty. Ci zapłakani, rozpieszczeni chłopcy nie byli potomkami Leeyo i Nlionia.

Podszedł do drzwi i otworzył je na oścież.

– Odejdźcie do swego nowego świata razem z resztą czarnych Europejczyków – warknął.

– Czy pójdziesz z nami? – spytał starszy chłopiec. Naikosiai odwrócił się do żony.

– Rozwodzę się z tobą – oznajmił zimno. – Odtąd nic już nas nie łączy.

Podszedł do dzieci.

– Wyrzekam się was. Nie jestem już waszym ojcem ani wy – moimi synami. A teraz idźcie!

Żona założyła chłopcom maski i płaszcze, po czym także przywdziała strój ochronny.

– Przed świtem przyślę kogoś po moje rzeczy – powiedziała.

– Jeżeli ktokolwiek stanie na mojej ziemi, zabiję go – odparł Naikosiai.

Popatrzyła na niego z czystą, nieklamaną nienawiścią. Następnie wzięła dzieci za ręce i wyprowadziła je z domu na drogę, prowadzącą do czekającego w dali statku.

Przez kilka minut Naikosiai, wściekły, krążył po domu. W końcu podszedł do szafy, nałożył płaszcz i maskę, wyciągnął strzelbę i wyszedł na dwór. Widoczność była raczej kiepska, toteż ruszył w stronę drogi, żeby sprawdzić, czy nikt się nie zbliża. Nie dostrzegłszy żadnego poruszenia, poczuł niemal zawód.

Zamierzał pokazać im, jak Masaj chroni swoją własność. I nagle zrozumiał, że Masajowie nie tak bronili swego.

Podszedł na skraj wąwozu, odsunął zamek strzelby i wyrzucił w przepaść pociski – jeden po drugim. Potem uniósł nad głowę broń i cisnął ją ich śladem. Następnie zniknął płaszcz, po nim maska, wreszcie ubranie i buty.

Wrócił do domu i wyciągnął na środek specjalną skrzynię, w której przechowywał najcenniejsze pamiątki. Tam właśnie znalazł to, czego szukał: prosty kawałek czerwonej tkaniny. Podpiął ją na ramieniu.

W łazience dokonał przeglądu kosmetyków żony. Dopiero po pół godzinie zdołał dobrać właściwą kombinację, ale gdy wyszedł, jego włosy były czerwone, jakby wymazane gliną. Przystanął przy kominku i zdjął wiszącą nad nim włócznię. Rodzinna tradycja głosiła, że kiedyś służyła samemu Nelionowi; nie do końca w to wierzył, lecz niewątpliwie była to broń Masaja, skrwawiona w wielu bojach i polowaniach dawno minionych stuleci.

Naikosiai przeszedł przez służę i stanął przed swym domem – swoją manyattą. Bose stopy wsparł w schorowaną ziemię, drzewce włóczni spoczęło obok prawej nogi, i stał tak, czujnie pełniąc straż. Cokolwiek nadejdzie tą drogą – banda czarnych Europejczyków, zamierzających

okraść go z jego własności, powracający z przeszłości lew, grupa Nandich bądź Lumbwów, przybywających zabić nieprzyjaciela swego szczerpu – zastanie go gotowego.

Wrócili tuż po wschodzie słońca licząc, że zdołają go przekonać do emigracji na Nową Kilimandżaro, i zastali ostatniego Masaja z płucami rozsadzonymi przez zatrute powietrze. Jego martwe oczy patrzyły dumnie w dal, gdzie niegdyś rozciągała się sawanna, wypatrując wroga, którego tylko on mógł dostrzec.

\* \* \*

Wypuściłem pocisk, krańcowo wyczerpany; siła niemal mnie opuściła, emocje osłabły.

A zatem tak zakończyła się historia Człowieka na Ziemi, niecałą milę od miejsca, w którym się kiedyś zaczęła. Tak odważnie i głupio, moralnie i bezwzględnie. Miałem nadzieję, że ostatnie znalezisko uzupełni układankę; zamiast tego powiększyło tylko zbiór tajemnic związanych z tą najbardziej waleczną i fascynującą z ras.

Nic nie wykraczało poza ich możliwości. Można by sądzić, że od chwili, kiedy pierwszy pierwotny człowiek uniósł wzrok i ujrzał gwiazdy, dni galaktycznego pokoju i wolności były policzone. A przecież wyruszyli do gwiazd nie tylko ze swą żądzą, lękami i nienawiścią, ale też przynosząc nowe technologie i medycynę; nie tylko łotrzy, ale i bohaterowie.

Większość ras galaktyki zostało nakreślonych przez Stwórcę w pastelowych barwach; Ludzie płonęli całą gamą jaskrawych kolorów.

Wróciłem do swej kwatery, aby odzyskać siły. Miałem wiele do przemyślenia. Nie wiem, jak długo leżałem, senny i nieruchomy, gromadząc energię, musiało jednak upłynąć sporo czasu, bo noc nadeszła i minęła, nim w końcu poczułem się gotów do spotkania z resztą zespołu.

Kiedy opuściłem kwaterę i skierowałem się na środek obozu, usłyszałem krzyk od strony wąwozu. W chwilę później pojawił się Znamca wiozący na wózkolocie wielki, sterylny worek.

– Co znalazłeś? – spytał Bellidore i nagle przypomniałem sobie, że Egzobiolog zaginęła.



– Niemal obawiam się zgadywać – odparł Znaczący, kładąc worek na stole.

Wszyscy członkowie wyprawy zgromadzili się wokół, on zaś zaczął wyciągać kolejne przedmioty: zakrwawiony komunikator, pogięty i zniszczony; połamany latający parawan, którym Egzobiolog osłaniała głowę przed promieniami słońca; oddarty strzępek tkaniny; i wreszcie błyszczącą białą kość.

W chwili, gdy kość znalazła się na stole, Mistyczka zaczęła krzyżeć. Wszyscy zamarli, wstrząśnięci nie tylko nagłośnią jej reakcji, ale też ponieważ od chwili, gdy dołączyła do naszego zespołu, po raz pierwszy dała jakikolwiek znak życia. Mistyczka dalej wpatrywała się w znalezisko i krzyżała, aż w końcu, zanim zdążyliśmy ją przepytąć albo usunąć jej z oczu kość, straciła przytomność.

– Nie sądzę, aby istniały wątpliwości co do tego, co się stało – oznajmił Bellidore. – Stworzenia napadły na Egzobiolog w drodze w głąb wąwozu i zabiły ją.

– Prawdopodobnie także... – ...zjadły – dodały Bliźnięta Gwiazdny Pył.

– Cieszę się, że odlatujemy stąd jeszcze dzisiaj – ciągnął dalej Bellidore. – Nawet po tysiącach lat duch Człowieka nadal zatruwa i niszczy ten świat. Te niezdarne stworzenia w żadnym razie nie są drapieżnikami; na Ziemi nie pozostały żadne mięsożerne zwierzęta. Lecz kiedy nadarzyła się sposobność, zaatakowały Egzobiolog i pożarły jej ciało. Mam niepokojące przeczucie, że gdybyśmy zostali tu dłużej, nas także zatrułoby barbarzyńskie dziedzictwo tej planety.

Mistyczka odzyskała przytomność i natychmiast znów zaczęła krzyżeć. Bliźnięta Gwiazdny Pył odprowadziły ją łagodnie do kwatery i podały jej środek uspokajający.

– Równie dobrze możemy stwierdzić to oficjalnie. – Bellidore odwrócił się do Historyka. – Zechciej proszę zbadać tę kość swoimi instrumentami i upewnić się, że to rzeczywiście szczątek Egzobiolog.

Historyk, do głębi wstrząśnięty, patrzył na kość.

– Była moją przyjaciółką! – powiedział wreszcie. – Nie mogę tego dotknąć, jakbym miał do czynienia z jeszcze jednym okazem.

– Musimy się upewnić – nalegał Bellidore. – Jeżeli to nie część Egzobiolog, istnieje nadal szansa, choćby nie wiem, jak nikła, że twoja

przyjaciółka wciąż żyje.

Historyk z wahaniem sięgnął po kość, po czym gwałtownie cofnął rękę.

– Nie mogę!

W końcu Bellidore zwrócił się do mnie.

– Ty, Który Widzisz – rzekł – czy starczy ci sił, aby to zbadać?

– Tak – odpowiedziałem.

Wszyscy cofnęli się, robiąc mi miejsce, ja zaś pozwoliłem, by moje ciało powoli pokryło kość i ogarnęło ją całą. Wchłonawszy jej historię i przetrawiwszy ślady emocji, wypuściłem ją.

– To Egzobiolog – oznajmiłem.

– Jakie są pogrzebowe zwyczaje jej rasy? – zapytał Bellidore.

– Kremacja – wyjaśnił Znaczący.

– Rozpalmy zatem ogień i oddajmy mu to, co zostało z naszej przyjaciółki. Każdy z nas poświęci jej modlitwę, aby jej dusza mogła wyruszyć w podróż Wieczną Ścieżką.

Tak też uczyniliśmy.

Statek wylądował jeszcze tego samego dnia i zabrał nas z planety. Dopiero teraz, w bezpiecznej odległości, gdzie nie grozi nam już jej wpływ, mogę odtworzyć to, czego dowiedziałem się ostatniego ranka.

Okłamałem Bellidorego – i całą grupę – bo kiedy dokonałem odkrycia, wiedziałem, że przede wszystkim mam obowiązek jak najszybciej zabrać ich z Ziemi. Gdybym powiedział prawdę, jeden lub kilku z nich chciałoby zostać na miejscu, są bowiem naukowcami o bystrych, ciekawych umysłach – ja zaś nigdy nie zdołałbym ich przekonać, że bystry, ciekawy umysł nie może mierzyć się z tym, co odkryłem podczas mojego siódmego i ostatniego spojrzenia na Wąwóz Olduwai.

Kość nie była częścią szkieletu Egzobiolog. Historyk, a nawet Moriteu, zorientowałiby się natychmiast, lecz przerażenie nie pozwoliło im jej zbadać. To była pieszczel Człowieka.

Ludzka rasa wymarła przed pięcioma tysiącami lat – przynajmniej taka, jaką znaleźliśmy ją my, obywatele galaktyki. Lecz te niezgrabne, brzydkie nocne stworzenia, które tak pociągały nasze ogniska... – oto, czym stał się Człowiek. Nawet zanieczyszczenia i promieniowanie, którymi skaził swą własną planetę, nie zdołały go zabić. Odmieniły tylko

jego postać do tego stopnia, że nie potrafiliśmy już dłużej jej rozpoznać.

Mogłem oczywiście podać im gołe fakty: że szczep tych pseudo-Ludzi zakradł się śladem Egzobiolog w głąb wąwozu, a potem zaatakował ją, zabił i, owszem, pożarł. Galaktyka zna wielu drapieżników.

Ale gdy zjednoczyłem się z pieszczelą, gdy ujrzałem, jak raz za razem opada na głowę i ramiona naszej towarzyszki, ogarnęło mnie poczucie mocy i radości, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyłem. Nagle wydało mi się, że spoglądam na świat oczami właściciela kości.

Zobaczyłem, jak zabił własnego towarzysza, aby stworzyć sobie broń, ujrzałem, jak planuje ograbić ciała starych i słabych, by zdobyć więcej broni, dostrzegłem wizje podbojów innych plemion, żyjących w pobliżu wąwozu.

Aż wreszcie, w chwili triumfu, on i ja spojrzeliśmy w niebo i wiedzieliśmy, że kiedyś wszystko, co widzimy, będzie należało do nas.

Z taką to wiedzą żyję od dwóch dni. Nie wiem, z kim mógłbym się nią podzielić, jest bowiem rzeczą z gruntu niemoralną eksterminować całą rasę jedynie z powodu śmiałości ich marzeń i bezwzględności ambicji. Jednak ta rasa uparcie nie chce umrzeć i muszę jakoś ostrzec nas wszystkich, od prawie pięciu tysiącleci żyjących w pokoju i harmonii.

To jeszcze nie koniec.

# Łowy na Snarka

*Hunting the Snark*, przeł. Anna Klimasara  
Nominacja Hugo, 1999

Uwierzcie mi, spodziewaliśmy się znaleźć tam wszystko, tylko nie Snarka.

I jestem równie pewien, że on także spodziewał się spotkać wszystko, tylko nie nas. Chciałbym powiedzieć, że zareagowaliśmy w połowie tak dobrze, jak on. Ale może lepiej zacznę od początku. Nie bójcie się – do Snarka dotrę wystarczająco szybko.

Nazywam się Karamojo Bell. (No, naprawdę to Daniel Mathias Bellman. Nigdy nie byłem bliżej okręgu Karamojo na Ziemi niż pięć tysięcy lat świetlnych. Ale kiedy odkryłem, że jestem dalekim potomkiem legendarnego myśliwego, postanowiłem przyjąć jego imię – pracuję w tym samym zawodzie i liczyłem na to, że imię zrobi wrażenie na klientach.)

Okazało się, że nie miałem racji – spotkałem tylko trzy osoby, które w ogóle o nim słyszały i żadna nie pojechała ze mną na safari. Imię jednak zatrzymałem. Danielów kręci się wszędzie masa, ja jestem jedynym Karamojo.)

Pracowałem wtedy dla firmy Silinger & Mahr, najstarszej i najbardziej znanej z firm organizujących safari. Silinger zmarł wprawdzie sześćdziesiąt trzy lata temu, a Mahr poszedł za nim sześć lat później i teraz firmą zarządza anonimowa korporacja z Delurosa VIII, ale mieli z tą nazwą więcej szczęścia niż ja z moją, więc nigdy jej nie zmienili.

Byliśmy najdroższą firmą w tej branży, jednak byliśmy warci tej ceny. Całe tysiąclecia polowano na setkach światów, ale ludzie z forszą zawsze zapłacą, żeby zostać pierwszymi na terenach, na których nikt nie postawił stopy. Kilka lat temu firma wykupiła koncesję myśliwską na dziesięć planet w nowo otwartym skupisku Albion i tylu naszych klientów chciało być pierwszymi myśliwymi na dziewiczych światach, że musieliśmy urządzać loterię. Firma zgodziła się wysłać jednego zawodowego myśliwego na każdy świat z czteroosobową wyprawą, a

opłata wynosiła (uwaga!) dwadzieścia milionów kredytów. Albo osiem milionów dolarów Marii Teresy, jeśli ktoś niezbyt wierzy w kredyty – a tam, na Pograniczu, niewielu w nie wierzy.

My, zawodowcy, pragnęliśmy polować na dziewiczych światach równie mocno jak klienci. Planety przydzielano nam zgodnie ze starszeństwem, więc, jako siódmego w kolejności, wysłano mnie na Dodgsona IV, świat nazwany na cześć kobiety, która pierwsza sporządziła jego mapę kilkanaście lat temu. Dziewięciu z nas miało kompletne wyprawy. Dziesiąty miał jednoosobową – niezwykle bogatego faceta, który nie lubił się dzielić.

O jednym trzeba pamiętać – nie prowadziłem tego safari sam. Oczywiście, ja tam rządziłem, ale miałem przy sobie ekipę dwunastu błękitnoskórych, humanoidalnych Dabihów z Kakkaba Kastu IV. Czterech nosiło za klientami strzelby (ja nie miałem takiego – nikomu nie powierzam mojej broni). Był jeszcze wśród nich kucharz, trzech oprawiaczy skór (a do obdarcia ze skóry nieznanego zwierzęcia tak, by jej nie uszkodzić, trzeba dużo większej wprawy, niż mogłoby się zdawać) i trzech obozowych posługaczy. Dwunasty był moim stałym tropicielem, którego imię – Chajinka – brzmiało dla mnie zawsze jak kichnięcie.

Nie potrzebowaliśmy właściwie pilota – przecież komputer nawigacyjny statku mógłby wystartować z drugiej połowy galaktyki i wylądować na jednym nowokenijskim szylingu – ale nasi klienci płacili za luksus, więc Silinger & Mahr im go zapewniali. Dlatego oprócz Dabihów mieliśmy również pilota, kapitana Kosha Mbele, który przez dwadzieścia lat pilotował jednoosobowe myśliwce w wojnie z Settem.

Sama wyprawa łowiecka składała się z czterech partnerów w interesach. Każdy z nich miał więcej forsy, niż mógłbym wyśnić, a może nawet więcej. Byli to: Willard Marx, magnat handlu nieruchomościami, który w pojedynkę zagospodarował system planetarny Roosevelta; Jaxon Pollard, właściciel sieci tanich supermarketów i eleganckich piekarni, który handlował na ponad tysiącu światów; Philemon Desmond, szef największego banku na Dalekim Londynie z filiami w pewnie dwustu systemach, i jego żona, Ramona, sędzia Sądu Najwyższego tej planety.

Nie wiem, jak się ta czwórka spotkała, ale najwyraźniej wszyscy pochodzili z jednej planety i znali się od bardzo dawna. Od początku

łączyli swoje kapitały w interesach i szli od sukcesu do sukcesu. Ich ostatnim szczęśliwym trafieniem stał się Silverstrike, odległy świat pełen kopalń. Marx był zapalonym myśliwym, który nzbierał już trofeów na kilkunastu różnych światach, Desmondowie zawsze chcieli pojechać na safari, a Pollard, który wolałby spędzić parę tygodni na Calliope lub jakiejś innej rozrywkowej planecie, zgodził się w końcu dołączyć do wycieczki, by mogli razem świętować zdobycie ostatniego miliarda.

Poczułem natychmiastową niechęć do Marxa, który zdecydowanie zbyt ostentacyjnie odgrywał prawdziwego mężczyznę. Ale to nie był żaden problem – nie płacono mi za rozkoszowanie się jego towarzystwem, tylko za znalezienie dla niego paru efektownych trofeów, które miały się ładnie prezentować na jego ścianie. Zresztą wydawał się raczej kompetentny.

Desmondowie stanowili interesującą parę. Ona była ładną kobietą, która starała się, jak mogła, by wyglądać na nieładną i surową; wciąż cytowała wszystko, co przeczytała (a była bardzo czytana) – zacząłem się zastanawiać, co sprawia jej większą przyjemność, prywatna lektura czy publiczne cytowanie. Philemon, jej mąż, mały, myszowaty facecik, który za dużo pił, za dużo ćpał, za dużo palił, wyglądał na stłamszonego przez żonę i nosił maleńki medal, który wygrał na szkolnych zawodach przed trzydziestu laty – pewnie próbując w ten sposób zaimponować pani Desmond, na której najwyraźniej nie robiło to żadnego wrażenia.

Pollard był po prostu cichym, skromnym człowiekiem, który miał szczęście i zdobył pieniądze. Nie udawał, że jest bardziej wyrafinowany niż był w istocie – co dla mnie czyniło go dużo bardziej wyrafinowanym niż jego partnerzy. Wydawał się być ogromnie zaskoczony tym, że zdołali namówić go na tę wyprawę. Zabrał ze sobą środki chroniące przed słońcem, środki na biegunkę, ukąszenia owadów i na pięćset różnych innych rzeczy, które mogły mu się przytrafić, i żartował na temat utraty – jak to nazywał – swojej więziennej bladeści.

Spotkaliśmy się w naszej filii na Braxtonie II, po czym ruszyliśmy w sześciodniową podróż na Dodgsona IV. Cała czwórka zdecydowała się na Głęboki Sen, więc zapakowaliśmy ich z kapitanem Mbele do kokonów zaraz po wejściu w nadświatlną i obudziliśmy jakieś dwie godziny przed

ładowaniem.

Padali z głodu – znam to uczucie. Głęboki Sen zwalnia metabolizm do ślimaczego tempa, ale nie zatrzymuje go całkiem, bo to byłaby śmierć. Pierwsze, o czym się myśli po przebudzeniu, to jedzenie – dlatego Mbele wyrzucił Dabihów z kambuza, gdzie zazwyczaj przesiadywali, i kazał kucharzowi przygotować posiłek zjadliwy dla ludzi. Gdy tylko skończyli jeść, zaczęli zadawać pytania na temat Dodgsona IV.

– Jesteśmy na orbicie od godziny. Przez ten czas komputer statku tworzył szczegółową mapę topograficzną planety – wyjaśniłem. – Wylądujemy, gdy tylko znajdę odpowiednie miejsce na główny obóz.

– No to jaki jest ten świat? – zapytał Desmond, który najwyraźniej nie przeczytał wszystkich tych danych, które mu przesłaliśmy.

– Nigdy na nim nie byłem – odparłem. – Nikt nie był. – Uśmiechnąłem się. – Dlatego tyle płacicie.

– Skąd więc wiadomo, że jest tam jakaś zwierzyna? – rzucił zaczepnie Marx.

– Jest zwierzyna – zapewnilem go. – Pionierka, która opisała świat, twierdzi, że jej czujniki wyróżniły cztery gatunki drapieżników i dużo gatunków roślinożernych, w tym jeden o osobnikach ważących jakieś cztery tony.

– Ale nie łądowała?

– Nie miała powodu. Nie było oznak rozumnego życia, a do zbadania zostały miliony światów.

– Cholera, lepiej, żeby miała rację co do zwierząt – mruzczał Marx. – Nie płacę takiej forsy za oglądanie kwiatków i drzew.

– Polowałem na trzech tlenowych światach opisanych przez Karen Dodgson – powiedziałem. – Jej obietnice zawsze się spełniały.

– Czy ludzie naprawdę polują na chlorowych i amoniakowych światach? – zapytał Pollard.

– Parę osób. To bardzo specjalistyczna impreza. Jeśli po safari będziecie chcieli dowiedzieć się o tym czegoś więcej, skontaktuję was z odpowiednią osobą w firmie.

– Polowałem na paru chlorowych światach – wtrącił Marx. Jasne, pomyślałem. – Znakomity sport – dodał.

Kiedy trzeba spędzić z klientem parę tygodni czy też miesięcy, nie jest

wskazane nazywanie go chwalipiętą i kłamcą, ale zapamiętuje się takie informacje na przyszłość.

– Karen Dodgson – to na jej cześć nazwano planetę? – zapytała Ramona Desmond.

– Taka jest zasada w Korpusie Pionierów. Ten, kto pierwszy opisze świat, może go nazwać, jak tylko zechce. – Uśmiechnąłem się. – Nie słyną ze skromności. Zazwyczaj nazywają je na swoją cześć.

– Dodgson... – powtórzyła. – Może znajdziemy tam Dżabbersmoka albo Kota z Cheshire, albo nawet Snarka.

– Słucham?! – zdziwiłem się.

– To było prawdziwe nazwisko Lewisa Carrolla – Charles Dodgson.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Napisał „Dżabbersmoka”, „Polowanie na Snarka” i książki o Alicji. – Wpatrywała się we mnie. – Musiał pan je czytać.

– Obawiam się, że nie.

– Mniejsza z tym. – Wzruszyła ramionami. – To tylko żart.

Niezbyt zabawny. Teraz żałuję, że nie spotkaliśmy raczej Dżabbersmoka.

*„Wytropimy tu Snarka!”, Bosman ozwał się żwawo,*

*Wysadzając na brzeg swą załogę;*

*Aby stóp nie zmoczyli, niósł ich sam, z wielką wprawą*

*Łapiąc w garść włosy, kark albo nogę.*

Dodgson IV był bujny i zielony, z wielkimi sawannami, gęstymi lasami, w których drzewa rosły na setki metrów w górę, wieloma wielkimi jeziorami, trzema słodkowodnymi oceanami, atmosferą odrobinę gęstszą, a grawitacją odrobinę lżejszą niż Galaktyczna Standardowa.

Gdy Dabihowie organizowali obóz i wznosili obok statku Bąble, wysłałem Chajinkę, by nazbierał wszystkiego, co mogło być jadalne, i zaniósł do pokładowego laboratorium do analizy. Okazało się, że rzeczywistość przerosła me nadzieje.

– Mam nowiny – ogłosiłem, kiedy wyszedłem wreszcie ze statku. – Jest tu przynajmniej siedemnaście jadalnych gatunków roślin. Kora tych drzew ze złocistymi kwiatami też jest jadalna. Woda nie jest



stuprocentowo bezpieczna, ale niewiele jej brakuje, więc jeśli ją napromieniamy, będzie w porządku.

– Nie przyjechałem tu, żeby jeść owoce i jagódki, czy co tam ten Niebieski znalazł – warknął Marx. – Chodźmy na polowanie.

– Moim zdaniem lepiej będzie, jeśli zostaniecie państwo dzisiaj w obozie. Ja z Chajinką zbadamy teren i sprawdzimy, co tam jest. Proszę odprężyć się po podróży, przywyknąć do atmosfery i grawitacji.

– Dlaczego? – zapytał Desmond. – Co za różnica, czy wyruszymy dzisiaj, czy jutro?

– Kiedy zorientuję się, z czym mamy do czynienia, będę mógł orzec, jaką należy zabrać broń. Zresztą chociaż wiemy, że są tu drapieżniki, nie mamy pojęcia, czy są aktywne w dzień, w nocy, czy może przez całą dobę. Nie ma sensu tracić całego dnia na szukanie zdobyczy, która wychodzi tylko nocą.

– Nie pomyślałem o tym. – Desmond wzruszył ramionami. – Pan jest tu szefem.

Wziąłem kapitana Mbelego na stronę i obgadaliśmy jak zapewnić im rozrywkę – miał opowiedzieć parę historyjek z innych safari, dać im po drinku, zając ich czymkolwiek, podczas gdy z Chajinką rozejrzemy się po okolicy.

– Moim zdaniem wszystko wygląda całkiem normalnie – orzekł Mbele. – Typowy prymitywny świat.

– Czujniki wykazują obecność ogromnej biomasy trzy kilometry na zachód – powiedziałem. – Przy takim mięsie musi być sporo drapieżników. Chcę wiedzieć, na co je stać, zanim zabiorę czterech żółtodziobów na wyprawę.

– Marx wciąż opowiada o safari, na których był. Dlaczego więc nie zabierzesz Wielkiego Białego Myśliwego ze sobą?

– Niezła próba. – Uśmiechnąłem się. – Ale kiedy jesteśmy na ziemi, ja decyduję. Nie pozbędziesz się go tak łatwo.

– Dzięki.

– Może i był już na safari, ale na Dodgsonie IV jest nowicjuszem i tylko to się dla mnie liczy.

– Ty też jesteś tu pierwszy raz.

– Mnie płacą za narażanie życia. On płaci mi za to, że dostanie swoje

trofea bez ryzyka. – Rozejrzałem się. – A dokąd, u diabła, wymknął się Chajinka?

– Chyba pomaga kucharzowi.

– Ma własne jedzenie. – Zirytowałem się. – Nie potrzebuje naszego. – Odwróciłem się w stronę kuchennego Bąbla i zawołałem: – Chajinka, weź niebieską dupę w troki i chodź tutaj!

Dabih podniósł wzrok słysząc mój głos, skrzywił twarz w uśmiechu i wskazał swoje uszy.

– No to łap cholernego tłumacza! – krzyknąłem. – Mamy robotę!

Uśmiechnął się znowu, poszedł gdzieś i po chwili wrócił ze swoją włócznią i swoim tłumaczem – mechanizmem pozwalającym człowiekowi i Dabihowi (właściwie to człowiekowi i czemukolwiek innemu) na prowadzenie swobodnej rozmowy w terrańskim.

– Małe brzydactwo – mruknął Mbele, wskazując Chajinkę.

– Nie wybrałem go dla urody.

– Naprawdę jest taki dobry?

– Mały drań wytropiłby kulę bilardową na zatłoczonej autostradzie. I ma więcej odwagi niż większość znanych mi ludzi.

– Nie gadaj... – ton Mbelego sugerował, że nadal uważa Dabihów za stojących tylko o szczebel wyżej niż zwierzęta, na które mieliśmy tu polować, a może nawet i to nie.

*„Choć ma umysł idioty, powierzchowność łamagi”*

*Bosman wtrącać się zwykł w te pogwarki,*

*„Jednak nikt nie odmówi mu szaleńczej odwagi:*

*Tego trzeba nam w łowach na Snarki!”*

Nie jestem zwolennikiem snucia się na piechotę, kiedy jest pod ręką transport, ale złożenie do kupy pojazdu na safari zajęłoby Dabihom co najmniej dzień, a nie było sensu siedzieć w obozie i czekać. Wyruszyliśmy więc z Chajinką na zachód, w stronę wodopoju, który komputer zaznaczył na mapie. Nie zamierzaliśmy do niczego strzelać, tylko zobaczyć, co tu właściwie jest i jaką broń nasi klienci powinni zabrać jutro na łowy.

Dotarcie do wodopoju zajęło nam trochę ponad godzinę. Schowaliśmy się za krzakiem jakieś pięćdziesiąt metrów od niego. Niewielkie stadko

brązowo-białych roślinożerców gasiło właśnie pragnienie, a kiedy odeszły, przyszła się napić para olbrzymich, czerwonych zwierzaków, wających po cztery-pięć ton. Potem przyszło jeszcze kilka stadek różnych gatunków trawożerców.

Kiedy usadowiłem się wreszcie wygodnie, usłyszałem ciche skrobanie. Obejrzałem się i zobaczyłem, jak Chajinka podnosi z ziemi oślizgłego, piętnastocentymetrowego, zielonego, wijącego się robaka, przygląda mu się przez chwilę, po czym wkłada go do ust i polyka. Przez chwilę wyglądał na zamyślnego, jakby rozkoszował się smakiem, po czym skinął głową z aprobatą i zaczął szukać kolejnych. Kiedyś poczułbym obrzydzenie, ale znałem Chajinkę od ponad dziesięciu lat i przywykłem do jego upodobań kulinarnych. Rozglądałem się za drapieżnikami i w końcu spytałem, czy on jakieś zauważył.

Poczekaj, aż tłumacz przełoży pytanie, i pokręcił głową.

– Może żerują w nocy – odszepnął.

– Nie widziałem jeszcze świata, na którym wszyscy drapieżcy żerowaliby w nocy. Muszą być jacyś dzienni myśliwi i tu właśnie powinni się zbierać.

– No to gdzie są?

– Ty jesteś tropicielem. Ty mi powiedz.

Chajinka westchnął głęboko – wy dobył z siebie dźwięk przerażający dla kogoś nie przyzwyczajonego do Dabihów. Kilka zwierząt przy wodopoju spłoszyło się i odbiegło na jakieś czterdzieści czy pięćdziesiąt metrów, wzbijając ogromną chmurę czerwonego pyłu. Skoro jednak nie zdołały określić, skąd dobiegał dźwięk, ostrożnie wróciły, by dokończyć picie.

– Zaczekaj tu – szepnął. – Znajdę drapieżniki.

Skinąłem głową. Widziałem Chajinkę w akcji na setkach światów i wiedziałem, że tylko bym mu przeszkadzał. Umiał poruszać się równie cicho, jak każdy drapieżca, znaleźć kryjówkę w miejscu, gdzie ja za nic nie mogłem żadnej dostrzec. Jeśli musiał znieruchomieć, potrafił stać lub kucać bez drgnienia przez piętnaście minut. Kiedy jakiś owad łąził mu po twarzy, nie zamykał oczu, nawet jeśli znajdowały się na drodze insekta. Może i uważał robaki i owady za przysmaki i miał tylko bardzo ogólne pojęcie o higienie osobistej, ale w swoim żywiole – a w nim się

właśnie znajdowaliśmy – był gatunkiem najlepiej przystosowanym.

Usiadłem, przestawiłem soczewki na Widzenie Teleskopowe i rozglądałem się po horyzoncie przez jakieś dziesięć minut, wypalając przy okazji parę bezdymnych papierosów. Wiele zwierząt przyszło do wodopoju – sami roślinożercy. Niemal zbyt wiele – uznałem, gdyż w tym tempie wodopój za kilka dni zmieni się w dziurę pełną błota.

Właśnie zamierzałem zapalić trzeciego papierosa, gdy Chajinka pojawił się obok i dotknął mojego ramienia.

– Chodź ze mną! – rzucił.

– Znalazłeś coś?

Nie odpowiedział. Wyprostował się i wyszedł z kryjówki, nie starając się ukryć swojej obecności. Zwierzęta przy wodopoju zaczęły beczeć i ryczeć w panice, po czym uciekły, niektóre pochylając się przy tym aż do ziemi, inne zmieniając kierunek z każdym susem, jeszcze inne olbrzymimi skokami. Niedługo wszystkie znikły w gęstym obłoku pyłu, który wzbily.

Szedłem za nim jakiś kilometr, aż dotarliśmy do celu – leżało tu martwe, kotopodobne zwierzę, najwyraźniej drapieżne. Pokryte było jasnobrązowym futrem, a jego wagę oceniłem na jakieś sto pięćdziesiąt kilo. Miało zęby zabójcy, pazury na przednich i tylnych nogach były z pewnością stworzone do rozrywania ciała ofiary. Jego szeroki ogon pokrywały kościste kolce. Było zbyt muskularne, by mogło długo utrzymywać wysoką prędkość, ale potężne barki i zad musiały umożliwiać mu śmiertelnie skuteczny atak na dystansie jakichś stu metrów.

– Nie żyje od siedmiu godzin – powiedział Chajinka. – Może ośmiu.

Nie martwiło mnie to, że zwierzę jest martwe. Martwiło mnie, że jego czaszka i ciało zostały zmiżdżone. A jeszcze bardziej martwiło mnie to, że najwyraźniej nikt nie próbował go zjeść.

– Odczytaj ślady – poleciłem. – Powiedz mi, co się stało.

– Brązowy kot – Chajinka wskazał martwe zwierzę – zabił dzisiaj rano. Jego brzuch jest ciągle pełny. Szukał miejsca, by się położyć, gdzieś w cieniu. Coś go zabiło.

– Co go zabiło?

Wskazał jakieś podłużne ślady, niewiele większe od ludzkich.

– To jest zabójca.

– Dokąd poszedł, kiedy zabił brązowego kota?

Jeszcze raz zbadał ziemię, po czym wskazał na północny wschód.

– Tam.

– Możemy go odnaleźć przed zmrokiem?

Chajinka pokręcił głową.

– Odszedł dawno temu. Cztery, pięć, sześć godzin.

– Wróćmy do wodopoju – zdecydowałem. – Chcę sprawdzić, czy zostawił tam jakieś ślady.

Nasza obecność spłoszyła kolejne stado roślinożerców. Chajinka schylił się i zaczął badać ziemię.

W końcu wyprostował się.

– Za dużo zwierząt tędy przechodziło.

– Zrób krąg wokół wodopoju. Na jakieś pół kilometra. Zobacz, czy znajdziesz jakieś ślady. Spełnił moje polecenie, a ja ruszyłem za nim. Zatoczyliśmy już półkole, kiedy zatrzymał się nagle.

– Ciekawe... – mruknął.

– Co takiego?

– Wcześniej rano były tu brązowe koty – wyjaśnił, wskazując na ziemię.

– Potem przyszedł zabójca brązowego kota... widzisz, jego ślady nakładają się na kocie... a one uciekły... – Zamilkł na chwilę. – Cała rodzina brązowych kotów – co najmniej cztery, może pięć – uciekła przed jednym zwierzęciem, polującym samotnie.

– Jesteś pewien, że to samotny łowca?

Znowu zbadał teren.

– Tak. Chodzi sam. Bardzo ciekawe.

Było to więcej niż ciekawe.

Gdzieś tam kryło się samotne zwierzę, stojące w łańcuchu pokarmowym wyżej niż ważące sto pięćdziesiąt kilo brązowe koty. Spłoszyło całą grupę dużych drapieżców i – to mi się najmniej podobało – nie zabijało wyłącznie dla pożywienia.

Myśliwi czytają ślady, słuchają swoich tropicieli, ale przede wszystkim ufają swojemu instynktowi. Byliśmy na Dodgsonie IV od niecałych pięciu godzin, a ja już miałem złe przeczucia.

– Spodziewałem się trochę, że przyniesie pan coś egzotycznego na kolację – odezwał się Jaxon Pollard, kiedy wróciłem do obozu.

– Albo może jakąś cenną zdobycz – wtrąciła się Ramona Desmond.

– Mam dosyć trofeów, a wy na pewno wolicie sami zdobyć własne.

– Nie mówi pan jak prawdziwy myśliwy – stwierdziła.

– Państwo płacicie za polowanie – wyjaśniłem. – Moim zadaniem jest wspieranie was i wkroczenie do akcji, jeżeli sytuacja wymknie się spod kontroli. Jeśli o mnie chodzi, idealne safari to takie, na którym nie muszę ani razu wystrzelić.

– Mnie to pasuje – oznajmił Marx. – Dokąd ruszamy jutro?

– Nie jestem pewien.

– Nie jest pan pewien? To co, do cholery, robił pan przez całe popołudnie?

– Badalem teren.

– Trzeba z pana wyciągać każde słówko – poskarżył się Marx. – Co pan znalazł?

– Myślę, że znalazłem ślady... Snarka pani Desmond. Nie mam na razie lepszej nazwy.

Nagle wszyscy się zainteresowali.

– Snarka? – zapytała Ramona Desmond z zachwytem. – Jak wyglądał?

– Nie wiem. Jest dwunożny, ale nie mam pojęcia, ile ma kończyn, najprawdopodobniej cztery. Duże zwierzęta w całej galaktyce rzadko miewają więcej. Chajinka sądzi z głębokości śladów, że może ważyć od stu pięćdziesięciu do dwustu kilo.

– To niewiele – prychnął Marx. – Polowałem na większe.

– Jeszcze nie skończyłem. W okolicy pełnej zwierzyny on najwyraźniej wystraszył wszystkie inne drapieżniki. – Zamilkłem na chwilę. – No może lekko przesadziłem.

– To znaczy, że ich stąd nie wypłoszył? – Ramona była zdezorientowana.

– Nie ma ich. Ale powiedziałem, że chodzi o inne drapieżniki, a nie mam pewności, czy Snark jest drapieżcą. Zabił olbrzymie zwierzę, podobne do kota, ale nie zjadł go.

– Co to oznacza? – spytała Ramona.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie jestem pewien. Mógł bronić swojego terytorium albo... - Zawiesiłem głos, rozważając inne przyczyny.

- Albo co?

- Albo po prostu lubi zabijać.

- To jest nas dwóch - oznajmił Marx z uśmiechem. - Jutro rano pójdziemy i zabijemy sobie Snarka.

- Nie jutro - oznajmiłem twardo.

- A dlaczego, u diabła, nie?! - zezłościł się Marx.

- Z zasady nie wyruszam przeciw niebezpiecznym zwierzętom, dopóki nie wiem o nich więcej niż one o mnie. Jutro pójdziemy upolować coś na kolację i zobaczymy, czy zdołamy dowiedzieć się czegoś więcej o Snarku.

- Nie płacę milionów kredytów za strzelanie do cholernego obcego bydła! - warknął Marx. - Znalazł pan coś, co niemal wrzeszczy do nas „Superpolowanie!” Głosuję za marszem z samego rana.

- Podziwiam pańską odwagę i entuzjazm, panie Marx. Ale tu nie panuje demokracja. Liczy się tylko jeden głos, a moim zadaniem jest przywiezienie was z tego safari całych i zdrowych. Nie zapolujemy na Snarka, dopóki nie dowiemy się o nim czegoś więcej.

Nie powiedział ani słowa, ale wiedziałem, że w tej chwili zastrzeliliby mnie równie chętnie jak Snarka.

Rano, zanim wyruszyliśmy, sprawdziłem broń całej grupy.

- Niezły karabin laserowy - powiedziałem, oglądając najnowszą zabawkę Desmonda.

- Mam nadzieję. Kosztował czternaście tysięcy kredytów - pochwalił się. - Ma noktowizor, wzmocniony wizjer i podstawkę absorbującą wstrząsy...

- Proszę zabrać też zwykły karabin i strzelbę - poleciłem. - Musimy wypróbować wszystko.

- Ale zamierzam używać tylko tego laserowego - upierał się. Niemal z niechęcią wyjaśniłem mu wszystko.

- Według mnie, a mam pewne doświadczenie, Dodgson IV ma biosystem klasy B3. Wczoraj wieczorem wysłałem ze statku transmisję podprzestrzenną z moimi obserwacjami. - Chyba nic nie zrozumiał. - Znaczy to, że w myślistwie sportowym musi pan używać niewybuchowej

broni strzelającej pociskami nie większymi niż 450, dopóki klasyfikacja nie zostanie zmieniona.

– Ale...

– Proszę posłuchać – przerwałem mu. – Mamy bomby jądrowe, które mogłyby tę planetę dosłownie rozwalić na kawałki. Mamy inteligentne kule, które mogą odnaleźć zwierzę z odległości piętnastu kilometrów, zignorować jego uniki i uderzyć w chwili, gdy jest pewność natychmiastowej śmierci. Mamy implodery molekularne, mogące zamienić całą brygadę wroga w galaretę. Przy zwierzyńcu, z którą mamy do czynienia, żadna z tych broni nie kwalifikowałaby się do wykorzystania w łowiectwie sportowym. Wiem, że w pańskim przypadku chodzi tylko o laserową strzelbę, ale nie zamierzam rozpoczynać safari od łamania prawa i jestem pewien, że jako sportsmen chciałby pan dać zwierzyńcu równe szanse.

Nie wyglądał na przekonanego, zwłaszcza co do tych równych szans, ale w końcu wrócił do swojego Bąbla i przyniósł resztę arsenału.

Zebrałem całą czwórkę wokół siebie.

– Wasza broń przez tydzień leżała zapakowana – powiedziałem. – Ustawienie mogło się rozregulować przez przyspieszenie statku, a grawitacja na tym świecie jest inna niż na waszym, chociaż różni się tylko minimalnie. Dlatego, zanim zaczniemy, chciałbym dać każdemu okazję ustawić wizjery. – I, dodałem w duchu, sprawdzić, czy umiecie trafić nieruchomy cel z odległości czterdziestu metrów, żebym wiedział, z kim mam do czynienia. – Ustawię tarcze w dolince przy rzece. Proszę przychodzić pojedynczo.

Po co upokarzać gorszych strzelców na oczach lepszych – oczywiście, jeśli są jacyś lepsi. Wziąłem z luku towarowego zestaw najprostszych tarcz. Kiedy dotarłem do dolinki, ustawiłem cztery tam, gdzie chciałem, uruchomiłem mechanizmy antygravitacyjne i, kiedy już kołysały się delikatnie sto osiemdziesiąt centymetrów nad ziemią, zawołałem Marxa.

Pojawił się chwilę później.

– No dobrze, panie Marx. Wyregulował pan wizjer?

– Zawsze dbam o swoją broń – wycedził, jakby samo pytanie było obelgą.

– No to zobaczymy, co pan potrafi.



Uśmiechnął się z wyższością, uniósł strzelbę, zerknął w wizjer, pociągnął za cyngiel i rozwalił dwie pierwsze tarcze na kawałki, po czym powtórzył to osiągnięcie z karabinem.

– Nieźle – orzekłem.

– Dzięki – rzucił ze spojrzeniem, które mówiło: „Oczywiście, że jestem świetnym strzelcem. Przecież mówiłem, nie?”

Następny był Desmond. Uniósł karabin do ramienia, wymierzył starannie i chybił. Potem chybił jeszcze trzy razy.

Wziąłem karabin, wycelowałem i strzeliłem. Kula poleciała w górę i w prawo i zagłębiła się w pniu drzewa. Wyregulowałem wizjer i strzeliłem jeszcze raz. Tym razem trafiłem w środek tarczy.

– No dobrze, proszę spróbować teraz. – Oddałem karabin Desmondowi.

Znowu chybił cztery razy. Chybił na siedząco. Chybił na stojąco. Chybił z podpórką. Potem spróbował ze śrutówki i chybił jeszcze dwa razy, zanim w końcu trafił w cel. W końcu kompletnie bez sensu użył swojego laserowego karabinu, starając się trafić w jeden punkt zamiast omieść promieniem całą okolicę – znowu chybił. Oba nam ulżyło, kiedy to się wreszcie skończyło.

Jego żona była odrobinę lepsza – trafiła w cel w trzeciej próbie z karabinem i w drugiej ze śrutówką. Omiotła okolicę promieniem laserowego karabinu, likwidując pozostałe tarcze. Następny powinien być Pollard, ale nie pokazał się, więc wróciłem po niego do obozu.

Siedział z pozostałymi, popijając kawę.

– Pana kolej, panie Pollard – oznajmiłem.

– Ja będę tylko robił holografie. – Uniósł aparat.

– Jaxon, jesteś pewien? – zapytał Desmond.

– Nie lubię zabijać czegokolwiek – wyjaśnił.

– No to co tutaj, u diabła, robisz?! – warknął Marx. Pollard uśmiechnął się.

– Jestem tu, bo wciąż mi zawracałeś głowę, drogi Willardzie. Poza tym nigdy nie byłem na safari i lubię robić holografie.

– No dobrze – powiedziałem. – Ale proszę zawsze trzymać się nie dalej niż dwadzieścia metrów ode mnie.

– Nie ma sprawy – rzucił Pollard. – Nie chcę nic zabijać, ale też nie

mam zamiaru dać się zabić.

Poleciłem jego tragarzowi zostać i pomóc z obozem i posiłkiem. Zareagował, jakbym dał mu w twarz, ale zrobił, co mu kazałem.

Wdrapaliśmy się do pojazdu i w jakieś pół godziny dotarliśmy do wodopoju. Po pięciu minutach Marx na zimno i bezbłędnie ustrzelił parę beżowo-brązowych roślinożerców o spiralnych rogach, każdego jedną kulą. Potem, korzystając ze swojego prawa do nazwania każdego gatunku, którego przedstawiciela upoluje jako pierwszy, nazwał je gazelami Marxa.

– Co teraz? – zapytał Desmond. – Mięsa starczy nam na parę dni.

– Odeślę pojazd do obozu po oprawiaczy. Zabiorą głowy i skóry razem z najlepszymi kawałami mięsa, a resztę przywiążą do pobliskich drzew.

– Po co?

– Przynęta – wyjaśnił Marx.

– Pan Marx ma rację. Coś przyjdzie, by je zjeść. Może zapach krwi zwabi z powrotem te kotowate drapieżniki. Albo poszczęści się nam, Snark wróci i zdołamy dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

– A co będziemy robić do tego czasu? – Desmond miał nadąsaną minę.

– To zależy od państwa – odparłem. – Możemy tu zostać do powrotu pojazdu, możemy wrócić pieszo do obozu albo wybrać się do bagna, jakieś sześć kilometrów stąd, i sprawdzić, czy jest tam coś ciekawego.

– Na przykład Snark? – ożywiła się Ramona.

– Pięcioro ludzi i czterech Dabihów idących sześć kilometrów otwartą sawanną raczej nie zdoła wziąć czegokolwiek przez zaskoczenie. Z drugiej strony, nie jesteśmy częścią tego ekosystemu. Nie jesteśmy zapisani w mózgach zwierząt jako drapieżniki, więc zawsze jest szansa – jeśli Snark w ogóle tam jest – że będzie się kręcić w pobliżu z ciekawości albo czystej głupoty.

Taką właśnie odpowiedź chcieli usłyszeć, postanowili więc pójść do bagna. Po drodze Pollard zrobił z pięćdziesiąt holografii. Desmond uskarżał się na upał, wilgoć, teren i owady. Ramona uruchomiła procesor czytający jej książkę prosto do ucha i nie odezwała się słowem, póki nie dotarliśmy do bagna. Marx po prostu pochylił głowę i szedł naprzód.

Na miejscu zaskoczyliśmy małe stadko roślinożerców – imponujących zwierząt, ważących jakieś dwieście pięćdziesiąt kilo każde. Samce miały

niesamowite rogi, mające z półtora metra długości, potrójnie skręcone. Wyglądały, jakby były z kryształu i działały jak soczewki, rozbijając światło słońca na maleńkie tęcze.

– Mój Boże, spójrzcie na nie! – wykrzyknął Pollard, robiąc holografie tak szybko, jak tylko mógł.

– Wspaniale! – szepnęła Ramona Desmond.

– Chciałbym mieć takiego – oznajmił Marx, obserwując stado.

– Ustrzelił pan dwie gazy – zauważyłem. – Pan Desmond strzela pierwszy.

– Nie chcę – zaprotestował Desmond nerwowo.

– No dobrze. Pani Desmond, pani strzela pierwsza.

– Nie mogłabym zabić czegoś tak pięknego.

– Nie – wymamrotał Desmond tak cicho, że nie mogła dosłyszeć. – Ty tylko zamknęłabyś je w więzieniu.

– W takim razie strzela pan Marx – stwierdziłem. – Proponuję celować do pierwszego z lewej. Nie ma najdłuższych rogów, ale za to najbardziej symetryczne. Podejźmy trochę bliżej.

Marx wziął od swojego tragarza karabin i naładował go, a ja zwróciłem się do pozostałych:

– Proszę zostać tutaj.

Dałem znak Chajince, by podchodził okrężną drogą. Marx ruszył za nim, prawidłowo przykurczony, a ja zamykałem pochód. (Myśliwy szybko się uczy nigdy nie stawać między klientem a zwierzyną. Inaczej zasili konto firmy produkującej protezy uszu.)

Kiedy podeszliśmy na odległość jakichś trzystu metrów, uznałem, że już wystarczy, i skinąłem Marxowi głową. Powoli uniósł karabin i wycelował. Zauważyłem, że woli celować w serce niż ryzykować zniszczenie głowy. To dobra strategia, oczywiście przy założeniu, że serce jest tam, gdzie się go spodziewamy.

Marx wziął głęboki oddech, wypuścił wolno powietrze i zaczął ciągnąć za spust. W tej samej chwili przeleciało obok nas jaskrawo ubarwione latające stworzenie, wrzeszcząc na całe gardło. Rogaty kozioł podskoczył w momencie, w którym wystrzelił karabin Marxa. Słyszając strzał, reszta stada rozbiegła się we wszystkich kierunkach. Zanim Marx zdołał wymierzyć ponownie, ranny kozioł zaryczał, odwrócił się i zniknął za

pobliskimi krzewami.

– Chodźmy! – wrzasnął podekscytowany Marx, zrywając się i biegnąc za kozłem. – Wiem, że go trafiłem! Nie ucieknie daleko!

Chwyliłem go, kiedy mnie mijał.

– Pan nigdzie nie pójdzie, panie Marx!

– Co pan wygaduje?!

– W tych krzakach znajduje się duże, niebezpieczne, ranne zwierzę.

Nie mogę pozwolić, by pan za nim szedł.

– Strzelałem równie dobrze jak pan! – warknął. – To nie moja wina, że spłoszył je ten cholerny ptak! Wie pan o tym!

– Proszę posłuchać. Nie jestem zachwycony, że muszę uganiać się po zaroślach za rannym zwierzęciem, które ma na głowie dwa półtorametrowe miecze, ale za to mi płacą. Nie mogę jednak szukać go i jednocześnie pilnować pana.

– Ale...

– Podobno był pan już na safari. To znaczy, że zna pan zasady.

Mruczał pod nosem i kłął, ale rzeczywiście znał zasady, więc dołączył do reszty grupy, a my z Chajinką ruszyliśmy w krzaki w poszukiwaniu rannej zwierzyny. Bagno śmierdziało gnijącą roślinnością. Przez jakieś dwieście metrów szliśmy po śladach krwi na liściach i krzewach, a błoto lepiło się do stóp Dabiha i moich butów. Nagle ślad zniknął. Kilka metrów na prawo było małe wzniesienie, na którym trawa została zgnieciona, małe gałązki połamane, a kwiaty zerwane z łodyg. Chajinka studiował wszystkie ślady przez dobrą minutę, po czym wstał.

– Snark – mruknął.

– O czym ty mówisz?

– Ukrywał się, obserwował nas. – Chajinka wskazał na ziemię. – Ranne zwierzę położyło się tutaj. Widzisz krew? Snark był tam. To jego ślady. Kiedy zwierzę się położyło, Snark zobaczył, że jest za słabe, by wstać, ale wciąż niebezpieczne. Obszedł je wkoło. Widzisz... tu szedł. Potem skoczył i zabił je.

– Jak?

Chajinka wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Ale potem podniósł je i zabrał.

– Był w stanie podnieść tak wielkie zwierzę?

– Tak.

– Musi być nie dalej niż kilkaset metrów przed nami. Jak myślisz? Możemy go dogonić?

– Ty i ja? Tak.

Raz na jakiś czas, kiedy mnie ponosiło, Chajinka przypominał mi, że nie poluję dla własnej przyjemności. Podtekst był taki, że owszem, my dwaj moglibyśmy dogonić Snarka. Marx nie byłby obciążeniem. Ale nie ma mowy o tym, by zabrać Pollarda i Desmondów na bagna, uważać na drapieżniki i liczyć na to, że dogonimy Snarka – a, oczywiście, nie mogliśmy zostawić ich samych i iść za Snarkiem z Marxem.

– No dobrze... – Westchnąłem. – Wracajmy i opowiedzmy im, co się stało.

Marx dostał szału. Ciskał się i kłął przez dobre trzy minuty, a potem był gotów ogłosić wendetę wobec złodzieja trofeów.

Kiedy się wreszcie uspokoił, zostawiłem Chajinkę w tyle, by spróbował dowiedzieć się czegoś więcej o Snarku, a z resztą grupy ruszyłem z powrotem do wodopoju, gdzie czekał na nas pojazd.

*Dłgie trwała miesiące, długie trwała tygodnie*

*(Miesiąc ma tych ostatnich aż cztery)*

*Droga; ale – choć trudno myśleć o tym pogodnie –*

*Nie dopadliśmy Snarka – przechery!*

Mbele nieźle się uśmieł, gdy wróciliśmy do obozu zmęczeni, zgrzani i głodni.

– Gadacie o tym Snarku, jakby istniał! – powiedział z rozbawieniem. – To wymyślone zwierzę z wierszyka dla dzieci.

– Snark to po prostu dobra nazwa – wyjaśniłem spokojnie. – Możesz na niego mówić, jak tylko chcesz.

– Nazwijmy to zwierzę nieobecny – zaproponował. – Nikt go nie widzi.

– Jasne. A cała galaktyka znika, jak zamkniesz oczy.

– Nigdy o tym nie pomyślałem – przyznał Mbele. – Ale pewnie tak jest. – Zamyślił się na chwilę. – W każdym razie taką mam nadzieję. Dzięki temu czuję się potrzebny.

– Posłuchaj! – wybuchłem. – Tam jest martwy kot ważący sto

pięćdziesiąt kilo i jeszcze większa zaginiona antylopa! – Wpatrzyłem się w niego. – Nie zabiłem pierwszego i nie ukradłem drugiego. A ty?

Przelknął swoją odpowiedź i unikał mnie przez resztę dnia.

Chajinka wrócił do obozu następnego ranka i od razu dał mi znak. Podszedłem do niego.

– Dowiedziałeś się czegoś? – zapytałem.

– To ciekawe zwierzę – odpowiedział.

Skrzywiłem się. Wszyscy wiedzą, że Dabihowie są mistrzami niedopowiedzeń.

*Dziś każdego zucha wzywam: niechaj wysłucha*

*I w pamięci wpisze zakamarki*

*Wykład mój (po raz setny go powtarzam, bo świętny):*

*„Po Czym Poznać Autentyczne Snarki?”*

Zebrałem całą grupę wokół siebie.

– No cóż... – zacząłem. – Dzisiaj wiemy o Snarku trochę więcej niż wczoraj... – urwałem, by obserwować ich reakcje. Wszyscy z wyjątkiem Desmond'a sprawiali wrażenie zainteresowanych. Desmond wyglądał tak, jakby wolał być wszędzie, byle nie tu. – Chajinka był przy drzewie, do którego przywiązaliśmy ciała martwych zwierząt... – ciągnąłem.

– I? – zapytał Marx.

– Węzły zostały rozwiązane. Nie rozcięte, rozerwane czy przegryzione. Rozwiązane. Wiemy zatem, że Snark ma palce albo inne zręczne kończyny. Z ciała zniknęło trochę mięsa.

– No dobrze – odezwała się Ramona. – Wiemy, że umie rozwiązywać węzły. Co jeszcze?

– Wiemy, że jest mięsożerny. Wczoraj nie byliśmy tego pewni.

– No to co? – prychnął Marx. – W galaktyce są miliony mięsożerców. Nie ma w tym nic niezwykłego.

– To znaczy, że nie odejdzie daleko od stad zwierzyny. To jego supermarket.

– A jeżeli musi jeść tylko raz na parę miesięcy? – znowu wtrącił się Marx.

– Nie – zaprzeczyłem. – To trzecia rzecz, jakiej się dowiedzieliśmy.

Musi jeść mniej więcej tak często jak my.

– A skąd to wiemy? – zdziwiła się Ramona.

– Według Chajinki, podszedł do mięsa bardzo ostrożnie, ale kiedy już się najadł, odbiegł klusem. Ślad zniknął jakieś półtora kilometra dalej, ale wiemy, że przebiegł całą tę odległość.

– Aha! Rozumiem – mruknęła Ramona.

– A ja nie – poskarżył się jej mąż.

– Każde stworzenie, które może utrzymać takie tempo, znieść taki wysiłek, musi jeść codziennie. I wiemy jeszcze coś.

– Co?

– Nie boi się nas. Musi wiedzieć, że to my zabiliśmy tamte zwierzęta. Było tam pełno naszych śladów i zapachu, no i, oczywiście, były sznury. Jest nas dziewięcioro – pięcioro, jeśli nie liczyć Chajinki i tragarzy, ale on nie ma powodu, by ich nie liczyć. A jednak, chociaż wie to wszystko, nie opuścił tej okolicy. – Zamilkłem na chwilę. – To prowadzi do piątego wniosku. Nie jest zbyt inteligentny. Nie zrozumiał, że karabin pana Marxa zranił to zwierzę, które on wczoraj zabił. Gdyby rozumiał, że umiemy zabijać na odległość, bałby się nas.

– I może pan to wydedukować tylko z kilku śladów, które widział Chajinka? – Desmond najwyraźniej nie był przekonany.

– Odczytywanie śladów i ich interpretacja to samo sedno polowania. Strzelanie to tylko ostatni krok.

– To ruszymy na niego teraz? – zapytał Marx niecierpliwie. Pokręciłem głową.

– Wysłałem już Chajinkę z powrotem, żeby spróbował poszukać legowiska tego stworzenia. Jeżeli jest podobny do innych drapieżników, lubi poleżeć po posiłku. Jeśli będziemy wiedzieli, gdzie go szukać, zaoszczędzimy mnóstwo czasu i wysiłku. Lepiej zaczekać na Chajinkę i wyruszyć na Snarka rano.

– To raczej dziwne – orzekła Ramona. – Nigdy nie widzieliśmy tego stworzenia, ale już doszliśmy do wniosku, że musi być imponujące.

– Oczywiście, że jest imponujące.

– Mówi pan, jakby wszystko było imponujące. – Uśmiechnęła się z wyższością.

– To pierwsze prawo safari. Wszystko gryzie.

– Jeśli to zwierzę jest tak niebezpieczne, jak pan sugeruje – odezwał się Desmond z wahaniem – to czy wolno nam używać bardziej... zaawansowanej broni?

– Philemon, nie bądź mięczakiem! – Marx spojrział pogardliwie.

– Jestem bankierem, a nie cholernym Alanem Quatermainem! – odciął się Desmond. Mbele wyciągnął Statut i zaczął czytać na głos:

– „Obowiązuje używanie broni zaaprobowanej dla danego świata, chyba że zdaniem myśliwego używana broń nie jest wystarczająca do zabicia zwierzyny”.

– Czyli gdyby stanowił poważne zagrożenie, moglibyśmy użyć karabinów pulsowych, imploderów molekularnych i innych takich?

– Czy widział pan kiedykolwiek działanie implodera molekularnego? – zapytałem. – W trzy sekundy zamienia pięćdziesięciopiętrowy budynek w galaretę.

– A karabiny pulsowe? – upierał się.

– Niewiele można zabrać do domu, kiedy taka zabawka trafi w cel.

– Ale czegoś potrzebujemy, do cholery! – wybuchnął Desmond.

– Nasza broń jest w stanie powalić każde zwierzę na tej planecie bez najmniejszych trudności. – Zaczynał mi działać na nerwy. – Nie chciałbym nikogo urazić, ale jest zasadnicza różnica między słabą bronią a słabym myśliwym.

– Otóż to! – mruknął Marx.

– To było bardzo obraźliwe, panie Bell – oznajmił Desmond. Wstał i poszedł do swojego Bąbla. Jego żona popatrzyła za nim obojętnie, po czym wyciągnęła książkę i zabrała się do czytania.

– Tak się odpląca za szczerłość – stwierdził Marx, nie próbując nawet ukryć rozbawienia. – Mam tylko nadzieję, że ten cały Snark jest choć w połowie taki, jak pan uważa.

Połowa w zupełności by wystarczyła, pomyślałem niespokojnie.

Chajinka, siedzący na masce pojazdu, uniósł włócznię, co znaczyło, że powinienem się zatrzymać.

Zeskoczył, pochylił się, badał przez kilka sekund trawę, po czym odbiegł na lewo, nie odrywając wzroku od ziemi.

Wyskoczyłem i chwyciłem karabin.



– Proszę zaczekać tutaj – poleciłem czwórce ludzi. Tragarze, trzymający się w czasie jazdy uchwytów z tyłu pojazdu, stali teraz obok.

– Kto strzela pierwszy? – zapytał Marx.

– Niech pomyślę. Pan zastrzelił wczoraj tego wielkiego kozła, a pani Desmond to coś podobnego do dzika z wielkimi kłami. Czyli dzisiaj pierwszy strzela pan Desmond.

– Nie zamierzam wysiadać z pojazdu – oznajmił Desmond.

– Strzelanie z wnętrza pojazdu jest niezgodne z przepisami.

– Pieprzyć przepisy i pieprzyć pana! – wrzasnął Desmond. – Nie chcę strzelać pierwszy! W ogóle nie chcę strzelać! W ogóle nie wiem, co ja robię na tym głupim safari!

– Niech to szlag, Philemon! – syknął wściekle Marx.

– O co chodzi? – zapytał zaskoczony Desmond.

– Jeżeli było tam jakiegokolwiek zwierzę, panie Desmond – wyjaśniłem, usiłując opanować złość – to właśnie dał mu pan doskonały powód, by uciekać ile sił w nogach w przeciwnym kierunku. Nie wolno krzyczeć podczas polowania.

Odszedłem od nich, zde gustowany i dołączyłem do Chajinki. Stał pod niedużym drzewem obok ciała młodego roślinożercy ze zmiażdżoną czaszką.

– Snark – powiedział, wskazując na czaszkę.

– Kiedy? – zapytałem.

Odciągnął wargi martwego zwierzęcia, by obejrzeć dziąsła, wsunął palce do uszu, przez kilka sekund badał też inne miejsca.

– Pięć godzin – orzekł. – Może sześć.

– Środek nocy.

– Tak.

*Dru ga: zwyczaj wstawiania późno, zwłaszcza we wtorki.*

*W słowie „późno” nie ma krzty przesady:*

*Snark śniadanie je wtedy, gdy my – podwieczorki,*

*A dzień później niż my – je obiady.*

– Możesz go wytropić? – zapytałem Chajinkę.

Rozejrzał się, po czym wykonał coś, co u Dabihów odpowiada zmarszczeniu brwi.

- Znika. - Wskazał punkt oddalony o jakieś trzy metry.

- Chcesz powiedzieć, że jakieś zwierzę zatarło jego ślady?

Wzruszył ramionami.

- Nie ma żadnych śladów. Jego ani niczego innego.

- Dlaczego?

Nie miał na to odpowiedzi.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w ziemię.

- No dobrze - powiedziałem w końcu. - Chodźmy do pojazdu.

Wrócił na swoją zwyczajową pozycję na masce, a ja usiadłem za tablicą rozdzielczą i zamyśliłem się.

- No i? - zapytał Marx. - Chodziło o coś ze Snarkiem?

- Tak. - Wciąż byłem zaskoczony brakiem jakichkolwiek śladów. - Zabił w nocy. Jego ofiara to zwierzę dobre w unikach, sądząc z jego budowy. A to znaczy, że doskonale widzi w ciemności i ma znakomitą koordynację ruchów.

- Czyli to nocny łowca? - spytała Ramona.

- Nie, tego bym nie powiedział. Kozła z kryształowymi rogami zabił w środku dnia, a więc jest oportunistą, jak większość drapieżników. Kiedy nawinie mu się jakaś zdobycz, bierze ją. Tak czy inaczej, jeśli nie zdołamy znaleźć jego legowiska, będziemy musieli zastawić pułapkę, siedzieć bez ruchu z karabinami, kłaść codziennie świeżą przynętę i mieć nadzieję, że go zainteresuje.

- To nie jest prawdziwe polowanie! - oburzył się Marx.

- Nie ma mowy, żebyśmy ganiałi za nim w ciemnościach - oznajmiłem.

- Nie będę za niczym ganiał w ciemnościach - oświadczył kategorycznie Desmond. - Jak chcecie, to idźcie sobie beze mnie.

- Nie bądź takim tchórzem! - ofuknął go Marx.

- Pieprz się, Willard! - wrzasnął Desmond.

- Śmiałe słowa - stwierdził Marx. - Dlaczego nie skierujesz trochę tej odwagi na zwierzynę?

- Tu jest okropnie! Uważam, że powinniśmy wracać do obozu.

- I co tam robić? - spytał Marx sarkastycznie.

- Rozważyć nasze możliwości. To duża planeta. Może powinniśmy wsiąść do statku i wylądować na jakimś innym kontynencie. Takim bez

Snarków.

– Nonsens! – zaprotestował Marx. – Przyjechaliśmy tu na polowanie. No to mamy na co polować.

– Nie wiem, na co trafiliśmy – upierał się Desmond, znajdujący się gdzieś w połowie drogi między wściekłością a paniką. – I ty też nie.

– Właśnie dlatego ten sport jest taki podniecający – wyjaśnił Marx.

– Podniecające są programy sportowe na holowizji – odciął się Desmond. – To jest niebezpieczne.

– Na jedno wychodzi – mruknął Marx.

Kolejne dwa dni zeszły nam na daremnym szukaniu śladów Snarka. Przez jakiś czas myślałem, że odszedł z tej okolicy i rozważałem przeniesienie obozu, ale potem Chajinka znalazł względnie świeże ślady, może sprzed trzech godzin. Dlatego w końcu nie przenieśliśmy obozu – ale tego stworzenia też nie znaleźliśmy.

Trzeciego popołudnia, kiedy akurat odpoczywaliśmy w cieniu wielkiego drzewa z fioletowo-złotymi kwiatami, usłyszeliśmy w oddali dziwny dźwięk.

– Grzmot? – zapytał Marx.

– Nie wydaje mi się – odpowiedział Pollard. – Na niebie nie ma ani chmurki.

– No, ale coś to jest – upierał się Marx. Ramona zmarszczyła czoło.

– I zbliża się. A w każdym razie robi się głośniejsze.

Tknięty przecuciem przestawiłem soczewki na Widzenie Teleskopowe.

– Wszyscy na drzewo, natychmiast! – wrzasnąłem.

– Ale...

– Bez klótni! Już!

Nie byli najlepszymi wspinaczami, jakich znałem, ale kiedy w końcu dostrzegli to, co ja widziałem, wspięli się na gałęzie z ogromnym pośpiechem. Minutę później dołem przecwałowało kilka tysięcy gazeli Marxa.

Odczekałem, aż pył osiadzie, po czym opuściłem się na ziemię i zbadałem horyzont.

– No dobrze, można zejść – oznajmiłem.

– Dlaczego nie schowaliśmy się w pojeździe? – zapytała Ramona, złącząc z drzewa i oglądając uważnie ręce.

– Pojazd nie ma dachu, pani Desmond – wyjaśniłem. – Groziłby nam uraz czaszki, kiedy przez niego skakały. Albo zderzenie, gdyby któraś była kiepskim skoczkiem.

– Rozumiem.

– Co, u diabła, mogło spowodować coś takiego? – Pollard, otrzepując się, patrzył w ślad za uciekającym stadem.

– Moim zdaniem jakiś drapieżnik pokpił sprawę.

– A skąd pan to wie?

– Bo pierwszy raz widzieliśmy taką ucieczkę. Możemy założyć, że jeśli drapieżnik zabija ofiarę szybko i sprawnie, gazele po prostu usuwają się z jego zasięgu i dalej się pasą. Ale kiedy chybia ofiary albo ją tylko rani, ona ucieka w sam środek stada, które z kolei wpada w panikę.

– Myśli pan, że to któryś z tych wielkich kotów? – spytał Pollard.

– Możliwe.

– Bardzo chciałbym zrobić parę holozdjęd, jak takie koty polują.

– Może się panu uda, panie Pollard. Pójdziemy po śladach do miejsca, gdzie stado się spłoszyło. Może będziemy mieli szczęście.

– Nie mam nic przeciw temu. – Marx poklepał swój karabin.

Wyruszyliśmy pojazdem na południowy zachód. Kiedy teren stał się zbyt nierówny, ruszyliśmy pieszo. Okolica zmieniła się z górzystej i porośniętej drzewami w bardzo lesistą. Chajinka szedł żwawo przed nami, wpatrzony w ziemię, dostrzegając rzeczy, których nawet ja nie widziałem. W końcu zatrzymał się.

– Co znalazłeś? – Podszedłem do niego. Wskazał prosto przed siebie na gęste zarośla.

– Jest tam.

– Kto?

– Snark – stwierdził, pokazując pojedynczy ślad.

– Jak głęboko wlaźł w krzaki? Skąd wiesz, że po prostu tędy nie przebiegł?

Wskazał na krzewy, pokryte kolcami.

– Nie może przez nie biec bez bólu.

– Nigdy go nie widziałeś – odezwała się Ramona, która do nas dołączyła. – Skąd to wiesz?

– Skoro nie poszarpały mu skóry, może być leśnym zwierzęciem, stworzonym przez Boga do życia tutaj – odpowiedział Chajinka, jakby wyjaśniał to dziecku. – Ale wiemy, że poluje na równinach. Leśne zwierzę z grubą, ciężką skórą i kośćmi nie byłoby wystarczająco szybkie. A zatem to nie jest jego dom, lecz kryjówka.

Pomyślałem, że to może być coś więcej niż kryjówka – to może być równie dobrze jego forteca. Była niemal nie do zdobycia. Ziemię pokrywały suche liście, przez co nikt nie mógł się do niego podkraść nie robiąc hałasu.

– Na co czekamy? – zapytał Marx, podchodząc z Desmondem. Zatrzymał się na chwilę, by wziąć od tragarza karabin.

– Czekamy, aż znajdzie najlepszy sposób działania – odpowiedziałem.

– Idziemy tam i załatwiamy go. – Marx nie miał wątpliwości. – Co w tym takiego trudnego? Pokręciłem głową.

– To jego teren. Zna tu każdy centymetr. Wchodząc narobiłby pan dużo hałasu, a sądząc po tym, jak splecione są korony drzew, jakieś trzysta metrów w głąb musi być ciemno jak w nocy.

– No to użyjemy czujników na podczerwień.

– Nie podoba mi się to. – Nadal wpatrywałem się w gęstą roślinność. – Ma przewagę pod każdym względem.

– Ale my mamy broń – upierał się Marx.

– Przy prawie zerowej widoczności i możliwości manewru nie na wiele się przyda.

– Gówno prawda! – prychnął Marx. – Tracimy czas. Chodźmy za nim.

– Jestem odpowiedzialny za waszą czwórkę. Nie mogę ryzykować waszego bezpieczeństwa, pozwalając, żebyście tam weszli. Po kilku minutach stracilibyście kontakt ze mną i między sobą. Przy każdym kroku robilibyście hałas i, jeśli mam rację co do światła, niedługo nie moglibyście go dostrzec, nawet gdyby stał tuż obok was. Lasów na Dodgsonie jeszcze nie badaliśmy – możliwe, że Snark nie jest tutaj jedynym niebezpiecznym stworzeniem. Tu może być wszystko, od nadržewnych kotów po jadowite owady i dwudziestometrowe nerwowe węże.

– To co pan proponuje? – spytał Marx.  
– Najsensowniejsza wydaje się zasadzka. Ale zbudowanie jej zajmie pół dnia, a kto wie, gdzie on już wtedy będzie? – Przerwałem na chwilę. – No dobrze. Państwo troje, z bronią, proszę rozstawić się szerzej. Panie Pollard, proszę stanąć z tyłu. Chajinka i ja spróbujemy go wypłoszyć z zarośli.

– Chyba pan mówił, że to zbyt niebezpieczne – odezwała się Ramona.  
– Muszę uściślić. To zbyt niebezpieczne dla amatorów.  
– Jeżeli jest szansa, że może pana zranić, to lepiej dajmy sobie spokój.  
– Doceniam pani troskę, ale...  
– Nie jest to czysty altruizm. Co się stanie z nami, jeśli pana zabije?  
– Wróćcie państwo do obozu i opowiedzcie Mbelemu, co się stało. On wyśle wiadomość podprzestrzenną do firmy, a Silinger & Mahr zadecydują, czy zwrócić państwu pieniądze, czy zabrać państwa na nową planetę z nowym myśliwym.

– W pana ustach brzmi to... jak biznes – stwierdziła z obrzydzeniem.  
– Dla mnie to biznes.  
– Dlaczego został pan myśliwym? Wzruszyłem ramionami.  
– A dlaczego pani została sędzią?  
– Lubię porządek.  
– Ja też.  
– Znajduje pan porządek, zabijając zwierzęta?  
– Znajduję porządek w Naturze. Śmierć jest po prostu jej częścią... – Zamilkłem na chwilę. – A teraz, panie Marx – odwróciłem się w jego stronę – proszę, by pan...

Nie było go.

– Gdzie on, do cholery, poszedł?!  
Nikt nie wiedział, nawet Chajinka. Zawołałem jego tragarza.  
– Szef Marx poszedł tam. – Wskazał na las, po czym ze smutkiem pokazał mi zapasowy karabin. – Nie zaczął na mnie.  
– Cholera! – mruknąłem. – Jakby nie wystarczyło, że muszę szukać Snarka! Teraz mam okazję zostać zastrzelonym przez tego palanta!  
– Dlaczego miałby do pana strzelać? – zapytała Ramona.  
– Usłysz mnie, zanim mnie zobaczy. Jest naładowany adrenaliną. Będzie pewien, że jestem Snarkiem.

– No to proszę tu zostać.

– Chciałbym – odpowiedziałem szczerze. – Ale moim zadaniem jest chronienie go, czy tego chce, czy nie.

Ten akurat argument stał się po chwili czysto akademicki, gdyż usłyszeliśmy strzał, a potem długi, pełen bólu krzyk.

Krzyk człowieka.

– Proszę stanąć jakieś dwieście metrów od siebie – poleciłem Desmondom. – Proszę strzelać do wszystkiego, co się pokaże i nie wygląda jak ja albo Dabih! Chodźmy! – zwróciłem się do Chajinki.

Dabih poprowadził mnie przez las. Zaczęło się robić coraz ciemniej i gęściej i w końcu zgubiliśmy ślad Marxa.

– Szybciej go znajdziemy, jeśli się rozdzielimy – szepnąłem. – Ty na lewo, ja na prawo.

Trzymałem karabin gotowy do strzału, żalując, że rano nie włożyłem do oczu soczewek na podczerwień. Po minucie nie słyszałem już Chajinki, co znaczyło, że gdy w końcu usłyszę kroki, będę musiał czekać ze strzałem, aż poznam, czy to Dabih, czy Snark.

To żadna tajemnica, że myśliwi nienawidzą tropienia rannej zwierzyny w zaroślach. I powiem wam coś jeszcze: tropienie w krzakach nie zranionej zwierzyny jest jeszcze gorsze. Pot zalewał mi oczy, owady wlażyły mi do butów, skarpetek i w rękawy koszuli, a ciężar karabinu najwyraźniej wzrósł trzykrotnie. Ledwo widziałem cokolwiek na trzy metry przed sobą, a gdyby Marx wezwał pomocy z odległości pięćdziesięciu metrów, znalezienie go zajęłoby mi pewnie z pięć minut.

Ale Marx nie wzywał już pomocy.

Nagle dostrzegłem leżącą na ziemi ludzką postać. Podeszedłem ostrożnie, widząc Snarki – jakkolwiek by wyglądały – za każdym drzewem. Ukląknęłam. Gardło miał rozerwane, a wnętrzości wylewały się przez wielką dziurę w brzuchu. Najprawdopodobniej zmarł, zanim padł na ziemię.

– Chajinka! – wrzasnąłem. Nie było odpowiedzi.

Wołałem go po imieniu co trzydzieści sekund i w końcu, po jakichś piętnastu minutach, usłyszałem, jak coś przeciska się przez gęste krzaki, a przetworzony przez tłumacza, mechaniczny głos powtarza:

– Nie strzelaj! Nie strzelaj!

- Chodź tutaj! – zawołałem. Po chwili był przy mnie.

- Snark – orzekł, patrząc na ciało Marxa.

- Na pewno?

- Na pewno.

- No dobrze. Pomóż mi nieść ciało.

Nagle usłyszeliśmy dwa wystrzały.

- Cholera! – ryknąłem. – Wyszedł na nich!

- To może już nie żyje. Były dwa strzały.

Kiedy wreszcie wydostaliśmy się z zarośli, zobaczyliśmy Philemona Desmonda, siedzącego na ziemi i oddychającego z trudem. Drżał na całym ciele. Ramona i Pollard stali kilka metrów dalej, wpatrując się w niego – ona z jawną pogardą, on z pewnym współczuciem.

- Co się stało? – spytałem.

- Wypadł z krzaków prosto na mnie! – oznajmił Desmond drżącym głosem.

- Słyszeliśmy dwa strzały. Trafiliście go?

- Nie sądzę. – Znowu zaczął się trząść. – Nie, ja na pewno nie.

- Jak, do cholery, mogliście chybić?! – wrzasnąłem. – Nie mógł być dalej niż jakieś dwadzieścia metrów!

- Nigdy nic nie zabiłem! – odwrzasnął Desmond.

Rozejrzałem się po górzystej okolicy. Nie było widać ani śladu Snarka, a w zasięgu mojego wzroku musiało być z pięćset dobrych kryjówek.

- Cudownie – mruknąłem. – Po prostu cudownie!

*Bosman popadł w stan głątwy, z warg płynęły mu klątwy:*

*„Ech, tragiczne Przeznaczeń wiraze!*

*Dziwną jest to manierą: ostrzec łowców dopiero*

*Gdy Snark w progę, że tak się wyrażę!”*

Wyciągnęliśmy ciało Marxa z lasu i załadowaliśmy na tył pojazdu.

- Mój Boże! – szepnął Desmond. – On nie żyje! Był jedynym z nas, który wiedział cokolwiek o polowaniach, a teraz nie żyje! Musimy się stąd wydostać!

- Był też naszym przyjacielem – oznajmiła Ramona. – Mógłbyś poświęcić jemu trochę tego żalu, który wylewasz na siebie.

- Ramono! – odezwał się ostro Pollard.



- Przepraszam – rzuciła całkowicie nieszczerze.
- Pollard wpatrywał się w ciało Marxa, odkąd wynieśliśmy je z lasu.
- Jezu, co za jatka! – powiedział w końcu. – Bardzo cierpiał?
- Nie – zapewniłem. – Nie z takimi ranami. Natychmiastowa śmierć.
- No cóż, chyba powinniśmy dziękować za to Bogu – uznał Pollard. W końcu oderwał wzrok od ciała i zwrócił się do mnie: – Co teraz?
- Teraz to już nie sport – odpowiedziałem, zastanawiając się ponuro, czy odbiorą mi licencję za stratę klienta, czy tylko ją zawieszą. – Zabił jednego z nas. Musi zginąć.
- Myślałem, że taka jest cała idea safari.
- Celem safari jest polowanie sportowe, z daniem równych szans zwierzyńce. Teraz naszym celem stało się zabicie go jak najszybciej.
- To brzmi jak zemsta – zauważyła Ramona.
- To tylko praktyczność – poprawiłem ją. – Wie już, jak łatwo zabić uzbrojonego człowieka, a nie chcemy, żeby weszło mu to w zwyczaj.
- A jak go powstrzymamy?
- Są sposoby. Wykorzystam wszystkie znane mi sztuczki (a nauczyłem się ich sporo przez całe życie), zanim będzie miał okazję zabić znowu. A teraz proszę mi opowiedzieć, jak właściwie wyglądał, żebym wiedział, jakie zastawić pułapki.
- Jak ogromna czerwona mała ze świecącymi oczami – powiedział Pollard.
- Nie! – zaprzeczyła Ramona. – Raczej jak brunatny niedźwiedź, tylko z dłuższymi nogami.
- Był smukły – dodał Pollard.
- Ramona znowu mu zaprzeczyła.
- Nie, był kudłaty.
- Cudownie – mruknąłem. – Zakładam, że przynajmniej zrobił pan parę holografii, panie Pollard?
- Pokręcił głową zawstydzony.
- Byłem tak zaskoczony, kiedy na nas wypadł, że całkiem zapomniałem o aparacie.
- Wszystko to jest ogromnie przydatne – stwierdziłem z obrzydzeniem. Zwróciłem się do Desmonda: – A pan?
- Nie wiem – jęknął. Nagle zadrżał. – Wyglądał jak Śmierć!

– Musi pan wybaczyć Philemonowi – powiedziała Ramona. Z jej miny było widać, że ona mu na pewno nie wybaczy. – Jest naprawdę bardzo dobry w inwestycjach i fuzjach, a nawet przejęciach. Za to nie jest zbyt kompetentny w niczym bardziej fizycznym. – Klepnęła jego medal. – Nie licząc biegów.

Marx zostawił na Roosevelcie III żonę i troje dorosłych dzieci, a jego przyjaciele byli pewni, że rodzina będzie sobie życzyła transportu zwłok. Włożyliśmy więc ciało do pojemnika próżniowego i wrzuciliśmy je do ładowni.

Potem wzięliśmy się z Chajinką do pracy. Zastawiliśmy siedem pułapek, po czym wróciliśmy do obozu, by czekać.

Na drugi dzień wcześniej rano poszliśmy zobaczyć, co udało nam się osiągnąć. Wtedy właśnie dowiedziałem się, że Snark ma sardoniczne poczucie humoru. Każda pułapka zawierała martwe zwierzę. Ale, żebyśmy nie uznali, że mieliśmy z tym cokolwiek wspólnego, każde miało rozbitą głowę.

Sukinsyn po prostu się z nas naśmiewał.

*Każdy bowiem typowy Snark, prócz innych swych szpetot,  
Przed kontaktem z ludzkością się wzbrania:  
Wszelkich trzeba więc znanych – i nieznanym też – metod  
Użyć, jeśli chce dopaść się drania!*

Obudziłem się następnego ranka słysząc brzmiające nieco znajomo, niezrozumiałe bełkotanie. Po jakiejś minucie oprzytomniałem na tyle, by je zidentyfikować. Wybiegłem z Bąbla i niemal wpadłem na Chajinkę, który biegł mi na spotkanie.

– Co się dzieje? – zapytałem.

Odpowiedział w swoim języku.

– Gdzie twój tłumacz?

Paplał coś do mnie. Nie rozumiałem ani słowa.

W końcu zaciągnął mnie tam, gdzie jedli i spali Dabihowie. Wskazał na bezkształtną masę metalu, plastyku i procesorów. Nocą Snark bezgłośnie wszedł do obozu i zniszczył wszystkie urządzenia tłumaczące.

Zastanawiałem się, czy po prostu szczęśliwie wybrał, czy też wiedział, jak bardzo są nam potrzebne.

Mbele, obudzony przez te same dźwięki, wybiegł ze swojego Bąbla.

– Co się, do cholery, dzieje?! – krzyknął.

– Sam zobacz – odpowiedziałem.

– Jezu! Czy którykolwiek z Dabihów mówi po ludzku?

Pokręciłem głową.

– Gdyby mówili, nie potrzebowaliby tłumaczy, prawda?

– To był Snark?

– Któż by inny? – Skrzywiłem się.

– To co teraz zrobisz?

– Najpierw spróbuję dojść, czy był to wypadek, czy złośliwość i czy miał jakiegokolwiek pojęcie, jaki chaos spowoduje.

– Uważasz, że może być trochę mądrzejszy od przeciętnego niedźwiedzia?

– Nie wiem. Żyje jak zwierzę, zachowuje się jak zwierzę i poluje jak zwierzę. Ale w krótkim czasie zabił Marxa i zadbał o to, by pięcioro pozostałych ludzi nie mogło porozumieć się z dwunastoma Dabihami. – Zmusiłem się do kwaśnego uśmiechu. – To nieźle jak na głupie zwierzę, prawda?

– Lepiej obudź pozostałych i powiedz im, co się stało.

– Wiem. – Kopnąłem jedną z połamanych maszyn. – Niech to szlag!

Obudziłem Desmondów i Pollarda i powiedziałem, co się stało. Myślałem, że Philemon Desmond zaraz zemdleje. Pozostali byli odrobinę bardziej przydatni.

– Jak dawno to się stało? – zapytał Pollard.

– Chajinka pewnie oceniłby to lepiej, ale nie mogę z nim rozmawiać. Moim zdaniem, jakieś dwie godziny temu.

– Czyli jeśli pójdziemy za nim, będzie miał dwie godziny przewagi?

– Tak.

– Lepiej zabijmy go jak najszybciej – powiedziała Ramona. – Teraz, kiedy wie, gdzie jest nasz obóz, może wrócić w każdej chwili.

– Dajcie mi laserowy karabin – poprosił Pollard. – Nie strzelałem, odkąd jeździłem w dzieciństwie na obozy, ale przejechanie po wszystkim promieniem chyba nie jest takie trudne?

– Wygląda pan nie najlepiej, panie Desmond – zwróciłem się do męża Ramony. – Może byłoby lepiej, gdyby został pan w obozie.

Wyraźnie był ogromnie wdzięczny za szansę, jaką mu dałem. Jego żona zepsuła jednak wszystko dodając, że i tak tylko by przeszkadzał.

– Idę – zdecydował.

– To naprawdę nie jest konieczne – zapewniłem.

– Zapłaciłem. Idę. I tyle.

– Nie ma sensu zabierać tragarza – powiedziałem, kiedy szliśmy we czwórkę do pojazdu. – Nie możemy się z nimi porozumieć, a poza tym teraz przepisy już nie obowiązują. Jeśli go dostrzeżemy, będziemy strzelać z wnętrza pojazdu. Będzie można oprzeć broń na czymś twardym. – Usiedli na swoich miejscach. – Proszę chwilę zaczekać.

Znalazłem Mbelego, oświadczyłem, że jedziemy za Snarkiem i że powinien kazać Dabihom zbudować jakieś zabezpieczenia. Potem przywołałem gestem Chajinkę. Po chwili zasiadł, jak zwykle, na masce i ruszyliśmy w pościg.

Ślad prowadził na północny wschód, przez sawannę, w stronę lekko zalesionej doliny. Dwa czy trzy razy wydawało mi się, że dostrzeżemy go za następnym wzgórzem, ale drań był ostrożny i do wczesnego popołudnia nie zauważyliśmy go ani razu.

O zmroku Chajinka nie był już w stanie czytać śladów z pojazdu, zeskoczył więc i pobiegł klusem ze wzrokiem przyklejonym do ziemi. Kiedy dotarliśmy do doliny, poruszał się już tak wolno, że Ramona i Pollard wysiedli i szli obok niego, podczas gdy ja prowadziłem pojazd, a Desmond siedział skulony z tyłu.

*Lecz kotlina cieśniała w coraz węższej wzgórz ramie,*

*Zmrok był zimny jak zupa z konserwy:*

*W końcu obaj musieli dalej iść ramię w ramię –*

*Trochę im to działało na nerwy.*

Zapadła noc i nie było ani śladu Snarka. Nie chciałem uszkodzić pojazdu, jeżdżąc po tym terenie w ciemności, więc położyliśmy się spać aż do wschodu słońca, po czym wróciliśmy do obozu. Dotarliśmy tuż przed południem.

Nikt nie był przygotowany na widok, jaki ujrzeliśmy.

Jedenastu Dabihów, których tu zostawiliśmy, leżało na ziemi w groteskowo powykręcanych pozach, każdy z rozdartym gardłem lub wyrwanymi wnętrznościami. Wszędzie leżały oderwane ramiona i nogi, cały teren zalany był krwią. Martwe, nieruchome oczy patrzyły na nas oskarżycielsko, jakby mówiąc: „Gdzieście byli, kiedy was potrzebowaliśmy?”

Smród był gorszy niż widok. Ramona zakrztusiła się i zaczęła wymiotować. Desmond pisnął i skulił się w pozycji płodowej na podłodze pojazdu, by nie patrzeć na pobożowisko. Pollard zamarł jak posąg, po chwili też zaczął wymiotować. Nie raz widywałem śmierć.

Chajinka też. Ale żaden z nas nie widział jeszcze czegoś takiego. Opór był niewielki. Drapieżnik ważący dwieście kilo nie potrzebuje dużo czasu na powybijanie nieuzbrojonych Dabihów ważących po pięćdziesiąt. Moim zdaniem wszystko rozegrało się w ciągu niecałej minuty.

– Co tu się, u diabła, stało? – zapytał Pollard, kiedy już odzyskał głos, wskazując zalane krwią, porozrywane ciała.

*Mógłbym tu, dalsze perły sypiąc tak przed ryj tłumu,*

*Oprzeć całą rzecz o Teoremat,*

*Gdybym miał trochę czasu, a ty trochę rozumu –*

*Lecz na razie lepiej zmienmy temat.*

– Gdzie jest Mbele? – zapytałem, gdy już się opanowałem i zrozumiałem, że nie ma go wśród ciał.

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, pobiegłem do luku i wszedłem na statek, spodziewając się w każdej chwili ataku Snarka.

To, co zostało z kapitana Mbelego, znalazłem na mostku. Głowa była oderwana od ciała, a brzuch rozdarty. Podłoga, fotele, nawet ekran, były zalane jego krwią.

– Jest tam? – zawołała z ziemi Ramona.

– Nie wchodźcie! – wrzasnąłem.

Potem przeszukałem każdy centymetr statku, szukając Snarka. Czulem wściekle bicie serca, kiedy badałem każdą sekcję. Nigdzie nie było ani śladu. Wróciłem na mostek i zacząłem dokładnie go badać. Snark nie wiedział, jak uruchomić statek ani czym on w ogóle jest, ale

wiedział, że należy on do wroga, więc narobił sporo szkód. Niektóre – uszkodzenie fotela pilota i kapsuł Głębokiego Snu oraz rezerwowych ekranów – nie miały żadnego znaczenia.

Inne – zapłon jądrowy, komputer nawigacyjny i radio podprzestrzenne – miały ogromne. Nadal badałem statek, oceniając szkody. W furii podarł kilka łóżek, ale najpoważniejszych zniszczeń dokonał w kuchni. Miałem wrażenie, że nic tam nie da się naprawić.

Wyszedłem do reszty grupy.

– Znalazł pan kapitana Mbele? – zapytała Ramona.

– Tak. Jest w środku. – Ruszyła w stronę luku. Chwyciłem ją za ramię. – Proszę mi wierzyć, lepiej go nie widzieć.

– Dość! – wrzasnął Desmond. – Przyjazd tu był szaleństwem! Chcę się stąd zabrać. Nie jutro, nie później! Teraz!

– Popieram to – zgodziła się Ramona. – Wynośmy się z tej planety, zanim on zabije jeszcze kogoś.

– To niemożliwe – odparłem ponuro. – Snark poważnie uszkodził statek.

– Jak długo potrwa naprawa? – spytał Pollard.

– Gdybym był doświadczonym mechanikiem wyposażonym w pełny zestaw narzędzi i części zamiennych, może z tydzień. Ale jestem myśliwym, który nie umie naprawić zniszczonego statku. Nie wiedziałbym nawet, od czego zacząć.

– Czyli utknęliśmy tutaj? – zapytała Ramona.

– Na jakiś czas.

– Co to znaczy „na jakiś czas?!“ – wrzasnął histerycznie Desmond. – Zostaniemy tu na zawsze! Już jesteśmy martwi! Wszyscy!

Chwyciłem go i potrząsnąłem nim, a gdy nie przestawał wrzeszczeć, uderzyłem go mocno w twarz.

– To nie pomoże – wycodziłem z wściekłością.

– Nigdy się nie wydostaniemy z tej cholernej planety! – jęknął.

– Owszem, wydostaniemy się. Mbele musiał meldować się co tydzień u Silingera & Mahra. Kiedy nie dostaną meldunku, wyślą ekipę ratunkową. Musimy tylko pozostać przy życiu, aż tu dotrą.

– Nigdy nie dotrą! – bełkotał Desmond. – Wszyscy zginiemy!

– Przestań płakać! – warknąłem. Tylko tego mi teraz trzeba,

pomyślałem z obrzydzeniem. Otaczają nas poszarpane zwłoki, ziemia nasiąkała krwią, Snark jest pewnie nadal w pobliżu, a temu dupkowi odbija. – Mamy co robić! – Wszyscy spojrzeli na mnie. – We trójkę zaczniacie kopać wspólny grób dla Dabihów. Potem musimy wszystko spalić – każde drzewo, krzak, wszystko, żeby pozbyć się zapachu krwi. Mógłby przywabić drapieżniki. Czego nie da się spalić, zakopujemy.

– A pan co będzie robił? – zapytał Desmond, który nareszcie odzyskał minimum równowagi.

– Wyniosę ze statku to, co zostało z Mbelego i zmyję krew – oznajmiłem brutalnie. – Chyba że pan wolałby to zrobić. – Wyglądał jakby zaraz miał zemdleć. – Potem, jeśli zdołam dogadać się z Chajinką, spróbuję zabezpieczyć teren.

– Jak? – spytała Ramona.

– Mamy urządzenia reagujące na ruch i ciepło ciała. Może zdołam zmontować jakiś system ostrzegawczy. Możemy je z Chajinką pochować wokół obozu. Jeżeli skończymy przed wami, pomożemy w kopaniu grobu. A teraz do roboty – im prędzej zaczniemy, tym prędzej będziemy mogli zamknąć się wewnątrz statku i zdecydować, jaki będzie następny ruch.

– A jest w ogóle jakiś? – spytał Pollard.

– Zawsze jest – odpowiedziałem.

Oczyszczenie kabiny z krwi i wnętrza Mbelego zajęło mi prawie cztery godziny. To, co z niego zostało, włożyłem do próżniowego pojemnika i wyniosłem na zewnątrz.

Chajinka pomagał w kopaniu grobu. Zawołałem go i pokazałem mu, przez skomplikowaną pantomimę, o co mi chodzi. Kilka chwil później rozkładaliśmy czujniki wokół obozu. Nie widziałem powodu, by siedzieć w Bąblach, kiedy w pobliżu kręci się tak niebezpieczny wróg, więc złożyłem je i wrzuciłem z powrotem do ładowni. Ponieważ grób nie był jeszcze gotowy, pomogliśmy z Chajinką go skończyć. Desmond nie chciał dotykać ciała, a Ramona wyglądała tak, jakby miała znowu zwymiotować, więc z razem Pollardem i Dabihem zaciągnęliśmy wszystkie zwłoki i ich części do grobu. Dorzuciłem tam pojemnik z ciałem Mbelego. Kiedy zasypywaliśmy grób, odczytałem nad nim fragment z Biblii.

- Co teraz? – spytała Ramona, brudna i bliska załamania.
- Teraz spalimy wszystko, zakopimy pozostałości zaschniętej krwi i przeniesiemy się do wnętrza statku.
- I będziemy po prostu czekać na ratunek?
- Pokręciłem głową.
- Ekipa ratunkowa dotrze tu dopiero za parę tygodni, może nawet za miesiąc. Będzie nam potrzebne mięso, a skoro w zniszczonej kuchni nie można go zamrozić, najprawdopodobniej konieczne będzie wychodzenie na polowanie codziennie, a przynajmniej co drugi dzień.
- Rozumiem.
- A ja zabiję Snarka – dodałem.
- Dlaczego nie zaczekamy po prostu na ekipę ratunkową, nie ryzykując?
- Zabił trzynaście istot będących pod moją opieką – odparłem ponuro.
- Zabiję go, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię.
- Może Philemon powinien dać panu swój laserowy karabin – zaproponowała Ramona. – I tak nie najlepiej się nim posługuje.
- Desmond popatrzył na nią złowrogo, ale się odezwał.
- Może mu się przydać. Poza tym moja broń mi wystarczy.
- Gdzie będzie go pan szukał? – spytał Pollard.
- Mniej więcej w tej okolicy. Nie miał powodu, by ją opuszczać.
- Nie możemy siedzieć tu jak przynęta i czekać na niego! – jęknął Desmond. – Odkąd jesteśmy na tej planecie, pan go nawet nie widział, ale on zabił już Marxa, Mbelego i naszych Dabihów. Wchodzi do obozu, kiedy tylko chce! Niszczy nasz sprzęt i nasz statek! Trzeba wojska, żeby go zabić!
- Jeśli wróci, wewnątrz statku będziecie bezpieczni – odpowiedziałem.
- Zamknięcie się w statku nie pomogło kapitanowi Mbelemu – zauważyła Ramona.
- Nie zamknął luku. Myślę, że zobaczył, co się dzieje, i pobiegł do statku po broń. Snark dopadł go, zanim ją znalazł. Nie powinien był w ogóle wychodzić bez broni.
- Czyli to jego wina, że ten potwór go zabił?! – krzyknął Desmond. – Nie obwiniamy myśliwego, który nawalił! Obwiniamy ofiarę!



Nie wytrzymałem.

– Jeszcze słowo i będzie kolejny trup! – wrzasnąłem. Pollard stanął między nami.

– Spokój! – warknął. – To stworzenie gdzieś tam jest! Nie odwalajcie za nie roboty!

Obaj trochę się uspokoiłiśmy i w końcu weszliśmy na statek. Nie było nic do jedzenia, ale wszyscy byliśmy tak wyczerpani fizycznie i psychicznie, że to nie miało znaczenia. Pół godziny później spaliśmy.

Każdego ranka Chajinka i ja przechodziliśmy przez wypalone, puste pole, jeszcze niedawno pokryte roślinnością. Wsiadaliśmy do pojazdu i przygotowywaliśmy się do zdobycia jakiegoś pożywienia. Chociaż w pobliżu statku nie było już żadnych kryjówek, miałem nieustanne wrażenie, że on nas obserwuje, ocenia naszą siłę, czeka na właściwy moment.

Nigdy nie oddalaliśmy się od obozu więcej niż sześć kilometrów. Nie strzelałem do najefektowniejszych zwierząt, tylko do najbliższych. Potem wybieraliśmy kawały mięsa, które naszym zdaniem mogły się przydać, i zostawialiśmy resztę padlinożercom. Wracaliśmy do obozu, a po śniadaniu szliśmy szukać śladów Snarka.

Wiedziałem, że jest w pobliżu. Byłem tego równie pewien jak własnego imienia, ale nie mogliśmy znaleźć żadnych śladów jego obecności. Ostrzegłem pozostałych, by nie opuszczali statku bez broni (a najlepiej, by w ogóle nie wychodzili) i żeby w żadnym wypadku nie oddalali się od niego na więcej niż trzydzieści metrów, chyba że w moim towarzystwie.

Piątego dnia po masakrze wszyscy mieli już dość czerwonego mięsa, postanowiłem więc iść z Chajinką nad rzekę i złowić parę ryb.

– Mogę iść z wami? – Ramona wyłoniła się z luku. – Zaczynam dostawać klaustrofobii.

Nie widziałem powodu, by jej odmówić. Z Chajinką i ze mną była bezpieczniejsza niż w statku.

– Proszę wziąć karabin – poleciłem.

Znikła wewnątrz statku i po chwili wróciła z laserowym karabinem.

– Jestem gotowa.

– Chodźmy więc.

Ruszyliśmy przez gęste zarośla do rzeki.

– Wszystkie miejscowe zwierzęta muszą tu przychodzić pić – zauważyła Ramona. – Czy nie byłoby łatwiej polować tutaj zamiast wyruszać co rano pojazdem?

– Zwrócilibyśmy uwagę dwukrotnie większej liczby drapieżników – wyjaśniłem. – A skoro przychodzimy tu z Chajinką dwa razy dziennie po wodę, po co ściągać na siebie kłopoty?

– Rozumiem. – Umilkła na chwilę. – Czy w rzece są jakieś drapieżniki? Takie, które mogłyby zjeść człowieka?

– Żadnych nie widziałem. Ale nie zalecałbym kąpieli.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, Chajinka znalazł sporą gałąź i zaczął walić nią w wodę. Kiedy miał już pewność, że jest bezpiecznie, wszedł do rzeki po uda i uniósł włócznię nad głowę, gotów do ataku, podczas gdy my obserwowaliśmy go w całkowitym milczeniu. Stał tak bez ruchu jakieś dwie minuty, potem nagle pchnął włócznię i wyciągnął na jej końcu dużą trzepoczącą się rybę.

Uśmiechnął się i powiedział coś, czego nie zrozumiałem. Potem wyszedł na brzeg, wziął kamień i rozbił nim głowę ryby. Kiedy przestała się ruszać, wrócił do wody.

– Jeszcze dwie i będzie kolacja – zauważyłem.

– Jest naprawdę niesamowity – stwierdziła Ramona. – Gdzie pan go znalazł?

– Odziedzyczyłem go.

– Co takiego?

– Był tropicielem u myśliwego, którego ja byłem uczniem. Kiedy ów myśliwy przeszedł na emeryturę, przekazał mi listę swoich klientów i Chajinkę.

Nagle rozległ się tryumfalny okrzyk Chajinki. Uniósł włócznię, na końcu której znajdowała się duża, ważąca z kilkanaście kilo ryba. Sam Dabih nie ważył więcej niż czterdzieści pięć kilo, prąd był silny, a dno śliskie. Nagle padł do tyłu i zniknął pod powierzchnią wody.

Wyłonił się po sekundzie bez włóczni i ryby. Zobaczyłem je dobre dziesięć metrów od niego.

Mówienie mu o tym nie miało sensu – bez tłumacza nie rozumiał ani

słowa. Wszedłem więc sam do rzeki. Woda szybko sięgnęła mi do piersi i musiałem walczyć z prądem, ale w końcu złapałem włócznię i wróciłem na brzeg. Chajinka wylazł po chwili z zawstydzonym uśmiechem. Zrobił kolejną niezrozumiałą uwagę i rozbił rybie głowę, podobnie jak pierwszej.

– Widzi pani? – stwierdziłem sardonicznie. – Nawet łowienie ryb może być na safari fascynujące.

Nie usłyszałem odpowiedzi. Obejrzałem się. Ramony Desmond nigdzie nie było.

*Snark znów musiał wyręczać splakanego Sędziego:*

*Ani szmer nie pozostał z rwetusu,*

*Kiedy, gromko wezwany, Wyrok wstał z kąta, gdzie go*

*Posadzono w pierwszy dzień procesu.*

Przykucnąłem koło jej ciała. Nie było krwi – bezgłośnie złamał jej kark i zostawił tam, gdzie upadła.

– Obserwował nas cały czas! – wrzasnąłem z furią. – Poczekał, aż będzie sama, chwycił ją i wciągnął w krzaki. – Przyszła mi do głowy ponura myśl. – Ciekawe, kto tu na kogo poluje?

Chajinka mruknął coś niezrozumiałego.

– No trudno – powiedziałem po chwili. – Zabierzmy ją do obozu.

Zarzuciłem sobie ciało Ramony na ramię i dałem mu znak, by szedł za mną.

Desmond wybiegł na nasz widok ze statku. Zaczął okładać się pięściami i wyrwać sobie włosy z głowy, wrzeszcząc coś bez sensu na całe gardło.

– Co się, do cholery, dzieje? – zapytał Pollard, wylaząc przez luk. Potem dostrzegł ciało. Z trudem zapanował nad głosem. – O Jezu! O Jezu! – powtarzał. Kiedy w końcu się uspokoił, stwierdził: – To więcej niż zwierzę! To jakiś mściwy, nieznanany bóg!

Chajinka poszedł do ładowni i wrócił z łopata.

Pollard wpatrywał się w Desmonda, który jeszcze się nie opanował.

– Pomogę w kopaniu – zaproponował.

– Dziękuję – odpowiedziałem. – Chyba lepiej zaprowadzę Desmonda do kabiny i dam mu coś na uspokojenie.

Podszedłem i położyłem mu rękę na ramieniu.

– To twoja wina! – wrzasnął. – Miałeś ją chronić, a pozwoliłeś ją zabić!

Nie mogłem zaprzeczyć, więc tylko popychałem go delikatnie w stronę statku.

I wtedy, w ułamku sekundy, coś w nim się przełamało. Widziałem to w jego twarzy. Oczy otworzyły się szeroko, mięśnie szczęki zaczęły drżeć, nawet ton głosu się zmienił.

– To zwierzę dowie się, co to znaczy zabić żonę najpotężniejszego człowieka w Dalekim Londynie! – Spojrzał na zarośla i wrzasnął: – Jestem Philemon Desmond, do cholery, i nie będę się więcej bać jakiegoś pieprzonego tępego zwierzaka! Słyszysz mnie? To koniec! Już nie żyjesz!

– Proszę, panie Desmond – powiedziałem cicho, popychając go w stronę statku.

– Kim, do cholery, jesteś? – zapytał i widziałem, że naprawdę mnie nie rozpoznał. Miałem właśnie udzielić mu jakiejś odpowiedzi, kiedy wszystko pochłonęła ciemność, a ziemia uderzyła mnie w twarz.

*Bankier – w nagłym porywie tak szaleńczej odwagi,*

*Że wzbudziło to moc komentarzy –*

*Ruszył w wysokopienne, rozszumiałe szparagi:*

*Bór, gdzie Snark nieraz ślepią rozjarzy.*

Ktoś chlusnął mi w twarz wodą. Chwyciłem oddech, po czym usiadłem i uniosłem dłoń do głowy. Kiedy ją cofnąłem, była pokryta krwią.

– Nic panu nie jest? – zapytał Pollard. Klęczał obok mnie, a za nim dostrzegłem Chajinkę.

– Co się stało?

– Nie jestem pewien. Właśnie zaczynaliśmy kopać grób, kiedy nagle usłyszałem, że Desmond zamilkł. Potem walnął pana czymś w głowę i uciekł.

– Zaskoczył mnie – jęknąłem, mrugając wściekle powiekami. – Dokąd poszedł?

– Nie wiem. – Wskazał na południowy wschód. – Chyba w tamtą stronę.

– Cholera! – zakląłem. – Snark ciągle gdzieś tu jest!

Próbowałem wstać, ale poczułem taki ból i zawrót głowy, że musiałem znowu usiąść.

– Spokojnie. Ma pan pewnie niezły wstrząs mózgu. Gdzie apteczka? Może zdołam przynajmniej powstrzymać krwawienie.

Powiedziałem mu, gdzie szukać, po czym zająłem się próbami wyostrenia wzroku. Kiedy Pollard wrócił i zabrał się za moją głowę, zapytałem go:

– Widział pan, czy przynajmniej zabrał ze sobą laserowy karabin?

– Jeśli nie miał go przy sobie, kiedy pana uderzył, to nie fatygował się po niego.

– A niech to szlag!

– To chyba znaczy, że go nie miał.

– Cudownie – mruknąłem, krzywiąc się, gdyż zrobił coś z tyłem mojej głowy. – Czyli jest nieuzbrojony, biega sobie po zaroślach i wrzeszczy na całe gardło.

– Gotowe – orzekł Pollard, wstając. – Może nie najładniej to wygląda, ale przynajmniej przestał pan krwawić. Jak się pan czuje?

– Ociężałe. Proszę pomóc mi wstać.

Kiedy stałem już na nogach, rozejrzałem się wokół.

– Gdzie mój karabin?

– Tutaj – wskazał Pollard. Podniósł go i podał mi. – Ale pan nie może szukać teraz Desmonda.

– Nie zamierzam szukać Desmonda – wymamrotałem. – Zamierzam szukać jego! – Gestem wezwałem Chajinkę i niepewnym krokiem wyruszyłem na południowy zachód. – Proszę się zamknąć w statku.

– Najpierw skończę grób Ramony.

– Nie.

– Ale...

– Proszę robić, co mówię, chyba że jest pan gotów załatwić go łopatą.

– Nie mogę zostawić jej ciała padlinożercom – zaprotestował Pollard.

– Proszę ją zabrać ze sobą. Opryskać środkami konserwującymi, których używamy do trofeów, i zostawić w ładowni. Pochowamy ją, gdy wrócę.

– Jeśli pan wróci – poprawił. – Zdaje się, że ledwo pan stoi.

– Wróć – obiecałem. – Wciąż jestem myśliwym, a on nadal tylko

zwierzęciem.

– Tak, jest tylko zwierzęciem. Dlatego przy życiu zostaliśmy tylko my dwaj i Chajinka.

Desmond nie zaszedł daleko – zresztą wcale się tego nie spodziewałem.

Znaleźliśmy go niecały kilometr od obozu z roztrzaskaną głową. Zaniósłem go do obozu i pochowałem razem z żoną.

– Drań jest od początku o krok przed nami – stwierdził Pollard z goryczą, kiedy siedzieliśmy obok statku, gasząc pragnienie letnią wodą. Chajinka siedział parę metrów dalej, nieruchomy niczym posąg, wypatrując i nasłuchując oznak bliskości Snarka.

– Jest sprytniejszy, niż myślałem – przyznałem. – Albo ma więcej szczęścia.

– Nic nie ma tyle szczęścia – odparł Pollard. – Musi być inteligentny.

– Z pewnością – zgodziłem się. Pollard otworzył szeroko oczy.

– Chwileczkę! – odezwał się ostro. – Skoro wiedział pan, że to istota inteligentna, to dlaczego zaczął pan na nią polowanie?

– Jest różnica między inteligencją a rozumowaniem – odparłem. – Wiemy, że jest inteligentny. Nie wiemy, czy jest rozumny.

Miał zdziwioną minę.

– Myślałem, że to to samo.

Pokręciłem głową.

– Na Ziemi szympansy były wystarczająco inteligentne, by tworzyć proste narzędzia i przekazywać tę wiedzę z pokolenia na pokolenie, ale nikt nigdy nie twierdził, że są istotami rozumnymi. Fakt, że Snark potrafi zacierać po sobie ślady, dostrzegać moje pułapki i wymykać się nam, dowodzi, że jest inteligentny, ale nie, że jest rozumny.

– Z drugiej strony, nie dowodzi to, że nie jest rozumny – twierdził Pollard z uporem.

– Nie, nie dowodzi.

– Co zatem zrobimy?

– Zabijemy go.

– Nawet jeśli jest rozumny?

– A co mamy zrobić ze stworzeniem, które zabiło piętnaście istot? Gdy

jest to człowiek, skazujemy go na śmierć. Gdy zwierzę, tropimy je i zabijamy. Wynik jest zawsze taki sam.

- No dobrze – zgodził się Pollard bez przekonania. – Zabijemy go. Jak?
- Opuścimy statek i pójdziemy go szukać.
- Dlaczego? Tu jesteśmy bezpieczni!

- Proszę powiedzieć to Mbelemu, Desmondom i Dabihom. Dopóki tu pozostajemy, on wie, gdzie jesteśmy, a my nie wiemy, gdzie on jest. To znaczy, że on jest myśliwym, a my zwierzyną. Jeśli opuścimy obóz i złapiemy jego ślad, zanim on znajdzie nasz, znów staniemy się myśliwymi.

Wstałem.

- Im prędzej wyruszymy, tym lepiej.

Nie był zadowolony, ale nie miał wyboru, gdyż alternatywą było samotne pozostanie w obozie. Kiedy załadowaliśmy pojazd, klepnąłem maskę, poczekałem, aż Chajinka na nią wskoczy i ruszyliśmy do miejsca, gdzie znalazłem ciało Desmonda. Dabih znalazł ślad i zaczęliśmy tropić Snarka. Pragnąłem go dopaść tak, jak niczego w życiu. Nie chodziło tylko o zemstę za wszystkich zabitych ludzi i Dabihów. Nawet nie o zawodową dumę. Wiedziałem, że to moje ostatnie polowanie, że po stracie piętnastu rozumnych istot będących pod moją opieką nigdy nie odzyskam licencji.

Ślad prowadził z powrotem do obozu – Snark obserwował, jak grzebiemy ciało Desmonda. Ukrywał się, póki nie odjechaliśmy, po czym ruszył na północny zachód. Tropiliśmy go do późnego popołudnia, kiedy to znaleźliśmy się jakieś dwanaście kilometrów od statku.

- Nie ma po co wracać na noc – powiedziałem do Pollarda. – Moglibyśmy już nigdy nie odnaleźć śladu.

- A czy on nie zawróci do obozu?

- Nie, jeżeli nas tam nie ma – odparłem z niezachwianą pewnością. – To już nie jest polowanie, to wojna. Żaden z nas nie ustanie, póki drugi żyje.

Spojrzał na mnie mniej więcej tak, jak ja wcześniej na Desmonda.

- Nie możemy tropić go w nocy – odezwał się w końcu.

- Wiem. Każdy z nas będzie czuwał przez trzy godziny – ja, pan i Chajinka – i wyruszymy, gdy tylko będzie dość światła.

Odbyłem pierwszą wartę. Ponieważ i tak nie mogłem spać, odsiedziałem także wartę Pollarda. Potem zbudziłem Chajinkę i zdołałem zdrzemnąć się trzy godziny. Jak tylko zrobiło się dość jasno, znowu ruszyliśmy po śladach.

Koło południa zbliżyliśmy się do niewielkiego kanionu. Wtedy nagle dostrzegłem w oddali ruch. Zatrzymałem pojazd i uruchomiłem teleskopowe soczewki. Był jakieś półtora kilometra z przodu, w dodatku odwrócony do nas tyłem, ale wiedziałem, że nareszcie po raz pierwszy zobaczyłem Snarka.

*Lecz wtem oczy ich tkliwie na skalistym masywie*

*Postać Bubu dostrzegły w oddali –*

*Stał – stał – ha, cóż to? – w przepaść, jakby nie mógł w nią nie paść,*

*Padł – i w zgrozie zdętwiali czekali.*

Podjechałem do brzegu kanionu. Chajinka zeskoczył z maski, a ja i Pollard po chwili dołączyliśmy do niego.

– Jest pan pewien, że pan go widział? – zapytał Pollard.

– Jestem pewien – odparłem. – Dwunożny. Rdzawo-brązowy. Wygląda właściwie jak skrzyżowanie niedźwiedzia z gorylem, przynajmniej z daleka.

– Tak, to na pewno on. – Spojrzał w dół kanionu. – I zszedł tędy?

– Owszem.

– Zakładam, że pójdziemy za nim?

– Nie ma powodu zakładać, że wyjdzie w tej okolicy. Jeśli będziemy czekać, stracimy go z oczu.

– Wygląda dość skalisto. Możemy znaleźć jego ślady?

– Chajinka je znajdzie.

Pollard westchnął głęboko.

– A, co tam. – Wzruszył ramionami. – Nie zamierzam czekać tu samotnie, kiedy wy dwaj pójdziecie za nim. Pewnie będę bezpieczniejszy z wami, oczywiście jeśli nie złamię sobie karku.

Gestem nakazałem Chajince, by ruszył na dół – poruszał się po zboczach dużo pewniej niż jakikolwiek człowiek. Szedł jakieś pięćdziesiąt metrów tuż nad urwiskiem, po czym dotarł do słabo widocznej ścieżki, którą schodziliśmy prawie godzinę. Znaleźliśmy się w



końcu na dnie kanionu, obok wąskiego strumyka, przy którym nasyciliśmy pragnienie, mając nadzieję, że woda nie zaszkodzi nam zbyt, gdyż sprzęt napromieniający zostawiliśmy na statku.

Odpoczęliśmy chwilę i wróciliśmy do polowania. Chajinka potrafił znaleźć trop w miejscach, gdzie przysiągłbym, że żadnego nie ma. Wczesnym popołudniem dno kanionu przestało być płaskie i musieliśmy iść krętą ścieżką obchodzącą skaliste formacje. Pollard trzymał się nieźle, ale był w nie najlepszej kondycji. Wciąż zostawał w tyle, kilka razy nawet zniknął nam z oczu. Musieliśmy stawać i czekać na niego.

Kiedy znowu został w tyle, postanowiłem zapytać go, czy nie powinniśmy odpocząć. Nie ośmieliłem się krzyknąć, by nie zdradzić Snarkowi naszej pozycji, więc tylko dałem Chajince znak, by zwolnił, póki Pollard nas nie dogoni.

Nie dogonił. Po kilku minutach cofnęliśmy się, by sprawdzić, co się stało. Nie mogłem go znaleźć. Jakby zniknął z powierzchni planety.

*Aż do zmroku tropili, ale jak kamień w wodę –  
Ni krzty śladu, guzika, zegarka;  
Nie znaleźli niczego, co by było dowodem,  
Że to tu Bubu spotkał był Snarka.*

Szukaliśmy Pollarda przez pół godziny. Nie było ani śladu i w końcu zmuszeni byliśmy przyznać, że w jakiś sposób Snark zawrócił i okrążył nas lub też ukrył się i zaczekał, aż przejdziemy. Tak czy inaczej, najwyraźniej dopadł Pollarda. Wiedziałem, że dalsze poszukiwania nie mają sensu, dałem więc Chajince znak, by dalej tropił Snarka. Szliśmy kamienistym dnem kanionu, póki nie trafiliśmy na stromą skalną ścianę.

– W górę albo z powrotem – stwierdziłem, spoglądając na nią. – Co lepiej?

Wpatrywał się we mnie wyczekująco, czekając, aż dam mu znak, gdzie iść. Spojrzałem z powrotem w stronę, z której przyszlismy, potem w górę, jak szła nasza ścieżka...

... i kiedy spojrzałem w górę, zobaczyłem coś dużego lecącego na mnie!

Odepchnąłem Chajinkę i rzuciłem się w lewo, tocząc się po ziemi. Coś wylądowało głośno kilka metrów dalej... Było to ciało Pollarda.

Spojrzałem w górę i zobaczyłem Snarka, stojącego na krawędzi i patrzącego na mnie. Spojrzeliśmy sobie w oczy. Nagle odwrócił się i ruszył biegiem w górę skalnej ściany.

– Nic ci nie jest? – zapytałam Chajinkę, który właśnie wstawał.

Otrzeptał się, po czym wykonał ruch przypominający machanie łopata i spojrzał na mnie pytająco.

Nie mieliśmy łopata, a wykopanie gołymi rękami nawet płytkiego grobu w tym skalistym podłożu potrwałoby całe godziny. Zostawiając ciało Pollarda tam, gdzie leżało, mieliśmy niemal pewność, że zjedzą je padlinożercy, ale jeśli stracilibyśmy czas na jego pogrzeb, zgubilibyśmy Snarka.

*„Złóćcie go tam, pod szparąg – czas, jak mówią, nie szarak,  
Ale późno już”, Bosman rzekł z mocą  
„Klepsydno, porę zmierz – ha! Toż właśnie się zmierzcha:  
Jak tu Snarka wytropić przed nocą?”*

Kiedy wdrapaliśmy się do połowy wysokości ściany, zatrzymałem się i spojrzałem wstecz. Wysoko na niebie krążyły nieznane drapieżne ptaki. Kiedy pierwszy z nich wylądował obok martwego Pollarda i zaczął go dziobać, odwróciłem się i skupiłem na Snarku.

Dotarcie na szczyt zajęło nam godzinę, po czym Chajinka spędził kilka minut na szukaniu śladu Snarka. Szliśmy za nim kolejną godzinę; okolica zmieniała się powoli – stopniowo stawała się na powrót zielona i żyzna.

Wtedy stało się coś dziwnego. Ślad stał się nagle wyraźnie widoczny. Niemal zbyt widoczny.

Tropiliśmy go jeszcze pół godziny. Czułem, że jest blisko i byłem gotów strzelać do wszystkiego, co się rusza. Przez wilgoć w powietrzu ręce spocily mi się tak bardzo, iż obawiałem się, że palec ześlizgnie się z cyngla. Dałem więc Chajince sygnał, że chciałbym zrobić krótką przerwę.

Upiłem łyk z butelki. Potem, kiedy oparłem się o drzewo, ocierając karabin z wilgoci, zobaczyłem jakiś ruch niecały kilometr dalej.

To był on!

Uniosłem karabin do ramienia i wycelowałem. Był jednak za daleko. Zerwałem się na nogi i pobiegłem za nim. Na moment odwrócił się do

mnie przodem, po czym zniknął w krzakach. Kiedy dotarliśmy tam, gdzie był, znaleźliśmy ślad prowadzący na północ i ruszyliśmy nim.

W pewnej chwili zatrzymaliśmy się, bym mógł wyrzucić z buta gryzącego owada – i nagle znowu go zobaczyliśmy. Ryknął i zniknął w gęstych zaroślach, kiedy pobiegłem za nim. Całkiem jakby sukinsyn się z nami drażnił. Zastanawiałem się, czy aby nie prowadzi nas w pułapkę?

I wtedy pojawił się nagły przeblysł zrozumienia.

A może nie prowadzi nas w pułapkę, tylko usiłował od czegoś odciągnąć? Niewiele miało to sensu, ale gdzieś w głębi serca wiedziałem, że to prawda.

– Stój! – rozkazałem Chajince.

Nie znał tego słowa, ale sam mój ton nakazał mu zatrzymać się w miejscu. Wskazałem na południe.

– W tę stronę – oznajmiłem.

Dabih zmarszczył czoło i wskazał w stronę Snarka, mówiąc coś w swoim języku.

– Wiem, że tam jest – odpowiedziałem. – Ale i tak chodźmy w tę stronę.

Ruszyłem na południe. Ledwo przeszedłem cztery czy pięć kroków, Chajinka znalazł się przy moim boku, znowu coś papłąc, szarpiąc mnie za ramię, usiłując zmusić do pójścia za Snarkiem.

– Nie! – warknąłem. Samego słowa na pewno nie zrozumiał, musiał więc zadziałać ton. Zresztą wszystko jedno, co było przyczyną, grunt, że wzruszył ramionami, spojrzął na mnie, jakbym zwariował, i ruszył za mną. Nie mógł prowadzić, gdyż nie było żadnych śladów, a on nie wiedział, dokąd idziemy. Ja zresztą też nie, ale instynkt mówił mi, że Snark nie chce, bym szedł w tę stronę, i to mi wystarczyło.

Szliśmy jakieś piętnaście minut, kiedy usłyszałem na lewo straszliwy ryk. Był to Snark – tym razem dużo bliżej, z innej strony. Pokazał się na chwilę i uciekł.

– Wiedziałem! – szepnąłem z podnieceniem do Chajinki, który wydawał się zdezorientowany tym, że nadal ignoruję Snarka.

Im dalej szliśmy na południe, tym odważniejszy robił się Snark. W końcu zbliżył się do nas na sto metrów, ale nigdy nie pokazał się na dość długo, bym mógł wystrzelić.

Czułem, że Chajinka jest coraz bardziej zdenerwowany. W końcu, kiedy Snark ryknął trzydzieści metrów od nas, mały Dabih uniósł włócznię i rzucił się za nim.

– Nie! – krzyknąłem. – Zabije cię!

Próbowałem go złapać, ale był dla mnie za szybki. Ruszyłem za nim pomiędzy trawopodobne rośliny, wysokie na trzy metry. Było to wyjątkowo głupie posunięcie – nie mogłem dostrzec Chajinki, nie widziałem Snarka, nie miałem pola manewru, nie mógłbym nawet uskoczyć, gdyby się na mnie rzucił. Ale Chajinka był moim przyjacielem – jeśli mam być szczery, to prawdopodobnie moim jedynym przyjacielem – i nie mogłem pozwolić, by samotnie stawiał czoło Snarkowi.

Nagle usłyszałem odgłosy szamotaniny. Rozległ się warkot, Chajinka krzyknął raz i zapanowała cisza.

Przepychałem się między ciężkimi trawami. Potem natrafiłem na cierniste krzewy, kolce poszarpały mi ramiona i nogi. Nie zwracałem na to uwagi, szukając Chajinki.

Znalazłem go na małej polance. Walczył o życie – świadczyły o tym jego rany – ale nawet uzbrojony we włócznię nie mógł się równać z dwustukilogramowym drapieżnikiem.

Rozpoznał mnie, spróbował powiedzieć coś, czego i tak bym nie zrozumiał, i zmarł zaraz po tym, jak do niego dotarłem.

Wiedziałem, że nie powinienem pozostawać w tych gęstych zaroślach, skoro Snark nadal jest w pobliżu. To był jego teren. Wróciłem więc na swój szlak i dalej szedłem na południe. Snark ryczał z ukrycia, ale nie pokazał się.

Przeszedłem kolejne pół kilometra i dotarłem do drzewa z pustym wewnątrz pniem. Miałem zamiar je obejść, kiedy w środku usłyszałem popiskiwanie. Podeszedłem ostrożnie, z karabinem odbezpieczonym i gotowym do strzału – i nagle Snark wyszedł na otwartą przestrzeń niecałe piętnaście metrów ode mnie i rzucił się naprzód z ogłuszającym rykiem.

Znalazł się przy mnie tak szybko, że nawet nie zdążyłem wycelować. Zamachnął się potężną łapą. Uchyliłem się i odwróciłem, ale cios sięgnął mojego ramienia i wyrzucił mnie w powietrze. Wylądowałem na wznak,

wstałem i zobaczyłem, że stoi jakieś dziesięć metrów ode mnie. Mój karabin leżał na ziemi obok niego.

Znowu zaatakował. Tym razem byłem gotów. Zanurkowałem pod jego pazurami, przetoczyłem się po ziemi, chwyciłem broń i wystrzeliłem raz, zanim odwrócił się za mną.

– Mam cię, sukinsynu! – wrzasnąłem triumfalnie.

Z początku myślałem, że trafiłem go zbyt wysoko, by rana była śmiertelna, ale padł natychmiast. Trysnęła krew. Zauważyłem na jego boku jątrzącą się ranę, pewnie pamiątkę po spotkaniu z Marxem przed tygodniem. Obserwowałem go przez chwilę, po czym postanowiłem „zapłacić ubezpieczenie” – minimalny koszt drugiej kuli, by upewnić się, że nie wstanie i nie narobi przed śmiercią szkody. Podszedłem, by wepchnąć lufę do jego ucha, odkryłem, że nie mam jak i wysunąłem nogę, by przekręcić jego łeb.

Poczułem w głowie coś w rodzaju elektrycznego prądu i nagle, chociaż nigdy niczego takiego nie doświadczyłem, zrozumiałem, że jestem połączony telepatycznie z umierającym Snarkiem.

„Dlaczego przybyliście na moją ziemię, by mnie zabić?” – zapytał, raczej zdziwiony niż zły.

Odskoczyłem, zaskoczony – i straciłem z nim kontakt. Najwidoczniej potrzebna była do niego fizyczna styczność. Przykucnąłem, ująłem w dłonie jego łapy i odczułem jego strach i ból.

Potem on umarł, a ja stałem i patrzyłem na niego, czując, że cały mój wszechświat przewrócił się do góry nogami – bo w tej krótkiej chwili, w której dzieliłem jego myśli, dowiedziałem się, co się naprawdę stało.

Rasa Snarka, rozumna, ale nie znająca techniki, nigdy nie była liczna i została zniszczona przez zarazę. Tak się jakoś stało, że przeżył on jeden. Pozostali zmarli dziesiątki lat temu, a on od tego czasu prowadził życie pełne straszliwej samotności.

Wiedział o naszej obecności na Dodgsonie IV od dnia naszego lądowania. Nie miał nic przeciwko dzieleniu z nami terenów łowieckich i nie próbował nas w żaden sposób odstraszyć lub skrzywdzić.

Zabicie kozła z kryształowymi rogami uznał za gest przyjaźni – nie rozumiał, że kradnie trofeum Marxa, bo idea trofeów łowieckich była mu całkowicie obca. Zabił Marxa dopiero po tym, jak tamten go zranił.

Nawet wtedy był gotów nam wybaczyć. Martwe zwierzęta, które znalazłem w pułapkach, były dla niego darami przyjaźni.

Nie rozumiał, że naprawdę chcemy go zabić, postanowił więc przyjść do obozu i spróbować porozumieć się z nami. Kiedy tam dotarł, mylnie uznał maszyny tłumaczące Dabihów za broń i zniszczył je. Potem, pewien, że przyjmujemy to za akt agresji, chociaż nikogo nie skrzywdził, odszedł, zanim się pobudziliśmy.

Jeszcze raz chciał nawiązać z nami porozumienie. Tym razem nie próbował podejść do obozu nie zauważony. Przyszedł bez osłony, gotów na to, że zostanie wypytany o wszystko przez te nowe rasy. Ale nie był przygotowany na atak ze strony Dabihów. Walcząc w samoobronie, szybko się z nimi rozprawił. Mbele pobiegł do statku po broń lub szukając kryjówki. Pamiętał, co zrobił mu z odległości pięćdziesięciu metrów karabin Marxa, nie mógł więc pozwolić na to, by Mbele strzelał ukryty w statku. Ruszył za nim i zabił go, zanim tamten mógł znaleźć jakąś broń.

Potem była już wojna. Nie wiedział, dlaczego chcemy go zabić, ale nie miał już wątpliwości, że tak jest... Był taki czas, że z radością powitałby kres swojego nieszczęśliwego, samotnego istnienia, ale teraz miał powód, wręcz gwałtowną potrzebę pozostania przy życiu za wszelką cenę...

...bo okazało się, że to wcale nie był „on”, ale „to”. Snark był bezpłciowym zwierzęciem, rozmnażającym się przez pączkowanie. Jego ostatnia myśl dotyczyła ogromnego żalu, nie dlatego, że sam umrze, gdyż rozumiał cykl życia i śmierci, ale dlatego, że jego potomek umrze również.

Patrzyłem na ciało Snarka, a moje chwilowe uczucie triumfu zostało zastąpione przez przytłaczające poczucie winy. To, co uznałem za swoje zwycięstwo, okazało się wymordowaniem całego gatunku.

Znowu usłyszałem popiskiwanie, podszedłem więc z powrotem do pustego pnia i zajrzałem do środka. Tam zobaczyłem bardzo małą i bardzo bezradną wersję Snarka, drżącą i kulącą się ze strachu.

Wyciągnąłem do niego rękę, a on zawarczał cichutko, wysoko i wtulił się w pień.

Przemówiłem łagodnie, poruszyłem się bardzo powoli i znowu

wyciągnąłem rękę. Tym razem patrzył długo na moją dłoń i w końcu ostrożnie, z wahaniem, dotknął jej.

Natychmiast poczułem jego wszechogarniające przerażenie.

„Nie bój się, maleńki” – powiedziałem w milczeniu. „Cokolwiek się stanie, będę cię chronić. Jestem ci to winien”.

Jego strach zniknął, gdyż nie można kłamać, kiedy jest się z kimś w telepatycznym kontakcie. Po chwili wyłazł z kryjówek.

Spojrzałem w dal. Niedługo nadlecą ludzie. Za jakieś dwa tygodnie wyląduje ekipa ratunkowa. Znajdą w ładowni ciało Marxa, ekshumują Desmondów, Mbelego i jedenastu Dabihów. Przeczytają dziennik kapitański i dowiedzą się, że masakra ta była dziełem zwierzęcia zwanego Snarkiem.

I, ponieważ zajmują się polowaniami, natychmiast zorganizują safari, by zabić Snarka szybko i sprawnie. Żaden argument nie mógłby ich od tego odwieść, nie po tym, jak stracili całą grupę ludzi i Dabihów.

Ale czeka ich niespodzianka, gdyż ten Snark nie tylko będzie znał teren, będzie też wiedział, jak ludzie myślą i działają i będzie uzbrojony w ludzką broń.

Niemowlę wyciągnęło rękę i wypowiedziało jedno słowo. Próbowałem je powtórzyć, śmiejąc się z tego, że tak źle je wymawiam. Wziąłem małe stworzenie na rękę i poszedłem w zarośla, by, póki czas, dowiedzieć się czegoś więcej o byciu Tatą Snarkiem.

*Znikł w pół słowa, w pół głoski, którą rzec miał nadzieję,*

*Znikł z uśmiechem, z promiennym znikł czołem,*

*Znikł, nie wiedząc, że zniknie, że się w próżni rozwieje –*

*Znikł – bo sęk w tym, że Snark był Bądziołem.*

# Słonie na Neptunie

*The Elephants on Neptune*, przeł. Anna Klimasara  
Nominacja Hugo, 2001

Słonie na Neptunie wiodły idylliczny żywot. Nigdy nie doświadczyły głodu, ni choroby. Nie czyhały na nie żadne drapieżniki. Nigdy nie prowadziły wojen. Nie były obiektem uprzedzeń. Liczba urodzeń równała się liczbie zgonów. Ich skóra i jelita wolne były od pasożytów.

Stado przemieszczało się w tempie dostosowanym do najmłodszych i najslabszych osobników. Żaden chory, czy niedołążny słoń nie został nigdy porzucony.

Słonie na Neptunie były niesamowitą rasą. Żyły w ciszy i spokoju, nigdy się nie kłóciły, a starsze zawsze były łagodne dla młodszych. Gdy rodził się słoń, całe stado zbierało się, by to uczcić. Gdy któryś umierał, całe stado opłakiwało jego odejście. Nie było między nimi animozji, małostkowej zazdrości, ani nierozstrzygniętych sporów.

I tylko jedno dzieliło ich świat od Utopii, a był to fakt, że słonie nigdy nie zapominają.

Przenigdy.

Żeby nie wiem, jak bardzo się starały.

Gdy w 2473 roku ludzie wreszcie wylądowali na Neptunie, słonie były pełne obaw. Niemniej jednak podeszły do statku w duchu braterstwa i życzliwości.

Ludzie także byli nieco niespokojni. Według wszelkich badań Neptun był gazowym olbrzymem, tymczasem wylądowali na twardym podłożu. A skoro badania się myliły, kto wie, co jeszcze mogło pójść nie tak?

Na zmrożony grunt wyszedł wysoki mężczyzna. Za nim pojawił się drugi. A potem trzeci. Gdy wyszli już wszyscy, okazało się, że jest ich niemal tyłu, co słoni.

– A niech mnie! – powiedział dowódca ludzi. – Jesteście słoniami!

– A wy ludźmi – odparły słonie nerwowo.

– Zgadza się – powiedzieli ludzie. – Rościmy sobie prawo do tej planety



w imieniu Zjednoczonej Federacji Ziemi.

- To się zjednoczyliście? – spytały słonie z ogromną ulgą.
  - Przynajmniej ci, którzy przeżyli – odpowiedzieli ludzie.
  - Wasza broń wygląda raczej złowieszczo – stwierdziły słonie, z niepokojem przestępując z nogi na nogę.
  - To element munduru – odparli ludzie. – Bez obaw. Niby czemu mielibyśmy próbować was skrzywdzić? Ludzi i słonie zawsze łączyła głęboka więź.
- Ale słonie niezupełnie tak to pamiętały.

326 r. p.n.e.

*Między Aleksandrem Wielkim a Porusem, władcą Pendżabu, doszło do bitwy nad rzeką Dźhelam. Tam Aleksander po raz pierwszy zobaczył słonie bojowe. Zbadał sytuację, a następnie wysłał ludzi, by ostrzelali wyjątkowo wrażliwe trąby i brzuchy tysiącami płonących strzał. Oszalałe z bólu słonie zaczęły zabijać najbliższych stojących ludzi, a byli to akurat ich opiekunowie i treserzy. Po wielkim zwycięstwie Aleksander zabił pozostałe słonie, by już nigdy nie musiał stawiać im czoła w bitwie.*

217 r. p.n.e.

*Pierwsze starcie dwóch ras słoni. Ptolemeusz IV wystawił słonie afrykańskie przeciwko słoniom indyjskim Antiocha Wielkiego.*

*Słonie na Neptunie nie były pewne, kto wygrał wojnę, ale wiedziały, kto ją przegrał. Po żadnej ze stron nie ocalał ani jeden słon.*

Później, w tym samym 217 r. p.n.e.

*Gdy Ptolemeusz walczył w Syrii, Hannibal zabrał trzydzieści siedem słoni na wyprawę przez Alpy przeciwko Rzymianom. Czternaście zamarzło, ale reszta przeżyła wystarczająco długo, by przyjąć na siebie włócznie wroga, gdy Hannibal wygrywał bitwę pod Kannami.*

- Mamy do omówienia kilka ważnych spraw – powiedzieli ludzie. – Na przykład, atmosfera Neptuna jest wyjątkowo pozbawiona tlenu. Jak oddychacie?

- Przez nos – odpowiedziały słonie.
- Pytaliśmy serio – powiedzieli ludzie, sugestywnie dotykając broni.
- Jesteśmy absolutnie niezdolni do niebycia serio – wyjaśniły słonie. – Poczucie humoru wymaga obiektu żartów, co jest według nas zbyt

okrutne, by w ogóle to brać pod uwagę.

– No dobrze – powiedzieli ludzie, raczej niezadowoleni z odpowiedzi, prawdopodobnie dlatego, że jej nie zrozumieli. – To może inne pytanie. Za pomocą jakiego mechanizmu się porozumiewamy? Nie macie żadnych nadajników, a my w hełmach słyszymy wyłącznie określone pasma radiowe.

– Porozumiewamy się poprzez więź psychiczną – wyjaśniły słonie.

– To mało naukowe wyjaśnienie – stwierdzili ludzie z dezaprobatą. – Na pewno nie macie na myśli więzi telepatycznej?

– Nie, choć w sumie na jedno wychodzi – odpowiedziały słonie. – Wiemy, że według was mówimy po angielsku. Wyjątkiem jest mężczyzna po lewej, który sądzi, że mówimy po hebrajsku.

– A jak my brzmimy według was? – zapytali ludzie.

– Brzmicie, jakby wasze żołądki i jelita wydawały delikatne, bulgoczące dźwięki.

– Fascynujące – stwierdzili ludzie, choć w skrytości ducha uważali to za raczej obrzydliwe.

– Wiecie, co jest *naprawdę* fascynujące? – odparły słonie. – To, że jest z wami Żyd. – Widać było, że ludzie nie rozumieją, o co chodzi, więc słonie wyjaśniły: – Zawsze mieliśmy wrażenie, że ścigamy się z Żydami o to, kto pierwszy zostanie eksterminowany. Niegdyś zwaliśmy się Żydami królestwa zwierząt. – Zwróciły się w stronę żydowskiego astronauty. – A czy Żydzi myśleli o sobie jak o słoniach królestwa ludzi?

– Dotychczas nie, ale teraz, jak o tym wspominiacie... – odpowiedział żydowski astronauta, nagle odkrywając, że zgadza się ze słoniami.

42r.p.n.e.

*Rzymianie zgromadzili żydowskich jeńców na arenie w Aleksandrii, a następnie wypuścili na nich oszalałe ze strachu słonie. Widzowie zaczęli podskakiwać na swoich miejscach, domagając się krwi... słonie przekornie zamiast na Żydów rzuciły się na widzów, ostatecznie udowadniając, że nie ma co ufać gruboskórcom. (Gdy opadł kurz, Żydzi uznali, że taki przebieg wydarzeń potwierdza ich prawo do zwania się narodem wybranym przez Boga. Nie byli jednak narodem wybranym przez Rzymian. Gdy tylko żołnierze zabili słonie, również Żydów roznieśli na mieczach).*

– To nie jego wina, że jest Żydem, tak samo, jak nie wasza, że jesteście

słoniami – stwierdzili pozostali ludzie. – Ani trochę nie mamy wam tego za złe.

– Trudno nam w to uwierzyć – stwierdziły słonie.

– Tak? – spytali ludzie. – No to pomyślcie: Indiańcy... znaczy się dobrzy Hindusi, ci z Indii, a nie źli Indianie z Ameryki... czcili Ganeśę, boga z głową słonia.

– Nie wiedzieliśmy o tym – przyznały słonie, na których zrobiło to większe wrażenie, niż okazały. – Czy Hindusi nadal czczą Ganeśę?

– No... na pewno by czcili, gdybyśmy ich nie wybili, broniąc Indii Brytyjskich – powiedzieli ludzie. – Ale wtedy nie było już w wojsku słoni – dodali. – A to już coś.

*Do ostatniej bitwy doszło, gdy Tamerlan Wielki wyruszył na wojnę przeciwko Mehmetowi Sultanowi. Tamerlan zwyciężył, przywiązując gałęzie do rogów bawołów, podpalając je, a następnie wpuszczając stado tych zwierząt między słonie Mehmeta, co położyło ostateczny kres wykorzystywaniu słoni w charakterze machin wojennych, jako że bawoły znacznie łatwiej pozyskać i są tańsze w utrzymaniu. Wszystkie pozostałe udomowione słonie zostały wówczas przyuczone do walk słoni, które były dokładnie tym, czym walki kogutów, tylko na większą skalę. O wiele większą. Przez jakieś trzydzieści, czterdzieści lat był to niezwykle popularny sport, aż skończyli się uczestnicy.*

– Nie tylko was czciliśmy – mówili dalej ludzie – ale nawet nazwaliśmy kraj na waszą cześć... Wybrzeże Kości Słoniowej. To chyba dowodzi naszych dobrych zamiarów.

– Nie nazwaliście go na *naszą* cześć – stwierdziły słonie. – Nazwaliście go na cześć rzeczy, dla której nas zabijaliście.

– Macie wyjątkowo krytyczne nastawienie – oznajmili ludzie. – Mogliśmy go nazwać na cześć jakiegoś miejscowego polityka bez samogłosek w nazwisku.

– A propos Wybrzeża Kości Słoniowej – powiedziały słonie – wiecie, że w 1883 roku wylądowali tam pierwsi na Ziemi przybysze z kosmosu?

– Jak wyglądali?

– Mieli egzoszkielety z kości słoniowej – odpowiedziały słonie. – Rzucili tylko okiem na tamtejszą jatkę i odlecieli.

– Nie zmyślacie? – spytali ludzie.

– Czemu mielibyśmy kłamać po takim czasie?

– Może taka wasza natura – zasugerowali ludzie.

– O, nie – odparły słonie. – W naszej naturze leży mówienie zawsze prawdy. A nasza tragedia polega na tym, że zawsze ją pamiętamy.

Ludzie stwierdzili, że nadszedł czas na obiad, załatwienie potrzeb naturalnych, a także odmeldowanie się Kontroli Misji i złożenie raportu z ustaleń. Na statek wrócili wszyscy poza jednym, który został nieco w tyle.

Odeszły też wszystkie słonie poza jednym z samców.

– Czuję, że masz jakieś pytanie – powiedział słoń.

– Tak – odpowiedział mężczyzna. – Macie niezwykle czuły węch, więc jak wszyscy podkradali się do was podczas polowań?

– Najwięksi łowcy słoni to lud Wanderobo z Kenii i Ugandy. Nacierali ciała naszymi odchodami, by zamaskować swój zapach i się do nas podkraść.

– Aha – stwierdził mężczyzna, kiwając głową. – To ma sens.

– Być może – przyznał słoń, a następnie dodał z całą godnością, na jaką było go stać: – Ale w odwrotnej sytuacji prędzej bym umarł, niż wytarzał się w waszym gównie.

Po czym odwrócił się i odszedł, dołączając do swych towarzyszy.

Neptun jest bardzo niezwykle w porównaniu z innymi światami galaktyki. Tylko on bierze pod uwagę truizm mówiący, że zmiany są nieuniknione i wykorzystuje go w sposób, który zdaje się niewiele różnić od magii.

Z przyczyn, których słonie nie były w stanie pojąć, ani wyjaśnić, Neptun sprzyjał metamorfozom. I nie chodziło jedynie o przystosowanie, choć bezsprzecznie przystosowały się do atmosfery, klimatu, fluktuacji powierzchni planety oraz braku akacji... ale o *metamorfozę*. Słonie instynktownie rozumiały, że Neptun w jakiś sposób przekazał im zdolność kształtowania się na życzenie, choć bardzo starały się nie nadużywać tego daru.

Jako że były słoniami, a co za tym idzie, nie potrafiły chować urazy, żalowały, że ludzie nie są w stanie przekształcić się tak, by mogli porzucić nieporęczne kombinezony oraz dziwaczne hełmy i swobodnie, bez żadnych ograniczeń, przemierzać tę najdoskonalszą z planet.

Gdy ludzie zeszli ze statku i ruszyli po powierzchni Neptuna na spotkanie słoń, te już na nich czekały.

– Bardzo ciekawe – stwierdził dowódca.

– Co? – spytały słoń.

Dowódca przyjrzał się im, marszcząc brwi. – Sprawiacie wrażenie jakby mniejszych.

– Właśnie mieliśmy powiedzieć, że wy sprawiacie wrażenie większych

– odpowiedziały słoń.

– To niemal tak głupie, jak rozmowa, którą właśnie odbyłem z Kontrolą Misji – stwierdził dowódca. – Według nich na Neptunie nie ma słoń.

– A czym według nich jesteśmy?

– Halucynacjami albo potworami z kosmosu – odparł dowódca. – Jeśli jesteście halucynacjami, mamy was ignorować.

Najwyraźniej czekał, aż słoń spytają, jakie dostał instrukcje na wypadek, gdyby okazały się potworami z kosmosu, ale słoń, gdy tylko chcą, dorównują ludziom uporem, a było to pytanie, którego wcale nie miały zamiaru zadawać.

Ludzie w milczeniu wpatrywali się w słoń przez niemal pięć minut. Słoń odpowiedziały tym samym.

W końcu ponownie odezwał się dowódca.

– Wybaczcie mi na chwilę? – spytał. – Nagle poczułem potrzebę zjedzenia jakiejś zieleniny.

Odwrócił się i nic więcej nie mówiąc, odmaszerował na statek. Przez kolejnych kilka sekund pozostali ludzie z zażenowaniem szurali nogami.

– Coś nie tak? – spytały słoń.

– To my rośniemy, czy wy malejecie? – zapytali ludzie.

– Tak – odpowiedziały słoń.

– Już mi lepiej – stwierdził dowódca, wracając do swoich ludzi i zatrzymując się przed słońmi.

– Wyglądasz lepiej – zgodziły się słoń. – Jakby... przystojniej.

– Naprawdę tak sądzicie? – spytał dowódca, mile połączony komplementem.

– Jesteś najwspanialszym przedstawicielem swojej rasy, jakiego widzieliśmy – oznajmiły słoń szczerze. – Szczególnie podobają nam się

twoje uszy.

– Naprawdę? – zapytał człowiek, machając nimi nieznaczenie. – Wcześniej nikt nie zwracał na nie uwagi.

– To zapewne tylko przeoczenie – powiedziały słonie.

– A skoro już o uszach mowa – rzucił dowódca – jesteście słoniami afrykańskimi, czy indyjskimi? Rano wydawało mi się, że afrykańskimi... to te z większymi uszami, prawda? Ale teraz nie jestem już taki pewien.

– Jesteśmy słoniami neptunicznymi – odpowiedziały.

– Aha.

Przez kolejną godzinę wymieniali uprzejmości, po czym ludzie spojrzeli w niebo.

– Gdzie się podziało słońce? – spytali.

– Jest noc – wyjaśniły słonie. – Doba trwa tu tylko czternaście godzin. Przez siedem godzin świeci słońce, a przez siedem jest ciemno.

– I tak słońce nie było za jasne – stwierdził jeden z mężczyzn i wzruszył ramionami, wprawiając swe uszy w głośny łopot.

– Mamy bardzo słaby wzrok, więc i tak nie zwracamy na to uwagi – powiedziały słonie. – Polegamy na powonieniu i słuchu.

Ludzie najwyraźniej czuli się nieswojo. W końcu zwrócili się do dowódcy.

– Możemy się oddalić na jakiś czas, sir? – spytali.

– Po co?

– Nagle strasznie zgłodnieliśmy – stwierdzili ludzie.

– A ja muszę do kibla – powiedział jeden z nich.

– Ja też – rzucił drugi.

– I ja – dodał kolejny.

– Dobrze się czujecie, chłopaki? – spytał dowódca, z niepokojem marszcząc ogromny nos.

– Ja się czuję wręcz doskonale! – zapewnił mężczyzna stojący najbliżej.

– Zjadłbym konia z kopytami.

Pozostali wyraźnie się skrzywili.

– A przynajmniej mały las – poprawił się mężczyzna.

– Udzielam pozwolenia – oznajmił dowódca. Ludzie pospieszili z powrotem na statek. – I przynieście mi kilka główek sałaty... i może jabłko, czy dwa – zawołał za nimi.

– Możesz iść z nimi, jeśli chcesz – powiedziały słonie, które właśnie doszły do wniosku, że zjedzenie konia nie było nawet w połowie tak obrzydliwym pomysłem, jak wcześniej przypuszczały.

– Nie, moim zadaniem jest nawiązanie kontaktu z obcymi – wyjaśnił dowódca. – Choć jakby się nad tym zastanowić, nie jesteście tak obcy, jak sądziliśmy.

– Za to wy jesteście dokładnie tak ludzcy, jak sądziliśmy – odparły słonie.

– Uznam to za ogromny komplement – stwierdził dowódca. – Z drugiej strony, czego miałbym się spodziewać po odwiecznych przyjaciółach, jak wy.

– Odwiecznych przyjaciółach? – powtórzyły słonie, które sądziły, że już nic, co powie mężczyzna nie będzie w stanie ich zaskoczyć.

– Naturalnie. Nawet gdy przestaliście towarzyszyć nam podczas wojen, łączyły nas wyjątkowe stosunki.

– Naprawdę?

– No pewnie. Pomyślcie tylko o P.T. Barnumie, który zrobił z Jumbo międzynarodową supergwiazdę. To zwierzę żyło jako król... przynajmniej do czasu, gdy przypadkiem wpadło pod pociąg.

– Nie chcemy, by zabrzmiało to cynicznie, ale jak można przypadkiem rozjechać siedmiotonowe zwierzę?

– Na początek – stwierdził dowódca, a twarz promieniała mu z dumy – trzeba wynaleźć pociągi. Bo co by o nas nie powiedzieć, musicie przyznać, że nasza rasa może poszczycić się wielkimi osiągnięciami, takimi jak silnik spalinowy, rozszczepienie atomu, podróże na inne planety, lekarstwo na raka. – Przerwał na chwilę. – Nie żebym próbował wam uwłaczać, ale serio, możecie dorównać któremukolwiek z tych odkryć?

– Wiedziemy żywot wolny od grzechu – odpowiedziały po prostu słonie. – Szanujemy swoje przekonania, nie niszczymy środowiska i nigdy nie prowadziliśmy wojen z innymi słoniami.

– I porównujecie to do transplantacji serca, układów scalonych i trójwymiarowych telewizorów? – spytał dowódca z nutką protekcjonalności.

– Mamy inne aspiracje niż wy – powiedziały słonie. – Ale jesteśmy

równie dumni z naszych bohaterów, jak wy ze swoich.

– To macie jakichś bohaterów? – spytał dowódca, nie kryjąc zdumienia.

– Naturalnie. – I słonie wyrecytowały swoją listę zasłużonych: – Słoń z Kilimandżaro. Selemundi. Ahmed z Marsabit. Oraz Wielka Siódemka z Parku Krugera: Mafunyane, Shingwedzi, Kambaki, Joao, Dzombo, Ndlulamithi i Phelwane.

– Są tu, na Neptunie? – spytał dowódca, gdy jego ludzie zaczęli wracać ze statku.

– Nie – odparły słonie. – Zabiliście je wszystkie.

– Na pewno mieliśmy ku temu jakiś powód – upierali się ludzie.

– Akurat były w pobliżu – powiedziały słonie. – No i miały wspaniałe kły.

– Widzicie? – pytali ludzie. – Wiedzieliśmy, że był jakiś powód.

Słoniom nie bardzo podobała się ta odpowiedź, ale były za grzeczne, by o tym wspomnieć i przez całą, krótką, neptuniczną noc dwa gatunki wymieniały poglądy i niewinne kłamstewka. Gdy wzeszło słońce, ludzie dali wyraz swojemu zaskoczeniu:

– Spójrzcie na siebie! – krzyknęli. – Co się dzieje?

– Zmęczyło nas chodzenie na czworakach – powiedziały słonie. – Okazało się, że znacznie wygodniej będzie się wyprostować.

– A co z waszymi trąbami? – dopytywali się ludzie.

– Trochę zawadzały.

– A niech mnie, to niebywałe! – powiedzieli ludzie i popatrzyli po sobie. – Choć *to* jest jeszcze bardziej niebywałe! Nie mieścimy się w hełmach!

– I machamy uszami – stwierdził dowódca.

– I nosy nam się wydłużają – powiedział ktoś inny.

– To wyjątkowo żenujące – oznajmił dowódca i przez chwilę milczał. – Z drugiej strony, nie odczuwam wobec was tej samej wrogości, co wczoraj. Ciekawe czemu?

– Nie mamy zielonego pojęcia – odpowiedziały słonie, które zaczynał drażnić jego płaczliwy głos.

– Ale to prawda – mówił dalej dowódca. – Dziś mam wrażenie, jakby wszystkie słonie wszechświata były moimi przyjaciółmi.

– Szkoda, że nie mieliście takiego wrażenia, kiedy to jeszcze mogło coś



zmienić – stwierdziły słonie z poirytowaniem. – Wiecie, że tylko w dwudziestym wieku zabiliście nas szesnaście milionów?

– Ale się poprawiliśmy – zauważyli ludzie. – Założyliśmy parki, żeby was ocalić.

– To prawda – przyznały słonie. – Ale jednocześnie zagrabiliście większość naszych siedlisk. A następnie zaczęliście odstrzalać, żebyśmy nie wyczerpali zasobów żywieniowych parku. – Zrobiły dramatyczną pauzę. – Wtedy właśnie obcy po raz drugi odwiedzili Ziemię. Kosmici przyjrzeni się teorii ocalania poprzez odstrzał, stwierdzili, że Ziemia to dom wariatów i postanowili, że w przyszłości będą tam zostawiać wszystkie nieuleczalne przypadki.

Po pyzatyach policzkach ludzi spłynęły łzy.

– Strasznie nam przykro z tego powodu – zaszlochali. Kilku przetarło oczy krótkimi, pulchnymi palcami, które najwyraźniej się zrastały.

– Może powinniśmy wrócić na statek, żeby to wszystko przemyśleć – stwierdził dowódca ludzi, na próżno rozglądając się za czymś wystarczająco dużym do wydmuchania nosa. – Poza tym, muszę skorzystać z toalety.

– Świetny pomysł – stwierdził jeden z ludzi. – Zaklepuję kapustę.

– Chłopak! – rzucił inny. – Wiem, że to zabrzmi głupio, ale dużo wygodniej chodzi się na czworakach.

Słonie poczekały, aż wszyscy ludzie znajdą się na statku i poszły zająć się własnymi sprawami, co wydało im się nieco dziwne, gdyż przed pojawieniem się ludzi nie miały żadnych spraw.

– Wiecie co? – powiedział jeden ze słoni. – Naszła mnie nagle chęć na hamburgera.

– Ja bym się napił piwa – powiedział drugi i dodał: – Ciekawe, czy w radiu podprzestrzennym nie leci transmisja z jakiegoś meczu.

– To naprawdę dziwne – zauważył trzeci. – Mam wielką ochotę zdradzić żonę... choć nawet nie jestem żonaty.

Nieco poruszone bez wyraźnego powodu słonie szybko zapadły w niespokojny sen bez snów.

*Sherlock Holmes powiedział kiedyś, że gdy odrzuci się to, co niemożliwe, wszystko pozostałe, choćby najbardziej nieprawdopodobne, musi być prawdą.*

*Joseph Conrad powiedział, że prawda to kwiat, w pobliżu którego wszystkie pozostałe więdną. Według Walta Whitmana prawdą jest wszystko, co satysfakcjonuje duszę. Neptun wszystkich trzech doprowadziłby do szaleństwa.*

*„Prawda to sen, chyba że mój sen to prawda” – powiedział George Santayana. Był wystarczająco szalony, by mieć szansę przetrwać na Neptunie.*

– Tak się zastanawiamy – powiedział mężczyzna, gdy obie grupy spotkały się rano. – Co stało się z ostatnim słoniem na Ziemi?

– Miał na imię Jamal – odpowiedziały słonie. – Ktoś go zastrzelił.

– Można go gdzieś zobaczyć?

– Na jego prawym uchu, przypominającym kształtem Afrykę, namalowano mapę, która znajduje się w willi prezydenckiej w Kenii. Odwrócili też lewe ucho... a zdziwilibyście się, ile lewych uszu po prostu wyrzucili, zanim przyszło im do głowy, by je odwrócić... i również namalowali na nim mapę, która teraz wisi w muzeum w Bombaju. Ze stóp zrobiono komplet stołków barowych, który obecnie zdobi Aces High Show Lounge w Dallas, w Teksasie. Jego można służy emerytowanemu szkockiemu policjantowi jako kapciuch. Jeden z kłów wystawia British Museum. Na drugim coś wyrzeźbiono i można go oglądać w witrynie sklepowej w Pekinie. Ogon został packą na muchy, której dumnym właścicielem jest jeden z ostatnich *yaquero* w Argentynie.

– Nie mieliśmy o tym pojęcia – przyznali szczerze zbulwersowani ludzie.

– Ostatnie słowa przed śmiercią Jamala brzmiały: „Wybaczam wam” – mówiły dalej słonie. – Natychmiast został przeniesiony do sfery wyższej, niż jakikolwiek człowiek mógłby kiedykolwiek pomarzyć.

Ludzie podnieśli wzrok, bacznie przyglądając się niebu.

– Widać ją stąd? – spytali.

– Raczej nie.

Ludzie przenieśli wzrok na słonie... które znów zmieniły kształt. W zasadzie całkowicie pozbyły się wszystkich części ciała, dla których niegdyś je zabijano. Kły, uszy, stopy, ogony, a nawet moszny przeszły ogromną zmianę. Słonie wyglądały dokładnie tak, jak ludzie, łącznie z kombinezonami kosmicznymi i hełmami.

Z kolei ciała ludzi porozsadzały kombinezy (z których zostały tylko

strzępy), wszystkim wyrosły kły i zaczęli porozumiewać się za pomocą bulgoczących dźwięków dochodzących z brzucha.

– To bardzo niepokojące – powiedzieli ludzie, niebędący już ludźmi. – Wygląda na to, że staliśmy się słoniami – mówili dalej. – Może powiecie nam, co robią słonie?

– Cóż – powiedziały słonie, niebędące już słoniami – w wolnym czasie tworzymy nowe systemy etyczne oparte na bezinteresowności, przebaczeniu i wartościach rodzinnych. Próbujemy też zsyntetyzować prace Kanta, Descartesa, Spinozy, Tomasza z Akwinu i Georgea Berkeleya tak, by powstało coś o wiele bardziej wyszukanego i logicznego, nie zapominając o tym, by na każdym etapie uwzględnić wartości emocjonalne i estetyczne.

– To niewątpliwie interesujące – powiedziały nowe słonie bez większego entuzjazmu. – Możemy robić coś innego?

– Ależ tak – zapewnili je nowi astronauty, po czym wyciągnęli broń na naboje.550 Nitro Express i.475 Holland & Holland Magnum i wymierzili. – Możecie umrzeć.

– To niemożliwe! Jeszcze wczoraj sami byliście słoniami!

– Faktycznie. Ale teraz jesteśmy ludźmi.

– Więc dlaczego chcecie nas zabić? – awanturowały się słonie.

– Siła przyzwyczajenia – odparli ludzie, pociągając za spust.

Następnie, gdy nie było już kogo zabijać, ludzie, którzy niegdyś byli słoniami, wsiedli na statek i odlecieli w kosmos w poszukiwaniu nowych form życia.

Neptun widział już narodziny i odejście wielu gatunków. Na przestrzeni eonów dziewięć razy doszło na nim do spontanicznego powstania mikrobów. Trzydzieści siedem razy odwiedzili go obcy. Był świadkiem czterdziestu trzech wojen, w tym pięciu atomowych, a także powstania tysiąca dwudziestu sześciu religii, z których żadna nie wiązała się z jakąkolwiek prawdą uniwersalną. Na pełnej złych przeczuć powierzchni Neptuna rozegrała się większa część rozległego gobelinu historii galaktyki, niż w którymkolwiek z pozostałych światów Układu Słonecznego.

Naturalnie planety nie wyrażają swojego zdania, ale gdyby tylko

mogły, Neptun niemal na pewno stwierdziłby, że najciekawszymi stworzeniami, jakie kiedykolwiek gościł, były słonie, których łagodna natura i niezwykle punkt widzenia pozostają świeże i wyraźne w jego pamięci. I ubolewa nad faktem, że zginęły z własnej ręki. Tak jakby.

Problem pojawiłby się, gdyby zapytać, czy Neptun mówi o staronowych słoniach, które rozpoczęły życie jako mordercy, czy też nowostarych słoniach, które w tej roli skończyły.

Neptun wręcz nienawidzi tego typu pytań.

# Barnaba na wybiegu

*Barnaby in Exile*, przeł. Ewa Łodzińska  
Nominacja Hugo, nominacja Locus 1994

Barnaba siedzi w klatce czekając, by Sally przyszła wreszcie do laboratorium i dała mu układankę, tę samą, nad którą pracował wczoraj. Dzisiaj już nie rozczaruje Sally. Myślał o tej układance całą noc. Myślenie jest frajdą. Dzisiaj ułoży ją poprawnie, a Sally uśmiechnie się i powie mu, że jest bardzo mądry. Barnaba położy się na plecach, a Sally podrapie go po brzuszku i powie: „Cóż za pojętny młodzieniec z ciebie, Barnabo!” Na to Barnaba zrobi pocieszoną minę i fiknie koziołka.

Barnaba to ja.

Po wyjściu Sally czuję się samotny. Kiedy jest czarno, przychodzi Bud i czyści klatkę, ale nigdy się nie odzywa. Czasem zapomina i zostawia zapalone światło. Wtedy próbuję rozmawiać z Rogerem i jego rodziną, ale oni są tylko królikami i nie rozumieją znaków. Cóż, nie sądzę, żeby byli bardzo mądrzy. Każdego wieczora, kiedy Bud wchodzi, siadam i uśmiecham się do niego. Za każdym razem pokazuję na migi „Cześć”, ale on nie reaguje.

Czasami myślę, że nie jest wiele mądrzejszy od Rogera. Poklepuje mnie tylko po głowie. Czasami, po skończonej pracy, zostawia włączony film. Moimi ulubieńcami są Fred i Barney. Wszystko jest tam takie pomysłowe i szybkie. Ciągle proszę Sally, żeby przyprowadziła Dina, bo chciałbym się z nim pobawić, ale nie robi tego. Lubię Barneya, ponieważ nie jest taki wielki i hałaśliwy jak Fred, a ja też nie jestem duży ani hałaśliwy. No i nazywam się Barnaba, a to brzmi podobnie jak Barney. Czasami, kiedy jest czarno i jestem zupełnie sam, wyobrażam sobie, że jestem Barneyem i wcale nie śpiam w klatce.

Tego dnia było biało na dworze i Sally nawet miała białe na sobie, kiedy weszła do laboratorium, ale całkowicie zamieniło się w wodę. Dzisiaj mieliśmy nową zabawkę. Wygląda jak taki przedmiot z biurka Doktora, z mnóstwem rzeczy, które przypominają płaskie winogrona. Sally powiedziała, że pokaże mi coś, a ja mam dotknąć tego winogrona,

na którym jest taki sam obrazek. Pokazała mi but, piłkę, jajko i gwiazdkę, i kwadrat. Przy jajku i kwadracie pomyliłem się, ale jutro się poprawię. Z każdym dniem myślę więcej. Jak mówi Sally, jestem bardzo pojętnym młodzieńcem.

Spędziliśmy wiele dni z nową zabawką i teraz, za jej pomocą, po prostu dotykając właściwego winogrona, mogę rozmawiać z Sally. Sally wchodzi do laboratorium i mówi „Jak się masz Barnabo?“, a ja dotykam winogron i mówię „Barnaba ma się dobrze“, albo „Barnaba jest głodny.“ Tak naprawdę chcę powiedzieć „Barnaba jest samotny“, ale dla „samotny“ nie ma winogrona. Dzisiaj dotykam winogron, które mówią „Barnaba chce wyjść“.

– Z klatki? – pyta Sally.

– Na zewnątrz – pokazuję. – Na zewnątrz, do białego.

– Nie podobałoby ci się tam.

– Nie podoba mi się czarne, kiedy jestem sam – pokazuję. – Spodoba mi się białe.

– Jest bardzo zimno, a ty nie jesteś do tego przyzwyczajony – tłumaczy Sally.

– Białe jest bardzo piękne – mówię. – Barnaba chce wyjść.

– Ostatnim razem, kiedy cię wypuściłam, wytarosiłeś Rogera – przypomina mi.

– Chciałem tylko go dotknąć – mówię.

– Sam nie wiesz, jaki jesteś silny. Roger jest tylko królikiem, a ty go uraziłeś.

– Tym razem będę delikatny – obiecuję.

– Myślałam, że nie lubisz Rogera – mówi Sally.

– Nie lubię Rogera – mówię ja. – Lubię dotykać.

Sięga ręką do klatki, łaskocze mnie w brzuszek, drapie po plecach i robi mi się przyjemnie, ale wtedy ona przestaje.

– Czas na lekcję – oznajmia.

– Jeśli zrobię wszystko dobrze, czy mogłabyś przynieść mi coś do dotykania? – proszę.

– A co takiego? – pyta. Myślę przez chwilę.

– Drugą Barnabę – mówię.

Robi się smutna i nie odpowiada.

Któregoś dnia przynosi książkę z obrazkami. Wącham ją i próbuję, jak smakuje. Na koniec zgaduję, że chce, abym książkę obejrzał.

Są w niej wszystkie rodzaje zwierząt. Znajduję jedno podobne do Rogera, ale ono jest brązowe, a Roger biały. I jest tam kotek podobny do tego, którego widuję za oknem. I pies, jak ten co czasami przychodzi z Doktorem do laboratorium. Ale nie ma Dina.

Dalej widzę obrazek przedstawiający chłopca. Jego włosy są krótsze niż włosy Sally i nie takie siwe jak Doktora ani żółte jak Buda. Uśmiecha się, a ja wiem, że musi mieć dużo rzeczy do dotykania.

Kiedy Sally wraca następnego rana, mam mnóstwo pytań na temat obrazków. Lecz zanim zdążę ją zapytać, ona pyta mnie.

– Co to jest? – mówi, podnosząc w górę jakiś obrazek.

– Roger – zgaduję.

– Nie – mówi. – Roger to imię. Jak się nazywa takie zwierzę? Próbuję sobie przypomnieć.

– Królik – mówię w końcu.

– Bardzo dobrze, Barnabo – chwali mnie Sally. – A co to jest?

– Kotek – odpowiadam. Przeszliśmy tak całą książkę.

– Gdzie jest Barnaba? – pytam.

– Barnaba jest małpą – wyjaśnia Sally. – W tej książce nie ma obrazka małpki. Zastanawiam się, czy są jeszcze inne Barnaby na świecie i czy też są takie samotne.

– Czy ja mam tatę i mamę? – pytam później.

– Oczywiście, że masz – mówi Sally. – Wszystko ma tatę i mamę.

– Gdzie oni są? – chcę wiedzieć.

– Twój tata nie żyje – mówi Sally. – A mama jest w zoo, daleko stąd.

– Barnaba chce zobaczyć mamę – mówię.

– Lepiej nie, Barnabo.

– Dlaczego?

– Nie poznałaby cię. Zapomniała już ciebie, tak samo jak ty zapomniałaś ją.

– Gdybym ją zobaczył, powiedziałbym „Jestem Barnaba”, a wtedy ona rozpoznałaby mnie. Sally kręci głową.

– Nie rozumielibyśmy. Ty jesteś wyjątkowy, a ona nie. Nie umie porozumiewać się z migiem ani posługiwać komputerem.

– Czy ona ma jakieś inne Barnaby? – pytam.

– Nie wiem – zastanawia się Sally. – Pewnie tak.

– Jak ona do nich mówi?

– Nie mówi.

Myślę nad tym bardzo długo. W końcu wiem.

– Ale dotyka ich.

– Tak, dotyka ich – potwierdza Sally.

– Muszą być bardzo szczęśliwe – mówię ja.

Dzisiaj dowiem się czegoś więcej o byciu Barnabą.

– Dzień dobry – mówi Sally wchodząc do laboratorium. – Jak się masz dzisiaj, Barnabo?

– Co to jest zoo? – pytam.

– Zoo to takie miejsce, gdzie mieszkają zwierzęta – wyjaśnia Sally.

– Czy mogę zobaczyć zoo przez okno?

– Nie. Jest bardzo daleko.

Długo obmyślam następne pytanie.

– Czy Barnaby są zwierzętami?

– Tak.

– Czy Sally'e są zwierzętami?

– W pewnym sensie, tak.

– Czy mama Sally mieszka w zoo?

Sally śmieje się.

– Nie – odpowiada.

– Czy mieszka w klatce?

– Nie – mówi Sally. Myślę przez chwilę.

– Mama Sally nie żyje – wnioskuję.

– Żyje.

Wpadam w gniew, ponieważ nie umiem zapytać, czym mama Sally różni się od mamy Barnaby, a im bardziej próbuję, tym gorzej mi to wychodzi i Sally mnie nie rozumie. Na koniec zaczynam walić pięścią w podłogę. Roger i cała jego rodzina aż podskakują, a Doktor otwiera



drzwi. Sally daje mi małą zabawkę, która popiskuje, kiedy ją uderzam, i po niedługim czasie zapominam, że jestem wściekły i zaczynam się bawić. Sally mówi coś Doktorowi, a on uśmiecha się i wychodzi.

– Czy chcesz zapytać o coś, zanim zaczniemy lekcję? – pyta.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego Barnaba jest małą, a Sally człowiekiem?

– Ponieważ takimi stworzył nas Bóg – mówi.

– Kim jest Bóg? – pytam.

Próbuje odpowiedzieć, ale znowu nie rozumiem. Kiedy już jest czarno i Bud posprzątał moją klatkę, i jestem zupełnie sam, z wyjątkiem Rogera i jego rodziny, siadam i myślę o Bogu.

Myślenie może być bardzo zajmujące. Skoro stworzył Sally i stworzył mnie, dlaczego nie zrobił mnie tak mądrym jak Sally? Dlaczego ona umie mówić i wykonywać różne rzeczy rękami, a ja nie?

To jest bardzo skomplikowane. Postanawiam, że muszę spotkać się z Bogiem i zapytać go, dlaczego robi takie rzeczy i dlaczego zapomniał, że nawet Barnaby lubią być dotykane.

Jak tylko Sally wchodzi do laboratorium pytam ją:

– Gdzie mieszka Bóg?

– W niebie.

– Czy niebo jest daleko?

– Tak.

– Dalej niż zoo?

– Dużo dalej.

– Czy Bóg przychodzi czasem do laboratorium?

Śmieje się.

– Nie. Dlaczego?

– Mam dużo pytań, które chciałbym mu zadać.

– Może ja będę umiała odpowiedzieć na niektóre z nich – mówi.

– Dlaczego jestem sam?

– Ponieważ jesteś wyjątkowy – mówi Sally.

– Gdybym nie był wyjątkowy, czy byłbym z innymi Barnabami?

– Tak.  
– Nigdy nie uraziłem Boga – stwierdzam. – Dlaczego uczynił mnie wyjątkowym?

Następnego dnia rano proszę, żeby opowiedziała mi o innych Barnabach.

– Barnaba to tylko imię – wyjaśnia Sally. – Są jeszcze inne mały, ale nie wiem, czy któraś z nich nosi takie imię.

– Co to jest imię?

– Imię to coś, co odróżnia cię od wszystkiego innego.

– Gdybym miał na imię Fred albo Dino, czy mógłbym być taki jak wszyscy? – pytam.

– Nie – mówi Sally. – Ty jesteś wyjątkowy. Jesteś Bonobo Barnaba. Jesteś bardzo sławny.

– Co to jest sławny?

– Wielu ludzi wie, kim jesteś.

– Co to są Ludzie?

– Mężczyźni i kobiety.

– Czy są jeszcze jacyś prócz ciebie, Doktora i Buda?

– Tak.

Wtedy przychodzi czas na lekcje, ale robię je bardzo źle, ponieważ ciągle myślę o świecie, który mieści w sobie więcej ludzi niż Sally, Doktor i Bud. Jestem tak zajęty zastanawianiem się, kto też wypuszcza ich z klatek, kiedy ustępuje ciemność, że zupełnie zapominam o Bogu i nie myślę o nim więcej przez wiele dni.

Słyszę, jak Sally rozmawia z Doktorem, ale nie rozumiem, co mówią.

Doktor w kółko powtarza, że nie ma więcej zabawy w Środy, a Sally na to, że Barnaba jest wyjątkowy, a potem oboje mówią mnóstwo rzeczy, których nie rozumiem.

Kiedy mają już dosyć i Doktor wychodzi, pytam Sally dlaczego nie możemy bawić się w Środy?

– W Środy? – powtarza. – Co masz na myśli?

- Doktor mówi, że skończyły się Środy.

Przygląda mi się długo.

- Zrozumiałeś co powiedział?

- Dlaczego nie mamy Środy? – powtarzam.

- Środków – mówi. – To słowo to środki.

Oznacza co innego.

- A więc Barnaba i Sally nadal będą się bawić? – powtarzam pytanie.

- Ależ oczywiście.

Kładę się na plecach i daję jej znak „Połaskocz mnie”. Sięga do klatki i łaskocze mnie, ale widzę, że ma wodę w oczach. Istoty ludzkie, kiedy są smutne, zbierają wodę w oczach. Udamę, że gryzę ją w rękę, po czym biegam w kółko po klatce, tak jak to robiłem, kiedy byłem malutki, ale tym razem to jej nie rozśmiesza.

Słyszę głosy dochodzące zza drzwi. To znowu Doktor i Sally.

- Nie możemy przecież wsadzić go do zoo – mówi Doktor. – Jeżeli zaczniesz rozmawiać z nimi ze zwiedzającymi, po miesiącu milion ludzi będzie się domagało dla niego wolności, a co będzie wtedy? Co się z nim stanie? Wyobrażasz sobie tego biedaka w cyrku?

- Nie możemy zniszczyć go tylko dlatego, że jest zbyt rozumny – mówi Sally.

- Kto go weźmie? Ty? – mówi Doktor. – Ma teraz dopiero osiem miesięcy. Co się stanie, kiedy dojrzeje seksualnie, gdy stanie się gburowatym, dorosłym samcem? To już niedługo. Rozedrze cię na strzępy w okamgnieniu.

- Nie zrobi tego – nie Barnaba.

- Czy właściciel mieszkania pozwoli ci go trzymać? Czy masz ochotę poświęcić dwadzieścia lat, by się nim opiekować?

- Moglibyśmy postarać się o odnowienie dotacji już najbliższej jesieni – mówi Sally.

- Bądź realistką – mówi Doktor. – Miną lata, jeśli w ogóle. Co najmniej pół tuzina laboratoriów w kraju powieli ten sam program, a niektórzy są już dużo dalej. Moja droga, Barnaba nie jest jedyną małpą, która nauczyła się używać przedimków i przymiotników. Jest jeszcze jeden

dwudziestopięcioletni goryl i trzy inne kilkunastoletnie szympany Bonobo. Nie ma żadnego powodu, dla którego ktoś miałby przywrócić nasze finansowanie.

– Ale on jest inny – nalega Sally. – On stawia abstrakcyjne pytania.

– Wiem, wiem...zapytał cię kiedyś, kim jest Bóg. Ale ja przesłuchałem taśmę i to ty wspomniałaś o Bogu pierwsza. Jeżeli wymienisz nazwisko Michaela Jordana, a on zapyta, kto to jest, nie znaczy to, że zainteresował się koszykówką.

– Czy mogę chociaż porozmawiać z komisją? Pokazać im kasety wideo z nagraniami?

– Wiedzą, jak wygląda szympan – mówi Doktor.

– Ale nie wiedzą, jak on myśli – mówi Sally. – Może to przekona ich...

– Tu nie chodzi o przekonanie ich – mówi Doktor. – Fundusze wyschły. Wszystkie programy kuleją w dzisiejszych czasach.

– Proszę...

– Zgoda – mówi Doktor. – Zwołam zebranie. Ale to i tak nic nie pomoże.

Słyszę to wszystko, ale niczego nie rozumiem. Dzisiaj, zanim zrobiło się biało, śniłem o miejscu wypełnionym Barnabami i teraz siedzę w kącie, z zamkniętymi oczami, próbując zapamiętać ten obraz, zanim zniknie.

Nadal prowadzimy lekcje każdego dnia, ale wiem, że Sally jest smutna i zastanawiam się, czym ją zmartwiłem. Tego ranka Sally otwiera drzwi mojej klatki i, nie mówiąc, długo tuli mnie do siebie.

– Muszę z tobą porozmawiać Barnabo – mówi i widzę, że w jej oczach znowu się zbiera woda. Dotykam winogron, które mówią „Barnaba lubi rozmawiać”.

– To ważne – mówi. – Jutro opuścisz laboratorium.

– Czy wyjdę na zewnątrz? – pytam.

– Pojedziesz bardzo daleko stąd.

– Do zoo?

– Dalej.

Nagle przypomina mi się Bóg.

- Czy pojadę do nieba?
- Uśmiecha się, pomimo że w jej oczach jest coraz więcej wody.
- Nie aż tak daleko – mówi. – Jedziesz tam, gdzie nie ma laboratoriów ani klatek. Będziesz wolny, Barnabo.
- Czy tam są inne Barnaby?
- Tak – mówi. – Tam są inne Barnaby.
- Doktor się mylił – mówię. – Barnaba i Sally będą jeszcze się bawić.
- Nie mogę pojechać z tobą – mówi.
- Dlaczego?
- Muszę zostać tutaj. To jest mój dom.
- Jeśli będziesz grzeczna, może Bóg wypuści cię z twojej klatki – mówię. Wydaje śmieszny dźwięk i przytula mnie jeszcze raz.

Wsadzają mnie do mniejszej klatki, w której nie ma światła. Przez dwa dni wążam paskudne rzeczy. Większość mojej wody się rozlewa, a głośny hałas rani uszy. Czasem Ludzie rozmawiają, a raz jakiś mężczyzna, który nie jest Budem ani Doktorem, daje mi jedzenie i dolewa wody. Robi to przez małą dziurkę w górnej części klatki.

Dotykam jego ręki, żeby mu pokazać, że nie jestem zły. Z krzykiem zabiera rękę.

Cały czas pokazuję na migi „Barnaba jest samotny”, ale jest ciemno i nikt tego nie widzi.

Nie podoba mi się nowy świat.

Trzeciego dnia rano przesuwają moją klatkę, a potem znowu ją przesuwają. Na koniec unoszą ją i przenoszą, a kiedy stawiają ją gdzieś, czuję wiele zapachów, których nigdy wcześniej nie znałem.

Otwierają drzwi i wychodzę na trawę. Słońce świeci bardzo mocno, więc mrużę oczy i przyglądam się Ludziom, którzy nie są ani Sally, ani Doktorem, ani Budem.

- Jesteś w domu, chłopcze – odzywa się jeden z nich.

Rozglądam się wokoło. Świat jest dużo większy niż laboratorium i jestem przestraszony.

– No dalej, kolego – mówi drugi. – Obwąchaj wszystko. Czuj się jak w domu.

Obwąchuję wszystko. Nie czuję się jak w domu.

Spędzam wiele dni na świecie. Poznają wszystkie drzewa i krzewy i wielki płot wokoło. Karmią mnie owocami, liśćmi i korą. Nie jestem do nich przyzwyczajony i przez jakiś czas choruję, ale potem mi się poprawia. Słyszę wiele hałasów spoza świata – wycie i warczenie i wrzaski. Ale nie słyszę ani nie czuję Barnabę.

Pewnego dnia Ludzie wkładają mnie znowu do klatki i jestem sam bardzo długo, a potem otwierają klatkę i już nie jestem na świecie, tylko w miejscu, gdzie jest tak dużo drzew, że prawie nie widać nieba.

– W porządku, koleś – mówi Osoba. – Szuraj do lasu i już cię nie ma.

Wykonuje rękami ruch, ale jest to znak, którego nie rozpoznaję.

Pokazuję mu na migi „Barnaba się boi”.

Osoba gładzi mnie po głowie. Od czasu gdy opuściłem laboratorium, pierwszy raz ktoś mnie dotknął.

– Żyj szczęśliwie – mówi. – I zrób mnóstwo małych Barnabiatek.

Potem wdrapuje się do swojej klatki, a ta oddala się ode mnie. Próbuje iść za nią, ale jest o wiele za szybka i wkrótce znika mi z oczu.

Spoglądam znowu na las i słyszę dziwne dźwięki, a wiatr przynosi słodki zapach owoców. Nie ma nikogo wokoło, ale robię znak „Barnaba jest wolny”.

Barnaba jest wolny. Barnaba jest samotny. Barnaba jest przerażony.

Uczę się znajdować wodę i wspinać na drzewa. Widzę małe Barnaby z ogonkami, jak paplają coś do mnie, ale nie umieją dawać znaków, i widzę wielkie koty z cętkami, wydają przeraźliwe dźwięki, więc kryją się przed nimi.

Żałuję, że nie mogę się skryć w mojej klatce, gdzie zawsze byłem bezpieczny.

Dzisiaj, kiedy czarne odchodzi, budzę się i idę do wodopoju i znajduję drugą Barnabę.

– Cześć – daję znak. – Ja też jestem Barnabą.

Ta druga Barnaba warczy na mnie.

– Czy mieszkasz w laboratorium? – pytam. – Gdzie masz swoją klatkę?

Ta druga Barnaba podbiega do mnie i zaczyna mnie kąsać. Wydaje wrzask i turlam się po ziemi.

– Co ja zrobiłem? – pytam.

Ta druga Barnaba znowu do mnie biegnie, więc skrzeczę i wspinam się na czubek drzewa. Siada przy pniu i wpatruje się we mnie cały dzień, aż powraca czarne. Robi się strasznie zimno, a potem wilgotno, i drzę całą noc żałując, że nie ma ze mną Sally.

Rano Barnaby nie ma i mogę zejść na ziemię. Obwąchuję miejsce, gdzie siedziała, potem idę za jej zapachem, ponieważ nie wiem, co innego mam zrobić. W końcu docieram do miejsca, gdzie znajdują się Barnaby w tak wielkiej liczbie, że nie wydaje się to możliwe. Wtedy przypominam sobie, że Sally nauczyła mnie liczyć, więc liczę. Jest ich dwadzieścia trzy.

Jedna spostrzega mnie i podnosi wrzask, i zanim zdołam zrobić jakiegokolwiek znak, wszystkie rzucają się do ataku, a ja uciekam. Ścigają mnie bardzo długo, lecz w końcu przestają, i znowu jestem sam.

Jestem sam przez wiele dni. Nie chodzę do Barnab, ponieważ gdyby mogły, zrobiłyby mi krzywdę. Zupełnie nie wiem, czym je tak rozwścieczam, toteż nie wiem, jak mógłbym przestać to robić.

Nauczyłem się wietrzyć nadchodzące wielkie koty, kiedy są jeszcze daleko, i wspinać na drzewa, żeby mnie nie złapały, i nauczyłem się kryć przed psami, które śmieją się tak, jak to robi Sally, kiedy fikam koziółki, ale jestem bardzo samotny i tęsknię za rozmową, i zapominam już niektóre znaki, które znałem.

Zeszłej nocy śnił mi się Fred i Wilma, i Barney, i Dino, a kiedy się obudziłem, moje własne oczy zbierały wodę.

Rano słyszę dźwięki. Nie te, które robią wielkie koty albo psy, ale nieznane, ciężkie. Idę zobaczyć, kto je wydaje. W małej przecince leśnej widzę czworo Ludzi – dwóch mężczyzn i dwie kobiety – przywieźli ze sobą małe, brązowe klatki. Nie takie dobre jak moja dawna klatka, ponieważ nie można tu ani zajrzeć do środka, ani wyjrzeć na zewnątrz. Jeden z mężczyzn rozpalil ognisko i siedzą na krzesłach wokoło. Chcę

zbliżyć się do nich, ale dostałem już nauczkę od Barnab, więc czekam, dopóki jeden z mężczyzn mnie nie zobaczy. Skoro nie podnosi krzyku ani nie ściga mnie, daję mu znak.

– Jestem Barnaba.

– Co on ma w rękach? – pyta jedna z kobiet.

– Nic – odpowiada mężczyzna.

– Barnaba chce się zaprzyjaźnić – pokazuję na migi.

Jedna z kobiet unosi coś i przystawia do twarzy, i nagle rozlega się wielkie paf! Jest tak jaskrawe, że przestaję widzieć. Przecieram oczy i postępuję do przodu.

– Nie pozwól mu zaledwie się zbliżyć – odzywa się drugi mężczyzna. – Trudno powiedzieć, jakie choroby może roznosić.

– Czy będziecie rozmawiać z Barnabą? – pytam. Pierwszy mężczyzna podnosi jakiś głaz i ciska we mnie.

– A kysz! – krzyczy. – Idź sobie!

Rzuca drugi raz, a ja biegnę z powrotem do lasu.

Kiedy jest czarno i siedzą wokół ognia, podkradam się najbliżej, jak tylko się da i słucham dźwięku ich głosów, i udaję, że znowu jestem w laboratorium.

Rano rzucają we mnie kamieniami, aż odchodzę.

I pewnego dnia rzucają we mnie kamieniami, idę do wodopoju, wracam i odkrywam, że pojechali sobie. Nie byli bardzo dobrymi przyjaciółmi, ale innych nie miałem.

Co będę robił teraz?

Wreszcie, po wielu dniach, znajduję pojedynczą Barnabę i to jest samica. Ma straszliwe blizny od innych Barnab i na mój widok obnaża kły i groźnie warczy. Siadam nieruchomo i mam nadzieję, że nie odejdzie.

Po dłuższym czasie podchodzi bliżej do mnie. Boję się poruszyć, ponieważ nie chcę jej przestraszyć ani rozzłościć. Ignoruję ją, odwracam wzrok i wpatruję się w drzewa. Wreszcie wyciąga rękę, zdejmuję jakiegoś owada z mojego ramienia i wkłada go do ust, i po niedługiej chwili siedzi już koło mnie zajadając kwiatki i liście, które spadły na ziemię.



W końcu, gdy jestem przekonany, że nie ucieknie, pokazuję jej znak „Jestem Barnaba”. Chwyta moje dłonie jakby myślała, że bawię się owocem lub owadem, po czym obnaża zęby widząc, że niczego w nich nie trzymam.

Nie jest nic a nic mądrzejsza od Rogera, ale przynajmniej nie ucieka ode mnie.

Nazwę ją Sally.

Sally boi się innych Barnab, więc mieszkamy na skraju lasu, dokąd prawie nigdy nie przychodzą. Sally dotyka mnie i to jest bardzo przyjemne, ale okazuje się, że tęsknię za rozmową i myśleniem, teraz nawet bardziej. Codziennie próbuję nauczyć ją pokazywać na migi, ale nie potrafi ich zapamiętać.

Mamy trzy małe Barnaby, po każdym deszczowym sezonie przybywa jedna, ale nie są mądrzejsze niż Sally, a poza tym zapomniałem już większość znaków. Coraz więcej Ludzi w brązowych klatkach przyjeżdża do lasu. Moja rodzina boi się ich, lecz ja ponad wszystko kocham rozmawiać i słuchać, i myśleć. Zawsze nocą chodzę z wizytą do ich obozu, nasłuchuję głosów w ciemności i próbuję zrozumieć słowa. Udaję, że znowu jestem w laboratorium, chociaż z coraz większym trudem przypominam sobie, jak wygląda.

Za każdym razem, gdy przyjeżdżają nowi Ludzie, pokazuję się i mówię „Jestem Barnaba”, ale nikt nigdy nie odpowiada. Kiedy wreszcie ktoś mi odpowie, będę wiedział, że to Bóg.

Było tyle rzeczy, o które chciałem Go kiedyś zapytać, ale większość już zapomniałem. Powiem Mu, żeby był dobry dla Sally i pozostałych dwojga Ludzi w laboratorium – zapomniałem ich imion – ponieważ to, co mnie się przydarzyło, nie jest ich winą.

Nie będę go pytać, dlaczego tak bardzo mnie nienawidzi, że uczynił mnie wyjątkowym lub dlaczego Ludzie i Barnaby zawsze mnie przeganiają. Powiem po prostu „Porozmawiaj, proszę, z Barnabą”, a następnie poproszę, żebyśmy zrobili lekcję.

Niegdyś, kiedy byłem błyskotliwym młodzieńcem, chciałem przedyskutować z nim wiele rzeczy. Ale teraz, skoro opuściłem świat, to

zupełnie wystarczy.

# Zimowe przesilenie

*Winter Solstice*, przeł. Anna Klimasara  
Nominacja Hugo 1991

Niełatwo jest żyć przeciw biegowi czasu, nawet jeśli jest się Merlinem Wspaniałym. Wydawałoby się, że powinno być odwrotnie, że można by pamiętać wszystkie cuda przyszłości, ale te wspomnienia blakną i znikają niespodziewanie szybko. Wiem, że Galahad wygra jutro swój pojedynek, ale imię jego syna już mi umknęło. Czy on w ogóle ma syna?

Czy będzie żył dostatecznie długo, żeby przekazać potomstwu swą szlachetną krew? Wydaje mi się, że to możliwe – chyba trzymałem na kolanach jego wnuka – ale nie jestem pewien.

Wszystko umyka mi niepostrzeżenie.

Kiedyś znałem wszystkie sekrety Wszechświata. Samą myślą potrafiłem zatrzymać Czas, zawrócić jego bieg, owinąć go sobie wokół palca jak kawałek sznurka. Samą tylko siłą woli mogłem poruszyć gwiazdy i galaktyki. Mogłem wywołać życie z nicości i zamieniać tętniące witalnością światy w pył. Czas mijał – chociaż nie w ten sam sposób, w jaki mija dla was – i nie potrafiłem już nic z tego. Ale mogłem wyodrębnić cząsteczkę DNA i wywołać w niej zmiany i mogłem ułożyć równania, które pozwalały nam przekraczać dziury w kosmosie, i mogłem wykreślić orbitę elektronu. Jeszcze więcej czasu uciekło; ale chociaż te zdolności opuściły mnie, potrafiłem otrzymać penicylinę ze spleśniałego chleba i, pojmując zarówno szczególną, jak i ogólną teorię względności, latać między kontynentami.

Ale to wszystko minęło i pamiętam to tak, jak pamięta się sen; w chwilach, kiedy w ogóle pamiętam. Była – to znaczy będzie, może was spotka – choroba starszych ludzi, polegająca na tym, że traci się kawałki umysłu, fragmenty przeszłości, dawne myśli i uczucia, aż zostaje samo pierwotne id, domagające się ciepła i pożywienia. Widzicie znikające kawałki siebie, próbujecie wywołać je z niepamięci, ale to się nie udaje i

przez cały czas wiecie, co się z wami dzieje, dopóki nawet ta świadomość nie zginie. Będę płakał nad wami w innym tysiącleciu, ale teraz wasze twarze znikają z mojej pamięci, wasza rozpacz opuszcza scenę mojej świadomości i wkrótce nie będę o was pamiętał. Wszystko odlatuje z wiatrem, chociaż rozpaczliwie próbuję to złapać i przyciągnąć z powrotem do siebie.

Piszę, żeby któregoś dnia ktoś – może nawet ty – przeczytał to i wiedział, że byłem dobrym i prawym człowiekiem, że postępowałem najlepiej, jak mogłem w warunkach, jakich bardziej litościwy Bóg może by mi nie narzucił, że nawet teraz, kiedy wydarzenia i miejsca wymykają mi się z pamięci, nie uchylam się od obowiązków; służyłem ludziom ze wszystkich sił.

A oni przychodzą do mnie, moi ludzie, i mówią:

– To boli, Merlinie. Rzuć zaklęcie – mówią – i spraw, żeby ból zniknął.

Mówią:

– Moje dziecko leży w gorączce, a moje mleko wyschło. Zrób coś, Merlinie – mówią.

– Ty jesteś największym czarownikiem w królestwie, największym czarownikiem, jaki kiedykolwiek żył. Na pewno możesz coś poradzić.

Nawet Artur mnie potrzebuje.

– Źle się wiedzie na wojnie – zwierza mi się. Pogaństwo walczy z chrześcijaństwem; rycerze zaczęli bić się między sobą; król nie ufa swojej królowej. – Przypomina mi, że to ja zdradziłem mu tajemnicę Excalibura (ale to było wiele lat temu, a ja oczywiście nic jeszcze o tym nie wiem).

Patrzę na niego z namysłem i chociaż znam Artura pochylonego latami i przybitego kapryсами losu, Artura, który stracił swoją Ginewrę i Okrągły Stół, i wszystkie marzenia o Camelocie, nie mogę wywołać w sobie żadnego współczucia, żadnej sympatii dla tego młodzieńca, który do mnie mówi. Jest kimś obcym i będzie tak samo obcy jutro i w zeszłym tygodniu.

Stara kobieta przychodzi do mnie wczesnym popołudniem. Jej ramię jest poszarpane i czerwone; smród bijący z rany sprawia, że łzawią mi

oczy, rój much krąży wokół.

– Nie mogę już znieść tego bólu, Merlinie – płacze. – To jest jak poród, ale nie mija. Jesteś moją jedyną nadzieją, Merlinie. Powiedz swoje zaklęcie, zażądaj czego chcesz, ale spraw, żeby ból ustał.

Patrzę na jej ramię, które borsuk poszarpał pazurami, i mam ochotę odwrócić głowę i wymiotować. W końcu zmuszam się do zbadania rany. Mam wrażenie, że potrzebuję czegoś – nie jestem pewien, czego – czegoś do zakrycia twarzy; albo, jeśli nie całej twarzy, to przynajmniej nosa i ust, ale nie mogę sobie przypomnieć, co to jest.

Ramię opuchnięte, prawie dwa razy grubsze niż normalne i chociaż rana znajduje się między łokciem a ramieniem, kobieta krzyczy z bólu, kiedy delikatnie poruszam jej palcami. Chciałbym dać jej coś, co zmniejszy ból. Pojawiają się niewyraźne obrazy, coś długiego i smukłego jak igła miga na moment przed oczami. Musi być coś, co mógłbym zrobić, myślę, coś, co mógłbym jej dać, jakiś cud, który stosowałem, kiedy ja byłem młodszy, a świat starszy, ale nie mogę sobie przypomnieć, co to jest.

Muszę zrobić coś więcej niż tylko usmierzyć jej ból, tyle jeszcze wiem, wdała się infekcja. Smród wzmaga się, kiedy palcami badam głębokość rany, kobieta krzyczy. Gang, myślę nagle: określenie jej stanu zaczyna się na gang – ale dalej idą jeszcze inne sylaby, a ja nie mogę sobie ich przypomnieć; a nawet gdybym umiał to nazwać, to nie potrafiłbym wyleczyć.

Ale trzeba jakoś usmierzyć jej cierpienia. Wierzy w moją potęgę, serce wyrywa mi się do niej. Mamroczę coś śpiewnie, półszepcem. Myśli, że wzywam moje nieziemskie sługi z innego świata, że przywołuję na pomoc magię; a ponieważ ona musi wierzyć w coś, w cokolwiek, dlatego, że tak cierpi, nie mówię jej, że naprawdę szepczę: *Boże, tylko ten jedyny raz, pozwól mi sobie przypomnieć; zwróć mi wiedzę tylko na godzinę, chociaż na minutę. Nie prosiłem o to, by żyć przeciw biegowi Czasu, ale to moje przekleństwo i bez protestu je znosiłem – ale nie pozwól tej biednej starej kobiecie umrzeć z tego powodu. Pozwól mi ją wyleczyć, a potem możesz splądrować mój umysł i zabrać pamięć.*

Ale Bóg nie odpowiada, a kobieta wciąż krzyczy i w końcu delikatnie smaruję jej ranę błotem, żeby nie dopuścić much. Powinno być lekarstwo; dostaje się je w buteleczkach (buteleczki? czy to właściwe

słowo?) – ale nie wiem, jak je zrobić, nawet nie pamiętam koloru, ani kształtu, ani konsystencji; daję kobiecie korzeń i mamroczę nad nim zaklęcie, i każę jej spać z tym korzeniem między piersiami i wierzyć w jego leczniczą moc, a ból szybko zniknie. Wierzy mi – nie ma żadnego powodu, by mi wierzyć, ale po jej oczach poznaję, że wierzy – a potem całuje moje ręce, przyciska korzeń do piersi i odchodzi, i z jakiejś przyczyny wygląda na mniej cierpiącą, chociaż smród rany unosi się w powietrzu jeszcze długo po jej odejściu.

Teraz kolej na Lancelota. Za tydzień albo za miesiąc uśmierci Czarnego Rycerza, ale wcześniej muszę pobłogosławić jego miecz. Mówi o rzeczach, które powiedzieliśmy sobie wczoraj, o rzeczach, o których nie mam pojęcia, a ja myślę o tym, co powiemy sobie jutro. Patrzę na jego ciemnobrązowe oczy. Tylko ja znam jego sekret i zastanawiam się, czy powinienem powiedzieć Arturowi. Wiem, że wybuchnie z tego powodu wojna, ale nie pamiętam, czy to ja ją spowodowałem, czy Ginewra sama wyznała swoją niewierność.

Koncentruję się i próbuję zobaczyć przyszłość, ale widzę tylko miasto pełne wysokich, metalowo-szklanych struktur, i nigdzie nie widzę Artura ani Lancelota, a potem obraz znika, a ja ciągle nie wiem, czy mam iść do Artura z tym sekretem, czy siedzieć cicho. Wiem, że to wszystko już się stało, że Okrągły Stół i rycerze i nawet Artur niedługo zmienią się w proch, niezależnie od tego, co bym powiedział lub zrobił, ale oni żyją zgodnie z biegiem Czasu i dla nich ma to wielkie znaczenie, mimo że ja widziałem, jak wszystko mija i znika przed moimi oczami.

Lancelot coś mówi, zastanawia się nad mocą swej wiary, nad swą cnotą, pełen wątpliwości. Nie boi się umrzeć z ręki Czarnego Rycerza, ale boi się stanąć przed Bogiem, jeśli przyczyna jego śmierci tkwi w nim samym. Wciąż patrzę na niego, na mężczyznę, który czuje, jak nasza przyjaźń z dnia na dzień się zacieśnia, podczas gdy ja czuję, że z dnia na dzień znam go coraz mniej; w końcu kładę mu dłoń na ramieniu i zapewniam, że będzie zwycięzcą, że miałem wizję Czarnego Rycerza leżącego bez życia na polu bitwy, i Lancelota unoszącego triumfalnie zakrwawiony miecz.

– Jesteś pewien, Merlinie? – pyta bez przekonania.

Mówię, że jestem pewien. Mógłbym powiedzieć mu więcej,

powiedzieć, że widziałem przyszłość, ale tracę ją tak szybko, jak szybko poznaję przeszłość. Jednak on ma własne problemy – i ja też, bo skoro wiem coraz mniej i mniej, muszę utorować drogę nowemu Merlinowi, który nie będzie pamiętał nic. To jego muszę brać pod uwagę – mówię o nim w trzeciej osobie, bo nic o nim nie wiem, będzie mnie ledwie pamiętał, nie będzie znał Artura ani Lancelota, ani ponurego i skomplikowanego Modreda – gdyż w miarę, jak moje dni będą mijały, a Czas będzie się rozwijał, on będzie coraz gorzej radził sobie ze wszystkim, coraz trudniej będzie mu choćby nazwać problemy, przed jakimi stanie, a co dopiero rozwiązać je.

Muszę dać mu broń, którą będzie mógł się bronić, którą będzie się mógł posługiwać, niezależnie od tego, ile zapamięta o mnie, a bronią, którą wybrałem, jest przesąd. Kiedyś sprawiałem cuda posługując się księgami i prawem natury, teraz, kiedy ich sekrety znikają jeden za drugim, muszę zastąpić je cudami, które oszukują oko i przerażają serce, gdyż tylko zabezpieczając przeszłość mogę zagwarantować przyszłość, a przyszłość już przeżyłem. Mam nadzieję, że byłem dobrym człowiekiem, chciałbym myśleć, że byłem, ale nie wiem.

Próbuję zbadać swój umysł, próbuję odnaleźć słabości, tak jak badam ciała moich pacjentów, szukając źródeł infekcji, ale jestem tylko sumą swych doświadczeń, a one już zniknęły i muszę zadowolić się nadzieją, że w niczym nie obraziłem siebie ani swego Boga.

Kiedy Lancelot odchodzi, wstaję i przechadzam się po zamku, mój umysł pełen jest dziwnych wizji, szybko przepływających obrazów, które wyglądają na sensowne, dopóki się na nich nie skupię, bo wtedy stwierdzam, że są niepojęte. Widzę ścierające się, niemożliwie wielkie armie, armie liczniejsze niż wszyscy poddani Artura i wiem, że je widziałem, że stałem na polu bitwy, może nawet walczyłem po jednej czy drugiej stronie, ale nie rozpoznaję barw, które noszą, a broń, jakiej używają, wydaje mi się magią, prawdziwą magią.

Pamiętam ogromne statki przemierzające kosmos, statki żeglujące po gwiazdnych szlakach bez żagli i masztów, i przez moment wydaje mi się, że to musi być sen, a potem znajduję się przy małym okienku, patrzę

na gwiazdy, które mijamy i widzę skaliste oblicza i kłębiące się kolory odległych światów, i znowu jestem z powrotem w zamku i czuję straszliwą gorycz i pustkę, jakbym wiedział, że nawet ten sen nigdy mnie już nie odwiedzi.

Zmuszam się do koncentracji, do przypomnienia, ale żaden obraz nie przychodzi i zaczynam się czuć jak głupi starzec.

Po co to robię? – zastanawiam się. To był sen, a nie wspomnienie, bo każdy wie, że gwiazdy to tylko światła, którymi Bóg rozjaśnia nocne niebo i że są przybite do pokrywy z czarnego jedwabiu, i w momencie, w którym to stwierdzam, nie mogę już sobie przypomnieć nawet, jak wyglądały te gwiazdne statki i wiem, że niedługo nie będę już nawet pamiętał, że kiedyś o nich śniłem.

Nadal włączę się po zamku, dotykam znajomych przedmiotów, żeby się upewnić: ten filar był tu wczoraj; będzie tu jutro; jest wieczny; będzie tu zawsze. Znajduję pociechę w stałości przedmiotów, rzeczy, które nie są tak ulotne jak moje wspomnienia, rzeczy, które nie mogą być zdarte z powierzchni ziemi tak łatwo, jak mnie wydarto moją przeszłość.

Zatrzymuję się przed kościołem i czytam małą tabliczkę. Napis jest po francusku, mówi, że „Ten kościół był” coś tam „przez Artura, króla Brytyjczyków”. Czwarte słowo nic mi nie mówi i to mnie niepokoi, bo dotąd zawsze umiałem przeczytać tabliczkę, a potem przypominam sam sobie, żeby jutro rano zapytać Sir Hectora, czy słowo to znaczy „wybudowany”, czy „wzniesiony”, a on odpowie, że oznacza „ufundowany” i już będę to wiedział przez resztę mego życia.

Ale teraz czuję panikę, bo tracę nie tylko obrazy i wspomnienia, tracę nawet słowa. Zastanawiam się, czy przyjdzie taki dzień, kiedy ludzie będą się zwracać do mnie, a ja nie zrozumieję nic z tego, co mówią i będę tylko patrzył z dużym zmieszaniem, z oczami szeroko otwartymi, łagodnymi i pozbawionymi inteligencji, jak oczy krowy.

Wiem, że jak dotąd straciłem tylko jedno francuskie słowo, ale to mnie niepokoi, bo w przyszłości będę mówił po francusku płynnie, tak samo jak po niemiecku i włosku i... i wiem, że jest jeszcze jeden język, w którym będę mówił, czytał i pisał, ale nagle to ucieka i zdaję sobie sprawę, że jeszcze jedna umiejętność, jeszcze jedno wspomnienie, jeszcze jeden kawałek mnie zniknął w głębinach i nigdy go nie



wydobędę.

Odwracam się od tabliczki i idę z powrotem do moich pokoi, nie patrząc ani na prawo, ani na lewo ze strachu, że zobaczę jakiś budynek, jakiś przedmiot, który nie ma swojego miejsca w mojej pamięci, coś, co emanuje trwałością, ale nie jest mi znane.

Czeka na mnie pomywaczka. Jest młoda i bardzo ładna, jutro będę znał jej imię, będę obracał je w ustach i podziwiał melodię, jaką niesie, nawet wychodząc z moich starych warg. Ale patrzę na nią i stwierdzam, że jej nie pamiętam. Mam nadzieję, że z nią nie spałem – wydaje mi się, że robiąc się coraz młodszy, popełnię więcej niedyskrecji niż należy – tylko dlatego, że nie chciałbym zranić jej uczuć, a nie ma logicznego wytłumaczenia dla faktu, że jej nie pamiętam, że rozkosze poprzedniej nocy i zeszłego tygodnia, i zeszłego roku są mi ciągle nieznane.

Ale ona nie przyszła jako kochanka, tylko z prośbą – ma dziecko, syna, który stoi w cieniu za moimi drzwiami; teraz go przywołuję, a on kuśtyka ku mnie. Patrzę na chłopca i widzę, że ma zdeformowaną nogę: kostka jest zniekształcona, stopa wykręcona do środka, a on najwyraźniej wstydzi się swego kalectwa.

– Czy możesz mu pomóc? – pyta pomywaczka. – Czy możesz sprawić, żeby biegł tak, jak inni chłopcy? Dam ci wszystko, co mam, wszystko, czego zażadasz, jeśli sprawisz, że nie będzie się różnił od innych dzieci.

Patrzę na chłopca, potem na jego matkę, a potem jeszcze raz na chłopca. Jest taki młody, zupełnie nie zna świata i chciałbym jakoś mu pomóc, ale nie wiem już co robić. Był czas, kiedy wiedziałem; przyjdzie czas, kiedy żadne dziecko nie będzie musiało kuśtykać przez życie w bólu i poniżeniu – wiem, że tak będzie; wiem, że kiedyś będę umiał wyleczyć dużo poważniejsze dolegliwości niż zniekształcona noga; przynajmniej wydaje mi się, że to wiem – ale jedyne, czego jestem pewien, to to, że chłopiec urodził się kaleką i będzie żył jako kaleka, i umrze jako kaleka, i nic nie mogę na to poradzić.

– Płaczesz, Merlinie – mówi pomywaczka. – Czy widok mojego dziecka jest dla ciebie tak odrażający?

– Nie – mówię – nie jest odrażający.

– Dlaczego więc płaczesz? – pyta.

– Płacę, bo to wszystko, co mogę zrobić – odpowiadam. – Płacę nad

życiem, którego twój syn nigdy nie pozna i nad życiem, o którym ja zapomniałem.

– Nie rozumiem – mówi.

– Ja też nie – odpowiadam.

– Czy to znaczy, że nie pomożesz mojemu synowi? – pyta.

– Nie wiem, co to znaczy. – Widzę jak jej twarz robi się starsza i szcuplejsza, i bardziej zgorzkniała, i wiem, że będzie mnie odwiedzała znowu i znowu, ale nie widzę jej syna i nie wiem, czy mu pomogę, a jeżeli nawet, to w jaki sposób mu pomogę. Zamykam oczy i koncentruję się, próbuję przypomnieć sobie przyszłość. Czy jest lekarstwo? Czy ludzie na Księżycu wciąż kuleją? Czy starzy ludzie wciąż płaczą, bo nie mogą pomóc? Próbuję, ale to znów wymknęło mi się z rąk.

– Muszę rozważyć ten problem – mówię w końcu. – Przyjdź jutro, a może znajdzie rozwiązanie.

– To znaczy zakłęcie? – pyta gorączkowo.

– Tak, zakłęcie – mówię.

Przywołuje dziecko i odchodzą, a ja uświadamiam sobie, że wieczorem wróci tu sama; jestem pewien, a przynajmniej prawie pewien, że jutro będę znał jej imię. To będzie Marian albo Miranda, coś na M, albo może Elizabeth. Myślę, jestem prawie pewien, że wróci, bo jej twarz wydaje mi się teraz bardziej realna niż kiedy stała przede mną. A może ona jeszcze przede mną nie stała?

Coraz trudniej oddzielić wydarzenia od wspomnień, a wspomnienia od snów. Skupiam się na jej twarzy, tej Marian czy Mirandy, i widzę inną twarz, piękną twarz z jasnymi, błękitnymi oczami i wysokimi kośćmi policzkowymi, silną szczęką i kasztanowatymi włosami. Kiedyś ta twarz coś dla mnie znaczyła; czuję miłość, wewnętrzne ciepło i poczucie straty, kiedy ją widzę, ale nie wiem dlaczego. Instynktownie czuję, że ta twarz znaczyła, będzie dla mnie znaczyła więcej niż wszystkie inne, że przyniesie mi więcej szczęścia i smutku niż kiedykolwiek zaznałem. Łączy się z nią jakieś imię, to nie Marian ani Miriam (a może?); chwytam wspomnienie, ale im bardziej staram się je przybliżyć, tym bardziej się oddala. Czy kochałem ją, właścicielkę tej twarzy? Czy damy sobie wzajemnie radość i otuchę? Czy spłodzimy silne, zdrowe dzieci, które osłodzią nam starość? Nie wiem, bo moja starość już minęła, a jej dopiero

nadejdzie i zapomniałem już to, czego ona jeszcze nie wie.

Skupiam się na jej twarzy. Jak się spotkamy? Co mnie do ciebie przyciągnie? Musi być ze sto drobnych szczegółów, zarówno słabostek, jak i zalet, które mnie do ciebie przywiążą.

Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć nawet jednej? Jak będziesz żyła i jak umrzesz? Czy będę przy tobie, żeby dodawać ci otuchy, a kiedy ciebie już nie będzie, kto pocieszy mnie? Czy może to lepiej, że nie potrafię już odpowiedzieć na te pytania?

Czuję, że jeśli skoncentruję się wystarczająco mocno, wszystko to do mnie wróci. Nigdy żadna twarz nie była dla mnie tak ważna, nawet twarz Artura, więc odpycham wszystkie inne myśli, zamykam oczy i wyczarowuję jej twarz (tak, wyczarowuję; w końcu jestem Marlinem, prawda?) – ale teraz nie jestem pewien, czy to jej twarz. Czy szczęka wyglądała tak, czy inaczej? Czy jej oczy rzeczywiście były tak jasne, włosy tak kasztanowe?

Przepelniam mnie wątpliwości i wyobrażam ją sobie z bardziej niebieskimi oczami, włosami jaśniejszymi i krótszymi, delikatniejszym nosem; stwierdzam, że nigdy nie widziałem tej twarzy, że zmyliła mnie moja niewiara w siebie, że moja pamięć nie zawiodła mnie jeszcze zupełnie i próbuję jeszcze raz namalować jej portret na płótnie własnego umysłu, ale nie potrafię – proporcje są złe, kolory nie pasują – ale mimo to czepiam się tego przybliżonego portretu, bo kiedy go stracę, stracę ją na zawsze. Koncentruję się na jej oczach, powiększam je, robię je bardziej niebieskimi, jaśniejszymi i w końcu jestem z nich zadowolony, ale teraz znajdują się w twarzy, której już nie znam; jej prawdziwa twarz jest teraz tak nieuchwytna, jak jej imię i jej życie.

Siadam z powrotem w moim fotelu i wzdycham. Nie wiem, jak długo tak siedziałem, próbując przypomnieć sobie twarz – twarz kobiety, chyba, ale nie jestem już pewien – kiedy słyszę chrząknięcie i podnoszę głowę, a Artur stoi przede mną.

– Musimy porozmawiać, mój stary przyjacielu i mistrzu – mówi przysuwając krzesło i siadając na nim.

– Musimy? – pytam. Stanowczo kiwa głową.

– Okrągły Stół się rozpada – mówi niespokojnym głosem. – Nieład ogarnia królestwo.

– Musisz wziąć się w garść – mówię zastanawiając się, o co mu chodzi.

– To nie jest takie proste – mówi.

– Nigdy nie jest – odpowiadam.

– Potrzebuję Lancelota – mówi Artur. – Jest najlepszy z nich i po tobie to mój najbliższy przyjaciel i doradca. Myśli, że nie wiem, co robi, ale ja wiem, chociaż udaję, że tak nie jest.

– Co proponujesz? – pytam.

Obraca się do mnie, ma udrękę w oczach.

– Nie wiem – mówi. – Kocham ich oboje, nie chcę, by stała im się krzywda, ale to nie ja jestem najważniejszy, ani Lancelot, ani królowa, tylko Okrągły Stół. Stworzyłem go, żeby istniał wiecznie i musi przetrwać.

– Nic nie jest wieczne – mówię.

– Ideały tak – odpowiada z przekonaniem. – Jest dobro i jest zło, a ci, którzy wierzą w dobro, muszą powstać i zostać policzeni.

– Czyż nie tego właśnie dokonałeś? – pytam.

– Tak – mówi Artur – ale dotąd wybór był łatwy. Teraz nie wiem, którą drogą pójść. Jeżeli przestanę udawać nieświadomość, będę musiał zabić Lancelota i spalić królową na stosie, a to na pewno zniszczy Okrągły Stół. – Przerywa i patrzy na mnie. – Powiedz mi prawdę, Merlinie – prosi. – Czy Lancelot byłby lepszym królem niż ja? Muszę to wiedzieć, bo jeśli to ma uratować Okrągły Stół, usunę się i oddam mu wszystko – tron, królową, Camelota. Ale muszę mieć pewność.

– Kto może powiedzieć, co skrywa przyszłość? – odpowiadam.

– Ty – mówi. – Przynajmniej kiedy byłem młody, powiedziałeś mi, że możesz.

– Naprawdę? – pytam z ciekawością. – Musiałem się pomylić. Przyszłość jest tak samo nieznaną jak przeszłość.

– Ale każdy zna przeszłość – mówi. – To przyszłości ludzie się boją.

– Ludzie boją się nieznanego, gdziekolwiek ono się kryje – odpowiadam.

– Myślę, że tylko tchórze boją się nieznanego – mówi Artur. – Kiedy byłem młodzieńcem i tworzyłem Stół, nie mogłem się doczekać, kiedy

przyszłość nadejdzie. Budziłem się godzinę przed świtem i leżałem, drżąc z podniecenia, czekając, kiedy się przekonam, jakie nowe triumfy przyniesie mi kolejny dzień. – Nagle wzdycha i jakby postarzał się w moich oczach. – Ale nie jestem już tym człowiekiem – ciągnie po chwili milczenia – teraz boję się przyszłości. Boję się o Ginewrę, i o Lancelota, i o Okrągły Stół.

– Nie tego się boisz – mówię.

– O co ci chodzi? – pyta.

– Boisz się tego, co wszyscy ludzie – mówię.

– Nie rozumiem cię – mówi Artur.

– Owszem, rozumiesz – odpowiadam. – A teraz boisz się nawet przyznać do swoich obaw.

Bierze głęboki oddech i bez mrugnięcia patrzy mi w oczy, bo jest naprawdę odważnym i honorowym człowiekiem.

– Dobrze – mówi w końcu. – Boję się o siebie.

– To naturalne – mówię. Potrząsa głową.

– To nie wygląda naturalnie, Merlinie – odpowiada. – Zawiodłem, Merlinie – ciągnie. – Wszystko wokół mnie się rozpada – Okrągły Stół i jego podstawy. żyłem najlepiej, jak potrafiłem, ale najwyraźniej niedostatecznie dobrze. Teraz wszystko, co mi zostało, to śmierć – przerywa zasmucony – i boję się, że umrę nie lepiej niż żyłem.

Serce wyrywa mi się do niego, tego młodego człowieka, którego nie znam, ale kiedyś będę znał, i uspokajająco kładę mu dłoń na ramieniu.

– Jestem królem – ciągnie – a jeśli nawet król nie robi nic innego, musi umrzeć pięknie i godnie.

– Umrzesz godnie, mój panie – mówię.

– Na pewno? – pyta nie przekonany. – Czy umrę w bitwie, walcząc za to, w co wierzyłem, kiedy wszyscy mnie opuścili – czy umrę jako słaby stary człowiek, śliniący się, moczący, nie widzący otoczenia?

Postanowiłem jeszcze raz spojrzeć w przyszłość, żeby go uspokoić. Zamykam oczy i patrzę, i widzę nie bezmyślnego, rozgadanego starca, ale bezmyślne, płaczące dziecko, a tym dzieckiem jestem ja.

Artur próbuje przewidzieć przyszłość, której się boi, a ja, podróżując w przeciwnym kierunku, widzę przyszłość, której ja się boję, i zdaję sobie sprawę, że nie ma żadnej różnicy, że to jest ten sam upokarzający stan, w

jakim człowiek przybywa na ten świat, i opuszcza go, że powinien nauczyć się cenić czas pomiędzy tym, bo to wszystko, co ma.

Mówię Arturowi jeszcze raz, że umrze śmiercią, jakiej pragnie; on w końcu odchodzi i zostaje sam z moimi myślami.

Mam nadzieję, że będę umiał stawić czoło mojemu losowi z taką samą odwagą, z jaką Artur stanie przed swoim, ale wątpię w to, bo on może się tylko domyślać swojej przyszłości, a ja widzę moją z przerażającą jasnością.

Próbuję sobie przypomnieć, jak naprawdę skończy się życie Artura, ale to już odeszło, przypadło w głębinach Czasu, i stwierdzam, że już niewiele kawałków mojej świadomości zostało do stracenia, zanim stanę się tym płaczącym, bezmyślnym dzieckiem, stworzeniem czującym tylko głód i strach. To nie koniec mnie przeraża, ale świadomość końca, straszna świadomość tego, co się ze mną dzieje, kiedy patrzę bezradnie, prawie jak postronny obserwator, na rozpad czegoś, cokolwiek to było, a co uczyniło mnie Merlinem.

Młody mężczyzna mija moje drzwi i macha do mnie. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek go widział.

Sir Pellinore przychodzi mi podziękować. Za co? Nie pamiętam.

Jest prawie ciemno. Czekam na kogoś. Myślę, że to kobieta; niemal mogę sobie wyobrazić jej twarz. Myślę, że powinienem posprzątać sypialnię, zanim przyjdzie, i nagle uświadamiam sobie, że nie pamiętam, gdzie jest moja sypialnia. Muszę skończyć pisać, póki jeszcze posiadam dar pisania.

Wszystko się rozpada, odlatuje z wiatrem. Proszę, niech mi ktoś pomoże.

Boję się.

# Czerwona kaplica

Redchapel, przeł. Anna Klimasara  
Nominacja Hugo, 2001

*„Z piekła, Panie Lusk,*

*Wysyłam Panu pół nerki, które wyjęłem z kobiety i zachowałem dla Pana. Drugą część usmarzyłem i zjadłem, była bardzo smaczna. Mogę wysłać Panu zakrwawiony nóż, którym ją wyjęłem jak tylko zechce Pan trochę zaczekać.*

*Podpisano*

*Złap mnie, jeśli potrafisz, Panie Lusk”*

*Kuba Rozprawacz 16 października 1888 roku*

*„Nie ma we mnie za grosz zrozumienia dla sentymentalności – czy jak ja to widzę, ckliwości – którą przepelnia głupia litość dla przestępcy, a która za nic ma jego ofiarę”.*

*Theodore Roosevelt „Autobiografia” Dnia 8 września 1888 roku*

Z ciemności wysunęła się ręka i chwyciła Roosevelta za ramię. Natychmiast zerwał się na nogi. Jego prawa pięść wystrzeliła, z chrzęstem trafiając niewidoczną szczękę i z impetem rzucając napastnikiem o ścianę. Roosevelt przykucnął, wpatrując się w cienie i próbując rozpoznać mężczyznę, który powoli i niezgrabnie usiłował się podnieść.

– Co się u licha stało? – wymamrotał mężczyzna.

– O to samo chciałem zapytać – odparł Roosevelt, sięgając po broń i wymierzając w intruza. – Kim pan jest i co pan robi w moim pokoju?

Snop księżycowego światła zaślnił na lufie.

– Proszę nie strzelać, panie Roosevelt! – zawołał mężczyzna, podnosząc ręce. – To ja, John Hughes!

Roosevelt zapalił lampę, nie przestając celować w drobnego, eleganckiego mężczyznę.

– Nie powiedział mi pan, co tu robi.

– Oprócz tracenia zęba? – spytał rozgoryczony Hughes, wypluwając

zab wraz z krwią na dłoń. – Potrzebna mi pańska pomoc.

– O co chodzi? – domagał się wyjaśnień Roosevelt, spoglądając w stronę drzwi swego pokoju hotelowego, jak gdyby spodziewał się, że zaraz wpadną przez nie współnicy Hughesa.

– Nie pamięta pan? – spytał Hughes. – Rozmawialiśmy przez ponad godzinę wczoraj wieczorem, po pańskim wykładzie dla Królewskiego Towarzystwa Ornitologicznego.

– A co to ma wspólnego z ptakami? – spytał Roosevelt. – I lepiej żeby spodobała mi się pańska odpowiedź. Łatwo tracę cierpliwość, gdy ktoś brutalnie wrywa mnie ze snu w środku nocy.

– Więc nie pamięta pan – stwierdził Hughes oskarżycielsko.

– Czego nie pamiętam?

Hughes wyjął odznakę i podał ją Amerykaninowi.

– Jestem kapitanem londyńskiej policji. Rozmawialiśmy po pańskim wykładzie i wówczas opowiedział mi pan, jak to bez niczyjej pomocy ujął trzech uzbrojonych morderców na Dzikim Zachodzie.

– Pamiętam – Roosevelt skinął głową.

– Wywarło to na mnie ogromne wrażenie – oznajmił Hughes.

– Mam nadzieję, że nie zbudził mnie pan tylko po to, by mi to powiedzieć.

– Nie... jednakże to właśnie fakt, że w pojedynkę dał pan radę trzem brutalnym mordercom sprawił, iż zacząłem się zastanawiać, czy raczej... żywić nadzieję, że będzie pan w stanie mi pomóc. – Zakłopotany Hughes zamilkł pod wnikliwym spojrzeniem Amerykanina. – Wszak powiedział mi pan, że gdybym kiedykolwiek potrzebował pomocy...

– A czy mówiłem, żeby o nią prosić w środku nocy? – warknął Roosevelt, w końcu chowając broń do szuflady szafki przy łóżku.

– Proszę się uspokoić i pozwolić mi wyjaśnić.

– W zaistniałych okolicznościach spokojniejszy już nie będę. – Roosevelt zdjął koszulę nocną, cisnął ją na łóżko z baldachimem, a następnie przeszedł do zdobionej, mahoniowej szafy, wyjął z niej spodnie oraz starannie złożoną koszulę, i zaczął się ubierać. – Proszę zatem wyjaśnić.

– Chciałbym, żeby coś pan zobaczył.

– O tej porze? – spytał Roosevelt podejrzliwie. – Gdzie?



– Niedaleko – odparł Hughes. – Jakieś dwadzieścia minut jazdy powozem stąd.

– O co chodzi?

– O ciało.

– I to nie może zaczekać do rana? – zapytał Roosevelt.

Hughes pokręcił głową.

– Jeśli nie przeniesiemy ciała do kostnicy przed świtem, na ulicach wybuchnie panika.

– Niezmiernie się cieszę, że nie przejawia pan skłonności do przesady – zauważył Roosevelt sardonicznie.

– Jeśli już – odparł drobny Anglik z powagą – to był raczej eufemizm.

– No dobrze. Proszę mi o tym opowiedzieć.

– Wolalbym, żeby obejrzał pan ciało, nic o nim wcześniej nie wiedząc.

– Poza tym, iż ujrzane w świetle dnia wywołałoby zamieszki.

– Wspomniałem o panice, nie zamieszkach – stwierdził Hughes, nadal bez cienia uśmiechu.

Roosevelt zapiał koszulę i zajął się wiązaniem krawata.

– A tak w ogóle, która godzina?

– Szósta dwadzieścia.

– Londyńskie słońce nie jest rannym ptaszkiem, prawda?

– Nie o tej porze roku. – Hughes ciężko przestąpił z nogi na nogę.

– Co znowu?

– Mamy do czynienia z sytuacją kryzysową, panie Roosevelt. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie mam żadnych podstaw prawnych do proszenia o pomoc, jednakże jesteśmy zdesperowani.

– Dość tych hiperboli – mruknął Roosevelt, narzucając płaszcz.

– Naprawdę wytropił pan tych morderców podczas zamieci? – zapytał Hughes nagle.

– To była Zima Błękitnego Śniegu – powiedział Roosevelt, potakując energicznie. – Niewątpliwie wyolbrzymiana przez wszystkich pisarzy brukowych w Ameryce.

– Ale naprawdę sprowadził ich pan sam i to bez broni? – nie ustępował Anglik, jak gdyby odpowiedź Roosevelta była najważniejszą rzeczą w jego życiu.

– Tak... ale znałem teren i tożsamość zabójców. A Londynu nie znam i

domyślałam się, że ścigany przestępca pozostaje anonimowy.

– Tak jakby.

– Nie rozumiem – rzucił Roosevelt, poprawiając przed lustrem kapelusze.

– Nie wiemy, kto to. Wiemy tylko, że sam siebie nazywa Zuchwałym Kubą.

\* \* \*

Dwaj mężczyźni podeszli do kordonu policji ustawionego za Czarnym Łabędziem. Brak był zwilżony nocną mgłą, nad okolicą unosił się wyraźny odór odchodów, a kominy wypluwały gęsty dym wprost w poranne niebo. Z oddali dobiegał stukot końskich kopyt i skrzypienie kół powozów.

– Sir? – odezwał się jeden z konstabli, spoglądając to na Hughesa, to na Roosevelta.

– W porządku, Jamison – powiedział Hughes. – To Theodore Roosevelt, znajomy z Ameryki, który postawił przed sądem Billygo Kida i Jessego Jamesa.

Konstabl Jamison natychmiast się odsunął, obrzucając młodego Amerykanina pełnym podziwu spojrzeniem.

– Czemu pan to powiedział, John? – spytał Roosevelt, ściszej głoś.

– To znacznie szybciej zapewni panu szacunek i posłuch, niż gdybym powiedział, że jest pan ekspertem od ptaków.

Amerykanin westchnął.

– Rozumiem. – Zamilkł na chwilę. – Co właściwie mam obejrzeć?

– Tutaj – rzucił Hughes, prowadząc go na tył budynku w miejsce chwilowo oświetlane pochodniami.

Zatrzymali się mniej więcej dziesięć stóp od celu. Przesięknięty krwią koc skrywał jakiś kształt leżący na ziemi.

– Niech się pan przygotuje, panie Roosevelt – rzucił Hughes.

– Po wszystkich rozprawach, jakie napisałem o wypychaniu zwierząt, nie sądzę, bym mógł jeszcze ujrzeć coś, co mnie zszokuje – odparł Roosevelt.

Mylił się.

Jeden z policjantów zdjął koc, odsłaniając szczątki kobiety w średnim

wieku. Ktoś poderznął jej gardło tak głęboko, że niemal pozbawił jej głowy, która najwyraźniej trzymała się tułowia tylko dzięki zakrwawionej chustce wokół szyi.

Brzuch został rozcięty, a wnętrzności wyjęte i ułożone na ziemi tuż nad prawym ramieniem. Część organów wewnętrznych była uszkodzona, niektórych brakowało.

– Cóż za stworzenie mogło dopuścić się czegoś takiego? – spytał Roosevelt, powstrzymując odruch wymiotny.

– Miałem nadzieję, że to pan nam powie – stwierdził Hughes.

Roosevelt oderwał wzrok od ciała i zwrócił się w stronę policjanta.

– Skąd pomysł, że kiedykolwiek miałem do czynienia z czymś takim?

– Tego naturalnie nie wiemy – powiedział Hughes. – Jednakże mieszkał pan na nieokreślonym Zachodzie Ameryki. Podróżował pan między tamtejszymi dzikusami. Stykał się pan z kowbojami i rewolwerowcami Dzikiego Zachodu. Amerykanie to prostsi, brutalniejsi ludzie... na swój sposób to barbarzyńcy, miałem więc nadzieję, że...

– Jak rozumiem, nigdy nie był pan w Ameryce?

– Nie.

– Zignoruję zatem tę zniewagę i powiem tylko, że Amerykanie to najodważniejsi, najdzielniejsi i najzmyślniejsi ludzie chodzący po tej ziemi.

– Zapewniam, iż nie chciałem nikogo obrazić – powiedział szybko Hughes. – Po prostu wywiera się na nas ogromną presję, byśmy ujęli Zuchwałego Kubę. Miałem nadzieję, że wniesie pan jakieś świeże spostrzeżenia, nowe metody działania...

– Nie jestem detektywem – stwierdził Roosevelt, podchodząc do zwłok. – Tożsamość trzech zabójców, których ścigałem, nigdy nie budziła wątpliwości. Tymczasem w przypadku tego morderstwa, nie jestem w stanie powiedzieć wam nic ponad to, co już wiecie.

– Może jednak pan spróbuje? – spytał Hughes błagalnie.

Roosevelt ukucnęła przy ciele.

– Naturalnie zabito ją od tyłu. Prawdopodobnie nie zdawała sobie sprawy z obecności mordercy, aż do chwili, gdy poczuła, jak ktoś przecina jej żyłę szyjną i tchawicę.

– Czemu od tyłu?

– Gdybym chciał zabić ją od przodu, musiałbym pchnąć, co dałoby jej mniej czasu na uniesienie dłoni, by zasłonić się przed ostrzem. Ale gardło poderżnięto, a nie przekłuto. I musiała to być pierwsza rana, gdyż w innym przypadku krzyknęłaby i ktoś by ją usłyszał.

– Skąd wniosek, że nikt nie słyszał?

Roosevelt wskazał rozległą dziurę w brzuchu kobiety.

– Nie traciłby na to czasu, nie mając pewności, że nikt nie widział, ani nie słyszał morderstwa. – Amerykanin wstał. – Ale to wszystko wiecie.

– Zgadza się – potwierdził Hughes. – Czy może nam pan powiedzieć coś, czego nie wiemy?

– Prawdopodobnie nie. Kolejnym oczywistym faktem jest to, że morderca ma pewne pojęcie o anatomii.

– To raczej nie przypomina roboty lekarza, panie Roosevelt – stwierdził Hughes.

– Tego nie powiedziałem. Ale zrobił to ktoś, kto dokładnie wie, gdzie znajdują się poszczególne organy wewnętrzne, gdyż w innym przypadku nie byłby w stanie ich wyjąć po ciemku. Proszę spojrzeć. Na ziemi nie widać tłuszczu podskórnego, a tkanka mięśniowa nie jest uszkodzona.

– Ciekawe – oznajmił Hughes. – To właśnie coś, czego nie wiedzieliśmy. – Uśmiechnął się. – Myślę, że to wielkie szczęście, że jest pan nie tylko ornitologiem, ale i wypychaczem zwierząt. – Z powrotem przykrył zwłoki i zwołał jednego z konstabli. – Zabierzcie ją do kostnicy, ale bocznymi uliczkami, żeby uniknąć gapiów.

Konstabl zaszalutował i zwołał kilku policjantów do przeniesienia ciała.

– Domyślam się, że to wszystko? – spytał Roosevelt szczęśliwy, że już nie musi patrzeć na zwłoki.

– Tak. Dziękuję, że zgodził się pan przyjść.

Roosevelt wyciągnął zegarek z kieszeni kamizelki i otworzył go.

– Nie ma już sensu kłaść się spać. Może wrócimy do Savoya? Zapraszam na śniadanie.

– Całkiem straciłem apetyt, ale z przyjemnością porozmawiam z panem przy herbacie, panie Roosevelt.

– Mów mi Theodore. – Pokręcił głową. – Biedaczka. Ciekawe, kim była?

Hughes wyciągnął z kieszeni notes.

– Nazywała się Annie Chapman. Była prostytutką w Białej Kaplicy.

– Białej Kaplicy?

– To ta część miasta, w której się znajdujemy.

Roosevelt rozejrzał się, tak naprawdę po raz pierwszy widząc otoczenie, gdyż słońce wreszcie zaczęło przebijać się przez mgłę.

– Mam nadzieję, że Nowy Jork nigdy nie doczeka się takiej dzielnicy nędzy – stwierdził z nadzieją w głosie.

– Poczekaj, aż Nowy Jork zestarzeje się tak, jak Londyn, a dorobi się nie tylko takiej, ale i gorszej – stwierdził z przekonaniem Hughes.

– Nie, jeśli będę miał coś w tej kwestii do powiedzenia – rzucił Roosevelt, zadziornie wysuwając szczękę do przodu i rozglądając się po ulicy.

Hughesa zaskoczyła niezachwiana wiara młodzieńca w siebie. Gdy tak wpatrywali się w potłuczone i pozabijane deskami okna, pijaków leżących w przejściach i na bruku, wyliniałe psy, kulawe koty i tłuste, agresywne szczury oraz niezliczone sterty końskich odchodów, Anglik zaczął się zastanawiać, kim trzeba być, by na okaleczone zwłoki kobiety patrzeć z mniejszą odrazą niż na świat, który dla niego był codziennością.

Wsiadł do powozu Hughesa i koń niespiesznym klusem ruszył do Savoya. Wkrótce opuścili Białą Kaplicę i, jak zauważył Roosevelt, powietrze natychmiast stało się świeższe.

\* \* \*

Roosevelt zjadł ostatnie jajko i właśnie miał zamiar napić się kawy, gdy do jadalni wkroczył policjant i podszedł do Hughesa.

– Przepraszam, że przeszkadzam, sir – zaczął skruszonym tonem – ale powiedziano mi, że to niezwykle pilna sprawa.

Policjant wręczył Hughesowi niewielką kopertę, a ten otworzył ją i zerknął na jej zawartość.

– Dziękuję – rzucił Hughes.

– To wszystko, sir? – zapytał policjant. – Czy będzie odpowiedź?

– Nie, to wszystko.

Policjant zasalutował i wyszedł, a Hughes odwrócił się w stronę Roosevelta.

– Jakie masz plany?

– Mam przed sobą jeszcze dwa wykłady z ornitologii – odpowiedział Roosevelt – oraz jeden na temat bitew morskich, a w piątek zamierzam wsiąść na statek do domu.

– Pozwól, że powiem ci coś o dzisiejszym morderstwie – zaczął Hughes.

– Dziękuję, że poczekałeś, aż skończę śniadanie – odparł Roosevelt cierpko.

– W Białej Kaplicy grasuje szalenię, Theodore – mówił dalej Hughes.

– No, to chyba oczywiste.

– Ale wiedzieliśmy o tym już wcześniej – stwierdził Hughes.

Roosevelt podniósł wzrok.

– To nie była jego pierwsza ofiara?

– Co najmniej druga – Hughes przerwał na chwilę. – Niewykluczone, że zabił już aż pięć kobiet.

– Jak to możliwe, że wciąż jest na wolności?

– Nie jesteśmy w stanie pilnować wszystkich prostytutek z Białej Kaplicy o każdej porze dnia i nocy.

– Zabija tylko prostytutki?

– Póki co.

– Wszystkie zostały tak okaleczone?

– Ostatnia... Polly Nichols... tak. Pierwsze trzy odniosły mniejsze obrażenia, dlatego też nie mamy pewności, że zginęły z tej samej ręki.

– No to macie przed sobą jeszcze mnóstwo pracy – stwierdził Roosevelt. – Nie zazdrozczę. – Zamilkł na chwilę. – Czy macie już jakichś podejrzanych?

– Niezupełnie – Hughes zmarszczył brwi.

– Co to znaczy?

– Nic.

Roosevelt wzruszył ramionami.

– Jak chcesz. Jednakże kwestię Zuchwałęgo Kuby uznaję za zamkniętą. Albo mi zaufasz, albo w niczym nie pomogę.

Hughes rozejrzał się po częściowo pustej jadalni i ściszył głos.

– No dobrze – powiedział niemal szeptem. – Ale to, co usłyszysz, musi pozostać tu, przy tym stole. Tylko ja i ty możemy o tym wiedzieć.

Roosevelt przyglądał mu się, nie kryjąc zaciekawienia.

– Dobrze – powiedział. – Potrafię dochować tajemnicy nie gorzej, niż inni.

– Mam nadzieję.

– Zachowujesz się, jakbyś zaraz miał rzucić oskarżenie na królową Wiktorię.

– To wcale nie jest zabawne! – wyszeptał rozzłoszczony Hughes. – Jestem pewien, że człowiek, który został w to zamieszany jest niewinny, ale gdyby ktoś się o tym dowiedział...

Roosevelt cierpliwie czekał na ciąg dalszy.

– Chodzą pewne plotki, bez wątpienia rozsiewane przez anarchistów, które zakrawają na nawoływanie do buntu – ciągnął Hughes. – Skandaliczne zachowanie w ramach własnej klasy to jedno, ale... morderstwa takie jak to z dzisiejszego poranka... wręcz nie mogę w to uwierzyć! – Przerwał, zaczął mówić, ale ponownie zamilkł. W końcu rozejrzał się po pomieszczeniu sprawdzając, czy nikt się im nie przysłuchuje. – Nie mogę ci podać jego imienia, Theodore. Bez dowodów byłoby to równoznaczne ze zdradą. – Ponownie ściszył głos. – Jest członkiem rodziny królewskiej!

– W każdej rodzinie znajdzie się jakaś czarna owca – stwierdził Roosevelt, wzruszając ramionami.

Hughes obrzucił go zdumionym spojrzeniem.

– Czy nie pojmujesz tego, co właśnie powiedziałem?

– A sądzisz, że członek rodziny królewskiej nie może oszaleć, jak ktoś z pospólstwa?

– To nie do pomyślenia! – warknął Hughes. Ponownie rozejrzał się nerwowo i ściszył głos. – To nie Rzym, a nasi panujący to nie Kaligula, czy Neron. – Z trudem odzyskał panowanie nad sobą. – Po prostu nie pojmujesz wagi informacji, którą ci właśnie wyjawilem. Gdyby wyciekło choćby słówko o tym, że rozpatrujemy taką możliwość, rząd upadłby z dnia na dzień.

– Naprawdę tak sądzisz? – spytał Roosevelt.

– Naturalnie. – Drobny, elegancki policjant wbił wzrok w Roosevelta. – Chciałbym, żebyś pomógł znaleźć prawdziwego mordercę, nim te haniebne plotki dotrą do jakiegoś policjanta, który nie potrafi utrzymać

języka za zębami.

– Chyba w ogóle mnie nie słuchasz – stwierdził Roosevelt. – Mój statek odplywa w piątek rano.

– Obawiam się, że bez ciebie.

– Co masz na myśli? – Roosevelt zmarszczył brwi.

Hughes podał mu przez cały stół kopertę, którą dostał chwilę wcześniej.

– Co to? – spytał Roosevelt, sięgając po okulary.

– Telegram od prezydenta Clevelanda, który oferuje nam twoje usługi na potrzeby ścigania szaleńca.

Roosevelt dwukrotnie przeczytał telegram, po czym zgniótł go silną pięścią i cisnął na podłogę.

– Grover Cleveland w nosie ma całe to wasze morderstwo! – wybuchnął.

Hughes rozejrzał się nerwowo i gestem nakazał Amerykaninowi ściszyć głos.

– Po prostu nie chce, żebym wsparł kampanię jego republikańskiego przeciwnika!

– Ale chyba nie sprzeciwisz się prośbie swojego prezydenta?

– Sprzeciwię, jeśli zechcę! – zagrmiał Roosevelt. – Jest moim prezydentem, a nie królem i chyba umknęła ci ta różnica, kiedy podstępem nakłaniałeś go do wysłania tego telegramu! – Oznajmił, posyłając gniewne spojrzenie kartce leżącej na podłodze. – Wiedziałem, że obawia się Harrisona, ale to jest nie do przyjęcia!

– Przepraszam – powiedział Hughes. – Tak bardzo potrzebowałem świeżego spojrzenia, że chyba przekroczyłem swoje...

– No, już cicho – wszedł mu w słowo Roosevelt. – Zostaję.

– Ale powiedziałaś...

– Amerykanie podejmują wyzwania i to właśnie zamierzam uczynić. Zdenerwował mnie tylko sposób, w jaki chciałeś sobie zapewnić moją pomoc. – Po raz kolejny zmarszczył brwi. – Pokażę temu zepsutemu głupcowi z Białego Domu! Rozwiążę sprawę morderstwa i wrócę do Stanów na czas, by pomóc Benowi Harrisonowi zwyciężyć w wyborach!

– Więc zostajesz? – spytał Hughes. – Nie wyobrażasz sobie, ile to dla mnie znaczy! I naturalnie pomogę ci, jak tylko będę mógł.



– Zaczniij od wymeldowania mnie z tego pałacu i znalezienia mi kwatery w Białej Kaplicy.

– W Białej Kaplicy? – powtórzył Hughes z wyraźnym niesmakiem. – Ależ Theodore, tak się nie robi.

– Ale tak właśnie będzie – stwierdził Roosevelt. – Widziałem, jak patrzyli na was gapie, jak na wrogów, a przynajmniej obcych. Jeśli mają mi zaufać, muszą żyć tak, jak oni. Nie mogą szukać mordercy do kolacji, a potem wracać do Savoya, przywdziewać smoking i do rana obracać się między możnymi i bogatymi.

– Jeśli nalegasz.

– Nalegam. Potrzebna mi jeszcze chwila, by przesłać mojej żonie, Edith, wiadomość z wyjaśnieniem, dlaczego nie zejść z pokładu najbliższego statku.

– Możemy po nią posłać, jeśli...

– Amerykanie nie narażają swoich żon na niebezpieczeństwo – stwierdził Roosevelt z powagą.

– Nie, naturalnie – rzucił Hughes, zrywając się z miejsca. – Przyślę po ciebie powóz za godzinę. Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić?

– Owszem. Zbierz artykuły z gazet i wszystkie pozostałe materiały związane z morderstwami. Gdy już znajdziesz mi pokój w Białej Kaplicy, wyślij je tam.

– Dostaniesz wszystko, co mamy na temat Zuchwałego Kuby.

– Też mi przezwisko! – parsknął Roosevelt z pogardą.

– W zasadzie to dorobił się już innego, choć nie do końca wiadomo, czy sam je sobie wybrał, czy też nadała mu je prasa.

– Tak?

– Kuba Rozpruwacz.

– O wiele adekwatniejsze – stwierdził Roosevelt, energicznie kiwając głową.

\* \* \*

*Najdroższa Edith!*

*Pan Carlson osobiście dostarczy Ci niniejszy list, w którym wyjaśniam, czemu nie wsiadłem na statek.*

*Pozwól, że w pierwszej kolejności zapewnię Cię, iż pozostaję w doskonałym*

zdrowiu. Mój pobyt tu przedłużył się za sprawą dwóch pozbawionych sumienia osób – prezydenta Stanów Zjednoczonych oraz kogoś znanego jako Kuba Rozpruwacz.

Ten drugi dopuścił się szaleńczych morderstw, które zszokowałyby nawet naszych własnych rewolwerowców z Zachodu, jak Doc Holiday i Johnny Ringo. Nie musisz znać szczegółów, ale wierz mi, gdy mówię, że tego szaleńca należy postawić przed sądem.

Jeden z pracowników Scotland Yardu czytał o moich doświadczeniach z Badlands w Dakocie i poprosił Grovera Clevelanda, by ten „wypożyczył” mnie Brytyjczykom do czasu, gdy tajemnica morderstw zostanie rozwiązana, a Cleveland skwapliwie wykorzystał to jako pretekst do wykluczenia mnie z nadchodzącej kampanii.

Przy odrobinie szczęścia, rozwiążę tę sprawę i zdążę wrócić, by zobaczyć, jak Ben Harrison wygłasza mowę po zwycięstwie w wyborach za niespełna dwa miesiące.

Serdeczne pozdrowienia dla Alice i małego Teda.

Twój Theodore

\* \* \*

Roosevelt siedział tyłem do okna na rozklekotanym drewnianym krześle, przeglądając akta dostarczone przez Hughesa.

Polly Nichols bez wątpienia była ofiarą Rozpruwacza. Nie sądził jednak, by trzy wcześniejsze kobiety – Emmę Smith, Adę Wilson i Marthę Tabram – zabił ten sam człowiek. Zostały brutalnie zamordowane, ale istniały znaczące różnice w *modus operandi*.

Akta zawierały bardzo niewiele informacji o podejrzanym członku rodziny królewskiej, ale Roosevelt wydedukował, że chodzi o księcia Eddyego, oficjalnie znanego jako Albert Wiktor, syna księcia Walii i najprawdopodobniej przyszłego króla Anglii.

Roosevelt odłożył papiery, rozsiadł się w krześle i zamknął oczy. To zupełnie nie miało sensu. To tak, jakby Grover Cleveland udał się do waszyngtońskiej dzielnicy nędzy i zabił kilka kobiet przez nikogo nierozpoznany. Księżę Eddy faktycznie był zdeprawowanym rozpustnikiem, wzbudzającym w Rooseveltcie całkowitą pogardę, jednakże zupełnie niemożliwe było, by człowiek ten przeszedł

pięćdziesiąt jardów, czy to w Białej Kaplicy, czy gdziekolwiek indziej, zachowując anonimowość.

Roosevelt zdjął okulary, przetarł oczy i wstał. Najwyższy czas przestać teoretyzować i spotkać się z tutejszymi mieszkańcami. Musiał z nimi porozmawiać i poznać ich oraz ich zdanie, które z pewnością było warte więcej niż domysły policji.

Podszedł do rozpadającego się wieszaka, zatrzymał się na chwilę i uśmiechnął. Przeszedł przez cały pokój do kufra podróżnego, otworzył go i już po kilku chwilach miał na sobie przyozdobiony frędzlami płaszcz z kozłej skóry, który nosił na ranczu w Dakocie. (Zaprojektował go jego ulubiony szmuklerz z Nowego Jorku, jako że w Dakocie wszyscy bardzo chcieli wyglądać jak nowojorczyki). Zdjął lśniące, czarne półbuty i założył znoszone buty o wysokich cholewkach. Następnie zatknął za pas nóż i pistolet.

Chwilę zastanawiał się nad czapką z szopa, ale ostatecznie zdecydował się na stetsona. Obejrzał się w upstrzonym przez muchy lustro i uśmiechnął z zadowoleniem. Skoro i tak wszyscy po pierwszym słowie zorientują się, że jest Amerykaninem, równie dobrze może wyglądać jak Amerykanin.

Wyszedł z obskurnego budynku, w którym się zatrzymał i natychmiast został zauważony. Wszyscy przechodnie w zasięgu wzroku przystawali, by mu się przyjrzeć. Nawet mijające go powozy zwalniały.

Uśmiechnął się, pomachał gapiom i skierował swe kroki do Czarnego Łabędzia, tuż obok miejsca, gdzie znaleziono ciało Annie Chapman. Kilku ciekawskich ruszyło za nim, a część nawet weszła za nim do tawerny.

Podszedł do baru, z aprobatą zerkając na swoje odbicie w lustro na ścianie.

– Nie wiedziałem, że do Białej Kaplicy zawitał cyrk! – roześmiał się przysadzisty mężczyzna stojący nieopodal.

Roosevelt uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Theodore Roosevelt. Miło mi pana poznać.

– Hej, jesteś jankesem! – rzucił mężczyzna. – Żadnego żem wcześniej nie spotkał. – Przerwał na chwilę i zmarszczył brwi. – W sumie to nie wiem, czy lubię jankesów.

- To ci, co walczą z Indianami, szefuńciu? – spytał inny.
- Już nie walczymy z Indianami – odparł Roosevelt.
- Wszystkich żeście ubili, co?
- Nie. Teraz żyjemy w zgodzie.
- Słyszałem, że to mordercy co do jednego – stwierdził przysadzisty mężczyzna. – Łażą i obcinają ludziom głowy.
- Większość z nich to naprawdę przyzwoici ludzie – powiedział Roosevelt, korzystając z okazji, by poruszyć temat, który go interesował.
- A nawet ci źli do pięt nie dorastają Zuchwałemu Kubie.
- Staremu Kubie? – spytał przysadzisty, wzruszając ramionami. – Kręcka dostał, ot co. Ma bzika, a na dodatek podły jest jak pies.
- Ktoś go widział? – spytał Roosevelt.
- Te, co go widziały, leżą w kostnicy pociachane na kawałeczki – odpowiedziała jakaś kobieta.
- Słyszałam, że zjadł ich wnętrzości – dodała inna, z przestraczem w oczach przechylając swój kufel.
- Interesują go tylko baby – dodał przysadzisty. – Chłopy albo za bardzo się bronią, albo nie są takie smaczne.
- Może kobiety powinny nosić przy sobie broń? – podsunął Roosevelt.
- A co by to dało? – odparła kobieta. – Jak taka jest z jakimś frajerem, broni nie potrzebuje, a jak trafi na starego Kubę, nie zdąży jej użyć.
- To trochę mętne rozumowanie – stwierdził Roosevelt.
- Kim jesteś, że tu przyłazisz i mówisz nam, jak mamy rozumować? – spytał przysadzisty wojowniczo.
- Przyjacielem, który chce pomóc.
- Jak nie mieszkasz w Białej Kaplicy, to żaden z ciebie przyjaciel – stwierdził mężczyzna. – My nie miewamy przyjaciół poza tymi, co tkwią tu z nami.
- Nie daliście mi odpowiedzieć – powiedział Roosevelt. – Owszem, mieszkam w Białej Kaplicy.
- Jakoś nigdy cię tu nie widział – stwierdził mężczyzna z głębi tawerny.
- Ani ja – wtrącił inny.
- Dopiero co przyjechałem.
- To nie miejsce, gdzie się przyjeżdża, jankesie – oznajmił

przysadzisty. – Tu cię wywalają jak śmiecia, a reszta Londynu na ciebie szcza.

– Racja jak cholera! – rzuciła któraś z kobiet. – Złożę się, że gliny kibicują staremu Kubie. Po każdym jego ataku mniej osób zaprzęta im tu głowę.

– Skoro policja nie może go złapać, sami będziemy musieli się tym zająć – stwierdził Roosevelt.

– Jakie my? – spytał przysadzisty. – Nie jesteś jednym z nas. Co cię to obchodzi?

– Wszystkich prawomyślnych ludzi powinno to obchodzić – odparł Roosevelt. – Gdzieś tam czai się szalony morderca. Musimy chronić społeczeństwo i wsadzić go za kratki.

– Kto normalny ubiera się jak jakiś dandys i chce ścigać Kubę Rozpruwacza? Jakoś mi się to nie składa. – Mężczyzna posłał Amerykaninowi gniewne spojrzenie. – Na pewno nie piszesz do żadnego z tych magazynów... tych tanich szmatławców, co to chcą zrobić ze starego Kuby bohatera?

– Już mówiłem, że chcę go schwytać.

– A jak się na ciebie rzuci, powiesz mu, że to nieładnie bić okularnika? – zarechotał przysadzisty.

Roosevelt zdjął okulary, złożył je starannie i odłożył na bar.

– Jest wiele rzeczy, do których nie potrzebuję okularów – stwierdził, zadziornie wysuwając szczękę do przodu. – Na przykład do ciebie.

– Wyzywasz mnie, jankesie? – spytał przysadzisty z zaskoczeniem.

– Osobiście wolałbym walczyć z Rozpruwaczem – stwierdził Roosevelt. – Ale sam zdecyduj.

Mężczyzna nagle się roześmiał i objął Roosevelta potężnym ramieniem.

– Podoba mi się twój tupet, jankesie! Jestem Colin Shrank i coś mi mówi, że zostaniemy przyjaciółmi!

Roosevelt uśmiechnął się do niego.

– Odpowiada mi takie rozwiązanie. Pozwól, że postawię ci kolejkę.

– Duże piwo! – zawołał Shrank do barmana, po czym odwrócił się do Roosevelta. – Za wcześniej żeś przyszedł, jankesie. Stary Kuba wylazi tylko nocą.

– Ale sporo tu kobiet i pewnie przynajmniej część z nich to prostytutki – stwierdził Roosevelt.

– No, żadne z nich damy – stwierdził Shrank ze śmiechem. – Siedzą tu, bo za bardzo boją się pracować nocą, która to pora bardziej pasuje do ich profesji.

– Cholerna racja! – wtrąciła jedna z kobiet. – Ja to już na pewno po nocy nie wyjdę!

– A ja to się już nawet w biały dzień nie czuję bezpieczna – dodała inna.

– Czy ktoś z was znał Polly Nichols albo Annie Chapman? – spytał Roosevelt.

– Znałem Annie – odpowiedział barman. – Co wieczór tu przychodziła szukać klientów. Miła z niej była dziewczyna.

– Czemu zgodziła się iść z Rozpruwaczem? – spytał Roosevelt.

– No przecież nie wiedziała, że to Rozpruwacz, nie? – odparł barman.

Roosevelt pokręcił głową.

– Wszyscy w Białej Kaplicy wiedzą, że na prostytutki czyha niebezpieczeństwo, więc dlaczego Annie wyszła z kimś, kogo nie znała?

– Co wieczór przychodzą tu tysiące chłopów – odparła jedna z prostitutek. – A może i dziesiątki tysięcy. Jakie są szanse, że jeden z nich to Kuba Rozpruwacz?

– To nie nasza wina – dodała inna. – My tylko zarabiamy na chleb. To przez policję, prasę i innych takich. Mają gdzieś, co tu się dzieje. Spaliliby Białą Kaplicę do gołej ziemi i to razem z nami, jakby tylko wiedzieli, że ujdzie im to na sucho.

Do środka weszła tęga kobieta, skierowała się prosto do baru i huknęła w niego pięścią.

– Co tam, Irma? – rzucił barman. – Co podać?

– Duże piwo – odparła niskim głosem.

– Ciężka noc?

– Dziś czwórka. – Pokręciła głową ze wstrętem. – Można by sądzić, że się czegoś wreszcie nauczą, ale gdzie tam!

– Od tego mają ciebie – stwierdził barman. Skrzywiła się i podeszła z piwem do stołu.

– O co chodzi? – spytał Roosevelt.

- To Irma, akuszerka - odparł Shrank.

- Odebrała w nocy cztery porody?

Shrank sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Usunęła cztery ciężę, nim zaczęły przysparzać kłopotów.

- Akuszerka przeprowadzająca aborcje? - spytał Roosevelt z zaskoczeniem. - Nie macie od tego lekarzy?

- Rozejrzyj się, jankesie. Mamy tu dziesięć razy więcej szczurów niż ludzi. Jak chłop nie jest uzbrojony, jak ty, to go obrobiją. Kobiety tną na kawałeczki jakiś potwór i nikt nic z tym nie robi. Więc sam powiedz, czy jakiś doktor by się tu zatrudnił, jak może dostać robotę gdzie indziej?

- Nikogo nie obchodzi Biała Kaplica - stwierdziła Irma gorzko.

- No to czas, żeby zaczęła - oznajmił Roosevelt. - Bo jeśli nie złapią tego rzeźnika, wszystko spłynie krwią i równie dobrze będzie można zmienić nazwę na Czerwona Kaplica.

- Czerwona Kaplica - powtórzył Shrank. - Podoba mi się! Do diabła, jak zmienimy nazwę, może wreszcie zwrócą uwagę na to, co się tu wyrabia?

- Skąd wiesz, że znów zaatakuje? - spytał barman.

- Jeśli kieruje nim chęć wymordowania prostytutek, to w Białej Kaplicy zostało ich jeszcze kilkaset.

- Ale wszyscy wiedzą, że to świr - stwierdził Shrank. - Więc może nic nim tak naprawdę nie kieruje?

- To tym bardziej uderzy ponownie - stwierdził Roosevelt. - Skoro nie miał powodu, by zacząć, to jaki ma powód, żeby skończyć?

- Nigdy żem o tym nie pomyślał - przyznał Shrank i serdecznie poklepał Roosevelta po plecach. - Masz łeb nie od parady, jankesie! Co porabiasz w tej swojej Ameryce?

- Różne rzeczy - odparł Roosevelt. - Byłem politykiem, właścicielem rancza, zastępcą szeryfa, przyrodnikiem, ornitologiem, wypychaczem zwierząt i pisarzem.

- Długa jak diabli ta lista, jak na kogoś w twoim wieku.

- Cóż, mam na swym koncie jeszcze jedno osiągnięcie, ale cieszę się, że nie zostałem zmuszony do jego ujawnienia - stwierdził Roosevelt.

- Że niby co?

Roosevelt zabrał okulary z baru i posłał Shrankowi uśmiech.

– W Harvardzie byłem mistrzem wagi lekkiej w boksie.

\* \* \*

*Najdroższa Edith!*

*Chyba robię większe wrażenie, niż sądziłem. Gdy tylko zgodziłem się pomóc w ujęciu Kuby Rozprawacza, natychmiast gdzieś się zaszyl.*

*Przez ostatnie dwa tygodnie przemierzyłem każde piędź tej obskurnej dzielnicy nędzy zwanej Białą Kaplicą, rozmawiając ze wszystkimi napotkanymi ludźmi i próbując uzyskać jakiegokolwiek informacje na temat tego szaleńca, o którym rozpisyją się gazety na całym świecie. Na nic się to nie zdało, choć może i jest z tego jedna korzyść, gdyż wiem już, jak nie zarządzać miastem, a podejrzewam, iż pewnego dnia wiedza ta okaże się dla mnie niezwykle przydatna.*

*Wiem, że w Ameryce żyją zarówno bogaci, jak i biedni, przywódcy i ich zwolennicy, ale wszyscy mogą – wylewając własny pot i wykorzystując własne umiejętności – wspiąć się na każdy szczyt, jaki tylko sobie upatrzą. Tymczasem system klasowy Anglii według mnie krępuje wszelkie ruchy i ciągle zastanawiam się, gdzie byłaby teraz Ameryka, gdyby na przykład Abraham Lincoln zmuszony był pozostać pionierem bez grosza przy duszy, jakim się urodził. Żyją u nas Murzyni zrodzeni w niewoli, którzy pewnego dnia dorobią się majątku i władzy, a choć niewolnictwo jest haniebną plamą na naszej historii, zostało w końcu zniesione przez mądrych ludzi dobrej woli. Tymczasem w społeczeństwie brytyjskim nie dostrzegam nikogo, kto chciałby wprowadzić konieczne zmiany.*

*Przechadzam się po Białej Kaplicy i wyobrażam sobie, co przez pięć lat zrobiłaby z tym miejscem garstka Amerykanów dysponujących amerykańską wiedzą i wyznających amerykańskie wartości. I niestety obawiam się, że miejsce to skazane jest, by pozostać niezmiennym, aż w końcu budynki zniszczą tak, że same się zawalą.*

*Zaprzyjaźniłem się z kilkoma tutejszymi mieszkańcami, z których wielu wykazało się ogromną gościnnością w stosunku do obcego. (Tak, wiem, że Towarzystwo Królewskie dobrze mnie przyjęło, ale przyjechałem do nich w roli eksperta. Tymczasem w Białej Kaplicy pojawiłem się jako osoba z zewnątrz. I stwierdzam, że po tej stronie oceanu również wolę zadawać się z pospolitymi ludźmi, zupełnie tak, jak zawsze czyniłem w domu).*

*Szczególnym przyjacielem jest mi pewien robotnik (który chyba stara się pracować tak rzadko, jak to możliwe). Nazywa się Colin Shrank i jest moim*



*przewodnikami po spowitych mgłą ulicach i cuchnących zaułkach Białej Kaplicy. Jak już pisałem, nie trafiliśmy na żadne przydatne informacje, ale teraz przynajmniej mam wrażenie, że posiadam dość dokładną wiedzę o geografii tego miejsca, którą z największą przyjemnością wymażę z pamięci, gdy tylko powrócę do naszego ukochanego Sagamore Hill.*

*Serdeczne pozdrowienia dla Alice i małego Teda.*

*Twój Theodore*

\* \* \*

Roosevelt otworzył list i niedbale rzucił kopertę na bar Czarnego Łabędzia.

– Kolejna wiadomość od twojego kumpla Hughesa? – spytał Shrank.

Roosevelt skinął głową.

– Przestał pytać, kim jest Rozpruwacz. Teraz chce już tylko wiedzieć, czy skończył mordować.

– Możliwe – Shrank wzruszył ramionami.

Roosevelt pokręcił głową.

– Wątpię. Sądzę, że zabijanie i patroszenie bezbronnych kobiet sprawia mu zbyt wielką przyjemność.

– W obliczu mężczyzny z nożem wszystkie są bezbronne – zauważył Shrank.

– Nie do końca, Colin. – Roosevelt rozejrzał się po tawernie. Jego wzrok spoczął na Irmie, przysadzistej akuszerce. – Wszystkie kobiety, które atakował, były raczej szczupłe. Gdyby się rzucił na kogoś takiego jak Irma, mogłoby dojść do prawdziwej walki.

– Nie jestem prostytutką! – warknęła Irma z oburzeniem. – Przestrzegam nauk biblijnych i dziesięciu przykazań!

– Ależ nie chciałem cię urazić – zapewnił Roosevelt szybko. – Sugeruję tylko, że Rozpruwacz może nie kieruje się jedynie profesją i dodatkowo szuka kobiet, z którymi jest w stanie się szybko rozprawić.

– Czemu szybko, skoro tak dobrze się bawi? – spytał barman.

– Dyskrecja jest jego sprzymierzeńcem – odparł Roosevelt. – Nie może ich wypatroszyć, jeśli nie zginą, nim zdążą krzyknąć. A to oznacza, że mogą się bronić co najwyżej przez sekundę lub dwie.

– Trafiał się wam ktoś taki w Ameryce? – spytał Shrank.

– Z tego, co wiem, to nie. A już na pewno nie w naszych miastach, gdzie tego typu zbrodnie nie przeszłyby niezauważone i ktoś by je zgłosił.

– Tu też ktoś zauważa i zgłasza – stwierdziła jedna z kobiet. – Sęk w tym, że wszyscy mają to gdzieś.

Roosevelt wyjrzał przez okno.

– Ściemnia się – powiedział i podszedł do drzwi. – Chodź, Colin. Czas na obchód.

– Idź dziś sam – powiedział Shrank, upijając łyk piwa.

– Źle się czujesz?

– Dobrze się czuję. Ale łaźilem z tobą po tych cholernych ulicach co wieczór, od kiedy pociął Annie Chapman. Dziś od rana padało, a wiatr mrozi do kości, więc zostaję tutaj. Jakbyś go znalazł, krzyknij, to przyjdę.

– Zostań, Theodore – dodał barman. – Nie ma go tam. Do diabła, pewnie już ktoś mu poderżnął gardło na nabrzeżu.

Roosevelt pokręcił głową.

– Jeśli ocalę choć jedno życie, patrolując ulice, to czuję się w obowiązku to zrobić.

– To robota gliniarzy – upierał się Shrank.

– To robota wszystkich prawych obywateli, którym leży na sercu bezpieczeństwo Białej Kaplicy – odparł Roosevelt.

– To akurat cię wyklucza. Żaden z ciebie obywatel.

– Dość tego gadania – rzucił Roosevelt, stając przy drzwiach i biorąc się pod boki. – Na pewno nie wybierzesz się ze mną?

– Ledwo dotrzymuję ci kroku przy dobrej pogodzie – stwierdził Shrank.

Roosevelt wzruszył ramionami.

– Nie mogę przegadać tu całej nocy.

Odwrócił się i wyszedł wprost w mgłę, rozpoczynając kolejną noc bezowocnego polowania na Rozpruwacza.

\* \* \*

Roosevelt poczuł, że ktoś puka go w ramię jakimś tępym przedmiotem. Natychmiast usiadł, zamierzając się na niewidocznego napastnika.

– Stój, Theodore! – krzyknął znajomy głos. – To ja, John Hughes.

- Roosevelt spuścił nogi z łóżka na podłogę.
- Masz szczęście, że znów cię nie posłałem na deski.
  - Odrobiłem lekcję – odparł Hughes, pokazując trzymaną w ręce szczotkę. – Dwa metry trzonka.
  - No dobrze, już nie śpię – powiedział Roosevelt. – Co tu robisz?
  - Kuba Rozpruwacz uderzył ponownie.
  - Co? – ryknął Roosevelt, zrywając się na nogi.
  - Przecież słyszałeś.
  - Która godzina? – spytał Roosevelt, ubierając się pośpiesznie.
  - *Okolo wpół do czwartej rano.*
  - Dziś niedziela, prawda?
  - Zgadza się.
  - Cholera! Położyłem się ledwie pół godziny temu! Gdzie to się stało?
  - Na niewielkim placyku przy Berner Street – odparł Hughes. – Ale tym razem ktoś mu przeszkodził.
  - Kto?
  - Nie mamy pewności.
  - To bez sensu.
  - Chodź ze mną, wszystko ci wyjaśnię.
- Roosevelt skończył się ubierać.
- Chodźmy.

\* \* \*

- To tu – powiedział Hughes, oglądając z Rooseveltem ciało kobiety. Jej głowa leżała w kałuży krwi. – Poderżnął jej gardło i pociął twarz, ale brak innych obrażeń. Podciągnął sukienkę i pewnie miał zamiar rozplatać brzuch, ale ktoś mu przeszkodził.

- Skąd wniosek, że ktoś mu przeszkodził? – spytał Roosevelt. – Nie mógł przerwać z innego powodu?

- Tych dwóch dżentelmenów... – Hughes wskazał dwóch miejscowych rozmawiających z policjantami – usłyszało odgłosy przepychanki. Nadeszli z dwóch różnych stron. Nie wiemy, który go przestraszył, równie dobrze mógł usłyszeć obu. W każdym bądź razie nagle się zerwał i uciekł. Mężczyźni zobaczyli ciało, dotarło do nich, co widzą i rzucili się w pościg.

– Długo go gonili?

Hughes wzruszył ramionami.

– Trzy lub cztery przecznice, nim się zorientowali, że go zgubili.

– Przyjrżeli mu się? – nie ustępował Roosevelt. – Potrafią podać jakiś rysopis?

Hughes pokręcił głową.

– Ale jeden z nich, pan Packer, zawiadomił nas, a kiedy dotarliśmy do ciała, było jeszcze ciepłe i krwawiło. Minęliśmy się z nim co najwyżej o pięć minut. – Przerwał na chwilę. – Stu ludzi przeczesuje wszystkie ulice i zaułki Białej Kaplicy. Przy odrobinie szczęścia, znajdziemy go.

– Czy mogą porozmawiać ze świadkami? – spytał Roosevelt.

– Oczywiście.

Roosevelt podszedł do mężczyzn, a Hughes podążył za nim.

– To pan Roosevelt – oznajmił. – Proszę odpowiadać na jego pytania, jakbym to ja je zadawał.

Roosevelt podszedł do wyższego z mężczyzn.

– Mam do pana tylko dwa pytania. Po pierwsze: ile ma pan lat?

– Trzydzieści cztery – odparł zaskoczony mężczyzna.

– A od jak dawna mieszka pan w Białej Kaplicy?

– Od urodzenia, szefie.

– Dziękuję.

– Tylko tyle chce pan wiedzieć? – spytał mężczyzna.

– Tylko tyle – odpowiedział Roosevelt i zwrócił się do niższego z mężczyzn. – Czy mógłby pan odpowiedzieć na te same pytania?

– Mam dwadzieścia osiem lat. I nigdy nie był gdzie indziej – powiedział i zamilkł na chwilę. – No, raz to żem starą do zoo zabrał.

– Dziękuję. Nie mam więcej pytań. – Roosevelt uściśnił dłoń niższego mężczyzny, po czym wrócił do zwłok. – Zidentyfikowaliście ją już?

Hughes potwierdził.

– Elizabeth Stride. Nazywali ją Długa Liz.

– Naturalnie prostytutka?

– Tak.

– Kiedy ostatni raz widziano ją żywą?

– Tuż przed północą była w Tawernie Murarskiej – odparł Hughes.

– Z klientem?

- Tak, ale ponoć już go obsłużyła. Klient ma alibi na czas morderstwa.
- Czyli na kiedy?
- Jakies czterdzieści pięć minut temu. - Hughes utkwil wzrok we mgle. - Ciekawe, czy on tam jeszcze jest?
- Jeśli jest, to na pewno...
- Przerwał mu krzyk kobiety.
- Skąd ten dźwięk? - spytał Hughes.
- Nie wiem, sir - odparł jeden z policjantów. - Albo stamtąd, na wprost, albo trochę na lewo. Trudno powiedzieć.
- Hughes odwrócił się z powrotem do Roosevelta.
- Co... Theodore!!!
- Ale Amerykanin już gnał prosto w mgłę z bronią w ręku.
- Za nim! - rozkazał Hughes swoim ludziom.
- Ale...
- To myśliwy! Ufam jego instynktowi!
- Puścili się biegiem za Rooseveltem, który przemierzał ciemność, aż dotarł do Church Passage. Pochylił się, przyjmując postawę strzelca i wbił wzrok w mgłę.
- Krzyk rozległ się gdzieś tutaj - wyszeptał, gdy Hughes wreszcie go dogonił. - Dokąd tędy dojdziemy? - spytał, wskazując wąską uliczkę.
- Do Mitrę Street.
- Chodźmy - rzucił Roosevelt, ruszając cicho przed siebie. Przemierzył uliczkę, wyszedł na Mitrę Street, dostrzegł spory kształt leżący na otwartej przestrzeni i natychmiast do niego podbiegł.
- Cholera - mruknął Hughes, dołączając do Amerykanina. - Kolejna!
- Zostaw tu kogoś, niech pilnuje, żeby nikt nie ruszał ciała - powiedział Roosevelt. - Rozpruwacz ma nad nami co najwyżej minutę przewagi.
- Truchtem ruszył Mitrę Street. Policjanci zaczęli gwizdać w gwizdki, dając sobie znaki i wkrótce ten przeszywający dźwięk stał się niemal nie do zniesienia. Roosevelt nie przebiegł wiele, gdy usłyszał słaby jęk dochodzący z cofniętych nieco drzwi. Ostrożnie, z bronią gotową do strzału, skierował się w stronę źródła dźwięku.
- Kto tam? - zapytał zdecydowanie.
- Dzięki Bogu, to pan! - odezwał się znajomy głos. Gdy Roosevelt się

zbliżył, rozpoznał Irmę, akuszerkę. Zapalił zapałkę i w świetle ognia zobaczył potężny siniec na jej lewej skroni.

– Co się stało?

– Wracałam od Elsie Bayne, kiedy usłyszałam krzyk kobiety. Potem jakiś gość cały na czarno przebiegł ulicą i mnie przewrócił. – Nagle zakręciło jej się w głowie.

– Widziałas jego twarz?

– Miał szalone oczy – odparła Irma. – Takie, po których śnią się koszmary.

– Jakiego koloru?

– Nie wiem – stwierdziła bezradnie. – Jest ciemno.

– Wysoki był?

– Wyższy od pana – odpowiedziała. – O wiele wyższy. I chudy. Normalnie jak kościotrup!

– Czy pamiętasz coś jeszcze? – dopytywał się Roosevelt. – Liczą się wszystkie szczegóły, nawet te, które wydają ci się zupełnie nieistotne. Myśl! To ważne.

– Wiem tylko, że miał czarne rękawiczki.

– Żadnych znaków szczególnych?

– Miał ranę.

– Ranę? – spytał Roosevelt, podchwytyjąc łąpczywie słowo. – Jaką ranę?

– Na policzku. Ciekła mu z niej krew.

– Z której strony?

– Nie pamiętam.

– Postaraj się, proszę.

Kobieta zmarszczyła brwi, jakby próbowała sobie coś przypomnieć, ale tylko zaskomlała z bólu.

– Nie wiem, sir. – Spojrzała w górę ulicy, skąd zbliżało się kilku policjantów. – Pociął następną, prawda?

Amerykanin skinął głową.

– Niedaleko stąd.

– Biedaczki – załkała Irma, po czym zaniósła się płaczem. – Kiedy to się skończy?

Roosevelt wstał.

- Jesteś jedynym naocznym świadkiem – oznajmił. – Możliwe, że rysownik policyjny będzie chciał z tobą później porozmawiać.

- Ale ja już powiedziałam wszystko, co wiem!

- Może później przypomnisz sobie jakieś szczegóły. Spróbuj mu pomóc.

Skinęła, ocierając łzy brudnym rękawem płaszcza. Roosevelt zwrócił się do najbliższej stojącego funkcjonariusza.

- Kiedy odzyska nieco sił, zabierzcie ją do najbliższego szpitala – powiedział, po czym odwrócił się i szybko podszedł do ostatniej ofiary.

- Teraz to naprawdę się przyłożył, sir – powiedział jeden z policjantów, wpatrzony w zwłoki.

Gardło kobiety było rozplatanе od ucha do ucha. Rozpruwacz rozciął ją również od szyi do krocza i wypatroszył jak rybę. Wszystkie organy wewnętrzne leżały na ziemi, starannie ułożone w pozornie przypadkowym porządku. Z fartucha odcięto kawałek materiału; Rozpruwacz najwyraźniej użył go do wytarcia noża.

- Jezu! – powiedział inny funkcjonariusz, zafascynowany widokiem. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Jesteś wypychaczem zwierząt, Theodore – powiedział Hughes, dołączając do nich. – Potrafisz stwierdzić, czego brakuje?

Roosevelt przyjrzał się narządom.

- Chyba nerki.

- Każę to sprawdzić chirurgowi policyjnemu – rzucił Hughes i zamilkł na chwilę. – Jeśli masz rację, musimy zadać sobie pytanie: pomijając jego szaleństwo, po co miałby zabierać nerkę?

- Wolałbym nie znać odpowiedzi na to pytanie, sir – stwierdził jeden z policjantów.

- Czy ktoś zna jej nazwisko? – spytał Roosevelt.

- Jeśli ma przy sobie jakiś dowód tożsamości, pewnie jest tak przesiąknięty krwią, że go nie odczytamy – odparł Hughes. – Popytam w okolicy. Do rana powinniśmy ustalić, kto to.

Roosevelt odszedł od zwłok, a następnie gestem przywołał Hughesa.

- O co chodzi, Theodore?

- Chciałem z tobą pomówić w miejscu, w którym nikt nas nie usłyszy – wyjaśnił Roosevelt. – Z pewnością ucieszy cię wieść, że z listy

podejrzanych możemy ostatecznie skreślić księcia Eddyego.

– Naturalnie – powiedział Hughes. – Ale skąd ta pewność?

– Widziałem się z nim – odparł Roosevelt. – To słaby człowiek, wyniszczony przez chorobę. Ledwo uścisnął mi dłoń.

– Twierdzisz, że jest za słaby, by zabić te kobiety? – spytał Hughes, raczej nieprzekonany.

– Każdy może zabić nożem niczego niespodziewającą się ofiarę – odparł Amerykanin.

– No więc?

– Chodzi o twoich dwóch świadków – stwierdził Roosevelt. – Jeden ma dwadzieścia osiem, a drugi trzydzieści cztery lata, obaj w kwiecie wieku. Są zdrowi i żaden nie ma nadwagi. No i dobrze znają Białą Kaplicę. – Roosevelt przerwał na chwilę. – Jak mógłby im uciec tak schorowany człowiek, szczególnie nieznający okolicy? Pamiętaj, że twierdzą, iż ścigali go przez trzy lub cztery przecznice. Albert Wiktor, którego poznałem, nie byłby w stanie przebiec jednej, o czterech nie wspominając.

– Dziękuję, Theodore – powiedział Hughes, odetchnąwszy z ulgą. – Zdjąłeś z mych ramion ogromny ciężar.

– Zapomnij o księciu i skup się na tym, co wiemy – powiedział Amerykanin. – Na przykład, wiemy, że Rozpruwacz doskonale zna Białą Kaplicę, gdyż inaczej nie uszedłby pościgowi. W zasadzie zbiegł tej nocy aż dwa razy, gdyż w miejscu tej zbrodni zjawiliśmy się nie więcej niż sześćdziesiąt sekund po nim, a zniknął niczym Apacz na wzgórzach Arizony.

– Pewnie dał nura do któregoś z budynków po tym, jak przewrócił akuszerkę – stwierdził Hughes.

– Żeby wiedzieć, które drzwi są otwarte, musi znać okolicę jak własną kieszeń. Jedno jest całkowicie pewne: Rozpruwacz jest mieszkańcem Białej Kaplicy.

– A niech to! – mruknął Hughes. – To prawdopodobnie wyklucza też drugiego podejrzanego.

– Czyli?

– Doktora Thomasa Neilla Creama. Zapewne zna Białą Kaplicę tak samo, jak księżę Eddy. Ponadto, jest raczej tłusty. Nie sądzę, żeby



komukolwiek był w stanie uciec.

Roosevelt zapatrzył się w dal, marszcząc brwi.

– Coś nie gra, Theodore?

– Naturalnie, że nie gra – rzucił poirytowany Roosevelt. – Ten szaleniak zarznął kolejne dwie kobiety i to tuż pod naszym nosem. – Nadal wpatrywał się w mgłę. – I chyba coś mi umyka.

– Co?

Roosevelt ponownie zmarszczył brwi.

– Nie wiem. Ale to coś, co powinienem wiedzieć. Coś, co niewątpliwie przeczyłem.

– Czy mogę ci jakoś pomóc? – spytał Hughes.

Roosevelt zastygł na chwilę w bezruchu, po czym wzruszył ramionami i pokręcił głową.

Przyjechał wóz z kostnicy i Hughes musiał dopilnować przeniesienia zwłok. Roosevelt wrócił do swojego pokoju, gdzie raz za razem odtwarzał w pamięci wydarzenia minionej nocy, szukając szczegółu, który mu umknął.

\* \* \*

*Najdroższa Edith!*

*Zidentyfikowali drugą ofiarę z nocy – to prostytutka, Catherine Eddowes. Wiem, że pisałem, iż wkrótce wrócę do domu, ale nie mogę stąd wyjechać dopóki ten łajdak pozostaje na wolności.*

*Nie ma wątpliwości, że zaatakuje ponownie, jednakże niemożliwym jest przewidzieć, kiedy i gdzie to nastąpi. Trudno znaleźć jakikolwiek wzorzec dla tych morderstw, przynajmniej do chwili zabicia ofiary, a opisem tego wzorca wolalbym Cię nie gnębić.*

*W żaden sposób nie mogłem zapobiec tym czterem morderstwom, ale dręczy mnie niejasne przeczucie, że mógłbym już w tej chwili zapobiec kolejnym zbrodniom, gdybym tylko zobaczył las, a nie jedno drzewo. Jestem pewien, iż wiem coś, co mogłoby doprowadzić do jego zatrzymania, jednakże nie mam pojęcia, co to za informacja.*

*No cóż, nie ma sensu, bym zadręczał Cię swoimi problemami. Wsiądę na pierwszy statek po rozwiązaniu sprawy tych ohydnych zbrodni i mam nadzieję, że zdążę wygłosić przemówienie lub dwa w imieniu Bena Harrisona, a potem może*

\* \* \*

- Gdzie byłeś wczoraj wieczorem? – spytał Roosevelt, wchodząc do Czarnego Łabędzia rankiem pierwszego października.
- Tutaj – odparł Colin Shrank. – Myślisz, że to ja pociąłem te kobiety?
- Chcę tylko wiedzieć, o której stąd wyszedłeś – odparł Roosevelt.
- Około drugiej.
- Pierwsza została zabita dopiero około trzeciej.
- To nie ja! – warknął Shrank. – Nie zabiłem żadnych cholernych bab!
- Nigdy tak nie twierdziłem – powiedział Roosevelt.
- To po co te pytania?
- Cóż, akurat tej nocy, kiedy postanowiłeś nie iść ze mną na obchód, Rozpruwacz zabił dwie kolejne ofiary. Myślę, że wypadaloby choć trochę zainteresować się miejscem twojego pobytu.
- A ty gdzie byłeś? – odparował Shrank.
- Gdy zamordowano Elizabeth Stride, byłem w łóżku, ale kiedy zabijano Catherine Eddowes, byłem z kapitanem Hughesem – wyjaśnił Roosevelt.
- To mówisz, że to zrobiłem, czy nie? – spytał Shrank wojowniczo, zaciskając dłonie w potężne pięści.
- Roosevelt posłał mu uważne spojrzenie, po czym westchnął.
- Nie, tego nie twierdzę.
- I dobrze! – rzucił Shrank. – A żeby ci udowodnić, że nie żywię urazy, pozwolę ci postawić sobie piwo.
- Roosevelt skinął na barmana.
- Dla mnie kawa.
- Nie mamy kawy, panie Roosevelt – oznajmił barman. – Może być herbata?
- Niech będzie – powiedział Roosevelt, siadając przy jednym ze stolików.
- No, skoro znów jesteśmy kumplami, to powiedz mi, dlaczego uznałeś, że to jednak nie ja jestem Rozpruwaczem? – spytał Shrank.
- Twoje wykształcenie.

– Jakie wykształcenie? – roześmiał się Shrank. – W życiu żem progę szkoły nie przekroczył!

– No właśnie – stwierdził Roosevelt. – Gdybyś kogoś zabił, potrafiłbyś znaleźć śledzionę?

– A co to śledziona?

– To może trzustkę?

– Nie znam.

– Wskaż, gdzie według ciebie mam płuca.

Shrank wykonał polecenie.

– Oto i odpowiedź – oznajmił Roosevelt. – Rozpruwacz zna położenie narządów.

– Skąd wiesz, że nie kłamię? – spytał Shrank.

– A gdzie miałbyś się tego nauczyć?

– Może w książce przeczytałem?

– A umiesz czytać?

Shrank wybuchnął głośnym śmiechem.

– Ani słowa!

Roosevelt się uśmiechnął.

– To kolejny dowód na to, że nie jesteś Rozpruwaczem.

– Kolejny? – powtórzył Shrank. – A jaki był pierwszy?

– Dostajesz zadyszki po przejściu trzech przecznic. A Rozpruwacz dziś w nocy przebiegł co najmniej pół mili, wymykając się bardzo sprawnym mężczyznom.

– To po co żeś mi zadawał takie pytania?

– Po prostu jestem skrupulatny.

– Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi... druhami że tak powiem – stwierdził Shrank.

– Jesteśmy. Ale gdybyś był Rozpruwaczem i tak bym cię zamknął w więzieniu.

– Przynajmniej ty nie masz tego gdzieś. Czego nie można powiedzieć o reszcie.

– Chodzi ci o policję? – odpowiedział pytaniem Roosevelt. – Źle ich oceniasz. Setki funkcjonariuszy pracują nad tą sprawą.

– Tylko dlatego, że prasa ich zmusza – stwierdził Shrank. – Ale i tak mają gdzie nas i Białą Kaplicę. Złapią Rozpruwacza i znów wymażą nas

z mapy.

– A co według ciebie skłoniłoby ich do zrobienia czegoś dla Białej Kaplicy? – spytał Roosevelt.

– Może i zabrzmiało to dziwnie, ale... dopóki Zuchwały Kuba jest na wolności, będą na nas zwracać uwagę. Może on wcale nie jest taki zły. – Shrank roześmiał się gorzko. – Potnie jeszcze ze czterdzieści albo pięćdziesiąt kobiet, to może uprzętną dzielnicę i zrobią z niej Hyde Park.

– Nie – wtrącił barman z uśmiechem. – Mayfair.

– Naprawdę tak uważacie? – spytał Roosevelt.

– Póki nie pojawił się Rozpruwacz, nikt nie zwracał na nas uwagi, panie Roosevelt, taka jest prawda – odpowiedział barman.

– To bardzo interesujący pogląd – zauważył Roosevelt. – Ale i tak będę próbował go złapać.

– Może stary Jack to tak naprawdę twój kumpel Hughes – podsunął Shrank. – No wiesz, zawsze jest pierwszy przy zwłokach.

Roosevelt pokręcił głową.

– Byłem z nim wczoraj, gdy została zamordowana druga kobieta.

– No to zagadka, jak się patrzy.

– W tej sprawie jest wiele zagadek – powiedział Roosevelt.

– To znaczy poza tą, kim jest morderca? – spytał Shrank.

– Tak – odparł Roosevelt i zmarszczył brwi. *Na przykład, pomyślał, po co mu nerka Catherine Eddowes.*

\* \* \*

Na odpowiedź Roosevelt musiał czekać szesnaście dni. Wtedy to wezwał go Hughes i pokazał mu prymitywnie nabazgraną wiadomość, której adresatem był George Lusk, szef Straży Obywatelskiej Białej Kaplicy.

*„Z piekła, Panie Lusk,*

*Wysyłam Panu pół nerki, którą wyjolem z kobiety i zachowałem dla Pana. Drugą część usmarzyłem i zjadłem, była bardzo smaczna. Mogę wysłać Panu zakrwawiony nóż, którym ją wyjolem jak tylko zechce Pan trochę zaczekać.*

*Podpisano*

*Złap mnie, jeśli potrafisz, Panie Lusk”*

– Przynajmniej wreszcie wiemy, po co mu była nerka – stwierdził Hughes, z grymasem obrzydzenia na twarzy. – Wierzysz w to, że ją zjadł?

Roosevelt wzruszył ramionami.

– Kto wie? Z pewnością jest do tego zdolny. – Przyjrzał się listowi. – Czy to ten sam charakter pisma, co poprzednio?

Hughes potwierdził.

– To bez wątpienia ten sam człowiek.

Roosevelt pochylił głowę w zamyśleniu.

– No dobrze – stwierdził po chwili. – Trzeba zrobić tak: przepiszcie ten list i przekazcie wszystkim gazetom w Londynie.

– Tak nie można, Theodore! Wybuchłaby panika.

– Mam nadzieję.

– Słucham? – spytał Hughes z ożywieniem.

– Tylko pomyśl, John! – powiedział Roosevelt. – W Białej Kaplicy wszyscy wiedzą o Rozpruwacu od ponad miesiąca. prostytutki wiedzą, że to na nie poluje, a mimo to oferują swoje usługi, wystawiając się na niebezpieczeństwo. Może jeśli to przeczytają, jeśli choć w ten sposób będą miały okazję, by zerknąć w głąb umysłu tego szaleńca, przestaną wychodzić na ulice do czasu jego schwytania.

– Prostitutki przestaną wychodzić na ulice? – roześmiał się stojący nieopodal policjant. – Równie dobrze można próbować powstrzymać wschód słońca.

– Albo to, albo przygotujcie się na kolejne morderstwa.

– To nie moja decyzja – odparł Hughes. – Pracujesz nad tą sprawą na moją prośbę i tylko ze mną się kontaktujesz, więc mogę ci wybaczyć, że sądzisz, iż to ja tu dowodzę... jednak w rzeczywistości nad morderstwami Rozpruwacza non stop pracuje ponad pięćuset policjantów. Pozwolenie na publikację listu muszę załatwić drogą urzędową.

– A gdybym przekazał go gazetom twierdząc, że nie poinformowałem cię o swoich planach?

– Wróciłbyś do Ameryki najbliższym statkiem i zapewne nie miałbyś już więcej wstępu do Anglii.

*To akurat niewielka strata w przypadku kraju, który ceni monarchię i pozwala na istnienie czegoś takiego, jak Biała Kaplica, pomyślał Roosevelt, ale na głos powiedział tylko:*

– No dobrze, John... ale spiesz się! Im szybciej opublikujemy to w prasie, tym lepiej.

Hughes wziął list i przyjrzał mu się uważnie.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecał.

– Jak my wszyscy – skwitował Roosevelt.

\* \* \*

Nic się nie wydarzyło.

Minął dzień, tydzień, a potem trzy. Policja ponownie zaczęła sugerować, że Rozpruwacz mógł zginąć z ręki innego kryminalisty... na nabrzeżu zadźgano i pobito na śmierć wystarczająco wielu bandytów, by wykończyć tuzin Rozpruwaczy.

Nawet Roosevelt nieco odpuścił. Spędził cały dzień obserwując ptaki w Cotswolds. Wygłosił mowę przed Królewskim Towarzystwem Zoologicznym oraz w Parlamencie. Znalazł czas na napisanie trzech artykułów i ponad stu listów.

Jednakże nadal dręczyło go uczucie, że to cisza przed burzą oraz że jest w posiadaniu drobnego, ale ogromnej wagi elementu układanki, dzięki któremu można by zapobiec kolejnym morderstwom.

Wieczorem ósmego listopada postanowił napisać list do żony.

*Najdroższa Edith!*

*Minęło już niemal sześć tygodni od ostatniego ataku szaleńca. Większość tutejszych władz wmówiła sobie, że człowiek ten nie żyje i że prawdopodobnie zginął z własnej ręki lub został zamordowany. Ja jednak nie podzielam tego poglądu. Wcześniejszych morderstw nie cechował żaden wzorzec. Pierwsze i drugie dzieliło dziewięć dni, drugie i trzecie dwadzieścia dwa dni, a trzecie i czwarte nie więcej niż godzina. Jako że brak tu jakiegokolwiek prawidłowości, nie widzę podstaw, by uznać, że to koniec.*

*Jak już wspominałem we wcześniejszych listach, niektórzy policjanci nadal*

skłaniają się ku księciu Albertowi Wiktorowi, co jest zdecydowanie niemożliwe. Wszyscy ich pozostali podejrzani również pochodzą z klas wyższych: lekarz, prawnik, konstruktor statków. Londyńska policja chce dobrze, ale zwyczajnie brak jej amerykańskiej praktyczności w podejściu to tego niezwyklej wagi, arcytrudnego zadania.

Możliwe, że nie wysłę Ci tego listu, gdyż nie chcę przerażać Cię opisywanymi szczegółami, jednakże muszę uporządkować swe myśli, przelewając je na papier.

Zacznę od pytania: co wiemy o Kubie Rozprawawcu?

Co prawda mamy zeznanie naocznego świadka, według którego jest on o głowę wyższy ode mnie i chudy jak szczapa, ale świadkiem była rozhisteryzowana kobieta, przez co relacja ta nie jest w pełni wiarygodna. Z drugiej strony, policja nie może się oprzeć na innych zeznaniach, więc szuka człowieka pasującego do tego opisu.

Tyle wiadomo z empirycznego punktu widzenia. Reszta to wynik logicznych przemyśleń, czy też dedukcji, zapożyczając termin od detektywa Sherlocka Holmesa, bohatera książkowego, który w ostatnich latach zyskał tu ogromną popularność.

Cóż zatem mogę wydedukować?

Po pierwsze, morderca posiada przynajmniej podstawową znajomość anatomii. Charakter obrażeń sugeruje, iż czerpie przyjemność z usuwania narządów wewnętrznych oraz że jest w stanie odróżnić nerkę od pozostałych narządów niemal w całkowitych ciemnościach, tak jak zrobił to w nocy trzydziestego września.

Po drugie, próbuje nam wmówić, że jest analfabeta. Ten jego list to mistrzowskie posunięcie, mające nas zmylić, gdyż jeśli jest lekarzem lub jeśli nawet studiował medycynę tylko przez rok, jak jego ortografia, styl i charakter pisma mogłyby wyglądać jak u kogoś, kto ledwo czyta i pisze?

Po trzecie, musi doskonale znać Białą Kaplicę. Jedynym razem, gdy go widziano, wymknął się pościgowi, a fakt, że w poprzednich przypadkach nikt go nie widział, również świadczy o znajomości otoczenia.

Po czwarte, morderstwa musiały być zaplanowane z wyprzedzeniem – to teoria, którą nie podzieliłem się z policją, gdyż nie przyjęłyby do wiadomości tego pomysłu. Ale niech to, musiał wiedzieć, gdzie i kiedy zabije każdą ze swych ofiar! Gdyby nie wiedział, skąd wzięłby czyste ubrania, bo przecież bez ubrań na zmianę, jak przesiąknięty krwią człowiek mógłby przejść niezauważony ulicami Białej

*Kaplicy, wracając tam, gdzie wraca po dokonaniu swych ohydnych czynów? Musiał mieć czyste ubrania ukryte w promieniu kilku jardów od ofiar, a to wskazuje na premedytację.*

*Po piąte i to jest kwestia, na którą na razie nie mam żadnej odpowiedzi: choć kobiety zostały ostrzeżone, choć wiedziały, że w ciemnościach czai się Rozprawacz, morderca i tak był w stanie całkowicie bezkarnie zbliżyć się do swych ofiar. Znały go? Czy wygląda na tak zamożnego, że uznały, iż warto zaryzykować? Co sprawia, że z zasady ostrożne kobiety pozwalają temu łajdakowi podejść? Na żadnym z miejsc zbrodni nie było śladów walki. Żadna z ofiar nie próbowała mu uciec. Dlaczego?*

Roosevelt wyciągnął z kieszeni zegarek i otworzył go. Była za dwadzieścia czwarta rano, domyślił się, że usnął.

Spojrzał na list, przeczytał go, zmarszczył brwi i wrócił do pisania.

*Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?*

Nagle ktoś zaczął walić w drzwi.

– Wstawaj, Theodore! – krzyknął Hughes. – Znów uderzył. Tym razem jest jeszcze gorzej!

\* \* \*

Pokój nr 13 przy Dorset Street 26 wyglądał niczym scena rodem z piekła.

Marie Jeanette Kelly – czy raczej to, co z niej zostało – leżała na ociekającym krwią łóżku. Miała poderżnięte gardło, rozpruty brzuch i odcięte obie piersi. Wyrwana wątroba i trzewia leżały między jej stopami. Mięso z ud i piersi ułożono na stoliku obok. Prawa ręka kobiety była wetknięta w brzuch.

– Mój Boże! – krzyknął Hughes, zasłaniając usta i nos chusteczką.

– Od początku był szurnięty, ale to już przechodzi wszelkie granice – stwierdził jeden z policjantów. – Nie wyciął narządów, jak poprzednio. Tym razem wyrwał je gołymi rękami!

– Musi spływać krwią – powiedział Roosevelt. – Z pewnością ktoś go widział, jeśli nie tu, to na ulicy lub gdy próbował się ukryć do czasu, aż założy czyste rzeczy.



– Nikt niczego nie widział, sir – odparł policjant.

– Ktoś musiał! – krzyknął Roosevelt. – Musieli go zauważyć – stwierdził, po czym zmarszczył brwi i wymruczał: – Tylko dlaczego nikt nie zwrócił na niego uwagi?

Roosevelt zamilkł i zastygł w bezruchu, po czym jego usta bardzo powoli rozciągnęły się w uśmiechu. Policjant przyglądał mu się, jakby spodziewał się jakiegoś ataku szału.

Amerikanin odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

– Dokąd idziesz, Theodore? – spytał Hughes.

– Wracam do siebie – odpowiedział Roosevelt. – Nie ma tu już czego oglądać.

– Ja to będę widział w koszmarach przez następne trzydzieści lat – stwierdził Hughes ponuro.

\* \* \*

Roosevelt podszedł do biurka, otworzył szufladę, wyjął z niej broń, załadował ją, a następnie włożył do kieszeni płaszcz z kozłej skóry.

Następnie wziął pióro i dodał kilka wierszy do listu, który pisał do Edith.

*Przeklinam własną ślepotę! Mogłem zapobiec ostatnim potwornościom. Już ponad miesiąc temu wiedziałem wszystko, co trzeba, ale dopiero dziś poskładałem te informacje w całość.*

*Teraz idę dopilnować, by ten łajdak już nigdy nikogo nie zabił.*

\* \* \*

Roosevelt usiadł w ciemnościach z pistoletem na kolanach. Czekał.

W końcu gałka w drzwiach się przekręciła i do pokoju weszła niska, przysadzista postać.

– Cześć, Kuba – rzucił Roosevelt, celując w człowieka w drzwiach.

– Kuba? Kim jest Kuba?

– Wiesz równie dobrze, jak ja, o kim mówię – stwierdził Roosevelt spokojnie.

- Wracam od biednej Liz Willoughby! Potrzebowała pomocy.
- Nie - stwierdził Roosevelt, kręcąc głową. - Wracasz od zamordowanej Marie Jeanete Kelly.
- Durny jesteś!
- A ty jesteś Kubą Rozpruwaczem.
- Zupełnie postradałeś cholerne zmysły! - krzyknęła Irma, akuszerka, w końcu wychodząc z cienia.
- Rozpruwacz musiał mieszkać w Białej Kaplicy - stwierdził Roosevelt, nawet na chwilę nie opuszczając broni. - Musiał doskonale znać okolicę. A kto ją zna lepiej od kobiety, która mieszka tu, pracuje i każdego tygodnia odbywa kilkanaście wizyt domowych?
- Patrzył jak zareaguje, a potem mówił dalej.
- Rozpruwacz musiał znać się trochę na anatomii. Nie za bardzo, ale na tyle, by odróżnić od siebie poszczególne narządy. Twój list mnie zmylił na jakiś czas. Myślałem, że to właśnie było jego celem, ale byłem w błędzie: w twoim zawodzie nie jest konieczne formalne wykształcenie. - Przerwał na chwilę. - Nadążasz za mną póki co?
- W milczeniu obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.
- Dręczyły mnie jeszcze dwie rzeczy - mówił dalej Roosevelt. - Dlaczego te kobiety pozwalały Rozpruwaczowi podejść, skoro wiedziały, że zabija prostytutki w Białej Kaplicy? Wielokrotnie ostrzegano je przed nieznanymi mężczyznami. Ale później sobie uświadomiłem, że jesteś zaufanym, a nawet niezbędnym członkiem tutejszej społeczności. Wszyscy szukali Kuby Rozpruwacza, a nie Krwawej Mary.
- Druga z rzeczy, których nie rozumiałem - kontynuował - to, jak Rozpruwacz mógł chodzić w umazanym krwią ubraniu i nie zwracać niczyjej uwagi. Założyłem, że morderca wcześniej wybierał miejsce zbrodni i chował w pobliżu czystą odzież. - Roosevelt się skrzywił. - Ale byłem w błędzie. Te morderstwa były tak szalone, że nie mogło być mowy o jakiegokolwiek premedytacji. A kiedy dziś w mieszkaniu Marie Kelly zobaczyłem wyrwane gołymi rękami wnętrzności i uświadomiłem sobie, że morderca musi ociekać krwią, dotarło do mnie, że nigdy nie widziałem cię w ubraniu, które by nie było zakrwawione. W końcu przez cały dzień przyjmujesz porody i dokonujesz aborcji; nikogo nie dziwi krew na stroju akuszerki.

– Więc może faktycznie wszystkie te kobiety zabiła akuszerka! – krzyknęła Irma. – Wiesz, ile akuszerki pracuje w Białej Kaplicy? Czemuś się mnie uczeplił?

– To właśnie nękało mnie przez sześć tygodni – odparł Roosevelt. – Wiedziałem już wszystko po tym, jak zabiłaś Catherine Eddowes, a mimo to nie byłem w stanie połączyć tych informacji dopóki nie zrozumiałem, że mordercą jest prawdopodobnie akuszerka. Popeliłaś poważny błąd, ale dopiero dziś do mnie dotarło jaki.

– O czym ty mówisz? – spytała Irma, a na jej puciołowatej twarzy ciekawość walczyła o lepsze z nienawiścią.

– Powiedziałaś, że usłyszałaś krzyk kobiety, a potem Rozpruwacz przewrócił cię, uciekając z miejsca zbrodni.

– Tak było! – stwierdziła Irma. – Wybiegł z ciemności i...

– Kłamiesz – oznajmił Roosevelt. – Powinienem być to od razu zauważyć.

– Na Boga, to prawda!

Amerykanin pokręcił głową.

– Niespełna minutę po tym, jak usłyszeliśmy krzyk Catherine Eddowes, znalazłem cię na ziemi. Rozpruwacz przewrócił cię tuż przed tym, jak tam dotarliśmy, tak?

– No tak.

Roosevelt uśmiechnął się triumfalnie.

– I to właśnie mi umknęło. Wypatroszenie biednej Catherine i ułożenie jej wnętrzości na ziemi musiało zająć Rozpruwaczowi co najmniej pięć minut. Zdecydowanie nie mogła krzyknąć cztery minuty później, bo już nie żyła. – Uśmiech zniknął z jego twarzy. – To ty krzyknęłaś. Jak lepiej uciec z miejsca zbrodni, niż udając się pod eskortą policji do szpitala? Wszelkie sprzeczności w twoich zeznaniach zostałyby złożone na karb hysterii. W końcu stanęłaś twarzą w twarz z Kubą Rozpruwaczem.

Spojrzała na niego złowrogo.

– Nim to zakończymy, może powiesz mi, dlaczego to robiłaś?

– Już ci to raz powiedziałam – stwierdziła akuszerka. – Przestrzegam przykazań, a one łamią je wszystkie. Wszystkie były grzesznicami i Bóg kazał mi uwolnić od nich świat.

– I kazał ci je patroszyć? – spytał Roosevelt. – Czy to już twoja własna

inwencja?

Nagle w dłoni kobiety pojawił się nóż rzeźnicki. Uniósł go nad głowę, krzyknęła coś niewyraźnie i rzuciła się w stronę Rooseyelta, ale ten nawet nie drgnął. Cały czas mierzył w nią z pistoletu i po prostu pociągnął za spust.

Upadła do tyłu, a na jej przesiąkniętej krwią sukience wykwitła świeża plama czerwieni.

Próbowała wstać, więc strzelił ponownie. Tym razem już się nie poruszyła.

\* \* \*

*Najdroższa Edith!*

*Proszę, zniszcz ten list zaraz po przeczytaniu.*

*Zasymulowałem objawy malarii, którą złapałem kilka lat temu podczas podróży do Everglades, dzięki czemu zwolniono mnie z moich nieoficjalnych obowiązków. Wsadzą mnie na najbliższy statek do Ameryki (bardzo możliwe, że na noszach, wyobrażasz to sobie!), a za kilka dni znów będę mógł wziąć Ciebie i dzieci w ramiona. Z radością przyjąłem do wiadomości fakt, że Harrison pokonał tego głupca Clevelanda bez mojej pomocy.*

*Moja rola tutaj dobiegła końca. Wolalbyśmy aresztować tego szaleńca, ale niestety nie miałem wyboru w tej kwestii. Kuba Rozprawacz to już przeszłość.*

*Jeśli to ujawnię, zdarzą się dwie rzeczy. Po pierwsze, prawdopodobnie zostaną aresztowani za morderstwo. Po drugie (co w zasadzie ważniejsze, gdyż żaden sąd mnie nie skaze po tym, jak przedstawię swoją historię), Biała Kaplica pozostanie cieniem kładącym się na obliczu Anglii. Tymczasem rozmowa, którą odbyłem kilka dni temu przekonała mnie, że dopóki władze brytyjskie sądzą, że szaleniec pozostaje na wolności, być może będą robić coś pozytywnego w kwestii poprawy niedopuszczalnych warunków panujących w Białej Kaplicy. A jeśli tak, to możliwe, że będę jedyną osobą (prócz Ciebie) świadomą śmierci Rozprawacza.*

*Przynajmniej mam nadzieję, że tak to się skończy. Chciałoby się myśleć, że jeśli czyjeś życie nie miało większego znaczenia, to chociaż jego śmierć coś zmieni – a jeśli Biała Kaplica może zostać albo oczyszczona, albo zrównana z ziemią, to być może, ale tylko być może, tych pięć nieszczęśliwych kobiet nie zginęło całkiem na marne.*

*Twój Theodore*

Theodore Roosevelt odwiedził Londyn ponownie po dwudziestu dwóch latach, w 1910 roku, w drodze powrotnej z rocznego safari, na które wybrał się po zakończeniu swej prezydentury.

W Białej Kaplicy nic się nie zmieniło.

# Kapitałna zabawa

*Bully!*, przeł. Anna Klimasara  
Nominacja Hugo, nominacja Nebula 1990

## I.

Był 8 stycznia 1910 roku.

O północy zatrzymaliśmy się na stacji w Kobie, gdzie ciepło powitał nas komisarz regionu. Poznaliśmy tam pół tuzina zawodowych łowców słoni, którzy zasadniczo zarabiają na chleb, narażając własne życie podczas nielegalnych polowań w Kongu celem pozyskania kości słoniowej. Twarde sztuki z tych kłusowników; to jeden z najbardziej ryzykownych zawodów, najeżony ogromną ilością niebezpieczeństw i stanowiący ogromne wyzwanie dla odwagi, wytrzymałości oraz odporności fizycznej tych, którzy go wykonują. Łowcy słoni na każdym kroku stawiają czoło śmierci na skutek gorączki, ataków wojowniczych plemion tubylców oraz konfrontacji z ogromną zwierzyną łowną. Nieustanne obciążenie, jakiemu podlega ich zdrowie i wytrzymałość jest doprawdy olbrzymie.

Theodore Roosevelt

## SZLAKI ZWIERZĄT AFRYKAŃSKICH

Gdy już zebraliśmy się u mnie w namiocie i podano szampana wszystkim prócz Roosevelta, który obstawał przy piciu napojów bezalkoholowych, choć nawet jego syn, Kermit, zgodził się z nami wypić, były prezydent wzniósł kieliszkiem toast „za kłusowników z Enklawy Lado, polujących na słonie’.”. Gdy spełniliśmy toast, jedna, czy dwie osoby ze śmiechem wytknęły mu jego bezpośredniość, więc z pełną powagą zmienił toast na „za szanownych poszukiwaczy przygód z Afryki Środkowej”, gdyż – jak dodał – takim mianem określano by nas w czasach królowej Elżbiety.

To prawdziwy mężczyzna gnany żądzą przygód. Zrozumienie byłego prezydenta oraz autentyczna zazdrość o życie, jakie wiedliśmy, stawały się wraz z upływem czasu coraz

wyraźniejsze; w końcu opuścił nas, aczkolwiek niechętnie. Mnie na przykład uściśnął dłoń aż trzykrotnie, gdy trzykrotnie udawał się w stronę drzwi; jednak za każdym razem, po krótkim wahaniu i wysłuchaniu początku opowieści o kolejnej przygodzie jednego z chłopaków, wracał na krzesło, by poznać nową stronice z naszego codziennego życia. Zachęcaliśmy go nawet, by rzucił karierę polityka i przyłączył się do nas jak przystało na wielkiego, białego człowieka, którym przecież jest. Obiecaliśmy, że jeśli na to przystanie, dostanie pod swoją komendę oddział, z którym będzie chodził na polowania i wytyczał nowe szlaki w Afryce Środkowej, a być może również tworzył historię. Sądzę, iż głęboko poruszyła go ta oferta, gdyż dużo później miał powiedzieć przyjacielowi, że żaden zaszczyt, jakiego kiedykolwiek dostąpił nie wywarł na nim takiego wrażenia i nie był dla niego tak kuszący, jak ten, który spotkał go ze strony kłusowników z Enklawy Lado.

John Boyes

### POSZUKIWACZE PRZYGÓD

Roosevelt podszedł do drzwi namiotu, zatrzymał się i odwrócił do Boyesa.

– Oddział, mówisz? – spytał w zamyśleniu, a z oddali dobiegł ryk lwa i obłąkańczy śmiech pary hien.

– Zgadza się, panie prezydencie – odparł Boyes, wstając. – Mogę panu obiecać co najmniej pięćdziesięciu ludzi takich, jak my. Może i nie stanowią pięknego widoku, ale nie boją się pracy, ani walki i wszyscy co do jednego będą panu lojalni.

– Ojcie, robi się późno – zawołał Kermit sprzed namiotu.

– Możesz już iść – rzucił Roosevelt, błędząc myślami zupełnie gdzie indziej. – Dołączę do ciebie za kilka minut – dodał i ponownie zwrócił się w stronę Boyesa. – Pięćdziesięciu ludzi?

– Zgadza się, panie prezydencie.

– Pięćdziesięciu ludzi, by ujarzmić całą Afrykę Środkową? – zadumał się Roosevelt.

Boyes skinął głową.

– Zgadza się. Tutaj jest nas siedmiu; resztę bylibyśmy w stanie zebrać w przeciągu dwóch tygodni.

– To niezwykle kusząca propozycja – przyznał Roosevelt, próbując powstrzymać pełen skruchy uśmiech. – Byłaby to okazja, by na powrót stać się zarówno chłopcem, jak i prezydentem.

– Kongo to cholernie dobry prywatny teren łowiecki, sir – stwierdził Boyes.

Amerikanin przez chwilę milczał, aż w końcu pokręcił ogromną głową.

– To niemożliwe – oznajmił. – Nie z pięćdziesięcioma ludźmi.

– Nie – powiedział Boyes. – Pewnie nie.

– Nie ma tam dróg, telefonów i linii telegraficznych. – Roosevelt zamilkł, wpatrując się w rozedrgane światło latarni rozjaśniające wnętrze namiotu. – A kolej żelazna dochodzi tylko do Ugandy.

– I nie ma dostępu do morza – dorzucił Boyes uprzejmie. W tle ponownie zaryczał lew, a w pobliskiej rzece zaczęło hałasować stado hipopotamów.

– Nie – stwierdził Roosevelt stanowczo. – To po prostu niemożliwe... ani z pięćdziesięcioma, ani z pięcioma tysiącami ludzi.

Boyes uśmiechnął się.

– Za żadne skarby świata.

– Tylko szaleniec mógłby rozważać coś takiego – powiedział Roosevelt.

– Niewątpliwie ma pan rację, panie prezydencie – zgodził się Boyes.

Roosevelt skinął głową dla podkreślenia swych słów.

– Absolutny, całkowity szaleniec.

– Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości – rzucił Boyes, nadal szczerząc zęby do krzepkiego Amerykanina. – To kiedy zaczynamy?

– Jutro rano – odparł Roosevelt, w końcu odwzajemniając uśmiech Boyesa. – Na Boga, to dopiero będzie kapitalna zabawa!

## II.

– Ojczy?

Siedzący na krześle przed swoim namiotem Roosevelt nie odejmował lornetki od oczu.



- Kermit, zasłaniasz mi kraszkę liliowopierśną i parkę koronników.

Kermit nawet nie drgnął. W końcu Roosevelt odłożył lornetkę na stół, po czym wyciągnął z kieszeni notes i zaczął w nim coś zawzięcie bazgrać.

- Niesamowite ptaki można tu spotkać - stwierdził, dodając kraszkę i koronniki do swojej listy. - Tylko dziś widziałem trzydzieści cztery różne gatunki, a jeszcze nie było śniadania. - Podniósł wzrok na syna. - Uwielbiam te chłodne, ugandyjskie noce i poranki. Przywodzą mi na myśl Yellowstone. Mam nadzieję, że dobrze spałeś?

- Tak.

- Cudowny klimat - zachwycił się Roosevelt. - Po prostu cudowny!

- Ojcze, chciałbym z tobą chwilę pomówić, jeśli nie masz nic przeciwko.

Roosevelt ostrożnie włożył notes z powrotem do kieszeni.

- Ależ proszę - odpowiedział. - O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

Kermit spuścił wzrok, przyniósł sobie płócienne krzesło, postawił je obok ojca i usiadł.

- Ta cała sprawa wydaje się nieprzemyślana, ojcze.

Roosevelt sprawiał wrażenie rozbawionego.

- A to twoja przemyślana opinia?

- Człowiek nie może w pojedynkę ucywilizować kraju wielkości połowy Stanów Zjednoczonych - mówił dalej Kermit. - Nawet ty.

- Kermit, gdy miałem dwanaście lat, najlepsi lekarze świata twierdzili, że już zawsze będę miał niedowagę i będę chorowity - oznajmił Roosevelt. - Ale w wieku dziewiętnastu lat zostałem na Harvardzie mistrzem wagi lekkiej w boksie.

- Wiem, ojcze.

- Nie przerywaj mi. Ludzie mówili mi, że nie potrafię poprawnie skleić jednego zdania, a napisałem dwadzieścia książek, z czego cztery stały się bestsellerami. Mówili, że polityka to nie miejsce dla młodych ludzi, a w wieku dwudziestu czterech lat zostałem przewodniczącym Zgromadzenia Ustawodawczego Stanu Nowy Jork. Mówili mi też, że prawo i porządek nic nie znaczą na Zachodzie, ale ja tam pojechałem i w pojedynkę pojmałem trzech uzbrojonych morderców w Badlands w Dakocie podczas Zimy Błękitnego Śniegu. - Roosevelt zawiesił głos. -

Nawet moi Surowi Jeźdźcy twierdzili, że nie zdobędziemy wzgórza San Juan; a ja je zdobyłem. – Utkwił wzrok w synu. – Więc nie mów mi, czego nie mogę, Kermit.

– Ale to w niczym nie przypomina rzeczy, które robiłeś – nie ustępował Kermit.

– Więc chyba tym bardziej powinienem się tym zająć? – spytał Roosevelt z pełnym zachwytu uśmiechem.

– Ale...

– Od byłych prezydentów oczekuje się, że będą siedzieli w bujanych fotelach i wychodzili z domu tylko na parady. Tymczasem ja mam pięćdziesiąt jeden lat i nie jestem jeszcze gotowy na emeryturę. A taka okazja może się już nie powtórzyć. – Roosevelt zapatrzył się na zachód, w stronę Konga. – Tylko pomyśl, Kermit! Ponad pół miliona mil kwadratowych zamieszkałych jedynie przez zwierzęta, dzikich i garstkę misjonarzy. Brytyjczycy, Francuzi, Portugalczycy, Belgowie i Włosi dostali już swoje szanse na tym kontynencie; Afryce należy się choć jeden kraj zbudowany przez kogoś, kto zapewni mu amerykańską wiedzę, amerykańską demokrację i amerykańskie wartości. Sami jesteśmy wiejską, pionierską rasą; kto lepiej ucywilizuje dzikie tereny? – Przerwał, wyobrażając sobie przyszłość, którą widział równie wyraźnie, jak teraźniejszość. – Pomyśl tylko o tych zasobach naturalnych! Utworzymy protektorat i nadamy mu status państwa uprzywilejowanego. Tutejszych drzew wystarczy do zbudowania trzydziestu milionów domów, a na miejsce wyciętych lasów założymy farmy i miasta. Będzie tu druga Ameryka, tylko tym razem bez niewolnictwa, eksterminacji tubylców i wybijania bizonów. Nie będę powielać Ameryki, tylko potraktuję ją jako wzorzec i będę się uczył na błędach przeszłości.

– Ale to nie jest druga Ameryka, ojciec – stwierdził Kermit. – To surowy, dziki kraj zamieszkały przez setki plemion, którym biały człowiek kojarzy się wyłącznie z niewolnictwem.

– Zatem z radością poznają białego człowieka, który chce zadośćuczynić przeszłym winom, nieprawdaż? – odparł Roosevelt z pełnym przekonania uśmiechem.

– A co z kwestiami prawnymi? – upierał się Kermit. – Kongo to kolonia belgijska.

– Oni mieli już swoją szansę i całkiem ją zmarnowali. – Roosevelt przerwał na chwilę. – Pozwól, że to ja się będę martwił Belgami.

Kermit wyglądał, jakby nadal chciał przekonywać ojca do swych racji, lecz nagle sobie uświadomił, że dalsza dyskusja nie ma sensu.

– No dobrze – powiedział z westchnieniem.

– Czy to wszystko?

– Nie – odparł Kermit. – Co wiesz o tym całym Boyesie?

– To prawdziwy zdobywca – stwierdził Roosevelt z podziwem. – Powinien był urodzić się Amerykaninem.

Kermit pokręcił głową.

– To łobuz.

– Taki wniosek wysnułeś po tym, jak podjął cię wystawnym posiłkiem w swoim namiocie?

– Nie, ojcze. Kiedy zażywałeś porannego spaceru i obserwowałeś ptaki, rozmawiałem o nim z jego towarzyszami. W ich mniemaniu go wychwalali, opowiadając historie, które powinny wyrzeć na mnie wrażenie, ale to, co usłyszałem, ukazało mi jego prawdziwe oblicze.

– Czyli? – spytał Roosevelt.

– Nieustannie ma jakieś kłopoty. A to z prawem, a to z brytyjską armią, czy Biurem do Spraw Kolonii. – Kermit przerwał. – Dwukrotnie próbowali go deportować z Afryki Wschodniej. Wiedziałeś o tym?

– Naturalnie, że o tym wiedziałem – odparł Roosevelt, po czym nagle się uśmiechnął i wskazał niewielką książkę leżącą na stole obok lornetki. – Pół nocy czytałem jego wspomnienia. To niezwykle człowiek!

– Zatem wiesz także, iż rząd brytyjski aresztował go za... – Kermit próbował znaleźć odpowiednie słowo.

– Bandytyzm?

– Właśnie – Kermit skinął głową.

– A wiesz co to znaczy? – spytał go ojciec.

– Nie – przyznał Kermit.

– W tym konkretnym przypadku oznacza to tyle, że podpisał traktat z ludem Kikuju, by ten wpuścił na swe ziemie białych osadników, a jakiś ważniak z rządu kolonialnego uznał, że pan Boyes uzurpuje sobie jego władzę. – Roosevelt zachichotał. – Rząd postanowił go aresztować i wysłał w tym celu na ziemię Kikuju oddział złożony z sześciu ludzi,

którzy znaleźli go w towarzystwie pięciu tysięcy uzbrojonych wojowników. Jako że żaden z przysłanych funkcjonariuszy nie kwapił się do walki, pan Boyes zobowiązał się samemu pomaszerować do Mombasy. – Roosevelt zrobił krótką przerwę i uśmiechnął się szeroko. – Gdy wkroczył do sądu wraz z pięcioma tysiącami Kikuju, sprawa została natychmiast oddalona. – Roześmiał się. – No, to jest opowieść, która równie dobrze mogłaby pochodzić z naszego Dzikiego Zachodu.

– Były i inne opowieści, ojczu – stwierdził Kermit. – Nie tak pikantne.

– I dobrze – stwierdził Roosevelt. – Będę miał z nim o czym rozmawiać w drodze do Konga.

– Jak zapewne wiesz, jest on tak zwanym Białym Królem Kikuju.

– A ja noszę honorowy tytuł wodza indiańskiego. Wiele nas łączy.

– Nic was nie łączy – zaprotestował Kermit. – Ty pomagalesz Indianom, a Boyes został królem na drodze oszustwa i zdrady.

– Wkroczył do dzikiego królestwa, do którego biali ludzie nie mieli wcześniej wstępu i w przeciągu dwóch lat stał się królem całego ludu Kikuju. Właśnie takiego człowieka mi teraz trzeba.

– Ależ ojczu...

– To surowy, dziki kraj, Kermit, a ja wyruszam na wyprawę nie dla płochliwych, czy słabych – stwierdził Roosevelt stanowczo. – Boyes doskonale się nadaje.

– I na pewno nie zmienisz zdania? Roosevelt pokręcił głową.

– Temat uznaję za zamknięty.

Kermit dość długo wpatrywał się w ojca, po czym westchnął, uznając swoją porażkę.

– Co powiedzieć mamie?

– Edith zrozumie – powiedział Roosevelt. – Zawsze rozumiała takie rzeczy. Przekaż jej, że posłę po nią, gdy tylko znajdę dla nas odpowiedni dom. – Nagle na jego twarzy ponownie zagościł uśmiech. – Może powinniśmy już teraz posłać po twoją siostrę, Alice? Jeśli istnieje jakaś lokalna opozycja, natychmiast ją zastraszy i zmusi do uległości, tak jak to zrobiła w przypadku mojego Gabinetu.

– Ja mówię poważnie, ojczu.

– Ja również, Kermit. Ameryka nigdy nie miała imperium i wcale go nie pragnie, ale zrobiłem z ojczyzny światowe mocarstwo, a skoro

nadarza się okazja, by zwiększyć nasze wpływy na kontynencie, na którym nas jeszcze nie ma, moim obowiązkiem jest się tym zająć.

– No i będziesz się nieźle bawił – rzucił Kermit z porozumiewawczym uśmiechem.

Roosevelt odwzajemnił uśmiech syna.

– Szykuje się kapitalna zabawa!

Kermit chwilę przyglądał się ojcu.

– Skoro nie mogę cię odwieść od tego pomysłu, chcę, byś pozwolił mi zostać.

Roosevelt pokręcił głową.

– Ktoś musi dopilnować, by wszystkie trofea, jakie zdobyliśmy, trafiły do muzeum zgodnie z planem. Poza tym, jeśli obaj tu zostaniemy, prasa uzna, że zginąłem w trakcie safari. Musisz wrócić i opowiedzieć wszystkim, czym się tu zajmuję. – Nagle zmarszczył brwi. – No i musisz się spotkać z moim redaktorem u Scribnera, by przekazać mu, że nieco się spóźnię z rękopisem z safari. Zacznę nad nim pracę, gdy tylko założymy gdzieś stały obóz. – Znów przerwał. – A właśnie. Nim dzisiaj wstałeś, przekazałem kilka listów panu Cunnighameowi, który będzie ci towarzyszył przez resztę podróży. Wyślij je, gdy tylko wrócisz do Stanów. Im szybciej sprowadzimy tu inżynierów i ciężki sprzęt, tym lepiej.

– Ciężki sprzęt?

– Naturalnie. Trzeba przygotować masę terenu i wybudować kolej. – Do namiotu mieszczącego kuchnię podszedł odważnie błyszczak rudobrzuchy w poszukiwaniu resztek. Roosevelt natychmiast wyciągnął swój notes i coś zapisał.

– Kongo znajduje się w środku kontynentu – zauważył Kermit. – Będzie niezwykle ciężko przetransportować ciężki sprzęt z wybrzeża.

– Bzdura – zachnął się Roosevelt. – Brytyjczycy rozmontowali swoje parowce, przetransportowali je w częściach, po czym złożyli z powrotem na Jeziorze Wiktorii i Niasie. Sugerujesz, że Amerykanie, którzy zbudowali Kanał Panamski i sieć kolei żelaznej obejmującą cały kontynent nie znajdą sposobu, by przewieźć spycharki i traktory do Konga? Dopilnuj tylko doręczenia listów. Reszta sama się zrobi.

W tej chwili podszedł do nich Boyes.

– Witam, panie Boyes – rzucił Roosevelt uprzejmie. – Jesteśmy gotowi do drogi?

– Możemy zwinąć obóz w każdej chwili, panie prezydencie – oznajmił Boyes. – Ale jeden z tubylców poinformował mnie, że nie dalej, jak pięć mil stąd, widział samca słonia z ciosami o wadze co najmniej stu trzydziestu funtów każdy.

– Naprawdę? – spytał Roosevelt, aż prostując się z podekscytowania. – Jest pewien? Nigdy nie widziałem w Kenii tak dużych ciosów.

– Akurat ten chłopak rzadko się myli – odparł Boyes. – Twierdzi, że z samcem są trzy lub cztery *askarysy*, młode samce, i że przemieszczają się na południowy wschód. Gdybyśmy ruszyli w tamtą stronę – wskazał rozciągającą się za rzeką suchą, gdzieś tam gdzieś poznaczoną akacjami sawannę – prawdopodobnie dogonilibyśmy słonia za niecałe trzy mile.

– Mamy na to czas? – spytał Roosevelt, bezskutecznie próbując ukryć przejęcie.

Boyes się uśmiechnął.

– Kongo czekało na cywilizację miliony lat, panie prezydencie. Nie sądzę, by jeden dzień mógł mu zaszkodzić.

Roosevelt odwrócił się do syna i uściskał mu dłoń.

– Bezpiecznej drogi, Kermit. Jeśli dopadnę tego słonia, pošlę jego ciosy za tobą.

– Żegnaj, ojczy.

Roosevelt uściskał młodzieńca, a następnie poszedł po strzelbę.

– Nie martw się, synu – rzucił Boyes, widząc zaniepokojenie chłopaka. – Zaopiekujemy się twoim ojcem. Kiedy spotkacie się ponownie, będzie Królem Konga.

– Prezydentem – poprawił go Kermit.

– Wszystko jedno – stwierdził Boyes, wruszając ramionami.

### III.

Dogonienie słonia zabrało Rooseveltowi sześć godzin, a podejście i zabicie go kolejną godzinę. Reszta dnia upłynęła na odcinaniu ciosów i –

wskutek nalegań byłego prezydenta – dostarczeniu niemal trzystu funtów mięsa tragarzom, którzy zostali z Kermitem.

Tego dnia było już za późno, by rozpocząć wędrówkę do Konga, więc ich niewielka grupa wyruszyła tuż po świcie następnego ranka. Sawanna wolno przerodziła się w las, aż w końcu, po sześciu dniach, dotarli do Gór Księżycowych.

– Jest pan w doskonałej formie, panie prezydencie – zauważył Boyes, gdy rozbili pierwszy obóz na naturalnej polanie nieopodal niewielkiego, czystego strumienia na wysokości około sześciu tysięcy stóp.

– Zdrowy umysł i zdrowe ciało idą ze sobą w parze, John – odparł Roosevelt. – Nie warto ignorować żadnego z tych elementów.

– Niemniej jednak – kontynuował Boyes – gdy przejdziemy przez góry, chyba poszukamy jakichś odpornych koni.

– Odpornych? – powtórzył Roosevelt.

– Koni, które przeżyły ukąszenie muchy tse-tse – wyjaśnił Boyes. – Jeśli wydobreją, stają się odporne na chorobę. Tutaj takie zwierzęta są na wagę złota.

– Gdzie je znajdziemy i ile będą nas kosztować?

– Och, belgijscy żołnierze na pewno mają takie konie – odpowiedział Boyes spokojnie. – A będą kosztować jakieś dwa, trzy naboje.

– Nie rozumiem.

Boyes się uśmiechnął.

– Zabijemy kilka słoni i wymienimy kość słoniową na konie.

– Zaradny z ciebie człowiek, Boyes – pochwalił go Roosevelt z uśmiechem.

– Tutaj albo jest się zaradnym, albo martwym – odparł Boyes.

– Domyślam się – rzucił Roosevelt. Z podziwem przyglądał się ogromnej ilości ptaków i małym zamieszkującym las wokół polanki. – Pięknie tu – stwierdził. – Przyjemne dni, rześkie noce, świeże powietrze, czysta woda w strumieniu i pełno zwierzyny dookoła. Człowiek mógłby tu spędzić całe życie.

– Niektórzy zapewne tak – powiedział Boyes. – Ale nie tacy, jak my.

– Nie – zgodził się Roosevelt z westchnieniem. – Nie tacy, jak my.

– Niemniej jednak – mówił dalej Boyes – nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy się tu zatrzymać na jakiś czas. Mamy się spotkać

z pozostałymi po drugiej stronie gór, ale pewnie nie dotrą tam wcześniej niż za siedem, dziesięć dni. Trochę minie, nim wieści o naszej wyprawie obiegną Lado.

– Świetnie! – zakrzyknął Roosevelt. – Będę miał czas nadrobić zaległości w pisaniu. A tak przy okazji, gdzie miałby stanąć mój namiot?

– Gdzie tylko sobie pan życzy.

– Jak najbliżej strumienia – powiedział Roosevelt. – Miło po przebudzeniu podziwiać taki widok.

– Nie widzę przeszkód – oznajmił Boyes. – Nie widziałem w pobliżu krokodyli, ani hipopotamów – dodał, po czym wydał krótkie polecenie tubylcom i wskazał miejsce wybrane przez Roosevelta.

– I proszę dopilnować, by przed namiotem stanęła amerykańska flaga – powiedział Roosevelt. – Aha, i niech ktoś zanieś tam moje książki.

– Wie pan co – rzucił Boyes – aż dwóch chłopców niesie tylko pana książki, panie prezydencie. Może moglibyśmy choć część z nich zostawić, gdy zwiniemy obóz i ruszymy w głąb łądu?

Roosevelt pokręcił głową.

– Wykluczone. Bez dostępu do literatury całkiem przestanę sobie radzić. Jeśli zabraknie nam ludzi, porzucimy moją strzelbę, a człowiek, który ją teraz niesie, weźmie jedno z pudeł z książkami.

Boyes skwitował jego słowa uśmiechem.

– To nie będzie konieczne, panie prezydencie. Tak tylko proponowałem.

– Dobrze – rzucił Roosevelt pogodnie. – A tak między nami, bez swojego Winchestera czułbym się niemal równie bezradny.

– Bardzo dobrze pan sobie z nim radzi.

– Jestem utalentowanym amatorem – odparł Roosevelt. – Gdzie mi do was, zawodowych myśliwych.

Boyes tylko się uśmiechnął.

– Żaden ze mnie zawodowiec.

– Gdy się poznaliśmy, polowałeś na kość słoniową.

– Chciałem poprawić stan swojego konta – odpowiedział Boyes. – Kość słoniowa to tylko środek prowadzący do celu. Prawdziwym myśliwym jest Karamojo Bell lub pański przyjaciel, Selous. Ja jestem tylko przedsiębiorcą.



– Proszę sobie darować tę skromność, John – stwierdził Roosevelt. – Udało ci się zebrać całkiem sporą górę kości słoniowej. Nie dałbyś rady, nie będąc doskonałym myśliwym.

– Chciałby pan wiedzieć, jak to się stało, że zająłem się kością słoniową? – spytał Boyes z uśmiechem.

– Naturalnie.

– Nie miałem zielonego pojęcia o tropieniu zwierzyny, więc zatrzymałem się na brytyjskim posterunku granicznym, powiedziałem, że panicznie boję się słoni i podsunąłem strażnikom kilka funtów za zaznaczenie mi na mapie Enklawy Lado głównych skupisk tych zwierząt, żebym mógł ich unikać.

Roosevelt roześmiał się serdecznie.

– Ale kiedy już znalazłeś stada, najwyraźniej wiedziałeś, co robić.

Boyes wzruszył ramionami.

– Poszedłem tam, gdzie nie było konkurencji.

– Myślałem, że w Enklawie aż się roi od łowców kości słoniowej.

– Nie tam, gdzie trawa sięga ramion – wyjaśnił Boyes. – Gdzie nie ma jak dobrze wycelować albo zareagować w razie ataku.

– Więc jak sobie radziłeś w takich warunkach?

– Stawałem na czyichś ramionach – Boyes zachichotał na to wspomnienie. – Z początku używałem kalibru.475, ale odrzut był tak potężny, że za każdym razem strącał mnie na ziemię, więc zacząłem używać karabinu Lee-Enfield.303.

– Jesteś wszechstronnie uzdolniony, John.

Nagle na polance wylądował odważniejszy od swoich towarzyszy bilbil arabski, by z bliska przyjrzeć się rozbijaniu namiotów.

– Uroczy ptak z tego bilbila – zauważył Roosevelt, wyciągając notes i zapisując czas i miejsce, gdzie go spotkał. – Ma też wyjątkowo piękny głos.

– Jest pan wielkim znawcą ptaków, panie prezydencie – stwierdził Boyes.

– Ornitologia była moją pierwszą miłością – wyjaśnił Roosevelt. – Swoją pierwszą rozprawę na ten temat opublikowałem w wieku czternastu lat. Bardzo długo sądziłem, że moja przyszłość będzie związana z ornitologią i wypychaniem zwierząt, ale w końcu odkryłem,

że ludzie są ciekawsi od zwierząt. – Nagle się uśmiechnął. – A przynajmniej bardziej potrzebują przywódcy.

– W takim razie znalazł się pan we właściwym miejscu – stwierdził Boyes. – Myślę, że Kongo potrzebuje przywódcy bardziej, niż inne miejsca.

– Po to tu właśnie jesteśmy – zgodził się Roosevelt. – W zasadzie uważam, że nadszedł czas, by zacząć się zastanawiać, jak podejść do tego problemu. Dotychczas mówiliśmy tylko ogólnikami, a musimy mieć sprecyzowany plan, który przedstawimy ludziom, z którymi się spotkamy. – Przerwał na chwilę. – Spójrzmy jeszcze raz na mapę.

Boyes wyjął z kieszeni mapę i ją rozłożył.

– Tak się nie da – stwierdził Roosevelt, próbując studiować mapę szarpaną wiatrem. – Znajdźmy jakiś stół.

Boyes nakazał dwóm tubylcom rozłożyć stół i krzesła. Chwilę później siedzieli ramię w ramię z Rooseveltem nad mapą unieruchomioną na stole czterema niewielkimi kamieniami.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Roosevelt.

– Mniej więcej tu, sir – odparł Boyes, wskazując miejsce na mapie. – Łańcuch górski oddziela Ugandę od Konga. Będziemy musieli skoncentrować nasze pierwsze działania w części wschodniej.

– Czemu? – spytał Roosevelt. – Jeśli dotrzemy tutaj – wskazał punkt bliżej środka – będziemy mieli dostęp do rzeki Kongo.

– To byłoby nierozsądne – odparł Boyes. – Większość plemion we wschodniej części kraju mówi w suahili, a to jedyny z miejscowych języków, który zna większość naszych ludzi. W głębi lądu trafimy na ponad dwieście dialektów, a jeśli ktoś tam mówi w jakimkolwiek cywilizowanym języku, to po francusku, nie angielsku.

– Rozumiem – stwierdził Roosevelt i zamilkł na chwilę, rozważając to, co usłyszał. Następnie ponownie przeniósł wzrok na mapę. – To gdzie kończy się Kolej Wschodnioafrykańska?

– Tam – odpowiedział Boyes i wskazał miejsce na mapie. – W Kampali, mniej więcej w połowie Ugandy.

– W takim razie będziemy musieli przedłużyć tę linię lub zbudować co najmniej trzysta mil drogi, by dotrzeć do bazy we wschodniej części Konga?

- To niezwykle ambitne przedsięwzięcie, panie prezydencie - stwierdził Boyes z powątpiewaniem.

- Ale trzeba je będzie wykonać. Inaczej nie da się przetransportować potrzebnego sprzętu. - Roosevelt odwrócił się w stronę Boyesa. - Wyglądasz, jakbyś miał wątpliwości, John.

- To może potrwać całe lata. Nieprzypadkowo Kolej Wschodnioafrykańska zwana była Linią Szaleńców.

Roosevelt uśmiechnął się, wyraźnie pewny swego.

- Zwali ją Linią Szaleńców, gdyż tylko szaleniec wydaje tysiąc funtów na budowę jednej mili torów. Ale jeśli Amerykanie potrafią coś budować, to właśnie kolej. Zrobimy to dziesięć razy taniej i pięćdziesiąt razy szybciej.

- Chcąc przedłużyć linię kolejową z Kampali, trzeba będzie poprowadzić ją przez Góry Księżycowe - zauważył Boyes.

- Już niemal pół wieku temu zbudowaliśmy linię biegnącą przez Góry Skaliste - oznajmił Roosevelt, zamykając tę kwestię. - A czy we wschodniej części są jakieś większe miasta? Gdzie leży Stanleyville?

- Stanleyville równie dobrze mogłoby leżeć na innej planecie, biorąc pod uwagę intensywność handlu, jaki prowadzi ze wschodnim Kongiem - odparł Boyes. - W zasadzie większość osad belgijskich znajduje się wzdłuż rzeki Kongo - wskazał palcem rzekę - która, jak sam pan widzi, nie dociera do wschodniej części kraju. Wschodu nie łączy z osadami ani kolej, ani rzeka, ani drogi. Z początku może to działać na naszą korzyść, gdyż miną miesiące, nim jakiegokolwiek wieści o naszych poczynaniach dotrą do ich uszu.

- Co w takim razie jest na wschodzie? Boyes wzruszył ramionami.

- Zwierzęta i dzicy.

- Zwierzęta zostawimy w spokoju, a dzikich będziemy cywilizować - stwierdził Roosevelt. - Które z tamtejszych plemion jest największe?

- Mangbetu.

- Wiadomo coś na ich temat?

- Tylko tyle, że są równie wojowniczy, jak Masajowie i Zulusi. Podbili większość pozostałych plemion. To rzekomo kanibale.

- Będziemy musieli położyć kres tym praktykom - stwierdził Roosevelt i uśmiechnął się do Boyesa. - Nie możemy dopuścić, by nam pozjadali

zarejestrowanych głoszących.

– W szczególności Republikanów? – podsunął Boyes z chichotem.

– W szczególności Republikanów – zgodził się Roosevelt i zamilkł na chwilę. – Handlowali już z białymi ludźmi?

– Belgowie raczej zostawiają ich samych sobie – odpowiedział Boyes. – Zabili kilku pierwszych urzędników, którzy do nich dotarli.

– Zatem rozsądnie będzie założyć, że pozostaną obojętni wobec naszych inicjatyw pokojowych?

– Sądzę, że można tak to ująć.

– Może zatem wykorzystajmy twoje doświadczenie, John – powiedział Roosevelt. – W końcu lud Kikuju również z początku zareagował agresją na białych ludzi.

– To było co innego – wyjaśnił Boyes. – Walczyli między sobą, więc po prostu zaferowałem swoje usługi i broń jednemu ze słabszych klanów i udowodniłem, że jestem niezastąpiony. Gdy rozniosła się wieść, że przyłączając się do nich, odwróciłem bieg wojny, zrozumieli, że jeśli ich opuszczę, dojdzie do masakry, więc błagali, bym został. Następnie po kolei przyłączaliśmy pozostałe klany Kikuju, aż w końcu zjednoczyliśmy cały lud. – Przerwał. – Mangbetu już są zjednoczeni, więc szczerze wątpię, by ucieszyli się z naszej ingerencji – stwierdził i spojrzał na Roosevelta w zadumie. – Jest jeszcze coś.

– Co?

– Nie przybyłem na terytorium Kikuju, by ich cywilizować. Kolej Wschodnioafrykańska potrzebowała zaopatrzenia dla dwudziestu pięciu tysięcy kulisów, więc szukałem taniego źródła żywności, którą mógłbym odsprzedać. Chciałem po prostu zarobić, a nie zmienić styl życia Kikuju. Mieszkańcy Afryki to osobliwy przypadek. Pozwalają zabijać swoje słonie, wydobywać złoto i diamenty ze swojej ziemi, a nawet kupować tu niewolników i mają to gdzieś. Jednak wystarczy się wtrącić w to, jak żyją i kłopoty gotowe.

– Amerykańska demokracja diametralnie się różni od europejskiego kolonializmu – stwierdził Roosevelt z przekonaniem.

– Miejmy nadzieję, że mieszkańcy Konga podzielą pańskie zdanie – odparł Boyes cierpko.

– Podzielał – zapewnił Roosevelt. – John, sam zaproponowałeś całe to

przedsięwzięcie. Jeśli takie jest twoje zdanie, czemu zaoferowałeś mi swoją pomoc?

– Trzykrotnie zbijałem i traciłem fortunę na tym kontynencie – wyznał Boyes bez ogródek. – Coś mi mówi, że kolejną da się zbić w Kongu. Poza tym – dodał z uśmiechem – zapowiada się kapitalna przygoda.

Roosevelt roześmiał się słysząc, jak Boyes używa jego ulubionego określenia.

– Cóż, przynajmniej jesteś szczery, czegoż więcej mógłbym oczekiwać? Wracajmy więc do pracy. – Przerwał, porządkując myśli. – Wygląda na to, że dopóki Mangbetu władają tym obszarem, najrozsądniej będzie pracować poprzez nich, używając ich jako nosicieli naszych idei, póki nie wyedukujemy wszystkich tubylców.

– Tak sędzę – stwierdził Boyes. – Ale nie możemy tam tak po prostu wkroczyć, oznajmić, że przybyliśmy krzewić cywilizację i oczekiwać przyjaznego przyjęcia.

– Dlaczego? – spytał Roosevelt, pewien swego. – Bezpośrednie podejście zazwyczaj najlepiej się sprawdza.

– Z założenia pana nie polubią i będą nieufni, panie prezydencie.

– Z założenia nie lubią i nie ufają Belgom, John – odparł Roosevelt. – Nigdy dotąd nie spotkali Amerykanina.

– Nie sędzę, żeby dostrzegali jakieś różnice między białymi – oznajmił Boyes.

– Traktujesz ich jak Demokratów – stwierdził Roosevelt z uśmiechem.

– Tymczasem ja wolę o nich myśleć, jak o niezdecydowanych wyborcach.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli zaczniesz pan o nich myśleć jak o kimś wrogo nastawionym i... głodnym.

– John, kiedy byłem prezydentem, zwykłem mawiać: Stąpaj łagodnie, ale miej pod ręką gruby kij.

– Słyszałem – zapewnił go Boyes.

– Zamierzam więc wejść między Mangbetu łagodnie, ale w razie czego będziemy mieli ze sobą pięćdziesiąt grubych kijów.

– Nie jestem pewien, czy pięćdziesiąt strzelb wystarczy – stwierdził Boyes, marszcząc brzozi.

– Przecież nie zamierzamy ich wybić... a jedynie zrobić na nich wrażenie.

– Jeszcze większe wrażenie byśmy na nich zrobili, gdybyśmy zaczekali na pańskich inżynierów i Surowych Jeźdźców.

– Czas to niezwykle cenna rzecz – odparł Roosevelt. – Dlatego też nigdy nie lubiłem go marnować. Bill Taft niemal na pewno będzie się ubiegać o reelekcję w 1912 roku. Chciałbym dać mu Kongo w prezencie jako amerykański protektorat jeszcze przed końcem drugiej kadencji.

– Zamierza pan ucywilizować cały kraj w przeciągu sześciu lat? – spytał rozbawiony Boyes z niedowierzaniem.

– A czemu by nie? – odparł Roosevelt poważnie. – Bogu do stworzenia całego świata wystarczyło sześć dni, prawda?

#### IV.

Spędzili w obozie dwa dni, w trakcie których Roosevelt z coraz większym zniecierpliwieniem oczekiwał rozpoczęcia swego wielkiego przedsięwzięcia. W końcu przekonał Boyesa do przejścia przez góry i tydzień później założyli bazę na wschodniej granicy Belgijskiego Konga.

Byłego prezydenta roznosiła energia. Gdy Boyes budził się o świcie, Roosevelt miał już napisane dziesięć, dwanaście stron i wykonywał codzienną serię energicznych ćwiczeń. Do dziewiątej rano zniecierpliwienie nie pozwalało mu pozostać w obozie, więc zabierał ze sobą tropiciela i tragarza, by upolować coś na obiad. W czasie największego upału, gdy Boyes i służący spali w cieniu, Roosevelt zasiadał na płóciennym krześle przed swym namiotem, czytając jedną z sześćdziesięciu książek, które mu wszędzie towarzyszyły. Przed późnym popołudniem wybierał się na długi spacer, wnikliwe obserwując ptaki, po czym jeszcze jakiś czas pisał, a następnie jadł kolację. Ponadto, zawsze, gdy siadał przy ognisku z Boyesem i kłusownikami, którzy ścigali stopniowo do bazy, przemawiał godzinami, zasypując ich swoimi wizjami Konga i opowiadając, jak najlepiej je zrealizować. Następnie, między dziewiątą a dziesiątą, wszyscy się kładli, a gdy już spali, w namiocie Roosevelta zawsze jeszcze przez godzinę paliło się światło, przy którym czytał.

Boyes doszedł do wniosku, że jeśli nie znajdzie Rooseveltowi jakiegoś poważnego zajęcia, były prezydent najpewniej spłonie od trawiącej go energii. Dlatego też, gdy na miejsce dotarło trzydziestu trzech członków ich niewielkiej wyprawy, zwinął obóz uznając, że pozostałych piętnastu, czy dwudziestu mężczyzn podąży po prostu ich śladem.

Przez dwa dni tropili dużego samca słonia i młode *askarysy*, zdobywając czternaście kłów, w tym sześć całkiem sporych, które następnie przetransportowali dwadzieścia mil na północ do placówki belgijskiej. Wymienili kły na siedem odpornych koni, zostawili trzech ludzi, by zdobyli kość słoniową potrzebną do opłacenia reszty koni, po czym skierowali się na południe do kraju Mangbetu.

Tworzyli niezwykłą grupę. Był pośród nich Głuchy Banks, który choć stracił słuch wskutek ciągłego wystawienia na huk wystrzałów z broni palnej, nie opuścił Afryki, ani nawet buszu, samemu zabijając ponad pięćset słoni. Był też Bill Buckley, potężny Anglik, który zrezygnował z kopalni złota w Rodezji na rzecz białego złota z północy. Był i Mickey Norton, który przez ostatnie dwadzieścia lat spędził w mieście nie więcej niż trzy dni. Charlie Ross, który wyjechał z Australii, gdzie się urodził, by zostać policjantem konnym w Kanadzie, po czym stwierdził, że to zbyt banalne zajęcie i wyemigrował do Afryki. I Billy Pickering, który odsiedział już dwa wyroki w belgijskich więzieniach za kłusownictwo i miał własne zdanie w kwestii tego, jak cywilizować Kongo. Byli też William i Richard Brittlebanksowie, bracia, którzy marzli podczas polowań nad Klondike, więc z nich zrezygnowali i przez niemal dziesięć lat nielegalnie polowali na słonie w Sudanie. Był pośród nich nawet jeden Amerykanin, Yank Rogers, jeden z Surowych Jeźdźców Roosevelta, który nie znosił Brytyjczyków i Belgów, ale przyłączył się do wyprawy, gdy tylko usłyszał, że jego ukochany Teddy szuka ochotników. I tylko legendarny Karamojo Bell, który właśnie zabił dziewięćset sześćdziesiątego drugiego słonia i nie mógł się doczekać tysięcznego, postanowił zostać w Lado.

Od początku było jasne, że Boyes jest zastępcą Roosevelta, a ci, którzy próbowali podważyć jego pozycję, bardzo szybko przekonali się, ile siły i determinacji drzemie w jego wychudłym, mierzącym pięć stóp i dwa cale ciele. Po kilku bójkach i niedoszłym pojedynku na pistolety,

przerwanym osobiście przez Roosevelta, hierarchia władzy nie była już kwestionowana.

Ruszyli na południowy zachód, oddalając się od granicy i zagłębiając w gęsty las w poszukiwaniu Mangbetu. Nim minął tydzień, dołączyło do nich jeszcze osiemnastu mężczyzn.

Ósmego dnia trafili do sporej wioski, w której kryte strzechą chaty z krowiego łajna stłoczone były wokół dużego placu.

Jej mieszkańcy jeszcze mówili w suahili i wyjaśnili, że terytorium Mangbetu położone jest dwa dni drogi na południe. Boyes kazał braciom Brittlebanksom ustrzelić kilka buszboków i dujkera, których mięso podarował wiosce. Obiecał też, że przywiezie jej mieszkańcom więcej mięsa w drodze powrotnej, tłumacząc Rooseveltowi, że to powszechna praktyka, gdyż nigdy nie wiadomo, kiedy podczas pospiesznego odwrotu przyda się przyjaźnie nastawiona osada.

Roosevelt nie mógł się doczekać spotkania z Mangbetu. Jego życzenie spełniło się dwa poranki później, tuż po wschodzie słońca, kiedy znaleźli wioskę Mangbetu położoną na rozległej polanie nad rzeką.

– Ciekawe, ilu białych widzieli wcześniej? – zastanawiał się na głos Roosevelt, gdy kilkuset wymalowanych członków ludu Mangbetu, w tym niektórzy chronieni przed chłodnym porannym powietrzem pledami i skórą panter, zgromadziło się w centrum wioski, potrząsając włóczniami i przyglądając się przybyszom.

– Zapewne zjedli już niejednego Belga – odparł Boyes. – W każdym bądź razie wiedzą, co to strzelba, więc lepiej je wyeksponujmy.

– Przecież widzą, że je mamy – stwierdził Roosevelt. – To wystarczy.

– Ależ sir...

– Przyszliśmy w pokojowych zamiarach, a nie żeby ich zdziesiątkować, John. Każ ludziom tu zostać, żeby tubylcy nie poczuli się zagrożeni – rozkazał Roosevelt.

– Ależ panie prezydencie – zaprotestował Mickey Norton – proszę mnie wysłuchać. Mam pewne doświadczenie w kontaktach z dzikusami. Jak my wszyscy. Trzeba im pokazać, kto tu rządzi.

– To nie dzikusy, panie Norton – powiedział Roosevelt.

– To w takim razie kto?

Roosevelt odpowiedział uśmiechem.



– Elektorat – oznajmił i zsiadł z konia. – To nasi wyborcy i sądzą, że wolałbym się z nimi spotkać na równej stopie.

– To proszę się rozebrać i znaleźć sobie włócznię.

– Dość tego, panie Norton – rzucił Roosevelt stanowczo.

Starzec z głową przyozdobioną lwią grzywą i strusimi piórami usiadł na taborecie przed największą z chat i natychmiast wyrósł przed nim szereg wojowników.

– Więc to ich wódz? – spytał Roosevelt.

– Prawdopodobnie – odparł Boyes. – Co jakiś czas wódz jest na tyle bystry, żeby posadzić na tronie kogoś innego, a samemu przebrać się za wojownika na wypadek, gdyby przybysze chcieli go zabić. Ale biorąc pod uwagę fakt, że to Mangbetu rządzą tym terytorium, chyba możemy założyć, iż to faktycznie wódz plemienia.

– Ładny pióropusz – zauważył Roosevelt z podziwem i podał swoją strzelbę Nortonowi. – John, zostaw broń i chodź ze mną. Pozostali niech tu zaczekają.

– Mamy okrążyć wioskę, sir? – podsunął Charlie Ross.

Roosevelt pokręcił głową.

– Jeśli widzieli wcześniej strzelby, to nie będzie konieczne, a jeśli nie widzieli, nic dobrego by z tego nie wynikło.

– Czy jest coś, co moglibyśmy zrobić, sir?

– Uśmiechajcie się – odpowiedział Roosevelt. – Chodź, John.

Ruszyli w stronę gromady wojowników. Podbiegł do nich wściekle ujadający pies. Roosevelt go zignorował, a gdy zwierzę pojęło, że nie budzi w nich grozy, położyło się na ziemi z wyrazem niemal ludzkiego rozczarowania na pysku i patrzyło, jak mężczyźni przechodzą obok.

Między wojownikami przebiegł szmer, z początku delikatny, następnie coraz głośniejszy, a ktoś nagle zaczął wybijać na bębnie prosty rytm.

– Z każdym krokiem Lado wygląda coraz lepiej – bąknął Boyes pod nosem.

– To tylko ludzie, John – zapewnił go Roosevelt.

– O bardzo nietypowych nawykach żywieniowych – mruknął Boyes.

– Jeśli się niepokoisz, zawsze mogę poprosić Yanka o tłumaczenie.

– Nie niepokoi mnie śmierć – odparł Boyes. – Tylko nie chcę zapisać się

w podręcznikach do historii jako człowiek, który zawiódł Teddyego Roosevelta prosto do kotła Mangbetu.

Roosevelt zachichotał.

– Jeśli do tego dojdzie, nie przeżyje nikt, kto mógłby o tym napisać. A teraz sugeruję więcej optymizmu. – Spojrzał na zgromadzonych przed nimi Mangbetu. – Jak sądzisz, co by się stało, gdybyśmy podeszli od razu do wodza?

– Po obu stronach stoją przy nim raczej groźnie wyglądające byczki – stwierdził Boyes. – Szkoda, że nie wzięliśmy strzelb.

– Nie będą nam potrzebne, John – zapewnił go Roosevelt. – Kiedy byłem prezydentem, zawsze otaczali mnie ochroniarze... ale nigdy nie przeszkadzali mi w pełnieniu obowiązków.

Byli już na tyle blisko, że czuli zapach różnego rodzaju olejków, którymi Mangbetu nacierali ciała i widzieli niektóre ze wzorów wytatuowanych na ich twarzach i torsach.

– Nie przestawaj się uśmiechać – polecił Roosevelt. – Jesteśmy nieuzbrojeni, a nasi ludzie trzymają się na dystans.

– Czemu musimy się uśmiechać? – spytał Boyes.

– Po pierwsze, żeby okazać, iż cieszy nas ich widok – powiedział Roosevelt. – A po drugie, żeby widzieli, iż nie mamy spiłowanych zębów.

Gdy Roosevelt podszedł bliżej, Mangbetu złowieszczo potrząsnęli włóczniami, ale stary wódz rzucił krótki rozkaz, po którym się rozstąpili, tworząc szpaler umożliwiający mężczyznom przejście. Niemniej jednak gdy zbliżyli się na osiem stóp do wodza, czterech postawnych ochroniarzy wystąpiło naprzód, zagradzając drogę.

– John, powiedz im, że jestem królem Ameryki oraz że przynoszę im pozdrowienia i powinszowania.

Boyes przetłumaczył słowa Roosevelta. Wódz wbił w niego beznamiętne spojrzenie, a czterech wojowników nawet nie drgnęło.

– Powiedz, że mój kraj nie żywi ciepłych uczuć wobec Belgów.

Boyes powiedział coś w suahili i nagle starzec zaczął zdradzać oznaki zainteresowania. Pokiwał głową i odpowiedział.

– Mówi, że jemu też nie są do niczego potrzebni.

Uśmiech Roosevelta stał się jeszcze szerszy.

– Powiedz, że zostaniemy wielkimi przyjaciółmi.

Boyes ponownie przemówił do wodza.

– Chce wiedzieć, dlaczego.

– Ponieważ zamierzam mu dać wszelkie dary cywilizacji i nie żądam w zamian niczego prócz przyjaźni.

Doszło do kolejnej wymiany zdań.

– Chce wiedzieć, gdzie są te dary cywilizacji.

– Powiedz, że są zbyt wielkie, by tak mała grupa ludzi mogła je przynieść, ale już są w drodze.

Wódz wysłuchał tych słów i w końcu posłał Rooseveltowi uśmiech, a następnie zwrócił się do Boyesa.

– Mówi, że wszyscy wrogowie Belgów są jego przyjaciółmi.

Roosevelt ruszył do przodu i wyciągnął dłoń. Wódz chwilę się jej przyglądał, a następnie niepewnie wyciągnął swoją. Roosevelt chwycił ją i potrząsnął energicznie. Dwóch z ochroniarzy starca spięło się i ponownie uniosło włócznie, ale wódz powiedział do nich coś, po czym natychmiast się wycofali.

– Myślę, że ich pan wystraszył – stwierdził Boyes.

– Jak to się mówi u nas w kraju, każdy dobry polityk lubi ścisnąć dłonie

– odparł Roosevelt. – Powiedz mu, że zamierzamy zaprowadzić w Kongu demokrację.

– W suahili nie ma słowa na demokrację.

– Jakie pojęcie będzie najbliższe?

– Nie mają nic takiego.

Nagle wódz zaczął mówić. Boyes słuchał przez chwilę, po czym zwrócił się do Roosevelta.

– Sugeruje, by nasi ludzie zostawili broń i towarzyszyli mu podczas uczty na cześć naszej przyjaźni.

– Co o tym sądzisz?

– Może i jest tak przyjaźnie nastawiony, jak nam się wydaje, ale nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, jeszcze nie teraz.

– Dobrze – odparł Roosevelt, przytrzymując okulary, gdy podmuch wiatru wznicił tuman kurzu. – Podziękuj mu i powiedz, że ci ludzie już jedli, ale my przyjmujemy jego łaskawe zaproszenie. Tymczasem nasi ludzie będą chronić wioskę na wypadek pojawienia się Belgów.

– Mówi, że w pobliżu nie ma Belgów.

– Powiedz, że też ich nie widzieliśmy, ale w tych niebezpiecznych czasach ostrożności nigdy za wiele, a skoro jesteśmy już przyjaciółmi, nasi ludzie są gotowi zginąć w obronie jego wioski przed belgijskimi agresorami.

Wódz zdawał się nieco udobruchany i skinął na zgodę.

– Pił pan kiedykolwiek *pombe!* – spytał Boyes, gdy wódz wstał i zaprosił ich do swej chaty.

– Nie – odparł Roosevelt. – Co to takiego?

– Miejscowe piwo.

– Wiesz, że nie zażywam takich substancji, John.

– Cóż, panie prezydencie, będzie pan musiał bardzo szybko zacząć, gdyż odmowa obrazi naszego gospodarza.

– Bzdura, John – stwierdził Roosevelt. – To demokracja. Każdy może pić, co chce.

– Od kiedy mamy tu demokrację? – spytał Boyes cierpko.

– Od kiedy zostaliśmy zaproszeni na kolację jako goście, a nie danie główne – odparł Roosevelt. – A teraz chodźmy opowiedzieć o wszystkich cudach, jakie zamierzamy sprowadzić do Konga.

– Czy nie przyszło panu do głowy, że o demokracji powinien pan opowiadać ludziom, a nie wodzowi, który odziedziczył swój tytuł? – podsunął Boyes tym samym cierpkim tonem.

– Nigdy nie widziałeś, jak potrafię oczarować opozycję, John – stwierdził uśmiechnięty Roosevelt z przekonaniem. Podszedł do wejścia do chaty, pochylił głowę i wszedł w ciemność. – Daj mi trzy godziny, a będzie naszym najzagorzalszym zwolennikiem.

Mylił się. Wystarczyło dziewięćdziesiąt minut.

## V.

Kolejne dwa tygodnie spędzili wędrując w głąb terytorium Mangbetu. Wieści o ich nadejściu zawsze ich wyprzedzały, przekazywane za pomocą ogromnych, osmiostopowych bębnow i zawsze przyjmowano ich z taką serdecznością, że po odwiedzeniu pierwszych czterech wiosek

Roosevelt pozwalał wszystkim swoim ludziom wchodzić od razu do osady.

Nim minął ósmy dzień pobytu w kraju Mangbetu, dogoniła ich reszta grupy, przyprowadzając wystarczającą ilość koni, by wszystkich pięćdziesięciu trzech mężczyzn mogło dalej jechać. Boyes wyznaczył zmiany do rozbijania obozów, gotowania i polowania na zwierzęta, a Roosevelt każdą wolną chwilę poświęcał na naukę suahili. Zabronił wszystkim mówić do siebie po angielsku i już po dwóch tygodniach był w stanie porozumieć się z Mangbetu, choć musiał minąć kolejny miesiąc, nim potrafił przedstawić swoją wizję demokratycznego Konga bez pomocy tłumacza.

– Cudowni ludzie! – wykrzyknął pewnego wieczoru, gdy wraz z Boyesem, Charliem Rossem i Billym Pickeringiem siedzieli przy jednym z ognisk, pozyskawszy poparcie kolejnych dwóch tysięcy Mangbetu. – Dobrzy, bystrzy, chętnie poznający nowe pomysły. Wiążę z naszą kruczatą ogromne nadzieje, John.

Boyes rzucił kamieniem w dwie hieny zwabione zapachem impali, którą jedli na kolację. Zwierzęta pognały w ciemność, skomląc i chichocząc.

– No nie wiem – odparł. – Wszystko póki co idzie gładko, ale...

– Ale co?

– Ci ludzie nie mają zielonego pojęcia, o czym pan mówi, panie prezydencie – stwierdził Boyes otwarcie.

– To samo chciałem powiedzieć – wtrącił się Charlie Ross.

– Wręcz przeciwnie – stwierdził Roosevelt. – Spędziłem całe popołudnie z Matapolim – tak się nazywa, prawda? – i z jego starszymi, objaśniając im, jak zamierzamy zaprowadzić w Kongu demokrację. Nie widzieliście, z jakim entuzjazmem przyjęli tę wiadomość?

– W suahili nadal nie ma słowa oznaczającego demokrację – odparł Boyes. – Pewnie myślą, że to coś do jedzenia.

– Nie doceniasz ich, John.

– Całe dorosłe życie spędziłem między czarnymi – oznajmił Boyes. – I jeśli już, to raczej mam tendencję do ich przeceniania.

Roosevelt pokręcił głową.

– To problem kulturowy, nie rasowy. W Ameryce mamy wielu

Murzynów, którzy zostali lekarzami, prawnikami, naukowcami, a nawet politykami. Biały człowiek nie jest w stanie zrobić niczego, czego nie mógłby zrobić Murzyn, jeśli tylko zapewni mu się odpowiednie wykształcenie i możliwości.

– Może tak jest w przypadku czarnych z Ameryki – stwierdził Billy Pickering. – Ale nie tutaj.

Rozbawiony Roosevelt zachichotał.

– A skąd według pana pochodzą amerykańscy Murzyni, panie Pickering?

– Na pewno nie z Konga – stwierdził Pickering stanowczo. – Może zachodnioafrykańscy czarni są inni.

– Wszyscy ludzie są z grubsza tacy sami, jeśli mają równe szanse – oznajmił Roosevelt.

– Nie zgadzam się – powiedział Boyes. – Zostałem królem Kikuju, a pan prawdopodobnie zostanie prezydentem Konga. W krajach białych ludzi nie ma czarnych zostających królami i prezydentami, prawda?

– Wystarczy dać im trochę czasu, John, a tak będzie.

– Nie uwierzę póki nie zobaczę.

– Ani ty, ani ja możemy już tego nie dożyć – stwierdził Roosevelt. – Ale pewnego dnia do tego dojdzie. Wierz mi.

Kilkaset jardów od nich zaryczał lew. Obaj mężczyźni go zignorowali.

– Cóż, jest pan niezwykle uczonym człowiekiem, więc jeśli pan twierdzi, że tak będzie, pewnie ma pan rację – stwierdził Boyes. – Ale mam nadzieję, że ma pan również rację mówiąc, iż nie dożyję tego pięknego dnia.

– Wiesz – zadumał się Roosevelt – może powinienem zachęcić naszych Murzynów do przyjazdu tutaj? Mogliby zostać pierwszym pokoleniem kongresmenów, że tak powiem.

– Kilka lat temu banda waszych wyzwolonych niewolników otworzyła przedsiębiorstwo w Liberii – zauważył Charlie Ross. – Zaczęli od obławy na rodzimych Liberyjczyków i sprzedaży ich jako niewolników – parsknął z pogardą. – Też mi demokracja.

– W tym przypadku będzie inaczej, panie Ross – odparł Roosevelt. – To będą wykształceni politycy amerykańscy, którzy tylko przy okazji są Murzynami.

– Po tygodniu ich głowy będą zdobić wszystkie wioski stąd do Sudanu – stwierdził Pickering z absolutną pewnością.

– Może i Belgowie gnębią teraz miejscowych – dodał Boyes – ale jak tylko się stąd wyniosą, natychmiast powrócą czasy wojen plemiennych. – Przerwał na chwilę. – W pańskiej demokracji pojawi się dokładnie tyle partii, ile jest tu plemion, i nikt w życiu nie zagłasuje na nikogo innego niż swoich plemiennych braci.

– Bzdura! – obruszył się Roosevelt. – Gdyby taka filozofia sprawdzała się w praktyce, nigdy nie zdobyłbym nawet jednego głosu poza stanem Nowy Jork, z którego pochodzę.

– Nie jesteśmy w Ameryce, panie prezydencie – odparł Boyes.

– Najwyraźniej bardziej wierzę w tych ludzi niż ty, John.

– Może dlatego, że ja ich lepiej znam.

Roosevelt nagle się uśmiechnął.

– Cóż, gdyby było za łatwo, nie mielibyśmy takiej zabawy, prawda?

Boyes uśmiechnął się cierpko.

– Sądzę, że czeka pana nieco więcej zabawy, niż się pan spodziewał.

– Bóg przysłał nas tu, byśmy stawili czoło wyzwaniu.

– Och – rzucił Charlie Ross. – Właśnie się zastanawiałem, czemu nas tu przysłał.

– To bluźnierstwo, panie Ross – stwierdził Roosevelt surowo. – Nie chcę więcej niczego takiego słyszeć.

Mężczyźni zamilkli, a po kilku chwilach, gdy ogień zaczął dogasać, Roosevelt udał się do swojego namiotu, by poczytać.

– Porywa się z motyką na słońce, John – stwierdził Billy Pickering, gdy były prezydent nie mógł ich już usłyszeć.

– Możliwe – odparł Boyes wymijająco.

– Nie ma co do tego żadnych wątpliwości – stwierdził Pickering. – Nie mieszkał nigdy wśród Afrykanów. A my tak. Znamy ich.

– Jest jeszcze jeden problem, John – dodał Ross.

– Tak? – spytał Boyes.

– Mam wrażenie, że myśli o nas jak o Surowych Jeźdźcach, do czego jeszcze daleka droga. A za kilka miesięcy nastanie długa pora deszczowa, przed którą muszę zdążyć dostarczyć kość słoniową do Mombasy. Tak jak i wielu pozostałych.

– Popelniasz ogromny błąd, Charlie – stwierdził Boyes. – On nam oferuje cały kraj, w którym jest nie tylko kość słoniowa, ale także złoto, srebro i miedź. Ktoś będzie musiał tym zarządzać. Jeśli teraz odejdiesz, możliwe, że nie pozwolimy ci wrócić.

– Powstrzymasz mnie? – spytał Ross, wyraźnie rozbawiony.

– Nie potrzebuję dezertarów – odparł Boyes poważnie.

– Nie przypominam sobie, żebym podpisywał jakieś papiery werbunkowe. Jak więc mogę być dezertarem?

– Możesz zostać dezertarem opuszczając prezydenta, gdy potrzebnych mu jak najwięcej ludzi.

– Słuchaj, John – rzucił Ross. – Gdybym tylko sądził, że ma jedną szansę na sto na powodzenie, bez wątpienia bym został. Ale wszyscy zgromadziliśmy trochę kości słoniowej, przeżyliśmy razem fantastyczne chwile i póki co nie musieliśmy walczyć z Belgami. Może czas pomyśleć o tym, żeby się wycofać, dopóki jeszcze panujemy nad sytuacją. Boyes pokręcił głową.

– To wielki człowiek, Charlie, zdolny do wielkich czynów.

– Nawet jeśli zrobi to, co zamierza, czy naprawdę chciałbyś zamieszkać w Kongu na zawsze?

– Zamieszkać tam, gdzie będzie można się najłatwiej dorobić – odparł Boyes. – A jeśli masz za grosz rozumu, zrobisz to samo.

– Będę się musiał nad tym zastanowić, John – stwierdził Ross, podnosząc się i kierując w stronę swojego namiotu.

– A ty, Billy? – spytał Boyes.

– Jestem tu tylko z jednego powodu – odpowiedział Pickering. – Żeby zabijać Belgów. Póki co się na nich nie natknęliśmy, więc chyba jeszcze trochę tu zostanie – oznajmił, po czym również wstał i odszedł.

Przez kilka kolejnych minut drobny mężczyzna z Yorkshire siedział przy dogasającym żarze, zastanawiając się, ile czasu zostało Rooseveltowi, nim wszystko się zawali.

## VI.

Po dwóch miesiącach tego, co Roosevelt określał mianem ich „kapitałnego przedsięwzięcia”, w końcu trafili na zorganizowany opór.



Nikogo nie zdziwił fakt, że jego źródłem nie było żadne z plemion, które wciągali w swój projekt, ale belgijski zarząd kolonialny.

Pomimo nadciągającej pory deszczowej, wszyscy ludzie Roosevelta pozostawali w Kongu, głównie za sprawą gróźb, próśb i obietnic zarobku, jakie składał Boyes, gdy były prezydent go nie słyszał.

Przebili się przez gęsty las i rozbili obóz nad meandrującą, pełną krokodyli rzeką. Tuzin mężczyzn polował na słonie, a Pickering z przewodnikiem z ludu Mangbetu udał się na zwiad jakieś trzydzieści mil na zachód w poszukiwaniu miejsca na kolejny postój. Trzech ludzi odwiedzało większe wioski Mangbetu, planując wizyty „króla Ameryki” i prosząc, by wieści o tym wydarzeniu zostały przekazane wodzom mniejszych wiosek, gdyż większość z nich była chętna przybyć i posłuchać, jak przybysz opowiada o cudach, które planuje sprowadzić do Konga.

Roosevelt siedział przed swoim namiotem na płóciennym krześle. Okulary wisiały mu na szyi, a na stole leżał plik papierów. Redagował właśnie teksty napisane rano, gdy podszedł do niego Yank Rogers, jak zawsze w obcisłych skórzanych ochraniaczach na spodnie i kowbojskim kapeluszu na głowie.

– Mamy towarzystwo, Teddy – oznajmił z wyraźnym teksańskim akcentem.

– Tak?

Rogers pokiwał głową.

– Belgowie... i wyglądają, jakby lada moment mieli wypowiedzieć wojnę.

– Pan Pickering będzie załamany, gdy się o tym dowie – zauważył Roosevelt cierpko, po czym chustką starł pot z twarzy. – Odeślij ich i powiedz, że będziemy rozmawiać wyłącznie z przywódcą.

– Przywódcą czego? – spytał zbity z tropu Rogers.

– Konga – odparł Roosevelt. – Prędzej czy później będziemy musieli go poznać. Po co mielibyśmy maszerować aż do Stanleyville?

– A co jeśli będą nalegać?

– Ilu ich jest? – spytał Roosevelt.

– Jeden w garniturze, sześciu w mundurach – odpowiedział Rogers.

– Weź ze sobą dwudziestu naszych i dopilnuj, by wszyscy zabrali

strzelby. Belgowie nie będą na nic nalegać.

– Się robi, Teddy.

– Jeszcze jedno, Yank.

Amerikanin się zatrzymał.

– Tak?

– Przekaż panu Boyesowi, żeby nie zabierał im portfeli na odchodne.

Rogers uśmiechnął się szeroko.

– Ten mały skurczybyk ma łeb do interesów. Wiesz, że bierze dziesięć procent od kości słoniowej zdobytej przez naszych ludzi?

– Nie, nie wiedziałem. Ktoś próbował mu się sprzeciwić?

– Od kiedy zbił Dużego Billa Buckleya na kwaśne jabłko, nie – roześmiał się Rogers. – Myślę, że kombinuje, jak tu pobierać procent od każdego kła wywiezionego z Konga od teraz do końca świata – przerwał na chwilę. – No, lepiej zbiorę chłopaków i pójdziemy pogadać z naszymi gośćmi.

– Dobrze – rzucił Roosevelt, a jego wzrok padł na owada wędrującego po papierach na stole. Strzepnął go na ziemię. – I przyślij do mnie Boyesa. Myślę, że lepiej będzie, jeśli z nim porozmawiam.

– Jeśli będziecie się bić, stawiam trzy do jednego na ciebie – stwierdził Rogers. – Reszta nie widziała, jak w pojedynkę zlikwidowałeś gniazdo ogniowe na wzgórzu San Juan, a ja widziałem. Postawić parę groszy w twoim imieniu, Teddy?

Roosevelt zachichotał na myśl o walce.

– Może funta, czy dwa, jak przyjdzie co do czego. Choć – dodał poważnie – naturalnie nie dojdzie.

Rogers odszedł, by zebrać ludzi, a kilka minut później przed namiotem Roosevelta pojawił się Boyes.

– Chciał się pan ze mną widzieć, panie prezydencie? – spytał.

– Owszem, John.

– Chodzi o Belgów? Yank Rogers powiedział, że kazał ich pan odesłać.

– Wrócą – stwierdził Roosevelt, ponownie przecierając twarz i zastanawiając się, czy w Ameryce kiedykolwiek było tak wilgotno. – Przynieś sobie krzesło, John.

Boyes tak właśnie zrobił i usiadł naprzeciwko Roosevelta.

– John, Yank powiedział mi, że robisz tu wcale niezły interes.

– Chodzi panu o kość słoniową? – spytał Boyes, nawet nie próbując się z tym kryć.

Roosevelt skinął.

– Nie przybyliśmy tu, żeby się wzbogacić, John. Jesteśmy tu, żeby wprowadzić w Kongu demokrację.

– Nigdzie nie jest napisane, że jedno wyklucza drugie – stwierdził Boyes.

– Zdecydowanie tego nie pochwalam, John. To spekulacja.

– Nawet pół szylinga nie zarobiłem na tubylcach, panie prezydencie – zaprotestował Boyes. – Gdzie tu niby spekulacja?

– Zarabiasz na własnych ludziach – odparł Roosevelt. – To równie naganne.

– Obawiałem się, że tak to pan potraktuje – stwierdził Boyes z westchnieniem. – Proszę posłuchać, panie prezydencie, wszyscy popieramy cywilizowanie Konga, ale jesteśmy dorosłymi ludźmi i musimy zarabiać na życie. Dla większości z naszych ludzi oznacza to polowanie na kość słoniową w chwilach, gdy akurat nie są zajęci, zaprzyjaźnianiem się z tubylcami. Proszę mi wierzyć, gdyby pan im tego zabronił, osiemdziesiąt procent z nich by odeszło.

– Wierzę ci, John – powiedział Roosevelt. – I nie zabraniam im polować na kość słoniową, gdy tylko czas im na to pozwala.

– Cóż, ja nie mam czasu wolnego między prowadzeniem obozu i pełnieniem funkcji pana zastępcy – mówił dalej Boyes – więc jeśli mam cokolwiek zarobić, muszę to zrobić inaczej, niż spędzając całe dnie w buszu na polowaniach. A dopóki nie uzna pan za stosowne płacić mi wynagrodzenia, to jest najrozsądniejszy sposób na zarobek. Nic to nie kosztuje ani pana, ani tubylców, a wszyscy nasi ludzie dokładnie wiedzieli, na co się piszą.

Roosevelt chwilę zastanawiał się nad słowami Boyesa, po czym skinął głową na zgodę.

– No dobrze, John. Daleko mi do wchodzenia w drogę przedsiębiorcy – oznajmił i chwilę milczał. – Ale chcę, żebyś mi coś obiecał.

– Co takiego?

– Zawczasu powiadomisz mnie o wszelkich innych planach wzbogacenia się.

– Ja zawsze mam jakieś plany, panie prezydencie – zapewnił go Boyes.  
– Może zatem mnie w nie wtajemniczysz?  
– Czemu nie? – odparł Boyes, wznosząc ramionami. – Nie mam nic do ukrycia – dodał i pochylił się na krześle. – Gdy tylko zacznie pan budować tu linię kolejową, potrzebnych będzie panu jakieś dziesięć tysięcy robotników. Nie wiem co prawda, czy zamierza pan zatrudnić ludzi z miejscowych plemion, kulisów z Brytyjskiego Wschodu, czy też sprowadzić całą siłę roboczą z Ameryki, ale wiem na pewno, że dziesięć tysięcy ludzi sporo zjada. Myślałem o założeniu niewielkiej firmy handlowej, współpracującej z kilkoma plemionami. No wie pan, dawalibyśmy im to, czego potrzebują w zamian za worki mąki i inne artykuły spożywcze. – Przerwał na chwilę. – Tak samo zresztą zrobiłem w przypadku ludu Kikuju, gdy budowano Linię Szaleńców. Przez niemal dwa lata karmiłem dwadzieścia pięć tysięcy kulisów.

– Wolałbym, żebyś nie oskubywał ludzi, z którymi próbujemy się zaprzyjaźnić – oznajmił Roosevelt. – Jesteśmy tu, by wyzwolić ten kraj, a nie go ograbić.

– Jeśli nie spodoba im się moja oferta, niczego im nie zabierzemy – stwierdził Boyes. – A jeśli im się spodobają moje towary, sprzedam wszystko pięćdziesiąt procent taniej niż konkurencja, co zaoszczędzi pana świeżo powstałemu ministerstwu finansów sporo pieniędzy.

Roosevelt dość długo wpatrywał się w swojego rozmówcę.

– No więc? – spytał Boyes w końcu.

– John, jeśli jesteś w stanie zaoszczędzić nam tyle pieniędzy, nie oszukując przy tym tubylców, bogać się do woli.

Boyes się uśmiechnął.

– Nie mam nic przeciwko, panie prezydencie.

– Jesteś niesamowitym człowiekiem, John.

Boyes pokręcił głową.

– Jestem tylko chudym, niedużym facetem, który musiał się nauczyć używać głowy, żeby przetrwać między tymi krzepkimi, białymi myśliwymi.

– Jak się dowiedziałem, jednemu z nich dałeś nauczki w walce na pięści – zauważył Roosevelt.

– Ma pan na myśli Buckleya? Nie miałem wyboru – odparł Boyes. –

Gdybym pozwolił, by uszło mu to na sucho, nie minąłby tydzień, a wszyscy chcieliby się wycofać z umowy – powiedział i nagle się uśmiechnął. – Dałem mu butelkę ginu, pomogłem mu się z nią uporać i do rana znów byliśmy przyjaciółmi.

– Minąłeś się z powołaniem, John – stwierdził Roosevelt. – Powinieneś być zostac politykiem.

– Za mało płacą – odparł Boyes bez ogródek. – Ale skoro już o polityce mowa, czemu przegoniliśmy Belgów? Prędzej czy później będziemy musieli stawić im czoło.

– To kwestia praktyczna – wyjaśnił Roosevelt. – Sądzę, że znieważyliście ich na tyle, by gubernator Konga był zmuszony przybyć tu osobiście i udowodnić, że takie zachowanie nie ujdzie nam na sucho... a im szybciej się z nim spotkamy, tym szybciej przedstawimy swoje żądania.

– A czego konkretnie zamierzamy żądać?

– Zamierzamy żądać, by całkowicie wycofali się z Konga i wydali oficjalne oświadczenie w prasie światowej, że nie mają już żadnych ambicji kolonialnych związanych z Afryką.

– Nie prosi pan o wiele, prawda? – spytał Boyes sardonicznie.

– Belgom kolonia nie jest do niczego potrzebna, a zarządzanie nią kosztuje kraj fortunę – Roosevelt przerwał. – Król Albert może sobie znaleźć inny rezerwat łowiecki. A my tu mamy do zbudowania naród.

Boyes roześmiał się z rozbawieniem.

– I sądzi pan, że przekażą ziemię pięćdziesięciu trzem ludziom?

– Z pewnością nie – odparł Roosevelt. – Przekażą ją tubylcom, którzy ją zamieszkują.

Boyes bacznie przyjrzał się Rooseveltowi.

– Pan mówi poważnie, prawda?

– Przecież właśnie po to tu jesteśmy, prawda?

– Tak, ale...

– Mamy zadanie do wykonania, John, a czas to jedyna niezastąpiona rzecz na świecie. Nie możemy sobie pozwolić na jego marnowanie.

– Czy jest pan pewien, że nie postępuje pan w tej sprawie nieco pochopnie, panie prezydencie? – spytał Boyes. – Sądziłem, że przez jakiś rok będziemy budować armię tubylców i...

- Nie wygramy wojny z Belgami, John.
- Więc jak zamierza pan wyrzucić na nich presję? – spytał Boyes ze zdziwieniem.
- Możemy zagrozić, że przegramy z nimi wojnę. Boyes zmarszczył brwi.
- Chyba nie do końca pana rozumiem, sir.
- Zrozumiesz, John – stwierdził Roosevelt z przekonaniem. – Zrozumiesz.

## VII.

Minęło dokładnie siedem tygodni, nim do uszu zastępcy gubernatora Konga dotarły wieści o odprawieniu przez Roosevelta przedstawicieli władz. Nim przebył drogę ze Stanleyville do obozu Amerykanina, nadeszły i skończyły się deszcze, a były prezydent zdobył poparcie nie tylko całego ludu Mangbetu, ale i siedmiu pomniejszych plemion.

Pogłoski o rychłym przybyciu Belgów dotarły do obozu cały tydzień przed nimi.

- Boże, uwielbiam te bębny! – podsumował ten fakt Roosevelt.

Yank Rogers i bracia Brittlebanksowie wyruszyli, by powitać przybyłych i eskortować ich do obozu.

Roosevelt nakazał Boyesowi wysłać pięciu innych mężczyzn na dwutygodniowe polowanie. Gdy drobny Anglik spytał, na co mają polować, Roosevelt odparł, że jest mu wszystko jedno, byle przez co najmniej czternaście dni byli całkowicie nieosiągalni. Boyes wzruszył ramionami, podrapał się po głowie i w końcu wybrał na chybił trafił pięciu ze swych towarzyszy, sugerując im dwutygodniowe polowanie na kość słoniową na dalekim południu. Jako że zdążyli już wybić niemal wszystkie słonie w okolicy, kłusownicy nie sprzeciwiali się pomysłowi dalszej wyprawy.

Gdy Belgowie w końcu dotarli do obozu, Roosevelt już na nich czekał. Wcześniej kazał przygotować swoim ludziom ogromny stół o długości mniej więcej trzydziestu stóp i szerokości pięciu, i gdy tylko goście zsiadli z koni, zaprosił ich na lunch. Zastępca gubernatora, wysoki,

szczupły, ambitny mężczyzna o nazwisku Gerard Silva, sprawiał wrażenie nieco zaskoczonego gościnnością Amerykanina, ale pozwolił się zaprowadzić wraz ze swoimi dwudziestoma uzbrojonymi żołnierzami do stołu, gdzie czekała na nich iście królewska uczta z guźca, buszboka i perliczek.

Ludzie Roosevelta, a przynajmniej tylu, ilu zmieściło się po jednej stronie stołu, siedzieli zwrócenii twarzami na zachód, a żołnierze belgijscy zajęli miejsca naprzeciwko. Amerykanin usiadł u szczytu stołu, a Silva na przeciwległym końcu, w odległości trzydziestu stóp. W związku z tym prywatne rozmowy między przywódcami nie wchodziły w grę. Roosevelt zachęcał swoich ludzi do opowieści o polowaniach i przygodach, choć nie więcej niż sześciu belgijskich żołnierzy mówiło po angielsku.

W końcu, po niemal dwóch godzinach posiłek dobiegł końca i ludzie Roosevelta, za wyjątkiem Boyesa, odeszli od stołu. Silva skinął w stronę młodego porucznika i Belgowie poszli za ich przykładem, zbijając się niepewnie w gromadę przy swoich koniach. Wtedy Silva wstał, przeszedł na drugi koniec stołu i usiadł obok Amerykanina.

– Mam nadzieję, że smakował panu posiłek, panie Silva – powiedział Roosevelt, upijając łyżeczek herbaty z filiżanki.

– Był doskonały, panie... – Silva zawiesił głos. – Jak chciałby pan, bym się do niego zwracał?

– Pułkowniku Roosevelt, panie Roosevelt lub panie prezydencie, jak pan woli – odpowiedział Roosevelt serdecznie.

– Posiłek był doskonały, panie Roosevelt – powiedział Silva starannym angielskim z silnym obcym akcentem. Następnie wyciągnął cygaro i zaproponował je Rooseveltowi, ale ten odmówił. – Mądra decyzja – rzucił. – Tytoń, który tu uprawiamy jest wyjątkowo podłej jakości.

– W takim razie zapewne już nie może się pan doczekać powrotu do Belgii – zasugerował Roosevelt.

– Tak jak pan powrotu do Ameryki – odparł Silva.

– Jeśli mam być szczery, mnie się tu podoba – powiedział Roosevelt. – Ale to pewnie dlatego, że nie palę.

– Paskudny nałóg – przyznał Silva. – Równie paskudny, jak bezprawne wkraczanie na czyjś teren,

– Czyżbym się tego dopuścił? – spytał Roosevelt niewinnie.

– Proszę się ze mną nie drażnić, panie Roosevelt – powiedział Silva. – To niezwykle niestosowne. Wprowadził pan oddział ludzi na terytorium belgijskie z przyczyn, które nie zostały nam wyjawione. Nie ma pan zezwolenia na polowanie, wizy, ani w ogóle żadnego dokumentu pozwalającego tu panu przebywać.

– Każe nam pan odejść?

– Po prostu próbuję ustalić, co was tu sprowadza – oznajmił Silva. – Jeśli przybyliście wyłącznie dla rozrywki, osobiście przekażę wam dokumenty, na mocy których będziecie mogli poruszać się po całym Kongu. Jeśli jednak przybyliście tu z jakiegoś innego powodu, żądam jego ujawnienia.

– Wolalbym to omówić z samym gubernatorem – odparł Roosevelt.

– Cierpi na malarię i możliwe, że nie będzie mógł opuścić Stanleyville przez kolejny miesiąc.

Roosevelt przez chwilę rozważał to, co usłyszał, po czym pokręcił głową.

– Nie, dość już czasu zmarnowaliśmy. Chyba będzie mu pan musiał przekazać wiadomość. Zresztą to chyba bez znaczenia. Gubernator i tak tylko prześle ją bezpośrednio królowi Albertowi.

– A jak brzmi w skrócie ta wiadomość, panie Roosevelt? – spytał Silva, nachylając się z zaciekawieniem.

– Ja oraz moi ludzie uważamy, że nie znajdujemy się na terytorium belgijskim.

Silva uśmiechnął się nieszczerze.

– Może mam wskazać wasze położenie na mapie? Znajdujecie się w prawie ustanowionych granicach Belgijskiego Konga.

– Wiemy, gdzie jesteśmy i w pełni zgadzamy się z faktem, że znajdujemy się w Kongu – odparł Roosevelt. – Jednakże nie uznajemy tu waszego zwierzchnictwa.

– Tu? W miejscu, gdzie siedzimy?

– Mam na myśli całe Kongo.

– Kongo to terytorium belgijskie, panie Roosevelt.

Roosevelt pokręcił głową.

– Kongo należy do jego mieszkańców. Najwyższy czas, by sami zaczęli



decydować o własnej przyszłości.

– To największy absurd, jaki kiedykolwiek słyszałem – oznajmił Silva. – Wszystkie mocarstwa uznały, że Kongo to nasza kolonia.

– Wszystkie poza jednym – stwierdził Roosevelt.

– Ameryka uznaje nasze prawa do Konga.

– Ameryka od dawna sprzeciwia się imperializmowi w każdej postaci – odparł Roosevelt. – Wyrzuciliśmy Brytyjczyków z własnego kraju i jesteście gotowi wyrzucić Belgów z Konga.

– Tak, jak za czasów pańskiej prezydentury wyrzuciliście Panamczyków z Panamy? – zapytał Silva sardonicznie.

– Ameryka nie ma wobec Panamy żadnych imperialnych roszczeń. Panamczycy mają własny rząd, który uznajemy – Roosevelt zawiesił głos.

– Niemniej jednak nie rozmawiamy o Panamie, tylko o Kongu.

Silva wbił wzrok w Roosevelta.

– W czym imieniu się pan wypowiada, panie Roosevelt? – spytał Silva.

– Nie jest pan już prezydentem, więc nie może pan mówić w imieniu Ameryki.

– Mówię w imieniu obywateli Konga.

Silva roześmiał się z pogardą.

– To tylko banda dzikusów, których ani trochę nie obchodzi, kto nimi rządzi.

– Chciałby pan poddać to pod głosowanie? – spytał Roosevelt z uśmiechem.

– O, to teraz głosują?

– Jeszcze nie – odparł Roosevelt. – Ale będą zaraz po wyzwoleniu.

– A kto ich wyzwoli?

– My – wtrącił Boyes siedzący w połowie długości stołu.

– Wy? – powtórzył Silva, odwracając się do Boyesa. – Słyszałem o panu, Johnie Boyes. Zadarł pan już ze wszystkimi rządami od Afryki Południowej po Abisynię.

– Kiepsko się dogaduję z rządami kolonialnymi – rzucił Boyes.

– Kiepsko się pan dogaduje również z miejscowymi – stwierdził Silva i zwrócił się w stronę Roosevelta. – Czy wiedział pan, że pana towarzysz namówił ciemnych tubylców, którzy ogłosili go swym królem, do sprzedania mu góry Kenia za niewyobrażalną cenę czterech kóz?

- Sześciu - poprawił go Boyes z uśmiechem. - Nie chciałem, by mówiono, że oferowałem niską cenę.

- To niedorzeczne! - krzyknął Silva ze złością. - Nie wierzę, że w ogóle tego słucham! Czy naprawdę zamierza pan podbić Belgijskie Kongo przy pomocy oddziału złożonego z pięćdziesięciu trzech ludzi?

- Zdecydowanie nie - odparł Roosevelt uprzejmie.

- Więc jak?

- Po pierwsze - powiedział Roosevelt - to jest Kongo, a nie Belgijskie Kongo. Po drugie, nie zamierzamy go podbijać, a wyzwolić. I po trzecie, pański wywiad się myli. Mój oddział liczy tylko czterdziestu ośmiu ludzi.

- Czterdziestu ośmiu, pięćdziesięciu trzech... co za różnica?

- Ogromna, panie Silva - stwierdził Roosevelt i zamilkł na chwilę. - Pozostałych pięciu jest w tej chwili w połowie drogi do Nairobi.

- I co zamierzają zrobić, gdy już tam dotrą? - spytał Silva podejrzliwie.

- Zamierzają przekazać amerykańskiej prasie, że Teddy Roosevelt, który, ośmielam się sądzić, jest najpopularniejszym i najbardziej wpływowym Amerykaninem ostatnich pięćdziesięciu lat, został zbrojnie zaatakowany przez belgijski rząd. Jego niewielki, choć dzielny oddział trzyma się mocno, ale bez wsparcia nie da rady się już długo bronić, a skoro były prezydent ma umrzeć próbując wyzwolić obywateli Konga spod jarzma belgijskiej tyranii, chce, by Ameryka wiedziała, że zginął z ręki króla Alberta, który, jak sądzę, ma w Europie już dość problemów i niepotrzebny mu kolejny.

- Jest pan szalony! - wykrzyknął Silva. - Czy naprawdę sądzi pan, że ktokolwiek przejmie się tym, co się tu dzieje?

- Prawdopodobnie to właśnie usłyszał Gordon Pasza od Mahdiego, gdy upadał Chartum - stwierdził Roosevelt swobodnie. - Proszę sprawdzić w podręcznikach do historii, co się stało, gdy Brytyjczycy dowiedzieli się o jego śmierci.

- To blef!

- Ma pan pełne prawo tak uważać - odparł Roosevelt ze spokojem. - Ale za dwa miesiące zjawi się tu pięćdziesiąt tysięcy Amerykanów, by walczyć przy mym boku w Kongu... a jeśli mnie pan zabije, może pan pomnożyć tę liczbę przez sto, z czego większość pewnie będzie chciała przenieść walki prosto do Belgii.

– To najbardziej absurdalna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem! – wykrzyknął Silva.

Roosevelt sięgnął do kieszeni swej kurtki myśliwskiej i wyjął z niej gruby, poważnie wyglądający dokument, który przygotował dzień wcześniej.

– Tutaj ma pan wszystko czarno na białym, panie Silva. Proponuję, by dostarczył pan to pismo swemu przełożonemu tak szybko, jak to możliwe, gdyż z pewnością będzie chciał je wysłać do Belgii, a wiem, ile to trwa. – Przerwał na chwilę. – Chcemy, żebyście wynieśli się z Konga w przeciągu sześciu miesięcy, więc, jak pan widzi, nie ma czasu do stracenia.

– Nigdzie się stąd nie ruszymy!

Roosevelt westchnął głęboko.

– Obawiam się, że próbuje pan walczyć z historyczną nieuchronnością – stwierdził. – Pan ma dwudziestu uzbrojonych mężczyzn. Ja czterdziestu siedmiu, nie licząc mnie. Atakowanie nas tu i teraz byłoby samobójstwem, a do czasu, gdy wróci pan ze Stanleyville, będę dysponował siłami ponad trzydziestu tysięcy wojowników z ludu Mangbetu oraz kilku innych plemion, gdyż ludzie ci nie chcą być dłużej ograbiani ze swej wolności.

– Moi ludzie to wyszkoleni żołnierze – stwierdził Silva. – Pańscy to rozwydrzona banda wyrzutków i kłusowników.

– Ale nieźli z nich strzelcy – zauważył Roosevelt, uśmiechając się z przekonaniem. Przez chwilę nic nie mówił, a uśmiech zniknął z jego twarzy. – Poza tym, jeśli uda się panu mnie zabić, zostanie pan człowiekiem, który rozpętał wojnę ze Stanami Zjednoczonymi. Na pewno jest pan na to gotowy?

Silva milczał jakiś czas, aż w końcu oznajmił:

– Pojadę teraz do Stanleyville. Ale wrócę tu. To mogę panu obiecać.

– Nas już tu nie będzie – odparł Roosevelt.

– A gdzie będziecie?

– Nie mam pojęcia... ale zdecydowanie chcę pozostać przy życiu póki wieści o tutejszych wydarzeniach nie dotrą do Ameryki. – Roosevelt przerwał i znów się uśmiechnął. – Kongo to duży kraj, panie Silva. Planuję zawrzeć tu jeszcze wiele przyjaźni w oczekiwaniu na decyzję

Belgii.

Silva zerwał się gwałtownie z miejsca.

– Tym dokumentem – powiedział, podnosząc otrzymane pismo – podpisał pan wyrok śmierci nie tylko na siebie, ale i na każdego, kto pana poprze.

Boyes roześmiał się na swoim krześle w połowie długości stołu.

– Wie pan, ile mam na koncie wyroków śmierci? Ale dodam i ten do kolekcji – przerwał rozbawiony. – Żaden z wcześniejszych nie był po francusku.

– Obaj jesteście szaleni! – warknął Silva, udając się w stronę swoich ludzi.

Roosevelt patrzył, jak zastępca gubernatora wsiada na konia i odjeżdża galopem wraz z dwudziestką swoich żołnierzy.

– Chyba powinniśmy byli poprosić, żeby został na obiedzie – zauważył łagodnie.

– Nie wierzy pan chyba, że to się uda, prawda? – spytał Boyes.

– Ależ naturalnie, że wierzę.

– Cokolwiek by powiedzieć, wszystko sprowadza się do tego, że mamy tylko pięćdziesięciu trzech ludzi – stwierdził Boyes. – Nigdy nie przekona pan tubylców, żeby walczyli z Belgami. Nie mają strzelb, a nawet jakby mieli, nie zdążymy przygotować ich do prowadzenia nowoczesnej wojny w sześć miesięcy.

– John, znasz Afrykę i znasz się na polowaniach – odpowiedział Roosevelt z powagą – a ja się znam na polityce i historii. Kongo tylko przynosi Belgom wstyd; Leopold zmarnował tu tyle pieniędzy, że jego własny rząd mu je odebrał dwa lata temu. Poza tym, Europa pędzi na złamanie karku w stronę wojny, jakiej świat jeszcze nie widział. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebują Belgowie, to wojna z Ameryką o kawałek ziemi, której tak naprawdę nigdy nie chcieli.

– Musieli chcieć, inaczej by ich tu nie było – upierał się Boyes.

Roosevelt pokręcił głową.

– Po prostu nie chcieli, by miał ją ktoś inny. Gdy Afryka była dzielona między wielkimi potęgami w 1885 roku, Belgia straciłaby twarz, gdyby nie należała na prawo do kolonizacji Konga, jednakże to kosztowna inwestycja, która przez ponad dwie dekady obciążała kraj finansowo i

przysparzała mu wstydu na arenie politycznej. – Przerwał. – A to, co powiedziałem o generale Gordonie to prawda. Odmówił opuszczenia Chartumu, a jego śmierć ostatecznie zmusiła brytyjski rząd do przejęcia Sudanu, gdy ludzie zaczęli się domagać zemsty. – Nagle Roosevelt się uśmiechnął. – Na mnie głosowało znacznie więcej osób, niż kiedykolwiek słyszało o Gordonie. Uwierz mi, John, belgijski rząd trochę powrzeszczy i pogrozi nam przez miesiąc lub dwa, a potem zacznie negocjować.

– Brzmi sensownie – stwierdził Boyes. – Ale nadal nie mogę uwierzyć, że oddział pięćdziesięciu trzech ludzi może przejąć cały kraj. To wręcz niemożliwe.

– Zapamiętaj to raz na zawsze, John. Nie jesteśmy oddziałem pięćdziesięciu trzech ludzi – oznajmił Roosevelt. – Jesteśmy potencjalną armią miliona rozwścieczonych Amerykanów.

– Tak pan ciągle powtarza. Ale...

– John, ufam ci bezgranicznie, gdy tropimy słonia, czy lwa. Spróbuj zaufać mi tak samo, gdy zajmujemy się tym, na czym ja znam się najlepiej.

– Chciałbym – powiedział Boyes. – Ale to po prostu nie może być takie proste.

3 grudnia 1910 roku, pięć miesięcy i dwadzieścia siedem dni później, po otrzymaniu listy żądań Roosevelta, belgijski rząd oficjalnie zrzekł się wszelkich roszczeń wobec Konga i zaczął wycofywać swoich ludzi z kraju.

## VIII.

– Szlag by trafił tego Tafta!

Roosevelt zgniótł w potężnej dłoni telegram dostarczony przez posłańca ze Stanleyville i cisnął nim o ziemię. Dźwięk jego rozniewanego, wysokiego głosu w połączeniu z gwałtownym gestem spłoszył ptaki szukające owadów na rozległym trawniku. Kracząc i wrzeszcząc zerwały się do lotu, by zniknąć w koronach pobliskich drzew.

– Złe wieści, panie prezydencie? – spytał Boyes.

Mieszkali w domu M. Beauregarda de Vincennesa, francuskiego plantatora, mniej więcej piętnaście mil na zachód od Stanleyville, nad rzeką Kongo. Wokół domu obozowały trzy tuziny ludzi Roosevelta, a pozostali na zmianę polowali na kość słoniową i przygotowywali ludy Lulua i Baluba, dwa największe plemiona w okolicy, na odwiedziny Roosevelta.

– Nie ma w tym człowieku za grosz wdzięczności, ani trochę! – warknął Roosevelt. – Dałem mu fotel prezydenta niczym dar, a teraz zaproponowałem na dodatek tereny w Afryce, tymczasem on ma czelność powiedzieć mi, że nie może sobie pozwolić na wysłanie ludzi i pieniędzy, o które prosiłem!

– A czy w ogóle coś przyśle? – spytał Boyes.

– Prosiłem o dziesięć tysięcy ludzi, a on przysłał sześciuset! – wykrzyczał Roosevelt z furią. – Powiedziałem, że potrzebuję co najmniej dwudziestu milionów dolarów na budowę dróg i przedłużenie linii kolejowej z Ugandy, a on mi oferuje trzy. Trzy miliony dolarów za kraj wielkości jednej trzeciej Stanów Zjednoczonych! Żeby go szlag! J.P. Morgan może i jest draniem i złoczyńcą, ale na pewno nie przepuściłby takiej okazji, co do tego nie ma żadnych wątpliwości! – Przerwał i nagle zaczął energicznie kiwać głową. – Na Boga, tak właśnie zrobię. Jeszcze dziś po południu wyślę telegram Morganowi.

– Sądziłem, że to pana śmiertelny wróg – zauważył Boyes. – A przynajmniej takie można odnieść wrażenie słuchając, jak się pan o nim wypowiada.

– Bzdura! – odparł Roosevelt. – Pochodzimy z przeciwnych obozów politycznych, ale to kompetentny człowiek, czego nie można powiedzieć o tym idiocie z Białego Domu. – Roosevelt się uśmiechnął. – I na dodatek kocha kolej. Tak, po południu wyślę mu telegram.

– Czyli odrzucamy ofertę prezydenta Tafta?

– Zdecydowanie nie. Potrzebujemy tylu ludzi i tyle pieniędzy, ile uda nam się zgromadzić. Zawiadomię go, że się zgadzamy, a następnie wyślę telegramy do kilku przychylnie nastawionych wydawców gazet, żeby wiedzieli, jak zbywa nas Waszyngton. Stąd nie mogę wyrzucić na Tafcie żadnej presji, ale może prasa to zrobi. – Roosevelt ze smutkiem pokręcił głową. – Mam za swoje. To ja umieściłem tego głupca w Białym Domu. I

powiem ci, John, gdybym nie miał tu w tej chwili zadania do wykonania, wróciłbym do Stanów i zabrał mu nominację w 1912 roku. Ten człowiek nie zasługuje na to, by ponownie kandydować.

Przez kolejny kwadrans Roosevelt ciskał gromy na „grubego głupca” z Białego Domu, po czym poszedł do swojego pokoju przygotować treść telegramów. Gdy po godzinie wyszedł stamtąd na lunch, znów był sympatycznym, energicznym i optymistycznie nastawionym człowiekiem, jak zawsze. Boyes, Bill Buckley, Mickey Norton, Yank Rogers i Głuchy Banks siedzieli przy stole pod wiekowym drzewem i wszyscy poza Banksem, który nie słyszał kroków byłego prezydenta, wstali, by go powitać.

– Siadajcie, panowie – rzucił Roosevelt, przysuwając sobie krzesło. – Co mamy dziś w menu?

– Sałatkę i perliczkę na zimno w jakimś sosie – poinformował go Norton. – A przynajmniej tak mówiła mi pani Vincennes.

– Uwielbiam perliczki – ucieszył się Roosevelt. – Po prostu kapitalnie! – wykrzyknął i zamilkł na chwilę. – Dobrzy ludzie z państwa Vincennes. Jestem zachwycony ich gościna. Znacznie przyjemniej mieszkać tutaj, niż gnieździć się w tym dusznym, maleńkim budynku rządowym w Stanleyville.

– Słyszałem, że nadeszły niewesołe wieści od twojego kumpla, Billa Tafta – zauważył Rogers.

– Wszystkim już się zająłem – odparł Roosevelt, pewnie poklepując się po kieszeni, w której trzymał telegramy. – Ludzie, których wysyła i tak dotrą tu w trakcie pory deszczowej... a do czasu, gdy deszcze ustąpią, będziemy mieli ludzi aż nadto. – Przyjrzał się mężczyznom siedzącym przy stole. – Czas, byśmy zastanowili się nad bardziej nagłymi problemami, panowie.

– Jakie problemy ma pan na myśli? – spytał Buckley, a do stołu podeszło sześciu służących z tacami pełnymi sałatek i napojów.

– Przejęliśmy ten kraj dwa miesiące temu – odparł Roosevelt. – Czas, byśmy zaczęli coś z nim robić... poza dziesiątkowaniem populacji słoni – dodał szorstko.

– No... moglibyśmy nieco zdziesiątkować Belgów, którzy tu jeszcze zostali – rzucił Buckley rozbawiony. – Billyemu Pickeringowi na pewno

by się to spodobało.

– Mówię poważnie, panie Buckley – oznajmił Roosevelt, po czym wziął niewielki okruch chleba ze swojego talerza i rzucił go siedzącemu niedaleko szpakowi, który natychmiast go chwycił i czmychnął ze zdobyczą. – Jaki sens w zmuszaniu Belgów do wyjazdu, jeśli nie poprawimy losu wszystkich mieszkańców? Wszędzie, gdzie byliśmy, obiecywaliśmy sprowadzić do Konga demokrację. Myślę, że nadszedł czas, byśmy zaczęli spełniać te obietnice. Ci ludzie na to zasługują.

– Ej, ty! – rzucił Norton do jednego ze służących. – Kawa jest zimna. Idź ją podgrzej.

Służący skinął, ukłonił się, postawił dzbanek z kawą na tacy i odszedł w kierunku kuchni.

– Nie wiem, jak zamierza ich pan ucywilizować, skoro nie potrafisz nawet z dnia na dzień zapamiętać, że kawę podaje się gorącą, a nie ciepłą – stwierdził Norton. – Nie mówiąc już o tym, jak się objijają... całkiem możliwe, że dostają gorącą kawę, ale nim ją doniosą, zdąży ostygnąć.

– Miejscowi nie piją kawy, więc trudno oczekiwać, by miało to dla nich znaczenie – odparł Roosevelt.

– Tak samo jak nie głosują i nie prowadzą rozpraw przed sądem przysięgłych – wtrącił Buckley.

– Cóż, jeśli mamy zapoznać ich z dobrodziejstwami cywilizacji, sądzę, że wybory i rozprawy przed sądem przysięgłych są o wiele ważniejsze niż picie kawy, panie Buckley.

– Nawet nie potrafisz czytać – dodał Buckley. – Jak zamierza ich pan nauczyć głosować?

– Planuję wprowadzić system szkół publicznych w całym kraju – odpowiedział Roosevelt. – Belgijscy misjonarze zaczęli już działać na tym polu, ale było ich za mało i nie mieli odpowiednich funduszy. W kieszeni mam telegram, który wydrukuję ponad tysiąc amerykańskich gazet. To otwarta odezwa do nauczycieli i misjonarzy, by przyjeżdżali do Konga i pomagali uczyć tutejszą ludność.

– To może potrwać całe lata, sir – zauważył Boyes.

– Co najwyżej dziesięć – odpowiedział Roosevelt z przekonaniem.

– Jak ich opłacisz, Teddy? – spytał Rogers. – Do diabła, nie stać cię



nawet, żeby *nam* zapłacić.

– Misjonarzy naturalnie opłacą ich kościoły – wyjaśnił Roosevelt. – A jeśli chodzi o nauczycieli, to sądzę, że z początku będziemy musieli ich opłacać ziemią.

– To się może nie spodobać ludziom, których ziemię będziemy rozdawać – stwierdził Rogers.

– Yank, jeśli Kongo ma czegoś pod dostatkiem, poza owadami i wilgocią, to właśnie ziemi.

– Mówisz, że kształcenie ich potrwa dziesięć lat – kontynuował Rogers.  
– Jak będziesz przeprowadzał w tym czasie wybory?

– Ustnie – odparł Roosevelt. – Wszyscy mężczyźni i kobiety będą przychodzić do lokali wyborczych i mówić, na kogo głosują. Właściwie dzięki temu będzie dochodzić do mniejszej liczby oszustw.

– Czy dobrze usłyszałem, że kobiety też będą głosować, Teddy? – spytał Yank Rogers.

– Są obywatelami Konga, prawda?

– Ale nawet w domu kobiety nie mają prawa głosu!

– To się zmieni – stwierdził Roosevelt z przekonaniem. – Twórcy naszej konstytucji popełnili błąd, nie przyznając kobietom prawa głosu, ale nie ma powodu, byśmy powtarzali ten błąd tutaj. To też ludzie, tacy sami, jak my, więc zasługują na takie same prawa i przywileje. – Nagle się uśmiechnął. – Żał mi człowieka, który będzie musiał powiedzieć mojej Alice, że nie może głosować. Niewiele z niego zostanie!

– Wiecie co, można by zebrać pieniądze wprowadzając podymne – zasugerował Buckley. – Tak zrobili Brytyjczycy we wszystkich swoich afrykańskich koloniach.

– Podymne? – spytał Roosevelt.

Buckley przytaknął.

– To podatek w wysokości dziesięciu lub dwudziestu szylingów rocznie, jaki musi zapłacić każdy z tubylców budujących chatę. Nie tylko zapewnia to fundusze, ale i zmusza miejscowych do zajęcia się czymś innym, niż rolnictwo służące utrzymaniu się przy życiu, jako że potrzebne im pieniądze.

Roosevelt stanowczo pokręcił głową.

– Mamy ich wyzwalać, panie Buckley, a nie niewolić.

– Poza tym – dodał Boyes – na Brytyjskim Wschodzie nie za dobrze się to sprawdziło. Gdy nie płacili podymnego, rząd zamykał ich w więzieniu. – Zwrócił się do Roosevelta z uśmiechem. – A wie pan, jak lud Kikuju i Wakamba nazwał więzienie w Nairobi? Hotel Króla Jerzego. Było to jedyne znane im miejsce, w którym dostawali trzy porządne posiłki dziennie i darmowy dach nad głową. – Zachichotał na to wspomnienie. – Gdy tylko te wieści się rozniosły, sami ustawiali się w kolejce do aresztowania.

– Cóż, nikt nie będzie próbował w ten sposób wykorzystać mieszkańców Konga – stwierdził Roosevelt. – Nie wolno nam zapominać, że to ich kraj, a naszym obowiązkiem jest nauczyć ich demokracji.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić – stwierdził Rogers.

– Czemu tak sądzisz? – spytał Roosevelt.

– Demokracja jest dla nich całkiem obcym pojęciem – odparł Rogers. – Trochę potrwa, nim do niej przywykną.

– Dla młodych Bookera T. Waszyngtona i Jerzego Waszyngtona Carvera też było to obce pojęcie – odparł Roosevelt – ale całkiem nieźle je sobie przyswoili. Do wolności zawsze łatwo przywyknąć.

– My tu nie mówimy o wolności, Teddy – oponował Rogers. – Ci ludzie byli wolni przez tysiące lat, nim zjawili się tu Belgowie, a i tak nigdy nie słyszeli o demokracji. Ich plemionami rządzą wodzowie i szamani, a nie kongresmeni.

– A teraz, kiedy Belgowie się wycofują – dodał Norton – naszym największym problemem będzie, jak powstrzymać tubylców przed wyrżnięciem się nawzajem przed pójściem do urn.

– Wszyscy przewidujecie tylko to, co najgorsze – oznajmił Roosevelt z irytacją – zupełnie zapominając o tym, jak ogromne kroki poczynili amerykańscy Murzyni od Proklamacji Emancypacji. Wierzcie mi, panowie, wolność nie ma koloru, a demokracja nie jest domeną jednej rasy.

Boyes skwitował to uśmiechem, a Buckley zwrócił się w jego stronę.

– Co cię tak rozbawiło, John? Spędziłeś tu dość czasu, by wiedzieć, że wszystko, co powiedzieliśmy to prawda.

– Wszyscy myślicie, że uda się wam zniechęcić pana Roosevelta, a jeśli opowiecie mu wystarczająco dużo opowieści o tym, jak dzicy są tubylcy,

przekonacie go, by został z wami, aż zabijecie ostatniego słonia w Kongu, a następnie wróćcie do Nairobi. – Boyes zamilkł na chwilę. – Ale ja go znam nieco lepiej niż wy i wiem, że jednej rzeczy nie potrafi się oprzeć, a jest nią wyzwanie. – Zwrócił się do Roosevelta. – Mam rację, sir?

Roosevelt posłał mu uśmiech.

– Absolutną, panie Boyes. – Spojrzał po twarzach pozostałych. – Panowie – oznajmił – dość tego czarnowidztwa jak na jeden dzień. Czas zakasać rękawy i wziąć się do roboty.

## IX.

Roosevelt przyjrzał się swemu odbiciu w wysokim lustrze w zdobionej, złoczonej ramie, wiszącym w salonie budynku rządowego w Stanleyville, i poprawił krawat żakietu.

– Dobrze, że ten mały niemiecki krawiec postanowił zostać – odezwał się do podobnie ubranego Boyesa – inaczej prowadzilibyśmy sprawę wagi państwowej w strojach do safari.

– Bez wątpienia byłoby mi znacznie wygodniej – odparł Boyes, przeglądając się w lustrze i uznając, że musi się jeszcze uczesać.

– Bzdura, John – stwierdził Roosevelt. – Przybyli tu dziennikarze i fotografowie z całego świata.

– Osobiście wolałbym spotkanie z nacierającym słoniem – powiedział Boyes, wyglądając przez okno. – Nie lubię tłumów.

Roosevelt skwitował to uśmiechem.

– A ja już zdążyłem zapomnieć, jak bardzo mi ich brakuje. – Założył cylinder i podszedł do drzwi. – Chyba możemy zaczynać.

Nieszczęśliwy i skrępowany Boyes, który bez pistoletu i strzelby czuł się nagi, wyszedł za Amerykaninem i ruszył w stronę drewnianej platformy, zbudowanej przed budynkiem rządowym dzień wcześniej. Tak jak powiedział Roosevelt, prasa już na nich czekała: reporterzy i fotografowie z Ameryki, Belgii, Anglii, Francji, Włoch, Portugalii, Kenii, a nawet kilku krajów azjatyckich przebyli długą, uciążliwą drogę do Stanleyville, by wysłuchać przemówienia i utrwalić tę chwilę dla przyszłych pokoleń. W pierwszym rządzie, zarezerwowanym dla VIP-ów i dygnitarzy, zasiadali najwyżsi wodzowie plemion Mangbetu, Simba,

Mongo, Luba, Bwaka, Zande i Kongo (które wieki wcześniej użyczyło nazwy całemu krajowi). Było tam nawet dwóch wodzów pigmejskich. Jeden był całkiem nagi poza przepaską na biodrach, kolczykami i naszyjnikiem z lamparcich pazurów, za to drugi miał na sobie garnitur, który wyglądał jak uszyty na Saville Row.

Gdy Roosevelt wszedł na podwyższenie, cała publika, licząca około sześciuset osób, podzielona mniej więcej po równo między białych i czarnych Afrykanów, natychmiast umilkła, uprzejmie czekając, aż podejdzie do mównicy i wyjmie notatki z kieszeni.

– Witam państwa. Dziękuję za przybycie i cierpliwość. Jako że nasz system komunikacyjny nie jest jeszcze gotowy, zapewne mieli państwo pewne problemy z dotarciem do Stanleyville – przerwał czekając, aż wybrzmi dobroduszny śmiech, którego się zresztą spodziewał – ale jesteście tu, a my z radością witamy was jako gości nowego narodu.

Zamilkł, wyjął z kieszeni nowiutką chusteczkę i otarł pot, który zaczął zalewać mu twarz.

– Jesteśmy tu, by proklamować suwerenność tego pięknego kraju. Niedgdy znany był jako Wolne Państwo Kongo, niezależny naród oddany zachowaniu ludzkiej godności i celebracji ludzkich dążeń.

Na pobliskim drzewie rozskrzeczały się dwa szyszaki. Roosevelt uśmiechnął się i odczekał kilka sekund, aż ptaki ucichły.

– Ale co było, to było – podjął – i Wolne Państwo Kongo zaczyna nowe życie. Nie żywi urazy do żadnej osoby, ani narodu, który w przeszłości eksploatował jego zasoby i wykorzystywał mieszkańców. Jednakże – i przy tych słowach Roosevelt wojowniczo wysunął szczękę do przodu – ta ziemia już nigdy nie będzie grabiona, ani wyzyskiwana. – Posłał słuchaczom ponure spojrzenie. – Już nigdy uprzywilejowana mniejszość nie narzuci swej woli większości. Już nigdy jedno plemię nie zaatakuje drugiego. Kobiety już nigdy nie będą wykonywały niemal wszystkich prac, nie mając z tego żadnych korzyści. I już nigdy przeraźliwe widmo ignorancji, ubóstwa i chorób nie będzie nawiedzać obszaru, który Henry Stanley określił mianem Czarnej Afryki. – Dramatycznie podniósł głos. – Od dziś, rozjaśnimy Wolne Państwo Kongo światłem demokracji, przekształcając je we wzór Najjaśniejszej Afryki!

Roosevelt przerwał czekając, aż jego słowa zostaną przetłumaczone,

po czym uśmiechnął się i skinął, gdy wodzowie wstali, wiwatując. Po chwili, z nieco mniejszym entuzjazmem, przyłączyli się do nich Europejczycy.

– Dziękuję, przyjaciele – kontynuował Roosevelt, gdy wodzowie w końcu zajęli z powrotem swoje miejsca. – My, którzy mieliśmy to szczęście, że mogliśmy pomóc w narodzinach Wolnego Państwa Konga, mamy wielkie plany dotyczącego jego przyszłość. – Uśmiechnął się triumfalnie. – Naprawdę wielkie plany! – dodał stanowczo. – W przeciągu dwóch lat przedłużymy Kolej Wschodnioafrykańską od obecnej stacji końcowej w Ugandzie aż do Stanleyville, a przez kolejny rok, do Leopoldville. Uzyskamy tym samym dostęp do Oceanu Indyjskiego, tak jak rzeka Kongo daje nam dostęp do Atlantyku, a dzięki nowoczesnym metodom upraw, które planujemy wprowadzić, wkrótce zaczniemy wysyłać duże ilości towarów eksportowych na oba wybrzeża.

Rozległy się kolejne aplauzy, tym razem nieco mniej żywiołowe, gdyż większość wodzów miała dość mgliste pojęcie o gospodarce wykraczającej poza ich własne plemiona.

– W całym kraju zbudujemy szkoły publiczne – dodał Roosevelt. – Naszym celem jest, ni mniej, ni więcej, a całkowite zlikwidowanie analfabetyzmu do roku 1930.

Tym razem tylko wodzowie nagrodzili jego słowa brawami, a biali słuchacze nawet nie próbowali kryć sceptycyzmu.

– Wkrótce rozpoczniemy budowę nowoczesnych szpitali we wszystkich większych miastach Wolnego Państwa Konga – kontynuował Roosevelt – i żadnemu z obywateli już nigdy nie zabraknie opieki medycznej. Amerykańscy inżynierowie zbudują zapory na całej długości rzeki Kongo, dzięki czemu będziemy mogli wytwarzać elektryczność, niezbędną nowoczesnemu narodowi. Pozostawimy rozległe tereny nietknięte jako parki narodowe i rezerваты dzikich zwierząt, jednocześnie pokrywając kraj siecią dróg, by można było dojechać do wszystkich wiosek, nawet tych położonych na największym odludziu.

Przerwał, piorunując wzrokiem białe twarze niedowiarków.

– Dokonamy wszystkiego, o czym mówiłem! – zakończył. – I to szybciej, niż sądzicie!

Zgromadzeni wodzowie zaczęli wiwatować i podskakiwać z

entuzjazmem, a pozostali, orientując się, że właśnie dobiegła końca główna część przemówienia, nagrodzili ją uprzejmymi brawami.

– A teraz, jeśli zechcą państwo wstać, po raz pierwszy podniesiemy flagę Wolnego Państwa Konga. – Odwrócił się do Boyesa. – Boyes?

Boyes wyjął złożoną w kostkę flagę, którą trzymał w kieszeni żakietu, zaczął na gwardię honorową złożoną z miejscowych żołnierzy odzianych w mundury khaki i uroczyście przekazał flagę dowódcy. Żołnierze odmaszerowali do niedawno ustawionego masztu i rozpoczęli wciąganie flagi, na której widniały kolorowe tarcze dwudziestu głównych plemion, tworzące wzór na zielonym tle. W tle Yank Rogers, któremu nie udało się napisać hymnu narodowego w dwa dni, zagrał na swej wiekowej trąbce marsz wojskowy. Roosevelt stanął na baczność i zsalutował, Boyes i wodzowie poszli w jego ślady, a reporterzy, politycy i dygnitarze natychmiast powstali.

Gdy flaga została wciągnięta na maszt, a linka przywiązana do jego podstawy, Roosevelt ponownie odwrócił się w stronę tłumu.

– Plemiona, które dziś tu reprezentuję, jednogłośnie wybrały mnie, bym przygotował projekt demokratycznej konstytucji Wolnego Państwa Konga i wprowadził ją w życie. W tym czasie będę pełnił funkcję Naczelnego Zarządcy, która zostanie zlikwidowana, gdy tylko odbędą się pierwsze wybory krajowe, czyli dokładnie za rok. Wtedy to wszyscy mieszkańcy Wolnego Państwa Konga, bez względu na rasę i płeć, wybiorą własnego prezydenta i zgromadzenie ustawodawcze, dzięki czemu ich los spocznie wreszcie w ich rękach.

Utkwił wzrok w swych słuchaczach.

– Dziękuję za przybycie na tę historyczną uroczystość. Lunch zostanie podany na trawniku, a ja przez całe popołudnie pozostaję do dyspozycji wszystkich, którzy chcą przeprowadzić ze mną wywiad.

Zszedł z podwyższenia żegnany ostatnią falą aplauzu, w końcu racząc słuchaczy uśmiechem, z którego sływał. Następnie zaczął na Boyesa i razem zniknęli w budynku rządowym.

– Jak wypadłem, John? – spytał z niepokojem.

– Sądzę, że wspaniale, panie prezydencie – odparł Boyes szczerze.

– Panie Naczelnny Zarządczo, znaczy się – poprawił go Roosevelt i nagle się uśmiechnął. – Choć znasz mnie już na tyle dobrze, by mówić do mnie

Teddy, jak wszyscy inni.

– Chyba wołę panie prezydencie – odparł Boyes. – Przyzwyczaiłem się do tego.

Roosevelt wzruszył ramionami i wyjrzał przez okno na tłum, który zaczął się gromadzić przy długich stołach z poczęstunkiem.

– Nie wierzą, że mi się uda, prawda, John?

– Zgadza się, sir – odpowiedział Boyes bez ogródek.

– Mieliby rację, gdybym stosował ich przestarzałe metody – stwierdził Roosevelt i wyprostował się nagle. – Jednak to nowe stulecie. Mamy nowe technologie, nowe metody i nowe perspektywy.

– Ale to stary kraj – zauważył Boyes.

– Co to ma niby znaczyć, John?

– Tylko tyle, że może nie być gotowy na pańskie nowe podejście, panie prezydencie.

– Przecież widziałeś tych wodzów, John – powiedział Roosevelt. – To moi najzagorzalsi zwolennicy.

– To leży w ich interesie – stwierdził Boyes. – W końcu obiecał im pan gwiazdkę z nieba.

– I dam im ją – oznajmił Roosevelt stanowczo.

## X.

Boyes wszedł do budynku rządowego, gdzie został skierowany do gabinetu Roosevelta.

– Gdzie się podziewałeś, John? – spytał Roosevelt. – Oczekiwałem twojego powrotu trzy dni temu.

– Zakładanie własnej firmy handlowej trwało nieco dłużej, niż sądziłem – wyjaśnił Boyes. – Ale jeśli pańscy robotnicy kiedykolwiek tu dotrą, to przynajmniej nie umrą z głodu. Załatwiłem już mąkę i mięso.

– Na co je wymieniasz?

– Na jodynę – odpowiedział Boyes. – Dlatego to tyle trwało. Dostawa z Nairobi się opóźniła.

– Jodynę? – powtórzył zaciekawiony Roosevelt.

Boyes się uśmiechnął.

– Istnieją infekcje, których nawet szamani nie są w stanie wyleczyć. – Usiadł w skórzanym fotelu przed biurkiem Roosevelta, sprawiając wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. – Uncja jodyny za trzydzieści funtów mąki lub sto funtów mięsa.

– To niemoralne, John. Ci ludzie potrzebują tego leku.

– A nasi ludzie potrzebują jedzenia – odparł Boyes.

– Moje szpitale wysadzą cię z interesu – stwierdził Roosevelt surowo. – Nigdy nie odmówimy leczenia tylko dlatego, że pacjent nie będzie w stanie za nie zapłacić.

– Gdy zbudujecie szpitale, znajdę inny towar na wymianę – oznajmił Boyes, wzruszając ramionami, po czym nagle zmienił temat. – Słyszałem, że gdy mnie nie było, odbyły się pierwsze lokalne wybory. Jak poszło?

– Nazwałbym je umiarkowanym sukcesem.

– Tak?

– To była próba, że tak powiem – rzucił Roosevelt. – Wybraliśmy losowo okręg, by pokazać ludziom, jak wyglądają wybory – zawiesił głos. – Frekwencja wyniosła niemal dziewięćdziesiąt procent, co niewątpliwie dobrze rokuje na przyszłość.

– Pozwolę sobie zgadnąć, co rokuje gorzej – wtrącił Boyes. – Żaden z kandydatów nie dostał głosów z obcego obozu.

Roosevelt pokiwał ponuro głową.

– Głosy w stu procentach pokrywały się z przynależnością plemienną.

– Mam nadzieję, że nie jest pan zaskoczony.

– Nie, jestem rozczarowany – Roosevelt westchnął. – Po prostu będę musiał tak długo wyjaśniać, że powinni głosować w oparciu o kwestie polityczne, a nie więzi plemienne, aż w końcu to zrozumieją.

Po raz pierwszy od chwili, gdy się poznali, Boyes współczuł Amerykaninowi.

– Niewinny? – powtórzył Roosevelt. – Jak do diabła mogli go uniewinnić?

Miejscowy teatr został przekształcony w sąd i Roosevelt poświęcił niemal cały tydzień tłumacząc członkom plemion Luba i Zande zawiłości systemu sądowego z udziałem ławy przysięgłych. Następnie sam



wcielił się w rolę przewodniczącego składu sędziowskiego podczas pierwszej w Wolnym Państwie Kongu rozprawy z udziałem przysięgłych, a teraz znajdował się w swym prowizorycznym gabinecie, ledwo hamując wściekłość.

– Decyzję podjęto jednogłośnie – stwierdził Charlie Ross, który pełnił rolę zastępcy szeryfa.

– Wiem, że podjęto ją jednogłośnie, panie Ross! – zagrział Roosevelt.

– Nie wiem tylko, jak w obliczu wszystkich dowodów, mogli go uniewinnić?

– To może ich pan spyta? – podsunął Ross.

– Na Boga, tak właśnie zrobię! – odparł Roosevelt. – Proszę ich tu po kolei przyprowadzić.

Ross zniknął na jakieś pięć minut, podczas których Roosevelt bezskutecznie próbował odzyskać panowanie nad sobą.

– Sir – rzucił Ross, pojawiając się w towarzystwie wysokiego, szczupłego Murzyna – to Tambika, jeden z przysięgłych.

– Dziękuję, panie Ross – powiedział Roosevelt i zwrócił się do Afrykanina. – Panie Tambika – zaczął w suahili, acz z wyraźnym akcentem. – Będę bardzo wdzięczny, jeśli wyjaśni mi pan swoją decyzję.

– Wyjaśnię, królu Teddy? – spytał Tambika zdumiony.

– Proszę do mnie mówić panie Naczelnny Zarządco – powiedział Roosevelt nieco zażenowany i przez chwilę milczał. – Sądzony mężczyzna, Toma, był oskarżony o kradzież sześciu krów. Czterech naocznych świadków zeznało, że widzieli, jak prowadził krowy do swojego domu, a pan Kalimi okazał akt kupna, jaki otrzymał, gdy nabył krowy od Tomy. Nie ma żadnych wątpliwości, że krowy nosiły znak, czy też piętno, powoda, pana Salamaki. Czy może mi pan zatem powiedzieć, dlaczego Toma został uznany za niewinnego?

– A, teraz rozumiem – oznajmił Tambika z szerokim uśmiechem. – Toma jest mi winien pieniądze. Jak by mi zapłacił, gdyby siedział w więzieniu?

– Ale przecież złamał prawo.

– Prawda – zgodził się Tambika.

– Więc powinien być zostać uznany za winnego.

– Ale gdybym go uznał za winnego, nigdy by mi nie oddał tych

pieniędzy – zaprotestował Tambika. – A to nie byłoby sprawiedliwe, królu Teddy.

Roosevelt spierał się z Tambika jeszcze przez kilka minut, aż w końcu go odprawił, a Ross przyprowadził kolejnego sędziego przysięgłego, starca o imieniu Begoni. Po ponownym wyliczeniu dowodów, Roosevelt zadał mu to samo pytanie, co Tambice.

– To bardzo proste – odparł Begoni. – Toma pochodzi z plemienia Luba, jak ja. Salamaki jest z plemienia Zande. To niemożliwe, żeby ktoś z Luba popełnił zbrodnię na kimś z Zande.

– Ale tak właśnie było, panie Begoni – stwierdził Roosevelt.

Starzec pokręcił głową.

– Ludzie z Zande kradli nasze bydło i kobiety od czasu, gdy Bóg stworzył ten świat. Możemy je teraz odbierać.

– Prawo tego zabrania – zauważył Roosevelt.

– Czyje prawo? – spytał starzec, wpatrując się w niego bez cienia strachu, czy respektu. – Wasze, czy Boga?

– Czy gdyby pan Toma był z Zande, uznałby go pan za winnego?

– Naturalnie – odpowiedział Begoni, jakby to było oczywiste.

– A gdyby pan Toma był z Zande, a pan wiedział na pewno, że nie ukradł bydła, uznałby go pan za niewinnego?

– Nie.

– Dlaczego? – spytał rozzłoszczony Roosevelt.

– Po tym świecie chodzi zbyt wielu Zande.

– To wszystko, panie Begoni.

– Dziękuję, panie Teddy – powiedział starzec i ruszył w stronę drzwi, ale tuż przed wyjściem przystanął. – Podobają mi się rozprawy z udziałem przysięgłych – oznajmił. – Zdecydowanie zmniejszają ilość rozlanej krwi.

– Po prostu nie wierzę! – rzucił Roosevelt, zrywając się na nogi i nerwowo przechadzając po gabinecie, gdy za Begonim zamknęły się drzwi. – Spędziłem z tymi ludźmi cały tydzień, wyjaśniając im, jak działa ten system!

– Jest pan gotowy spotkać się z kolejnym? – spytał Ross.

– Nie! – warknął Roosevelt. – Już wiem, co powiedzą. Toma to brat plemienny. Toma nie wyplaci córce posagu, jeśli go zamkniemy w

więzieniu. Jeśli dokument, taki jak dowód sprzedaży sugeruje, że winny jest ktoś z ludu Luba, to musiał go zakląć szaman Zande i nie wolno mu wierzyć. – Roosevelt zatrzymał się i odwrócił do Rossa. – Co jest z tymi ludźmi, Charlie? Nie pojmują, co próbuję dla nich zrobić?

– Mają własny system sprawiedliwości, panie prezydencie odpowiedział Ross łagodnie.

– Widziałem, jak działa ten system – powiedział Roosevelt z pogardą. – Szaman dotyka języka oskarżonego rozgrzanym żelazem. Jeśli biedak krzyknie, jest winny, a jeśli nie, jest niewinny. Pytam, co to za system?

– Taki, w który wierzą – stwierdził Ross.

– I to by było na tyle – rzucił Roosevelt ponuro po przeczytaniu najświeższej korespondencji. – Morgan nie jest zainteresowany inwestycją w kolej.

– Czy może się pan z tym zwrócić do kogoś innego? – spytał Boyes.

– Bill Taft źle zarządza gospodarką. Coś mi się widzi, że ludzie, których byłoby stać na taką inwestycję, czują się w tym roku wyjątkowo konserwatywnie.

Niemniej jednak napisał po południu kolejnych trzydzieści listów z prośbą o wsparcie finansowe i wysłał je następnego ranka. Oznajmił, iż głęboko wierzy, że pieniądze wkrótce nadejdą, ale zaczął też przygotowywać plan awaryjny na dzień, nie tak znów odległy, gdy budowa Kolei Transkongijskiej zostanie wstrzymana.

– Co to znaczy, że zabrakło materiałów? – zapytał oburzony Roosevelt. – Mielicie wystarczającą ilość szyn na zbudowanie kolejnych pięciu mil, panie Brody.

Brody, krzepki Amerykanin, stał przed biurkiem Roosevelta, z zażenowaniem bawiąc się hełmem korkowym, który trzymał w swych ogromnych dłoniach.

– Tak było, panie Roosevelt.

– No i?

– To tubylcy, sir – stwierdził Brody. – Rozkradają je.

– Bzdura! Niby do czego mieliby potrzebować stalowych szyn?

– Nie uwierzyłby pan, do czego potrafią je wykorzystać, sir – odparł Brody. – Podpierają nimi chaty, budują z nich zagrody dla kóz i bydła, no i przetapiają je na groty włóczni.

– No to je im odbierzcie.

– Dostaliśmy bardzo wyraźne polecenie, by nie krzywdzić tubylców, sir. Tymczasem za każdym razem, gdy próbowaliśmy odebrać szyny, grożono nam włóczniami, a w niektórych przypadkach nawet bronią palną. Jeśli nie wolno nam odebrać ich siłą, będą musiały zostać tam, gdzie są, aż zardzewieją.

– Kto jest wodzem tam, gdzie pan pracuje, panie Brody? – spytał Roosevelt.

– Matapoli z ludu Mangbetu.

– Znam go osobiście – stwierdził Roosevelt, a jego twarz nieco się rozpozodziła. – Proszę go tu sprowadzić, może uda się rozwiązać ten problem.

– To może potrwać sześć tygodni, sir... zakładając, że zgodzi się tu ze mną przybyć.

Roosevelt pokręcił głową.

– Niedobrze, panie Brody. Nie mogę przez sześć tygodni płacić pana ludziom za siedzenie z założonymi rękami. – Przerwał, po czym pokiwał głową, jakby podjął jakąś decyzję. – Wrócę z panem. I tak najwyższy czas, żebym znów wszedł między ludzi.

Brody poszedł na lunch do niewielkiej restauracji nieopodal, a Roosevelt wezwał Yanka Rogersa.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Teddy? – spytał Amerykanin.

– Muszę się wybrać do kraju Mangbetu, Yank – powiedział Roosevelt. – Chcę, żebyś został z panem Buckleyem w Stanleyville i pilnował wszystkiego pod moją nieobecność.

– A co z Boyesem? – spytał Rogers. – Czy to nie jego zadanie?

– John będzie mi towarzyszył – wyjaśnił Roosevelt. – Mangbetu chyba go lubią.

– Tak samo jak ciebie, Teddy.

– Lubię jego towarzystwo – powiedział Roosevelt i uśmiechnął się cierpko. – Poza tym będę spokojniejszy wiedząc, że pod moją nieobecność nikt nie sprzeda budynku rządowego temu, kto zaoferuje najwyższą cenę.

– John – rzucił Roosevelt, gdy wraz z Boyesem zasiedli przy ognisku – zauważyłeś, że już od ponad tygodnia nie widzieliśmy żadnego słonia?

Konie zarżały, gdy wiatr przyniósł ze sobą zapach lwa i hieny.

– Może wyniosły się na zachód? – podsunął Boyes.

– Daj spokój, John – odparł Roosevelt. – Nie mam takiego doświadczenia jak ty, ale potrafię się zorientować, że teren został wyczyszczony.

– Przez ostatni rok wywieźliśmy sporo kości słoniowej do Mombasy i Zanzibaru – przyznał Boyes.

– Nie przeszkadza mi to, że nasi ludzie dorabiają nieco na boku, John, ale nie pozwolę, by dziesiątkowali stada.

– Od ponad roku nie dostali wypłaty – odpowiedział Boyes z powagą. – Jeśli powie im pan, żeby przestali polować, nie sądzę, by zostało ich w Kongu więcej niż tuzin.

– W takim razie będziemy musieli się obejść bez ich usług – stwierdził Roosevelt. – Słonie należą teraz do mieszkańców Wolnego Państwa Konga. Musimy stworzyć departament do spraw polowań i zacząć wydawać licencje póki jeszcze jest do czego strzelać.

– Skoro pan tak mówi – odparł Boyes. Roosevelt przyjrzał mu się bardzo uważnie.

– Czy będziesz pośród tych, którzy wyjadą, John?

Boyes pokręcił głową.

– To ja pana do tego namówiłem, panie prezydencie – odpowiedział. – Zostanę tu tak długo, jak pan – zawiesił głos w zamyśleniu. – Zresztą zarobiłem już na kości słoniowej więcej, niż się spodziewałem, więc chyba faktycznie musimy przestać, dopóki żyją tu jeszcze jakieś słonie. Zwracałem jedynie uwagę na konsekwencje zakazu kłusownictwa.

– W takim razie proszę zacząć to rozgłaszać, gdy tylko wrócimy – powiedział Roosevelt i nagle zmarszczył brwi. – Zabawne.

– O co chodzi, sir?

– Przed chwilą zakręciło mi się w głowie. – Wzruszył ramionami. – To na pewno minie.

Ale nie minęło i w nocy były prezydent zachorował na malarię. Boyes doglądał go i opiekował się nim, póki nie wrócił do zdrowia, jednakże przez chorobę stracili kolejny tydzień, a Roosevelt miał niejasne

przecucie, że nie pozostało mu ich już wiele, by pchnąć ten kraj na właściwe tory.

– O proszę, mój przyjaciel Johnny... i król Teddy! – Matapoli powitał ich z ogromnym uśmiechem na twarzy. – Wasza obecność w mojej wiosce to prawdziwy zaszczyt.

– Twoja wioska zmieniła się od naszej ostatniej wizyty – zauważył Boyes cierpko.

Matapoli z dumą wskazał pięć wagonów kolejowych, które jego ludzie przez ponad miesiąc ciągnęli przez busz i które stały się domem dla jego najbliższej rodziny oraz rodzin czterech członków starszyny plemiennej.

– A tak – powiedział z radością. – Król Teddy obiecał nam demokrację i dotrzymał słowa. – Wskazał jeden z wagonów. – *Moja* demokracja jest najwspanialsza! Wejdźmy do środka.

Roosevelt i Boyes wymienili ironiczne spojrzenia i ruszyli za Matapolim do wagonu, gdzie zastali jakąś dwudziestkę jego dzieci.

– Król Teddy powrócił! – oznajmił zachwycony wódz Mangbetu. – Musimy urządzić polowanie w lesie i wydać ucztę na jego cześć.

– To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony, Matapoli – oznajmił Roosevelt. – Ale minęło wiele miesięcy od naszego ostatniego spotkania. Najpierw porozmawiajmy.

– Tak, to bardzo dobry pomysł – zgodził się Matapoli, pęczniąc z dumy, gdy dzieci rozpoznały gości i wybiegły powiadomić o ich wizycie resztę wioski.

– Ile tak w zasadzie masz dzieci? – spytał Roosevelt. Matapoli myślał przez chwilę.

– Dziesięć i jeszcze dziesięć, a potem siedem – odpowiedział.

– A ile masz żon?

– Pięć.

Purytański Amerykanin nie potrafił ukryć swojej dezaprobaty.

– To bardzo duża rodzina, Matapoli.

– Powinna być większa, znacznie większa – stwierdził wódz Mangbetu. – Ale wiele miesięcy trwało sprowadzanie tu demokracji.

– Gdybyś zostawił wagony na torach, mógłbyś nimi podróżować po całym kraju – zauważył Boyes.

Matapoli odchylił głowę do tyłu i roześmiał się głośno.

– A po co miałbym jechać do kraju Lulua albo Bwaka? – spytał. – Zabiliby mnie i zagarnęli moje demokracje dla siebie.

– Spróbuj to zrozumieć, Matapoli – powiedział Roosevelt. – Nie ma już kraju Mangbetu, Lulua, czy Bwaka. Jest Wolne Państwo Kongo i wszyscy w nim żyjecie.

– Ty jesteś królem wszystkich krajów, królu Teddy – odparł Matapoli. – Ty się nie musisz obawiać. A jeśli Bwaka powiedzą, że nie jesteś, to ich zabijemy.

Roosevelt przez dziesięć minut próbował wyjaśnić Matapoliemu ideę Wolnego Państwa Konga, jednak ten po wykładzie nie rozumiał jej ani trochę lepiej, niż wcześniej.

– No dobrze – powiedział zrezygnowany Amerykanin. – Wróćmy do rozmowy o pociągach.

– Pociągach? – powtórzył Matapoli.

– Demokracjach i stalowych kłodach, po których się toczyły – wtrącił Boyes.

– Kolejny dar od króla Teddy’ego – podchwycił Matapoli z entuzjazmem. – Pantery i hieny już nie są w stanie przedrzeć się przez krzewy, by zabić moje bydło. Teraz używam metalowych krzewów i moje zwierzęta są bezpieczne.

– Metalowe krzewy zostały zbudowane po to, żebyście mogli podróżować wiele mil, nie męcząc się chodzeniem – oznajmił Roosevelt.

– A po co mielibyśmy podróżować wiele mil? – spytał Matapoli szczerze zdumiony. – Tuż obok wioski przepływa rzeka, a do lasu i jego zwierzyny mamy kilka kroków.

– Ale moglibyście odwiedzać inne plemiona.

Matapoli się uśmiechnął.

– Jak niby mielibyśmy się podkraść do wroga w demokracjach? Są za duże i robią za dużo hałasu tocząc się po żelaznych krzewach. – Pokręcił głową. – Nie, królu Teddy, znacznie lepiej im tutaj, gdzie możemy z nich korzystać.

Długo po zakończeniu uczyty, gdy Roosevelt i Boyes wracali konno do

Stanleyville, były prezydent, który wciąż od nowa odtwarzał w pamięci przebieg tego frustrującego dnia, w końcu westchnął i wymamrotał:

– Na Boga, to chyba faktycznie najlepszy użytek, jaki mogą z nich zrobić!

Boyesa wyjątkowo rozbawiła ta uwaga i wybuchnęła śmiechem. Chwilę później sam Roosevelt zaniósł się donośnym śmiechem i tak oto Kolej Transkongijska oficjalnie zakończyła swój żywot.

Piętnaście mil przed Stanleyville dotarli do świeżo utwardzonej drogi. Ciesząc się, że w końcu opuścili busz, skierowali konie w jej stronę. Podczas dalszej podróży minęli szereg kobiet i mężczyzn idących wzdłuż szosy.

– Czemu nie idą drogą, John? – spytał zaintrygowany Roosevelt. – W całym Kongu jest co najwyżej piętnaście samochodów ciężarowych. Dopóki nie sprowadzimy ich więcej, równie dobrze można wykorzystać drogi do czegoś innego.

– Są bosy – zauważył Boyes.

– No i co z tego? Droga jest o wiele gładsza od ostrych kamieni, po których chodzą.

– Ale jest też o wiele gorętsza – odparł Boyes. – W samo południe można by na niej usmażyć jajko.

– Chcesz mi powiedzieć, że wydaliśmy milion dolarów na drogi, po których nie ma co jeździć, a ludzie nie mogą chodzić?

– To nie Ameryka, sir.

– Codziennie to sobie uświadamiam – mruknął Roosevelt ze znużeniem.

## XI.

Roosevelt siedział za biurkiem i wpatrywał się w leżący przed nim stos listów i dokumentów. Z lewej strony stało zdjęcie Edith i dzieci, a z prawej jego samego zrobione, gdy wygłaszał orędzie o stanie państwa przed Amerykańskim Kongresem. Za plecami miał flagę Wolnego Państwa Konga w ozdobnym mosiężnym stojaku. W końcu z



westchnieniem otworzył ostatni z listów, przeczytał go szybko i marszcząc brwi odłożył na wierzch stosu.

– Złe wieści, panie prezydencie? – spytał Boyes, siedzący na skórzanym fotelu przed biurkiem.

– Nie gorsze od pozostałych – odpowiedział Roosevelt. – Te nadeszły od pana Bennigana, naszego głównego inżyniera, budującego most nad Wodospadami Stanleya. Z żalem informuje, że jego ludzie od trzech tygodni nie otrzymują wynagrodzenia i będzie musiał się wycofać. – Wbił wzrok w list. – Na kopercie naturalnie nie ma stempla pocztowego, ale zgaduję, iż list szedł tu co najmniej dwa tygodnie.

– I tak go nie potrzebowaliśmy – stwierdził Boyes, zbywając całą sprawę wzruszeniem ramion. – Jaki sens budować most nad wodospadami, skoro nie mamy pociągów ani samochodów?

– Ponieważ pewnego dnia będziemy je mieć, John, a wówczas potrzebne będą drogi, tory i mosty.

– Gdy nadejdzie ten szczęśliwy dzień, zapewne będziemy mieli dość pieniędzy, by dokończyć budowę mostu – odparł Boyes.

Roosevelt westchnął.

– Zresztą jeszcze większym ciosem była utrata nauczycieli. Ilu odeszło?

– W zasadzie wszyscy.

– Cholera – mruknął Roosevelt. – Jak mamy kształcić naród, kiedy nie ma go kto uczyć?

– Z całym szacunkiem, sir, oni nie potrzebują zachodniego szkolnictwa – stwierdził Boyes. – Próbuje pan z nich zrobić Amerykanów, którymi nie są. Umiejętność czytania i pisania równie niewiele dla nich znaczy, co kolej żelazna.

Roosevelt przyglądał mu się dłuższą chwilę.

– A co według ciebie jest dla nich istotne, John?

– Mówimy tu o prymitywnym społeczeństwie – odpowiedział Boyes. – Płodozmian, zasady higieny i podstawy medycyny są dla nich znacznie ważniejsze niż drogi, których nie będą używać i wagony kolejowe, które są dla nich tylko chatami na kołach.

– Mylisz się, John – odparł Roosevelt kategorycznie. – Czarne afrykańskie dziecko niczym nie różni się od czarnego amerykańskiego

dziecka... ani białego amerykańskiego dziecka, skoro już o tym mowa. Jeśli dotrzemy do nich odpowiednio wcześniej i zapewnimy im dobre wykształcenie...

– Nie chciałbym się z panem kłócić, sir – wszedł mu w słowo Boyes – ale myli się pan. Jaki sens w wykształceniu dziesięciu tysięcy absolwentów uniwersytetu, gdy co dzień wracają na noc do swych chat, ponieważ w całym kraju nie ma nawet dwustu etatów dla ludzi z wyższym wykształceniem? Jeśli chce pan przeprowadzić rewolucję, musi pan zwiększyć ich oczekiwania, przygotować ich do życia i funkcjonowania w Londynie lub Nowym Jorku... a dopiero później kazać im zostać w Kongu.

Roosevelt energicznie pokręcił głową.

– Gdybyśmy tak to chcieli załatwić, ci ludzie już zawsze żyliby w ignorancji i biedzie. Na początku tego przedsięwzięcia mówiłem przecież, że nie zamierzam przekształcać Konga w prywatny rezerwat łowiecki – zamilkł. – Jeszcze nie znalazłem właściwego rozwiązania, ale jeśli ktoś jest w stanie wprowadzić Konga w dwudziesty wiek, to właśnie ja.

– A czy przyszło panu do głowy, że być może nikt nie jest w stanie tego dokonać? – podsunął Boyes łagodnie.

– Ani razu – odparł Roosevelt stanowczo.

– Zostanę tu tak długo, jak pan – oznajmił Boyes. – I pan o tym wie. Ale jeśli szybko pan czegoś nie wymyśli, zostaniemy ostatnimi białymi w tym kraju, nie licząc misjonarzy i belgijskich plantatorów, którzy nie wyjechali. Już niemal połowa grupy, z którą tu przybyliśmy, odeszła.

– Ich jedynym celem była kość słoniowa lub przygody – stwierdził Roosevelt lekceważącym tonem. – Potrzebujemy ludzi, którym leży na sercu dobro tego kraju, a nie takich, którzy chcą go tylko plądrować. – Wyrzął przez okno i zapatrzył się w przestrzeń.

– Wszystko w porządku, sir? – spytał Boyes, gdy Roosevelt przez niemal minutę się nie poruszył.

– Nigdy nie było lepiej – odparł nagle Amerykanin. – Wiesz, John, zrozumiałem, że zabierałem się do tego ze złej strony. Nikogo nie obchodzi przyszłość Konga bardziej niż jego własnych mieszkańców. Niesienie im pomocy z zewnątrz było błędem. Na dłuższą metę wszelkie

postępy, jakie uda się tu osiągnąć, nabiorą większej wagi, jeśli zostaną wypracowane naszymi własnymi siłami.

– Naszymi? – powtórzył zdziwiony Boyes. – Moimi i pańskimi?

– Siłami obywateli Wolnego Państwa Konga – wyjaśnił Roosevelt. – Powtarzałem tobie, inżynierom, nauczycielom i misjonarzom, czego potrzebują. Sądzę, że nadszedł czas, bym zwrócił się do ludzi i zjednoczył ich w dążeniu do realizacji wspólnych celów.

– Już obiecaliśmy im demokrację – zauważył Boyes. – I co najmniej jedna wioska Mangbetu gotowa jest przysiąc, że ją od nas otrzymała – dodał z uśmiechem.

– To były obietnice polityczne, dzięki którym udało nam się włożyć nogę w drzwi – oznajmił Roosevelt. – Demokracja może i jest właściwym wyjściem, ale to nie dar. Wymaga wysiłku i poświęceń. Muszą to pojąć.

– Najpierw muszą pojąć, czym jest demokracja.

– Pojmą, gdy im to wyjaśnię – odpowiedział Roosevelt.

– Osobiście? – spytał Boyes.

– Zgadza się – potwierdził Roosevelt. – Jako że mówię już płynnie w suahili, zacznę na wschodzie kraju, a przesuwając się na zachód, będę korzystał z pomocy tłumaczy. Ale osobiście wyjdę do ludzi. Nic dobrego nie wynika z tego, że siedzę tu, w Stanleyville, czas wyruszyć w teren i wyjaśnić wszystko tym, którzy w pierwszej kolejności powinni to zrozumieć. Z przyjemnością pojechałbym w twoim towarzystwie, John, ale jest nas już tak niewielu, że chyba będzie lepiej, jeśli tu zostaniesz i dopilnujesz wszystkiego.

– Jak pan sobie życzy, panie prezydencie – odpowiedział Boyes. – Kiedy pan wyjeżdża?

– Jutro – powiedział Roosevelt i chwilę milczał. – Albo nie. Dziś po południu. Nie mam akurat pilniejszych zajęć, a nie mamy już czasu do stracenia.

Przez pięć tygodni spotykał się z ludźmi, a wszędzie, gdzie się pojawiał, wieści o jego przybyciu docierały na długo przed nim, przekazywane za pośrednictwem bębnow, więc całe plemiona gromadziły się, by go poznać.

Nie spieszył się, wystrzegał się wszelkiej ksenofobii i dokładnie objaśniał zasady demokracji. Wskazywał na konieczność edukacji, wagę nowoczesnych metod upraw, konieczność wyeliminowania wszelkich przejawów organizacji plemiennej, a także opiewał zalety gospodarki pieniężnej. Po każdym takim „zgrupowaniu”, jak nazywał spotkania, długo odpowiadał na pytania, po czym ruszał do kolejnej większej wioski i wszystko zaczynało się od początku.

Rankiem trzydziestego szóstego dnia w terenie dołączył do niego Yank Rogers, który przybył aż ze Stanleyville.

– Witaj, Yank! – krzyknął Roosevelt z entuzjazmem, widząc Amerykanina podjeżdżającego przed namiot rozstawiony pod wioską Lulua.

– Cześć, Teddy – odpowiedział Rogers, zsiadając z konia. – Dobrze wyglądasz. Siedzenie w buszu najwyraźniej ci służy.

– Czuję się zdrow jak młody łos – odparł Roosevelt z uśmiechem. – Co tam u Johna?

– Bogaci się, jak zawsze – stwierdził Rogers z nutką podziwu dla przedsiębiorczości Anglika. – Gdy budowlańcy się wycofali, sądziłem, że zostanie na lodzie z jakimś milionem funtów mąki, ale usłyszał, że w Angoli Portugalskiej panuje głód, więc wymienił mąkę na kość słoniową, którą z kolei Buckley i bracia Brittlebanksowie zawieźli do Mombasy i w zamian za połowę zysków skończyli z tym interesem.

– Cały John – przyznał Roosevelt. – Choć przykro mi słyszeć, że straciliśmy Buckleya i innych.

Rogers wzruszył ramionami.

– To tylko Angole. Co oni mogą wiedzieć o demokracji? W dwie sekundy poderzną ci gardło, jeśli im tylko ktoś za to obieca audiencję u króla. – Zamilkł na chwilę. – W każdym bądź razie wszyscy poza Boyesem. On by znalazł sposób, żeby wystawić króla na pokaz i pobierać za to opłaty.

Roosevelt roześmiał się serdecznie.

– Pewnie masz rację.

– To tyle, jeśli chodzi o Boyesa – stwierdził Rogers. – Jak tam kampania?

– Po prostu kapitalnie – odparł Roosevelt. – Reakcje są niezwykle

entuzjastyczne. Dziwię się, że nie dotarły do ciebie wieści.

– Niby jak? – spytał Rogers. – Nie ma tu radia, ani gazet... a nawet gdyby były, ci ludzie mówią trzystoma różnymi językami, nie wspominając już o tym, że nie potrafią czytać, ani pisać.

– Niemniej jednak – zauważył Roosevelt – coś już udało nam się osiągnąć.

– Nie wątpię, sir.

– Przekonuję niemal pięciuset tubylców dziennie – kontynuował Roosevelt. – To ponad piętnaście tysięcy nowych zwolenników w niewiele ponad miesiąc.

– Jeśli nie zmienia zdania.

– Nie zmienia.

– No to zostało jeszcze sześć milionów – zauważył Rogers, chichocząc.

– Jestem pewien, że wieści szybko się rozniosą.

– Może między ich współplemieńcami – odparł Rogers. – Nie nastawiałbym się na to, że dotrą do kogoś innego.

– Jesteś pesymistą – stwierdził Roosevelt.

– Na tym kontynencie pesymizm i realizm idą ze sobą w parze, Teddy – powiedział Rogers.

– A mimo to zostałeś – zauważył Roosevelt.

Rogers się uśmiechnął.

– Pomyślałem, że jeśli ktokolwiek jest w stanie ucywilizować ten kraj, to tylko ty... a kiedy ci się to uda, zamierzam wyśmiać wszystkich Angoli, którzy się poddali i wyjechali.

– Poczekaj tylko! – rzucił Roosevelt. – To dopiero rozgrzewka.

– Nieźle się zapowiada – stwierdził Rogers. – Nie słyszałem, jak porywasz tłum od czasu, gdy ubiegałeś się o urząd gubernatora Nowego Jorku, bo kiedy kandydowałeś na urząd prezydenta, byłem już w Afryce.

– Nagle sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął z niej kopertę. – Prawie zapomniałem, po co tu w ogóle przyjechałem – powiedział, podając ją Rooseveltowi.

– Co to?

– List od Boyesa – odparł Rogers. – Kazał mi go dostarczyć osobiście.

Roosevelt otworzył list, przeczytał go dwukrotnie, a następnie zgniół i wcisnął do kieszeni.

– Obawiam się, że nie usłyszysz, jak przemawiam w tym tygodniu, Yank – oznajmił. – Muszę wracać do Stanleyville.

– Coś się stało?

Roosevelt skinął.

– Wygląda na to, że Billy Pickering spotkał na jakimś odludziu na południowym zachodzie czterech belgijskich żołnierzy, do których nie dotarły informacje o wycofaniu się Belgów z Konga, i ich zastrzelił.

– Chcesz mi powiedzieć, że tylko dlatego przejechałem taki szmat drogi? – spytał Rogers.

– To sprawa najwyższej wagi, Yank.

– Jaką wagę mogą mieć cztery trupy? – spytał Rogers. – W Afryce życie nie kosztuje wiele.

– Belgijski rząd domaga się zadośćuczynienia.

– Taa... już widzę, jak cena rośnie – stwierdził Rogers.

## XII.

– Nie wiedziałem, jak chciałby pan to załatwić – powiedział Boyes, patrząc ponad biurkiem na Roosevelta, który wrócił do Stanleyville niespełna godzinę wcześniej. – Dobrze zrobiłeś, wzywając mnie, John.

– Póki co nie było z ich strony żadnych gróźb, ale co drugi dzień dostajemy noty dyplomatyczne.

– O co im głównie chodzi?

– Jak napisałem w liście, o zadośćuczynienie.

Roosevelt pokręcił głową.

– Wiedzą, że nie mamy pieniędzy – powiedział. – Chodzi o coś innego.

– Pewnie o głowę Pickeringa na tacy – zasugerował Boyes.

– Ci żołnierze znaczą dla nich tak samo niewiele, jak dla niego – stwierdził Roosevelt. – Chcę zobaczyć te noty.

Boyes wręczył mu plik papierów, które Roosevelt czytał przez kolejnych kilka minut.

– No i? – spytał Boyes, gdy Amerykanin odłożył dokumenty.

– Nie mam dość informacji – oznajmił Roosevelt. – Poszli z tym już do

gazet na całym świecie?

– Jeśli nawet, to dowiemy się o tym dopiero za kilka miesięcy – odparł Boyes. – Najświeższa gazeta, jaką widziałem, to numer „East African Standard” sprzed dziesięciu tygodni. – Czemu kontakt z prasą miałby coś zmienić?

– Bo jeśli to ujawnili, oznaczałoby to, że przygotowują się do przejęcia od nas Konga twierdząc, że nie jesteśmy w stanie zapewnić bezpieczeństwa obywatelom Europy.

– Ale to nie byli obywatele – zauważył Boyes. – Tylko żołnierze.

– Tym gorzej – odparł Roosevelt. – Jeśli nie jesteśmy w stanie zapewnić bezpieczeństwa grupie uzbrojonych mężczyzn znających Kongo, jak niby możemy ochronić kogokolwiek innego?

– Co zamierza pan zrobić z Pickeringiem? – zainteresował się Boyes.

– Gdzie jest teraz?

– W więzieniu w Leopoldville. Charlie Ross przyprowadził go pijanego w sztok i zamknął za kratkami.

– Postąpił właściwie – powiedział Roosevelt, kiwając głową z aprobatą.

– Muszę pamiętać, by go za to pochwalić.

– Obawiam się, że nie będzie miał pan okazji – stwierdził Boyes. – Wrócił do Kenii.

– Charlie? – spytał zaskoczony Roosevelt. – Sądziłem, że akurat on będzie jednym z ostatnich, którzy wyjadą.

Boyes chwilę milczał, posyłając Rooseveltowi nieco zakłopotane spojrzenie.

– Znaczy się, za wyjątkiem Yanka Rogersa i mnie?

– Wszyscy już wyjechali?

– Tak, sir – Boyes odchrząknął i mówił dalej. – Zrobił pan, co było możliwe, sir, ale wszystko się wali. Znosili to przez ponad dwa lata, ale zawsze wiedzieliśmy, że prędzej czy później odejdą. To nie urzędnicy i zarządcy, ale myśliwi i poszukiwacze przygód.

– Wiem, John – stwierdził Roosevelt, nagle przytłoczony ciężarem swych lat. – Nie mam do nich o nic pretensji. I tak pomogli bardziej, niż wolno nam było oczekiwać – przerwał i westchnął głęboko. – Miałem po prostu nadzieję, że do czasu ich odejścia, uda nam się tu stworzyć urzędy.

– Wiem, sir.

– Ciekawe, czyby się na coś zdały – myślał na głos Roosevelt, spoglądając na Boyesa. – Podróż, z której właśnie wróciłem... była tylko stratą czasu, prawda?

– Prawda, sir.

– Potrzebowaliśmy więcej nauczycieli – stwierdził Roosevelt. – Jeden człowiek nie da rady wyedukować ich z dnia na dzień. Potrzebnych było więcej nauczycieli, więcej pieniędzy i więcej czasu.

Boyes pokręcił głową.

– Potrzebny był panu inny kraj, panie prezydencie.

– Nie mówmy więcej o niższości rasy afrykańskiej, John – powiedział Roosevelt. – W tej chwili to ponad moje siły.

– Nigdy nie twierdziłem, że są gorsi, panie prezydencie – odparł Boyes wyraźnie zaskoczony.

– Ależ mówiłeś, John... i to nie raz.

– To nie tak, sir – upierał się Boyes. – Bez względu na to, co pan o tym sądzi, nie gardzę Afrykanami, ani nie żywię do nich nienawiści... dzięki czemu byłem w stanie tak długo funkcjonować w ich krajach – zamilkł na chwilę. – Rozumiem ich... na tyle, na ile może ich zrozumieć biały. Nie są gorsi, tylko inni. Rzeczy istotne dla nas, dla nich nie mają najmniejszego znaczenia, a to, co dla nich najważniejsze, nam wydaje się błahe... i właśnie dlatego nie da się z nich zrobić Amerykanów ani przez dwa krótkie lata, ani przez dwadzieścia.

– W Ameryce się udało – Roosevelt obstawał przy swoim.

– Tylko dlatego, że amerykańscy czarni asymilowali się z dominującym społeczeństwem, które już miało ustaloną strukturę i posiadało własny kraj – wyjaśnił Boyes. – Tutaj biali przychodzą i odchodzą i Afrykanie doskonale o tym wiedzą, choć sami biali najwyraźniej nie zdają sobie z tego sprawy. Mogą nas tolerować przez jakiś czas, ale nie wywrzemy trwałego wpływu na ich kulturę. – Przerwał, by Roosevelt przemyślał jego słowa, po czym mówił dalej: – W ostatecznym rozrachunku to ich kraj i ich kontynent, i któregoś dnia po prostu nas stąd wyrzucą. A to, co nastanie później, w niczym nie będzie przypominało zachodniego społeczeństwa. To będzie afrykańskie społeczeństwo, stworzone przez i dla Afrykanów. – Uśmiechnął się cierpko. – Życzę im jak najlepiej, ale



osobiście nie chciałbym w tym uczestniczyć.

– Jak już wspominałem, John, jesteś bardzo interesującym człowiekiem – oznajmił Roosevelt z dziwnym wyrazem twarzy. – Mów dalej.

– Dalej? – powtórzył Boyes z zakłopotaniem.

– Powiedz, czemu nie chciałbyś należeć do afrykańskiego narodu opartego na afrykańskich zasadach i przekonaniach.

– Z tego samego powodu, dla którego oni nie chcą stać się Amerykanami, ani Europejczykami, gdy tylko przestajemy ich przekupywać, by udawali, że jest inaczej – odpowiedział Boyes. – Ich kultura nie pokrywa się z moimi przekonaniem. Demokracja, wartości chrześcijańskie, przyjemność czerpana z literatury, szacunek dla życia, wszystkie te rzeczy mają dla pana sens, gdyż głęboko i niezmiennie pan w nie wierzy. Tutaj się nie sprawdzają, gdyż Kongijczycy zwyczajnie w nie nie wierzą. Wierzą w szamanów, kulturę plemienną, poligamię i rytuały, które nawet mnie wydają się barbarzyńskie, choć widuję je od ćwierć wieku. Nie bylibyśmy w stanie dostosować się do ich przekonań, tak jak oni nie dostosują się do naszych.

– Kontynuuj, John – wtrącił Roosevelt, a jego entuzjazm wyraźnie wzrastał.

Boyes posłał mu zaciekawione spojrzenie.

– Znów pan tak wygląda, panie prezydencie.

– Jak?

– Tak samo jak podczas naszego pierwszego spotkania w Enklawie Lado – odpowiedział Boyes.

– Jak byś to opisał? – spytał rozbawiony Roosevelt.

– Powiedziałbym, że wygląda pan jak krzyżowiec.

Roosevelt zachichotał z zachwytem.

– Niezwykle spostrzegawczy z ciebie człowiek, John – powiedział. – Na Boga, żałuję, że nie piję! Wzniósłbym za to toast!

– Z radością wypiję za nas obu, jeśli tylko mi pan powie, co jest powodem pańskiego podekscytowania – stwierdził Boyes.

– W końcu zrozumiałem, w czym tkwił mój błąd – oznajmił Roosevelt.

– W czym, sir? – spytał Boyes powściągliwie.

– We wszystkim! – powiedział Roosevelt i roześmiał się serdecznie, –

Bóg jeden wie, ile dyskusji przeprowadziłem na ten temat z tobą i z innymi, ale zawsze wychodziłem z założenia, że jestem częścią rozwiązania. Tymczasem nie jestem. – Przerwał, zachwycony nagłym odkryciem. – Jestem częścią problemu! Tak, jak i ty, John. Tak jak Brytyjczycy, Francuzi, Portugalczycy, Belgowie i każdy, kto próbuje narzucić temu kontynentowi swoją kulturę. To właśnie powtarzałeś mi ty, Mickey Norton, Charlie Ross i wszyscy pozostali, ale żaden z was nie wyjaśnił mi swojego stanowiska, ani nie doprowadził wyjaśnień do logicznego wniosku. – Przerwał ponownie, niemal nie mogąc usiedzieć w miejscu. – A teraz wreszcie zrozumiałem, co musimy zrobić, John.

– Sugeruje pan, że powinniśmy wyjechać? – spytał Boyes.

Roosevelt pokręcił głową.

– To nie takie proste, John. W końcu będziemy musieli to zrobić, ale jeśli wyjedziemy teraz, Belgowie zajmą nasze miejsce i wszystko będzie, jak dawniej. Naszym obowiązkiem... czy też naszą świętą misją, jak wolisz... jest do tego nie dopuścić i dopilnować, by Kongo mogło się rozwijać wolne od wszelkich zewnętrznych wpływów, w tym naszych.

– Z tym może być spory problem, sir – stwierdził Boyes. – Na przykład, co z misjonarzami?

– Jeśli udało im się kogoś nawrócić, są tu z woli ludu i stali się częścią całego procesu – odpowiedział Roosevelt po chwili namysłu. – A jeśli nie, to w końcu się poddadzą i wrócą do domu.

– No dobrze – rzucił Boyes. – Co w takim razie z...

– Wszystko w swoim czasie, John – przerwał mu Roosevelt. – Będziemy musieli dopracować tysiące szczegółów, ale coś mi mówi, że po dwuletnim falstarcie, w końcu znaleźliśmy właściwą drogę. – Przerwał zamyślony. – Nasz pierwszy problem to Billy Pickering.

– Jeśli martwią pana Belgowie, to nie możemy postawić go przed sądem przysięgłych – stwierdził Boyes. – Ci ludzie od dziesięcioleci nienawidzą Belgów. Uznają go za winnego co najwyżej pozbycia się robactwa, a zaraz potem pewnie wybiorą na prezydenta.

– Nie, proces przed ławą przysięgłych jest wykluczony – przyznał Roosevelt. – Ale nie z powodów, które podałeś.

– Nie?

– Nie możemy go przeprowadzić, gdyż to zachodnia instytucja, a to

przecież zamierzamy wyeliminować... no, chyba że powstanie w sposób spontaniczny.

– To chce pan przeprowadzić egzekucję? – spytał Boyes. – To chyba zadowoliliby Belgów.

Roosevelt energicznie pokręcił głową.

– Nie zajmujemy się tu zadowalaniem Belgów, John – oznajmił w zamyśleniu. – Niech Yank Rogers eskortuje go do najbliższej granicy i powie mu, że ma nigdy więcej nie wracać do Konga. Jeśli Belgowie czegoś od niego chcą, niech sami go sobie złapią.

Po zniesieniu w trybie przyspieszonym systemu sprawiedliwości narzuconego wcześniej krajowi, Roosevelt poświęcił resztę tygodnia na skwapliwe usuwanie reszty przejawów demokracji, którą sprowadził do Konga.

### XIII.

Roosevelt siedział w cieniu wiekowego baobabu, pisząc cotygodniowy list do Edith. Od czasu zmiany wizji przyszłości Konga minęły trzy tygodnie, co opisywał z dużym entuzjazmem, wplatając gdzieś zapytania o Kermita, Quentina, Alice i pozostałe dzieci.

Boyes siedział nieopodal, pochłonięty najświeższymi dziennikami Fredericka Selousa z osobistą dedykacją dla Roosevelta, dla którego słynny podróżnik osobiście zorganizował safari trzy lata wcześniej.

Nagle na rozległym trawniku budynku rządowego pojawił się Yank Rogers i podszedł do Roosevelta.

– O co chodzi, Yank?

– Mamy towarzystwo – odpowiedział Yank z pogardą wymalowaną na twarzy.

– Kto przyszedł?

– Nasz stary znajomy, Silva – odpowiedział Rogers. – Zaprowadzić go do twojego gabinetu?

Roosevelt pokręcił głową.

– Dzień jest tak piękny, że żał wchodzić do środka, Yank. Tutaj z nim

pomówię.

Rogers wzruszył ramionami, obszedł budynek i chwilę później wrócił z Gerardem Silva.

– Witam, panie Silva – powiedział Roosevelt, wstając i podając mu rękę.

– Ambasadorze Silva – poprawił Silva, zdawkowo ściskając dłoń Roosevelta.

– Nie wiedziałem, że Belgia przysłała ambasadora do Wolnego Państwa Konga.

– Mój oficjalny tytuł to ambasador w misji specjalnej – wyjaśnił Silva.

– No to przebył pan długą drogę od czasu, gdy pełnił pan funkcję zastępcy gubernatora niedochodowej kolonii – stwierdził Roosevelt lekko.

– Pan przebył równie długą drogę od obietnicy zrobienia z Konga drugiej Ameryki – odparł Silva chłodno. – I to prowadząc wyłącznie w dół.

– To kwestia odpowiedniej perspektywy – powiedział Roosevelt.

Zapadła niezręczna cisza.

– Przybyłem do Stanleyville z dwóch powodów, panie Roosevelt – odezwał się w końcu Silva.

– Domyślałem się, że nie odbył pan takiej podróży bez powodu – odparł Roosevelt.

– Po pierwsze, przyjechałem zapytać o pewnego mężczyznę, niejakiego Pickeringa.

– Pan Pickering został deportowany jakieś dziesięćnaście dni temu jako osoba niepożądana – odpowiedział natychmiast Roosevelt.

– Deportowany? – spytał rozszoszczony Silva. – Zabił czterech belgijskich żołnierzy!

– To tylko pogłoski, panie Silva – odpowiedział Roosevelt. – Nie znaleźliśmy naocznych świadków, którzy by to potwierdzili.

– Pickering sam to potwierdził!

– Dlatego właśnie został deportowany – wyjaśnił Roosevelt. – Pomimo braku dowodów wystarczających do skazania, uznaliśmy, że bardzo prawdopodobne jest, iż mówi prawdę. Stał się przez to niepożądanym cudzoziemcem, więc odeskortowano go do granicy i zabroniono wracać.

- Wypuściliście go!  
- Deportowaliśmy.  
- To nie do przyjęcia.  
- Jesteśmy wolnym i niezależnym narodem, panie Silva – oznajmił Roosevelt, a w jego wysokim głosie można było wyczuć nutkę złości. – Ośmiela się pan mówić, jak mamy prowadzić swoje sprawy wewnętrzne?  
- Mówię, że takie postępowanie jest nie do przyjęcia przez rząd belgijski – odparł Silva szorstko.  
- W takim razie, gdyby pan Pickering przyznał się do popełnienia morderstwa na terytorium Belgii, pański rząd z pewnością postąpiłby w sposób, który byłby w stanie zaakceptować. – Roosevelt przerwał, a Boyes robił, co mógł, by powstrzymać się od śmiechu. – Jeśli mnie pamięć nie myli, istnieje również drugi powód pańskiej wizyty w Stanleyville?

Silva skinął głową.

- Zgadza się, panie Roosevelt. Przynoszę propozycję mojego rządu.  
- Tego samego, którego rozwścieczyła deportacja pana Pickeringa? – spytał Roosevelt. – Ależ proszę bardzo, chętnie jej wysłucham.  
- Pański eksperyment zakończył się całkowitą porażką, panie Roosevelt – zaczął Silva, wyraźnie czerpiąc ogromną przyjemność z każdego wypowiedzianego słowa. – Pańskie ministerstwo finansów zbankrutowało, drogi i linia kolejowa nigdy nie zostaną ukończone, a mostów i kanałów w ogóle nie ma. Nie udało się zorganizować wyborów krajowych, które obiecał pan społeczności międzynarodowej. Opuściła pana nawet ta garstka ludzi, która towarzyszyła panu na początku tego tragicznego przedsięwzięcia. – Silva przerwał z uśmiechem. – Musi pan przyznać, że znalazł się pan w sytuacji nie do pozazdroszczenia, panie Roosevelt.

- Do rzeczy, panie Silva.

- Rząd Belgii gotów jest puścić w niepamięć dzielące nas nieporozumienia.

- Jakże uprzejmie z jego strony – zauważył Roosevelt oschle.

- Jeśli oficjalnie poprosi nas pan o pomoc – mówił dalej Silva – skłonni będziemy z powrotem przyjąć na siebie odpowiedzialność za zarządzanie Kongiem. – Ponownie się uśmiechnął. – Tak naprawdę nie

ma pan wyjścia, panie Roosevelt. Z każdym kolejnym dniem Kongo staje się coraz bardziej niewypłacalne i barbarzyńskie.

Roosevelt roześmiał się chrapliwie.

– Pana rząd ma naprawdę niebywałe poczucie humoru, panie Silva.

– Odrzuca pan naszą ofertę?

– Naturalnie – odparł Roosevelt. – I ma pan szczęście, że nie wziąłem pana za fraki i nie odesłałem prosto do Brukseli.

– Czy muszę dodawać, że w razie gdyby mój rząd stwierdził, iż zasadnicze interesy Konga wymagają naszej obecności, nie ma pan stałej armii, która mogłaby powstrzymać naszą interwencję?

Roosevelt zerknął na zegarek na nadgarstku ambasadora.

– Panie Silva – powiedział – dam panu sześćdziesiąt sekund na pożegnanie się i wyjście. Jeśli po upływie tego czasu jeszcze pan tu będzie, pan Boyes doprowadzi pana do najbliższego środka transportu i odeśle do Belgii.

– To pana ostatnie słowo? – nie ustępował Silva, czerwieniejąc na twarzy pomimo głębokiej opalenizny.

– Moje ostatnie słowo skierowane jest do króla Alberta – odparł Roosevelt z ożywieniem. – Ale jako że jestem chrześcijaninem i dżentelmenem, nie mogę go wypowiedzieć. A teraz proszę mi zejść z oczu.

Silva spiorunował go wzrokiem, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

Roosevelt zwrócił się w stronę Boyesa, który nadal siedział na krześle z książką w ręku.

– Słyszałeś to? – spytał.

– Co do słowa – odpowiedział Boyes z uśmiechem. – Szkoda, że nie został jeszcze te czterdzieści sekund. – Wstał i podszedł do Roosevelta. – Co planuje pan zrobić z Belgami?

– Nie możemy ich tu z powrotem wpuścić, to na pewno – stwierdził Roosevelt.

– Jak chce ich pan powstrzymać?

Zamyślony Roosevelt pochylił na chwilę głowę, a potem spojrzał na Boyesa.

– Jest na to tylko jeden sposób, John.

– Zebrać armię?

Roosevelt pokręcił głową z uśmiechem.

– Jak byśmy ją opłacili? Poza tym, nie chcemy wojny. Chcemy mieć tylko pewność, że Kongo będzie mogło się swobodnie rozwijać, bez obcych ingerencji.

– Co pan planuje? – spytał Boyes.

– Zamierzam wrócić do Ameryki i wystartować ponownie w wyborach prezydenckich – oznajmił Roosevelt. – Bill Taft to tłusty głupiec i błędem było przekazanie mu kraju. Dojdę do władzy dzięki postulatowi utworzenia amerykańskiego protektoratu w Kongu. Po czymś takim Belgowie dobrze się zastanowią, nim znów spróbują tu wkroczyć! – Pokiwał energicznie głową. – Tak właśnie muszę postąpić, jeśli ci ludzie mają mieć możliwość pielęgnowania swojej kultury na swój sposób. – Jego oczy błyszczały zapalem. – Wyjeżdżam jeszcze dziś po południu! Zabiorę ze sobą Yanka; na pewno znajdzie się dla niego miejsce w Waszyngtonie.

– Ale zdaje pan sobie sprawę z tego, co się stanie, jeśli pan przegra? – spytał Boyes. – W pięć minut wkroczą tu Belgowie.

– W takim razie nie ma czasu do stracenia, prawda? – rzucił Roosevelt.

– Naturalnie możesz jechać ze mną, John.

Boyes pokręcił głową.

– Dziękuję za propozycję, panie prezydencie, ale w Afryce jeszcze można zarobić parę groszy. – Przerwał. – Zostanę w Stanleyville do pańskiego powrotu lub do chwili, gdy dowiem się, że przegrał pan wybory.

– Nieco więcej optymizmu, John – powiedział Roosevelt z uśmiechem.

– Słowa „porażka” nie ma w naszym słowniku.

Boyes przyglądał mu się dłuższą chwilę.

– Pan naprawdę tak sądzi, prawda? – powiedział w końcu, gdy to sobie uświadomił. – Naprawdę będzie pan ponownie kandydował.

– Naturalnie, że tak.

– Nigdy nie ma pan dość wyzwań? – spytał Boyes.

– A ty masz kiedykolwiek dość oddychania? – odparł Roosevelt, a twarz mu się rozpromieniła na myśl o przyszłości. Następnie zaczął wymieniać przeszkody, którym musi stawić czoła. – W pierwszej kolejności wybory,

potem protektorat nad Kongiem i zobaczymy, w jakim kierunku rozwinie się społeczeństwo. – Zamilkł. – Zaczynamy cudowny eksperyment, John.

– Niewątpliwie interesujący – przyznał Boyes.

– Mało powiedziane – rzucił Roosevelt z entuzjazmem. – To będzie naprawdę kapitalna zabawa!

Dnia 17 kwietnia 1912 roku.

#### XIV.

Po powrocie z Konga do domu, Theodore Roosevelt nie otrzymał republikańskiej nominacji w wyborach prezydenckich w 1912 roku. Niezrażony, założył Partię Postępową i kandydował z jej ramienia, a gdy wszystkim zdawało się, że wygraną ma już w kieszeni, czternastego października został postrzelony w klatkę piersiową przez fanatyka, Johna Chranka. Choć doszedł do siebie, nie był w stanie dalej prowadzić kampanii i przegrał wybory z Woodrowem Wilsonem, znacznie jednak wyprzedzając urzędującego republikańskiego prezydenta, Williama Howarda Tafta. Resztę zdrowia stracił w 1914 roku podczas wyprawy mającej na celu zbadanie biegu Rzeki Zwątpienia (później nazwanej Rzeką Roosevelta), którą odbył na życzenie brazylijskiego rządu. Nigdy nie wrócił do Afryki. Zmarł w swojej rezydencji Sagamore Hill w Nowym Jorku szóstego stycznia tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku.

John Boyes zarobił i stracił jeszcze trzy fortuny w Brytyjskiej Afryce Wschodniej. Swe ostatnie dni spędził powoząc konnym wozem mleczarskim w Nairobi. Zmarł w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku.

Belgijskie Kongo (później nazwane Zairem) uzyskało niepodległość w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku i wówczas przeprowadzono pierwsze i jedyne wolne wybory w tym państwie. Następnie kraj na trzy lata pogrążył się w najkrwawszej wojnie międzyplemiennej w historii kontynentu.



# KIRINYAGA

# Doskonale piękny poranek, z szakalami

*One Perfect Morning, With Jackals*, przeł. Paulina Braiter  
Nominacja Hugo 1991

19 kwietnia 2123

*Ngai jest stwórcą wszystkiego, co istnieje. Stworzył lwa i słonia, bezkresną sawannę i wyniosłe góry, Kikuju, Masajów i Wakambów.*

*Nic dziwnego zatem, iż ojciec mego ojca, a także ojciec jego ojca wierzył, że Ngai jest wszechmocny. Potem jednak przybyli Europejczycy, którzy wybili wszystkie zwierzęta, pokryli sawanny swymi fabrykami, a góry – miastami, wchłonęli Masajów i Wakambów, póki pewnego dnia ze wszystkich dzieł Ngai nie pozostali jedynie Kikuju.*

*I właśnie pośród Kikuju Ngai wydał ostatnią walkę bogu Europejczyków.*

Mój były syn pochylił głowę, wkraczając do chaty.

– Jambo, ojcze – rzekł. Wyraźnie czuł się niezręcznie w niewielkim pomieszczeniu, ograniczonym okrągłymi ścianami.

– Jambo, Edwardzie – odparłem.

Stał przede mną, nie wiedząc, co począć z rękami. W końcu wsunął je do kieszeni eleganckiego jedwabnego garnituru.

– Przyjechałem, żeby zawieźć cię do kosmoportu – oznajmił po chwili.

Skinąłem głową i powoli wstałem z ziemi.

– Już czas.

– Gdzie twój bagaż?

– Mam go na sobie – wyjaśniłem, wskazując swoje ciemnoczerwone *kikoi*.

– Nie bierzesz nic więcej? – spytał ze zdumieniem.

– Nie ma nic, co jeszcze chciałbym zabrać.

Zawahał się, z zakłopotaniem przestępując z nogi na nogę, jak zawsze w mojej obecności.

– Może już wyjdziemy? – zaproponował wreszcie, podchodząc do drzwi chaty. – Tu w środku jest okropnie gorąco, a te muchy mogą

wykończyć każdego.

– Musisz nauczyć się nie zwracać na nie uwagi.

– Wcale nie muszę – zaprotestował, jakby broniąc się przed niewypowiedzianym zarzutem. – Tam gdzie mieszkam, nie ma much.

– Wiem. Wszystkie zostały wytępione.

– Mówisz tak, jakby nie było to błogosławieństwo, lecz grzech.

Wzruszyłem ramionami i w ślad za nim wyszedłem na dwór, gdzie dwie z moich kur zawzięcie dziobały suchą czerwoną ziemię.

– Piękny dziś mamy ranek, prawda? – zagadnął. – Obawiałem się, że może być tak gorąco jak wczoraj.

Spojrzałem na bezkresną sawannę, zamienioną w orne pola. Pszenica i kukurydza niemal połyskiwały w porannym słońcu.

– Doskonale piękny – zgodziłem się. Odwróciwszy się, ujrzałem wspaniały pojazd, zaparkowany jakieś trzydzieści jardów dalej, smukły, biały, lśniący chromem.

– Nowy? – spytałem, wskazując wóz. Przytaknął z dumą.

– Kupiłem go w zeszłym tygodniu.

– Niemiecki?

– Angielski.

– Oczywiście – rzekłem.

Duma, malująca się na jego twarzy, zniknęła. Ponownie przestąpił z nogi na nogę.

– Jesteś gotów?

– Od bardzo dawna – powiedziałem, otwierając drzwi i sadowiąc się w fotelu pasażera.

– Nigdy dotąd nie widziałem, abyś to robił – zauważył, także zajmując miejsce i włączając silnik.

– Co?

– Zapinał pas bezpieczeństwa.

– Nigdy dotąd nie miałem tak wielu powodów, by nie zginąć w wypadku – wyjaśniłem.

Zmusił się do uśmiechu. Po chwili odezwał się ponownie, zmieniając temat.

– Mam dla ciebie niespodziankę – oznajmił. Samochód ruszył naprzód, a ja obejrzałem się, by po raz ostatni spojrzeć na moją *bomę*.

- Ach tak?
- Skinął głową.
- Zobaczysz ją po drodze do portu.
- Co to jest? – spytałem.
- Gdybym ci powiedział, nie byłoby niespodzianki.
- W milczeniu wzruszyłem ramionami.
- Żeby dotrzeć do miejsca, które chcę ci pokazać, musimy pojechać bocznymi drogami – ciągnął. – Przy okazji będziesz mógł ostatni raz spojrzeć na swój kraj.
- To nie jest mój kraj.
- Proszę, nie zaczynaj.
- Moja ojczyzna tętni życiem – powiedziałem z uporem. – Ten kraj dusi się pod warstwą betonu i stali; jego ziemie porastają łąny europejskich zbóż.
- Ojczyzna – rzekł ze znużeniem; mijaliśmy właśnie wielkie pole pszenicy – ostatnie słonie i lwy zostały zabite na długo przed twoim urodzeniem. Nigdy nie widziałeś Kenii tętniącej życiem.
- Owszem, widziałem.
- Kiedy?
- Uniosłem dłoń do głowy.
- Tutaj.
- To nie ma najmniejszego sensu – westchnął. Widziałem, że próbuje opanować rozdrażnienie.
- Co?
- To, że odwracasz się plecami do Kenii i wyruszasz na jakąś przysposobioną do ziemskiego życia planetoidę tylko dlatego, że chcesz po przebudzeniu ze snu ujrzeć stadko pasących się zwierząt.
- Nie odwróciłem się plecami do Kenii, Edwardzie – rzekłem cierpliwie. – To ona odwróciła się od nas.
- Nieprawda. Prezydent i większość członków jego gabinetu to Kikuju. Wiesz o tym doskonale.
- Nazywają siebie Kikuju – powiedziałem – jednak nie czyni ich to nimi.
- Oni są Kikuju! – upierał się.
- Kikuju nie mieszkają w miastach zbudowanych przez

Europejczyków. Nie ubierają się jak Europejczycy. Nie czczą boga Europejczyków. I nie jeżdżą europejskimi maszynami – dodałem cierpko. – Twój wspaniały prezydent jest nadal *kehee* – chłopcem, który nie przystąpił do rytuału obrzezania.

– Chłopcem? Skończył pięćdziesiąt siedem lat.

– Jego wiek nie ma znaczenia.

– Ale osiągnięcia owszem. To on doprowadził do budowy rurociągu turkańskiego, który nawodnił cały Północny Okręg Przygraniczny.

– Jest zatem *kehee*, który dostarczył wodę Turkanom, Rendillom i Samburu – zgodziłem się. – Co to obchodzi Kikuju?

– Czemu upierasz się, by mówić jak stary, prymitywny dzikus? – W jego głosie zabrzmiała irytacja. – Pobierałeś nauki w Europie i Ameryce. Wiesz, co osiągnął nasz prezydent.

– Mówię tak, jak mówię, właśnie dlatego, że pobierałem nauki w Europie i Ameryce. Widziałem, jak Nairobi zmienia się w drugi Londyn, brudny i przeludniony, a Mombasa w kolejne Miami, nękanie zbrodnią i chorobami. Patrzyłem, jak nasi ludzie zapominają, co to znaczy być Kikuju, i szczycą się tym, że są Kenijczykami, jakby Kenia była czymś więcej niż tylko kilkoma liniami, arbitralnie wytyczonymi na europejskiej mapie.

– Linie te istnieją już od ponad trzystu lat – zauważył. Westchnąłem.

– Choć tak długo mnie znasz, nigdy mnie nie rozumiałeś, Edwardzie.

– Zrozumienie działa w obie strony – odparł z nagłą goryczą. – Czy ty z kolei kiedykolwiek próbowałeś zrozumieć mnie?

– Wychowałem cię.

– Ale do dziś dnia mnie nie poznałeś – rzekł, niebezpiecznie przyspieszając na wyboistej drodze. – Czy choć raz rozmawialiśmy ze sobą jak ojciec z synem? Zawsze opowiadałeś mi tylko o Kikuju. – Urwał. – Byłem jedynym Kikuju, który dostał się do narodowej reprezentacji koszykówki, lecz ty nigdy nie przyszedłeś na żaden mój mecz.

– To europejska gra.

– Ścisłe mówiąc, amerykańska.

Wzruszyłem ramionami.

– Na jedno wychodzi.

– A teraz stała się także grą afrykańską. Grałem w jedynym jak dotąd

kenijskim zespole, któremu udało się pokonać Amerykanów. Miałem nadzieję, że będziesz ze mnie dumny, jednak ty nigdy nawet o tym nie wspomniałeś.

– Słyszałem wiele historii o Edwardzie Kimante, który grał w koszykówkę z Europejczykami i Amerykanami – oznajmiłem. – Ale wiedziałem, że to nie może być mój syn, jemu bowiem nadałem imię Koriba.

– A moja matka dała mi na drugie Edward. Ponieważ to ona rozmawiała ze mną i pomagała mi w kłopotach, a nie ty, przyjąłem imię, które dla mnie wybrała.

– Masz takie prawo.

– Nie obchodzi mnie żadne prawa! – Umilkł. – Nie musiało tak być.

– Pozostałem wierny swoim przekonaniom – powiedziałem. – To ty usiłowałeś stać się Kenijczykiem, a nie Kikuju.

– Ja jestem Kenijczykiem. Mieszkam tu, pracuję i kocham mój kraj. Cały, nie tylko maleńką cząstkę.

Westchnąłem głęboko.

– Jesteś nieodrodnym synem swojej matki.

– Nawet o nią nie spytałeś – zauważył.

– Gdyby źle się czuła, wspomniałbyś o tym.

– I to wszystko, co masz do powiedzenia o kobiecie, z którą żyłeś przez siedemnaście lat? – wybuchnął.

– To ona odeszła, aby zamieszkać w mieście Europejczyków, nie ja.

Zaśmiał się gorzko.

– Nakuru trudno nazwać europejskim miastem. Mieszkają w nim dwa miliony Kenijczyków i niespełna dwadzieścia tysięcy białych.

– Każde miasto jest z definicji europejskie. Kikuju nie żyją w miastach.

– Rozejrzyj się wokół! – W jego głosie zadźwięczała nutka desperacji. – Ponad dziewięćdziesiąt pięć procent z nich żyje w miastach.

– Zatem nie są już Kikuju – stwierdziłem pogodnie. Zaciśnął palce na kierownicy, tak mocno, że poszarzały mu kostki.

– Nie chcę się z tobą kłócić – oświadczył, z trudem kontrolując targające nim emocje. – Mam wrażenie, że zawsze tylko się spieramy. Jesteś moim ojcem i mimo że tak wiele nas dzieli, kocham cię. Miałem nadzieję, że dziś zdołam się z tobą pogodzić – w końcu już nigdy się nie

zobaczymy.

– Nie mam nic przeciw temu – odparłem. – Nie lubię kłótni.

– A jednak przez dwanaście lat wyklócałeś się z rządem o sponsorowanie twojego nowego świata. Dziwne, jak na człowieka, który nie lubi kłótni.

– Nie chodziło mi o kłótnie, lecz o ich rezultat.

– Czy zdecydowali już, jak go nazwać?

– Kirinyaga.

– Kirinyaga? – powtórzył, zaskoczony. Przytaknąłem.

– Czyż Ngai nie zasiada na swym złotym tronie właśnie na szczycie Kirinyagi?

– Na szczycie góry Kenia nie ma nic, oprócz miasta.

– Widzisz? – powiedziałem z uśmiechem. – Europejczycy zbeczcili nawet nazwę świętej góry. Czas już, abyśmy dali Ngai nową Kirinyagę, z której będzie władał Wszechświatem.

– Może rzeczywiście nazwa pasuje. W dzisiejszej Kenii nie zostało już zbyt wiele miejsca dla Ngai.

Nagle zwolnił i w chwilę później zjechaliśmy z drogi, przecinając świeżo skoszone pole. Prowadził bardzo ostrożnie, aby nie uszkodzić swojego nowego wozu.

– Dokąd jedziemy? – spytałem.

– Mówiłem już: mam dla ciebie niespodziankę.

– Jakaż to niespodzianka może na mnie czekać pośrodku pustego pola?

– Sam zobaczysz.

Zahamował ostro jakieś dwadzieścia jardów od kępy ciernistych krzaków i wyłączył silnik.

– Spójrz uważnie – szepnął.

Przez moment przyglądałem się krzakom, nie dostrzegając niczego. Nagle, w jednej chwili obraz wyostrzył się i ujrzałem dwa szakale, stojące za krzewami i patrzące na nas nieśmiało.

– Od ponad dwudziestu lat nie było tu żadnych zwierząt – rzekłem.

– Najwyraźniej przywędrowały w te okolice po ostatniej porze deszczowej – odparł cicho. – Przypuszczam, że żywią się ptakami i gryzoniami.

– Jak je znalazłeś?

– Nie ja – odrzekł. – Przyjaciel w Departamencie Łowiectwa powiedział mi, że tu są. – Zawiesił głos. – W przyszłym tygodniu zostaną schwytane i przeniesione do jednego z parków narodowych, zanim zdążą poczynić zbyt wielkie szkody.

Wydawały się całkowicie zagubione, polując w bruzdach, pozostawionych przez wielkie młockarnie i kombajny zbożowe, szukając bezpiecznego schronienia na nie istniejącej od ponad wieku sawannie, kryjąc się nie przed innymi drapieżnikami, lecz przed samochodami. Poczulem, że łączy nas pewne pokrewieństwo.

Jakieś pięć minut przyglądaliśmy się im w milczeniu. Potem Edward zerknął na czasomierz i uznał, że musimy już ruszać do kosmoportu.

– Podobały ci się? – spytał, gdy wyjechaliśmy z powrotem na drogę.

– Bardzo – odparłem.

– Miałem taką nadzieję.

– Powiadasz, że przenoszą je do parku?

Skinął głową.

– Kilkaset mil na północ, tak przynajmniej słyszałem.

– Szakale żyły na tej ziemi na długo przedtem, nim zjawił się tu pierwszy rolnik – zauważyłem.

– Ale dziś są już anachronizmem. Nie ma tu dla nich miejsca.

Przytaknąłem.

– To logiczne.

– Co? Że szakale zostaną przeniesione do parku?

– Że Kikuju, którzy byli tu przed Kenijczykami, odchodzą do nowego świata – odrzekłem. – My bowiem również jesteśmy anachronizmem, dla którego nie ma tu miejsca.

Samochód przyspieszył i wkrótce zostawiliśmy za sobą tereny rolnicze, wjeżdżając na przedmieścia Nairobi.

– Co będziesz robił na Kirinyadze? – spytał, przerywając w końcu milczenie.

– Żył wraz z innymi wedle zwyczajów Kikuju.

– Chodziło mi o ciebie, twoje zajęcie.

Uśmiechnąłem się, wiedząc, jak zareaguje.

– Mam zostać *mundumugu*.

– Szamanem? – powtórzył z niedowierzaniem.



- Nie inaczej.
- Ależ ojcze! - wykrzyknął. - Jesteś przecież wykształconym człowiekiem. Jak możesz siedzieć na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, rzucać kośćmi i odczytywać przyszłość?
- *Mundumugu* jest także nauczycielem i strażnikiem zwyczajów szczepu - odparłem. - To zaszczytna funkcja.
- Oszołomiony, potrząsnął głową.
- Mam więc wyjaśnić ludziom, że mój ojciec został czarownikiem?
- Nie musisz lękać się ośmieszenia. Wystarczy jedynie, byś powiedział, że *mundumugu* Kirinyagi nazywa się Koriba.
- To moje imię!
- Nowy świat wymaga nowego imienia - oznajmiłem. - Ty odrzuciłeś je, wybierając europejskie. Teraz ja przyjmę twoje imię i wykorzystam w dobrej sprawie.
- Mówisz poważnie, prawda? - spytał, podjeżdżając pod bramę kosmoportu.
- Od dziś nazywam się Koriba.
- Samochód zatrzymał się.
- Mam nadzieję, że przyniesiesz temu mianu większy zaszczyt niż ja, ojcze - rzekł, po raz ostatni podejmując próbę pojednania.
- Przyniosłeś zaszczyt imieniu, które sam sobie wybrałeś odparłem. - To wystarczy, jak na jedno ludzkie życie.
- Naprawdę tak sądzisz?
- Oczywiście.
- Dlaczego więc nigdy wcześniej nie powiedziałeś mi tego?
- A nie powiedziałem? - spytałem zdumiony. Wysiedliśmy z samochodu i odprowadził mnie do bramki dla odlatujących. W końcu przystanął.
- Dalej nie wolno mi iść.
- Dziękuję za podwiezienie - rzekłem. Skłonił głowę. - I za szakale - dodałem. - To był naprawdę doskonale piękny poranek.
- Będę za tobą tęsknił, mój ojcze.
- Wiem.
- Zdawało się, że czeka, bym powiedział coś jeszcze, ale nic więcej nie przychodziło mi do głowy.

Przez chwilę miałem wrażenie, że zamierza mnie objąć i uścisnąć, zamiast tego jednak wyciągnął rękę, ujął moją dłoń, wymamrotał coś na pożegnanie i odwróciwszy się na pięcie odszedł.

Sądziłem, że pójdzie prosto do samochodu, ale kiedy wyjrzałem przez iluminator statku, który miał zanieść nas na Kirinyagę, ujrzałem go. Stał przy wielkim oszklonym oknie, machając ręką. W drugiej trzymał chusteczkę.

To była ostatnia rzecz, jaką zobaczyłem przed startem. Lecz obrazem, który pozostał w mojej głowie, był widok dwóch szakali, oglądających obce zjawiska w kraju, który także stał się dla nich obcy. Miałem nadzieję, że przywykną do nowego życia w stworzonym dla nich sztucznie parku.

Coś mi mówiło, że wkrótce sam się przekonam.

# Kirinyaga

*Kirinyaga*, przeł. Paulina Braiter  
Nagroda Hugo, nominacja Nebula 1988

Na początku Ngai żył samotnie na szczycie góry, zwanej Kirinyagą. A kiedy dojrzał czas, stworzył Ngai trzech synów, którzy stali się ojcami plemion Masajów, Kamba i Kikuju. I dał synom włócznię, łuk i kij do kopania ziemi. Masaj wybrał włócznię i Ngai kazał mu doglądać stad na rozległych sawannach. Kamba wziął łuk i przypadły mu polowania w gęstych lasach.

Lecz Gikuju, pierwszy Kikuju, wiedział, że Ngai ukochał sobie ziemię i zmiany pór roku, toteż wybrał kij. Aby go za to wynagrodzić, Ngai nie tylko nauczył go sekretów siewu i żniw, ale też podarował mu Kirinyagę z jej świętym drzewem figowym i leżącą wokół żyzną krainą.

Synowie i córki Gikuju pozostali na Kirinyadze, póki nie zjawił się biały człowiek i nie odebrał im ich ziemi. Jednak nawet kiedy biali zostali przegnani, Kikuju nie powrócili na Kirinyagę, woląc pozostać w miastach, nosić zachodnie stroje, używać zachodnich maszyn i żyć życiem ludzi Zachodu.

Nawet ja sam, który jestem *mundumugu* – szamanem – urodziłem się w mieście. Nigdy nie widziałem lwa, słonia czy nosorożca, bowiem wszystkie wyginęły na długo przed moim urodzeniem, nie oglądałem też Kirinyagi taką, jak chciał Ngai, gdyż dziś jej zbocza pokrywa ruchliwe, zatłoczone miasto o trzech milionach mieszkańców, z każdym rokiem zbliżając się coraz bardziej do tronu Ngai na szczycie góry. Nawet Kikuju zapomnieli jej prawdziwej nazwy i obecnie znana jest tylko jako Góra Kenia.

Wygnanie z Raju, które spotkało chrześcijańskich Adama i Ewę, to straszliwy los, lecz życie obok zbezczeszczonego rajy jest czymś nieskończenie gorszym. Często o nich myślę – o wszystkich potomkach Kikuju, którzy zapomnieli o swych początkach i zwyczajach, stając się jedynie Kenijczykami, i zastanawiam się, czemu tak niewielu z nich dołączyło do nas, kiedy stworzyliśmy eutopijski świat Kirinyagi.

To prawda, nasze życie jest ciężkie, bowiem Ngai nie ofiarował nam łatwego losu, ale znajdujemy tu spełnienie. żyjemy w harmonii z otoczeniem, składamy ofiary, kiedy Ngai zrosi łzami współczucia nasze pola, zasilając plony i zabijamy kozła w podzięcie za dobre zbiory.

Nasze przyjemności są bardzo proste: tykwa pombe do picia, ciepło bomy po zachodzie słońca, płacz nowo narodzonego syna czy córki, zmagania w biegach i rzucie włócznią, nocne śpiewy i tańce.

Kontrola dyskretnie obserwuje Kirinyagę, w razie konieczności dokonując drobnych korekt orbity po to, aby utrzymać nasz tropikalny klimat. Od czasu do czasu czynią delikatne sugestie, proponując, żebyśmy skorzystali z ich wiedzy medycznej, czy może pozwolili naszym dzieciom na naukę przy użyciu ich metod, jak dotąd jednak bez urazy przyjmowali odmowy i nigdy nie próbowali wtrącać się do naszych spraw.

Póki nie udusiłem dziecka.

Zaledwie w godzinę później odszukał mnie Koinnage, nasz najwyższy wódz.

– To było niemądre, Koribo – powiedział ponuro.

– Nie miałem wyboru – odparłem. – Dobrze o tym wiesz.

– Oczywiście, że miałeś wybór. Mogłeś pozwolić dziecku żyć. – Urwał, starając się opanować gniew i strach. – Nikt z kontroli nie postawił nigdy stopy na Kirinyadze, teraz jednak się zjawia.

– Niech przyjeżdżają – wzruszyłem ramionami. – Nie złamaliśmy żadnego prawa.

– Zabiliśmy dziecko – odrzekł. – Przybędą i unieważnią naszą umowę!

Potrząsnąłem głową.

– Nikt nie unieważni naszej umowy.

– Nie bądź tego taki pewien, Koribo – ostrzegł. – Możesz pogrzebać kozła żywcem, a oni obserwując nas pokręcą tylko głowami, wymieniając między sobą pogardliwe uwagi na temat naszej wiary. Możesz oddawać starców i kaleki hienom na pożarcie, a oni spojrzą na nas z niesmakiem i nazwą bezbożnymi poganami. Mówię ci jednak, że zabicie noworodka to zupełnie inna sprawa. Nie będą siedzieli beczynnie; przybędą.

- Jeśli to zrobią, wyjaśnię, czemu go zabiłem – odparłem spokojnie.
- Nie przyjmą twoich odpowiedzi – stwierdził Koinnaga. – Nie rozumieją.
- Nie będą mieli wyboru. To jest Kirinyaga, a im nie wolno interweniować.
- Znajdą jakiś sposób – oznajmił z niezachwianą pewnością. – Musimy przeprosić i zapewnić, że więcej się to nie zdarzy.
- Nie przeprosimy – odrzekłem surowo. – Nie możemy też przyrzec, że to się nie powtórzy.
- W takim razie sam, jako najwyższy wódz, przeproszę w naszym imieniu.

Wpatrywałem się w niego przez dłuższą chwilę, po czym wzruszyłem ramionami.

- Rób, jak uważasz.

W jego oczach dostrzegłem nagłe przerażenie.

- Co ze mną uczynisz? – spytał z lękiem.

- Ja? Zupełnie nic. Czyż nie jesteś moim wodzem? – Kiedy wyraźnie się odprężył, dodałem: – Ale na twoim miejscu wystrzegalbym się owadów.

- Owadów? – powtórzył. – Dlaczego?

- Ponieważ następny owad, który cię ugryzie – czy to pająk, komar czy mucha – z pewnością cię zabije – odparłem. – Krew zagotuje ci się w żyłach, a kości zamienią w galaretę. Będziesz chciał krzyczeć z bólu, lecz nie zdołasz wydać z siebie żadnego głosu. – Urwałem. – Nie jest to śmierć, jakiej życzyłbym przyjacielowi – dodałem z powagą.

- Czy nie jesteśmy przyjaciółmi, Koribo? – spytał; jego hebanowa twarz poszarzała, przybierając barwę popiołu.

- Dotąd tak sądziłem – powiedziałem. – Ale moi przyjaciele przestrzegają dawnych zwyczajów. Nie przepraszają białego człowieka.

- Nie przeproszę! – obiecał pospiesznie, spluwając w dłonie, aby podkreślić, że dotrzyma słowa.

Otworłem jeden z woreczków, które noszę u pasa i wyjąłem z niego mały gładki kamyk, znaleziony na brzegu płynącej w pobliżu rzeki.

- Noś go na szyi – poleciłem, podając go Koinnagemu. – On cię obroni przed ukąszeniami owadów.

- Dziękuję ci, Koribo – powiedział ze szczerą wdzięcznością i kolejny

kryzys został zażegnany.

Jeszcze przez parę minut rozmawialiśmy o codziennych sprawach wioski, aż wreszcie Koinnage odszedł. Posłałem po Wambu, matkę dziecka, i odprawiłem rytuał oczyszczenia, aby mogła ponownie począć. Dałem jej też maść na złagodzenie bólu piersi, bowiem były one pełne mleka. Potem usiadłem przy ogniu przed moją bomą i czekałem na ludzi.

Rozstrzygałem spory co do własności kur i kóz, dostarczałem amuletów odstrasżających demony i uczyłem moich ludzi pradawnych zwyczajów.

Kiedy nastał czas wieczornego posiłku, nikt już nie myślał o martwym dziecku.

Zjadłem sam w bomie, jak przystało człowiekowi o mojej pozycji, bowiem *mundumugu* zawsze mieszka i żyje osobno, poza wioską. Gdy skończyłem, owinąłem ciało kocem dla ochrony przed chłodem i powędrowałem zakurzoną ścieżką w miejsce, gdzie ciasno skupiły się pozostałe bomy.

Bydło, kozy i kury zostały już spędzone na noc, a moi ludzie, którzy wcześniej zarżnęli i zjedli krowę, teraz śpiewali, tańczyli i pili wielkie ilości pombe.

Rozstąpili się przede mną, przepuszczając mnie do kotła, ja zaś napiłem się pombe, po czym na prośbę Kinjary otwarłem brzuch kozła, odczytałem wnętrzości i ujrzałem, że jego najmłodsza żona wkrótce pocznie dziecko, co wzbudziło powszechną radość. Wreszcie dzieci zaczęły prosić, żebym opowiedział im jakąś historię.

– Ale nie o Ziemi – dodał z wyrzutem jeden z wyższych chłopców. – Ciągłe ich słuchamy. To musi być historia o Kirinyadze.

– Dobrze – odparłem. – Jeśli zbierzecie się tu wszyscy, opowiem wam historię o Kirinyadze. – Dzieci podeszły bliżej. – Oto opowieść o lwie i zającu. – Urwałem, czekając, aż wszyscy umilkną. Kiedy wiedziałem już, że słuchają mnie także dorośli, ciągnąłem dalej: – Plemię zajęcy postanowiło wybrać jednego spośród siebie i złożyć go w ofierze lwu, aby drapieżca nie ściągnął nieszczęścia na całą wieś. Zając mógł uciec, wiedział jednak, że wcześniej czy później lew i tak go schwyta, toteż sam wyruszył na poszukiwania, a kiedy znalazł lwa, podszedł prosto do niego. Lew już otwierał paszczę, żeby go pożreć, gdy zając powiedział:

– Przepraszam cię, o wielki lwie.  
– Za co? – spytał zaciekawiony lew.  
– Za to, że jestem tak skromnym posiłkiem – odparł zając. – Dlatego też przyniosłem ci również miód.

– Nie widzę żadnego miodu – stwierdził lew.  
– Właśnie dlatego przepraszalem – wyjaśnił zając. – Ukradł mi go inny lew. To okrutny zwierz i mówi, że wcale się ciebie nie boi.

Lew podniósł się gwałtownie.

– Gdzie on jest? – ryknął.

Zając wskazał mu dziurę w ziemi.

– Tam, w dole – odparł – ale i tak nie odda ci miodu.

– Jeszcze zobaczymy! – warknął lew.

Z wściekłym rykiem wskoczył do jamy i nigdy więcej już go nie widziano, bowiem zając wybrał naprawdę głęboką dziurę. Wówczas zając wrócił do swego plemienia i powiedział, że lew nie będzie ich już niepokoił.

Większość dzieci zaśmiała się, klaszcząc z uciechy, lecz ten sam chłopiec zgłosił zastrzeżenie.

– To nie jest historia o Kirinyadze – powiedział z pretensją. – Nie mamy tu żadnych lwów.

– To jest historia o Kirinyadze – odparłem. – Nieważne, że opowiada o lwie i zając. Najważniejsze jest to, że pokazuje, jak słabszy może pokonać silniejszego, jeśli posłuży się rozumem.

– Co to ma wspólnego z Kirinyagą? – spytał chłopiec.

– A gdybyśmy tak udali, że ludzie z kontroli, dysponujący statkami i bronią, to lew, a Kikuju – zające? – podsunąłem. – Co mają zrobić zające, jeśli lew zażąda ofiary?

Chłopak uśmiechnął się szeroko w nagłym zrozumieniu.

– Teraz pojmy! Wrzucimy lwa do dziury!

– Ale przecież nie mamy tu dziur – przypomniałem mu.

– To co zrobimy?

– Zając nie wiedział, że znajdzie lwa w pobliżu jamy – odparłem. – Gdyby natknął się na niego niedaleko głębokiego jeziora, powiedziałby, że miód ukradła wielka ryba.

– Nie mamy tu głębokich jezior.

– Ale mamy rozum. I jeśli kontrola kiedykolwiek wtrąci się w nasze sprawy, użyjemy go, aby zniszczyć lwa kontroli, tak jak zając, który posługując się rozumem zabił lwa z bajki.

– Już teraz pomyślmy, jak zniszczyć kontrolę! – wykrzyknął chłopiec. Podniósł z ziemi patyk i zamierzył się na wyimaginowanego lwa, jakby kijek był włócznią, a on sam wielkim myśliwym.

Potrząsnąłem głową.

– Zając nie poluje na lwa, a Kikuju nie zaczynają wojen. Zając tylko się broni i my, Kikuju, czynimy to samo.

– Czemu kontrola miałyby się wtrącać? – spytał inny chłopiec, przepychając się do przodu. – To przecież nasi przyjaciele.

– Może nic takiego się nie stanie – odparłem pocieszająco. – Musisz jednak zawsze pamiętać, że Kikuju poza sobą nie mają prawdziwych przyjaciół.

– Opowiedz nam coś jeszcze, Koribo! – zawołała któraś dziewczynka.

– Jestem już stary – powiedziałem. – Robi się zimno, a mnie potrzeba snu.

– Jutro? – nalegała. – Opowiesz nam coś jutro?

Uśmiechnąłem się.

– Spytaj mnie, kiedy obsiejecie już pola, zagonicie na noc bydło i kozy, przygotujecie jedzenie i utkacie tkaniny.

– Ale dziewczynki nie doglądają krów i kóz – zaprotestowała. – Co będzie, jeśli moi bracia nie zdążą zagonić całego stada?

– Wówczas opowiem historię specjalnie dla dziewcząt.

– Tylko żeby była długa – podkreśliła z poważną miną – bo przecież pracujemy znacznie ciężiej niż chłopcy.

– Będę miał na ciebie szczególne baczenie, moja mała – odrzekłem – i dostosuję długość opowieści do jakości twojej pracy.

Dorośli wybuchnęli śmiechem na widok zakłopotanej miny dziewczynki, ja jednak uśmiechnąłem się, przytuliłem ją i poklepałem po głowie, trzeba bowiem, aby dzieci nauczyły się nie tylko lękać i szanować swego mundumugu, ale i darzyć go miłością. Po chwili odbiegła, żeby bawić się i tańczyć z przyjaciółkami, a ja wróciłem do mojej bomy.

Znalazszy się wewnątrz, uruchomiłem komputer i odkryłem, że czeka na mnie wiadomość z kontroli. Jej przedstawiciele zapowiadali się na



następny dzień rano. Udzieliłem krótkiej odpowiedzi – „Artykuł II, Paragraf 5”, który to punkt umowy zabrania im jakichkolwiek interwencji – i położyłem się na kocu czekając, aż rytmiczne zawodzenie śpiewaków ukołysze mnie do snu.

Rano obudziłem się o wschodzie słońca i poleciłem komputerowi, aby zawiadomił mnie, gdy tylko wyląduje statek kontroli. Następnie obejrzałem moje krowy i kozy – jako jedyny z mego ludu nie obsiewam pól, bowiem Kikuju karmią swego mundumugu, doglądają jego trzód, tkają mu koce i utrzymują w porządku bomę – po czym odwiedziłem bomę Simaniego, żeby zanieść mu maść, która przegna chorobę nękającą jego stawy. Kiedy słońce zaczęło rozgrzewać ziemię, wróciłem do siebie, mijając pastwiska, na których młodzi chłopcy strzegli stad. Gdy dotarłem na miejsce, wiedziałem już, że statek wylądował, gdyż w pobliżu mojej chaty znalazłem odchody hieny, a to najpewniejszy znak nieszczęścia.

Dowiedziałem się z komputera wszystkiego, czego tylko mogłem, i wyszedłem na dwór, przebiegając wzrokiem horyzont, podczas gdy dwójka nagich dzieci na zmianę ganiała małego psa i uciekała przed nim z krzykiem. Kiedy zaczęli płoszyć mi kurczęta, łagodnie odesłałem ich do rodzinnej bomy. Następnie usiadłem przy ognisku. Wreszcie dostrzegłem gościa z kontroli, kobietę, maszerującą ścieżką z przystani. Najwyraźniej nie czuła się najlepiej w upale i bez przerwy oganiała się od much krążących wokół głowy. Jej jasne włosy zaczynały już siwieć, zaś niezgrabny chód na stromej, kamienistej ścieżce wyraźnie świadczył o tym, że nie przywykła do podobnego terenu. Kilka razy o mało nie straciła równowagi, widać też było, że przeraża ją bliska obecność tak wielu zwierząt, ani na moment jednak nie zwolniła kroku. Po kolejnych dziesięciu minutach stanęła przede mną.

– Dzień dobry – powiedziała.

– Jambo, Memsahib – odparłem.

– Pan jest Koriba, prawda?

Przelotnie spojrzałem na twarz nieprzyjaciela; znużone oblicze kobiety w średnim wieku nie wyglądało zbyt groźnie.

– Jestem Koriba.

– To dobrze – odrzekła. – Ja nazywam się...

- Wiem, kim pani jest - przerwałem jej, bowiem jeśli nie da się uniknąć konfliktu, lepiej jest zaatakować samemu.

- Naprawdę?

Wyciągnąłem kości z woreczka i rzuciłem je w piach.

- Barbara Eaton, urodzona na Ziemi - zaintonowałem, badając jej reakcje, gdy zebrałem kości i rzuciłem je ponownie. - Jest pani żoną Roberta Eatona i pracuje pani w kontroli od dziewięciu lat. - Ostatni rzut kośćmi. - Ma pani czterdzieści jeden lat i jest pani bezpłodna.

- Skąd pan to wszystko wie? - spytała z wyraźnym zdumieniem.

- Czyż nie jestem mundumugu?

Długą chwilę wpatrywała się we mnie.

- Czytał pan moją biografię w komputerze - stwierdziła w końcu.

- Póki zgadzają się wszystkie fakty, jaka to różnica, czy źródłem były kości, czy też komputer? - odparłem, unikając potwierdzenia jej domysłów. - Proszę usiąść, Memsahib Eaton.

Niezgrabnie usadowiła się na ziemi, marszcząc nos na widok wznieconej tym chmury kurzu.

- Bardzo tu gorąco - zauważyła niechętnie.

- W Kenii jest bardzo gorąco.

- Mogliście przecież stworzyć jakikolwiek klimat, który by wam odpowiadał - przypomniała mi.

- Stworzyliśmy klimat, który nam odpowiada.

- Czy są tam jakieś drapieżniki? - spojrzała w stronę sawanny.

- Parę.

- Jakie?

- Hieny.

- Nic większego?

- Nie istnieje już nic większego.

- Zastanawiam się, czemu mnie nie zaatakowały.

- Może dlatego, że jest pani intruzem - zasugerowałem.

- Czy będą mnie niepokoić w drodze powrotnej do przystani? - spytała nerwowo, puszczając mimo uszu moją ostatnią uwagę.

- Dam pani amulet, który je odstraszy.

- Wolalabym eskortę.

- Ależ proszę.

– To takie paskudne zwierzaki – zadrzała. – Widziałam je kiedyś, kiedy obserwowaliśmy wasz świat.

– Są bardzo pożyteczne – odparłem – bowiem przynoszą wiele omenów, dobrych i złych.

– Naprawdę?

Skinąłem głowę.

– Dziś rano hiena zostawiła mi zły omen.

– I? – spytała zaciekawiona kobieta.

– I oto zjawiała się pani.

Roześmiała się.

– Mówili mi, że ma pan kąśliwy język.

– Mylili się – powiedziałem. – Jestem tylko słabym starcem, który siedzi przed swoją bomą i patrzy, jak młodzież dogląda jego krów i kóz.

– Jest pan słabym starcem, który z najwyższą lokatą ukończył studia w Cambridge, dodając do nich dwa doktoraty w Yale – uzupełniła.

– Kto pani o tym powiedział?

Uśmiechnęła się.

– Nie tylko pan czytuje biografie.

Wzruszyłem ramionami.

– Tytuły naukowe nie pomogły mi stać się lepszym mundumugu. To była strata czasu.

– Ciągle używa pan tego słowa. Co dokładnie znaczy mundumugu?

– Pani nazwałaby mnie szamanem – wyjaśniłem. – W istocie jednak mundumugu, choć czasem istotnie rzuca zaklęcia i interpretuje dobre i złe znaki, jest skarbnicą całej wiedzy i tradycji swojego ludu.

– Wygląda to na ciekawe zajęcie.

– Ma swoje dobre strony.

– I to jakie! – w jej głosie zabrzmiał fałszywy entuzjazm.

W oddali zabeczała koza i jeden z chłopców wrzasnął na nią w suahili.

– Pomyśleć tylko, że ma pan władzę nad życiem i śmiercią całego eutopijskiego świata!

Zaczyna się, pomyślałem. Na głos rzekłem:

– To nie jest kwestia władzy, Memsahib Eaton, lecz zachowania tradycji.

– Pozwalam sobie w to wątpić – odparła bez ogródek.

– Czemu miałyby pani wątpić w moje słowa?

– Ponieważ gdyby tradycja nakazywała zabijać noworodki, Kikuju wymarliby w jednym pokoleniu.

– Skoro zabicie dziecka budzi wasz sprzeciw – odrzekłem spokojnie – dziwię się, że kontrola nie wspominała dotąd o naszym zwyczaju oddawania starców i chorych hienom.

– Wiemy, że starcy i chorzy wyrażają zgodę na podobne traktowanie, cokolwiek byśmy o nim sądzili – odparła. – Wiemy też, że noworodek w żaden sposób nie mógł zgodzić się na własną śmierć. – Urwała, patrząc na mnie uważnie. – Czy mogę spytać, czemu zabito akurat to dziecko?

– To dlatego tu pani przybyła, prawda?

– Przesłano mnie, abym dokonała oceny sytuacji. – Kobieta poruszyła się lekko i przegnała muchę, która przysiadła jej na policzku. – Został zabity noworodek. Chcielibyśmy wiedzieć, dlaczego tak się stało.

Wzruszyłem ramionami.

– Zginął, ponieważ urodził się ze strasliwym thahu.

Zmarszczyła brwi.

– Thahu? Co to takiego?

– Przekleństwo.

– Chce pan powiedzieć, że był zdeformowany?

– Nie.

– Na czym więc polegało owo przekleństwo?

– Urodził się stopami naprzód.

– To wszystko? – spytała zdumiona. – Tylko tyle?

– Owszem.

– Zamordowaliście dziecko, bo urodziło się stopami naprzód?

– Zabicie demona nie jest morderstwem – tłumaczyłem cierpliwie. – Nasza tradycja mówi, że dziecko, które urodzi się w ten sposób, jest w rzeczywistości demonem.

– Jest pan wykształconym człowiekiem, Koribo – powiedziała. – Jak pan może zabić normalne, zdrowe dziecko, powołując się na jakiś prymitywny zwyczaj?

– Jest wolno nie doceniać potęgi tradycji, Memsahib Eaton. Kiedyś już Kikuju odwrócili się od swych zwyczajów; w rezultacie powstało uprzemysłowione, zubożałe, przeludnione państwo, którego nie

zamieszkują już Kikuju, Masajowie, Luo czy Wakamba, ale nowy, sztucznie stworzony szczep, znany jedynie jako Kenijczycy. My tu, na Kirinyadze, jesteśmy prawdziwymi Kikuju i nie popełnimy po raz drugi tego samego błędu. Jeśli deszcze się spóźniają, należy złożyć w ofierze barana. Jeżeli czyjaś prawdomówność zostanie podważona, oskarżony musi poddać się ciężkiej próbie githani. Jeśli dziecko urodzi się z thahu, musi umrzeć.

– A zatem nadal zamierzacie zabijać każde dziecko, które urodzi się stopami naprzód?

– Zgadza się.

Kobieta spojrzała mi prosto w twarz; po jej policzku spłynęła kropelka potu.

– Nie wiem, jak kontrola zareaguje na tę wiadomość.

– Zgodnie z umową kontrola nie może wtrącać się do naszych spraw – przypomniałem jej.

– To nie takie proste, Koribo. Według waszej umowy każdy członek społeczności Kirinyagi, który zapagnie ją opuścić, ma prawo udać się do przystani, skąd zapewniamy mu – czy też jej – przelot na Ziemię. – Zawiesiła głos. – Czy dziecko, które pan zabił, mogło dokonać wyboru?

– Nie zabiłem dziecka, lecz demona – uciąłem, odwracając lekko głowę, gdy gorący powiew uniósł z ziemi obłoczek pyłu.

Kobieta odczekała, aż kurz opadnie, odkaslnęła i powiedziała:

– Zdaje pan sobie sprawę, że nie wszyscy w kontroli podzielają pańską opinię?

– To, co myśli kontrola, zupełnie nas nie obchodzi.

– Kiedy morduje się niewinne dzieci, zdanie kontroli może się okazać rozstrzygające – odparła. – Jestem pewna, że wolałby pan nie bronić waszych praktyk przed Trybunałem Eutopii.

– Czy przybyła pani po to, by – jak pani mówiła – dokonać oceny sytuacji, czy też po to, żeby nam grozić? – spytałem spokojnie.

– Aby ocenić sytuację. Jednakże z faktów, które mi pan przedstawił, mogę wyciągnąć tylko jeden wniosek.

– Zatem nie słuchała mnie pani – przymknąłem oczy, czując kolejny, silniejszy powiew.

– Koribo, wiem, że Kirinyagę stworzono po to, byście mogli

naśladować życie waszych przodków. Z pewnością jednak dostrzega pan różnicę pomiędzy znęcaniem się nad zwierzętami podczas obrzędów religijnych a zamordowaniem ludzkiego dziecka.

Potrząsnąłem głową.

– To jedno i to samo. Nie możemy zmienić naszego życia tylko dlatego, że wam ono nie odpowiada. Kiedyś już to zrobiliśmy i w ciągu zaledwie kilkunastu lat wasza kultura zniszczyła nasze społeczeństwo. Z każdą wybudowaną przez nas fabryką, z każdym powstałym miejscem pracy, z każdym przyjętym elementem zachodniej technologii, z każdym Kikuju, który nawrócił się na chrześcijaństwo, stawaliśmy się czymś, do czego nie byliśmy stworzeni. – Spojrzałem jej w oczy. – Jestem mundumugu i do mnie należy zachowanie wszystkiego, co czyni z nas Kikuju. Nie pozwolę, aby historia się powtórzyła.

– Istnieje alternatywa – wtrąciła.

– Nie dla Kikuju – odparłem nieugięte.

– Ależ tak – upierała się. Tak bardzo zajmowały ją własne słowa, że nie zwróciła nawet uwagi na czarno-złotą stonogę, która wspięła się jej na but. – Na przykład lata spędzone w przestrzeni wywołują u ludzi pewne zmiany fizjologiczne i hormonalne. Kiedy tu przybyłam, powiedział pan, że mam czterdzieści jeden lat i jestem bezpłodna. To prawda. W istocie wiele kobiet z kontroli nie ma dzieci. Jeśli oddacie nam noworodki, na pewno znajdziemy dla nich nowe rodziny. W ten sposób usuniecie je na zawsze z waszej społeczności bez konieczności zabijania dzieci. Mogłabym wspomnieć o tym moim przełożonym; sądzę, że istnieje spora szansa na uzyskanie ich zgody.

– To bardzo ciekawy i nowatorski pomysł, Memsahib Eaton – powiedziałem szczerze. – Przykro mi, że muszę odmówić.

– Ale dlaczego? – zaprotestowała.

– Ponieważ jeśli choć raz złamiemy tradycję, ten świat przestanie być Kirinyagą i stanie się jeszcze jedną Kenią, państwem, którego mieszkańcy niezdarnie udają, że są kimś, kim nie są.

– Może pomówię o tym z Koinnagem i pozostałymi wodzami – zasugerowała znacząco.

– Żaden z nich nie sprzeciwi się moim poleceniom – odparłem pewnym siebie tonem.

- Ma pan aż taką władzę?
- Nie, zdobyłem aż taki szacunek. Wódz może narzucać prawo, ale to mundumugu je interpretuje.
- Rozważmy więc inne możliwości.
- Nie.
- Próbuję uniknąć konfliktu pomiędzy kontrolą a waszymi ludźmi – w jej głosie wyraźnie zabrzmiała desperacja. – Mógłby pan chociaż spróbować wyjść mi naprzeciw.
- Nie wątpię w szlachetność pani motywów, Memsahib Eaton – odrzekłem. – Niemniej jest pani intruzem, przedstawicielem organizacji, która nie ma prawa wtrącać się do naszej kultury. Nie narzucamy kontroli własnych wierzeń ani moralności, a kontrola nie może narzucać nam swoich.
- To nie takie proste.
- Przeciwnie, to właśnie takie proste – nie zgodziłem się.
- Czy to pańskie ostatnie słowo?
- Tak.

Kobieta podniosła się z ziemi.

- A zatem już czas, żebym pana opuściła i sporządziła raport.
- Ja także wstałem; nowy podmuch wiatru przyniósł ze sobą zapachy wioski: aromat bananów, zapach świeżego pombe, nawet ostrą woń wołu zarżniętego tego ranka.
- Jak pani sobie życzy, Memsahib Eaton – powiedziałem. – Zaraz wezwę dla pani eskortę. – Gestem przywołałem chłopczyka dogląającego trzech kóz. Kazałem mu pobiec do wioski i przysłać mi dwóch młodych ludzi.
  - Dziękuję – powiedziała kobieta. – Wiem, że to dla was kłopot, ale nie czuję się bezpiecznie wiedząc, że w pobliżu grasują hieny.
  - Ależ proszę – odparłem. – Może, skoro już pani czeka na mężczyzn, którzy mają pani towarzyszyć, chciałaby pani wysłuchać opowieści o hienie?

Wstrząsnął nią nagły dreszcz.

- To takie paskudne stworzenia! – stwierdziła z obrzydzeniem. – Ich tylne nogi sprawiają wrażenie niemal zdeformowanych. – Pokręciła głową. – Nie, nie sądzę, żeby interesowała mnie opowieść o hienie.

– Ta panią zainteresuje – zapewniłem ją.

Popatrzyła na mnie ciekawie, po czym wzruszyła ramionami.

– W porządku. Proszę mówić.

– To prawda, że hieny są wstrętnymi, niezgrabnymi zwierzętami – zacząłem – ale kiedyś, dawno temu, były one równie piękne i wdzięczne jak impala. Pewnego dnia wódz Kikuju dał hienie młode kozłę, aby zaniósła je w darze Ngai, który mieszkał na szczycie świętej góry Kirinyagi. Hiena ujął kozłę pomiędzy swe potężne szczęki i ruszył w stronę odległej góry. Po drodze jednak minął osadę pełną Arabów i Europejczyków. Roilo się w niej od strzelb i maszyn oraz innych cudów, jakich dotąd nie widział, toteż przystanął, przyglądając się im z zachwytem. Wreszcie jeden z Arabów dostrzegł zapatrzonego hienę i spytał, czy i on chciałby się stać człowiekiem cywilizowanym. A kiedy hiena otworzył pysk, aby odrzec, że bardzo chętnie, kozłę wypadło na ziemię i odbiegło. Gdy zniknęło im z oczu, Arab roześmiał się i wyjaśnił, że tylko żartował, bowiem, rzecz jasna, żadna hiena nie może stać się człowiekiem. – Urwałem na moment. – I tak hiena znów ruszył w drogę, a kiedy dotarł na szczyt Kirinyagi, Ngai zapytał go, co się stało z kozłkiem. Wówczas hiena opowiedział mu o wszystkim. Wysłuchawszy jego historii, Ngai rzucił hienę z wierzchołka góry za to, że śmiał on uwierzyć, że może stać się człowiekiem. Hiena nie zginął w upadku, lecz jego tylne nogi na zawsze pozostały okaleczone, zaś Ngai oznajmił, że odtąd wszystkie hieny będą tak wyglądały – a ponadto, żeby przypomnieć im o głupocie, jaką była próba stania się czymś innym, niż są, obdarował je też śmiechem głupców. – Ponownie zamilkłem, unosząc ku niej wzrok. – Memsahib Eaton, nie słyszy pani, aby Kikuju śmiali się jak głupcy, a ja nie pozwolę, żeby zostali kalekami jak hieny. Rozumie pani, co chcę przez to powiedzieć?

Przez moment rozważała moje słowa, po czym spojrzała mi prosto w oczy.

– Myślę, że rozumiemy się doskonale, Koribo – odparła.

W tej samej chwili zjawili się dwaj młodzieńcy, po których posłałem. Rozkazałem im, aby towarzyszyli jej aż do przystani. Wkrótce ruszyli, przecinając suchą sawannę, a ja wróciłem do swych obowiązków.



Zacząłem od przejścia przez pola i pobłogosławienia strachów na wróble. Ponieważ towarzyszyła mi grupka mniejszych dzieci, znacznie częściej niż potrzebowałem, odpoczywałem w cieniu drzew, a one podczas każdego postoju błagały mnie o kolejne historie. Opowiedziałem im o słoniu i bawołu, o tym, jak masajski el Moran przeciął swą włócznią tęczę tak, że już nigdy nie sięgnęła ziemi, i o tym, dlaczego dziewięć szczepów Kikuju nazwano od imion dziewięciu córek Gikuju. A kiedy słońce zaczęło zbyt mocno przypiekać, wróciliśmy do wioski.

Po południu zebrałem wokół siebie starszych chłopców i raz jeszcze wyjaśniłem, jak mają pomalować twarze i ciała na nadchodzącą ceremonię obrzezania. Ndemi, chłopak, który poprzedniego wieczoru uparcie domagał się opowieści o Kirinyadze, podszedł do mnie na osobności, skarżąc się, że nie może zabić włócznią małej gazeli. Poprosił o amulet, dzięki któremu trafi do celu. Wyjaśniłem, że kiedyś nadejdzie dzień, gdy będzie musiał stawić czoło bawołu lub hienie bez żadnego amuletów i że musi jeszcze sporo poćwiczyć, nim znów się do

mnie zwróci. Powinno się uważać na małego Ndemi, jest bowiem zapalczywy i nieustraszony; w dawnych czasach wyrósłby na wielkiego wojownika, lecz w Kirinyadze nie mamy wojowników. Jeśli jednak pozostaniemy silni i płodni, będziemy kiedyś potrzebowali nowych wodzów, a może nawet drugiego mundumugu, toteż postanowiłem uważnie śledzić jego postępy.

Wieczorem, po samotnie spożytym posiłku, wróciłem do wioski, gdyż Njogu, jeden z naszych młodzieńców, miał poślubić Kamiri, dziewczynę z sąsiedniej wioski. Ustalono już cenę panny młodej i obie rodziny czekały, abym przewodniczył uroczystości.

Njogu, z twarzą pokrytą smugami farby i pióropuszem ze strusich piór na głowie, wyglądał na bardzo zdenerwowanego, kiedy stanął przede mną ze swą narzeczoną. Przeciąłem gardło tłustego barana, którego dostarczył na tę okazję ojciec Kamiri, po czym zwróciłem się do młodzieńca.

– Co masz nam do powiedzenia? – spytałem.

Postąpił krok naprzód.

– Chcę, żeby Kamiri uprawiała pola mojej shamby – oznajmił lekko załamującym się głosem, recytując tradycyjne słowa – bowiem jestem

mężczyzną i potrzebuję kobiety, by dbała o moją shambę, głęboko okopywała korzenie mych sadzonek, żeby rosły bujnie, przynosząc dobrobyt memu domowi.

Splunął w obie dłonie, aby pokazać szczerą deklarację, po czym cofnął się z głośnym westchnieniem ulgi.

Odwrociłem się do Kamiri.

– Czy zgadzasz się doglądać shamby Njogu, syna Muchiriego?

– Tak – odparła cicho, skłaniając głowę. – Zgadzam się.

Wyciągnąłem prawą rękę i matka narzeczonej umieściła w niej tykwę z pombe.

– Jeśli nie pragniesz tego mężczyzny – powiedziałem do Kamiri – rozleję pombe na ziemię.

– Nie rozlewaj.

– A zatem pij – poleciłem, podając jej tykwę.

Kamiri uniosła ją do ust i pociągnęła łyk. Następnie oddała tykwę Njogu, który uczynił to samo.

Kiedy tykwa była już pusta, rodzice Njogu i Kamiri napełnili ją trawą, pieczętując przyjaźń pomiędzy dwoma klanami.

Wówczas zebrani wydali radosny okrzyk, baran powędrował nad ognisko, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiło się więcej pombe i podczas gdy młody małżonek zaprowadził żonę do swej bomy, reszta ludzi świętowała do późnej nocy. Uspokoił się dopiero, gdy beczenie kóz ostrzegło ich, że w pobliżu czają się hieny. Kobiety i dzieci wróciły do swych bom, a mężczyźni zabrali włócznie i poszli na pola, aby odegnać drapieżców.

Właśnie miałem odejść, kiedy podszedł do mnie Koinnage.

– Rozmawiałeś z kobietą z kontroli? – zapytał.

– Tak – odparłem.

– Co powiedziała?

– Stwierdziła, że nie aprobują zabijania dzieci, które rodzą się stopami do przodu.

– A ty? Co odpowiedziałeś? – dopytywał się nerwowo.

– Poinformowałem ją, że nie potrzebujemy zgody kontroli na wyznawanie naszej religii.

– Czy kontrola wysłucha cię?

– Nie mają wyboru. My zresztą też – dodałem. – Jeśli choć raz narzucą nam, co nam wolno, a czego nie, wkrótce będą rządzić wszystkim. Gdybyśmy im ustąpili, Njogu i Kamiri recytowałiby dziś przysięgi małżeńskie z Biblii bądź Koranu. Tak było w Kenii; nie możemy dopuścić, by coś podobnego przydarzyło się na Kirinyadze.

– Ale czy nie wymierzą nam jakiejs kary? – nalegał Koinnage.

– Nie ukarzą nas – zapewniłem go.

Zadowolony, ruszył w stronę swej bomy, podczas gdy ja wąską, krętą ścieżką powędrowałem do siebie. Przystanąłem przed zagrodą, w której trzymano moje zwierzęta i przekonałem się, że są wśród nich dwie nowe kozy, dary od rodzin młodych małżonków w podziękę za moją posługę. W parę minut później spałem już pod dachem własnej chaty.

Komputer obudził mnie kilka minut przed brzaskiem. Wstałem, obmyłem twarz wodą z tykwy, którą trzymam obok łóżka, i podszedłem do terminalu.

Czekała tam na mnie wiadomość od Barbary Eaton, krótka i treściwa:

*Kontrola uznaje wstępnie, że zabójstwo dzieci z jakichkolwiek powodów stanowi otwarte pogwałcenie postanowień umowy Kirinyagi. Naruszenia prawa, dokonane w przeszłości, nie pociągną za sobą żadnych działań z naszej strony. Rozważamy także nową ocenę praktykowanej przez was eutanazji i w bliżej nieokreślonej przyszłości możemy poprosić o dalsze zeznania.*

*Barbara Eaton*

W parę minut później zjawił się posłaniec od Koinnagego z prośbą, abym przybył na spotkanie Rady Starszych i wiedziałem, że wódz otrzymał tę samą wiadomość.

Owinąłem kocem ramiona i ruszyłem w stronę shamby Koinnagego, na którą składała się jego własna boma, oraz te, należące do jego trzech synów i ich żon. Kiedy dotarłem do chaty wodza, zastałem nie tylko miejscową starszyznę, ale także dwóch wodzów sąsiednich wsi.

– Czy dostałeś wiadomość z kontroli? – spytał Koinnage, gdy zająłem miejsce naprzeciw niego.

– Tak.

– Uprzedzałem, że to nastąpi! – krzyknął. – Co teraz zrobimy?

– To, co czyniliśmy zawsze – odparłem spokojnie.  
– Przecież nie możemy – wtrącił jeden z wodzów z sąsiedztwa. – Zabronili nam.  
– Nie mają prawa niczego nam zabraniać.  
– W mojej wiosce jest pewna kobieta. Jej czas się zbliża – ciągnął wódz – i wszystkie znaki i omeny wskazują, że urodzi bliźnięta. Uczono nas, że pierworodny musi zostać zabity, bowiem jedna matka nie może zrodzić dwóch dusz, ale teraz kontrola zabroniła nam tego. Co mamy robić?

– Musimy zabić pierwsze dziecko – odrzekłem. – To demon.  
– A wtedy kontrola zmusi nas do opuszczenia Kirinyagi – dodał z goryczą Koinnage.

– A jeśli pozwolimy dziecku żyć? – zaproponował wódz. – Może to ich zadowoli i zostawią nas w spokoju.

Potrząsnąłem głową.  
– Nie dadzą wam spokoju. Już teraz mówią o oddawaniu hienom starców i chorych, jakby stanowiło to niewybaczalny grzech w oczach ich Boga. Jeżeli ustąpimy w tej sprawie, nadejdzie dzień, kiedy będziemy musieli znów ustąpić.

– Czy to takie złe? – spytał wódz. – Ludzie z kontroli mają leki, którymi my nie dysponujemy; może potrafią przywrócić starcom młodość?

– Nic nie rozumiecie – powiedziałem, wstając z miejsca. – Nasza społeczność nie jest zbiorem odrębnych ludzi, zwyczajów i tradycji. Nie, to złożony system, w którym poszczególne elementy zależą od siebie tak, jak zwierzęta i rośliny sawanny. Jeśli spalicie trawę, zabijecie nie tylko impalę, która się nią żywi, ale też drapieżnika, polującego na impalę, kleszcze i muchy, żyjące na drapieżcy, oraz sępy i marabuty, pożerające jego szczątki, kiedy padnie. Nie można zniszczyć części, nie niszcząc całości.

Zamilkłem, aby dać im czas na rozważenie moich słów, po czym ciągnąłem dalej:

– Kirinyaga jest jak sawanna. Jeśli nie oddamy hienom starców i chorych, hieny zdechną z głodu. Jeśli hieny zdechną, trawożercy rozmnożą się tak bardzo, że zabraknie miejsca na pastwiska dla naszych krów i kóz. Jeżeli starcy i kaleki nie umrą, kiedy nakazuje Ngai, wkrótce nie starczy nam jedzenia.

Podniosłem patyk i położyłem go ostrożnie na palcu wskazującym.

– Ten patyk to lud Kikuju – powiedziałem – a mój palec to Kirinyaga.

Są w idealnej

równowadze. – Spojrzałem na wodza z sąsiedztwa. – Co się jednak stanie, jeśli zmienię stan równowagi i przesunę palec, o tu? – spytałem, wskazując koniec kijka.

– Patyk upadnie na ziemię.

– A tutaj? – tym razem pokazałem miejsce o cal od środka patyka.

– Także upadnie.

– To samo czeka i nas – wyjaśniłem. – Nieważne, czy ustąpimy w jednym, czy we wszystkim, rezultat będzie taki sam: lud Kikuju upadnie jak ten patyk. Nie da się temu zapobiec. Czy przeszłość niczego nas nie nauczyła? Musimy trwać przy naszych tradycjach; są wszystkim, co mamy!

– Ale kontrola nie pozwoli nam na to! – zaprotestował Koinnage.

– To nie są wojownicy, lecz ludzie cywilizowani – odparłem, pozwalając, by do mego głosu zakradła się pogardliwa nuta. – Ich wodzowie i mundumugu nie wyślą ich do Kirinyagi ze strzelbami i włóczniami. Wystosują ostrzeżenia, rezolucje i deklaracje, aż wreszcie, gdy wszystko zawiedzie, udadzą się do Trybunału Eutopii i wniosą oskarżenie. Sprawa będzie wielokrotnie odkładana i jeszcze więcej razy odraczana. – Dostrzegłem, że zebrani odprężyli się wreszcie i posłałem im dodający odwagi uśmiech. – Wszyscy już dawno umrzecie, zanim kontrola zrobi cokolwiek poza czczą gadaniną. Jestem waszym mundumugu; żyłem wśród ludzi cywilizowanych i mówię wam, że tak będzie.

Wódz sąsiedniej wioski stanął naprzeciw mnie.

– Poślę po ciebie, kiedy urodzą się bliźnięta – przyrzekł.

– Przybędę – obiecałem mu.

Rozmawialiśmy jeszcze trochę, po czym spotkanie dobiegło końca i starzy mężczyźni ruszyli do swych bom. Ja natomiast spoglądałem w przyszłość, którą widziałem znacznie wyraźniej niż Koinnage czy reszta starszych.

Wędrowałem po wiosce, póki w końcu nie znalazłem śmiałego młodego Ndemiego. Chłopiec zapamiętałe ciskał włócznią w

splecionego przez siebie z suchych traw bawołu.

– Jambo, Koriba – powitał mnie.

– Jambo, mój dzielny młody wojownik – odparłem.

– Ćwiczyłem tak, jak kazałeś.

– Myślałem, że chcesz polować na gazy – zauważyłem.

– Gazy są dla dzieci – odparł. – Ja zabiję mbogo, bawołu.

– Mbogo może mieć w tej materii inne zdanie.

– Tym lepiej – oznajmił pewnym siebie tonem. – To żadna przyjemność zabijać zwierzę, które przede mną ucieka.

– I kiedyż to wyruszysz, aby pokonać groźnego mbogo?

Wzruszył ramionami.

– Kiedy będę rzucał celniej. – Uśmiechnął się do mnie. – Może jutro.

Przez chwilę wpatrywałem się w niego z namysłem, po czym rzekłem:

– Do jutra jest jeszcze wiele czasu. Chcę, żebyś coś zrobił dziś w nocy.

– Co? – spytał.

– Musisz wyszukać dziesięciu przyjaciół, z których żaden nie osiągnął jeszcze wieku obrzezania, i polecić, żeby przybyli nad staw w południowym lesie. Niech przyjdą po zachodzie słońca. Powiedz im, że Koriba, ich mundumugu, rozkazuje, aby nie mówili o tym nikomu, nawet rodzicom – urwałem. – Zrozumiałeś, Ndemi?

– Zrozumiałem.

– A zatem idź. Zanieś im moją wiadomość.

Chłopak wyjął włócznię z ciała słomianego bawołu i ruszył szybkim krokiem, młody, wysoki, nieulekły.

Ty jesteś przyszłością, pomyślałem, patrząc, jak biegnie w stronę wioski. Nie Koinnage, nie ja sam ani nawet młody małżonek Njogu, bowiem nasz czas nastanie i minie, zanim rozpocznie się bitwa. To tobie, Ndemi, musi zaufać Kirinyaga, jeśli w ogóle ma przetrwać.

Kiedyś już Kikuju musieli walczyć o swą wolność. Pod wodzą Jomo Kenyatty, którego imię zostało już niemal całkiem zapomniane, złożyliśmy straszliwą przysięgę Mau Mau.

Raniliśmy, zabijaliśmy i popełnialiśmy czyny tak potworne, że wreszcie osiągnęliśmy Uhuru, bowiem w obliczu podobnego

okrucieństwa cywilizowani ludzie są bezradni i muszą ustąpić.

A dziś, młody Ndemi, kiedy twoi rodzice będą spali, spotkam się z tobą i twoimi przyjaciółmi w głębi lasu, nadszedł bowiem czas, abyście poznali ostatni zwyczaj Kikuju.

Wezwę wówczas nie tylko moc Ngai, ale też niepokromionego ducha Jomo Kenyatty. Odbiorę od was straszną przysięgę i każę wam popełniać niewypowiedziane potworności, abyście udowodnili swą wierność. I nauczę was, jak odbierać tę samą przysięgę od tych, którzy nastaną po was.

Wszystko ma swoją porę: narodziny, wzrost, śmierć. Bez wątpienia istnieje też pora na utopię, ale będzie jeszcze musiała zaczekać.

Bowiem nadchodzi czas Uhuru.

# Bowiem dotknęłam nieba

*For I Have Touched the Sky*, przeł. Paulina Braiter  
Nominacja Hugo, nominacja Nebula 1989

Dawno, dawno temu ludzie mieli skrzydła.

Ngai, spoglądający samotnie na świat ze swego tronu na szczycie Kirinyagi, którą ludzie zwą dziś Górą Kenią, obdarzył ludzi zdolnością latania, aby mogli dosięgnąć soczystych owoców na najwyższych gałęziach drzew. Jednakże pewien człowiek, syn Gikuju, pierwszego z ludzi, ujrzał orła i sępa szybujących wysoko na niebie i rozpostarłszy swe skrzydła, dołączył do nich. I krążył tak, coraz wyżej i wyżej, aż wkrótce wzniósł się ponad wszystkie inne skrzydlate istoty.

Nagle Ngai wyciągnął swą rękę i pochwycił syna Gikuju.

- Cóż uczyniłem, że ściągnąłeś mnie z nieba? - spytał syn Gikuju.

- Mieszkam na szczycie Kirinyagi, bowiem nie ma na świecie wyższej góry - odparł Ngai - i żaden mąż nie może wznieść swej głowy ponad moją.

To mówiąc, Ngai oderwał skrzydła synowi Gikuju, odebrał je też wszystkim ludziom, aby już nigdy nie mogli wznieść się ponad jego głowę.

Dlatego właśnie wszyscy potomkowie Gikuju spoglądają na ptaki z tęsknotą i zawiścią, i dlatego nie jadają już soczystych owoców z najwyższych gałęzi drzew.

Na Kirinyadze, nazwanej tak na pamiątkę góry, którą Ngai obrał sobie za siedzibę, żyje wiele ptaków. Przywieźliśmy je tu wraz z innymi zwierzętami, kiedy podpisaliśmy umowę z Radą Eutopii i opuściliśmy Kenię, kraj, który już dawno przestał cokolwiek znaczyć dla prawdziwych członków plemienia Kikuju.

Nasz nowy świat stał się domem dla marabuta i sępa, strusia i rybołowa, wikłacza, czapli i wielu innych gatunków. Nawet ja, Koriba, który jestem mundumugu - szamanem - zachwycam się kolorami ich



piór i znajduję pociechę w śpiewie. Spędziłem niejedno popołudnie, siedząc przed moją bomą, oparty o starą akację, obserwując tęczę barw i słuchając melodyjnych pieśni ptaków zlatujących się, aby zaspokoić pragnienie w przepływającej przez naszą wieś rzece.

Właśnie takiego popołudnia na długiej, krętej ścieżce łączącej moją bomę z wioską pojawiła się Kamari, dziewczynka, która nie osiągnęła jeszcze wieku obrzezania. W rękach niosła coś małego i szarego.

- Jambo, Koribo - powitała mnie.

- Jambo, Kamari - odparłem. - Co mi przyniosłaś, dziecko?

- To. - Pokazała mi młodego sokoła karłowatego, który szarpał się słabo w jej dłoniach. - Znalazłam go w shambie mojej rodziny. Nie może latać.

- Wygląda na dorosłego - zauważyłem, podnosząc się z ziemi. Nagle dostrzegłem, że jedno ze skrzydeł ptaka sterczy pod dziwnym kątem. - Ach! Ma złamane skrzydło.

- Czy potrafisz go uzdrowić, mundumugu? - spytała Kamari.

Pobieżnie zbadałem skrzydło, podczas gdy Kamari trzymała głowę młodego sokoła tak, aby nie mógł mnie dziobnąć. Po chwili cofnąłem się.

- Owszem, potrafię, Kamari - odrzekłem. - Ale nie mogę sprawić, by znów latał. Skrzydło się zrośnie, lecz już nigdy nie będzie dość silne, by unieść jego ciężar. Myślę, że powinniśmy go zgładzić.

- Nie! - wykrzyknęła, tuląc do siebie ptaka. - Ty go wyleczysz, a ja się nim zaopiekuję!

Przez chwilę przyglądałem się sokołowi, po czym potrząsałem głową.

- Nie będzie chciał żyć - stwierdziłem wreszcie.

- Czemu?

- Ponieważ szybował wysoko, unoszony ciepłym wiatrem.

- Nie rozumiem. - Kamari zmarszczyła brwi.

- Jeśli ptak choć raz dotknął nieba - wyjaśniłem - nigdy już nie zadowolony się życiem na ziemi.

- Sprawię, by czuł się zadowolony - oznajmiła z determinacją. - Ty go wyleczysz, a ja zaopiekuję się nim i będzie żył.

- Ja go wyleczę, a ty się nim zaopiekujesz - odparłem. - Ale - dodałem - nie będzie żył.

- Jakiej zapłaty żądasz, Koribo? - spytała rzeczowo.

- Nie pobieram opłat od dzieci. Jutro odwiedzę twojego ojca. On mi

zapłaci.

Z uporem pokręciła głowę.

- To mój ptak. Ja ci zapłacę.

- Doskonale - odparłem, podziwiając jej hart ducha, bowiem większość dzieci i wszyscy dorośli lękają się swego mundumugu i nigdy nie ośmieliliby się otwarcie sprzeciwić jego zdaniu. - Przez miesiąc każdego ranka i popołudnia będziesz sprzątać moją bomę, słać koce i napełniać wodą tykwę. Dopilnujesz też, aby nigdy nie zabrakło mi drewna na opał.

- To sprawiedliwa zapłata - stwierdziła Kamari po chwili namysłu. - A co, jeśli ptak umrze, zanim minie miesiąc?

- Wówczas będziesz miała nauczkę, że mundumugu wie więcej niż mała kikujska dziewczynka.

Stanowczo wysunęła podbródek.

- On nie umrze. - Zawahała się. - Czy teraz nastawisz mu skrzydło?

- Tak.

- Pomogę ci.

Pokręciłem głowę.

- Ty zbudujesz klatkę, w której go zamkniemy, jeśli bowiem za wcześniej spróbuje poruszyć skrzydłem, znowu je złamie, a wtedy będę musiał go zabić.

Podawała mi ptaka.

- Niedługo wrócę - obiecała i pobiegła w stronę swojej shamby.

Zaniosłem sokoła do mojej chaty. Był zbyt słaby, by walczyć i bez większych problemów dał sobie zawiązać dziób. Następnie zabrałem się do nastawiania zranionego skrzydła.

Przywiązałem je mocno do korpusu ptaka, aby nie mógł nim poruszać. Sokół zaskrzeczał z bólu, gdy ustawiałem złamane kości, poza tym jednak obserwował mnie tylko czujnie i po dziesięciu minutach operacja dobiegła końca.

Kamari wróciła w godzinę później, dźwigając w dłoniach niewielką drewnianą klatkę.

- Czy jest dostatecznie duża, Koribo? - spytała.

Uniosłem klatkę i obejrzałem uważnie.

- Nawet niemal za duża. Sokół nie może poruszać skrzydłem aż do zrośnięcia się kości.

- Nie będzie nim ruszał - obiecała. - Ani na moment nie spuszczę go z oka. Będę go obserwować przez cały dzień.

- Przez cały dzień? - powtórzyłem z rozbawieniem.

- Tak.

- Kto zatem sprzątnie moją bomę, kto napełni wodą tykwę?

- Przyniosę go tu ze sobą - odparła.

- Kiedy zamkniesz w niej ptaka, klatka stanie się znacznie cięższa - przypomniałem jej.

- Gdy dorosnę, przyjdzie mi nosić na plecach znacznie większe ciężary. Będę przecież uprawiać pola mojego męża i zbierać drewno na opał. Przyda mi się praktyka. - Urwała. - Czemu się śmiejesz, Koribo?

- Nie przywykłem do tego, by pouczały mnie nie obrzezane dzieci - odparłem wesoło.

- Wcale cię nie pouczałam - oznajmiła z godnością. - Wyjaśniałam tylko.

Uniosłem dłoń, aby osłonić oczy przed promieniami popołudniowego słońca.

- Nie boisz się mnie, mała Kamari?

- A powinnam?

- Jestem przecież mundumugu.

- To oznacza jedynie, że nikt nie dorównuje ci mądrością. - Dziewczynka wzruszyła ramionami i rzuciła kamykiem w kurczaka, który podszedł do klatki. Ptak odbiegł, piszcząc gniewnie. - Kiedyś będę taka mądra jak ty.

- Naprawdę?

Przytaknęła z pewną siebie miną.

- Już teraz umiem liczyć lepiej niż mój ojciec. Pamiętam też różne rzeczy.

- Jakie na przykład? - spytałem, odwracając się lekko, bowiem nagły gorący powiew wzniecił wokół nas tuman kurzu.

- Przypominasz sobie historię o miodowniku, którą opowiedziałeś dzieciom w wiosce przed porą deszczową?

- Owszem.

- Potrafię ją powtórzyć.

- Chcesz powiedzieć, że ją pamiętasz?

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Mogę ją powtórzyć - słowo w słowo.

Usiadłem, krzyżując nogi.

- Posłuchajmy zatem - mruknąłem, spoglądając w dal na dwóch młodych chłopców, zaganiających krowy.

Kamari zgarbiła plecy, jakby nagle poczuła na nich brzemię lat, po czym zaczęła mówić, dokładnie naśladowując moje gesty. Jej głos brzmiał niczym młodzieńcza wersja mojego własnego.

- Na Kirinyadze żyje mały brązowy ptak-miodownik - zaczęła. - Jest bardzo podobny do wróbla i równie przyjaźnie nastawiony. Czasem może przylecieć do waszej bomy i zawołać was, a kiedy wyjdziecie, uleci w górę i poprowadzi was do pszczelego gniazda. Tam zaczeka, aż zbierzecie trawę, podpalicie ją i odymicie pszczoły. Pamiętajcie jednak, aby zawsze - zaakcentowała ostatnie słowo, tak jak ja uczyniłem to wcześniej - zostawić mu trochę miodu, jeśli bowiem zabierzecie wszystko, następnym razem zaprowadzi was prosto w paszczę fisi, hieny, albo może na pustynię, gdzie nie znajdziecie ani kropli wody i umrzecie z pragnienia. - Skończywszy swą opowieść wyprostowała się i uśmiechnęła z dumą.

- Widzisz?

- Owszem - odparłem, odganiając wielką muchę, która przysiadła mi na policzku.

- Powtórzyłam dokładnie?

- Jak najbardziej,

Spojrzała na mnie z namysłem.

- Może kiedy umrzesz, też zostanę mundumugu.

- Czy wyglądam na bliskiego śmierci?

- No cóż - odrzekła Kamari - jesteś bardzo stary, zgarbiony i pomarszczony, i za dużo sypiasz. Ale wolałabym, żebyś jeszcze nie umierał.

- Postaram się spełnić twoje życzenie - mruknąłem z ironią. - A teraz zanieś swojego sokoła do domu.

Zamierzałem właśnie poinstruować ją, co ma robić, lecz Kamari ubiegła mnie.

- Dzisiaj nic już nie zje. Ale od jutra zacznę dawać mu duże owady i co

najmniej jedną jaszczurkę dziennie. Poza tym zawsze musi mieć świeżą wodę.

- Jesteś bardzo bystra, Kamari.

Dziewczynka ponownie uśmiechnęła się do mnie i odbiegła w stronę swojej bomby.

Powróciła o świcie następnego dnia, taszcząc ze sobą klatkę. Postawiła ją w cieniu, po czym napełniła niewielkie naczynko wodą z jednej z moich tykw i wsunęła do środka.

- Jak się dziś miewa twój ptak? - spytałem, przysuwając się do ognia, bo choć inżynierowie planetarni Rady Eutopii zapewnili Kirinyadze klimat identyczny z kenijskim, słońce nie zdążyło jeszcze ogrzać porannego powietrza.

Kamari zmarszczyła brwi.

- Wciąż nie chce jeść.

- Zje, kiedy dostatecznie zgłodnieje - zapewniłem ją, ciasniej owijając się kocem. - Przywykł do tego, że spada z nieba na swoje ofiary.

- Przynajmniej pije wodę - zauważyła.

- To dobry znak.

- Czy nie mógłbyś rzucić zaklęcia, które od razu by go uleczyło?

- Jego cena byłaby zbyt wysoka - odparłem, bowiem przewidziałem to pytanie. - Tak jest lepiej.

- Jak wysoka?

- Zbyt wysoka - uciąłem. - Czy nie masz nic do roboty?

- Już idę, Koribo.

Przez następnych kilka minut krzątała się wokół, zbierając drwa i napełniając tykwę wodą z rzeki. Potem zniknęła w środku chaty, sprzątając ją i układając porządnie koce. Po chwili wynurzyła się stamtąd z książką w dłoni.

- Co to jest, Koribo?

- Kto ci pozwolił dotykać rzeczy, należących do mundumugu? - zapytałem surowo.

- Jak mam je układać bez dotykania? - odpowiedziała, nie okazując strachu. - Co to jest?

- Książka.
- Co to jest książka, Koribo?
- To nie twoja sprawa - oświadczyłem. - Odłóż ją na miejsce.
- Powiedzieć ci, co o tym sądzę? - spytała.
- Mów - pozwoliłem, ciekaw, co odpowie.
- Pamiętasz znaki, jakie rysujesz na ziemi, kiedy rzucasz kośćmi, aby sprowadzić deszcz? Przypuszczam, że książka to zbiór takich znaków.
- Bystra z ciebie dziewczynka, Kamari.
- Mówiłam przecież - stwierdziła z irytacją, oburzona, że nie zaakceptowałem z góry prawdziwości jej słów. Przez moment przyglądała się książce, po czym uniosła ją ku mnie. - Co oznaczają te znaki?
- Różne rzeczy - odparłem.
- Jakie rzeczy?
- Kikuju nie muszą tego wiedzieć.
- Ty jednak wiesz.
- Bo jestem mundumugu.
- Czy jeszcze ktoś na Kirinyadze umie odczytywać znaki?
- Wasz wódz, Koinnage, i dwóch innych wodzów - przyznałem niechętnie, żalując, że w ogóle dałem się wciągnąć w tę rozmowę, bowiem domyślałem się, do czego zmierza.
- Ale wy wszyscy jesteście starzy! Powinieneś nauczyć mnie tej sztuki, żeby po waszej śmierci ktoś nadal potrafił je odczytać.
- Znaki nie są ważne - odparłem. - Zostały stworzone przez Europejczyków. Przed ich przybyciem do Kenii Kikuju nie potrzebowali książek; teraz, na Kirinyadze, która jest naszym własnym światem, także ich nie potrzebujemy. Po śmierci Koinnatego i pozostałych wodzów wszystko będzie tak, jak kiedyś.
- Czy to złe znaki?
- Nie - wyjaśniłem. - Nie są złe. Po prostu dla Kikuju nie mają żadnego znaczenia. To znaki białego człowieka.
- Podawała mi książkę.
- Przeczytasz mi jeden z nich?
- Po co?
- Jestem ciekawa, jakie znaki kreślili biali ludzie.

Przyglądałem się jej przez dłuższą chwilę, próbując podjąć decyzję.  
Wreszcie skinąłem głową.

- Ten jeden jedyny raz. Nigdy więcej.

- Nigdy więcej - przytaknęła.

Otwarłem książkę, wybór poezji elżbietańskiej w przekładzie na suahili i na chybił trafił wybrałem jeden wiersz:

*Pójdź ze mną, zostań moją miłą,  
Iżby nam wspólnie dni słodziło  
Wszystko, czym tchną doliny, gaje,  
Szczyty gór, bory i ruczaje.  
Siądziemy u źródlanej wody,  
Tam, gdzie pasterze poją trzody;  
Nurt będzie bystrym blaskiem migał,  
Ptak nam zaśpiewa swój madrygał.  
Z płatków róż będziesz mieć posłanie,  
Baldachim dębów nad nim stanie;  
Wianek ci będzie czepkiem, cienki  
Liść mirtu - płótnem twej sukienki.  
Pasek z powoju splotę, ale  
Zdobny w bursztyny i korale:  
Jeśli to wszystko cię znęciło,  
Pójdź ze mną, zostań moją miłą.\*  
Kamari zmarszczyła brwi.*

- Nie rozumiem.

- Uprzedzałem cię - odparłem. - A teraz odłóż książkę na miejsce i dokończ sprzątanie. Pamiętaj, że oprócz pracy tutaj masz jeszcze obowiązki w shambie ojca.

Skinęła głową i zniknęła we wnętrzu chaty, jednak po kilku minutach wypadła na dwór, podniecona.

- To jednak opowieść! - wykrzyknęła.

- Co takiego?

- Znak, który odczytałeś! Nie rozumiem wielu słów, ale to historia o wojowniku, proszącym pannę, aby została jego żoną! - urwała. - Tylko że ty, Koribo, opowiedziałbyś ją lepiej. Znaki nie wspominają nawet o fisi,

hienie i mambie, krokodylu, który czai się w rzece i może pożreć wojownika wraz z żoną. Mimo wszystko to jednak historia! Sądziłam, że znaki kryją w sobie jedno z zaklęć mundumugu.

- Jesteś bardzo mądra - zauważyłem. - Niełatwo poznać, że to opowieść.

- Przeczytaj jeszcze jedną! - poprosiła z zapalem. Potrząsnąłem głową.

- Nie pamiętasz o naszej umowie? Jeden jedyny raz. Nigdy więcej.

Spuściła wzrok, zamyślona. Nagle jej oczy rozbłysły.

- A zatem naucz mnie odczytywać znaki.

- To wbrew prawom Kikuju - odparłem. - Kobietom nie wolno czytać.

- Czemu?

- Obowiązkiem kobiety jest uprawiać pola, mleć ziarno, rozpalać ogień, tkąć ubrania i rodzić mężowi dzieci - odparłem.

- Ale ja nie jestem jeszcze kobietą - wtrąciła Kamari - tylko małą dziewczynką.

- Jednakże staniesz się kobietą - wyjaśniłem - a kobietom nie wolno czytać.

- Więc naucz mnie teraz. Kiedy stanę się kobietą, wszystko zapomnę.

- Czy orzeł zapomina, jak ma latać, albo hiena - jak zabijać?

- To niesprawiedliwe.

- Owszem - odrzekłem - ale słuszne.

- Nie rozumiem.

- Wytłumaczę ci zatem - odparłem. - Usiądź, Kamari.

Przycupnęła na ziemi naprzeciwko mnie i nachyliła się z uwagą.

- Wiele lat temu - zacząłem - Kikuju mieszkali w cieniu Kirinyagi, góry, którą Ngai obrał sobie za siedzibę.

- Wiem - weszła mi w słowo. - A potem zjawili się Europejczycy i zbudowali swoje miasta.

- Przerywasz mi.

- Przepraszam, Koribo, ale znam już tę historię.

- Nie całą - poprawiłem. - Przed przybyciem Europejczyków żyliśmy w harmonii z naszą krainą. Hodowaliśmy bydło i oraliśmy pola, rodziłyśmy dość dzieci, by zastąpić zmarłych ze starości i chorób oraz tych, którzy polegli w wojnach z Masajami, Wakambami i Nandimi. Nasze życie było proste, lecz znajdowaliśmy w nim spełnienie.



- I wtedy pojawili się Europejczycy!
- Wtedy pojawili się Europejczycy - zgodziłem się - i przynieśli ze sobą nowe zwyczaje.
- Złe zwyczaje.
- Pokręciłem głową.
- Dla nich nie były wcale złe. Wiem, bo studiowałem w europejskich szkołach. Jednakże ich zwyczaje nie posłużyły Kikuju, Masajom, Wakambom, Embu, Kisi i pozostałym szczepom. Ujrzelśmy ich stroje i wzniesione przez nich budynki, a także maszyny, których używali, i zapragnęliśmy stać się takimi jak oni. Ale nie jesteśmy Europejczykami. Ich zwyczaje nie są naszymi i nie pasują do nas. Nasze miasta stały się brudne i zatłoczone, żyzne ziemie wyjałowiały, zwierzęta wymarły, a rzeki spłynęły trucizną. Wreszcie, kiedy Rada Eutopii zezwoliła nam przenieść się na Kirinygę, porzuciliśmy Kenię i przybyliśmy tu, aby znów żyć w zgodzie z dawnymi zwyczajami, zwyczajami, które służą Kikuju - urwałem. - Niegdyś Kikuju nie mieli języka pisanego i nie umieli czytać, a ponieważ tu, na Kirinyadze, staramy się stworzyć prawdziwy świat Kikuju, trzeba, by nasz lud nie uczył się czytania i pisania.
- Ale co jest dobrego w tym, że nie umiemy czytać? - zaproponowała Kamari. - Fakt, iż nie potrafiliśmy tego przed przybyciem Europejczyków, nie oznacza jeszcze, że to coś złego.
- Dzięki czytaniu poznałabyś inne sposoby myślenia i życia. Życie na Kirinyadze przestałoby ci wystarczać.
- Ty jednak umiesz czytać, a nie czujesz niezadowolenia.
- Jestem mundumugu - odparłem. - Starczy mi mądrości, aby wiedzieć, że wszystko, co czytam, to kłamstwa.
- Ale kłamstwa nie zawsze są złe - upierała się Kamari. - Opowiadasz je przecież cały czas.
- Mundumugu nie okłamuje swojego ludu - powiedziałem surowo.
- Nazywasz je historiami, na przykład historię lwa i zająca, albo opowieścią o tym, jak powstała tęcza, ale to przecież kłamstwa.
- Nie - odrzekłem. - To przypowieści.
- Czym jest przypowieść?
- Rodzajem historii.
- Prawdziwej?

- W pewnym sensie.
- Skoro w pewnym sensie jest prawdziwa, to jest też częściowo kłamstwem, czyż nie? - naciskała i zanim zdążyłem coś powiedzieć, ciągnęła dalej: - A skoro mogę słuchać kłamstw, czemu nie wolno mi ich czytać?
- Już ci wyjaśniłem.
- To niesprawiedliwe - powtórzyła.
- Nie - zgodziłem się - ale prawdziwe i na dłuższą metę posłuży dobru Kikuju.
- Nadal nie rozumiem, czemu to ma być dobre - poskarżyła się.
- Ponieważ tylko my pozostaliśmy. Kiedyś już Kikuju usiłowali przywdziać cudzą skórę i w rezultacie stali się nie miejskimi Kikuju, złymi Kikuju czy nieszczęśliwymi Kikuju, lecz całkiem nowym szczepem, zwanym Kenijczykami. Ci z nas, którzy przybyli na Kirinyagę, uczynili to, aby zachować dawne zwyczaje - a jeśli kobiety zaczną czytać, część z nich poczuje niezadowolenie z własnego losu. Wyjadą i pewnego dnia nie będzie już więcej Kikuju.
- Ależ ja nie chcę opuścić Kirinyagi! - zaprotestowała. - Pragnę zostać obrzezana, urodzić mojemu mężowi dużo dzieci, uprawiać pola własnej shamby i żyć dostatnio w otoczeniu wnucząt.
- Tak właśnie powinno być.
- Chcę też jednak czytać o innych światach i innych czasach. Potrząsnąłem głową.
- Nie.
- Ale...
- Dość już na dzisiaj - przerwałem jej. - Słońce wznosi się coraz wyżej, a ty wciąż nie skończyłaś sprzątać w mojej chacie. Pamiętaj, że musisz jeszcze pracować w shambie ojca, a potem wrócić tu po południu.

Kamari wstała bez słowa i zabrała się do sprzątanania. Kiedy skończyła, zabrała klatkę i ruszyła w stronę własnej bomby. Odprowadziłem ją wzrokiem, po czym wróciłem do chaty i włączyłem komputer, aby omówić z Kontrolą drobną korektę orbity, bowiem ostatni miesiąc był wyjątkowo gorący i suchy. Zgodzili się dokonać poprawek i w parę chwil

później maszerowałem już długą krętą ścieżką w stronę wioski. Kiedy znalazłem się na środku osady, ostrożnie usiadłem na ziemi, rozłożyłem wokół wyjęte z woreczka kości i amulety i wezwałem Ngai prosząc, aby obdarzył Kirinyagę łagodnym deszczem, który Kontrola obiecała dostarczyć tego popołudnia.

Po chwili dokoła mnie zebrała się gromadka dzieci, jak zawsze, kiedy opuszczałem moją bomę na wzgórzu i odwiedzałem wioskę.

- Jambo, Koribo! - wykrzyknęły.

- Jambo, moi dzielni młodzi wojownicy - odparłem, nie wstając z ziemi.

- Po co przyszedłeś dziś do wioski, Koribo? - spytał Ndemi, najodważniejszy z chłopców.

- Przybyłem, aby prosić Ngai, by zechciał zrosić nasze pola swymi łzami współczucia - odparłem - bowiem w tym miesiącu nie spadła ani kropla deszczu i zboża są go spragnione.

- Teraz, kiedy skończyłeś już rozmawiać z Ngai, czy opowiesz nam jakąś historię? - poprosił Ndemi.

Spojrzałem w niebo, oceniając położenie słońca.

- Mam czas tylko na jedną opowieść - oznajmiłem. - Potem muszę obejść pola i rzucić nowy urok na strachy na wróble, aby nadal strzegły naszych plonów.

- Jaką historię nam opowiesz, Koribo? - spytał któryś z chłopców. Rozejrzałem się i dostrzegłem Kamari, stojącą w grupce dziewcząt.

- Myślę, że opowiem wam historię o dzierzbie i lamparcie - rzekłem.

- Tej jeszcze nie słyszałem - mruknął Ndemi.

- Czyżbym był już tak stary, że brak mi nowych opowieści? - spytałem ostro i chłopak spuścił wzrok. Odczekałem, póki wszyscy nie umilkli, i zacząłem:

- Dawno, dawno temu żył sobie młody dzierzba, a ponieważ był bardzo bystry, stale zadawał swemu ojcu coraz to nowe pytania.

- Czemu jadamy owady? - zapytał któregoś dnia.

- Ponieważ jesteśmy dzierzbami i taki mamy zwyczaj - odparł ojciec.

- Ale przecież jesteśmy też ptakami - naciskał dzierzba - a ptaki takie jak orzeł jadają ryby.

- Ngai nie chciał, aby dzierzby żywiły się rybami - wyjaśnił ojciec. -

Zresztą nawet gdyby starczyło ci sił, by złapać i zabić rybę, gdybyś ją zjadł, pochorowałbyś się.

- Jadłeś kiedyś rybę?

- Nie.

- To skąd wiesz? - spytał młody dzierzba. Tego popołudnia pofrunął nad rzekę i wypatrzył maleńką rybkę. Złapał ją i zjadł, po czym chorował cały tydzień.

- Czy ta lekcja czegoś cię nauczyła? - spytał ojciec dzierzba, kiedy jego syn wyzdrowiał.

- Nauczyłem się nie jeść ryb - odparł dzierzba. - Mam jednak inne pytanie.

- Jakie?

- Czemu dzierzby są najbardziej tchórzliwymi z ptaków? - zapytał młody dzierzba. - Gdy tylko pojawi się lew albo lampart, uciekamy na najwyższe gałęzie drzew i czekamy, aż sobie pójdzie.

- Lwy i lamparty pożarłyby nas, gdyby tylko mogły - odrzekł ojciec. - Musimy zatem przed nimi uciekać.

- Ale przecież nie pożerają strusia, a struś to ptak - stwierdził bystry młody dzierzba. - Jeśli rzuca się na niego, zabija ich swym kopnięciem.

- Nie jesteś strusiem - uciął ojciec, zmęczony gadaniną syna.

- Jestem jednak ptakiem i struś też jest ptakiem, więc nauczę się kopać tak jak on - oznajmił młody dzierzba i przez następny tydzień ćwiczył kopanie na wszystkich owadach i gałązkach, jakie weszły mu w drogę.

Wreszcie pewnego dnia natknął się na chui, lamparta, a kiedy ten zbliżył się do niego, młody bystry dzierzba nie umknął na najwyższą gałąź drzewa, lecz dzielnie stawiał mu czoło.

- Nie brak ci odwagi - stwierdził lampart.

- Jestem bardzo bystrym ptakiem i nie boję się ciebie - odparł dzierzba. - Dużo ćwiczyłem, aby móc kopać jak struś. Jeśli podejdziesz bliżej, kopnę cię i zginiesz.

- Doskwiera mi starość - oznajmił lampart. - Nie mam już sił, by polować. Jestem gotów umrzeć. Chodź zatem i kopnij mnie, aby uwolnić mnie od dalszych nieszczęść.

Młody dzierzba podszedł do lamparta i z całej siły kopnął go prosto w pysk. Lampart roześmiał się tylko, otworzył paszczę i połknął bystrego

młodego dzierzbę.

- Co za niemądry ptak! - powiedział do siebie. - Po co udawał kogoś, kim nie był? Gdyby odfrunął, jak przystało na dzierzbę, odszedłbym głodny - ale próbując stać się kimś innym, trafił do mojego żołądka. Chyba jednak nie był tak bystry, jak sądził.

Urwałem, spoglądając wprost na Kamari.

- To już koniec? - spytała któraś dziewczynka.

- Owszem.

- Czemu dzierzba sądził, że mógłby zostać strusiem? - zainteresował się jeden z mniejszych chłopców.

- Może Kamari ci to wyjaśni - odparłem.

Wszystkie dzieci odwróciły się do Kamari, która zastanowiła się przez moment.

- Czymś innym jest chcieć zostać strusiem, a czymś zupełnie innym pragnąć wiedzieć to, co wie struś - oznajmiła, patrząc mi prosto w oczy. - Dierzba nie uczynił nic złego, próbując dowiedzieć się nowych rzeczy. Nie powinien był tylko sądzić, że może stać się strusiem.

Przez chwilę dzieci w milczeniu rozważały tę odpowiedź.

- Czy to prawda, Koribo? - zapytał wreszcie Ndemi.

- Nie - odparłem - bo kiedy dzierzba poznał wiedzę strusia, zapomniał o tym, że sam jest dzierzbą. Zawsze musicie pamiętać, kim jesteście, a znajomość zbyt wielu rzeczy może sprawić, że o tym zapomnicie.

- Opowiedz coś jeszcze - poprosiła jakaś dziewczynka.

- Nie teraz - wstałem. - Ale kiedy wieczorem przyjdę do wsi, aby napić się pombe i obejrzeć tańce, może opowiem wam historię o wielkim słońcu i mądrym kikujskim chłopcu. Czyżbyście nie mieli nic do roboty?

Dzieci rozbiegły się do swych zajęć, wracając do shamb i na pastwiska, ja zaś wstąpiłem do Jumy i dałem mu maść na bóle stawów, które zawsze dolegały mu przed deszczem. Następnie odwiedziłem Koinnagego, napiłem się z nim pombe i omówiliśmy bieżące sprawy wioski z resztą Rady Starszych. Wreszcie wróciłem do swej bomy, gdyż zawsze ucinam sobie drzemkę podczas największego skwaru, a deszcz miał spaść dopiero za kilka godzin.

Kiedy dotarłem na miejsce, Kamari już tam była. Przyniosła więcej drewna i wody. Gdy wszedłem do bomy, napelniała właśnie wiadra

ziarnem, przeznaczonym dla kóz.

- Jak się miewa twój ptak? - spytałem, zerkając na karłowatego sokoła, którego klatka stała starannie ukryta w cieniu mojej chaty.

- Pije, ale nie chce jeść - odparła strapionym tonem. - Bez przerwy spogląda w niebo.

- Zaprzatają go rzeczy ważniejsze niż jedzenie.

- Już skończyłam - oznajmiła. - Mogę iść do domu, Koribo?

Skinąłem głową i zacząłem układać koce na moim posłaniu.

Przez następny tydzień przychodziła co dzień, rano i po południu.

Ósmego dnia ze łzami w oczach oświadczyła, że sokół zdechł.

- Uprzedzałem cię, że tak będzie - powiedziałem łagodnie. - Jeśli ptak zakosztował już lotu na skrzydłach wiatru, nie potrafi żyć na ziemi.

- Czy wszystkie ptaki giną, kiedy nie mogą już latać? - spytała.

- Większość. Nielicznym odpowiada bezpieczeństwo klatki, jednak najczęściej pęka im serce. Dotknąwszy nieba, nie mogą znieść utraty daru latania.

- Po co zatem budujemy klatki, skoro ptaki nie czują się w nich lepiej?

- Ponieważ sprawiają, że my czujemy się lepiej - odparłem. Zawahała się, po czym rzekła:

- Dotrzymam słowa. Będę sprzątać twoją bomę, przynosić drwa i wodę, choć ptak już nie żyje.

Przytaknąłem.

- Tak się umawialiśmy.

Zgodnie z obietnicą przez następne trzy tygodnie zjawiała się regularnie dwa razy dziennie. Dwudziestego dziewiątego dnia, gdy Kamari zakończyła już poranne obowiązki i wróciła do rodzinnej shamby, jej ojciec, Njoro, złożył mi wizytę.

- Jambo, Koribo - powitał mnie; jego twarz miała zatroskany wyraz.

- Jambo, Njoro - odparłem, nie wstając z ziemi. - Po co przychodzisz do mojej bomy?

- Jestem biednym człowiekiem, Koribo - powiedział, kucając obok mnie. - Mam tylko jedną żonę, która nie urodziła mi synów, a jedynie dwie córki. Moja shamba nie dorównuje rozmiarami większości innych w wiosce, a w ciągu ostatniego roku hieny zabiły mi trzy krowy.

Nie rozumiałem, do czego zmierza, toteż wpatrywałem się w niego,

czekając, aż przejdzie do rzeczy.

- Mimo wszystko - ciągnął dalej - pocieszałem się myślą, że przynajmniej na starość dostanę posag za moje córki. - Urwał. - Byłem dobrym człowiekiem, Koribo. Z pewnością zasłużyłem sobie na to.

- Nic innego nie twierdziłem.

- Czemu zatem uczysz Kamari, aby została mundumugu? - spytał. - Wiadomo przecież, że mundumugu zawsze żyje samotnie.

- Czy to Kamari mówiła ci, że ma zostać mundumugu?

Potrząsnął głową.

- Nie. Od czasu, gdy zaczęła u ciebie sprzątać, w ogóle nie rozmawia - ani ze mną, ani ze swoją matką.

- Zatem mylisz się - oświadczyłem. - Żadna kobieta nie może być mundumugu. Czemu sądziłeś, że ją uczę?

Sięgnął w głąb swego kikoi i spośród fałd materiału wyciągnął kawałek wyprawionej skóry. Okruczem węgla napisano na niej następujące słowa:

JESTEM KAMARI  
MAM DWANAŚCIE LAT  
JESTEM DZIEWCZYNKĄ

- To jest pismo - oznajmił oskarżycielsko. - Kobiety nie potrafią pisać. Tylko mundumugu i wielcy wodzowie, tacy jak Koinnage, umieją kreślić takie znaki.

- Zostaw to u mnie, Njoro - poleciłem, odbierając mu skórę - i przyślij tu Kamari.

- Potrzebuję jej w mojej shambie aż do popołudnia.

- W tej chwili.

Westchnął i skłonił głowę.

- Przyślę ci ją, Koribo. - Zawahał się. - Jesteś pewien, że nie zostanie mundumugu?

- Masz na to moje słowo. - Splunąłem w dłonie na znak, że mówię szczerze.

Njoro odetchnął z ulgą i wrócił do swojej bomy. Kilka minut później na ścieżce pojawiła się Kamari.

- Jambo, Koribo - rzuciła.

- Jambo, Kamari - odparłem. - Jestem z ciebie bardzo niezadowolony.
- Czyżbym dziś rano zebrała za mało drewna?
- Zebrałaś dość drewna.
- Czy tykwy nie były pełne wody?
- Były pełne.
- Zatem co złego zrobiłam? - spytała, z roztargnieniem odganiając od siebie natrętną kozę.
- Złamałaś dane mi słowo.
- Nieprawda - zaprotestowała. - Przychodzę co dzień, rano i po południu, choć mój ptak nie żyje.
- Przyrzekałaś, że nie spojrzysz na żadną książkę.
- I nie spojrzałam od dnia, w którym zabroniłeś mi tego.
- A zatem wyjaśnij, skąd to się wzięło - pokazałem jej kawałek skóry, pokryty literami.
- Nie ma tu nic do wyjaśniania - odparła, wzruszając ramionami. - Ja to napisałam.
- Skoro nie zaglądałaś do książek, skąd nauczyłaś się pisać? - naciskałem.
- Z twojej magicznej skrzynki. Nigdy nie zabraniałeś mi na nią patrzeć.
- Magicznej skrzynki? - zmarszczyłem brwi.
- Tej, która cicho mruczy, ożywa i mieni się wieloma kolorami.
- Chodzi ci o komputer? - spytałem ze zdumieniem.
- Mówię o twojej magicznej skrzynce - powtórzyła.
- I ona nauczyła cię czytać i pisać?
- Sama się nauczyłam, ale tylko trochę - odparła nieszczęśliwym tonem. - Przypominam dźwignię z twojej historii - nie jestem wcale tak bystra, jak sądziłam. Czytanie i pisanie to bardzo trudna sztuka.
- Mówiłem przecież, że nie możesz uczyć się czytać - przypomniałem, z trudem powstrzymując się od pogratulowania jej wspaniałych osiągnięć, bowiem niewątpliwie złamała prawo.
- Kamari potrząsnęła głową.
- Powiedziałaś, że nie wolno mi zaglądać do książek - odparła z uporem.
- Powiedziałem, że kobietom nie wolno czytać. Nie posłuchałaś.



Musisz zostać ukarana – zastanowiłem się przez moment. – Będziesz tu sprzątać jeszcze przez trzy miesiące. Oprócz tego przyniesiesz mi dwa zające i dwa gryzonie, które złapiesz własnoręcznie. Rozumiesz?

– Tak.

– A teraz chodź ze mną, abyś zrozumiała coś jeszcze.

Poszła za mną do chaty.

– Komputer – rzuciłem – włącz się.

– Gotów – odparł mechaniczny głos maszyny.

– Uruchom skaner i powiedz, kto jest tu ze mną.

Soczewka czujnika rozbłysła.

– Jest tu z tobą dziewczynka, Kamari wa Njoro.

– Czy poznasz ją, jeśli jeszcze ją kiedyś zobaczysz?

– Tak.

– To jest rozkaz o bezwzględny pierwszeństwie – oznajmiłem. – Nigdy więcej nie wolno ci porozumiewać się z Kamari wa Njoro – czy to słownie, czy w jakimkolwiek znanym języku.

– Zrozumiałem i zapamiętałem – odparł komputer.

– Wyłącz się. – Odwróciłem się do Kamari. – Rozumiesz, co zrobiłem?

– Owszem – powiedziała – i postąpiłeś niesprawiedliwie. Nie złamałam twojego zakazu.

– Prawo głosi, że kobietom nie wolno czytać – oznajmiłem – a ty postąpiłaś wbrew niemu. Nie pozwolę, byś złamała je ponownie. Teraz wracaj do swojej shamby.

Kamari wyszła, wysoko unosząc głowę w niemym oporze, ja zaś zająłem się własnymi obowiązkami. Uczyłem młodych chłopców, jak mają przyozdobić swoje ciała na nadchodzącą uroczystość obrzezania, przygotowałem przeciwzakłęcie dla starego Sibokiego (który znalazł w obrębie swej shamby odchody hieny, jedną z najpewniejszych oznak thahu, kłutwy), poinstruowałem Kontrolę, aby dokonała kolejnej korekty orbity, przynoszącej chłodniejszą pogodę zachodnim równinom.

Kiedy wróciłem do siebie w porze popołudniowej drzemki, Kamari zdążyła już przyjść i odejść, a chata była starannie wysprzątana.

Przez następne dwa miesiące życie w wiosce toczyło się własnym,

spokojnym rytmem.

Zebrano plony, stary Koinnage poślubił kolejną żonę i z tej okazji odbyła się dwudniowa uczta z tańcami i wielkimi ilościami pombe; skąpe deszcze spadły zgodnie z planem, urodziło się też troje dzieci. Nawet Rada Eutopii, która wcześniej narzekała na nasz zwyczaj oddawania starców i chorych hienom, zostawiła nas w spokoju. Znaleźliśmy legowisko hien i zabiliśmy trzy szczeniaki, do których wkrótce dołączyła matka. Przy każdej pełni księżyca składałem w ofierze krowę – nie marną kozę, lecz wielką, tłustą krowę – aby podziękować Ngai za jego szczodrość, istotnie bowiem jego łaska nie opuszczała Kirinyagi.

W tym okresie rzadko widywałem Kamari. Rano zjawiała się, gdy byłem w wiosce i rzucałem kośćmi, aby sprowadzić przychylną pogodę; po południu przychodziła, kiedy rzucałem uroki na chorych i rozmawiałem ze starszymi. Zawsze jednak wiedziałem, że złożyła mi wizytę, gdyż w bomy panował idealny porządek i nigdy nie brakowało mi wody czy drewna.

Któregoś wieczora wróciłem do mej bomy po długiej rozmowie z Koinnagem, proszącym o radę, jak ma rozstrzygnąć spór dotyczący kawałka ziemi. Po wejściu do chaty natychmiast zauważyłem, że ekran komputera błyszczy jasnym światłem. Pokrywały go dziwne symbole. Podczas studiów w Anglii i Ameryce nauczyłem się angielskiego, francuskiego i hiszpańskiego, oczywiście władałem też kikujskim i suahili, jednakże owe symbole nie przypominały żadnego znanego mi języka, nie były też wzorami matematycznymi, mimo iż dostrzegłem wśród nich liczby i znaki przestankowe.

- Komputer, wyraźnie pamiętam, że wyłączałem cię dziś rano – zmarszczyłem brwi. – Dlaczego twój ekran się świeci?

- Kamari mnie włączyła.

- I przed wyjściem zapomniała wyłączyć?

- Zgadza się.

- Tak przypuszczałem – powiedziałem ponuro. – Czy włącza cię co dzień?

- Owszem.

- Wydałem ci przecież rozkaz o bezwzględny pierwszeństwie, abyś nigdy nie porozumiewał się z nią w żadnym znanym języku –

stwierdziłem ze zdumieniem.

- Tak, Koribo.

- Możesz wyjaśnić, czemu zignorowałeś moje polecenie?

- Nie zignorowałem go, Koribo - odparł komputer. - Mój program nie pozwala mi sprzeciwiać się rozkazom o bezwzględny pierwszeństwie.

- Zatem co widzisz na twoim ekranie?

- To jest język Kamari - oznajmił komputer. - Nie ma go pomiędzy 1732 językami i dialektami w moim banku pamięci, toteż twój rozkaz go nie obejmuje.

- Czy ty stworzyłeś ów język?

- Nie, Koribo. To dzieło Kamari.

- Pomagałeś jej w jakikolwiek sposób?

- Nie, Koribo.

- To prawdziwy język? - spytałem. - Potrafisz go zrozumieć?

- Najprawdziwszy. Owszem, potrafię.

- Gdyby zadała ci pytanie w języku Kamari, odpowiedziałbyś na nie?

- Tak, jeśli byłoby dostatecznie proste. To bardzo ograniczony język.

- A gdyby ta odpowiedź wymagała tłumaczenia informacji z innego znanego języka na język Kamari, czy byłoby to sprzeczne z moimi rozkazami?

- Nie, Koribo.

- Czy w istocie odpowiadałeś na pytania, zadane ci przez Kamari?

- Owszem, Koribo, odpowiadałem - odrzekł komputer.

- Rozumiem. Czekać na nowe polecenia.

- Czekaam...

Schyliłem głowę, zastanawiając się nad najlepszym rozwiązaniem problemu. Nie ulegało wątpliwości, że Kamari jest bystra i uzdolniona: nie tylko sama nauczyła się czytać i pisać, ale też stworzyła spójny i logiczny język, zrozumiały dla komputera. Wydałem jej jasne polecenie, ona jednak, nie naruszając mojego zakazu, zdołała go obejść. Nie kierowały nią nieczne pobudki; pragnęła tylko się uczyć, co samo w sobie stanowi szlachetny cel. Ale to tylko jedna strona medalu.

Z drugiej strony Kamari stała się zagrożeniem dla porządku społecznego, który z takim trudem ustanowiliśmy na Kirinyadze. Mężczyźni i kobiety znali swoje obowiązki i akceptowali je bez

zastrzeżeń. Ngai podarował Masajom włócznię, Wakambom dał strzałę, Europejczykom – maszyny i prasy drukarskie, jednakże Kikuju ofiarował kij do kopania ziemi i żyzną krainę otaczającą święte drzewo figowe na zboczach Kirinyagi.

Kiedyś już, wiele lat temu, żyliśmy w harmonii z naszą ziemią. A potem zjawilo się słowo drukowane. Najpierw zrobiło z nas niewolników, potem chrześcijan, aż wreszcie staliśmy się żołnierzami, robotnikami w fabrykach, mechanikami i politykami – wszystkim, czym Kikuju nigdy nie mieli zostać. Raz już się to zdarzyło; może zdarzyć się ponownie.

Przybyliśmy na Kirinyagę, aby stworzyć idealną społeczność Kikuju, kikujską Utopię; czy jedna zdolna dziewczynka mogła kryć w sobie ziarno naszej zagłady? Nie miałem pewności, niemniej faktem jest, że zdolne dzieci dorastają. To z ich szeregów wywodził się Jezus, Mahomet i Jomo Kenyatta – ale też Tippoo Tib, największy handlarz niewolników i Idi Amin, kat własnego ludu. Oraz Friedrich Nietzsche i Karol Marks, ludzie niewątpliwie genialni, którzy jednak wywarli ogromny wpływ na rzesze osób znacznie mniej inteligentnych i uzdolnionych. Czy mam prawo stanąć z boku w nadziei, że wpływ Kamari na naszą społeczność okaże się dobroczynny, skoro cała historia ludzkości jasno świadczy o tym, że znacznie bardziej prawdopodobna jest druga możliwość?

Moja decyzja była bolesna, ale niezbyt trudna.

– Komputer – powiedziałem w końcu – mam nowy rozkaz o bezwzględnym pierwszeństwie, znoszący wcześniejsze polecenia. Od tej pory pod żadnym warunkiem nie wolno ci komunikować się z Kamari. Jeśli cię włączyła, masz jej powiedzieć, że Koriba zabronił ci jakichkolwiek kontaktów z jej osobą, a potem natychmiast się wyłączyć. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem i zapamiętałem.

– Doskonale – odparłem. – A teraz wyłącz się.

Gdy następnego ranka wróciłem z wioski, zastałem puste tykwy, rozrzucone koce i bomę wypełnioną kozimi bobkami. Choć mundumugu ma nad Kikuju władzę absolutną, nie brak mu litości. Postanowiłem wybaczyć Kamari ten dziecinny atak wściekłości, toteż nie złożyłem

wizyty jej ojcu ani nie kazałem reszcie dzieci jej unikać.

Tego popołudnia nie zjawiała się już. Wiem, bo czekałem obok chaty, aby wyjaśnić jej moją decyzję. Wreszcie, kiedy zapadł zmierzch, posłałem po chłopca, Ndemiego, żeby napelnił mi tykwy i posprzątał w bomie. Należy to do obowiązków kobiet, ale nie ośmielił się sprzeciwić swemu mundumugu, choć każdy jego gest wyrażał wzdargę dla podobnie poniżających czynności.

Kiedy Kamari nie zjawiała się przez następne dwa dni, wezwałem do siebie Njoro, jej ojca.

- Kamari złamała dane mi słowo - oznajmiłem. - Jeśli nie przyjdzie dziś i nie posprząta w mojej bomie, będę musiał rzucić na nią thahu.

Njoro sprawiał wrażenie zdumionego.

- Kamari mówi, że już ją przekłąłeś, Koribo. Zamierzałem cię spytać, czy powinienem wygnać ją z naszej bomy.

Potrząsnąłem głową.

- Nie. Nie wyganiam jej. Na razie nie rzuciłem na nią thahu - ale dziś po południu musi stawić się do pracy.

- Nie wiem, czy starczy jej sił. Od trzech dni nie je i nie pije, siedzi tylko bez ruchu w chacie mojej żony - urwał. - Ktoś obłożył ją thahu. Jeśli to nie ty, może zechciałbyś rzucić zaklęcie, które usunie klątwę.

- Od trzech dni nie jadła i nie piła? - powtórzyłem. Przytaknęła.

- Pójdę do niej - wstałem z ziemi i ruszyłem za nią krętą ścieżką prowadzącą do wioski. Kiedy dotarliśmy do jego bomy, Njoro zaprowadził mnie do chaty swojej żony, wywołał z niej zatroskaną matkę Kamari i odszedł na bok. Wszedłem do środka.

Kamari siedziała w najdalszym kącie, wsparta plecami o ścianę. Jej kolana dotykały podbródka, ręce oplatały szczupłe nogi.

- Jambo, Kamari - rzuciłem.

Spojrzała na mnie, ale nie odpowiedziała.

- Twoja matka martwi się o ciebie, a ojciec mówi, że przestałaś jeść i pić.

Brak reakcji.

- Nie dotrzymałaś też obietnicy. Miałaś sprzątać w mojej bomie.

Cisza.

- Czyżbyś zapomniała, jak się mówi?

- Kobiety Kikuju nie mówią - odparła z goryczą - ani nie myślą. Mają tylko rodzić dzieci, gotować jedzenie, zbierać drwa i uprawiać pola. Do tego niepotrzebne im mowa i myślenie.

- Jesteś aż tak nieszczęśliwa?

Nie odpowiedziała.

- Posłuchaj mnie, Kamari - powiedziałem powoli. - Podjąłem już decyzję dla dobra Kirinyagi i nie zmienię jej. Jako kobieta Kikuju musisz żyć tak, jak ci przeznaczono - urwałem. - Jednakże Kikuju i Rada Eutopii szanują prawa jednostki. Każdy członek naszej społeczności może odejść, jeśli takie jest jego życzenie. Zgodnie z umową, którą podpisaliśmy, obejmując we władanie ten świat, wystarczy tylko, abyś udała się do miejsca, zwanego Przystanią. Statek Kontroli zabierze cię stamtąd, dokądkolwiek zechcesz.

- Kirinyaga jest wszystkim, co znam - odparła. - Jak mam wybrać sobie nowy dom, skoro nie wolno mi poznać innych miejsc?

- Nie wiem - przyznałem.

- Nie chcę opuszczać Kirinyagi! - ciągnęła dalej. - To mój dom. Tu mieszka mój lud. Jestem dziewczyną Kikuju, nie Masajką czy Europejką. Będę rodzić dzieci mojego męża i uprawiać jego shambę, zbierać drwa, gotować posiłki i tkać stroje. Opuszczę shambę rodziców i zamieszkać z rodziną męża. Zrobię to wszystko bez słowa skargi, Koribo, jeśli tylko pozwolisz mi nauczyć się czytać i pisać.

- Nie mogę - odrzekłem ze smutkiem.

- Ale dlaczego?

- Kto jest najmądrzejszym człowiekiem, jakiego znasz, Kamari?

- Mundumugu jest zawsze najmądrzejszy w wiosce.

- Musisz zatem zaufać mojej mądrości.

- Tylko że czuję się jak tamten sokół karłowaty - w głosie Kamari zabrzmiała żalonna nuta. - Całe życie marzył o tym, że kiedyś poszybuje wysoko, unoszony wiatrem. Ja marzę o słowach na ekranie komputera.

- Ale różnisz się od sokoła - odparłem. - On nie mógł stać się tym, czym miał być. Tobie nie pozwalam na zostanie tym, kim być nie powinnaś.

- Nie jesteś złym człowiekiem, Koribo - oznajmiła z powagą - niemniej mylisz się.

- Jeśli tak, będę musiał żyć z tą świadomością.

- Domagasz się jednak, abym i ja z nią żyła - stwierdziła Kamari. - Na tym właśnie polega twoja zbrodnia.

- Jeżeli jeszcze raz nazwiesz mnie zbrodniarzem - powiedziałem surowo, bowiem nikomu nie wolno zwracać się w ten sposób do mundumugu - rzucę na ciebie thahu.

- Co jeszcze mógłbyś zrobić? - spytała gorzko.

- Mogę zamienić cię w hienę, nieczystą pożeraczkę ludzkiego ciała, która żeruje w ciemności. Mogę napełnić twój brzuch cierniami, by każdy ruch sprawiał ci niewyobrażalny ból. Mogę...

- Jesteś tylko człowiekiem - odparła ze znużeniem - i uczyniłeś już najgorsze, co leżało w twojej mocy.

- Dość tego! - zagrmiałem. - Rozkazuję ci zjeść i wypić wszystko, co przyniesie ci matka. Po południu spodziewam się ciebie u mnie w bomie.

Wyszedłem z chaty i poleciłem matce Kamari, aby zaniosiła jej wodę i utarte banany. Następnie odwiedziłem shambę Benimy. Stado bawołów stratowało mu pole, niszcząc zbiory, toteż złożyłem ofiarę z kozła, aby zdjąć thahu, ciężące nad jego ziemią.

Kiedy skończyłem, wstąpiłem na chwilę do bomy Koinnagego, który poczęstował mnie świeżo uwarzonym pombe i natychmiast zaczął narzekać na Kibo, swoją nową żonę, intrygującą wraz z Shumi, drugą żoną, przeciwko Wambie, najstarszej.

- Zawsze możesz się z nią rozwieść i odesłać do rodzinnej shamby - podsunąłem.

- Kosztowała dwadzieścia krów i pięć kóz! - jęknął. - Czy jej rodzina zwróci posag?

- Nie.

- Zatem jej nie odeślę.

- Jak chcesz - wzruszyłem ramionami.

- Poza tym jest bardzo silna i ładna. Gdyby tylko przestała wyklócać się z Wambu.

- O co się klóca? - spytałem.

- O to, która ma przynieść wodę, a która zaszyć mój strój czy załatać strzechę chaty. - Zawahał się. - Sprzecząją się nawet o to, czyją chatę

mam odwiedzić w nocy, jakbym sam nie miał w tej materii nic do powiedzenia.

- Czy kiedykolwiek kłóć się o idee? - spytałem.

- Idee? - powtórzył, spoglądając na mnie nic nie pojmującym wzrokiem.

- Takie, jak w książkach.

Roześmiał się.

- To przecież kobiety, Koribo. Po co im jakieś idee? W istocie po co one komukolwiek?

- Nie wiem - odparłem. - Po prostu byłem ciekaw.

- Wyglądasz, jakby coś cię niepokoiło - zauważył.

- Pewnie to wina pombe. Jestem już starym człowiekiem, a twoje pombe ma dziś dziwnie ostry smak.

- To dlatego, że Kibo nie słucha, kiedy Wambu pokazuje jej, jak je warzyć. Naprawdę powinienem ją odesłać - zerknął na Kibo, dźwigającą wiązkę drewna na swych silnych, dziewczęcych plecach - ale jest taka ładna i młoda. - Nagle jego spojrzenie powędrowało dalej, ku wiosce. - Ach! - westchnął. - Widzę, że stary Siboki wreszcie umarł.

- Skąd wiesz? - spytałem.

Wskazał ręką kolumnę dymu, wznoszącą się nad wsią.

- Palą jego chatę.

Odwrociłem się w tamtym kierunku.

- To nie chata Sibokiego - stwierdziłem. - Jego boma leży dalej na zachód.

- Kto jeszcze jest stary, słaby i bliski śmierci? - zdziwił się Koinnage.

I nagle zrozumiałem. Z taką samą pewnością, z jaką wiem, że Ngai zasiada na swym tronie na szczycie świętej góry, wiedziałem już, że Kamari nie żyje.

Najszybciej, jak potrafiłem, powędrowałem w stronę shamby Njoro. Kiedy tam dotarłem, matka, siostra i babka Kamari zawodziły już pieśń śmierci. Po ich policzkach spływały łzy.

- Co się stało? - spytałem, podchodząc do Njoro.

- Czemu pytasz, skoro to ty odebrałeś jej życie? - odparł z goryczą.



- Nie ja ją zabiłem.

- Czyż jeszcze dziś rano nie groziłeś, że rzucisz na nią thahu? - nie ustępował. - Zrobiłeś to, a teraz ona nie żyje, mnie zaś pozostała tylko jedna córka, za którą dostanę posag. W dodatku muszę spalić chatę Kamari.

- Przestań się zamartwiać chatami i posagami i opowiedz dokładnie, co się stało, albo doświadczysz na własnej skórze, co oznacza klątwa mundumugu! - warknąłem.

- Powiesiła się w swej chacie na kawałku bawolej skóry.

W tym momencie zjawily się kobiety z sąsiedniej shamby. Cała piątka podjęła pieśń śmierci.

- Powiesiła się? - powtórzyłem. Przytaknął.

- Gdyby choć wybrała do tego byle jakie drzewo! Teraz jej chata jest nieczysta i muszę ją spalić.

- Bądź cicho! - uciałem, próbując zebrać myśli.

- Kamari nie była złą córką - ciągnął dalej. - Czemu ją przekląłeś, Koribo?

- Nie rzuciłem na nią thahu - odparłem, zastanawiając się, czy to prawda. - Chciałem tylko ją ocalić.

- Czyje czary są silniejsze niż twoje? - spytał z lękiem.

- Twoja córka złamała prawo Ngai.

- A teraz Ngai wywarł na niej swą zemstę! - jęknął przerażony Njoro. - Kogo następnego z mojej rodziny dosięgnie jego gniew?

- Nikogo - odparłem. - Tylko Kamari złamała prawo.

- Jestem biednym człowiekiem - powiedział ostrożnie Njoro - teraz jeszcze biedniejszym niż przedtem. Ile musiałbym ci zapłacić, żebyś poprosił Ngai o to, aby przyjął do siebie ducha Kamari, ulitował się nad nią i wybaczył to, co uczyniła?

- Zrobię to niezależnie od zapłaty.

- Nic sobie nie policzysz? - upewnił się.

- Nic.

- Dziękuję, Koribo! - westchnął z zapalem.

Stałem bez ruchu, wpatrując się w płonąca chatę, i próbowałem nie myśleć o ukrytych w środku zwęglonych zwłokach dziewczynki.

- Koribo? - zagadnął po dłuższej chwili Njoro.

- Czego znów chcesz? – rzuciłem z rozdrażnieniem.

- Nie wiedzieliśmy, co począć ze skórą bawołu, bowiem dostrzegliśmy na niej znaki twojego thahu i baliśmy się ją spalić. Teraz wiem, że to Ngai ją nazaczył i lękam się nawet jej dotknąć. Czy zechciałbyś ją zabrać?

- Jakie znaki? – spytałem. – O czym ty mówisz?

Njoro ujął mnie za rękę i poprowadził przed płonąca chatę. Jakies dziesięć kroków od wejścia na ziemi leżał długi pas wyprawionej skóry, na którym powiesiła się Kamari. Na skórze widniały wydrapane rzędy dziwnych symboli – tych samych, jakie widziałem na ekranie mojego komputera trzy dni wcześniej. Schyliłem się i podniosłem pas, po czym odwróciłem się do mojego towarzysza.

- Jeśli istotnie na twoją shambę rzucono klątwę, to ja ją zdejmuję i przenoszę na siebie, zabierając znaki gniewu Ngai.

- Dziękuję ci, Koribo! – odparł z widoczną ulgą.

- Muszę już odejść, aby przygotować czary – oznajmiłem szorstko i ruszyłem w długą powrotną drogę do mojej bomy. Kiedy już tam dotarłem, zniosłem pas bawolej skóry do środka chaty.

- Komputer – poleciłem. – Włącz się.

- Gotów.

Uniosłem pas, przytykając go do soczewki skanera.

- Rozpoznajesz ten język?

Soczewka rozbłysła.

- Tak, Koribo. To język Kamari.

- Co oznaczają te znaki?

- To dwuwiersz:

*Teraz wiem, czemu ptak w klatce ginie i czego mu trzeba,  
bowiem jak on, ja także dotknęłam przez chwilę nieba.*

Po południu do shamby Njoro zbiegli się już wszyscy mieszkańcy wioski. Kobiety przez całą noc i następny dzień nuciły pieśń śmierci, szybko jednak zapomniano o Kamari – w końcu życie toczy się dalej, a ona była jedynie małą kikujską dziewczynką.

Od tamtego dnia za każdym razem, kiedy znajduję ptaka ze złamanym

skrzydłem, usiłuję go wyleczyć. Ptaki zawsze umierają, a ja chowam je obok kopczyka ziemi, oznaczającego miejsce, w którym kiedyś stała chata Kamari.

I kiedy tak grzebię w ziemi kolejne ptaki, znów o niej myślę i żałuję, że nie jestem prostym człowiekiem, dbającym o swe bydło, dogląającym zbiorów i nękanym troskami zwykłych ludzi, ale mundumugu, który musi żyć ze świadomością skutków swoich czynów.

# Manamouki

*The Manamouki*, przeł. Paulina Braiter  
Nagroda Hugo, nominacja Nebula 1990

marzec-lipiec 2133

Tysiące lat temu dzieci Gikuju mieszkały na zboczach świętej góry Kirinyagi.

Żyło tam też wiele węży, lecz synowie i wnuki Gikuju patrzyli na nie ze wstrętem i wkrótce zabili wszystkie z wyjątkiem jednego.

Pewnego dnia ostatni wąż przypełznął do wioski, po czym ukąsił i zjadł małe dziecko. Dzieci Gikuju zwróciły się więc do swego *mundumugu* prosząc, by pomógł im się pozbyć tego zagrożenia.

*Mundumugu* rzucił kośćmi, złożył w ofierze kozę i wkrótce stworzył truciznę, która była zdolna zabić węża. Rozciął brzuch drugiej kozy, włożył do środka truciznę i zostawił przynętę pod drzewem. Następnego dnia wąż połknął ją i zdechł.

– Teraz – rzekł *mundumugu* – musicie pociąć go na sto kawałków i rozrzucić po świętej górze, aby żaden demon nie mógł z powrotem tchnąć życia w jego ciało.

Dzieci Gikuju posłuchały i rozrzuciły sto kawałków węża po zboczach Kirinyagi. Lecz w nocy każdy kawałek ożył, stając się nowym wężem, i wkrótce Kikuju bali się opuszczać swoje *bomy*.

*Mundumugu* wspiął się na górę, a kiedy stanął przed najwyższym szczytem, przemówił do Ngai.

– Oblegają nas węże – rzekł. – Jeśli ich nie zabijesz, lud Kikuju z pewnością wymrze.

– Stworzyłem węża tak samo jak Kikuju i wszystko, co istnieje – odparł Ngai ze swego złotego tronu na szczycie Kirinyagi. – A żadne Moje stworzenie, czy to człowiek, wąż, drzewo, czy nawet myśl, nie jest Mi wstrętne. Tym razem was ocalę, bo jesteście młodzi i nie znacie świata. Nigdy jednak nie wolno wam zapomnieć, że nie możecie zniszczyć tego, co budzi wasz wstręt – jeśli bowiem spróbowacie, ono zawsze powróci,

stukrotnie silniejsze niż przedtem.

To właśnie jest jedną z przyczyn, dla których Kikuju wolą uprawiać ziemię, niż polować na dzikie zwierzęta w dżungli jak Wakambowie, albo toczyć wojny z sąsiadami jak Masajowie, nie chcą bowiem, by to, co zniszcza, powracało, aby znów ich nękać.

Od zarania dziejów każdy *mundumugu* wpajał tę mądrość swemu ludowi, nawet gdy opuściliśmy Kenię i wyemigrowaliśmy na nowy świat Kirinyagi.

W całej historii naszego szczepu tylko jeden *mundumugu* zapomniał lekcję, której udzielił nam owego dnia Ngai na szczycie świętej góry. Ja nim jestem.

Kiedy się obudziłem, znalazłem odchody hieny w obrębie ciernistego ogrodzenia mojej *bomy*. Już sam ten fakt powinien mnie ostrzec, że nad całym dniem ciąży klątwa, bo nie ma gorszego omenu. Poza tym słaby wietrzyk, gorący, suchy, niosący z sobą kurz, wiał z zachodu, a wszystkie dobre wiatry przychodzą ze wschodu.

Tego dnia mieli przybyć nasi pierwsi imigranci. Długo i zawzięcie protestowaliśmy przeciwko dopuszczeniu nowych osadników na Kirinyagę, kultywowaliśmy bowiem dawne zwyczaje naszego ludu i nie chcieliśmy, by wpływy z zewnątrz skaziły stworzoną przez nas społeczność. Lecz nasza umowa głosiła wyraźnie, iż każdy Kikuju, który zobowiąże się do przestrzegania naszych praw i złoży wymaganą opłatę Radzie Eutopii, może wyemigrować z Kenii, toteż odwołując jak najdłużej to, co nieuniknione, zgodziliśmy się wreszcie przyjąć Thomasa Nkobe i jego żonę.

Ze wszystkich kandydatów Nkobe wydawał się najlepszy. Urodzony w Kenii, dorastał w cieniu świętej góry, a skończywszy naukę za granicą, wrócił do kraju i zaczął kierować wielką farmą, kupioną przez jego rodzinę od jednego z ostatnich europejskich rezydentów. Co najważniejsze, był potomkiem w prostej linii słynnego Jomo Kenyatty, Płonącej Włóczni Kenii, człowieka, który poprowadził nas do niepodległości.

Podreptałem wolnym krokiem przez suchą, rozpaloną sawannę w stronę maleńkiego lądowiska, zwanego Przystanią, aby powitać przybyszów. Towarzyszył mi jedynie Ndemi, mój młody pomocnik.

Dwukrotnie zagroził nam drogę bawół, a raz Ndemi musiał cisnąć kamieniem, by przepłoszyć hienę, w końcu jednak dotarliśmy na miejsce – po to tylko, by odkryć, że statek Kontroli, wiozący Nkobego i jego żonę, jeszcze nie przyleciał. Kucnąłem w cieniu akacji, a po chwili Ndemi przycupnęła obok.

– Spóźniają się – zauważył, spoglądając w bezchmurne niebo. – Może w ogóle się nie zjawia?

– Przylecą – odparłem. – Wszystkie znaki na to wskazują.

– Ale to złe znaki, a Nkobe może okazać się dobrym człowiekiem.

– Jest wielu dobrych ludzi – rzekłem. – Nie wszyscy muszą przybywać na Kirinyagę.

– Martwisz się, Koribo? – spytał Ndemi. Minęła nas para czubatych żurawi, wędrujących po zeschniętej trawie. Nad naszymi głowami szybował sęp.

– Raczej niepokoję.

– Czemu?

– Bo nie wiem, czemu Nkobe chce tu zamieszkać.

– Czemu miałby nie chcieć? – zdziwił się Ndemi, podnosząc małą gałązkę i metodycznie łamiąc ją na kawałeczki. – Czyż to nie utopia?

– Istnieje wiele wizji utopii – odparłem. – Kirinyaga to utopia Kikuju.

– A Nkobe to Kikuju. Tu jest jego miejsce – oznajmił Ndemi.

– Zastanawiam się...

– Nad czym?

– Ma prawie czterdzieści lat. Czemu tak długo zwlekał z wyjazdem?

– Może nie stać go było na to, by przybyć wcześniej?

Potrząsnąłem przecząco głową.

– Pochodzi z bardzo bogatej rodziny.

– Ma dużo krów? – spytał Ndemi.

– Mnóstwo.

– I kóz?

Przytaknąłem.

– Czy przywiezie je ze sobą?

– Nie. Zjawi się tu z pustymi rękami, jak my wszyscy. – Urwałem, marszcząc brwi. – Czemu człowiek, który zarządzał ogromną farmą i miał pod sobą wiele ludzi i traktorów, wyręczających go w pracy,

odrzuca wszystko, co posiada? To właśnie nie daje mi spokoju.

– Mówisz tak, jakby jego życie na Ziemi było lepsze od naszego – wtrącił Ndemi.

– Nie lepsze. Po prostu inne.

Zawahał się.

– Koribo, co to jest traktor?

– Maszyna wykonująca w polu pracę wielu robotników.

– To brzmi cudownie – zauważył.

– Ryje głębokie rany w ziemi i cuchnie benzyną – powiedziałem, nie kryjąc wzgardy.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wreszcie pojawił się statek Kontroli. Podchodząc do lądowania, wzbil w powietrze wielką chmurę kurzu. Ptaki i małpy na pobliskich drzewach zaczęły wrzeszczeć i piszczeć ze strachu.

– No cóż – westchnąłem. – Wkrótce się dowiemy.

Pozostałem w cieniu, póki statek nie osiadł na ziemi i z jego wnętrza nie wyłonili się Thomas Nkobe z żoną. On był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną w sportowym zachodnim ubraniu; ona, smukła i wdzięczna, miała elegancko splecione włosy i doskonale skrojony kostium safari.

– Dzień dobry! – powiedział Nkobe po angielsku, gdy do niego podszedłem. – Bałem się, że będziemy musieli sami poszukać drogi do wioski.

– Jambo – odparłem w suahili. – Witajcie na Kirinyadze.

– Jambo – poprawił się szybko. – Ty jesteś Koinnage?

– Nie. Koinnage to nasz najwyższy wódz. Zamieszkacie w jego wsi.

– A ty jesteś?

– Koribo.

– To *mundumugu* – dodał z dumą Ndemi. – Ja mam na imię Ndemi. – Urwał. – Ktoregoś dnia ja też zostanę *mundumugu*.

Nkobe uśmiechnął się do niego.

– Nie wątpię. – Nagle przypomniał sobie o żonie. – A to jest Wanda.

Kobieta wystąpiła naprzód i z uśmiechem wyciągnęła rękę.

– Prawdziwy *mundumugu*! – powiedziała z mocnym akcentem. – Tak się cieszę, że mogę cię poznać!

– Mam nadzieję, że spodoba wam się nowe życie na Kirinyadze – odrzekłem, ściskając jej dłoń.

– Och, na pewno! – rzuciła z entuzjazmem. Tymczasem statek, pozostawiwszy ich bagaże, natychmiast wystartował. Kobieta rozejrzała się, patrząc z zachwytem na suchą sawannę. Trzy marabuty i szakal czekały cierpliwie, aż hiena skończy pożywiać się cielakiem gnu, którego zabiła wczesnym rankiem. – Już mi się tu podoba! – Po chwili dodała pewnym siebie tonem: – Tak naprawdę to właśnie ja namówiłam Toma, aby zgodził się tu przylecieć.

– Ach tak?

Skinęła głową.

– Nie mogłam dłużej znieść tego, czym stała się Kenia. Wszystkie te fabryki i zanieczyszczenia! Odkąd dowiedziałam się o istnieniu Kirinyagi, pragnęłam się tu przenieść, wrócić na łono natury i żyć tak, jak nam było przeznaczone. – Odetchnęła głęboko. – Czujesz to powietrze, Tom? Przedłuży ci życie o dziesięć lat!

– Nie musisz już mnie zachęcać – odparł z uśmiechem. – Jestem tu przecież.

Odwróciłem się do Wandy Nkobe.

– Ty nie jesteś Kikujką, prawda?

– Teraz już tak. Odkąd wyszłam za męża za Toma. Ale jeśli chcesz wiedzieć, to nie. Urodziłam się i wychowałam w Oregonie.

– Oregonie? – powtórzył Ndemi, odganiając dłonią muchy od twarzy.

– To w Ameryce – wyjaśniła. – A przy okazji, czemu rozmawiamy w suahili, a nie po kikujsku?

– Kikujski jest martwym językiem – rzekłem. – Większość naszych ludzi w ogóle go nie zna.

– Miałam nadzieję, że nadal go używacie. – Westchnęła, wyraźnie zawiedziona. – Uczę się go od miesięcy.

– Gdybyś przeniosła się do Włoch, nie mówiłabyś po łacinie. W naszej mowie znajdziesz parę kikujskich słów, tak jak we włoskim – łacińskich.

Przez moment milczała, w końcu wzruszyła ramionami.

– Przynajmniej będę miała okazję poćwiczyć suahili.

– Dziwię się, że chcesz zrezygnować z amerykańskich wygod i zamieszkać na Kirinyadze – powiedziałem, przyglądając się jej uważnie.



– Chciałam to zrobić już wiele lat temu. To Toma trzeba było przekonywać, nie mnie. – Zawiesiła głos. – Poza tym zrezygnowałam z większości tak zwanych wygod, kiedy opuściłam Amerykę i przeniosłam się do Kenii.

– Nawet Kenia oferowała pewne luksusy – przypomniałam. – Nie mamy tu elektryczności, bieżącej wody ani...

– Kiedy tylko mogliśmy, jeździliśmy na kempingi.

Uspokajającym gestem położyłem dłoń na ramieniu Ndemiego, zanim zdążył upomnieć ją, że przerywa *mundumugu*.

– Przywykłam do surowych warunków – mówiła nic nie zauważając.

– Ale zawsze miałaś dom, do którego mogłaś wrócić.

Przyjrzała mi się z rozbawieniem.

– Próbujesz mnie zniechęcić do przenosin?

– Nie – odparłem. – Chcę jednak zauważyć, że nic nie jest niezmiennie.

Każdy członek naszej społeczności, który nie czuje się szczęśliwy i pragnie odejść, musi jedynie zawiadomić o tym Kontrolę. W godzinę później w Przystani wyląduje statek.

– Nie my – oświadczyła. – Przybyliśmy raz, a dobrze.

– Raz, a dobrze? – powtórzyłem.

– Chciała powiedzieć, że zamierzamy tu zostać – wyjaśnił Nkobe, obejmując ramiona żony.

Gończy powiew wzbili z ziemi obłok pyłu.

– Chyba powinienem zaprowadzić was do wioski – doszedłem do wniosku i osłoniłem oczy. – Bez wątplenia jesteście zmęczeni i chcecie odpocząć.

– Ależ nie! – zaprzeczyła Wanda Nkobe. – To zupełnie nowy świat. Wolę się rozejrzeć. – Jej spojrzenie padło na Ndemiego, który obserwował ją uważnie. – Coś nie tak? – spytała.

– Jesteś bardzo silna i zdrowa – stwierdził z aprobatą Ndemi. – To dobrze. Urodzisz wiele dzieci.

– Nie sądzę! Jeśli jest coś, czego w Kenii było aż nadto, to właśnie dzieci.

– To nie jest Kenia – przypomniał Ndemi.

– Znajdę inny sposób przysłużenia się społeczności.

Chłopak przyjrzał jej się ponownie.

- No cóż – powiedział w końcu – przypuszczam, że możesz nosić drwa.  
- Cieszę się, że nie uznałeś mnie za pasożyta.  
- Ale będziesz potrzebowała nowego imienia – ciągnął Ndemi. – Wanda brzmi zanadto europejsko.  
- To tylko imię – wtrąciłem. – Jego zmiana nie robi z niej lepszej Kikujki.  
- Nie mam obiekcji – przerwała mi. – Zaczynam nowe życie; powinnam przybrać nowe imię.  
- Jak chcesz się nazywać?  
Uśmiechnęła się do Ndemiego.  
- Ty zdecyduj.  
Długą chwilę namyślał się, marszcząc brwi. Wreszcie uniósł wzrok.  
- Siostra mojej matki, która zmarła w połogu rok temu, nazywała się Mwangé. Obecnie nikt we wsi nie nosi tego imienia.  
- Zatem niech będzie Mwangé. Mwangé wa Ndemi.  
- Ale przecież nie jestem twoim ojcem! – zaprotestował chłopak. Postąpiła mu uśmiech.  
- Jesteś ojcem mojego imienia.  
Ndemi dumnie wypiął pierś.  
- Skoro już to ustaliliśmy – odezwał się Nkobe – co z naszym bagażem?  
- Nie będziecie go potrzebowali.  
- Ależ będziemy – nie zgodziła się Mwangé.  
- Uprzedzano was, byście nie zabierali ze sobą niczego z Kenii.  
- Przywiozłam parę *kikoi* własnej roboty. To z pewnością dozwolone. Przecież na Kirinyadze i tak mam sama tkać nasze ubrania.  
Rozważyłem jej wyjaśnienia, po czym skinąłem głową.  
- Przyślę jedno z dzieci po torby.  
- Nie są takie ciężkie – wtrącił Nkobe. – Sam mogę je zabrać.  
- Mężczyźni Kikuju nie noszą ciężarów – poinformował go Ndemi.  
- A kobiety Kikuju? – spytała Mwangé, wyraźnie niechętna pomysłowi zostawienia bagażu.  
- Dźwigają drwa i ziarno, nie worki pełne ubrań – odrzekł Ndemi. – To – wskazał pogardliwie dwie skórzane torby – robota dla dzieci.  
- Możemy więc ruszać – ustąpiła Mwangé – bo nie widzę tu żadnych dzieci.

Ndemi nadął się z dumą i pomaszerował przodem.

– Niech idzie pierwszy – rzekłem. – Ma młode, bystre oczy. Zauważy węże i hieny, jeśli jakieś kryją się w trawie.

– Macie tu jadowite węże? – zainteresował się Nkobe.

– Niewiele.

– Czemu ich nie pozabijacie?

– Bo to nie Kenia – odparłem.

Szedłem tuż za Ndemim, a za mną maszerowali Nkobe i Mwangę, wymieniając między sobą komentarze na temat krajobrazu i zwierząt. Po przebyciu pół mili natknęliśmy się na stojącego na ścieżce samca impali.

– Czyż nie jest piękny? – szepnęła Mwangę. – Spójrz na te rogi!

– Szkoda, że nie mam ze sobą aparatu! – westchnął Nkobe.

– Na Kirinyadze nie pozwalamy na posiadanie aparatów fotograficznych – oznajmiłem.

– Wiem – powiedział. – Ale szczerze mówiąc, nie rozumiem, jak coś tak banalnego, jak aparat, mogłoby skazić wasze społeczeństwo.

– Aby móc używać aparatu, trzeba też filmu, a zatem i fabryki, która produkowałaby jedno i drugie. Do wywołania zdjęć potrzeba chemikaliów, których nadmiar należy potem gdzieś wyrzucić. Do zrobienia odbitek niezbędny jest papier fotograficzny, a mamy zaledwie dość drewna, by móc palić ogniska. – Urwałem. – Kirinyaga zaspokaja wszystkie nasze pragnienia. Dlatego właśnie tu przybyliśmy.

– Kirinyaga zaspokaja wszystkie wasze potrzeby – poprawiła mnie Mwangę. – To niedokładnie to samo.

Nagle Ndemi zatrzymał się i odwrócił ku niej.

– Przyleciałaś tu przed chwilą, więc można ci darować ignorancję – rzekł. – Ale żadnej *manamouki* nie wolno spierać się z *mundumugu*.

– Manamouki? – powtórzyła. – Co to jest *manamouki*?

– Ty – odparł Ndemi.

– Słyszałem już to słowo – zauważył Nkobe. – Zdaje mi się, że oznacza żonę.

– Mylisz się – zaprzeczyłem. – *Manamouki* to istota płci żeńskiej.

– Kobieta? – spytała Mwangę.

Potrząsnąłem głową.

– Jakakolwiek samica należąca do mężczyzny – wyjaśniłem. – Kobieta,

krowa, maciora, owca.

– I Ndemi sądzi, że jestem własnością Toma?

– Jesteś jego *manamouki* – potwierdził chłopak. Zastanowiła się przez moment, po czym rozbawiona wzruszyła ramionami.

– A co mi tam! – mruknęła po angielsku. – Skoro Wanda to tylko imię, *manamouki* jest jedynie słowem. Mogę z nim żyć.

– Mam nadzieję – odparłem w suahili – bo będziesz musiała.

Odwróciła się do mnie.

– Wiem, że jesteśmy pierwszymi imigrantami na Kirinyadze i że musisz żywić co do nas pewne wątpliwości, ale takiego właśnie życia zawsze pragnęłam. Będę najlepszą cholerną *manamouki*, jaką kiedykolwiek widziałeś.

– Mam nadzieję – powtórzyłem, lecz zauważyłem, że wiatr nadal wiał z zachodu.

Przedstawiłem Nkobego i Mwange sąsiadom, pokazałem im ich *shambę*, gdzie mieli uprawiać warzywa, wskazałem należące do nich sześć krów i dziesięć kóz i poradziłem, by na noc zamykali je w *bomie* dla ochrony przed hienami. Powiedziałem też, jak dotrzeć do rzeki po wodę, i zostawiłem ich przed wejściem do chaty. Mwange entuzjastycznie chłonęła każde moje słowo i wkrótce pograżyła się w ożywionej rozmowie z kobietami, które przyszły obejrzyć jej dziwny strój.

– Jest bardzo miła – oznajmił Ndemi, gdy ruszyłem na obchód pól, błogosławiąc strachy na wróble. – Może odczytane przez ciebie omeny kłamały?

– Może – odparłem. Spojrzał na mnie.

– Ale ty tak nie sądzisz?

– Nie.

– Cóż, ja ją lubię.

– Masz prawo.

– Ty jej nie lubisz?

Zawahałem się, rozważając odpowiedź.

– Nie – rzekłem w końcu. – Ja się jej boję.

– Ale przecież to tylko *manamouki*! – zaprotestował. – Nie może zrobić nic złego!

- W odpowiednich warunkach wszystko może zaszkodzić innym.
- Nie wierzę.
- Wątpisz w słowo *mundumugu*? – spytałem.
- Nie – odrzekł zakłopotany. – Skoro tak twierdzisz, to musi być prawda. Ale nie rozumiem.
- Uśmiechnąłem się cierpko.
- To dlatego, że nie jesteś jeszcze *mundumugu*.
- Ndemi zatrzymał się i wskazał miejsce odległe o jakieś trzysta jardów. Pasło się tam stadko impali.
- Nawet one mogą zaszkodzić?
- Tak.
- Ale jak? – Zmarszczył brwi. – Gdy zjawia się niebezpieczeństwo, nie stawiają mu czoła, lecz uciekają. Ngai nie pobłogosławił ich rogami, więc nie mogą się bronić. Nie są dość duże, by niszczyć nasze zbiory. Nie potrafią nawet kopnąć jak zebra. Nie rozumiem.
- Opowiem ci historię o brzydkiej bawolicy. Wtedy zrozumiesz.
- Ndemi uśmiechnął się radośnie, gdyż nade wszystko uwielbiał słuchać opowieści. Zaprowadziłem go w cień ciernistego drzewa, gdzie przykucnęliśmy naprzeciw siebie.
- Pewnego dnia po sawannie wędrowała młoda bawolica. Hieny porwały niedawno jej pierwsze cielę, toteż wciąż bardzo się smuciła. Nagle zobaczyła nowo narodzoną impalę, której matkę zabiły hieny tego samego ranka.
- Chętnie zabrałabym cię do domu – powiedziała bawolica – bo jestem bardzo samotna, a moje serce przepelnia miłość. Ale ty nie jesteś bawołem.
- Ja także jestem samotna – odparła impala. – Jeśli mnie tu zostawisz bez opieki, z pewnością nie przetrwam nocy.
- To nie takie proste – rzekła bawolica. – Ty jesteś impalą, a my bawołami. Nie należysz do nas.
- Stanę się najlepszym bawołem ze wszystkich! – obiecała impala. – Będę jeść to, co wy, pić to, co wy, chodzić tam, gdzie wy.
- Jak możesz stać się bawołem? Nie masz nawet rogów.
- Włożę sobie na głowę gałąź z drzew.
- Nie brodzisz w błocie, aby ochronić skórę przed pasożytami.

– Zabierz mnie do domu, a pokryję się grubszą warstwą błota niż jakikolwiek bawół – przyrzekła impala.

Na każdą obiekcję bawolicy, impala miała gotową odpowiedź, w końcu więc bawolica zgodziła się wziąć ją ze sobą. Większość członków stada uważało, że impala jest najbrzydszą bawolica, jaką kiedykolwiek widzieli – Ndemi zachichotał – ale ponieważ tak bardzo starała się postępować jak bawół, pozwolili jej zostać.

Któregoś dnia grupka młodych bawołów, pasących się niedaleko stada, dotarła do głębokiego błotnego zagłębienia, zagrażającego im drogę.

– Musimy wrócić do reszty – rzekł jeden z nich.

– Dlaczego? – spytała impala. – Po drugiej stronie rośnie świeża trawa.

– Bo ostrzeżono nas, że takie głębokie błoto może wessać kogoś i utopić.

– Nie wierzę – oznajmiła impala i, odważniejsza niż jej towarzysze, podbiegła na środek zagłębienia.

– Widzicie? – rzekła. – Nie wciągnęło mnie. Tu jest zupełnie bezpiecznie.

Wkrótce trzy młode bawoły podążyły jej śladem i utonęły, po kolei wessane przez błoto.

– To wina brzydkiej bawolicy – orzekł król stada. – Powiedziała im, że mogą przejść na drugą stronę.

– Ale przecież nie chciała zrobić nic złego – zaprotestowała przybrana matka impali. – A zresztą mówiła prawdę: dla niej przejście było bezpieczne. Pragnie jedynie żyć w stadzie i być bawołem; proszę, nie karz jej.

Król, którego Ngai obdarzył większym sercem niż rozumem, zgodził się i wybaczył brzydkiej bawolicy.

W tydzień później brzydka bawolica, która potrafiła skakać na wysokość rosnącego krzaka, wyskoczyła w górę i ujrzała przyczajone w trawie stado hien. Odczekała, aż zbliżyły się tak bardzo, że prawie mogły ją schwytać, po czym krzykiem ostrzegła towarzyszy. Całe stado poderwało się do biegu, ale hieny zdołały złapać przybraną matkę brzydkiej bawolicy, powaliły ją i zabiły.

Większość bawołów była wdzięczna za ostrzeżenie, lecz w następnym tygodniu władzę objął nowy król, mądrzejszy od poprzedniego.

- To wina brzydkiej bawolicy – orzekł.

- Ale dlaczego? – spytał jeden ze starszych bawołów. – Przecież to właśnie ona ostrzegła nas przed hienami.

- Lecz zrobiła to za późno – wyjaśnił król. – Gdyby uprzedziła was od razu, kiedy je zobaczyła, jej matka wciąż byłaby wśród nas. Zapomniała jednak, że nie umiemy biegać tak szybko jak ona, toteż jej matka nie żyje.

I nowy król ze smutkiem w sercu rozkazał, by brzydka bawolica opuściła stado, istnieje bowiem wielka różnica pomiędzy byciem bawołem a pragnieniem, aby nim zostać.

Oparłem się o drzewo, zakończywszy opowieść.

- Czy brzydka bawolica przeżyła? – spytał Ndemi. Wzruszyłem ramionami i zrzuciłem z ramienia natrętnego owada.

- To już inna historia.

- Nie chciała zrobić nic złego.

- Ale zrobiła.

Ndemi zaczął kreślić na piasku wzory, zastanawiając się nad moimi słowami. Wreszcie uniósł wzrok.

- Gdyby jednak nie było jej w stadzie, hieny i tak zabiłyby jej matkę.

- Możliwe.

- Zatem to nie jej wina.

- Jeśli zasną pod drzewem, a ty zobaczysz w trawie obok czarną mambę i nawet nie spróbujesz mnie obudzić, a ja zginę od jej ukąszenia, czy będziesz winien mojej śmierci?

- Tak.

- Chociaż mamba niemal na pewno zabiłaby mnie i tak, gdybyś się nie zjawił?

Ndemi zmarszczył czoło.

- To trudny problem.

- Istotnie.

- Sprawa z błotem była znacznie prostsza – rzekł. – Z pewnością zawiniła tu brzydka bawolica, bo gdyby ich nie namawiała, pozostałe bawoły nie poszłyby za nią.

- To prawda.

Kilka minut trwał bez ruchu, nadal zmagając się z niuansami usłyszanego historii.

- Chcesz powiedzieć, że istnieje wiele różnych sposobów czynienia zła  
- oznajmił w końcu.

- Tak.

- I trzeba mądrości, by orzec, kto zawinił, bo głupi król nie dostrzegł zła w postępowaniu brzydkiej bawolicy, podczas gdy mądry król wiedział, że jest winna zaniedbania.

Skinąłem głowę.

- Rozumiem - mruknął Ndemi.

- A jak to się wiąże z *manamouki*? - naciskałem. Milczał chwilę.

- Jeśli w wiosce zdarzy się coś złego, będziesz musiał użyć swej mądrości, by ocenić, czy odpowiada za to Mwange, która pragnie tylko zostać jedną z Kikuju.

- Rzeczywiście. - Wstałem z ziemi.

- Wciąż jednak nie wiem, jak może nam zaszkodzić.

- Ja też nie.

- Ale będziesz wiedział, kiedy to się wydarzy? Czy może będzie to wyglądało na dobry uczynek, tak jak ostrzeżenie stada przed hienami?

Nie odpowiedziałem.

- Czemu milczysz, Koribo? - spytał wreszcie Ndemi.

Westchnąłem ciężko.

- Bo istnieją pytania, na które nawet *mundumugu* nie zna odpowiedzi.

Gdy rankiem pięć dni później wyszedłem z chaty, Ndemi jak zwykle czekał już na mnie.

- Jambo, Koribo - rzekł.

Wymamrotałem słowa powitania i podszedłem do rozpalonego przez niego ogniska, siadając obok ze skrzyżowanymi nogami i czekając, aż ciepło płomieni przegna chłód z moich wiekowych kości.

- Jaka będzie dzisiejsza lekcja? - spytał po chwili.

- Dziś nauczę cię, jak prosić Ngai o obfite plony - odparłem.

- Ale przecież robiliśmy to już w zeszłym tygodniu.

- I będziemy robić w przyszłym, a także przez wiele następnych.

- Kiedy nauczysz mnie sporządzać maści dla chorych albo zamieniać wroga w owada, tak żebym mógł go rozdeptać?

- Kiedy będziesz starszy.

- Już jestem starszy.



– I dojrzałszy.

– Po czym poznasz, że jestem dojrzały?

– Po tym, że przez miesiąc nie spytasz o maści ani magię, gdyż cierpliwość to jedna z największych cnót *mundumugu*. – Dźwignąłem się z miejsca. – Teraz zanieś moje tykwy nad rzekę i napełnij je wodą – rozkazałem, wskazując dwa puste naczynia.

– Tak, Koribo – odrzekł nieszczęśliwym tonem.

Czekając na niego, zajrzałem do chaty, włączyłem komputer i poleciłem Kontroli, aby dokonała drobnej poprawki orbity, która sprowadzi deszcz i lekkie ochłodzenie na zachodnie równiny. Załatwiwszy to, powiesiłem na szyi woreczek z kośćmi i wyszedłem na dwór sprawdzić, czy Ndemi już wrócił. Jednak zamiast młodego ucznia zastałem tam Wambu, najstarszą żonę Koinnagego, kipiącą z trudem skrywanym gniewem.

– Jambo, Wambu – pozdrowiłem ją.

– Jambo, Koribo – odpowiedziała.

– Chciałaś ze mną pomówić?

Skinęła głową.

– Chodzi o tę Kenijkę.

– Ach tak?

– Tak – odparła Wambu. – Musisz ją odprawić.

– Co zrobiła Mwangé?

– Jestem najstarszą żoną najwyższego wodza, czyż nie? – spytała gwałtownie.

– To prawda.

– Nie traktuje mnie z należnym szacunkiem.

– Pod jakim względem?

– Pod wszystkimi!

– Na przykład?

– Jej *khangá* jest znacznie ładniejsza niż moja. Ma żywsze kolory, wzór jest bardziej misterny, a tkanina miększa.

– Utknęła tę *khangę* na własnych krosnach, zgodnie z tradycją – przypomniałem.

– Co za różnica? – prychnęła Wambu.

Zmarszczyłem brwi.

– Chciesz, żebym kazał jej oddać ci *khangę*? – zapytałem, próbując zrozumieć jej wzburzenie.

– Nie!

– Nie pojmuję zatem.

– Jesteś taki sam, jak Koinnage! – wybuchła, wyraźnie zirytowana tym, że nie potrafię dostrzec sedna sprawy. – Możesz sobie być *mundumugu*, ale nadal pozostałeś mężczyzną!

– Może gdybyś powiedziała mi coś więcej... – zasugerowałem.

– Jeszcze niedawno Kibo była niemądrym dzieckiem – miała na myśli najmłodszą żonę wodza – ale uczyłam ją obowiązków żony. Teraz chce się upodobnić do Kenijki.

– Ale przecież Kenijka – odrzekłem, używając jej określenia – pragnie być taka jak ty.

– Nie może być taka jak ja! – Wambu niemal wykrzyczała te słowa. – Jestem najstarszą żoną Koinnatego!

– Chciałem powiedzieć, że pragnie stać się częścią wioski.

– Niemożliwe! Opowiada o różnych dziwnych rzeczach.

– To znaczy...?

– Nieważne! Musisz ją odprawić!

– Za to, że nosi ładną *khangę* i imponuje Kibo?

– Ba! – warknęła. – Jakbym słyszała Koinnatego! Udajesz, że nie rozumiesz, ale wiesz, że ona musi odejść.

– Naprawdę nie rozumiem.

– Jesteś moim *mundumugu*, nie jej. Zapłacę ci dwie tłuste kozy, jeśli rzucisz na nią *thahu*.

– Nie obłożę klątwą Mwange z powodów, jakie mi podałaś – oznajmiłem stanowczo.

Długą chwilę przyglądała mi się gniewnie. W końcu splunęła na ziemię, obróciła się na pięcie i pomaszerowała krętą ścieżką do wioski, mamrocząc wściekle pod nosem i niemal wywracając Ndemiego, który wracał właśnie z moimi tykwami.

Następne dwie godziny poświęciłem nauczaniu Ndemiego modlitwy o obfite zbiory. Potem posłałem go do wioski i kazałem przyprowadzić Mwange. W godzinę później kobieta, okryta wspaniałą *khangę*, wspięła się na moje wzgórze i wraz z Ndemim weszła do *bomy*.

– *Jambo* – powitałem ją.

– *Jambo*, *Koribo* – odparła. – *Ndemi* mówi, że chcesz się ze mną zobaczyć.

Przytaknąłem.

– To prawda.

– Pozostałe kobiety zdawały się sądzić, że powinno mnie to przerazić.

– Nie mam pojęcia dlaczego.

– Może dlatego, że umiesz wzywać pioruny, zamieniać hieny w owady i zabijać nieprzyjaciół z wielkiej odległości? – podsunął usłużnie *Ndemi*.

– Może – zgodziłem się.

– Czemu mnie wezwałeś? – spytała *Mwange*.

Przez chwilę milczałem, zastanawiając się, jak najlepiej podejść do tematu.

– Pojawił się pewien problem, dotyczący twojego stroju – oznajmiłem w końcu.

– Ale przecież noszę *khangę*, którą sama utkałam! – Patrzyła na mnie z wyraźnym zdumieniem.

– Wiem. Lecz doskonała jakość tkaniny i subtelne kolory wzbudziły pewną... – urwałem, szukając odpowiedniego słowa.

– Niechęć? – dokończyła.

– Dokładnie – przytaknąłem wdzięczny, że tak szybko zorientowała się w sytuacji. – Myślę, że będzie lepiej, jeśli w przyszłości zaczniesz tkąć mniej barwne stroje.

Niemal spodziewałem się, że zaprotestuje, ona jednak zaskoczyła mnie, zgadzając się bez zastrzeżeń.

– Oczywiście – rzekła. – Nie chciałabym urazić sąsiadek. Mogę spytać, której z nich nie spodobała się moja *khangą*.

– Czemu?

– Chętnie dałabym jej ją w prezencie.

– To była *Wambu*.

– Powinna sama się zorientować, jaki efekt wywierają moje stroje. Naprawdę mi przykro, *Koribo*.

– Każdy może popełnić błąd – powiedziałem. – Jeśli naprawi się go w porę, nie stanie się żadna krzywda.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – rzekła szczerze.

- On jest *mundumugu* - wtrącił Ndemi. - Nigdy się nie myli.
- Nie chcę, żeby kobiety czuły do mnie niechęć - ciągnęła Mwangę. - Może znajdę sposób, żeby okazać im dobrą wolę. - Zastanowiła się przez moment. - A gdybym tak zaproponowała, że nauczę je kikujskiego?
- Manamouki nie może być nauczycielką - wyjaśniłem. - Tylko wodzowie i *mundumugu* udzielają nauk.
- To niezbyt rozsądny system - zauważyła krytycznie. - Całkiem możliwe, że poza wami ktoś jeszcze ma ludziom coś do zaoferowania.
- Istotnie - zgodziłem się. - Pozwól jednak, że o coś cię spytam.
- Słucham.
- Czy przybyłaś na Kirinyagę, żeby być rozsądną?
- Westchnęła.
- Nie - przyznała. Po chwili milczenia dodała cicho: - Czy to już wszystko?
- Tak.
- Lepiej więc wróć do wioski i zacznę tkąć nowy materiał.
- Skinąłem głową z aprobatą i Mwangę ruszyła w dół krętą ścieżką.
- Kiedy ja zostanę *mundumugu* - powiedział Ndemi, odprowadzając ją wzrokiem - nie pozwolę żadnej *manamouki* spierać się ze mną.
- *Mundumugu* winien także okazywać wyrozumiałość, Mwangę jest tu nowa i wiele musi się nauczyć.
- O Kirinyadze?
- Potrząsnąłem głową.
- O *manamouk*ich.

Prawie przez sześć tygodni życie płynęło nam gładko i bez zadrażeń, aż w końcu, pewnego ranka, tuż po krótkich deszczach, gdy szykowałem się do zejścia do wsi i pobłogosławienia strachów na wróble, na prowadzącej do mej *bomy* ścieżce zjawiły się trzy kobiety.

Były to Sabo, wdowa po starym Kadamu, Bori, druga żona Sabany, i Wambu.

- Musimy z tobą pomówić, *mundumugu* - oznajmiła ta ostatnia. Usiadłem przed chatą, krzyżując nogi, i zaczekałem, aż zajęły miejsca naprzeciwko.

- Mówcie – rzekłem.
- Chodzi o tę Kenijkę – oświadczyła Wambu.
- Ach tak? Sądziłem, że problem został rozwiązany.
- Nie został.
- Czyż nie podarowała ci swojej *khanggi*?
- Owszem.
- Nie nosisz jej – zauważyłem.
- Nie pasuje – odparła Wambu.
- To tylko kawałek tkaniny. Jak może nie pasować?
- Nie pasuje – powtórzyła z uporem. Wzruszyłem ramionami.
- Co znów zrobiła?
- Łamie tradycje Kikuju – oświadczyła Wambu. Odwróciłem się do pozostałych kobiet.
- Czy to prawda?
- Sabo przytaknęła.
- Jest zamężna, a nie ogoliła głowy.
- I trzyma w domu kwiaty – dodała Bori.
- Kenijki nie mają w zwyczaju golić głów – wyjaśniłem. – Polecę jej, aby to uczyniła. A co do kwiatów, nie stanowią one naruszenia naszych praw.
- Ale po co jej one? – naciskała Bori.
- Może uważa, że są miłe dla oka? – podsunąłem.
- Tylko że teraz moja córka chce hodować kwiaty i odpowiada bez cienia szacunku, kiedy mówię jej, że jedzenie jest ważniejsze.
- A do tego Kenijka zrobiła swojemu mężowi, Nkobemu, tron – wtrąciła Sabo.
- Tron? – powtórzyłem.
- Dołożyła do jego stołka oparcie i poręczce. Kto oprócz wodza zasiada na tronie? Czy ona myśli, że Nkobe zastąpi Koinnagego?
- Nigdy! – warknęła Wambu.
- W dodatku zbudowała też tron dla siebie – ciągnęła Sabo. – Nawet Wambu nie ma takiego.
- To nie trony, tylko krzesła – tłumaczyłem.
- Czemu nie może używać stołków, tak jak inni ludzie w wiosce? – spytała Sabo.

– Myślę, że to wiedźma – oświadczyła Wambu.

– Czemu tak twierdzisz?

– Spójrz tylko na nią. Trzydzieści pięć razy oglądała długie deszcze, a jednak nie ma zgarbionych pleców, jej skóra nie jest pomarszczona i zostały jej wszystkie zęby.

– Jej warzywa rosną lepiej niż nasze – uzupełniła Sabo – mimo że poświęca mniej czasu ich sadzeniu i pielęgnacji. – Urwała. – Ona musi być wiedźmą.

– A chociaż ciąży na niej najgorsze ze wszystkich *thahu*, klątwa bezpłodności, zachowuje się, jakby w ogóle nie była przeklęta – zakończyła Bori.

– Jej nowe stroje wciąż są ładniejsze niż nasze – mruknęła z goryczą Sabo.

– To prawda – przytaknęła Bori. – Teraz Sabana gniewa się na mnie, bo jego *kikoi* nie jest tak miękkie i kolorowe, jak Nkobego.

– A moje córki chcą mieć trony zamiast stołków – poskarżyła się Sabo. – Powtarzam im, że zaledwie starczy nam drewna na opał, one jednak twierdzą, że trony są ważniejsze. Zawróciła im w głowach. Przestały szanować starszych.

– Młode kobiety słuchają jej, jakby była żoną wodza, a nie zwykłą bezpłodną *manamouki* – narzekła Wambu. – Musisz ją odprawić, Koribo.

– Zamierzasz mi rozkazywać, Wambu? – spytałem cicho i jej towarzyszki natychmiast umilkły.

– To zła wiedźma i musi odejść – upierała się Wambu; najwyraźniej jej oburzenie przewyższało nawet strach przed *mundumugu*.

– Mwangie nie jest wiedźmą – rzekłem – bo gdyby nią była, ja, wasz *mundumugu*, z pewnością bym to wyczuł. To tylko *manamouki*, próbująca poznać nasze zwyczaje i, jak same zauważyłyście, dotknięta strasznym *thahu* bezpłodności.

– Jeśli nawet nie jest do końca wiedźmą, z pewnością to więcej niż zwykła *manamouki* – wtrąciła Sabo.

– Co to znaczy więcej?

– Po prostu więcej – odparła z nadąsaną miną. Co znakomicie podsumowało cały problem.

– Porozmawiam z nią – obiecałem.

- Kazesz jej ogolić głowę? – upewniła się Wambu.
  - Tak.
  - I usunąć kwiaty z domu?
  - Wspomnę o tym.
  - Może powinieneś poradzić Nkobemu, żeby bił ją od czasu do czasu – dodała Sabo. – Wtedy nie będzie się zachowywała jak żona wodza.
  - Bardzo mi go szkoda – oświadczyła Bori.
  - Nkobego? – domyśliłem się. Skinęła głową.
  - Nie dość, że musi znosić taką żonę, to jeszcze nie ma dzieci.
  - To dobry człowiek – zgodziła się Sabo. – Zasluguje na kogoś lepszego od Kenijki.
  - Z tego, co wiem, jest z Mwange bardzo szczęśliwy – przypomniałem.
  - Kolejny powód, żeby go żałować. Jak może być taki niemądry? – prychnęła Wambu.
  - Przyszłyście tu rozmawiać o Mwange czy o Nkobem?
  - Powiedziałyśmy już wszystko, co miałyśmy do powiedzenia. – Wambu wstała z ziemi. – Musisz coś z nią zrobić, *mundumugu*.
  - Zajmę się tą sprawą.
- Żona wodza odwróciła się i odeszła bez słowa; Sabo podążała tuż za nią. Natomiast Bori o plecach zgarbionych od dźwigania drewna na opał, brzuchu zniekształconym po urodzeniu trzech synów i pięciu córek, ustach, w których zostało jedynie dziewięć zębów, i nogach wykrzywionych po przebytej w dzieciństwie chorobie, Bori, która oglądała zaledwie trzydzieści cztery długie deszcze, jeszcze przez chwilę stała przede mną.
- Ona naprawdę jest wiedźmą, Koribo – rzekła. – Wystarczy tylko na nią spojrzeć.

Potem także opuściła moje wzgórze i wróciła do wioski.

Ponownie wezwałem Mwange do mojej *bomy*. Wkrótce zjawiała się na ścieżce, stąpając z wdziękiem młodej dziewczyny, smukła, silna i pełna energii.

- Ile masz lat, Mwange? – spytałem, gdy się zbliżyła.

- Trzydzieści osiem – odparła. – Ale zazwyczaj mówię ludziom, że

skończyłam trzydzieści pięć – dodała z uśmiechem. Przez moment stała nieruchomo. – Czy to dlatego wezwałeś mnie tutaj? Żeby spytać o mój wiek?

– Nie – rzekłem. – Usiądź, Mwange.

Przycupnęła na ziemi obok popiołów porannego ogniska, a ja kucnąłem naprzeciwko.

– Jak tam twoje nowe życie na Kirinyadze? – zapytałem po chwili.

– Doskonale! – powiedziała z zapałem. – Znalazłam mnóstwo przyjaciółek i odkryłam, że zupełnie nie brak mi kenijskich wygód.

– A zatem jesteś tu szczęśliwa?

– Bardzo.

– Opowiedz mi o swoich przyjaciółkach.

– Najbliżej jestem z Kibo, najmłodszą żoną Koinnagego, pomagałam też w ogródkach Sumi i Kalenie, i...

– Nie masz przyjaciółek wśród starszych kobiet? – przerwałem jej.

– Raczej nie – przyznała.

– Dlaczego? Są przecież w twoim wieku.

– Nie mamy o czym rozmawiać.

– Uważasz, że traktują cię niezbyt przyjaźnie?

Zastanowiła się.

– Matka Ndemiego zawsze jest dla mnie bardzo miła. Pozostałe mogłyby być sympatyczniejsze, ale przypuszczam, że dzieje się tak dlatego, iż są starszymi żonami i mają wiele obowiązków.

– Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że może istnieć inna przyczyna? – podpowiedziałem.

– Do czego zmierzasz? – spojrzała na mnie z niepokojem.

– Jest pewien problem.

– Ach tak?

– Część starszych kobiet drażni twoja obecność.

– Bo jestem imigrantką?

Potrząsnąłem głową.

– Nie.

– Czemu więc? – naciskała, autentycznie zdumiona.

– Widzisz, tu, na Kirinyadze, mamy sztywny porządek społeczny, a ty jak dotąd nie dopasowałaś się do niego.



– Sądziłam, że dobrze mi idzie – broniła się.

– Myliłaś się.

– Podaj mi przykład.

Popatrzyłem na nią.

– Wiesz, że kikujskie żony muszą golić głowy, a jednak tego nie uczyniłaś.

Westchnęła, dotykając warkoczyków.

– Wiem – odparła. – Zamierzałam to zrobić, ale ciągle było mi szkoda włosów. Zgole je jeszcze dziś wieczór. – Wyrażnie jej ulżyło. – Czy tylko o to chodzi?

– Nie. To jedynie zewnętrzny objaw problemu.

– Nie rozumiem.

– Trudno to wytłumaczyć. Twoje *khangi* są ładniejsze niż ich. Twoje warzywa lepiej rosną. Jesteś w wieku Wambu, ale wyglądasz młodziej od jej córek. W ich umysłach te rzeczy odróżniają cię od reszty i sprawiają, że stajesz się kimś więcej niż *manamouki*. Z tego zaś wynika – choć nie powiedziały tego głośno, z pewnością tak uważają – że jeśli ty jesteś kimś więcej, one stają się kimś mniej.

– Czego więc się spodziewasz? – spytała. – Mam nosić szmaty i zapaść ogród?

– Nie – zaprzeczyłem. – Tego nie wymagam.

– Co zatem powinnam zrobić? Mówisz, że czują się zagrożone moją kompetencją. – Urwała. – Ty też jesteś kompetentny, Koribo. Pobierałeś nauki w Europie i Ameryce, umiesz czytać, pisać i obsługiwać komputer. A przecież zauważyłam, że nie starasz się ukrywać swoich uzdolnień.

– Jestem *mundumugu*. Żyję samotnie na wzgórzu, a moi ludzie patrzą na mnie z lękiem i szacunkiem. Taka jest rola *mundumugu* – ale nie *manamouki*, która musi mieszkać w wiosce i dopasować się do społecznego porządku szczepu.

– To właśnie usiłuję zrobić! – westchnęła.

– Nie staraj się aż tak bardzo.

– Skoro nie każesz mi zapomnieć o moich umiejętnościach, to wciąż nie rozumiem.

– Nie można się dopasować, jeśli jest się innym – wyjaśniłem. – Na przykład wiem, że przynosisz do domu kwiaty. Bez wątpienia pięknie

pachną i radują oko, lecz żadna inna kobieta w wiosce nie przystraja swej chaty kwiatami.

– Nieprawda – zaprzeczyła. – Sumi to robi.

– Jeśli tak, czyni to pod twoim wpływem – podkreśliłem. – Nie pojmujesz, że w oczach starszych kobiet fakt ten stanowi jeszcze większe zagrożenie, niż gdybyś sama oddawała się temu zwyczajowi? Jest wyzwaniem rzuconym ich władzy.

Przyglądała mi się, próbując zrozumieć.

– Całe życie pracowały, by osiągnąć swoją obecną pozycję w szczepie, ty natomiast zjawiałaś się nagle i zajęłaś miejsce poza ich porządkiem. Mamy tu nowy świat do zasiedlenia: ty jesteś bezpłodna, ale nie okazujesz wstydu ani żalu, jakby nie dotknęło cię straszliwe *thahu*. Taka postawa jest obca ich doświadczeniu, podobnie jak zdobienie domu kwiatami czy tkanie *khang* o misternych wzorach. Czują się więc zagrożone.

– Nadal nie widzę, jak mogłabym temu zaradzić – zaprotestowała. – Oddałam moje *khang*i Wambu, ale ona nie chce ich nosić. Proponowałam też Bori, że pokażę jej, jak uzyskać lepsze zbiory z ogrodu, ale nie słuchała.

– Oczywiście, że nie – odparłem. – Starsze żony nie przyjmą rad od *manamouki*, tak jak wódz nie słucha opinii świeżo obrzezanego młodzika. Musisz po prostu... – tu przerzuciłem się na angielski, bo w suahili brakowało stosownego określenia – zachować dyplomatyczną dyskrecję. Jeśli tak zrobisz, z czasem problemy same znikną.

Chwilę milczała, rozważając moje słowa.

– Spróbuję – oznajmiła wreszcie.

– A jeśli już musisz zwrócić na siebie ich uwagę – kontynuowałem swój wywód, wracając do suahili – postaraj się uczynić to tak, by ich nie urazić.

– Nie wiedziałam nawet, że kogoś obrażam. Jak mam tego uniknąć, jeżeli tak bacznie mnie obserwują?

– Istnieją na to sposoby – odparłem. – Weźmy na przykład twoje krzesło.

– Tom od lat cierpi na bóle pleców. Zrobiłam je, bo stołek nie zapewniał właściwego oparcia. Czy mam pozwolić, by mój mąż cierpiał,

gdyż część tutejszych kobiet nie uznaje krzesel?

– Nie – tłumaczyłem. – Ale możesz powiedzieć młodszym kobietom, że to Nkobe kazał ci je zrobić, i tym samym pozbyć się stygmatu obcości.

– Zrzucając go na niego?

Pokręciłem głową.

– Naszym mężczyznom wolno znacznie więcej niż kobietom. Nikt się nie zdziwi, jeśli mąż każe *manamouki* zadbać o jego wygodę. – Odczekałem, by w pełni dotarło do niej znaczenie mych słów. – Rozumiesz?

Mwange westchnęła ciężko.

– Tak.

– I posłuchasz mojej rady?

– Chyba muszę, jeśli mam żyć w zgodzie z sąsiadkami.

– Zawsze istnieje wybór – przypomniałem. Gwałtownie potrząsnęła głową.

– Całe życie marzyłam o takim miejscu i teraz, kiedy tu jestem, nikt nie zmusi mnie, żebym odeszła. Zrobię wszystko, co trzeba.

– To dobrze – powiedziałem, wstając z miejsca na znak, że rozmowę uważam za zakończoną. – Twój problem wkrótce się rozwiąże.

Lecz oczywiście tak się nie stało.

Następne dwa tygodnie spędziłem w sąsiedniej wsi, której wódz zmarł nagle. Nie miał synów ani braci, toteż wynikła kwestia dziedziczenia. Wysłuchałem wszystkich kandydatów do tronu, omówiłem sytuację z radą starszych, póki nie poparli jednogłośnie jednego z nich, przewodniczyłem ceremonii powołania nowego wodza, odzianego w uroczyste szaty i nakrycie głowy, i wreszcie mogłem wrócić do mojej wioski.

Wdrapując się na wzgórze, ujrzałem kobietę siedzącą przed moją chatą. Zbliżywszy się, odkryłem, że to Shima, matka Ndemiego.

– Jambo, Koribo – powiedziała.

– Jambo, Shimo – odparłem.

– Mam nadzieję, że dobrze się czujesz.

– Tak dobrze, jak może czuć się stary człowiek, który maszerował

prawie cały dzień – oznajmiłem, siadając naprzeciw niej. Rozejrzałem się po *bomie*. – Nie widzę Ndemiego.

– Odesłałam go do wioski, bo chcę pomówić z tobą sam na sam.

– Czy to ma związek z Ndemim?

Potrząsnęła głową.

– Chodzi o Mwangę. Westchnąłem ciężko.

– Mów.

– Nie jestem taka jak inne kobiety, Koribo – zaczęła. – Zawsze dobrze traktowałam Mwangę.

– Wspominała mi o tym.

– Jej zachowanie mi nie przeszkadza – ciągnęła. – Ostatecznie któregoś dnia stanę się matką *mundumugu*, a choć może być wiele starszych żon, jest tylko jeden *mundumugu* i jego matka.

– To prawda – przytaknąłem, czekając, by przeszła do sedna sprawy.

– Zaprzyjaźniłam się zatem z Mwangę i okazałam jej moją sympatię, a ona odpowiedziała tym samym.

– Miło mi to słyszeć.

– A ponieważ darzyłam ją przyjaźnią – mówiła dalej Shima – bardzo jej współczułam, gdyż, jak wiesz, ciąży nad nią *thalu* bezpłodności. Pomyślałam więc, że skoro Nkobe jest tak bogaty, powinien pojąć drugą żonę, która pomogłaby Mwangę w pracy i urodziłaby mu synów i córki. – Urwała. – Moja córka Shumi przed nadejściem krótkich deszczów zostanie obrzezana, zwróciłam się zatem do Mwangę jako przyjaciółka i matka przyszłego *mundumugu*, proponując, by Nkobe zapłacił cenę za Shumi i poślubił ją. – Ponownie zawiesiła głos i zmarszczyła brwi. – Mwangę rozgniewała się bardzo i zaczęła na mnie krzyczeć. Musisz z nią pomówić, Koribo. Taki bogacz jak Nkobe nie może żyć z jedną bezpłodną żoną.

– Czemu nazywasz go bogaczem? – spytałem. – Ma przecież małą *shambę* i tylko sześć krów.

– Jego rodzina jest bogata – oznajmiła. – Nдеми powiedział mi, że na ich polach pracuje wiele ludzi i maszyn.

Piękne dzięki, mały Nдеми, pomyślałem z irytacją. Głośno rzekłem:

– Wszystko to zostało na Ziemi. Tu Nkobe jest biedakiem.

– Nawet jeśli, długo nim nie pozostanie, bo zboże i warzywa udają się

Mwange jak nikomu innemu, zupełnie jakby Ngai pobłogosławił ją, chcąc jej wynagrodzić *thahu* bezpłodności. – Spojrzała na mnie. – Musisz z nią pomówić, Koribo. To świetne rozwiązanie. Shumi jest posłuszna i pracowita, zdążyła też bardzo polubić Mwange. Nie żądamy wysokiej zapłaty, bo wiemy, że rodzina *mundumugu* nigdy nie będzie głodować.

– Czemu nie zaczekałaś, aż Nkobe zwróci się do was, jak nakazuje zwyczaj?

– Sądziłam, że jeśli wyjaśnię wszystko Mwange, ta dostrzeże mądrość w moich słowach i sama przemówi do Nkobego, on bowiem słucha jej bardziej niż inni mężowie swoich żon. Uznałam też, że myśl o płodnej kobiecie dzielącej z nią obowiązki z pewnością jej się spodoba.

– No cóż, przedstawiłaś Mwange swój pomysł – uciałem. – Teraz od Nkobego zależy, czy złoży ofertę, czy też nie.

– Ale ona powiedziała, że nie pozwoli mu poślubić nikogo innego! – Shima sprawiała wrażenie bardziej zdumionej niżli oburzonej. – Jakby *manamouki* mogła powstrzymać swojego męża przed zakupem kolejnej żony. Mwange nie zna naszych zwyczajów, Koribo, i dlatego musisz z nią porozmawiać. Wy tłumacz, że powinna się cieszyć z towarzystwa drugiej kobiety, z którą mogłaby dzielić sekrety i pracę. Z pewnością nie chce, by Nkobe zmarł bezdzietnie tylko dlatego, że została przeklęta. – Zawahała się, po czym dodała: – Powinieneś też jej przypomnieć, że Shumi będzie kiedyś siostrą *mundumugu*.

– Miło mi, że tak cię obchodzi przyszłość Mwange – oświadczyłem po chwili.

Dosłyszała cień ironii w moim głosie.

– Czy to źle, że dbam też o moją Shumi? – spytała gwałtownie.

– Nie – przyznałem. – To dobrze.

– Och! – westchnęła Shima, jakby nagle coś przyszło jej do głowy. – Kiedy będziesz rozmawiał z Mwange, przypomnij jej, że nosi imię mojej siostry.

– W ogóle nie zamierzam z nią rozmawiać.

– Nie?

– Nie – odparłem. – Jak sama słusznie zauważyłaś, to nie jej sprawa. Pomówię z Nkobem.

– I wspomnisz o Shumi? – upewniła się.

- Porozmawiam z nim – powiedziałem nieobowiązująco. Shima wstała, szykując się do odejścia.
- Możesz coś dla mnie zrobić, Shimo?
- Co takiego?
- Każ Ndemiemu, żeby natychmiast przyszedł do mojej *bomy*. Mam dla niego wiele pracy.
- Skąd wiesz, skoro dopiero wróciłeś?
- Wiem – oznajmiłem stanowczo. Rozejrzała się wokół, typowa opiekuńcza matka.
- Nie widzę niczego do zrobienia.
- Więc coś mu wymyślę – odparłem.

Tego popołudnia zszedłem do wioski, bo stary Siboki potrzebował maści na zbolale stawy, a Koinnage poprosił mnie o rozstrzygnięcie sporu pomiędzy Njoro i Sangorą, którzy nie mogli dojść do porozumienia w sprawie cielęcia, urodzonego przez ich wspólną krowę.

Załatwiwszy wszystko, rzuciłem urok na strachy na wróble, po czym późnym popołudniem zszedłem do *shamby* Nkobego. Zastałem go pędzącego krowy z pastwiska.

- Jambo, Koribo! – powitał mnie, machając ręką.
- Jambo, Nkobe – odparłem, podchodząc do niego.
- Chciałbyś odwiedzić moją chatę i napić się *pombe*? – zaproponował. – Mwange uwarzyła je wczoraj.
- Dziękuję, ale nie mam ochoty na ciepłe *pombe* w taki upał.
- Prawdę mówiąc, jest dość chłodne – oznajmił. – Mwange zakopuje tykwę w ziemi, żeby się nie grzała.
- W takim razie chętnie – ustąpiłem, ruszając za nim. Nkobe sprawnie zagnał stado do swej *bomy*.

Mwange już czekała. Zaprosiła nas do chłodnej chaty, naląła nam *pombe* i skierowała się ku wyjściu, gdyż *manamouki* nie słuchają męskich rozmów.

- Zostań tu, Mwange – poleciłem.
- Na pewno?
- Tak.

Wzruszyła ramionami i usiadła na podłodze, opierając się o ścianę.

– Co cię tu sprowadza, Koribo? – spytał Nkobe, siadając ostrożnie na swym krześle. Widać było, że nadal dolegają mu plecy. – Jak dotąd nie złożyłeś nam wizyty.

– Mundumugu rzadko odwiedza tych, którzy są dość zdrowi, by przyjść do niego – odparłem.

– Zatem to szczególna okazja? – odgwał Nkobe.

– Istotnie – rzekłem, pociągając lyk *pombe*. – Okazja jest szczególna.

– O co chodzi tym razem? – spytała Mwange ze znużeniem.

– Co to znaczy „tym razem”? – wtrącił ostro Nkobe.

– Wystąpiły pewne drobne problemy – wyjaśniłem – lecz żaden z nich ciebie nie dotyczy.

– Wszystko, co dotyczy Mwange, dotyczy też mnie. Nie jestem ślepy, Koribo. Wiem, że starsze kobiety nie chcą jej zaakceptować i coraz bardziej mnie to złości. Tak bardzo starała się dopasować, ale one nie ustępują.

– Nie przyszedłem tu po to, by rozmawiać o Mwange – oświadczyłem.

– Naprawdę? – spytał podejrzliwie.

– Chcesz powiedzieć, że to dotyczy jego? – wtrąciła Mwange.

– To problem was obojga – odrzekłem. – Dlatego tu jestem.

– W porządku, Koribo. O co chodzi? – zapytał Nkobe.

– Włożyłeś wiele wysiłku, aby stać się częścią naszej społeczności i żyć jak Kikuju, Nkobe – zacząłem. – Wszelako jest pewna rzecz, której oczekuje się po tobie, i właśnie o tym chciałem pomówić.

– Cóż to takiego?

– Wcześniej czy później będziesz musiał pojąć drugą żonę.

– Wiedziałam! – wykrzyknęła Mwange.

– Jestem bardzo szczęśliwy z moją obecną żoną – oznajmił Nkobe, nie kryjąc wrogości.

– Możliwe – zgodziłem się, sącząc resztkę *pombe* – ale nie macie dzieci i kiedy Mwange się zestarzeje, będzie potrzebowała kogoś do pomocy.

– Posłuchaj no! – warknął Nkobe. – Przybyłem tu, bo sądziłem, że w ten sposób uszczęśliwię Mwange. Jak dotąd poddano ją tu ostracyzmowi, okazywano pogardę, plotkowano na jej temat – a teraz mówisz mi, że muszę wprowadzić do mego domu drugą żonę po to, by inne kobiety nadal pluły na Mwange? Nie potrzebujemy tego, Koribo! Równie

szczęśliwy byłem na mojej farmie w Kenii. I w każdej chwili mogę tam wrócić.

– Jeśli tak sądzisz, może rzeczywiście powinniście wracać do Kenii.

– Tom! – Mwangę spojrziała na niego i Nkobe umilkł.

– To prawda, że nie macie obowiązku zostać – ciągnąłem – ale jesteście Kikuju żyjącymi w kikujskim świecie i jeśli chcecie tu mieszkać, musicie zachowywać się jak Kikuju.

– Żadne prawo nie każe kikujskim mężczyznom poślubić więcej niż jedną żonę – upierał się Nkobe.

– Istotnie, nie ma takiego prawa – przyznałem. – Podobnie jak nie ma prawa głoszącego, że kikujski mężczyzna musi spłodzić dzieci. Ale taka jest nasza tradycja i oczekujemy, że zastosujecie się do niej.

– Do diabła z tradycją! – mruknął po angielsku.

Mwangę uspokajającym gestem położyła mu dłoń na ramieniu.

– Za lasem mieszka grupka młodych wojowników – przypomniała. – Czemu nie poślubią części dziewcząt? Dlaczego mężczyźni z wioski mają mieć monopol na małżeństwo?

– Młodych nie stać na żony, właśnie dlatego mieszkają samotnie.

– To ich sprawa – uciął Nkobe.

– Poczyła wiele ofiar w imię dobra wspólnoty, Koribo – oznajmiła Mwangę – ale tego już za wiele. Jesteśmy bardzo szczęśliwi i zamierzamy żyć tak dalej.

– Niedługo będziecie szczęśliwi.

– Co to miało znaczyć?

– W przyszłym miesiącu odbędzie się rytuał obrzezania – wyjaśniłem.

– Kiedy dobiegnie końca, wiele dziewcząt zacznie szukać mężów, a że jesteś bezpłodna, niewątpliwie część rodzin zaproponuje Nkobemu, by zapłacił za ich córki. Może odmówić raz i drugi, ale jeśli wciąż będzie odrzucał ich sugestie, obrazi całą wieś. Ludzie uznają, że ponieważ przybył z Kenii, uważa, iż ich kobiety nie są dla niego dość dobre. Dodatkowo urazi ich fakt, że nie chce mieć dzieci, które zaludnią naszą pustą planetę.

– Wytłumaczę im, czemu to robię – oświadczył Nkobe.

– Nie rozumiem ją.

– Nie, nie rozumiem ją – zgodziła się Mwangę.



– Będą więc musieli nauczyć się z tym żyć – rzekł Nkobe stanowczo.  
– A wy będziecie musieli przywyknąć do milczenia i wrogości. Czy tak wyobrażaliście sobie swoje życie na Kirinyadze?

– Jasne, że nie! – warknął Nkobe. – Ale nic nie może mnie...

– Zastanowimy się nad tym – przerwała mu Mwange. Zdumiony Nkobe odwrócił się do żony.

– Co ty mówisz?

– Powiedziałaś, że się zastanowimy – powtórzyła Mwange.

– Tylko o to proszę. – Wstałem z miejsca i podszedłem do drzwi chaty.

– Wiele od nas żądasz, Koribo – rzekła z goryczą Mwange.

– Niczego nie żądam. Jedynie sugeruję.

– Skoro przemawiasz jako *mundumugu*, jaka to różnica?

Nie odpowiedziałem, w istocie bowiem nie było żadnej.

– Wydajesz się nieszczęśliwy, Koribo – zauważył Ndemi. Właśnie skończył karmić moje kury i kozy, i usiadł przy mnie w cieniu akacji.

– Bo jestem – odparłem.

– Mwange – domyślił się, kiwając głową.

– Mwange – przytaknąłem.

Od mojej wizyty u Nkobego upłynęły dwa tygodnie.

– Widziałem ją dziś rano, kiedy poszedłem nad rzekę, żeby napełnić twoje tykwy – powiedział Ndemi. – Ona także wyglądała na nieszczęśliwą.

– Bo jest nieszczęśliwa. A ja nic nie mogę na to poradzić.

– Przecież jesteś *mundumugu*.

– Wiem.

– Najpotężniejszym z ludzi – ciągnął Ndemi. – Z pewnością potrafisz położyć kres jej smutkowi.

Westchnąłem.

– Mundumugu to jednocześnie najmocniejszy i najslabszy z ludzi. W przypadku Mwange, jestem najslabszy.

– Nie rozumiem.

– Mundumugu jest najmocniejszy, jeśli chodzi o interpretację prawa – rzekłem. – Ale jest też najslabszy, gdyż ze wszystkich ludzi pierwszy

przestrzega prawa, niezależnie od okoliczności. – Urwałem. – Powinienem pozwolić jej być, kim chce, zamiast zwykłą *manamouki*. Albo zmusić do odejścia z Kirinyagi i powrotu do Kenii. – Znów westchnąłem. – Jeśli jednak ma tu żyć, musi się zachowywać, jak przystało *manamouki*, a nie złamała żadnego prawa, więc nie mogę jej wygnać.

Ndemi zmarszczył brwi.

– Bycie *mundumugu* jest trudniejsze, niż przypuszczałem.

Uśmiechnąłem się do niego i położyłem mu dłoń na głowie.

– Jutro zacznę cię uczyć przyrządzania maści dla chorych.

– Naprawdę? – Jego twarz pojaśniała. Przytaknąłem.

– Twoje słowa świadczą, że nie jesteś już dzieckiem.

– Przestałem nim być wiele deszczów temu – zaprotestował.

– Nie mów nic więcej – upomniałem z cierpkim uśmiechem – albo wrócimy do modlitw o obfite plony.

Natychmiast umilkł, ja zaś spojrzałem w dal, na sawannę, gdzie wirujący słup pyłu pędził przez suchą równinę, i tysięczny raz zadałem sobie pytanie, co mam począć z Mwange.

Nie wiem, jak długo tkwiłem tak bez ruchu, w końcu jednak Ndemi pociągnął za skraj koca, którym okryłem ramiona.

– Kobiety – szepnął.

– Co? – nie zrozumiałem.

– Z wioski – dodał, wskazując ścieżkę, prowadzącą do mej *bomy*.

Popatrzyłem w ślad za jego ręką i ujrzałem zbliżające się cztery kobiety: Wambu, Sabo i Bori, a także Morinę, drugą żonę Kimody.

– Chcesz, żebym odszedł? – spytał Ndemi.

Potrząsnąłem głową.

– Jeśli masz zostać *mundumugu*, czas już, abyś zaczął wysłuchiwać problemów *mundumugu*.

Cztery kobiety zatrzymały się dziesięć jardów od nas.

– Jambo – powiedziałem, patrząc na nie.

– Kenijska wiedźma musi odejść! – oznajmiła Wambu.

– Już o tym rozmawialiśmy.

– Ale teraz złamała prawo – odparła Wambu.

– Ach tak? – spytałem. – W jaki sposób?

Wambu chwyciła Morinę za rękę i wypchnęła ją naprzód.

– Powiedz mu! – poleciła triumfalnie.

– Zaczarowała moją córkę – oznajmiła Morina, wyraźnie nie czując się zbyt pewnie w mojej obecności.

– Jak Mwange zaczarowała twoją córkę?

– Moja Muri była dobrym, posłusznym dzieckiem – zaczęła Morina. – Zawsze pomagała mi mleć ziarno, opiekowała się dwójką młodszych braci, gdy pracowałam w polu, i nigdy nie zostawiała na noc otwartej bramy w ogrodzeniu, dzięki czemu hyeny nie mogły wejść do naszej *bomy* i porwać nam zwierząt. – Urwała i dostrzegłem, że usilnie stara się nie wybuchnąć płaczem. – Od ostatnich długich deszczów mówiła tylko o zbliżającej się ceremonii obrzezania i o tym, kto mógłby zapłacić za jej rękę. Była idealną córką, z której mogłaby być dumna każda matka. – Po policzku Moriny spłynęła łza. – A potem zjawiała się Kenijka i Muri zaczęła spędzać z nią coraz więcej czasu, a... – nagle pojedyncza łza zamieniła się w istny potop – a teraz mówi, że nie zgadza się poddać obrzezaniu. Nigdy nie wyjdzie za mąż! Umrze jako stara, bezdzietna kobieta!

Morina nie mogła dłużej mówić; zamiast tego zaczęła bić się pięściami w piersi.

– To nie wszystko – dodała Wambu. – Muri nie chce dać się obrzezać dlatego, że sama Kenijka także nie została obrzezana. A jednak poślubiła Kikuju i próbowała żyć wśród nas jako jego *manamouki*. – Posłała mi gniewne spojrzenie. – Złamała prawo, Koribo! Musimy ją wygnać!

– Ja jestem *mundumugu* – odparłem surowo – i to ja zadecyduję, co trzeba zrobić.

– Dobrze wiesz, co powinniśmy zrobić! – oznajmiła Wambu z wściekłością.

– Wystarczy – uciąłem. – Możecie odejść.

Wambu patrzyła na mnie z furią, ale nie śmiała mi się sprzeciwić. Wreszcie, odwróciwszy się na pięcie, odmaszerowała do wioski, a wraz z nią Sabo i nadal zawodząca Morina.

Bori zatrzymała się jeszcze na moment i spojrzała na mnie.

– Jest tak, jak ci mówiłam Koribo – powiedziała niemal przeproszająco. – To naprawdę wiedźma.

Potem i ona ruszyła w stronę wioski.

– Co teraz zrobisz, Koribo? – spytał Ndemi.

- Prawo jest jasne – odparłem ze znużeniem. – Żadna nie obrzezana kobieta nie może żyć z kikujskim mężczyzną jako jego żona.
- Każesz jej więc opuścić Kirinyagę?
- Dam jej wybór – rzekłem – i mam nadzieję, że zdecyduje się odejść.
- Szkoda – westchnął Ndemi. – Bardzo się starała być dobrą *manamouki*.
- Wiem.
- Czemu zatem Ngai tak ją doświadczył?
- Bo czasem starania nie wystarczą.

Staliśmy w Przystani – Mwange, Nkobe i ja – czekając na przyłot statku Kontroli.

- Naprawdę żałuję, że wam się nie udało – powiedziałem szczerze. Nkobe spojrział na mnie z wściekłością, nie odezwał się jednak.

- To nie musiało się tak skończyć – oznajmiła gorzko Mwange.

- Nie mieliśmy wyboru – odparłem. – Jeśli chcemy stworzyć na Kirinyadze kikujską utopię, musimy przestrzegać jej praw.

- Sam fakt, że prawo istnieje, nie czyni go jeszcze słusznym, Koribo – rzekła. – Zrezygnowałam niemal ze wszystkiego, byle tu zamieszkać, ale nie pozwolę im się okaleczyć w imię jakiegoś głupiego zwyczaju.

- Bez naszych tradycji nie byłibyśmy Kikuju, tylko Kenijczykami, żyjącymi w innym świecie – przypomniałem.

- Jest wielka różnica pomiędzy tradycją a stagnacją, Koribo. Jeśli w imię tej pierwszej będziecie tłumić każdą zmianę upodobań i zachowania, osiągniecie jedynie tę drugą. – Zawiesiła głos. – Byłabym dobrym członkiem waszej społeczności.

- Ale mierną *manamouki* – dodałem. – Lampart to przebiegły łowca i groźny zabójca, lecz nie pasuje do stada lwów.

- Lwy i lamparty już dawno wyginęły, Koribo – odparła. – Rozmawiamy o istotach ludzkich, nie zwierzętach, i nieważne, jak wiele praw wymyślisz, jak wiele tradycji przywołasz, nie zmusisz ludzi, aby wszyscy myśleli, czuli i zachowywali się tak samo.

- Nadlatuje – oznajmił Nkobe, gdy statek Kontroli przebił się przez cienką warstwę chmur.

- Kwaheri, Nkobe – powiedziałem, wyciągając rękę.

Przez moment patrzył na nią z pogardą, po czym odwrócił się do mnie plecami, całą uwagę skupiając na statku. Spojrzałem na Mwange.

– Staralam się, Koribo. Naprawdę.

– Nikt nie starał się bardziej – rzekłem. – *Kwaheri*, Mwange.

Patrzyła na mnie; jej twarz stężała w beznamiętną maskę.

– Żegnaj, Koribo – powiedziała po angielsku. – A na imię mam Wanda.

Następnego ranka Shima przyszła do mnie, narzekając, że Shumi odrzuciła wybranego przez rodziców zalotnika.

Dwa dni później Wambu poskarżyła się, że Kibo, najmłodsza żona Koinnagego, przystroiła swą chatę barwnymi wstążkami i zaczęła zapuszczać włosy.

A kolejnego dnia Kimi, która urodziła tylko jednego syna, oznajmiła, że nie chce mieć więcej dzieci.

– Sądziłem, że to koniec – powiedziałem z westchnieniem, odprowadzając wzrokiem odchodzącego ścieżką Sangorę, nieszczęsnego męża Kimi.

– To dlatego, że się pomyliłeś, Koribo.

– Czemu tak twierdzisz?

– Uwierzyłeś w niewłaściwą historię – odparł Ndemi z pewnością siebie, właściwą młodości.

– Ach tak?

Skinął głową.

– Wierzyłeś w opowieść o brzydkiej bawolicy.

– A w którą powinienem był uwierzyć?

– W historię o *mundumugu* i wężu.

– Czemu sądzisz, że jedna opowieść jest bardziej godna wiary niż druga? – spytałem.

– Czyż historia o *mundumugu* i wężu nie mówi nam, że nie możemy pozbyć się tego, co stworzył Ngai, tylko dlatego, że budzi w nas niechęć lub niepokój?

– To prawda – potwierdziłem.

Ndemi uśmiechnął się i wystawił trzy palce.

– Shumi, Kibo, Kimi – rzekł, odliczając po kolei. – Trzy węże już

powróciły. Zostało jeszcze dziewięćdziesiąt siedem.

I nagle ogarnęło mnie potworne przeczucie, że ma rację.

# Kiedy starzy bogowie umierają

*When Old Gods Die*, przeł. Paulina Braiter  
Nominacja Hugo, nominacja Nebula 1995

Ngai, który rządzi wszechświatem ze Swego złotego tronu na szczycie Kirinyagi, zwanej dziś przez ludzi Górą Kenią, stworzył Słońce i Księżyc i nakazał, by podzieliły się władzą nad Ziemią.

Słońcu rozkazał ogrzewać świat tak, by wszystkie stworzenia Ngai mnożyły się i rosły w siłę w jego blasku. A kiedy światło gasło i Ngai udawał się na spoczynek, Księżyc miał czuwać nad bezpieczeństwem Jego dzieci. Jednakże Księżyc okazał się fałszywy – w sekrecie zawiązał przymierze z Lwem, Lampartem i Hieną, i przez wiele nocy, gdy Ngai smacznie spał, Księżyc zwracał ku Ziemi jedynie część swego oblicza. Wówczas drapieżcy wyruszali na łów, raniąc, mordując i pożerając inne stworzenia.

Wreszcie pewien człowiek, mundumugu – czarownik – zrozumiał, że Księżyc oszukał Ngai i postanowił temu zaradzić. Mógł oczywiście zwrócić się do Ngai, był jednak zbyt dumny, toteż uznał, że sam sprawi, by mięsożercy nie mogli dłużej sprzymierzać się z ciemnością.

Zamknął się samotnie w swojej bomie, nie przyjmując nikogo. Dziewięć dni i dziewięć nocy rzucał kośćmi, szykował zaklęcia i warzył mikstury, a kiedy rankiem dziesiątego dnia wyszedł przed chatę, był gotów dokonać tego, co musiało zostać zrobione.

Słońce stało wysoko na niebie, on zaś wiedział, że póki spogląda z góry na ziemię, ciemności nie nadejdą. Toteż zaśpiewał tajemną pieśń i wkrótce wzleciał w powietrze, aby stawić mu czoło.

– Stój! – rzekł. – Twój brat, Księżyc, zwrócił się ku złu. Musisz pozostać na niebie albo stworzenia Ngai nadal będą umierać.

– Czemuż miałyby mnie to obchodzić? – odparło Słońce. – Nie mogę porzucić swych obowiązków tylko dlatego, że mój brat nie wykonuje swoich.

Mundumugu uniósł rękę.

– Nie pozwolę ci przejść – rzekł.

Słońce jednak roześmiało się tylko i ruszyło dalej swą ścieżką, a kiedy dotarło do mundumugu, połknęło go i wypluło popioły, bowiem nawet najpotężniejszy mundumugu nie jest w stanie powstrzymać Słońca w jego biegu.

Historia ta znana jest wszystkim mundumugu od czasu, gdy Ngai stworzył Gikuju, pierwszego człowieka. Spośród nich wszystkich tylko jeden zignorował zawartą w niej mądrość.

Ja jestem tym mundumugu.

Powiada się, że od chwili swych narodzin czy nawet poczęcia każda istota podąża własnym nieuniknionym szlakiem, który prowadzi ją do śmierci. Jeśli to prawda, a tak się zdaje, musi ona także dotyczyć ludzi. A jeżeli dotyczy ludzi, to i bogów, którzy stworzyli człowieka na swoje podobieństwo.

Jednakże wiedza nie umniejsza bólu, jaki sprawia nam czyjaś śmierć. Wracalem właśnie od Katumy, którą pocieszałem po stracie ojca. Stary Siboki zmarł wreszcie, nie z powodu ran czy choroby, lecz raczej przygnieciony straszliwym brzemieniem lat. Siboki był jednym z pierwszych kolonistów, którzy przybyli na Kirinyagę. Należał do Rady Starszych i choć z wiekiem osłabł na ciele i umyśle, wiedziałem, że będzie mi go brakowało.

Wędrując przez wioskę długą krętą ścieżką wzdłuż rzeki, prowadzącą do mojej bomy, wyraźnie czułem, że także mój kres się zbliża. Niewiele lat dzieliło mnie i Sibokiego; w istocie byłem już starym człowiekiem, kiedy opuściliśmy Kenię i wyemigrowaliśmy na Kirinyagę.

Wiedziałem, że wkrótce nadejdzie moja kolej, a przecież miałem nadzieję, że śmierć trochę zaczeka. Nie kierowała mną miłość własna, lecz świadomość, że Kirinyaga nie jest jeszcze gotowa, aby przetrwać beze mnie. *Mundumugu* to coś więcej niż szaman, który rzuca uroki i sprzedaje zaklęcia. Stanowi on skarbnicę wszystkich praw i zwyczajów, tradycji i mądrości ludu Kikuju; w mojej opinii zaś Kirinyaga nie zrodziła godnego mnie następcy.

Życie *mundumugu* jest ciężkie i samotne – ludzie, którym służy, bardziej lękają się go niż kochają. To nie jego wina, lecz raczej kwestia pozycji.



*Mundumugu* musi czynić co uzna za najlepsze dla szczepu – a to oznacza, iż czasami zmuszony jest podejmować niepopularne decyzje.

Dziwne zatem, że decyzja, która doprowadziła do mego upadku, nie miała nic wspólnego z moim ludem, lecz dotyczyła obcego.

Mimo wszystko jednak winienem był żywić jakieś podejrzenia, bowiem żadna rozmowa nie odbywa się bez powodu. Gdy po drodze do bomy mijalem strzegące pola strachy na wróble, natknąłem się na Kimantiego, młodego syna Ngobe, pędzącego do domu dwie kozy z porannego wypasu.

– Jambo, Koriba – powitał mnie, osłaniając oczy przed palącymi promieniami słońca.

– Jambo, Kimanti – odparłem. – Widzę, że ojciec pozwala ci już zajmować się kozami. Wkrótce nadejdzie dzień, gdy przekaże ci opiekę nad bydłem.

– Wkrótce – zgodził się, podając mi tykwę z wodą. – Ciepły mamy dzień. Napijesz się może?

– To bardzo hojnie z twojej strony – stwierdziłem, biorąc od niego tykwę i unosząc ją do ust.

– Zawsze byłem dla ciebie hojny, nieprawdaż, Koribo? – spytał.

– Owszem – odparłem podejrzliwie, zastanawiając się, o jaką przysługę zamierza mnie poprosić.

– Czemu zatem pozwalasz, by prawa ręka mojego ojca nadal pozostawała zeschnięta i bezużyteczna? – spytał. – Dlaczego nie rzucisz zaklęcia i nie uzdrowisz jej?

– To nie takie proste, Kimanti – odparłem. – Nie ja wysuszyłem rękę twojego ojca, lecz Ngai. Nie uczyniłby tego bez powodu.

– Czemu mogłoby służyć okaleczenie mojego ojca? – chciał wiedzieć Kimanti.

– Jeśli sobie życzysz, złożę Ngai w ofierze kozła i zapytam, dlaczego tego dokonał – odrzekłem.

Zastanowił się przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

– Nie obchodzi mnie odpowiedź Ngai, bowiem nic ona nie zmieni. – Umilkł, zagubiony w myślach. – Jak sądzisz, czy długo Ngai będzie naszym bogiem?

– Zawsze – odparłem, zdumiony pytaniem.

- To niemożliwe - odrzekł z powagą. - Z pewnością Ngai nie był naszym bogiem w czasach, gdy był jeszcze *mtoto*. Musiał zabić starych bogów za młodu, kiedy miał dużo sił. Teraz jednak już od dawna jest naszym bogiem i nadszedł czas, by ktoś zabił jego. Może nowy bóg okaże więcej współczucia memu ojcu?

- Ngai stworzył świat - przypomniałem. - Stworzył Kikuju, Masajów i Wakambów, a nawet Europejczyków, a także świętą górę Kirinyagę, której miano nosi nasz świat. Istniał od zarania dziejów i będzie istniał aż do ich kresu.

Kimanti ponownie potrząsnął głową.

- Jeśli od tak dawna nad nami czuwa, jest już gotów, by umrzeć. Pozostaje tylko kwestia, kto go zabije. - Zamilkł, po czym dodał z namysłem. - Może ja sam, kiedy będę starszy i silniejszy?

- Może - zgodziłem się. - Zanim jednak to zrobisz, pozwól, że opowiem ci historię o Królu Zebr.

- Czy opowiada ona o zebrach, czy o Ngai? - spytał.

- Posłuchaj sam - odparłem. - Wówczas, kiedy już skończę, ty mi odpowiesz.

Ostrożnie usiadłem na ziemi, a on przykucnął obok mnie.

- Dawno temu - zacząłem - zebrzy nie miały pasków. Były brązowe niczym zeschnięta trawa na sawannie, nieciekawe dla oczu jak pień akacji. Ponieważ zaś ich barwa chroniła je, rzadko porywali je lew i lampart, którym łatwiej przychodziło chwycić gnu, topi i impalę. Pewnego dnia Królowi Zebr urodził się syn. Nie był on jednak normalnym źrebkiem, ponieważ nie miał nozdrzy. Król Zebr z początku zasmucił się, potem zaś poczuł złość, że coś takiego w ogóle mogło się zdarzyć. Im bardziej zastanawiał się nad tym, tym większe czuł oburzenie. W końcu wspiął się na świętą górę i dotarł na szczyt, do stóp złotego tronu, z którego Ngai rządzi światem.

- Czy przybyłeś, aby sławić moją cześć? - spytał Ngai.

- Nie! - odparł Król Zebr. - Przyszedłem, by ci powiedzieć, że jesteś strasznym bogiem i że zamierzam cię zabić.

- Cóż takiego uczyniłem, że pragniesz mojej śmierci? - spytał Ngai.

- Obdarzyłeś mnie synem, który nie ma nozdrzy, nie może zatem wyczuć lwa i lamparta. Z pewnością znajdą go i zabiją, gdy w końcu

opuści swą matkę. Zbyt długo byłeś naszym bogiem i zapomniałeś, co oznacza współczucie.

- Zaczekaj! - rzucił Ngai i nagle w jego głosie zabrzmiała tak wielka moc, że Król Zebr zamarł w miejscu. - Skoro tego chcesz, zwrócę twojemu synowi nozdrza.

- Czemu w ogóle byłeś tak okrutny? - spytał Król Zebr, nie do końca udobruchany.

- Tajemne są plany bogów - odparł Ngai - i to, co tobie może wydawać się okrutne, w istocie często okazuje się dobrodziejstwem. Ponieważ byłeś dobrym, szlachetnym królem, obdarzyłem twego syna oczami, które widziały w ciemnościach, przenikały zarośla, spoglądały na drugą stronę pni, tak aby lew i lampart nigdy go nie zaskoczyli, nawet gdyby sprzyjał im kierunek wiatru. Z powodu tego daru nie potrzebował nozdrzy, toteż zabrałem mu je, aby nie musiał wdychać pyłu, który dławi jego pobratymców podczas pory susz. Teraz jednak oddałem mu zmysł węchu i odebrałem specjalny wzrok, bowiem tego się domagałeś.

- A zatem miałaś jakiś powód! - jęknął Król Zebr. - Kiedy stałem się takim głupcem?

- W chwili, gdy pomyślałeś, że jesteś większy ode mnie - odparł Ngai, dźwigając się na swą pełną wysokość. Jego głowa wzniosła się ponad chmury. - Aby zaś ukarać cię za twą śmiałość, rozkazuję, by od tej chwili ty i całe twoje plemię nie było już brązowe niczym zeschnięta trawa, lecz pokryte czarnymi i białymi pasami, które z odległości wielu mil przyciągną uwagę lwa i lamparta. Nieważne, gdzie się udacie, nigdy nie zdołacie ukryć się przed nimi.

To rzekłszy Ngai machnął ręką i nagle wszystkie zebry na świecie pokryły się znanymi nam dobrze paskami.

Urwałem, przyglądając się Kimantiemu.

- To już koniec? - spytał.

- To już koniec.

Kimanti obserwował skolopendrę, pełznącą po piasku.

- Zebra był jeszcze dzieckiem i nie mógł wyjaśnić swemu ojcu, że ma niezwykle oczy - powiedział wreszcie. - Ręka mojego ojca jest uschnięta od wielu deszczów, zaś jedyne wyjaśnienie, jakie usłyszał, to to, że tajemnicze są plany Ngai. Nie dostał w zamian żadnych nowych

zmysłów, które mogłyby wynagrodzić mu kalectwo. Z pewnością zauważyłby je u siebie. – Kimanti spojrzał na mnie z namysłem. – To ciekawa historia, Koribo, i przykro mi z powodu Króla Zebr, uważam jednak, że musi wkrótce pojawić się nowy bóg i zabić Ngai.

I tak siedzieliśmy, sędziwy rozważny *mundumugu*, dysponujący przypowieściami na każdy temat, i niemądry młody *kehee* – nie obrzezany chłopak – dysponujący nie większą wiedzą na temat swego świata, niż byle kijanka. Tkwiliśmy tak po przeciwnych stronach nie tylko drogi, ale też świata.

Jedynie bóg obdarzony poczuciem humoru mógłby sprawić, że to *kehee* miał rację.

Wszystko zaczęło się, kiedy rozbił się statek. (Niektórzy ludzie mogliby stwierdzić z goryczą, że prawdziwy początek nastąpił w chwili, gdy Kirinyaga zawarła umowę z Radą Eutopii, ale mylili się.)

Statki Kontroli podróżują nieustannie pomiędzy światami eutopijskimi. Niektórym dostarczając towary, innym pocztę, jeszcze innym usługi. Jedynie Kirinyaga nie ma z nimi żadnych kontaktów. Wolno im nas obserwować – w istocie to jeden z warunków umowy – jednakże nie mogą wtrącać się w nasze sprawy. A ponieważ próbowaliśmy stworzyć utopię kikujską, nie interesuje nas handel z Europejczykami.

Niemniej jednak statki Kontroli od czasu do czasu lądowały na Kirinyadze. W umowie stwierdzono, że jeśli jakikolwiek obywatel nie jest szczęśliwy w naszym świecie, wystarczy jedynie, by przeszedł do miejsca zwanego Przystanią, a statek Kontroli zabierze go stamtąd i zawiezie na Ziemię bądź też inny świat eutopijski. Kiedyś ich statek przywiózł do nas dwóch imigrantów, zaś dawno, na samym początku istnienia Kirinyagi, Kontrola wysłała swą przedstawicielkę, która próbowała wpłynąć na nasze praktyki religijne.

Nie wiem, dlaczego w ogóle ów statek przelatywał tak blisko Kirinyagi. Ostatnimi czasy nie wzywałem Kontroli, aby dokonała poprawek orbity, bowiem dopiero za dwa miesiące miały spaść krótkie deszcze i wciąż powinna panować słoneczna upalna pogoda. Z tego, co mi wiadomo, żaden z mieszkańców wioski nie wyruszył do Przystani, toteż Kontrola nie powinna interesować się Kirinyagą.

Jednakże pozostaje faktem, że nagle na czystym błękitnym niebie rozbłysła smuga światła, opadająca ku powierzchni planety. Potem nastąpił wybuch; choć nie widziałem go, słyszałem huk i dostrzegłem rezultaty, bowiem krowy spłoszyły się wyraźnie, zaś stada impali i zebr umknęły w panice.

Po jakichś dwudziestu minutach młody Jinja, syn Kichanty, wbiegł na wzgórze do mojej bomy.

- Musisz pójść ze mną, Koribo! - wydyszał, gwałtownie chwytając powietrze.

- Co się stało? - spytałem.

- Rozbił się statek Kontroli! - rzekł. - Pilot wciąż żyje!

- Ciężko jest ranny?

Jinja przytaknął.

- Bardzo ciężko. Myślę, że wkrótce umrze.

- Jestem już stary i wędrówka do pilota zajęłaby mi bardzo dużo czasu - rzekłem. - Lepiej będzie, jeśli wezwiesz trzech młodych ludzi z wioski i przyniesiecie go tu na noszach.

Jinja posłusznie pobiegł do wsi, a ja tymczasem wróciłem do chaty, aby sprawdzić czy mam coś, co pozwoli mi złagodzić ból pilota. Znalazłem trochę liści qat, na wypadek, gdyby pilot miał dość sił, by żuć i kilkanaście maści, gdyby był na to za słaby. Za pomocą komputera połączyłem się też z Kontrolą i uprzedziłem, że po zbadaniu pilota zawiadomię ich o jego stanie.

Parę lat wcześniej wysłałbym mojego pomocnika nad rzekę, żeby przyniósł wodę, którą mógłbym obmyć rannego, jednakże nie miałem już pomocnika, zaś *mumdumugu* nie nosi wody, toteż po prostu czekałem na szczycie wzgórza, spoglądając w stronę miejsca katastrofy. Wokół wraku płonęły trawy, z ziemi wznosiła się kolumna dymu. Ujrzałem Jinja i pozostałych, biegnących przez sawannę z noszami. Topi, impala i nawet bawoły uciekały im z drogi. Potem na niemal dziesięć minut zniknęli mi z oczu. Kiedy znów ich zobaczyłem, szli już wolniejszym krokiem, dźwigając rannego człowieka.

Zanim jednak dotarli do mojej bomy, na długiej krętej ścieżce prowadzącej z wioski pojawił się Karenja.

- Jambo, Koriba - pozdrowił mnie.

- Co tu robisz? - spytałem.

- Prawie cała wieś już wie, że rozbił się statek Kontroli - odparł. - Nigdy dotąd nie widziałem Europejczyka. Przyszedłem, aby się przekonać, czy jego twarz naprawdę jest biała jak mleko.

- Czeka cię zawód - odparłem. - Nazywamy ich białymi, w rzeczywistości jednak są różowo-brązowi.

- Mimo wszystko - odparł kucając - nigdy żadnego nie widziałem.

Wzruszyłem ramionami.

- Jak chcesz.

Jinja i jego towarzysze przybyli w kilka minut później, dźwigając nosze. Spoczywało na nich skrzycone ciało pilota. Ręce i nogi miał połamane, prawie całe jego ciało pokrywały oparzenia. Stracił mnóstwo krwi, a z niektórych ran sączyła się ona nadal. Był nieprzytomny, lecz oddychał miarowo.

- Asante sana - zwróciłem się do czterech młodzieńców. - Dziękuję. Dobrze się dziś spisaliście.

Kazałem jednemu z nich napełnić moje tytki wodą. Pozostali trzej skłonili się i ruszyli z powrotem w dół zbocza, gdy ja tymczasem wybrałem z moich maści tę, która jak najmniej podrażni oparzenia.

Karenja patrzył jak w transie. Dwa razy musiałem go upomnieć, bowiem zafascynowany dotykał jasnych włosów pilota. Gdy słońce przesunęło się na niebie, poleciłem mu, aby pomógł mi przeciągnąć pilota w cień.

Kiedy już opatrzyłem rannego, wróciłem do chaty, włączyłem komputer i ponownie połączyłem się z Kontrolą. Wyjaśniłem, że pilot nadal żyje, jednakże połamał wszystkie kończyny, jego ciało pokrywają oparzenia, a on sam jest pogrążony w śpiączce i zapewne wkrótce umrze.

W odpowiedzi oznajmili, że wysłali już lekarza, który zjawi się w ciągu pół godziny. Zażądali, aby ktoś czekał na niego w Przystani i przyprowadził go do mojej bomy. Ponieważ Karenja nadal przyglądał się pilotowi, poleciłem mu, aby powitał statek i sprowadził do mnie medyka.

Przez następną godzinę pilot nie poruszył się ani razu, a przynajmniej tak sędzę - jednakże na kilka minut zdrzemnąłem się, wsparty plecami o pień drzewa, toteż nie mogę być pewny. Obudził mnie głos kobiety, przemawiającej w języku, którego nie słyszałem już od wielu lat. Z

trudem wstałem z ziemi, akurat na czas, by powitać lekarzkę przyslaną przez Kontrolę.

- Pan musi być Koriba - rzekła po angielsku. - Próbowałam porozumieć się z towarzyszącym mi dżentelmenem, nie sądzę jednak, by zrozumiał choć słowo.

- Jestem Koriba - odparłem po angielsku. Wyciągnęła do mnie rękę.

- Doktor Joyce Witherspoon. Czy mogę zobaczyć pacjenta?

Zaprowadziłem ją na miejsce, gdzie leżał pilot.

- Zna pani jego nazwisko? - spytałam. - Nie mogliśmy znaleźć żadnych dokumentów.

- Samuel albo Samuels, nie jestem pewna - odparła, klękając obok noszy. - Kiepsko z nim. - Dokonała pospiesznych badań. - W bazie moglibyśmy pomóc mu znacznie bardziej, nie chciałabym jednak ruszać go w tym stanie.

- Wystarczy jedno moje słowo i w ciągu godziny zaniosą go do Przystani - odparłem. - Im wcześniej znajdzie się w waszym szpitalu, tym lepiej.

Potrząsnęła głową.

- Obawiam się, że będzie musiał tu zostać, póki nie odzyska nieco sił.

- Zastanowię się nad tym - powiedziałam.

- Nie ma się nad czym zastanawiać - rzekła. - Jako lekarz uważam, że jest za słaby, by go przenosić. - Wskazała kawałek kości goleniowej, która przebiła skórę i sterczała na zewnątrz.

- Muszę nastawić większość złamań i upewnić się, że nie wdało się zakażenie.

- Może to pani zrobić w waszym szpitalu - stwierdziłem.

- Albo tutaj, ze znacznie mniejszą szkodą dla zdrowia pacjenta - dodała. - W czym leży problem, Koribo?

- Problem, Memsaab Witherspoon - odparłem - polega na tym, że Kirinyaga to kikujska utopia. Oznacza to odrzucenie wszystkiego, co europejskie, łącznie z waszą medycyną.

- Nie zamierzam praktykować jej na Kikuju - nie zgodziła się. - Próbuję jedynie ocalić pilota Kontroli, który przypadkiem rozbił się na waszej planecie.

Przez długą chwilę przyglądałem się nieprzytomnemu mężczyźnie.

- W porządku - zgodziłem się wreszcie. - Może pani opatrzeć jego rany.

- Dziękuję - rzekła.

- Jednakże za trzy dni musi stąd odejść - dodałem. - Nie mogę dłużej ryzykować skażenia naszej kultury.

Spojrzała na mnie, jakby zamierzała protestować, jednakże nie odezwała się ani słowem. Otworzyła jedynie przywiezioną przez siebie apteczkę i wstrzyknęła coś w ramię mężczyzny - zapewne środek uspokajający albo przeciwbólowy, czy też połączenie ich obu.

- To czarownica! - rzucił Karenja. - Spójrz tylko, jak przebija jego skórę metalowym cierniem! - Zafascynowany, patrzył na pilota. - Teraz z pewnością umrze.

Joyce Witherspoon pracowała do późnego wieczora, oczyszczając rany pilota, nastawiając złamane kości, zbijając gorączkę. Nie pamiętam, kiedy zasnąłem, lecz gdy się obudziłem, dygocząc w chłodnym porannym powietrzu tuż po wschodzie słońca, kobieta spała, a Karenja zniknął.

Rozpałem ognisko, po czym usiadłem obok niego, owinięty kocem, czekając aż słońce ogrzeje powietrze.

Joyce Witherspoon ocknęła się wkrótce potem.

- Dzień dobry - powiedziała, ujrawszy mnie siedzącego nieopodal.

- Dzień dobry, Memsaab Witherspoon - odparłem.

- Długo spałam? - spytała.

- Już rano.

- Chodziło mi o godziny i minuty.

- Na Kirinyadze nie znamy minut ani godzin - odparłem. - Jedynie dni.

- Powinnaś sprawdzić, jak się czuje pan Samuels.

- Nadal żyje - odparłem.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Ale biedak będzie potrzebował przeszczepów skóry, możliwe też, że straci prawą nogę. Minie dużo czasu, zanim wróci do zdrowia... - Urwała, rozglądając się wokół. - Hmm... Gdzie mogłabym się umyć?

- U stóp wzgórza płynie rzeka - wyjaśniłem. - Proszę najpierw uderzyć kilka razy w wodę, aby spłoszyć krokodyle.

- Co to za Utopia, w której mieszkają krokodyle? - spytała z uśmiechem.



- Czyż istnieje raj bez węży? - ja na to. Roześmiała się i ruszyła w dół zbocza.

Pociągnąłem łyk z tykwy z wodą, po czym zgasilem ognisko i zasypałem popioły. Jeden z chłopców z wioski wyprowadził na łąkę moje kozy, drugi przyniósł drwa na opał i zabrał nad rzekę puste tykwy, aby napełnić je wodą.

Kiedy Joyce Witherspoon wróciła z nad rzeki jakieś dwadzieścia minut później, nie była sama. Towarzyszyła jej Kibo, trzecia, najmłodsza żona Koinnage'a, najwyższego wodza wioski. W ramionach trzymała Katabo, swego synka. Lewa ręka chłopca była paskudnie opuchnięta i posiniała.

- Znalazłam tę kobietę piorącą nad rzeką - oznajmiła Joyce Witherspoon - i zauważyłam, że jej dziecko ma zakażenie. Wygląda to na ukąszenie jakiegoś owada. Zdołałam przekonać ją na migi, aby przysłała tu ze mną.

- Czemu nie przyniosłaś do mnie Katabo? - spytałem Kibo w suahili.

- Ostatnio policzyłeś sobie dwie kozy, dziecko jednak chorowało przez wiele dni, a Koinnage zbił mnie za to, że zmarnowałam jego kozy - odparła, tak bardzo przerażona tym, że mnie rozgniewała, iż nie była w stanie wymyślić żadnego kłamstwa.

Kibo nie skończyła jeszcze mówić, gdy Joyce Witherspoon ruszyła ku niej i dziecku ze strzykawką w rękę.

- To antybiotyk o szerokim działaniu - wyjaśniła mi. - Zawiera też sterydy, zapobiegające swędzeniu i bólowi do czasu zlikwidowania infekcji.

- Stój! - rzuciłem szorstko po angielsku. - Nie wolno pani tego zrobić - oznajmiłem. - Przybyła tu pani jedynie po to, by zająć się pilotem.

- To niemowlę bardzo cierpi - zaprotestowała. - Wystarczy dwie sekundy, aby zrobić mu zastrzyk, który je wyleczy.

- Nie mogę na to zezwolić.

- O co panu chodzi? - spytała ostro. - Czytałam pańską biografię. Może pan ubierać się jak dzikus i siedzieć w piachu obok ogniska, ale studiował pan w Cambridge i zrobił doktorat w Yale. Z pewnością wie pan, jak łatwo mogę zakończyć cierpienia tego dziecka.

- Nie w tym rzecz - odparłem.

- A zatem w czym?

- Nie wolno pani leczyć tego dziecka. W tej chwili mogłoby to wyglądać na błogosławieństwo - jednakże kiedyś już przyjęliśmy leki Europejczyków, a potem ich religię, stroje, prawa i zwyczaje, aż wreszcie przestaliśmy być Kikuju i staliśmy się nową rasą, rasą czarnych Europejczyków, znanych jedynie jako Kenijczycy. Przybyliśmy na Kirinygę, by upewnić się, że coś takiego się nie powtórzy.

- On nie będzie wiedział, czemu czuje się lepiej. Jeśli o mnie chodzi, może pan przypisać zasługę swojemu bogu bądź sobie.

Potrząsnąłem głową.

- Doceniam pani dobre chęci, ale nie mogę pozwolić, aby zakłóciła pani spokój naszej Utopii.

- Proszę na niego spojrzeć! - wskazała spuchniętą rękę Katabo. - Czy dla niego Kirinyga to Utopia? Gdzie zapisano, że w Utopiach dzieci muszą chorować i umierać?

- Nigdzie.

- A zatem?

- Nie zapisano tego - ciągnąłem dalej - ponieważ Kikuju nie znają pisma.

- Może więc pozwoli pan matce zdecydować?

- Nie.

- Dlaczego?

- Matka myśli jedynie o swoim dziecku - wyjaśniłem. - Ja muszę myśleć o całym świecie.

- Może dla niej dziecko jest ważniejsze niż wasz świat dla pana?

- Ona nie potrafi podjąć rozsądnej decyzji - odparłem. - Jedynie ja mogę przewidzieć wszystkie konsekwencje.

Nagle Kibo, która nie rozumiała ani słowa po angielsku, zwróciła się do mnie:

- Czy europejska wiedźma może uleczyć mojego małego Katabo? Dlaczego się kłóćcie?

- Europejska wiedźma przybyła tu do Europejczyka - odpowiedziałem.

- Jej moc nie ma wpływu na Kikuju.

- Nie mogłaby spróbować? - spytała Kibo.

- Ja jestem waszym *mundumugu* - odparłem szorstko.

- Ale spójrz na pilota - Kibo wskazała Samuela. - Wczoraj był prawie

martwy. Dziś jego skóra już się goi, a ręce i nogi znów są proste.

- Jej bóg to bóg Europejczyków - odrzekłem. - Tak jak jej magia to magia Europejczyków. Ich zaklęcia nie działają na Kikuju.

Kibo umilkła, przyciskając do piersi Katabo. Odwróciłem się do Joyce Witherspoon.

- Przepraszam, że mówiłem w suahili, jednakże Kibo nie zna innego języka.

- W porządku - odparła. - I tak wszystko zrozumiałam.

- Sądziłem, że mówi pani jedynie po angielsku.

- Czasami nie trzeba znać słów, by pojąć ich znaczenie. Domyślałam się, że to co pan rzekł, da się sprowadzić do jednego: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”.

W tym momencie pilot jęknął i cała jej uwaga skupiła się na nim. Powoli wracała mu świadomość. Wciąż jeszcze był półprzytomny, lecz wyszedł już ze śpiączki. Kobieta zaczęła wstrzykiwać leki w kroplówki, podłączone do jego rąk i nóg. Kibo patrzyła zdumiona, trzymając się na bezpieczną odległość.

Przez cały ranek pozostałem na wzgórzu. Zaproponowałem, że zdejmę kłutwę z ręki Katabo i posmaruję ją gojącą maścią, lecz Kibo odmówiła twierdząc, że Koinnage nie zechce rozstać się z kolejnymi kozami.

- Tym razem nie zażądam zapłaty - oznajmiłem, bowiem chciałem, by wódz stał po mojej stronie. Wygłosiłem zaklęcie nad dzieckiem, po czym posmarowałem jego rękę maścią z utartej kory akacji. Rozkazałem Kibo, by zniosła dziecko do shamby i powiedziałem, że w ciągu pięciu dni ręka będzie zdrowa.

Wreszcie nadszedł czas, abym zszedł do wioski. Musiałem pobłogosławić strachy na wróble i dać Leibo, która straciła dziecko, miksturę na złagodzenie bólu w piersiach. Następnie miałem spotkać się z Bakadą, który zaakceptował cenę za swą córkę i chciał, abym dokonał jej zaślubin. Wreszcie musiałem dołączyć do Koinnage'a oraz Rady Starszych, omawiającej najważniejsze sprawy tego dnia. Wędrując długą krętą ścieżką wzdłuż rzeki, pomyślałem nagle, jak bardzo nasz świat przypomina Rajski Ogród Europejczyków.

Skąd miałem wiedzieć, że wąż już się zjawił?

Kiedy załatwiłem swoje sprawy w wiosce, odwiedziłem chatę

Ngobego i razem napiliśmy się pombe. Spytał mnie o pilota, bowiem do tego czasu wieść o jego przybyciu rozeszła się wśród wszystkich mieszkańców wioski. Wyjaśniłem, że europejska mundumugu zajmuje się tym i za dwa dni zabierze go do siedziby Kontroli.

- Jej magia musi być bardzo mocna - rzekł. - Słyszałem bowiem, że ów człowiek paskudnie się połamał. - Urwał. - Szkoda - dodał z żalem - że czary te nie działają na Kikuju.

- Moja magia zawsze nam wystarczała - odparłem.

- To prawda - powiedział niepewnie. - Pamiętam jednak dzień, kiedy przynieśliśmy do ciebie syna Tabariego, po tym, jak hieny zaatakowały go i odgryzły mu nogę. Złagodziłeś jego ból, ale nie zdołałeś go ocalić. Może wiedźma z Kontroli potrafiłaby tego dokonać?

- Nogi pilota były połamane, nie odgryzione - broniłem się. - Nikt nie zdołałby uratować syna Tabariego, kiedy hieny już z nim skończyły.

- Może masz rację - on na to.

W pierwszym odruchu chciałem oburzyć się na słowo „może”, potem jednak zdecydowałem, że nie zamierzał mnie obrazić. Toteż dokończyłem pombę, rzuciłem kośćmi, odczytałem, że czekają go pomyślne zbiory i wyszedłem.

Pośrodku wioski przystanąłem, aby wyrecytować dzieciom przypowieść, po czym ruszyłem do shamby Koinnagego i wszedłem do jego bomy na codzienne spotkanie Rady Starszych.

Większość z nich była już na miejscu, ponura i milcząca. Wreszcie Koinnage wynurzył się z chaty i dołączył do nas.

- Dziś mamy do omówienia poważną sprawę - oznajmił. - Może najpoważniejszą ze wszystkich, jakimi kiedykolwiek się zajmowaliśmy - dodał, spoglądając wprost na mnie. Nagle odwrócił się w stronę chat swoich żon. - Kibo! - zawołał. - Chodź tutaj!

Kibo posłuchała i ruszyła ku nam, tuląc do siebie małego Katabo.

- Wszyscy widzieliście wczoraj rękę mojego syna - powiedział Koinnage. - Spuchła do dwukrotnych rozmiarów i była barwy śmierci. - Odebrał żonie dziecko i uniósł je nad głową. - A teraz patrzcie! - krzyknął.

Ręka Katabo znów wyglądała zdrowo. Niemal cała opuchlizna już zesza.

- Moje lekarstwo zadziałało szybciej niż oczekiwałem - rzekłem.  
- To nie twoje lekarstwo! - rzucił oskarżycielsko. - To lek europejskiej  
wiedźmy!

Spojrzałem na Kibo.

- Poleciłem ci, abys opuściła moją bomę jeszcze przede mną -  
oznajmiłem surowo.

- Nie zabroniłeś mi wracać - odparła z zaciętą miną, stając obok  
Koinnatego. - Wiedźma ukuła rękę Katabo metalowym cierniem i  
zanim zdążyłam zejść ze wzgórza, obrzęk prawie ustąpił.

- Nie posłuchałaś mojego polecenia - powiedziałem złowrogim tonem.

- Jestem najwyższym wodzem i wybaczam jej - wtrącił Koinnage.

- Ja jestem *mundumugu* i jej nie wybaczam! - odparłem.

I nagle wyzywająca mina Kibo zniknęła zastąpiona wyrazem  
przerżenia.

- Mamy na głowie ważniejsze sprawy - warknął Koinnage.

To mnie zdumiało, bowiem kiedy jestem zły, nikt nie ma odwagi  
stawić mi czoła.

Wyjąłem z sakiewki garść świecącego proszku, sporządzonego z  
utartych odwłoków nocnych chrząszczy, wysypałem go na dłoń,  
uniosłem do ust i dmuchnąłem pyłem w stronę Kibo.

Kobieta krzyknęła ze zgrozy i runęła na ziemię w konwulsjach.

- Co jej zrobiłeś? - spytał ostro Koinnage.

Przeraziłem ją bardziej, niż byłbyś w stanie pojąć - uczciwa kara za to,  
że mnie nie posłuchała. Głośno rzekłem:

- Zaznaczyłem jej ducha tak, by wszyscy drapieżcy Drugiego Świata  
mogli odnaleźć go nocą, kiedy śpi. Jeśli przysięgnie nigdy więcej nie  
sprzeciwić się swojemu *mundumugu* i okaże stosowną skruchę za swój  
dzisiejszy występki, wówczas usunę z jej duszy znaki, zanim położy się  
spać dziś wieczór. Jeśli nie... - Wzruszyłem ramionami pozwalając, by  
groźba zawisła w powietrzu.

- Może europejska wiedźma usunie znaki? - rzucił Koinnage.

- Sądzisz, że bóg Europejczyków jest potężniejszy niż Ngai? -  
spytałem gwałtownie.

- Nie wiem - odparł Koinnage. - Jednakże w jedną chwilę uleczył rękę  
mojego syna. Ngai zabrałoby to kilka dni.

- Od lat powtarzasz, abyśmy odrzucali wszystko, co pochodzi od Europejczyków - dodał Karenja - a przecież sam widziałem, jak wiedźma używała swej magii na umierającym pilocie i sądzę, że jest ona mocniejsza niż twoje czary.

- To magia, z której mogą korzystać tylko Europejczycy - odparłem.

- Nieprawda! - wtrącił Koinnage. - Czyż bowiem wiedźma nie zaproponowała jej Katabo? Jeśli potrafi zapobiec cierpieniom naszych chorych i rannych szybciej niż Ngai, musimy rozważyć przyjęcie jej oferty.

- Jeżeli to zrobicie, wkrótce będziecie musieli też przyjąć ich boga, naukę, stroje i zwyczaje.

- Ale to ich nauka stworzyła Kirinyagę i sprowadziła nas tutaj - zauważył Ngobe. - Skoro dzięki niej powstała Kirinyaga, jak może być zła?

- Nie jest zła dla Europejczyków - wyjaśniłem - ponieważ stanowi część ich kultury. Nam jednak nie wolno zapomnieć, po co przybyliśmy na Kirinyagę: aby zbudować świat Kikuju i odtworzyć kikujską kulturę.

- Musimy się nad tym poważnie zastanowić - stwierdził Koinnage. - Przez lata wierzyliśmy, że każdy aspekt europejskiej kultury jest zły, bo nie znaliśmy jej. Teraz jednak, kiedy ujrzelśmy, że nawet kobieta potrafi leczyć choroby szybciej niż Ngai, nadszedł czas, by rozważyć nasze stanowisko.

- Może jej magia uleczyłaby moją uschniętą rękę, kiedy byłem chłopcem? - dodał Ngobe. - Cóż w tym złego?

- Byłoby to wbrew woli Ngai - odparłem.

- Czyż Ngai nie włada wszechświatem? - spytał.

- Wiesz, że tak.

- Zatem nic nie może się dzieć wbrew jego woli. A jeśli ona by mnie uleczyła, postąpiłaby zgodnie z życzeniem Ngai.

Potrząsnąłem głową.

- Nie rozumiesz.

- Próbujemy zrozumieć - mruknął Koinnage. - Oświeć nas.

- Europejczycy znają wiele cudów i cuda te mogą was skusić, tak jak dzieje się to w tej chwili... jeśli jednak przyjmiecie jeden dar Europejczyków, wkrótce zmuszą was, abyście przyjęli je wszystkie.

Koinnage, ich religia zezwala na posiadanie tylko jednej żony. Z którymi dwiema się rozwiedziesz?

Odwróciłem się do pozostałych.

- Ngobe, ludzie z Kontroli pošlą Kimantiego do szkoły, w której nauczy się czytać i pisać. Ponieważ jednak my nie mamy pisma, nauczy się pisać i czytać w języku Europejczyków, zaś rzeczy i ludzie, o których będzie czytał, także będą europejskie.

Ruszyłem pomiędzy Starszych, każdemu podając stosowny przykład.

- Karenja, jeśli zrobisz przysługę Tabariemu, będziesz oczekiwał w zamian kury, kozy, a może nawet krowy, w zależności od tego, jak wielka była ta przysługa. Jednakże Europejczycy każą mu wynagrodzić cię papierowymi pieniędzmi, których nie można zjeść i które się nie mnożą, nie wzbogacając przez to swojego właściciela.

Krążyłem dalej, aż w końcu obszedłem wszystkich Starszych, każdemu z nich wskazując, co musieliby utracić, gdyby pozwolili Europejczykom wpłynąć na nasze zwyczaje.

- Wszystko to jest jak jedna strona ręki - odparł Koinnage, kiedy skończyłem. Uniósł drugą rękę dłonią do góry. - Na drugiej spoczywa koniec wszelkich chorób i cierpienia, a to niemało. Koriba twierdzi, że jeśli dopuścimy do siebie Europejczyków, zmuszą nas, abyśmy zmienili nasze zwyczaje. Ja mówię, że część naszych zwyczajów powinna zostać zmieniona. Jeśli ich bóg jest większym uzdrowicielem niż Ngai, może potrafi dać nam lepszą pogodę, płodniejsze bydło, żyźniejszą ziemię?

- Nie! - krzyknąłem. - Wy może zapomnieliście, dlaczego tu przybyliśmy, ale ja nie. Naszym celem nie było założenie europejskiej utopii! Pragnęliśmy Utopii dla Kikuju!

- A czy osiągnęliśmy ów cel? - spytał ironicznie Karenja.

- Z każdym dniem zbliżamy się do niego - odparłem. - Sprawiam, że staje się rzeczywistością.

- Czy w Utopii cierpią dzieci? - nalegał Karenja. - Czy mężczyźni dorastają z uschniętymi rękami? Kobiety umierają w połogu? Hieny atakują pasterzy?

- To kwestia równowagi - wyjaśniłem. - Nieograniczony wzrost doprowadza w końcu do nieograniczonego głodu. Nie widzieliście, czym się to skończyło na Ziemi, ale ja tak.

Wreszcie przemówił stary Jandara.

- Czy w Utopii ludzie myślą? - spytał mnie.

- Oczywiście, że tak - odparłem.

- Skoro myślą, czy przychodzą im do głowy nie tylko stare pomysły, ale i nowe?

- Owszem.

- Zatem może powinniśmy pozwolić wiedźmie zająć się naszymi ranami i chorobami - rzekł. - Jeśli bowiem Ngai zezwala, aby w jego Utopii pojawiały się nowe myśli, musi wiedzieć, że doprowadzą one do zmiany. A skoro zmiana nie jest zła, może brak zmiany, do którego tak usilnie dążyliśmy, stanowi zło albo przynajmniej błąd. - Wstał z miejsca. - Możecie przedyskutować tę kwestię. Co do mnie, od lat nęka mnie ból stawów i Ngai nie potrafił go uleczyć. Zamierzam wspiąć się na wzgórze Koriby i sprawdzić, czy bóg Europejczyków zdoła uśmierzyć moje cierpienie.

Z tymi słowymi wyminął mnie i wyszedł z bomy.

Byłem gotów spierać się przez cały dzień i noc, jeśli trzeba, jednakże Koinnage odwrócił się do mnie plecami - do mnie, swojego *mundumugu!* - i zaniósł syna z powrotem do chaty Kibo.

To stało się sygnałem do zakończenia spotkania. Starsi po kolei wstawali i wychodzili, nie śmiejąc spojrzeć mi w twarz.

Kiedy dotarłem do mego wzgórze, ujrzałem ponad tuzin mieszkańców wioski zebranych u jego stóp. Minąłem ich i wkrótce dotarłem do mojej bomy. Jandara nadal tam był. Joyce Witherspoon zrobiła mu zastrzyk i podawała właśnie niewielką fiolkę pastylek.

- Kto pani pozwolił leczyć Kikuju? - spytałem po angielsku.

- Nie proponowałam im pomocy - odparła. - Jestem jednak lekarzem i nie mogę ich odprawić.

- Zatem ja to zrobię.

Po tych słowach odwróciłem się i spojrzałem na wieśniaków.

- Nie wolno wam tu wchodzić - powiedziałem surowo. - Wracajcie do swoich shamb.

Dorośli poruszyli się niespokojnie, lecz zostali na miejscu, zaś jeden drobny chłopiec ruszył na górę.

- Twój mundumugu zabronił ci wspiąć się na to wzgórze - rzuciłem. -



Ngai ukarze cię za ten występki.

- Bóg Europejczyków jest młody i silny - oznajmił chłopiec. - Obroni mnie przed Ngai.

I ujrzałem, że ten chłopiec to Kimanti.

- Zostań, ostrzegam! - wykrzyknąłem.

Kimanti zważył w dłoniach drewnianą włócznię.

- Ngai nie zrobi mi krzywdy - oznajmił pewnym siebie tonem. - Jeśli spróbuje, zabiję go tym. Wyminął mnie i podszedł do Joyce Witherspoon. - Rozciąłem sobie stopę na kamieniu - rzekł. - Jeśli twój bóg mnie wyleczy, w podzięce ofiaruję mu koźlą.

Nie zrozumiała ani słowa z tego, co powiedział, kiedy jednak pokazał jej ranę, zaczęła ją opatrywać.

Wkrótce potem zszedł ze wzgórza nie nękany przez Ngai, a kiedy następnego ranka nie tylko wciąż jeszcze żył, ale też jego rana została uleczona, po wiosce wieść o tym rozeszła się i wkrótce ustawiła się niemal nieskończona kolejka chorych i kalek, pragnących wspiąć się na me wzgórze i przyjąć europejskie leki na kikujskie dolegliwości.

Ponownie poleciłem im, aby się rozeszli. Tym razem zupełnie jakby mnie nie słyszeli. Pozostali na miejscu, nie spierając się ze mną, tak jak to zrobił Kimanti, nawet nie dostrzegając mojej obecności. Każdy z nich czekał cierpliwie, póki nie nadeszła jego kolej, by zwrócić się o pomoc do europejskiej wiedźmy.

Sądziłem, że kiedy kobieta odejdzie, wszystko wróci do normy, że ludzie znów zaczną lękać się Ngai i okazywać szacunek swojemu mundumugu - jednakże tak się nie stało. Och, zajmowali się swymi codziennymi obowiązkami, obsadzali pola i wypasali bydło... jednakże nie zwracali się już do mnie ze swoimi problemami, jak to zawsze czynili w przeszłości.

Z początku sądziłem, że rozpoczął się jeden z owych rzadkich okresów, w których nikt w wiosce nie choruje ani na nic nie cierpi. Jednakże pewnego dnia ujrzałem Shanakę, wędrującego przez sawannę. Ponieważ rzadko opuszczał swą shambę, a nigdy wioskę, zainteresowało mnie, dokąd zmierza, i postanowiłem pójść za nim.

Przez ponad pół godziny maszerował wprost na zachód, aż wreszcie dotarł do lądowiska w Przystani.

- Co się stało? - spytałem, kiedy doścignąłem go wreszcie. Otworzył usta, demonstrując mi spory wrzód nad jednym z zębów.

- Bardzo mnie boli - rzekł. - Od trzech dni nie mogę nic jeść.

- Czemu nie przyszedłeś z tym do mnie? - spytałem.

- Bóg Europejczyków pokonał Ngai - odparł Shanaka. - Nie pomoże mi już.

- Pomoże - zapewniłem go.

Shanaka potrząsnął głową, po czym skrzywił się, bowiem ruch wywołał nową falę bólu.

- Jesteś już stary, a Ngai to stary bóg i obaj straciliście swą moc - stwierdził ze smutkiem. - Chciałbym, aby tak nie było, ale to prawda.

- A zatem porzucasz swoje żony i dzieci, ponieważ straciłeś wiarę w Ngai? - zapytałem ostro.

- Nie - odparł. - Poproszę, aby statek Kontroli zabrał mnie do europejskiej *mundumugu*, a kiedy wiedźma mnie uleczy, wrócę do domu.

- Ja cię uleczę - oznajmiłem. Przyglądał mi się przez długą chwilę.

- Kiedyś istotnie mógłbyś to zrobić - stwierdził wreszcie. - Ale ten czas już minął. Pójdę do *mundumugu* Europejczyków.

- Jeśli tak zrobisz - oświadczyłem surowo - nigdy nie będziesz już mógł zwrócić się do mnie o pomoc.

Wzruszył ramionami.

- Wcale nie zamierzałem - odparł bez cienia goryczy ani urazy w głosie.

Shanaka powrócił następnego dnia, uleczonego.

Odwiedziłem jego bomę aby sprawdzić, jak się czuje, nieważne bowiem, czy pragnął mych usług czy nie, ja wciąż pozostawałem jego *mundumugu*. Wędrując przez pola jego shamby ujrzałem, że ustawił na nich dwa nowe strachy na wróble, podarunki Europejczyków. Strachy miały mechaniczne ramiona, które poruszały się bezustannie, one same zaś obracały się wokół własnej osi.

- Jambo, Koriba - powitał mnie Shanaka, a widząc, że przyglądam się jego strachom, dodał: - Czyż nie są wspaniałe?

- Wstrzymam się z oceną, póki nie zobaczę, jak długo będą działały -

odparłem. – Im więcej ruchomych części ma przedmiot, tym łatwiej się psuje.

Popatrzył na mnie i wydało mi się, że w jego wzroku dostrzegam współczucie.

– Stworzył je bóg Kontroli – rzekł. – Będą działały wiecznie.

– Albo do czasu, kiedy wyczerpie się ich zasilanie – odrzekłem, nie wiedział jednak, o czym mówię, toteż nie pojął dźwięczącej w mych słowach ironii. – Jak twój ząb?

– Znacznie lepiej – odparł. – Ukluli mnie magicznym cierniem, aby uśmierzyć ból, a potem wycięli złe duchy, które nawiedziły moje usta. – Umilkł na chwilę. – Mają bardzo potężnych bogów, Koribo.

– Jesteś z powrotem na Kirinyadze – upomniałem go surowo. – Uważaj, żeby nie bluźnić.

– Nie bluźnię – zaprotestował. – Mówię prawdę.

– A teraz pewnie chcesz, żebym pobłogosławił strachy Europejczyków? – spytałem z wyraźnym sarkazmem.

Wzruszył ramionami.

– Jeśli masz ochotę – rzekł.

– Jeśli mam ochotę? – powtórzyłem gniewnie.

– Właśnie – odparł nonszalancko. – Strachy są europejskie, więc nie potrzebują twojego błogosławieństwa, ale jeżeli miałyby ci to sprawić przyjemność...

Często zastanawiałem się, co mogłoby się stać, gdyby z jakiejś przyczyny mieszkańcy wioski przestali się lękać swego *mundumugu*. Nigdy nie przypuszczałem, że mogliby go zaledwie tolerować.

Kolejni mieszkańcy wioski udawali się do przychodni Kontroli i każdy wracał przynosząc z sobą dary od Europejczyków. Przeważnie były to oszczędzające czas gadżety. Zachodnie gadżety. Gadżety zabijające naszą kulturę.

Raz po raz chodziłem do wioski i wyjaśniałem, czemu należy odrzucać podobne przedmioty. Dzień za dniem przemawiałem do Rady Starszych przypominając im, po co przybyliśmy na Kirinyagę, lecz większość pierwszych osadników już nie żyła, zaś następne pokolenie, ci, którzy

stali się naszymi Starszymi, nie pamiętało już Kenii. W istocie ci z nich, którzy rozmawiali z personelem Kontroli, wracali do domu przekonani, że to Kenia, nie Kirinyaga, stanowiła dla nas Utopię, w której wszyscy byli zadbani i wykarmieni, i niczyje pola nie cierpiały z powodu suszy.

Byli dla mnie uprzejmi, słuchali z szacunkiem, po czym wracali do czynności i rozmów, które przerwało moje przybycie. Przypominałem im, jak wiele razy ja, i tylko ja, ratowałem ich przed nimi samymi, jednakże zdawali się nie dbać o to. Więcej, jeden czy dwóch Starszych zachowywało się, jakbym miał utrzymywać czystość Kirinyagi w jakiś tajemniczy sposób powstrzymywał jej rozwój.

- Kirinyaga nie ma się rozwijać! - protestowałem. - Kiedy osiągnie się Utopię, nie odrzuca się jej, mówiąc: Jakie zmiany możemy wprowadzić jutro rano?

- Brak rozwoju oznacza stagnację - odparł Karenja.

- Możemy rozwijać się poprzez ekspansję - rzekłem. - Mamy cały świat, który czeka na zaludnienie.

- To nie rozwój, lecz rozmnażanie - odrzekł. - Wspaniale spełniłeś swoje zadanie, Koribo, bowiem na początku potrzebowaliśmy przede wszystkim porządku i celu - jednakże twój czas już minął. Teraz, kiedy zakorzeniliśmy się tutaj, sami możemy wybrać, jak będziemy żyć.

- Już dokonaliśmy wyboru - powiedziałem gniewnie. - To dlatego tu przybyliśmy.

- Byłem tylko *kehee* - odparł Karenja. - Nikt nie pytał mnie o zdanie. A ja nie pytałem mojego syna, który się tu urodził.

- Kirinyaga została stworzona po to, by stać się kikujską Utopią - oznajmiłem. - Ów cel stanowi podstawę naszej umowy. Nie można go zmienić.

- Nikt nie twierdzi, że nie pragniemy żyć w Utopii, Koribo - stwierdził Shanaka. - Jednakże minął już czas, kiedy ty, i tylko ty wyrokowałeś, czym jest Utopia.

- Zostało to wyraźnie określone.

- Przez ciebie - odparł Shanaka. - Niektórzy z nas mają własne definicje Utopii.

- Byłeś przecież jednym z założycieli Kirinyagi - rzuciłem oskarżycielsko. - Czemu nigdy wcześniej nie zgłaszałeś obiekcji?

- Wiele razy pragnąłem to zrobić - przyznał Shanaka.- Ale zawsze się bałem.

- Bałeś się? Kogo?

- Ngai. Albo ciebie.

- Co zresztą na jedno wychodzi - dodał Karenja.

- Teraz jednak, kiedy Ngai przegrał bitwę z bogiem Kontroli, nie boję się już mówić otwarcie - ciągnął dalej Shanaka. - Czemu miałbym cierpieć, znosząc ból zębów? Dlaczego grzechem bądź bluźnierstwem jest zwrócenie się do europejskiej wiedzy? Czemu moja żona, równie stara jak ja, której plecy zgarbiły się po latach dźwigania drew i wody, miałyby dalej to robić, skoro istnieją maszyny, które ją zastąpią?

- Jeśli tak uważasz, to po co w ogóle miałbyś mieszkać na Kirinyadze? - spytałem z goryczą.

- Ponieważ równie ciężko jak ty pracowałem, by uczynić z Kirinyagi dom dla Kikuju - odparował. - I nie widzę, czemu miałbym odejść tylko dlatego, że moja definicja Utopii nie zgadza się z twoją. Dlaczego ty nie odejdziesz, Koribo?

- Ponieważ powierzono mi obowiązek stworzenia naszej Utopii i nie dokończyłem jeszcze swojego zadania - odparłem. - W istocie to fałszywi Kikuju jak ty utrudniają mi pracę.

Shanaka dźwignął się na nogi i spojrzał po twarzach Starszych.

- Czy jestem fałszywym Kikuju dlatego, że pragnę, by mój wnuk nauczył się czytać? - spytał ostro. - Albo ponieważ chcę złagodzić brzemię mojej żony? Czy dlatego, że nie zamierzam już dłużej znosić bólu, którego łatwo dałoby się uniknąć?

- Nie! - wykrzyknęli chórem Starsi.

- Uważajcie! - ostrzegłem ich. - Bowiem jeśli on nie jest fałszywym Kikuju, to mnie takim nazywacie.

- Nie, Koribo - stwierdził Koinnage, podnosząc się miejsca. - Nie jesteś fałszywym Kikuju. - Zawiesił głos. - Jednakże mylisz się. Twoje dni - i moje - już minęły. Być może przez jedną ulotną sekundę osiągnęliśmy Utopię, lecz owa sekunda już przeszła, zaś nowe chwile i sekundy wymagają nowych Utopii. - I wówczas Koinnage, który w przeszłości tak często spoglądał na mnie z lękiem, nagle zmierzył mnie wzrokiem pełnym głębokiego współczucia. - To był nasz sen, Koribo - ale nie ich

sen. A jeśli nawet dziś jeszcze pozostało nam nieco władzy, jutro z pewnością należy do nich.

- Nie będę tego słuchał! - oznajmiłem. - Nie możecie dla własnej wygody zmieniać definicji Utopii. Przenieśliśmy się tutaj po to, by zachować czystość naszej wiary i zwyczajów, uniknąć tego, co spotkało tak wielu Kikuju w Kenii. Nie pozwolę, abyśmy stali się czarnymi Europejczykami!

- Czymś jednak się stajemy - powiedział Shanaka. - Może była taka chwila, kiedy sądziłeś, że jesteśmy doskonałymi Kikuju, lecz ów moment już dawno minął. Aby takimi pozostać, żaden z nas nigdy nie mógłby mieć żadnej nowej myśli, nie mógłby spojrzeć na świat w odmienny sposób. Stalibyśmy się jak te strachy, które błogosławisz co rano.

Przez długi czas milczałem, wreszcie powiedziałem cicho:

- Ten świat łamie mi serce. Tak bardzo się starałem ukształtować go według naszych pragnień, a jednak spójrzcie, czym się stał. Czym wyście się stali.

- Możesz kierować zmianą, Koribo - powiedział Shanaka - ale nie zdołasz jej zapobiec. I dlatego właśnie Kirinyaga zawsze będzie sprawiać ci ból.

- Muszę pójść do mojej bomy i pomyśleć - stwierdziłem.

- Kwaheri, Koribo - rzucił Koinnaga. Żegnaj, Koribo. Zabrzmiało to jak ostateczne pożegnanie.

Wiele dni spędziłem samotnie na mym wzgórzu, spoglądając za rzekę, na zielone sawanny, i rozmyślając. Ludzie, którym próbowałem przewodzić, świat, który pomogłem stworzyć, zdradzili mnie. Wiedziałem, że musiałem w jakiś sposób wzbudzić gniew Ngai i że wkrótce ukarze mnie on śmiercią. Byłem gotów umrzeć, więcej, wyglądałem śmierci... jednakże wciąż żyłem, bowiem bogowie czerpią siłę z grona swych wyznawców, a Ngai był teraz tak słaby, że nie mógł nawet zabić kruchego starca.

W końcu postanowiłem po raz ostatni zejść pomiędzy mój lud i sprawdzić, czy ktokolwiek z nich odrzucił pokusy Europejczyków i powrócił do zwyczajów prawdziwych Kikuju.

Wzdłuż ścieżki stały rzędy mechanicznych strachów. Dla nich jedynym sensownym błogosławieństwem byłoby doładowanie akumulatorów. Ujrzałem grupkę kobiet, piorących stroje nad rzeką, zamiast jednak uderzać w tkaninę kamieniami, szorowały je na tarach z tworzyw sztucznych, najwyraźniej przygotowanych specjalnie dla nich.

Nagle tuż za sobą usłyszałem brzęk. Zdumiony podskoczyłem, straciłem równowagę i upadłem ciężko na ciernisty krzak. Kiedy w końcu pozbierałem się do kupy, stwierdziłem, że o mało nie zostałem przejechany przez rower.

- Przepraszam, Koribo - powiedział jego właściciel, którym okazał się młody Kimanti. - Sądziłem, że słyszałeś, jak nadjeżdżam.

Ostrożnie pomógł mi wstać.

- Moje uszy słyszały już wiele rzeczy - rzekłem. - Krzyk rybołowa, beczenie kozy, chichot hieny, płacz nowo narodzonego dziecka. Nigdy jednak nie miały usłyszeć dźwięku sztucznych kół, pokonujących piaszczyste zbocza.

- To znacznie szybsze i łatwiejsze niż chodzenie - odparł. - Wybierasz się dokądś w szczególności? Chętnie cię podwożę.

Zapewne to rower sprawił, że podjąłem decyzję.

- Owszem - odrzekłem. - Wybieram się dokądś, ale nie dam się zawieźć na rowerze.

- Zatem pójde z tobą - oznajmił. - Gdzie idziesz?

- Do Przystani - powiedziałem.

- Ach - uśmiechnął się lekko. - Ty także masz sprawę do Kontroli. Boli cię? Gdzie?

Dotknąłem lewej strony mojej klatki piersiowej.

- Tutaj - a jedyna prośba, jaką mam do Kontroli, to żeby zabrali mnie jak najdalej od przyczyny tego bólu.

- Opuszczasz Kirinyagę?

- Opuszczam to, czym się stała - odparłem.

- Dokąd pójdziesz? - spytał. - Co będziesz robił?

- Udam się gdzie indziej i będę robił inne rzeczy - odrzekłem tajemniczo, bowiem w istocie dokąd może się przenieść bezrobotny *mundumugu*?

- Będzie nam cię brakowało, Koribo - stwierdził Kimanti.

- Wątpię.
- Ależ tak – powtórzył szczerze. – Kiedy będziemy recytować naszym dzieciom historię Kirinyagi, twoje imię nie zostanie zapomniane. – Urwał. – To prawda, że się myliłeś, ale byłeś niezbędny.
- Czy tak właśnie mam zostać zapamiętany? – spytałem. – Jako zło konieczne?
- Nie nazwałem cię złym. Po prostu byłeś w błędzie.
- Następnych kilka mil pokonaliśmy w ciszy. Wreszcie dotarliśmy do Przystani.
- Jeśli chcesz, zaczekam tu z tobą – zaproponował Kimanti.
- Wolę zostać sam – odparłem. Wzruszył ramionami.
- Jak sobie życzysz. Kwaheri, Koribo.
- Kwaheri – odparłem.

Gdy odszedł, powoli rozejrzałem się wokół siebie. Patrzyłem na sawannę i rzekę, gnu i zebry, rybołowy i marabuty, próbując na zawsze utrwalić je w pamięci.

- Przykro mi, Ngai – powiedziałem w końcu. – Starłem się, jak mogłem, ale zawiodłem cię.

Nagle na niebie pojawił się statek, który na zawsze miał zabrać mnie z Kirinyagi.

- Musisz okazać im współczucie, Ngai – rzekłem, gdy statek zniżył się do lądowania. – Nie oni pierwsi z naszego ludu dali się skusić Europejczykom.

I wówczas, gdy statek dotknął ziemi, wydało mi się, że czyjś głos przemówił do mnie i rzekł: Byłeś moim najwierniejszym sługą, Koribo, toteż posłucham twojej rady. Czy naprawdę chcesz, bym okazał im moje współczucie?

Po raz ostatni spojrzałem na wioskę, wioskę, która kiedyś lękała się i czciła Ngai, a teraz sprzedała się bogu Europejczyków niczym nędzna prostytutka.

- Nie – odparłem stanowczo.
- Do mnie pan mówił? – spytał pilot i zorientowałem się, że otworzył wąż i czeka na mnie.



- Nie – powtórzyłem. Rozejrzał się.
- Nie widzę nikogo innego.
- Jest bardzo stary i bardzo znużony – wyjaśniłem. – Ale wciąż tu jest. Wsiadłem na pokład nie oglądając się za siebie.